

T i t a n i a Hardie

Różany
labirynt

Mojemu mężowi, Gavrikowi Loseyowi, który
był moim spokojem, ilekroć wokół szalała burza.

W wielkich konfliktach każda ze stron twierdzi, że działa zgodnie z wolą Boga. Obie mogą się mylić, a jedna myli się na pewno. Bóg nie może równocześnie być za i przeciw tej samej rzeczy.

- Abraham Lincoln

	+	ELOHIM + ELOHI				+
		4	14	15	1	
ADONAI		9	7	6	12	ZEBAOth
		5	11	10	8	
		16	2	3	13	
	+	ROGYEL + JOSPHIEL				+

„Vexilla Regis prodeunt inferni
verso di noi; pero dinanza mira”,
disse ‘l maestro mi “se tu ‘l discerni”

PROLOG

DZIEŃ ŚW. JERZEGO, KWIECIEŃ 1600

ROKU W GOSPODZIE PRZY LONDYŃSKIM

TRAKCIE

*U SZCZYTU DŁUGIEGO DREWNIANEGO
STOŁU, BLISKO OGNIĄ, SIEDZI LECIWY,
OŚNIEŻONY*

*mężczyzna. Głowę ma pochyloną, w szczupłych
palcach prawicy ściska ciemny, lśniący
przedmiot. Błat przed nim usłany jest kwieciem
Rosa mundi — białymi płatkami o karminowych i
różowych żyłkach; toteż wszyscy, co przy ławie
zasiadają, wiedzą, iż traktować się tu będzie o
rzeczach tajemnych, o mariażu ducha i dusz
zebranych oraz o narodzinach czegoś
niepowtarzalnego i przez wszystkich
wyczekiwanego: Dziecięcia Filozofa. W
sąsiednich izbach za zamkniętymi drzwiami
hałaśliwie bawią się inni goście, lecz zebrani przy
stole czekają w milczeniu. Drzwi otwierają się i*

zamykają ostrożnie, potem ciszę nagle rozdziera pospieszne szuranie stóp. Liścik wniesiony przez służącego, który wszedł przez nikogo niemal niezauważony, trafia w szlachetne dłonie mężczyzny. Ten czyta powoli; na jego wysokim czole — zaskakująco gładkim, jeśli zważyć jego lata—pojawia się wyraz zasepienia. Przez dłuższy czas mężczyzna patrzy kolejno na twarze zebranych. W końcu odzywa się cicho, jakby odmawiał wieczorny pacierz:

— Nie tak dawno temu, w miesiącu świąteł, signor Bruno splonął na stosie na Campo de' Fiori. Miał czterdzieści dni na odwołanie herezji: że Ziemia nie jest ośrodkiem świata tego, że słońce i planet takich jak nasze jest wiele oraz że boskość Zbawiciela nie jest prawdą dosłowną. Mnisi podsunęli mu krucyfiks do pocałowania w pokucie za jego błędy, lecz on jeno twarz odwracał. Dla okazania miłosierdzia władze kościelne do głowy woreczek z prochem przytroczyć mu poleciły przed podpaleniem stosu — by koniec jego przyśpieszyć. Język

kołkiem drewnianym do gardła mu przybito, by go od mówienia powstrzymać. — Podnosi oczy na każdego towarzysza wieczerzy i przez chwil kilka nie może dobyć głosu.

— Dla niektórych z nas zatem wiele jasnym się staje, i tu podróż kolejna się rozpoczyna. — Jego spojrzenie spoczywa na twarzy mężczyzny, który siedzi zgarbiony nad kuflem po lewej stronie stołu, przy drugim jego końcu. Sąsiad szturcha go i szepce, ostrzegając go, iż oczy mówcy na nim spoczywają. Obaj patrzą na siebie, niezdolni wzroku odwrócić, aż rysy młodszego łagodnieją, na ustach wykwita półuśmiech, na co starszy podejmuje cicho:

— Możemy — pyta już dźwięczniej — wspólnym wysiłkiem umysłów sprawić, aby jego myśli o miłości i harmonii we wszechświecie pozostały świeże jak rosa? Czy Stracone Zachody Miłości można jeszcze przekuć w Zwycięskie?

ŚPIEW KOSA WDARŁ się W JEGO NIESPOKOJNE SNY, CHOCIAŻ OKIENNICE WIEJSKIEGO domu były szczelnie zamknięte.

Will przyjechał późno, gdy wyblakły wrześniowy zmierzch już dawno zmienił się w noc, lecz księżyc świecił dość jasno, by dało się odszukać klucz do domu, ukryty pośród pelargonii. Teraz obudził się w panicznym strachu, w ciemnościach, dziwnie zdezorientowany, mimo iż wąska struga światła próbowała wedrzeć się do sypialni. Niepostrzeżenie wstał nowy dzień.

Zeskoczył z łóżka i zaczął majstrować przy okiennicach. Przy deszczowej pogodzie drewno napęczniało i przez moment skrzydła nie chciały drgnąć, dopóki jego palce nie poznały ich wnikliwie. Nagle zalało go ostre światło. Był piękny wczesnojesienny ranek, mgły płożyły się nisko, przeszyte promieniami słońca. Razem ze światłem i z wilgotnym powietrzem z zewnątrz

napływał żywiczny zapach róż, przez który przebijała się charakterystyczna nutka francuskiej lawendy z żywopłotu gdzieś w dole. Ileż dobrych i złych wspomnień wkradło się wraz z tym zapachem, lecz przynajmniej pomógł mu on choć w pewnym stopniu odzyskać spokój i przegnał twarze, które nawiedzały go w snach.

Wczoraj tak się śpieszył, by spłukać z siebie kurz po długiej podróży z Lukki, że zapomniał włączyć grzałkę. Chłodna woda go orzeźwiła, lecz mięśnie miał dalej zeszywniałe; może gdyby poczekał na gorącą... Jego du-cati 998 stanowczo nie było motocyklem turystycznym: przypominało raczej kapryśną supermodelkę. Zawrotnie szybkie, absurdalnie trudne do opanowania i zarazem dające niesamowitą przyjemność z jazdy, idealnie pasowa-

ło do humorów i ekscentryczności Willa: ale szczerze mówiąc, na dłuższych etapach było po prostu niewygodne. Pod koniec dnia w skórzanym kombinezonie czuł ucisk w kolanach, ale zlekceważył to. Mięczaki nie powinny dosiadać takiej maszyny.

Spojrzał w lustro. Może rzeczywiście wyglądał jak „anioł nieco upadły”, jak mawiała jego matka. Z tym cieniem zarostu podkreślającym kształt szczęki przypominał statystę z filmów Zefirellego. Roześmiał się wstrząśnięty, zdając sobie sprawę, że jego wygląd w tej chwili zaniepokoiłby nawet ją. W twarzy, która śmiała się do niego z lustra, było coś szaleńczego i już wiedział, że pozwolił demonom podróży odrobinę za bardzo zbliżyć się do swojej duszy.

Raczej skrócił niż ogolił kilkudniowy zarost, a kiedy wycierał maszynkę z piany, zauważył nieco przyblakłą różę, idealnie zasuszoną w starym kałamarzu przy umywalce. Może jego brat Alex przywiózł tu kogoś w ciągu ostatnich paru tygodni? On sam był tak dalece pochłonięty własnymi sprawami, że nie orientował się w planach reszty rodziny. Uśmiechnął się

zaintrygowany.

— Zadzwońię do niego pod wieczór - powiedział, dziwiąc się, jak obco brzmi jego własny głos - jak już dotrę do Caen. - Prom odpływał dopiero przed północą, a on miał teraz jeszcze kilka rzeczy do zrobienia.

W łagodnym porannym świetle w kuchni poczuł, że po raz pierwszy od wielu tygodni zaczyna się relaksować, pozbywać się niepokojącego, ulotnego uczucia, które prześladowało go w ostatnim czasie. Przez otwarte drzwi wpływał zapach jabłek z sadu - przywołując kojące wspomnienia trzydziestu jeden wcześniejszych jesieni, którymi cieszył się, nim nastąpiła obecna. Uciekł przed wszystkim i przed wszystkimi, ale teraz z radością wracał do domu. Spłukał z kieliszka płamę po winie, czerwoną jak krew, i na kilka minut wstawił do piekarnika resztkę bagietki. Postanowił sprawdzić, co z motorem; ledwie pamiętał, gdzie go zaparkował. Ostatnie wykańczające mile z Lyonu pokonał w tak krótkim czasie tylko dzięki myśli o bezpiecznym schronieniu, które czekało u celu podróży. Wtedy dobiecze się do przenikliwie

pachnącego *me-aux brie*, który miał w plecaku, do tego bagietka, kieliszeczek St. Emilion z zapasów ojca i wygodne łóżko.

Na dworze panował rozbrajający spokój. Glicynia porastająca fronton domu ugięła się od późnego wysypu kwiatów. Oprócz powierzchniowych oznak zaniedbania - nieprzystrzyżonego trawnika i niezamiecionej dróżki - nic nie zdradzało bolesnej straty, jaką poniosła ich rodzina, skazując to miejsce na wiele miesięcy samotności. Najwyraźniej odkąd pod koniec stycznia

straszna, bolesna śmiercią zmarła chora na raka matka Willa, nikt z rodziny nie miał ochoty tu zaglądać. Dojazd z ich domu w Hampshire był na tyle dogodny, a droga na tyle krótka, iż warto się tu było wybrać choćby i na trzydniowy weekend, ale to zawsze było jej miejsce, jej prywatna przestrzeń. Tu mogła malować i pracować w ogrodzie, co dawało jej tyle radości; na każdym kroku wyczuwało się jej obecność, nawet teraz, w biały dzień. Ojciec cierpiał w milczeniu, mówił mało i pracował ciężko jak zawsze, byle nie mieć za dużo czasu na myślenie; Alex wydawał się jakoś sobie radzić z każdym trudnym wydarzeniem, nie pokazując innym, jak bardzo je przeżywa. Will natomiast był nieodrodnym synem swojej matki, tak jak ona emocjonalnie podchodził do świata i silnie angażował się w relacje z innymi. Tutaj, w jej czarodziejskim królestwie, tęsknił za nią szczególnie mocno.

Omiótł spojrzeniem krótką kamienistą dróżkę, ciągnącą się od głównej drogi do drzwi wejściowych, lecz nic szczególnego nie zwróciło jego uwagi. Pustka, którą tu zastał, niemal sprawiła mu zawód, ale w pozytywnym zna-

czeniu. Wygląda na to, że nikt nie wie albo też nikogo nie obchodzi, gdzie się teraz podziewa - przynajmniej na razie. Bezwiednie bawił się małym srebrnym przedmiotem, który nosił na szyi na krótkim łańcuszku; nagle zaborczym gestem zacisnął na nim palce. Powoli ruszył w kierunku ogrodu różanego matki. Przez ponad dwadzieścia lat, w hołdzie dla wielkich hodowców róż, gromadziła kolekcję starych odmian, dorównujących tym z Malmaison. Malowała je, hartowała, towarzyszyły jej w kuchni; ale jeśli nawet zauważyły, że odeszła, nie szepnęły nikomu ani słowa skargi. Fontannę między rabatami zdobiła barwna mozaika z potłuczonej porcelany. Sama ją ułożyła, kiedy Will był mały: wzór przedstawiał postać Wenus, patronki róż, na tle czegoś w rodzaju spirali. Przyciągała go z magnetyczną siłą.

Stwierdzając z roztargnieniem, że słonecznie żółty motor jest ubłocony po podróży, niemniej najzupełniej bezpieczny na swoim miejscu w cieniu pod ścianą, Will zawrócił w stronę domu. Gdy wszedł do kuchni, poczuł zapach dobrej kawy. Przegarnął palcami rozczochrane kręcone

włosy. Były czyste i niemal już suche, ale zdecydowanie warto byłoby je skrócić. Lepiej zrobić to przed niedzielnym lunchem z okazji urodzin Alexa; relacje Willa z ojcem i tak były lodowate, nie musiał pokazywać mu się z taką fryzurą. Jego brat, o jaśniejszej karnacji i prostszych włosach, zawsze był schludny i uczesany, Will natomiast po miesiącu z okładem w Rzymie zaczął przypominać miejscowych mężczyzn. I to mu pasowało. Wolał, o ile to tylko było możliwe, wtapiać się w tłum.

Nie było masła, lecz i bez niego ciepła bagietka mu smakowała, posmarowana dżemem z ostatnich zapasów matki, które wyszperał w spiżarni. Gdy oblizywał kciuk, jego uwagę zwróciła widokówka oparta o kredens: ewidentnie jej charakter pisma. „Willu i Sian...” brzmiały pierwsze słowa. Sięgnął po kartkę.

Willu i Sian, spróbujcie odpocząć, kilka dni. W zamrażalce jest trochę dziczyzny - możecie ją jakos wykozystać? Tylko iejcie oko na mój ogród. Do zo-baczenia w domu w Boże Narodzenie. D.

Kiedy mogła to napisać? Pewnie w listopadzie zeszłego roku. On i Sian już wtedy żarli się z sobą, by ostatecznie rozstać się późną wiosną, ale do spięć między nimi dochodziło co najmniej od jego zeszłorocznych urodzin. Wobec jej niekończących się żądań, aby jakoś się zadeklarował, zarzucił pomysł spędzenia z nią tygodnia w Normandii. Sian nie miała tam żadnych znajomych, a ze swoją mizerną znajomością francuskiego byłaby zdana wyłącznie na niego, on zaś szczerze wątpił, czy ich związek zdołałby przetrwać taką próbę. Nie

przyjechali więc tu i nie znaleźli kartki od matki, nie spacerowali po jej uzdrawiającym ogrodzie, nie zjedli ostatniej kolacji w Pays D'Auge.

Teraz na myśl o niej już potrafił się uśmiechać: trzy miesiące w drodze złagodziły jego gniew. Sian była niezwykłą kobietą, jedyną w swoim rodzaju - nie w guście każdego, lecz w pewnym sensie właśnie z tego powodu jemu podobała się dwa razy bardziej. I nieoczekiwanie poczuł przyptyw wielkiej fizycznej tęsknoty, zupełnie jak gdyby dopiero w tej chwili zdał sobie sprawę z pustki u swego boku i w swoim sercu. Pomijając jednak namiętność - namiętność, która była rdzeniem ich związku - wiedział, że decydując o zerwaniu, nie popełnił błędu. Ich miłość była niczym wiosna, ale pogoda się zmieniła. Nie był wyrozumiały i pragmatyczny jak Alex, podobnie jak nie zawsze kończył to, co zaczynał, i nigdy nie byłby mężem, jakiego chciała - karierowiczem, który ducati zamieniłby na volvo, snobem, z którym co niedziela mogłaby robić zakupy w Conran Shop. Sian podobno uwielbiała jego dzikość, ale od samego początku usiłowała go poskromić. Z przyjemnością dla niej gotował,

zabawiał ją, śpiewał jej i kochał się z nią jak nikt do tej pory, wiedział jednak, że nigdy nie zdoła postępować wbrew sobie, zamilknąć ze swoimi zdecydowanymi poglądami, których ujawnienie nieodmiennie prowadziło do burzliwych kłótni z jej głupawymi koleżankami i ich pierdołowatymi chłopakami.

Nie potrafiłby żyć w jej bezpiecznym - i jego zdaniem, pozbawionym wyrazu - świecie. Obiecał sobie doświadczać życia za wszelką cenę.

Obrócił widokówkę: rozeta z Chartres. Matka często ją malowała, widzianą z zewnątrz i z wnętrza katedry. Uwielbiała patrzeć, jak światło przedostaje się przez witraż - tak ostre, że aż kłuło w oczy - i przeszywa mrok.

Przez moment bawił się telefonem komórkowym, którego bateria zdążyła naładować się przez noc. Nie odrywając wzroku od widokówki, wystukał esemesa do brata:

Wreszcie najechałem Normandię! Byłeś tu ostatnio? Wypluwam z Caen dziś 23:15. Dryndnę do Ciebie ok. 4, to pogadamy. Pzdr. W.

Włożył skórzaną kurtkę, schował komórkę do kieszeni, a pocztówkę wsunął do wewnętrznej kieszeni na piersi, tuż przy cennym dokumencie, który skłonił go do wariackiego wyjazdu do Włoch i gorączkowych poszukiwań prowadzonych przez całe lato. Ledwie zaczął się

dokopywać do jakichś informacji, pojawiły się nowe pytania i wszystko stało się jeszcze bardziej tajemnicze. Wciągnął zakurzone buty i szybko zamknąwszy dom, odłożył klucz do skrytki pod pelargoniami. Nawet nie przetaił motoru irchą, tylko założył kask, wyjął ze schowka rękawice i wskoczył na siodelko. Będzie musiał zatankować, żeby przejechać te siedemdziesiąt kilometrów do Chartres.

19 WRZEŚNIA 2003 R., CHELSEA W LONDYNIE

LUCY MRUGAŁA OŚLEPIONA OSTRYM ŚWIATŁEM SŁOŃCA EKWINOKCJUM, SĄCZĄCYM się przez gęste listowie. Siedziała w Chelsea Physic Garden pod drzewem morwy o nieskazitelnym rodowodzie, zadowolona, że po prostu może tu być. Drzewo akurat owocowało, napełniając powietrze ciężkim zapachem. Rano czuła się lepiej, więc lekarze ostrożnie pozwolili jej na „spokojny spacer” - dla zabicia czasu, który jak rozumieli, wydawał jej się płynąć dziwnie ospale - pod warunkiem, że będzie często odpoczywać. Prawdę mówiąc, poszła odrobinę za daleko, nie zamierzała jednak im o tym mówić. A zresztą dobrze było wyrwać się z dusznego budynku, w którym czyjeś uczucia i emocje stają się własnością wspólną, i przez chwilę po prostu pobyć sam na sam ze swoimi myślami. Te dni były cudem i zamierzała jak najwięcej z nich spędzić na dworze.

Cierpliwie czekając na operację kardiologiczną, zbyt poważną i zbyt niebezpieczną, by odważyła się dużo o niej myśleć, przygotowana do przenosin do Harefield, gdy tylko pojawi się najmniejsza szansa, dzisiaj czuła się jak nowo narodzona, zachwycona pięknem jesieni. Keats miał rację: jesień to pora roku, która najlepiej Anglii wychodzi. Ukołysało ją monotonne buczenie pszczół oraz kosiarek i cichy głos jakiegoś dziecka, a przede wszystkim brak miejskiego zgiełku.

I w takim refleksyjnym nastroju i zaskakująco pełna nadziei czytała owego wrześnieowego ranka w podniszczonym tomiku poezji Johna Donna „Wa-letę, żalu zabraniającą”.

*Jak starzec co łagodnie kona
Duszy swej "W drogę!" mówiąc z cicha.
A w krąg rodzina zasepiona
Nie wie czy zmarł, czy wciąż oddycha -

Tak my rozłączmy się łagodnie **

28 MARCA 1609 R., W ZAKOŁU RZEKI NIEOPODAL LONDYNU

*W PIĘKNYM, PEŁNYM ZAKAMARKÓW DOMU
NAD TAMIZĄ DOGORYWA STARZEC. Pilnie
śledził losy signora Bruna. To przyjaciel— także
filozof i uczonek, człowiek wielkiej mądrości i
wiedzy. I być może to ostatnia żywa dusza
wtajemniczona w te same sekrety niezwykle.
Elżbieta, wielka królowa, była niczym jego
chrześnica i przez długie lata darzyła go
zaufaniem, mieniła swymi „oczyma”. A gdy i ona
niedawno w grobie spoczęła, tron objął posepny
szkocki król fanatyczny miłośnik duchów i
demonów najróżniejszych, lękający się każdego, kto
dowolnym sposobem w jego autorytet mógłby
godzić. Od kilku więc lat starzec w domu tym,*

niegdyś matki swojej, wolał się chronić.

Jest wyjątkowo mglisty wieczór tuż po wiosennym ekwinokcjum. Od gęstych jak mleko oparów odbijają się światła latarni, gdy z Chelsea do Mortlake, niesiona przyplywem, zbliża się niewielka łódź. Na brzeg przy mdłym świetle wysiada szczelnie okutana postać i rusza ku drzwiom.

Wprowadzona do środka przez wyprostowaną drobną kobiecinę w nieokreślonym wieku, postać owa — młody mężczyzna — biegnie do prywatnej komnaty swojego dawnego mistrza. Tak mu śpieszno, że kiedy wchodzi, płomienie świec migoczą i nieomal gasną.

— Ach, pan Saunders — mówi starzec cicho. — Wiedziałem, że do mnie przyjdiesz, lecz wahałem się, czy domagać się tego od ciebie. Niestety, nikomu innemu nie mogę ufać.

— Mój panie, przykro mi widzieć cię takim. Chcesz, bym ci dopomógł w przygotowaniu się do tej ostatniej długiej podróży, o której mówili ci aniołowie?

Starzec zanosi się posepnym, ironicznym śmiechem.

— *Do podróży? O tak, dość się nażyłem:
prawda to, że czas mi ruszać w dro-
gę. Wysłuchaj mnie uważnie, Patricku.
Niewątpliwie umieram, a czas mój się*

* przeł. S. Barańczak (przyp. tłum.)

kończy. Nie mogę odpowiedzieć na pytania, które niechybnie pragnąłbyś mi zadać, ale proszę cię, byś mnie słuchał.

Słowa przerywały mu coraz płytsze wdechy, jedynie po części zdradzające, ile wysiłku kosztuje starca ta przemowa.

Powoli prawił dalej:

- Przy trzech szkatułach, które stoją tu przy mnie, leży list ręką moją napisany. On ci wyjaśni to, czego w tej chwili jeszcze nie rozumiesz. Lada chwila odwiedzi nas troje gości, którzy przeprowadzą na mnie operację, na moje życzenie. Proszę, nie lękaj się o mnie, lecz czekaj, kiedy oni tu będą. Gdy będzie po wszystkim, dadzą ci te trzy szkatuły. Przestrzegaj moich instrukcji co do litery. Nie odstępuj od nich, błagam. To moje ostatnie życzenie, a rzecz cała przerasta możliwości drogiej mojej córki Kate. Wiedz, że prośbie tej towarzyszą przemyślenia z całego mego żywota.

Do komnaty wchodzi trzy postacie w płaszczach i pochylają się nad konającym. Rozwija się skórzany pokrowiec, odsłaniając narzędzia chirurgiczne. Ku nadgarstkowi starca sięga dłoń w cienkiej rękawiczce i mierzy mu puls.

Czekają. W końcu kobieta kiwa głową.

*Bez burzy westchnień, łez powodzi **

Delikatna dłoń w rękawiczce, teraz okrwawiona, zamyka wciąż ciepłe serce doktora Johna Dee w szkatule z ołowianym wiekiem. Dwie pozostałe, złota i srebrna, trafiają w ręce niczego niepojmującego Patricka Saundersa, który zgarnąwszy je wspólnie z listem i z podarunkiem w postaci cennych ksiąg, odchodzi wstrząśnięty.

LUCY USŁYSZAŁA WARKOT SAMOLOTU I PODNOSZĄC WZROK, LECIUTKO UŚMIECHNIĘTA, wróciła do snucia marzeń na jawie. Pogoda nagle się zmieniła; lekki deszczyk szybko przeszedł w ulewę. Lucy szła, trzymając nad głową tomik poezji, którego okładka dawała mizerną ochronę przed deszczem. Może muzy ją ochronią. W przesyconym wilgocią powietrzu płynny ruch ciała pod kremową koronkową koszulą i perłowszarą spódnicą tworzył wrażenie, jak gdyby Lucy wtopiła się w obraz impresjonistyczny i miała się w nim za chwilę rozpuścić.

Odezwał się jej pager: wiadomość z Brompton Hospital. Musi niezwłocznie wracać.

* *Waleta, żalu zabraniająca*, przeł. S. Barańczak
(przyp. tłum.).

Jestem, kim jestem, i zdradzę wam, mili, iż nikim więcej niż jestem, nie mam woli się stać.

TEN TAJEMNICZY ZAPISEK TRAFIŁ DO MŁODSZEGO BRATA WRAZ ZE SKROMNYM srebrnym kluczem w liście dołączonym do testamentu matki. W myśl rodzinnej tradycji powinna je przekazać córce, lecz mając samych tylko synów, przez ostatnie tygodnie łamała sobie głowę, jak zadysponować tymi dziwnymi, bezwartościowymi wydawałoby się szpargałami, przekazywanymi w jej rodzinie od pokoleń. Wobec braku córki może to Alex, jako starszy, powinien je odziedziczyć, ale to z Willem byli w pewnym sensie jednością i mimo iż szczerze kochała obu swoich synów po równo, nie opuszczało jej poczucie, że ta spuścizna prawowicie należy się Willowi. Tyle z grubsza stwierdzał dokument.

Kiedy Alex się ożenił, czekała na wnuczkę: to rozwiązałyby wszystkie problemy. Niestety,

stresy i poświęcenia związane z odpowiedzialną pracą oznaczały, iż rzadko bywał w domu, co doprowadziło jego małżeństwo do smutnego końca. Gdybyż chociaż pozostała mu z tego związku córka, zawsze byłaby to jakaś pociecha, ale nie. No a Will... Cóż, wiedziała, że lepiej nie czekać z zapartym tchem, aż jej drugi syn założy rodzinę. Był utalentowany, kochający, ciepły i wybuchowy. Kobiety ciągnęły do niego jak ćmy do światła, do tej jego niechlujnej urody i pociągającej fizyczności. Obaj jej synowie byli dobrymi sportowcami, obaj grali w krykieta w drużynie okręgowej, ale Will mógłby grać w krajowej, gdyby tylko chciał. Jako niebezpieczny środkowy odbijający może bez wdzięku, za to bardzo skutecznie, potrafił zdobyć square cutem cztery albo i nawet sześć runów; a jako rzucający przeciwko

najsłabszym odbijającym przeciwnej drużyny, do perfekcji opanował sztukę reverse swingu; śmiał się, kiedy piłka skręcała w kierunku przeciwnym do tego, którego spodziewał się przeciwnik. Kilkakrotnie dostrzegli go łowcy talentów, ale nie chciał uczestniczyć w niezbędnych wielogodzinnych treningach, szkoda mu było lata. Grać z miłości do samej gry, kiedy akurat nie ma się nic innego do roboty, to tak, ale nigdy za pieniądze, nigdy w sytuacji, kiedy ktoś mógłby na niego liczyć - oto cały Will.

Sądziła, że Sian mimo wszystko dopnie swego i zaciągnie go do ołtarza. Sian była taka ognista i atrakcyjna, zdeterminowana i gotowa się ustatkować. Niedawno skończyła trzydziestkę, a czas uciekał. Może pewnego dnia Will doczekałby się córeczki - a znając wrażliwość, która skrywała się pod męską powierzchownością, byłby dla tej małej dziewczynki cudownym ojcem, jego matka to czuła. Do czegokolwiek dostęp dawał srebrny klucz, z pewnością było to przeznaczone dla córki Willa: a on jej to przekaże. Tak, zda się na upływ czasu i determinację Sian. Klucz

pozostawi Willowi. Napisała krótką wiadomość i włożyła ją do olbrzymiej koperty wraz z kluczem i we-linową kartką.

"Dla Willa, kiedy stanie się kimś, kim teraz nie jest".

I nie powiedziała na ten temat ani słowa więcej, nawet kiedy się żegnali w ostatnich godzinach jej życia.

Will oglądał rodzinny talizman tak, jak ogląda się cenny klejnot, w najróżniejszych nastrojach: przy kieliszku porto, późną nocą, w piekielnym świetle ciemni; w lodowatym styczniowym wietrze, chwilę po pogrzebie matki; w Dolinie Świątyń w Agrigento; i jeszcze raz na skrawku przypisanej mu przestrzeni w czytelni w Watykanie, gdzie całymi dniami przeszukiwał archiwa, śledząc mętłą historię Campo de' Fiori. To taki symboliczny przedmiot, klucz. W jakim zamku się kiedyś obracał? Wydawało się, że zamek, do którego pasował, rozplynął się w czasie, przepadł w spirali lat. Nagle Will zdał sobie sprawę, że nie wie nawet, kto był jego pierwszym właścicielem. Nie wiedział niczego o

rodzinie matki; jego zazwyczaj łagodny ojciec
kategorycznie odmówił rozmowy na ten temat.

Jestem, czym jestem. Odnajdzie się zguba.

Raz po raz powtarzał w myśli te słowa, pokonując ostatnie mile lokalnej drogi do Chartres. Dokonał przy tym imponującego wyczynu: uważając na to, co dzieje się na szosie, w dalszym ciągu dumał nad enigmatycznym przesłaniem tekstu ze starego pergaminu, którego kopię przez całe lato nosił w kieszeni kurtki. Nie zdejmował jej nawet na upalnej Sycylii, nie chcąc rozstawać się ze spuścizną po matce, kluczyka zaś, zawieszzonego na cienkim łańcuszku, ani na chwilę nie zdejmował z szyi; i zamierzał go nosić choćby i do swojej śmierci, o ile wcześniej nie rozwiąże związanej z nim zagadki. Usiłował tłumaczyć rodzinie, dlaczego tak bardzo mu zależy na rozwikłaniu tajemnicy dziwnego spadku, ale zdawał sobie sprawę, że nawet Alex zaczyna w dociekliwości młodszego brata dostrzegać niepokojącą obsesję. Sam, rzecz jasna, podszedłby do tego znacznie bardziej powściągliwie, snując domysły w przerwach między pracą, pisanem dysertacji a pielęgnowaniem więzi z synkiem. Nigdy też nie wyjechałby do Europy na całe lato: za dużo miał zobowiązań. Will nie był jednak taki, jak jego

brat. Całkowicie pochłonęło go pragnienie zdobycia wiedzy i pojął, że dopóki tego nie zrobi, dopóki nie znajdzie zamka, do którego pasowałby srebrny klucz, nie zdoła poświęcić uwagi niczemu innemu. Jego własne poczucie tożsamości zdawało się stać częścią tej zagadki, i to nie pogłoski, że klucz rzekomo wiąże się z „najcenniejszym skarbem naszej rodziny”, stanowiły siłę napędową jego poszukiwań. Nie interesowało go złoto ani szlachetne kamienie, lecz zastanawiał się, co jego rodzina uznała za tak ważne, by strzec tego przedmiotu przez całe wieki.

Will był niezależnym fotoreporterem, miał znajomości. Jego wieloletni współpracownik, a obecnie najlepszy przyjaciel, zaintrygowany wysłuchał przy piwie tej historii i obiecał, że spróbuje pomóc: podrzuci pergamin swojemu kuzynowi, który pracuje na Oksfordzie i który mógłby przeprowadzić datowanie metodą węglową. Przynajmniej poznaliby przybliżony wiek pergaminu. Pewnego upalnego dnia w połowie czerwca, gdy Will robił zdjęcia w teatrze greckim w Taorminie, na wyświetlaczu jego

komórki pojawiła się intrygująca wiadomość:

„Próbki badane x 2. Konsekwentnie wychodzi koniec XVI w. Ciekawe? Do zobaczyska we wrześniu. Simon”

Jasne, że ciekawe! Co się wydarzyło na Campo de' Fiori - czyli na polu kwiatów - u schyłku szesnastego wieku? Wzmianka o tym placu była pierwszą konkretną wskazówką w dokumencie i chociaż Will nieźle sobie radził z anagra-

mami i rozwiązywaniem szarad, nie miał pojęcia, jak ma się do tych informacji sam kluczyk. Po tygodniach podróży i poszukiwań zaczął składać przemyślenia w pewną całość, ale w głowie wciąż mu się kręciło od nadmiaru faktów, które mogły - choć wcale nie musiały - mieć jakiś związek z tą sprawą. Ostatniego dnia pobytu w Rzymie wysłał na swój adres mailowy zdjęcia wszystkich miejsc, które wydawały się bodaj odlegle z nią związane, oraz wiele stron informacji o nastrojach politycznych szesnastowiecznego Rzymu. Zamówił w Amazonie całą masę książek, które miały na niego czekać u Alexa. Myślał o Cencich, o Brunie i o Galileuszu. Będzie musiał na spokojnie przejrzeć to wszystko jeszcze raz, lecz już miał pewność, że podróż zawiedzie go w mroczne zaułki przeszłości, gdzie posepne zakapturzone postacie zdają się tańczyć osobliwy dworski taniec, umykając mu, ilekroć się zbliżał, naigrawając się z niego. A kiedy goniąc za nimi, zabrnął w kolejny ślepy zaułek, ogarniał go dziwny irracjonalny niepokój. W Rzymie każdy ma czasem ochotę nerwowo obejrzeć się za siebie, nawet jeśli w ciemnościach czyha na niego tylko

jego własna paranoja.

POMIMO OGRANICZENIA WIDOCZNOŚCI PRZEZ KASK Z ODLEGŁOŚCI WIELU MIL zobaczył imponującą sylwetę katedry w Chartres, górującą ponad równiną. Wprost ogromniała w oczach; wyobraził sobie, jak musieli się czuć przy tym kolosie średniowieczni pielgrzymi, tak w porównaniu z nim maleńcy, że aż nieznaczący. Pomyślał, że widok monumentalnej katedry przyćmiewającej wszystko swoim ogromem zawsze będzie miał dla niego magiczną moc.

Will skrzył za róg i włączył się w ruch uliczny. Teraz kierowanie motocyklem znowu stało się trudne. Musiał się skoncentrować, żeby gładko pokonać labirynt średniowiecznych uliczek. Zanim poznał dziwactwa motoru, nie raz i nie dwa gasł mu silnik, ale już zdążył się nauczyć, że jego maszyna bywa chimeryczna, jeśli nie poświęca się jej dostatecznie dużo uwagi. Przemykając przez strefy ograniczonego ruchu, jak gdyby miał święte prawo nimi przejeżdżać, zignorował tablice nakazujące parkowanie w wyznaczonym miejscu i dalej sunął ku nierównym wieżom. Głuchy pomruk silnika

testastret-ta rozdarł klasztorną ciszę miasteczka, gdy motor mknął przez Place Billard i wzdłuż Rue des Changes. Will zatrzymał się przy krawężniku po południowej stronie katedry, w strefie płatnego parkowania, i ustawił podpórkę. Musiało zbliżyć się południe; intensywny aromat *moules marinières* i francuskiej zupy cebulowej z bistra naprzeciwko przypomniał mu, że potem musi coś zjeść. Pomiedzy posiłkami była długa przerwa.

Zerknął na znajomy widok dwóch niepodobnych do siebie wież, a potem w geście rycerskiej kurtuazji, wchodząc w cień imponującego zachodniego portalu, zdjął z głowy kask. Zanim jego wzrok przywykł do ciemności bezpiecznych jak łono matki, usłyszał dobiegające z mroku szepty w najróżniejszych językach; zbici w grupki turyści chłonęli z otwartymi ustami piękno witrażowego okna w górze. Choć Will przyjechał tutaj, aby jeszcze raz przyjrzeć się rozecie, jego uwagę przykuło coś, czego dotąd nie zauważył, mimo że w ciągu ostatnich kilku lat był w katedrze kilkanaście razy. Ponieważ zabrano sporo krzeseł, mógł po raz pierwszy przyjrzeć się czarno-białym marmurowym płytom, tworzącym ogromny okrąg między filarami wielkiej gotyckiej nawy. Usiany wielobarwnymi plamkami z rozety, labirynt zajmował całą szerokość ogromnej świątyni. W samym jego sercu stała dziewczyna z zamkniętymi oczami. Will bez trudu rozpoznał kształt kwiatu, wyznaczającego ten punkt. Musiał wielokrotnie po nim przechodzić, zbliżając się do ołtarza, lecz nigdy dotąd nie patrzył pod nogi.

Niedaleko niego młoda Francuzka ściszym, pełnym szacunku głosem — i całkiem przyzwoitą angielszczyzną — opowiadała o labiryncie grupie turystów. Uśmiechnął się: to pewnie studentka, która podłapała fuchę na wakacje.

— Oto słynny labirynt w Chartres, a labirynty, jak państwo wiedzą, były już znane w starożytności. Znajdują się w wielu różnych krajach; ale kiedy widzi się jeden z nich tutaj, w średniowiecznej katedrze, ten pogański symbol w oczywisty sposób nabiera silnego schrystianizowanego znaczenia. Wiemy, że labirynt znajdował się również w katedrze Auxerre, w Amiens, i w Reims, i Sens, i w Arras. Wszystkie one zostały rozebrane, bo w siedemnastym, jak i w osiemnastym wieku ludzie nie rozumieli ich znaczenia. Duchownym przeszkadzali ludzie, którzy się nimi przechadzali! Ale ten tutaj należy do najlepiej zachowanych...

Willa wciągnęła ta opowieść. Przysunął się dyskretnie. Przewodniczka uśmiechnęła się w pół

zdania, doskonale wiedząc, że nie należy do jej grupy; może szczere uznanie dla jej wiedzy pojawiło się w uśmiechu, który jej posłał, bo mówiła dalej, nawet się nie zająknawszy:

-...i pochodzi mniej więcej z roku tysiąc dwusetnego. Mogą państwo spojrzeć jeszcze na zachodnią rozetę przedstawiającą Sąd Ostateczny, którą oglądaliśmy przed chwilą, o tam. Pochodzi z tysiąc dwieście piętnastego roku, pamiętacie państwo? Jak widzicie, labirynt stanowi niemalże lustrzane

odbicie rozety, jeśli chodzi o wielkość i odległość od drzwi. To ilustracja idei, że krocząc ścieżką przez labirynt, po ziemi, wspinamy się po szczeblach drabiny do wyższego świata. W najszerszym miejscu, między filarami, labirynt ma szesnaście i cztery dziesiąte metra, a oczywiście pamiętają państwo, że to najszersza nawa gotycka we Francji. Gdybyśmy przeszli całą ścieżkę do końca, jak średniowieczni pielgrzymi, pokonalibyśmy ponad dwieście sześćdziesiąt metrów. Nazywano ją „drogą do Jeruzalem” i z tego co nam wiadomo, pielgrzymi pokonywali ją na kolanach w ramach pokuty. Wiedzą państwo, na ówczesnych mapach zaznaczano Jerozolimę jako środek świata i dla wielu wierzących po dziś dzień Sąd Ostateczny silnie wiąże się z przepowiedniami o Jerozolimie i Świątyni. A teraz jeśli pozwolą państwo za mną, podejźmy do witrażu przedstawiającego Adama i Ewę.

Kiedy odwróciła się, unosząc dłoń i wskazując grupie kierunek, Will delikatnie dotknął jej ramienia.

*-Mademoiselle, s'il vous plait; je n'ai jamais vu
le labyrinth comme ca -je*

ne l'ai aperçu jusque ce jour... Comment est-ce que cest possible?

Najwyraźniej nie uznała go za intruza.

-Les vendredis, seule! Chaque vendredi entre avril et octobre. Vous avez de la chance aujourd'hui, n'est-ce pas?—
Zaśmiała się ciepło i zniknęła ze swoim stadkiem.

Dziewczyna, którą zauważył wcześniej, skończyła właśnie wędrówkę przez labirynt i otworzywszy szeroko oczy, ruszyła w jego stronę. Na twarzy miała lekkie rumieńce.

-Przepraszam, labirynt odslaniają tylko w piątki, tak powiedziała? O rany, ale miałam szczęście. Przyszłam akurat dzisiaj, bo właśnie dziś wypada jesienne ekwinokcjum. Od dzisiaj energia kobieca znowu staje się dominująca, aż do wiosny. - Była Amerykanką, świeżą i otwartą. I też uśmiechnęła się do Willa. - Powinieneś się skusić i przejść cały labirynt, niesamowite uczucie. To dobry moment, masz idealne światło. Ja musiałam czekać całe wieki,

aż ludzie się rozejdą. Najlepiej idź teraz.

Will kiwnął głową.

-Okay, dzięki. Dziękuję pani.

Czuł się dziwnie onieśmielony. Nie był człowiekiem religijnym — cóż, w każdym razie nie w żadnym konwencjonalnym sensie tego słowa. Duchowość nie była mu obca, czuł, że nie pojmujemy wszystkiego, co jest do zrozumienia na tym świecie; lecz najogólniej mówiąc, nie kupował tych wszystkich

historii z dziewczcami rodzącymi dzieci, a już na pewno nie należał do osób obnoszących się ze swoimi poglądami na sprawy duszy. Nagle jednak stwierdził, iż jego stopy same się poruszają, niosąc go ku początkowi ścieżki.

„A co mi tam - pomyślał. -Ja też się przejdę. Skoro można tylko w piąt-ki... - uśmiechnął się do siebie - a dzisiaj i piątek, i w dodatku równonoc". W tej ostatniej refleksji było sporo ironii. Bawiło go, że dla tej sympatycznej dziewczyny dzisiejszy dzień jest taki wyjątkowy.

Labirynt miał tylko jedno wejście. Will ruszył przed siebie, zrobił trzy kroki w kierunku ołtarza, potem skręcił w lewo w piękną łukowatą ścieżkę, która zawijała ostro, tworząc niedomkniętą pętlę. Na początku musiał patrzeć pod nogi, żeby nie zboczyć z właściwego szlaku, gdyż ścieżka nie była wcale taka szeroka. Zauważył, że stara się stapać po jasnym marmurze, obwiedzionym ciemnym - symbolicznie wstępował w światło i unikał ciemności.

Mocniej przycisnął do piersi kask i przymykając oczy, ruszył dalej, nie poświęcając już takiej uwagi swoim stopom. Druga pętla

doprowadziła go niemal do samego środka; sądził, że urwie się nagle na kwiecie. Ale niezwykła ścieżka znowu zawinęła, układając się w kolejne ciasne, niedomknięte pętle, niczym piękny wąż, dopóki następny długi łukowaty odcinek nie doprowadził go niemal do środka, a potem prosto do drugiego kwadrantu. Poddał się emocjom: jego wzrok przyciągnęły żywe kolory witrażu w południowej ścianie katedry, rzucającego mu na twarz barwne plamy. Przystanął na sekundę i chłonał pierwszy obraz: postać mężczyzny wyłaniającego się z bramy w murach miasta, ukazana na tle kobaltowego szkła; w półkolu inny mężczyzna, skradający się za tamtym i wyciągający miecz z pochwy, na tle pyszniącym się wspaniałą rubinową czerwienią. Miał na sobie strój w pięknym odcieniu zieleni, a mężczyzna w bramie niebieską szatę i żółty płaszcz, przerzucony przez ramię. Czerwień, błękit i odcienie żółci kładły się miękko na twarzy Willa, gdy słońce ekwinokcjum, tuż przed dwunastą w południe, ukośnie wpadało przez witraż. Młodzieniec odnosił wrażenie, że zaraz zemdleje; doświadczenie to okazało się nieoczekiwane

intensywne i poruszające. Zaśmiał się nieco zakłopotany, niepewien, czy aby nie ma przed sobą swojej drogi do Damaszku.

Nikt inny nie spacerował po labiryncie, zupełnie jak gdyby pozostali zwiedzający chcieli mu dać więcej przestrzeni. Jak przez mgłę docierało do niego, że kilka osób śledzi go zdumionym wzrokiem, ale nic go to nie obchodziło. Był skupiony na tym, co działo się z nim, gdy przechodził ze światła

w ciemność i z powrotem. Miał wrażenie, że nogi same go niosą, i szedł dalej: krótkimi krokami, gdy zbliżał się do zakrętu, i długimi, zamaszystymi, gdy otwierał się przed nim nowy odcinek ścieżki. Labirynt obracał nim to w tę, to w tamtą stronę, niczym w jakiejś wyrafinowanej odmianie gry w ciuciubabkę. W myślach znowu zaczął powtarzać dobrze znaną mantrę...

DWIE DUSZE

Wszystko to w płomieniach stało na Polu Kwiatów! Zerwij kwiat i pomyśl o tym, co było; o stuleciach zdrady i bólu, i niezrozumienia.

Nawet nie musiał patrzeć pod nogi. Myślał tylko o pergaminie i bezwiednie dotknąwszy skórzanej kurtki, szedł dalej, rytmicznie stukając podszwami o kamienną posadzkę, dopóki nie wyszedł z labiryntu...

Jestem, kim jestem, i zdradzę wam, mili, iż nikim więcej niż jestem, nie mam woli się stać. I wam, mili, li tylko powiadam, iż wciąż będę, kim jestem, i nie zmienię się ni o milę, ni o cal. I

czym byłem, mili, tym i dziś pozostanę, gdyż
czymś więcej niż jestem, nie mam woli się stać.
A gdybym nawet takim był, mili, jakim oni
widzieć mnie chcą, mali wciąż będą zadawać
pytanie, kim jestem i czym kiedykolwiek byłem.
Niech wali się Ściana i dzieje moja Wola.

*Że jestem Ścianą i skończona
sprawa A stąd dotąd mam
szparę i ujrzenie, jak
kochankowie w nią szepczą w
te, we w te i wspak **

*Każda para składa się w całość, choć dwie mieści
w sobie połowy: kwadratem jest dół lewy. kwadra-
tem jest prawy dół; na górze po lewej i prawej
takż po kwadracie; kwadratem jest też i serce.*

JEDNĄ SĄ ISTOTĄ

*Odnajdziesz mnie w orbity połowie. A jeśli
weźmiesz całości połówkę i pary stworzysz, które
mnie byłyby równe, szybko pary wszystkie złożysz*

* Przeł. S. Barańczak (przyp. tłum.).

Nie sięgaj dalej niż po dzisiejszy dzień. Moja alfa i moja omega. Scal na powrót dwie połowy. W Księdze Starego Króla pieśni o równym mi numerze szukaj. Równa liczba kroków od początku w przód. Równa liczba kroków od końca wstecz - pominięto jeno słowo, co wszystko kończy. Amen.

*Jestem, czym Jestem Odnajdzie się zguba -
Licz na mnie i nie pomyśl się w rachubach*

NIE PRZERWAĆ SIĘ,
LE CZ ROZPRZESTRZENIAĆ

Z początku głowa mu ciążyła, teraz stawała się lekka. Nie dostrzegał spojrzeń nań kierowanych — chłopca trzymającego za rękę matkę, starszej pani, która bez cienia irytacji czy zaniepokojenia aż zdjęła okulary, by śledzić jego kroki, żywiołowej rudowłosej dziewczyny, która przestała gawędzić z koleżanką i jak urzeczona wpatrywała się w piekielnie przystojnego mężczyznę. Przyglądał mu się ksiądz, pobłażliwie kiwając głową, i jakiś człowiek zza filara po północnej stronie katedry także wydawał się

zahipnotyzowany przeżyciami Willa. Pstryknął cyfrowym aparatem zdjęcie młodemu człowiekowi w labiryncie.

A stopy Willa tańczyły lekko, usta powtarzały niczym pacierz: „wam mili, li tylko powiadam, iż wciąż będę, kim jestem... zdradzę wam, mili, iż nikim więcej niż jestem, nie mam woli się stać”...

Dotarł do środka labiryntu, twarz miał zwróconą prosto na zachód, wielką rozetę dokładnie przed sobą. Z większych płatków wewnętrznej róży obserwowało go osiem promiennych aniołów, siedzących parami pomiędzy orłem, skrzydlatym mężczyzną, wołem i lwem. Willa ogarnęło uniesienie. Nie przeszedł nieoczekiwanie nawrócenia religijnego, ale nie mógł się nadziwić, jaki wpływ ta wędrówka, to światło, odgłosy w wielkiej katedrze mają na jego psychikę, i był w ekstazie. I co jeszcze bardziej zadziwiające, nareszcie zrozumiał coś z inskrypcji na pergaminie noszonym na sercu, coś, czego wcześniej nie widział. To on jest Wołą; jego przeznaczeniem jest odkryć, co otwiera ten klucz, poznać jego znaczenie i odnaleźć skarb, którego strzeże. I tak się stanie, nawet bez dalszych

usilnych starań z jego strony, poniekąd biernie.

Sześcioma energicznymi krokami wyszedł ze środka labiryntu, gdzie niegdyś przybito tablicę przedstawiającą Tezeusza przy pokonanym Minotaurze;

metalowe nity wciąż były widoczne. Gwałtownie skręcił w lewo i poczuł wyraźną woń, której nie sposób pomylić z żadną inną - zapach róż, odurzający niczym jakieś egzotyczne pachnidło. Szedł dalej, a kiedy dotarł do zakrętu mającego sto osiemdziesiąt stopni, miał nadzieję zobaczyć, kto bądź co rozsiewa ten aromat; lecz nadzieja ta okazała się płonna. Znowu zawrócił ku wschodowi i znowu napłynęła woń róż; i zdało mu się, że widzi jakiś płynny ruch, jak gdyby falowanie jakiegoś materiału, lecz było to tylko złudzenie wywołane grą światła, wytwór jego pobudzonej wyobraźni. Dotarł do końca labiryntu przez nikogo nie niepokojony.

Z serca labiryntu, niemal bez tchu, przeszedł prosto do nawy na tyłach ołtarza, do kaplicy Najświętszej Marii Panny; i tutaj zapalił dużą świecę - zdecydowanie wartą ceny dwóch i pół euro, jak uznał. Czuł, że jest przy nim matka, że go obserwuje, i wyszeptał cicho:

- Jestem, kim kiedyś nie byłem.

Wyszedł z katedry przez północny portyk, nie czując, że jego stopy dotykają posadzki, nieświadomy, że z mroku za filarem wychynął

jakiś cień.

DESZCZ ZELŻAŁ I PO RAZ PIERWSZY OD WYJŚCIA Z OGRODU BOTANICZNEGO LUCY zwolniła kroku. Pager znowu zapiszczał, ale w tym tygodniu czuła się w szpitalu bardziej samotna niż zwykle i jeszcze nie chciała rezygnować z poczucia wolności. Poza tym już to przerabiała - w te pędy wracała do swoich lekarzy z tej czy innej części Chelsea, żeby dowiedzieć się, że to fałszywy alarm. Ściślej biorąc, dwukrotnie w ciągu dwóch ostatnich tygodni. Może tym razem będzie inaczej — chociaż w głębi ducha miała cichą nadzieję, że jeszcze poczeka. Do jego powrotu.

Leniwie przeszła jedną przecznicę wzdłuż Flood Street, a potem nogi same poniosły ją w lewo, w St Loo Avenue. Wiedziała, że nadkłada trochę drogi, ale po nietypowo pięknym lecie liście już zaczynały się złocić, a ona uwielbiała osłonięte drzewami alejki w tej okolicy, gdzie mieściła się dawna posiadłość Tudorów, z ogrodem, w którym morwy własnoręcznie

posadziła księżniczka Elżbieta na początku lat czterdziestych szesnastego wieku. Wciąż bujnie rosły zaledwie kilka uliczek dalej, nieopodal Cheyne Row. Na tej, którą szła, Chelsea Manor Street, panował uroczysty spokój. Skreśliła w lewo w Phene Street, minęła pub powoli zapelniający się stałymi gośćmi, którzy jak co piątek wpadali tu na lunch: przypomniała sobie, co słyszała o „dobrym pomysle” doktora Phenea. Uznawano go za pomysłodawcę obsadzenia ulicy drzewami. Pomysł przypadł do gustu królowej Wiktorii, a potem przyjął się w całej Europie. Cóż, tak przynajmniej opowiadano. Możliwe, że prawda wyglądała nieco inaczej, lecz w ogrodzie za pubem kilka pięknych drzew wciąż dowodziło słuszności jego wizji.

Właśnie wchodzący do pubu trzydziestokilkuletni mężczyzna o czarującym, chochlikowatym uśmiechu, mrugnął do niej. Uśmiechem podziękowała mu za komplement. Skoro tak, to chyba nie wygląda najgorzej. Czowała się chuda i zaniedbana, ale pomimo fizycznej kruchości wciąż była silna psychicznie i nawet jeśli ostatnio sama jakoś tego nie zauważała, mężczyznom wciąż świeciły się do niej oczy, gdziekolwiek się pokazała. Po prostu była zbyt chora i za bardzo zmartwiona, żeby ją to obchodziło.

Gdy zbliżyła się do olbrzymiego gmachu szpitala, przebiegł ją dreszcz podniecenia; kusilo ją, żeby zrobić coś naprawdę niegrzecznego i zamiast wejść do środka - jak dziecko, które zmierza do szkoły - iść na wagary. Każdy dzień był taki sam: czas zatrzymał się dla niej, jak gdyby przeniosła się do jakiegoś miejsca poza rzeczywistym światem, tak że ciągle czuła się jak Alicja wpadająca do nory Białego Królika. Nic nie wydawało się realne i musiała zadać sobie wysiłek, by spamiętać, jaki jest dzisiaj dzień, jaki miesiąc, w jakiej strefie czasowej żyje. Z każdą

godziną zlewała się następna i tak Lucy stopniowo przebrnęła przez Wordswortha, J. M. Barriego i prawie całego Schopenhauera - w ostatnim czasie przeczytała więcej najróżniejszych książek na najróżniejsze tematy niż w całym swoim dotychczasowym życiu - szukając czegoś, co pomoże jej myśleć lepiej, głębiej. Patchworkowa kapa, którą szyła, rosła w oczach; lecz wszystko inne zdawało się dziać w zwolnionym tempie. W zewnętrznym świecie pozostało wspomnienie innego życia; a w tej chwili chciała tylko pozostać tu, gdzie wszystko tętniło energią, i już nigdy nie wracać do swojego klasztoru.

Byłoby to jednak takie nieuczciwe wobec cudownego zespołu lekarzy, którzy się nią opiekowali. Zgłaszając się na leczenie do jednego z najlepszych szpitali specjalizujących się w kardiochirurgii i torakochirurgii — i to należącym do ścisłej czołówki, jeśli chodzi o wdrażanie nowatorskich technologii - spodziewała się, że będzie świadkiem burzliwych starć indywidualistów o prze-rośniętym ego, uprzejmych, acz nieangażujących się w losy

ciężko chorych pacjentów; ale rzeczywistość okazała się całkiem inna. Pan Azziz należał do najcudowniejszych ludzi, jakich kiedykolwiek poznała. Bez względu na liczbę zabiegów czy pacjentów do konsultacji, często wpadał do niej, żeby po prostu pogadać, pytał o najróżniejsze osobiste sprawy i wykazywał autentyczne zainteresowanie swoją pacjentką jako człowiekiem. Siostra Cook, z pozoru uosobienie rzeczowości, po bliższym poznaniu okazywała się cudowną, kontaktową osobą; a doktor Stafford przed wyjściem do domu zawsze wstępował

do niej, żeby podzielić się najmniejszą bodaj iskierką humoru, jaką akurat dało się wykrzesać ze szpitalnego życia. Nie miała własnej rodziny, o której mogłaby opowiadać - jedynie nielicznych krewnych mieszkających w dalekim Sydney- lecz czuła się tak, jak gdyby ci ludzie ją adoptowali, tak bardzo starali się, aby uśmiech nigdy nie schodził jej z twarzy. Tak bardzo im zależało, żeby wyzdrowiała, że dwoili się i troili, aby ją z choroby wyciągnąć. Nie pozwalali jej na zwątpienie, podziwiali jej odwagę i po prostu nie mogła ich zawieść. Za bardzo w nią wierzyli.

Przed wejściem stała karetka z otwartymi tylnymi drzwiami: niby nic niezwykłego, ale Lucy zadrżała w blasku słońca.

-No, kochaniutka, przewozimy cię do Harefield Hospital. Założę się, że z niecierpliwością na to czekałaś. - Kierowca uśmiechał się ciepło, jak gdyby dzierżył w dłoniach lejce Pegaza, który tylko czeka, by unieść ją na księżyc. Usiłowała wykrzesać z siebie entuzjazm, ale nagle poczuła się bardzo mała i bardzo samotna, a już na pewno nie potrafiła

dopatrzeć się czegokolwiek romantycznego w podróży, w którą miała zaraz wyruszyć. Jej usta wyglądały jak cienka blada kreska. Wchłonęły ją wielkie frontowe drzwi.

W pubie *The Phene's Arms* roiło się od ludzi pragnących o kilka godzin wcześniej rozpocząć weekendowy odpoczynek, więc Simon przeszedł do ogrodu, licząc na to, że tam znajdzie więcej miejsca. I miał rację - pogoda zniechęciła większość gości. Przejechał ręką po drewnianej ławce, by sprawdzić, czy jest bardzo mokra, a potem wybrał stosunkowo suchy stolik, schowany pod drzewem. Simon sączył piwo i wypisywał pocztówkę z brytyjską flagą: „Witaj w domu. Na pewno zwróciłeś uwagę na tych kilka linijek ze *Snu nocy letniej*? Ale co to oznacza...? Że istnieje jakiś sekretny ogród z zamkiem w murze, do którego pasuje ten klucz... ?” Przerwał, kiedy w drzwiach ukazała się wysoka, smukła postać w rozchylonym białym trenczu, spod którego wyzierały obcisłe designerskie dżinsy. Simon dyskretnie schował pocztówkę do kieszeni.

-Lubisz spartańskie warunki, co, Simon? - Sian

zdeła płaszcz i położyła go na ławie, żeby mieć jakąś ochronę przed wilgocią.

-Miło cię widzieć, ślicznotko. - Nieco zawstydzony użył określenia, którym zawsze ją tytułował, starając się, aby zabrzmiało to przyjaźnie, lecz broń Boże nie sugerowało flirtu. Chciał w ten sposób zdusić lekki niepokój, który budziła w nim myśl o lunchu z nader seksowną eks jego najlepszego kumpla. Jej charakterystyczny zapach kojarzył się z pomieszczeniem wypełnio-

nym liliami i jaśminem. Emanowała erotyzmem. Simon czuł lekkie wyrzuty sumienia. - Wyglądasz jak chodzące zagrożenie dla niewinności wszystkich parafian płci męskiej. Co słyszeć?

- W pracy miałam młyn aż strach. Po takiej długiej przerwie miło jest trochę pożyć na najwyższych obrotach. Ledwie zipię, ale przynajmniej moje konto bankowe przestało świecić pustkami. W zeszłym tygodniu zaliczyłam kilka dni na Seszelach, robiłam stylizację do reklamy telewizyjnej i kompletnie oderwałam się myślami od tego wszystkiego.

Simon był rzutkiem dziennikarzem od „twardych” wiadomości, jak nazywano w branży informacje o wydźwięku polityczno-społecznym. Co prawda z racji zawodu często podróżował, lecz nigdy nie dostawał tematów, które wymagałyby wyjazdu w najdroższe i najbardziej egzotyczne miejsca, takie jak Seszele.

- Niewątpliwie broniłaś się jak lew...? - spytał z przesadną ironią.

Roześmiała się, a jemu przyjemnie było oglądać ją taką ożywioną i silną,

i wbrew temu, czego się obawiał, wcale nietonącą we łzach - a z niepokojem myślał o takiej możliwości, odkąd tylko zadzwoniła, żeby wyciągnąć go na lunch. Dobrze wiedział, że Will ma jutro wrócić, i przez głowę przeleciała mu cała lista przysług, jakich Sian mogłaby od niego zażądać. Wydawała się jednak całkiem pogodzona z losem i spokojna.

-Dziwne, nie sądzisz? Nie wymagałam od siebie tak dużo, kiedy byłam z Willem... wszystko robiłam jakoś tak automatycznie. Zawsze miałam wrażenie, że moja praca trochę go drażni, więc moja kariera poleciała na nos. Ale wiesz, jestem dobrą stylistką. Nie mam nic przeciwko ciężkiej pracy, a jeśli trafia się ciekawe zlecenie, czas szybciej mi leci. Nie umartwiam się. - Zachichotała i poprawiła palcem idealnie nałożony błyszczący. - Nawet jeśli ciekawe zlecenie oznacza, że całymi godzinami poprawiam dekolt jakiejś modelki, a to właśnie robiłam przez tych kilka dni w rajju. I jeszcze dobrze mi za to zapłacili. A słowo daję, naprawdę potrzebuję pieniędzy teraz, kiedy jestem sama.

-Mhm. Ale wyglądasz po prostu kwitnąco,

Sian. Poza pracą też musi ci się nie najgorzej układać? — Poczul się odważniejszy i postanowił trochę posondować. Will był jego przyjacielem, a Simon zaliczał się do ludzi lojalnych, ale nic nie mógł poradzić na to, że lubi Sian, nie pozostawał obojętny wobec jej niewątpliwych atutów i chciał się upewnić, że nie została sama ze złamanym sercem po paskudnym rozstaniu. Will nie należał do ludzi, któ-

rych łatwo kochać, ale był dobrym człowiekiem i z pewnością ucieszy się na wieść, że dobrze jej się wiedzie i że znowu jest szczęśliwa.

Sian spojrzała na swoje chablis. Nie była pewna, jak Simon to przyjmie, a naprawdę chciała mu o wszystkim powiedzieć - chciała, żeby przyjaciel Willa udzielił cichej zgody na jej nowy związek. Zdawała się mówić do kieliszka.

- No, w sumie pojawił się ktoś nowy...

Simon patrzył na nią wyczekująco. Siedziała z pochyloną głową, policzkiem nieomal dotykając ramienia; w pozycji, w której było coś z rozbrajającej nieśmiałości. Odezwała się po chwili, nie patrząc mu w oczy. - Nie wiem, czy coś z tego będzie, ale on jest naprawdę wyjątkowy. Po prostu przeuroczy. Może nie całkiem w moim typie, ale fascynujący. Jeszcze go nie rozszyfrowałam do końca. Dopiero co wrócił z Ameryki, chyba ze wschodniego wybrzeża, ale studiował gdzieś na środkowym zachodzie, bodajże w Kansas. Pracuje w niepełnym wymiarze nad jakimś projektem badawczym, jest bardzo mądry. Styl też ma fajny, trochę taki chłopczyk z bogatego domu. Blondyn,

ale taki stonowany, nierzucający się w oczy. Zupełnie niepodobny do Willa, pomimo pokrewieństwa.

Simon był kompletnie zaskoczony. Przekazała mu - jednym tchem, z udawaną powściągliwością - obraz zadziwiająco pełen. Z zaskoczeniem stwierdził, że czuje się dotknięty; owszem, Will był wymagający, czasami wręcz przykry, lecz stanowił klasę samą w sobie. Był niepowtarzalny, zupełnie wyjątkowy. On sam wierzył dotąd, że Sian też zdaje sobie z tego sprawę, a tu proszę, z entuzjazmem rozwodzi się przy nim nad zaletami nowego faceta. Trochę to podłe, pomyślał Simon, który zwykle starał się pamiętać o dobrych manierach, więc powiedział tylko: — Bylebyś tylko była szczęśliwa, Sian; uważam, że na to zasługujesz. Przeżyłaś to rozstanie, nie tracąc godności ani spokoju. Tylko nie afiszuj się swoim szczęściem przy Willu, chyba że chcesz sprawdzić, czy będzie zazdrosny.

- Simon... - Zawahała się w sposób, który zupełnie nie pasował do kogoś tak pewnego siebie jak Sian. - On jest... ale już to mówiłam... spo

krewniony z Willem... — Upiła łyk wina, podczas gdy Simonowi nagle przyszło do głowy, że Sian usiłuje w oględny sposób dać mu do zrozumienia, że zaczęła się spotykać z Alexandrem, nie takim dzikim i frapującym jak Will, ale jednak jego rodzonym bratem. Z drugiej strony, chyba Alex nie wplątał by się w taką sytuację? Czy Sian w ogóle byłaby w jego typie? Nie, dość tych idiotyzmów; oczywiście, że to nie on, przecież sama mówiła, że to Ameryka-

nin, prawda? Co za głupoty się mnie trzymają, pomyślał i nieświadomie aż się skrzywił. W takim razie o kogo może chodzić?

- Calvin jest kuzynem Willa albo kimś w tym rodzaju. W życiu się nie widzieli, ale ich matki są kuzynkami. - Kiedy w milczeniu usiłowała rozplątać gałęzie drzewa genealogicznego rodziny matki Willa, Simon odprężył się i zaczął znowu normalnie słyszeć; serce przestało mu walić tak mocno, że słyszał jego uderzenia pod czaszką. Przeciwno kuzynowi nic nie miał. I Will też nie będzie miał. Dziwny ten układ, może nawet nieco perwersyjny? Owszem, raczej niezdrowy, ale to i tak lepiej niż puścić *Piątą Symfonię* Mahlera i podciąć sobie żyły. Znowu zaczęła do niego docierać jej relacja.

- ... A kiedy przyleciał na lato do Londynu, żeby studiować, chciał ich wszystkich odwiedzić. Okazuje się, że nawet wysyłali do siebie kartki na Boże Narodzenie i sporadycznie jakiś list, ale nic ponad to; więc kiedy na początku roku zmarła Diana, a matka Calvina nie mogła przyjechać na pogrzeb, Calvin postanowił złożyć im wizytę i osobiście złożyć kondolencje, rozumiesz? On ma

takie odruchy we krwi, to kwestia wychowania. A najśmieszniejsze jest to, że zapukał do moich drzwi, kiedy Will był już we Włoszech, a Alex jeździł po Europie z wykładami...

Simon odetchnął i znowu potakująco skinął głową; Will sobie z tym poradzi.

-I wypytywał mnie o Willa, mówię ci, Simon, jak on mnie wypytywał. A ja zaczęłam opowiadać. Kompletnie obcemu facetowi. Mówiłam o nim całym mi godzinami. Właściwie to całymi dniami. To było jak zupełnie nieoczekiwane katharsis. Płakałam, a on mnie pocieszał, a reszta to już ludzka natura. „Współczesny rycerz z dobrym CV i staroświeckim systemem wartości poszukuje dziewczyny w opałach, by uratować ją przed jej posiniaczonym ego”. Nic oryginalnego, ale kiedy zdarza się w prawdziwym życiu, człowiek wita to z ulgą...

Simon zaśmiał się głośno, ale nie powiedział słowa i Sian nie była pewna, jak rozumieć ten przyptyk wesołości. Starła się coś wyczytać z wyrazu jego twarzy.

- Sądysz, że Will miałby coś przeciwko temu? Simon wykręcił się od odpowiedzi.

- A chciałabyś, żeby miał? Odpowiedziała pytaniem na pytanie:

- Być może nie jest idealną osobą, z którą chciałabym się związać, ale jak to się mówi, serce nie sługa. - Spojrzała na niego błagalnie. — A moje zostało

złamane, Simon. Od Bożego Narodzenia byłam jak odrętwiała, przeplaki-wałam większość nocy jeszcze pod koniec czerwca, zanim pojawił się Calvin. Po prostu usiłowałam nie robić tego publicznie. Nigdy nie znajdę drugiego takiego jak Will, doskonale zdaję sobie z tego sprawę. Ale jaki mam wybór? Żadnego, muszę to jakoś przeżyć. W zeszłym roku między Willem a mną wydarzyło się wiele bolesnych spraw, o których nie wie nikt oprócz Alexa. Will nigdy mi nie wybaczy. Nie chcę tylko, żeby ktokolwiek zastanawiał się nad powodami, dla których spotykam się z Calvinem. Nie wybrałam go po to, żeby komukolwiek dokuczyć. Myślę, że to los nas sobie przeznaczył, popchnął nas ku sobie. Calvin mówi, że nigdy dotąd nie oddał komuś serca: może mnie też go nie odda. Ale mam poczucie... - urwała; nie znajdowała słów, którymi mogłaby mu wytłumaczyć, co czuje.

Simon był pod wrażeniem jej szczerości. A z tymi granatowymi oczami i miedzianymi lokami wyglądała jak prerafaelicka *femme fatale* i po prostu nie sposób było jej się oprzeć.

- Sian, myślę, że nie robisz nic złego. Will jest

dorosły. Czasem lubi trochę poużalać się nad sobą, zresztą jak każdy, ale to dobry człowiek, i na pewno nie małostkowy. Może nawet polubi tego gościa.

Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. Nie mogła sobie wyobrazić sytuacji, iż Will byłby skłonny poświęcić Calvinowi bodaj pięć minut swojego czasu. Cal zbyt przejmował się kwestią ubrań i swojego wizerunku, zbyt mu zależało na opinii innych ludzi, żeby Will go polubił albo chociaż zaakceptował; ale doceniała wysiłki Simona i cieszyła się, że już nie musi niczego ukrywać.

-Zamówmy coś do jedzenia. - Simon zebrał puste naczynia i chciał wrócić do pubu, kiedy nagle dotknęła jego ramienia.

-Ja stawiam, Simon. Jestem przy kasie, pamiętasz?

Była szczęśliwa. Jak zawsze dostała to, po co przyszła.

POTEŻNE ŁAŃCUCHY ROZWINĘŁY SIĘ, OPUSZCZAJĄC WIELKIE, CIĘŻKIE WROTA. Olbrzymi biały przestwór *Mont St Michel* wciąż zapełniały najróżniejsze pojazdy, mimo iż była już końcówka września i większość turystów podróżujących całymi rodzinami już dawno tędy przejechała, wracając do szkół, posad i domowych pieleszy. Kilka ciężarówek, garstka podejrzanych antykwariuszy i cwaniaczków uciekających przed VAT-em, kilka francuskich par i grupka studentów, dla których rok akademicki jeszcze się nie rozpoczął, płynęła do Portsmouth na *le weekend*; nie zabrakło też pewnej liczby drogich aut — z psami i bez psów. Wzrok Willa przyciągnęła doskonała, granatowa lancia fu-lvia na rzymskich numerach. Widział kilka takich cacuszek na kontynencie, wzorowanych na modelu z lat sześćdziesiątych, prawdziwe cudo. Po prostu klasyczna piękność, pomyślał, z tymi niewielkimi oknami o przyciemnianych szybach, opływową linią i

niskim nadwoziem. Szybkie autko, naprawdę szybkie - takie, w jakim Will chętnie by się widział, może kiedy będzie starszy. Póki co jego wierne ducati szybko poniesie go przez ostatni etap podróży do domu, gdzie rozpaczliwie pragnął się znaleźć.

Ostre poranne powietrze przypomniało Willowi, że w Wielkiej Brytanii jesień zaczyna się wcześniej niż w Normandii. Mdłe słońce przedzierało się przez szarawe mgły, lecz temperatura wciąż spadała. Wyjął z tankbaga rękawice i sprawdził, czy paszport jest na miejscu, w kieszeni skórzanej kurtki, po czym zepchnął motocykl z podpórki i uruchomił silnik. Kopniakiem wrzucił pierwszy bieg i delikatnie zwolnił sprzęgło. Czuł się trochę zmęczony; prawie nie spał podczas nocnej przeprawy promem, mimo że zajmował

luksusową kajutę z dwoma łózkami. Przez całą noc jednak - prawdę mówiąc, to od samego wyjazdu z Chartres - gubił się w domysłach i nie potrafił sobie tego wszystkiego poukładać, swoich przemyśleń, odkryć, które zdążył poczynić, i wniosków, które zaczynały mu się powoli rysować i nieustannie domagały się jego uwagi. Nie chciał teraz znowu zastanawiać się nad nimi; poczeka do rozmowy z Alexem, może wtedy uda mu się je złożyć w jakąś sensowną całość.

Spokojnie, Claudia, niedługo będziemy w domu, pomyślał, a ściślej biorąc omal nie powiedział tego na głos, prowadząc nerwową ślicznotkę po wybojach na śliskiej metalowej rampie ku punktowi odprawy celnej. Oficer dyżurny zatrzymał go uniesieniem dłoni. Will rozpiął kurtkę, wyjął paszport i podał go mężczyźnie, zdejmując kask. Celnik zerknął na zdjęcie paszportowe, potem na twarz motocyklisty i kiwnął głową.

Will poprawił się na siodełku, zastanawiając się, którądy wracać do domu. Autostradą omijającą Southampton do Winchesteru, A34. Zjedzie przy Kings Worthy, potem wiejskimi

drogami do Barton Stacey, w dół i przez most na rzece Test przy hodowli pstrągów, a potem do Longparish. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie pojechać A34 do samego końca, do Tufton, a potem do Whitchurch, ale nie chciał przejeżdżać przez tamtejszy czarny punkt, zwłaszcza w sobotę, kiedy jest większy ruch. Nie — myśl o bocznych drogach przypomniła mu o tym, że w Anglii też można zobaczyć prawdziwe cuda, dorównujące urodą słonecznikom i makom Toskanii, lawendowym polom Prowansji, farmom i ozdobionym sztukateriami budyneczkom Pays d'Auge. O tej porze roku nad rzeką z pewnością zalegać będzie mgła, dopóki nie przegna jej słońce. A przegna niebawem, w ciągu najbliższych kilku godzin. Nieoczekiwanie ogarnęła go wielka tęsknota za domem; chciał zobaczyć ojca i bratanka i uściskać ich obu; spędzić trochę czasu z Alexem już za godzinę czy dwie. Potem mogliby wszyscy razem wyskoczyć do pubu. A co mu tam, do cholery, pomyślał w końcu. Jazda dłuższą, ale bardziej malowniczą trasą oznaczała, że zużyje trochę więcej paliwa, za to drogówka nie będzie się go czepiała. Na

pewno drogę przetnie mu było spędzane z pastwisk, ale przecież mu się nie śpieszyło. Bóg jeden wie, o której przyjedzie Alex - może dopiero późnym popołudniem albo i pod wieczór. Will westchnął bezgłośnie, wiedząc, że przydałby mu się ktoś, kto byłby buforem między nim a ojcem.

Dość ostro zjechał na pobocze i jeszcze raz wybrał numer komórki brata.

- Piachu, gdzie ty się, u nieba, podziewasz? Jest sobota, na litość boską! Ściągnęli cię w nocy do jakiegoś pilnego przypadku czy coś? Rozumiem, że wciąż jesteś na dyżurze, skoro komórkę masz wyłączoną. Zostawiam ci wiadomości, gdzie popadnie. - Will poczuł falę rozczarowania. Myśląc o wszystkich nieodebranych połączeniach i wiadomościach tekstowych, na które brat nie odpisał, zdał sobie sprawę, że Alex najprawdopodobniej utknął w szpitalu, i zaczął się niecierpliwić: naprawdę chciał z nim pogadać. Postarał się, żeby jego ton nie zabrzmiał zbyt kategorycznie. - Powoli dojeżdżam do Chantry. Tato nie odbiera, ale może jeszcze śpi albo skoczył po gazety. Możemy za jakiś czas spotkać się w pubie, ale we dwóch? Nie uwierzysz, co mam ci do powiedzenia, tylko że nie przy ojcu. Proszę cię, przyjeźdź, chciałbym, żebyś ruszył mózgiem i coś mi poradził. A jeśli dzisiaj nie możesz... - Umilkł, nie chcąc rozwodzić się nad tą opcją. - Proszę, przedzwoń do mnie, kiedy odsłuchasz tę wiadomość, dobrze? - A potem, jak gdyby przypomniał sobie w ostatniej chwili, dodał: - Nie wiesz może, gdzie

jest Biblia mamy? Ta naprawdę stara. Okay, no to do zobaczyska.

Will, z natury romantyk, oczami wyobraźni zobaczył las, przecięty wijącym się strumieniem i spowity mgłą, przez którą niczym długie palce przedzierały się snopy światła. Od wczorajszego popołudnia czuł się tak, jak gdyby spadał swobodnie w bezdenną otchłań, i ciągnęło go do rzeki, gdzie na pewno znalazłby spokój. Przejeżdżając przez A30, zauważył, że skręca za nim jakiś samochód, i bez wysiłku zostawił go w tyle. Śmignął pod A303, potem droga znowu zaczęła się wznosić przed zakrętem spływającym delikatnie w dolinę i ku domowi.

Dom. W tej chwili był jego domem chyba bardziej niż kiedykolwiek. Jeszcze nie kupił w Londynie nowego mieszkania, a w starym pozwolił zostać Sian; tuż po rozstaniu nawet zapłacił czynsz za trzy miesiące z góry. Wciąż nosiło wiele śladów jego obecności; musi ostatecznie zrobić z tym porządek: zabrać resztę swoich rzeczy i znaleźć nową londyńską bazę wypadową. Nie może bez końca mieszkać kątem u Alexa. Mimo że jego domem od zawsze było

Hampshire, tutaj miał swoją ciemnię, trzymał swoje książki i większość płyt, od śmierci matki nosił w sercu niezagojone rany, które kładły się cieniem na relacjach z Henrym, jego ojcem. Czerwcowy wyjazd był ucieczką: od Henry'ego, od Sian; teraz musi uporządkować wszystkie swoje związki.

Jesienne słońce już wstało; widział je kątem oka po lewej, wciąż było nisko na niebie. Kiedy jednak wjechał na wzgórze, zobaczył, że dolinę w dole

wciąż spowija gęsty całun mgły, nietkniętej jeszcze przez promienie słońca. Pora mgieł" to eufemizm, pomyślał. Nie mgła gęsta jak mleko, lecz najprawdziwszy mgielny kozuch — to bardziej trafne określenie, nawet jeśli bardziej prozaiczne. Powiódł wzrokiem po jezdni, która opadła gwałtownie w miejscu, gdzie zaczynał się łagodny zakręt znikający w ścianie skłębionej bieli złocącej się w miejscach, gdzie dotykało jej słońce. Will szybko zredukował bieg, by drastycznie zmniejszyć prędkość. W tej samej chwili mlecznobia-ły płaszcz spowił go jasnym opalizującym światłem, w ciągu paru zaledwie sekund ograniczając widoczność do kilku metrów. Czuł się tak, jak gdyby znowu znalazł się w katedrze Marii Panny w Chartres. Uśmiechnął się do swoich myśli, wpatrując się w mgłę zza motocyklowego kasku. Znał tę trasę jak własną kieszeń: za wzgórzem droga prowadzi przez most, potem biegnie prosto przy stawie rybnym i przez drugi most, z którego widać kilka chałup położonych nieco dalej od rzeki, potem jeszcze skrzyżowanie w kształcie litery „T” i wjeżdża się do wioski. Później już tylko łagodny skręt w

prawo i trzy mile przez środek Longparish będą go dzielić od domu, który należał do rodziny jego matki od wielu pokoleń, a on chciał jak najszybciej znaleźć się w jej bibliotece i w jej ogrodzie.

Czuł się tak, jak gdyby jesienna aura na chwilę mu ją przywróciła. Matka nazywała te mgły „rzecznymi elfami”. Przypomniawszy sobie, jak nieoczekiwanie potrafi opadać w tych stronach kurtyna bieli. Niekiedy trwało to zaledwie kilka minut, zwłaszcza pod koniec sezonu krykietowego. Mgła gęstniała tak szybko, że piłka wyłaniała się z niej w sposób tak nagły, że niemal magiczny. Owe dni kończyły się wcześnie, dłuższą niż zazwyczaj imprezą w miejscowym barze o jakże stosownej nazwie, U Krykiecistów - bo dopóki mgła się nie podniosła, nie sposób było ujechać daleko. Wtedy kumple zwykle zostawali u niego na kolację, a matka rozkładała dla nich śpiwory po całym strychu.

Do rzeczywistości brutalnie przywrócił go ryk silnika samochodu przyśpieszającego na moście tuż za nim i nagły rozbłysk światła. Jakaś siła wyrwała manetki z jego zaciśniętych rąk. Motocykl

gwałtownie skręcił w lewo, przednim kołem wbijając się w żelazną poręcz przy przyczółku, z którego bliskości Will zdawał sobie sprawę. Nagle wszystko podjechało mu do gardła - coś szarpnęło nim z przerażającą siłą i owiewki osłaniające jego kolana pękły z trzaskiem, a on przeleciał nad manetkami, fatalnie kalecząc się w udo, nim koślawo przefrunął nad barierką i głową w dół, z wysokości piętnastu stóp, runął w wody rzeki Test. Mimo rozdzierającego bólu nogi, spadając, czuł się

całkiem spokojny i bardziej niż o siebie, martwił się o swoje ducati. W głowie rozbłyskiwało mu tęczowe światło, zupełnie jak gdyby słońce, przebiwszy mgłę, przechodziło przez pryzmat, a on spadał i spadał, obracając się niemal bez końca. Jakiś idiota wyprzedził go na moście. Pewnie najzwyczajniej go nie zauważył. On go z pewnością nie widział ani nie słyszał.

Dzięki temu, że instynktownie przetoczył się do przodu, gdy tylko zdał sobie sprawę, że już nie zapanuje nad motorem, dość gładko wylądował w krystalicznie czystej wodzie głową i ramionami. Wciąż przytomny i nadnaturalnie spokojny, coraz głębiej zanurzając się w lodowatej wodzie, w ułamku sekundy zarejestrował piękno kamienistego dna wyłożonego mozaiką otoczków; jak na małą rzeczkę ta miała wyjątkowo wartki, burzliwy nurt i dość imponującą głębokość. Will znowu poczuł gniew na myśl o baranie, któremu zawdzięczał tę kąpiel, ale też i ulgę, że znowu ma władzę we wszystkich kończynach: najwyraźniej nie jest zbyt poważnie ranny, jeśli nie liczyć głuchego pulsowania w udzie, które łagodziła zimna woda. Kask nie spadł

mu całkiem z głowy, co zapewne było prawdziwym błogosławieństwem. Will pozostał na tyle przytomny, by wiedzieć, że powinien jak najszybciej wydostać się na brzeg albo utonie tu, gdzie jest, w wodzie dostatecznie głębokiej, by mogła stać się jego grobem. Niezłomna determinacja rzeki zawsze robiła na nim wrażenie; i po raz kolejny zmobilizowała go na tyle, że zdołał wykrzesać z siebie resztki sił i częściowo wywlec się na wąski stromy brzeg. Miał jeszcze tyle jasności umysłu, by odnotować, że od domu dzieli go zaledwie mila, zanim znowu dopadły go zawroty głowy oraz mdłości i osunął się na twarz, odpływając w nieświadomość. W lodowatym śnie słyszał głos młodej Amerykanki, namawiającej go, żeby „pokusił się i sam spróbował”, potem Alexa: „Sorry, nie mogę teraz odebrać, proszę zostawić wiadomość po sygnale...” i ogłuszający ryk motocyklowego silnika niczym ostatnia skarga jego demonicznej kochanki.

Tuż za zjazdem z mostu czekała niebieska lancia. Otworzyły się drzwi, włączając malutką, czerwoną jak rubin lampkę ostrzegawczą. W

prześwicie między drzwiami a ziemią ukazała się para pięknych, ręcznie szytych butów i rąbki nogawek szarych flanelowych spodni. Należały do mężczyzny w płaszczu z wielbłądziej wełny. Mężczyzna zbliżył się do rzeżącego motoru i wyszarpnął sprzęgło pomiędzy prętów żelaznej poręczy mostu, przez chwilę majstrował przy stacyjce, w której wciąż tkwił kluczyk. W martwej ciszy, która nastąpiła sekundę później, szelest materiału wydawał się ogłuszający.

Mężczyzna szybko rozpiął sakwę i przejrzał jej zawartość. W którejś z pobliskich farm gwałtownie rozszczękał się pies. Ignorując ten dźwięk, mężczyzna zbliżył się do przyczółka mostu, po czym obszedł metalową poręcz, kierując się ku miejscu, gdzie leżał Will, wciąż zanurzony po pas w lodowatej rzece. Tuż nad wodą zalegała warstwa rzadkiej mgły, efekt zderzenia temperatury powietrza z temperaturą wody. Widoczność była mocno ograniczona. Mężczyzna popchnął stopą bezwładne ciało Willa, przewracając je na plecy, i pochylił się nad nim. Świadomy, że mgła całkowicie zasłania go przed wzrokiem ewentualnych świadków, zignorował hałasy dobiegające z domku oddalonego o jakichś dwieście metrów, lecz niewidocznego, bo ukrytego za nieprzeniknioną ścianą bieli. Po chwili głosy wyraźnie się zbliżyły, stały się głośniejsze od psiego ujadania.

Mężczyzna wyprostował się gwałtownie i wycofał w stronę lancii. Silnik zamruczał cicho, tylne światła rozbłysły żywą czerwień, sekundę później auto zniknęło w ciężkim całunie mgły.

WILL ZAŚMIAŁ SIĘ GŁOŚNO. TEN ŚMIECH ODBIŁ SIĘ GŁUCHO W JEGO CZASZCE, lecz czuł się jak Dante przechodzący z Czyśćca do Raju. Ta niebiańska istota, klęcząca przy nim na stromym brzegu rzeki, miała taki krystalicznie czysty głos, taki przeszywający i potężny jak głos anioła u Dantego. *Langel cantava in voce assai piu che la nostra viva*, pomyślał, „śród przestworzy głos brzmiał potężnie"*...

- Will? - powtórzyła. Melissa starała się nie wpaść w histerię, ale w pierwszej chwili pomyślała, że ma przed sobą trupa. Miała dylemat: czy wyciągać go z wody, ryzykując, że uszkodzi mu kręgosłup, czy też raczej zostawić go w lodowatej wodzie? Obejrzała się na dom i zaczęła rozpaczliwie wzywać pomocy. Ranny przewracał oczami, na niczym nie ogniskując wzroku, i śmiał się bełkotliwie. Jej komórka coraz to traciła zasięg: przekłeta mgła, pomyślała Melissa. W końcu połączyła się z numerem 112,

wezwała karetkę, wysłuchała, w jakiej pozycji ma ułożyć ofiarę wypadku, opisała, jak bardzo krwawi i jak poważnie ma poharatane udo. Wiedziała, że nie panuje nad głosem. Umierała ze strachu, że zrobi coś nie tak. Mimo to robiła, co tylko mogła: nakryła go płaszczem i udawała spokojną, choć wcale spokojna nie była.

Czym się tak martwi? - pomyślał. Usiłował skupić wzrok na jej rysach: może to raczej *putto* z obrazów Rafaela? Cherubinek, a nie dorosły anioł; jest taka delikatna, nakryła go ciepłym płaszczem. Docierały do niego pojedyncze słowa - „ścięgna”, „temblak”, „hipotermia” i, o dziwo, „urazy głowy”; lecz ta

* Dante A., *Boska komedia*, przeł. Alina Świdorska (przyp. tłum.).

rozmowa toczyła się gdzieś o całą wieczność od niego. Unosił się swobodnie - mgliście świadomy strumienia czerwieni rozlewającej się wokół niego w małej kałuży niczym rozlane bordeaux - lecz nie czując żadnego bólu, żadnych trosk, był zadowolony i spokojny. Podróżował przez kalejdoskop barw rozbłyskujących odcieniami zieleni i czerwieni niczym szmaragdowo-rubinowy naszyjnik jego babci, zapamiętany z dzieciństwa.

Wokół niego łkały syreny. Skulił się, instynktownie broniąc się przed nimi, uświadamiając sobie nagle, że już nie chce tu być. Pomyślał, że powinien nagrać jeszcze wiadomość po sygnale.

MĘŻCZYŻNA W JASNEJ OLIVKOWEJ KURTCE I SPRANYCH DŻINSACH WYGLĄDAŁ na niemal zrelaksowanego, gdy stawiał na podłodze walizkę oraz reklamówkę z logo sieci FAO Schwarz. Położył płaszcz na niskim stoliku i usiadł obok. O dziwo, salon dla podróżujących klasą biznesową pękał w szwach. Alex wybrał jednak miejsce, z którego mógłby wykonać trochę telefonów, nie niepokojąc sąsiadów pochylonych nad laptopami.

Zerknął na zegarek i doszedł do wniosku, że już trochę za późno, żeby dzwonić do Anglii i porozmawiać z Anną, by potwierdzić, że syna odbierze jutro rano, tak jak się umawiali, ale pomimo późnej pory chciał jeszcze raz spróbować dodzwonić się do ojca. Nacisnął klawisz prostego wybierania i czekał; i znowu, ku jego rozczarowaniu, zgłosiła się poczta głosowa. Był sobotni wieczór i Alexowi wydawało się, że ojciec nie powinien jeszcze spać, tylko gawędzić z Willem.

Nieznacznie marszcząc czoło, ściszym głosem nagrał się po raz drugi.

- Tato, nie mam pojęcia, czy dotarła do ciebie moja poprzednia wiadomość, bo mam problemy z roamingiem i nie mogę odsłuchać własnej poczty głosowej. Ale zakładam, że już wiesz, że wczorajsza konferencja trochę się przeciągnęła i spóźniliśmy się na samolot. W kilka osób przenocowaliśmy w domu mojego kolegi w New Jersey, a teraz jestem na lotnisku Kennedyego i czekam na samolot, na razie nie ma żadnych opóźnień. Przepraszam za te zmiany, ale i tak wyrobię się na ten jutrzejszy lunch. Aha,

dodzwoniła się do mnie sekretarka i będę musiał jeszcze zahaczyć o Harefield, ale na Heathrow będzie na mnie czekał samochód. Po drodze odbiorę Maxa od Anny. Będziemy u ciebie koło południa. - Urwał, żałując, że nie może rozmawiać z ojcem. Uśmiechnął się i nieco już innym tonem, dodał: - Hej, Will, pewnie jesteś od dzisiaj albo i od wczoraj, i wypuściliście się gdzieś na późną kolację?

Zobaczymy się jutro. Max i ja bardzo się za wami stęskniliśmy. Zostawcie dla mnie kieliszek dobrego winka! Spijcie dobrze.

Aż dotąd Alex skutecznie bronił się przed sennością, mając nadzieję zamienić bodaj kilka słów z bratem. Teraz jednak zauważył, że potężne zmęczenie zmoże go lada chwila. Działał na najwyższych obrotach przez cztery długie dni, wypełnione imprezami do późnej nocy, i z lękiem czekał na całonocny lot. Nie potrafił spać w samolocie, co było efektem nawyku wyniesionego z pracy, że jeśli ma się mało czasu, lepiej spać płytko. Lata nocnych dyżurów i osiemnastogodzinnych dni pracy oduczyły go, jak każdego rezydenta, zapadania w głęboki sen; jeśli już, to drzemał tylko, nasłuchując każdego nowego dźwięku. Mimo to cieszył się z komfortu, jaki daje miejsce w klasie biznesowej: dobre jedzenie i filmy dostarczą mu swoistego substytutu godziwego odpoczynku.

Dzisiaj też niespecjalnie miał po temu okazję, chociaż to odpoczynek właśnie chciał Alexowi i pozostałym lekarzom zapewnić pełen najlepszych intencji biochemik, który pragnął dać im

przedsmak tego, jak wygląda jesień w Ridge-wood i okolicach. Jeszcze nie w pełnej swojej krasie, lecz i tak była urocza. Po trzech dniach oglądania notatek, butelek wody mineralnej i krótkich projekcji wyświetlanych w sali konferencyjnej, pozbawionej naturalnego światła i świeżego powietrza, wycieczkę w plener doceniła cała grupa. Drzewa były piękne, towarzystwo autentycznie przemile, a zdażył jeszcze podjechać taksówką na Piątą Aleję i wybrać dla Maxa prezent u Schwarza, w legendarnym już sklepie z zabawkami. Jutro będzie mógł zwolnić, przespacerować się przez cichą wioskę, mijając pole krykietowe z krytym strzechą budynkiem klubowym, nim dotrze do przyjaznego dla rodzin z dziećmi pubu, który tak bardzo lubiła jego matka, gdzie będą świętować wigilię jego trzydziestych czwartych urodzin.

Po raz pierwszy od lat zanosilo się na zabawę w męskim gronie. Zastanawiał się, czy Sian nie mogłaby do nich dołączyć, tylko po to, by stwierdzić, czy mimo wszystko nie ma bodaj cienia szansy dla niej i dla Willa. Ojciec wspomniiał jednak, ku jego zaskoczeniu, że nie

odpowiedziała na zaproszenie - taki brak manier zupełnie do niej nie pasował. Alex rozumiał, że dziewczyna wciąż czeka, aż Will do niej zadzwoni i zaprosi ją osobiście, ale niestety się nie doczeka. Miał cichą nadzieję, że Anna będzie chciała przyjechać. Rozwiedli się przed dwoma laty, ale wciąż byli sobie względnie bliscy, w każdym razie Anna dogadywała się z nim ze względu na Maxa. Jednak ona również, z powodów znanych tylko sobie, nie wybierała się na jego urodziny.

Ale najbardziej bolała go nieobecność matki. Była uosobieniem życzliwości, opoką, nikogo nie osądzała, nie pozwalała rodzinie rozpaść się w chwilach trudnych czy bolesnych, nikogo nie faworyzowała. Ojciec skrycie przeżywał swoją żalobę, pracował ciężko jak zawsze - był prowincjonalnym prawnikiem o dobrym sercu, człowiekiem powszechnie szanowanym. Unikał rozmowy o życiu, do którego będzie musiał przywyknąć już sam. Na początku Alex i Will usiłowali poświęcać mu więcej czasu, częściej przy nim być, ale nawet jeśli ojcu robiło to jakąkolwiek różnicę, nigdy im o tym nie powiedział. Ktoś z wioski przychodził posprzątać, ogrodem zajmował się sam w weekendy, ale w kominku nigdy więcej nie zapłonął ogień. I trochę ognia uszło chyba z nich wszystkich, pomyślał Alex.

Jutro się pośmieją. Wrócił Will, a z Willem nigdy nie jest nudno. Tylko błagam cię, Will, nie dramatyzuj, pomyślał i śmiejąc się w duchu, zgarnął płaszcz i bagaże, żeby ruszyć na dół i przejść przez bramkę. I on, i Max przyzwyczaili się do tego, że Will przez parę miesięcy

pomieszkuje w Londynie, i miło będzie po prostu spokojnie przeżyć ten dzień.

WILL MUSIAŁ PRZYSNAĆ. KIEDY SIĘ OCKNAŁ, JAKIEŚ POSTACIE PORUSZAŁY SIĘ wokół niego w posepnym uroczystym tańcu, zupełnie jak w tragediach wystawianych w teatrze Globe, kończących się makabryczną bergamaską. Pomyślał o płaszczu tamtego anioła - zupełnie jak na witrażu w Chartres, postać najpierw pada ofiarą brutalnej napaści, a dopiero potem dostaje płaszcz. Żałował, że nie może sobie przypomnieć, co to oznaczało, ale niestety niewiele pamiętał z biblijnych przypowieści, prócz ich znaczenia dla historii sztuki, która była jedną z jego pasji. Nawet jednak kiedy jeszcze je pamiętał, był znacznie lepszy z historii antycznej niż z niezliczonych biblijnych przypowieści ozdabiających wszystkie te malusieńkie kościółki. Pamiętał Santa Fina w San Gimignano i Santa Lucia na Sycylii, ale słowiki i kukurydziane pola plątały mu się z Samarytanami i synami marnotrawnymi. Z jakiegoś powodu wszystkie te niepasujące do siebie obrazy w tej chwili miały

dla niego jakieś znaczenie.

Przez otwarte drzwi wlało się światło i znowu usłyszał głos swojego anioła znad rzeki. Tym razem również przybrał postać kobiety i rozmawiał z kimś o łagodnym męskim głosie, a mówiąc, często ten głos zawieszał. I może miał lekki cudzoziemski akcent? Drzwi zamknęły się i znowu zapadła niezmacona cisza. Tyle zamieszania, pomyślał Will. Wszyscy chodzą dookoła mnie na

palcach. Chciał dotknąć klucza na swojej szyi, lecz o dziwo, własna dłoń odmówiła mu posłuszeństwa. Nafaszerowały mnie prochami, pomyślał, te przeklęte konowały z Alexowego plemienia; ale nie zamierzał się tym martwić. Usiłował zwrócić się do postaci, która cicho krzątała się przy nim. Chciał ją spytać, gdzie teraz jest i co się stało, ale słowa uwięzły mu na ustach. Nie wydał żadnego dźwięku. Może by się nawet zirytował, gdyby nie to, że czuł się zupełnie wolny od zmartwień i wszelkiego pośpiechu, więc po prostu pozwolił ciału utonąć w chmurze białych prześcieradeł, a umysłowi podążać tam, gdzie kieruje go wolna wola.

Tuż przy nim rozbrzmiewał głos jego ojca - jakże to się stało? - przemawiającego cicho. Will aż się uśmiechnął, przynajmniej wewnątrz. Ojciec rozmawiał z tą drugą istotą, dziwnie nieświadomy, że Will uważnie wsłuchuje się w jego słowa, choć wydawały się nie mieć większego sensu. Wciąż myślał po włosku (a może po francusku?) i nie był w stanie skoncentrować się na tym, o co pyta ojciec. Skupił się natomiast na wrażeniu, iż nagle tonie w

powodzi sycylijskiego słońca, w zapachu cytryn, smaku wspaniałego wina z winogron dojrzewających na zboczach Etny; i co było najprzyjemniejsze, we wspomnieniach z wycieczki łódką, którą wybrał się do Fonte Ciane, wśród bujnych kęp papirusu wznoszących się nad wodą. Popłynęła z nim piękna Sycylijka - nie, ona była z Toskanii - zupełnie jak gdyby tylko oni dwoje czekali na pojawienie się łódki, chociaż działo się to w szczycie sezonu. Dzień był upalny, a oni dzielili się zapasem wody, chleba i owoców, nie zapominając o sterniku. Wiał ciepły wiatr i jej gęste, czarne kręcone włosy, sięgające poniżej talii i pachnące jak kwiaty cytrusów, falowały tuż nad wodą. Powiedział jej wtedy swoim żenująco ubogim włoskim, że wyobraża sobie, jak w jej kręconych włosach nurkują delfiny, ona zaś opowiedziała mu, w dziwnym dialekcie włosko-angielskim, o nimfie, która ścigana przez boga rzeki Alfejosa uciekła przed jego namiętnością jedynie dzięki temu, że Artemida przemieniła ją w strumień. Rzeka ostatecznie porwała ją jednak w swoje objęcia i ich słonawe wody zmieszały się. I stało się to właśnie tutaj, powiedziała. Nie

był pewny, czy to zachęta, aby porwał ją w swe słone uściski, czy ostrzeżenie, by nie ściągał sobie na głowę gniewu bogini, lecz i tak był to dzień doskonały pod każdym względem. I Willowi miała towarzyszyć do śmierci odrobina jego zapachu, nieoczekiwanego charakteru i czystej, niewinnej zmysłowości.

Długie palce Henry'ego Stafforda uniosły się bezwiednie i schroniły w siwiejących, lecz wciąż jeszcze gęstych włosach; zupełnie jak gdyby sam chciał się schować.

- Pokłóciliśmy się. To było takie bezsensowne.

- Panie Stafford - odparła stojąca przy nim kobieta w białym fartuchu - niech pan nie rozpamiętuje tego co złe. To naprawdę nikomu nie pomaga, ani panu, ani jemu. Niech pan z nim porozmawia: nigdy nie wiadomo, jak wiele dociera do chorych w śpiączce; ale z tego co wiemy, słuch odmawia posłuszeństwa jako ostatni. On jest teraz świadomy rzeczy, które wykraczają poza nasze pojmowanie, w zupełnie innym wymiarze, nam niedostępnym. Głęboko w to wierzę.

- Chciał się czegoś dowiedzieć o rodzinie swojej matki, o tym durnym kluczu. - Wpatrzył się w swoją dłoń. - Nigdy nie lubiłem o tym rozmawiać. Jestem racjonalistą i to niestety zatwardziały. Całe lato spędził poza domem, wyjechał w pasji, pełen pretensji do mnie. Dzisiaj miał wrócić. Chciałem pomówić z nim wieczorem, opowiedzieć mu o matce. To była

nadzwyczajna kobieta, mądrzejsza niż my wszyscy razem wzięci. To zrozumiałe, że za nią tęskni. Jak my wszyscy. Czemu nie mogłem po prostu wyznać mu wszystkiego, co chciał wiedzieć?

Ruth Martin także była mądrą kobietą; a lata pracy na oddziale intensywnej opieki medycznej nauczyły ją słuchać. Rodziny pacjentów potrzebowały wszelkiego wsparcia, o wiele bardziej niż sami pacjenci. Wyniki ostatniej tomografii nie wyglądały dobrze, lecz Ruth chciała dać ojcu tego młodego człowieka coś, co pomoże mu przetrwać najbliższe czarne, pełne niepewności godziny. - Cokolwiek chciał mu pan powiedzieć, proszę to zrobić teraz. Teraz panu nie ucieknie, a proszę mi wierzyć, to pański głos najbardziej chce teraz usłyszeć.

Jedynym głosem, jaki w tej chwili słyszał Will, był jego własny, tak głośno rozbrzmiewający mu w uszach, że Will był przekonany, że krzyczy na brata. „*Piachu, quel age auras tu demain?* Jesteś spod znaku Panny, prawda? Jak Astrea. Ostatnia z boskiego rodu, która opuściła ziemię...” Will nie potrafił zestawić tej informacji z innymi, lecz

nie poddawał się i w końcu wdrapał się na samą górę. Nad kalderą drżała samotna smuga dymu. Wspinaczka była wyczerpująca, ale chciał zobaczyć widok z samego szczytu, chciał dotknąć miejsca, w którym drzemie moc wulkanu. Pomyślał o Demeter przetrząsającej Etnę w poszukiwaniu córki: musi jej powiedzieć, że już ją odnalazł. Gdzie on

wyczytał te słowa: „Jeśli twoja dusza zapragnie znaleźć się w Indiach, przemierzając ocean, by tego dokonała, wystarczy jej jedna chwila”? Nie mógł sobie przypomnieć źródła tej myśli. Jego umysł mozolnie przeszukiwał wielki twardy dysk, który był jego pamięcią. To był Bruno: widział jego twarz. Zbliżył się do szczytu góry, gdzie wbrew temu, czego się spodziewał, powietrze wcale nie było przesycone zapachem siarki, lecz krystalicznie czyste, rozaczało woń limetek i winorośli. I róży.

Ciii! Ojciec przemawiał do niego, lecz słowa, na sekundę nabrawszy kształtu, na powrót rozplywały się w nicość. Zagłuszały je wypowiedzi jakiejś innej osoby. „Żywe istoty nie umrą, lecz jako wszelkie twory złożone, jeno się rozłożą; to rozłożenie się pewnej mieszaniny raczej niżli śmierć. Jeśli ulegają rozkładowi, to nie po to, by ulec zniszczeniu, lecz odnowieniu. Czymże innym jest w końcu energia życia?”

Henry Stafford był przekonany, że syn go nie słyszy, ale mówił dalej.

- I był wielkim człowiekiem, to wiem. Jego zainteresowanie metafizyką nie było jedyną

rzeczą w jego życiu wartą uwagi. Wielki matematyk, uczony, tłumacz. Szpieg, który mógł pracować dla Walsinghama, pierwszy, jak sugerowano, który określił się mianem zero zero siedem. Miał najlepszy księgozbiór w całej Anglii. Ale zapamiętano go jako astrologa królowej Elżbiety, kogoś, kto porozumiewał się z duchami, a przynajmniej próbował. Mnie to nie interesowało. Twoja matka na takie rzeczy była bardziej otwarta, ale nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Ja nie chciałem, a ona mi się podporządkowała. Ktokolwiek dołożył się do tej genetycznej mieszanki, którą jesteś, Will, to z pewnością Johnowi Dee w dużej mierze zawdzięczasz swoje bogate wnętrze, swoją błyskotliwość, a zapewne też po części zamiłowanie do mistycyzmu. Moim zdaniem ten kluczyk otwiera coś, co należało właśnie do niego. - Ignorując aparaturę medyczną, przez którą jego syn wydawał się bardzo daleki i niedostępny, Henry ujął bezwładną dłoń spoczywającą na szpitalnej kołdrze. Will miał włosy schludnie przystrzyżone i uczesane, twarz opaloną i przystojną - lecz przerażająco

bezkrwistą, woskową.

Will może i go słyszał; sam nie był tego pewny. Oto stał nagle, w równoległym czasie, w środku labiryntu, spowity ze wszech stron kojącym zapachem róż, z twarzą w jasnym świetle, a równocześnie dotykał stopami samego rdzenia Etny, wdychał powietrze brzemienne zapachem kwitnących cytrusów, w świetle niemal nierzucającym cieni, w ciężkim upale. *Kennst du das Land, wo die Zitronen bluhn?*, pomyślał; „Znasz-li ten kraj, gdzie cytryna dojrzewa?”

Ależ popełnił błąd. Ile czasu zmarnował, nie ucząc się żadnego konkretnego języka w całości, poprzestając na mizernych początkach — niewystarczających, aby odbyć inteligentną rozmowę z kimś z innej strefy czasowej i kulturowej. Jak można zobaczyć świat czyimiś oczami, jeśli nie jest się w stanie dokończyć ważnego zdania? Świat jest wszystkim, to rozumiał.

„Dodone. Delphi. Delos”.

Oczami duszy zobaczył trójkąt; a potem uważnie przyjrzał się wzorowi na ozdobnym uchu klucza: perła umieszczona w środku spirali. Czemu nigdy wcześniej nie poświęcił temu należytej uwagi? Spojrzał na swoje dłonie, które ścisnęły coś ciepłego i przypominającego w dotyku skórę. Była to ciemna stara księga. Obrócił ją, ale trudno mu było skupić wzrok na tytule wypisanym złotymi literami. „Ach tak. Księga starego króla”. Na wewnętrznej stronie okładki widniały dwa słowa: „Diana Stafford”, nad nakreślonym ręką matki rysunkiem jelenia i trójkąta.

Po twarzy jego ojca powoli spływała łza.

Will dryfował w wonnym morzu światła. Wciąż miał poczucie humoru. Taki Raj, ale stworzony przez projektantów firmy Muji — cały biały, niezagracony i przepiękny. Pragnął oprzeć ciężką dłoń na ramieniu ojca i zjednoczyć się z nim tym dotknięciem. Przemówił, choć jego usta były jak z kamienia: „Ach, lecz te łzy - to perły, przez miłość twą suto sypane, by za wszelkie zło były pokutą”*.

Henry Stafford sięgnął po dużą kopertę leżącą przy łóżku, zacisnął w dłoni klucz i wyszedł z pokoju, ścigany cichymi westchnieniami respiratora.

-Melisso, proszę, pozwolisz, żebym odwiózł cię do domu? To był długi wieczór, a skoro byłaś taka miła i zostałaś, to może chociaż _____ — Gdy zawiesił głos, młoda dziewczyna stanowczym gestem oparła mu dłoń na ramieniu.

-Dziękuję panu. - Nie powiedziała nic więcej. Zbliżała się północ. Oboje byli wyczerpani. Znała pana Stafforda słabo; jej matka okazjonalnie

coś dla niego przepisywała. Ale tego wieczoru pokonali razem długą podróż. I chociaż wciąż znali się bardzo krótko, wytworzyła się między nimi taka więź, jak gdyby znali się od lat.

Droga powrotna z Winchester Hospital, gdzie rodzili się obaj jego synowie i w którym umierała jego żona, zajmie około dwudziestu minut. I on sam, i Melissa potrzebowali teraz snu. A Henry był jej wdzięczny za jej milczące towarzystwo.

*W. Shakespeare, Sonet 34, przeł. S. Barańczak (przyp. tłum.).

Jego szare bmw było jednym z dwóch samochodów, które wciąż stały na parkingu dla odwiedzających. I - rzecz niewiarygodna — ktoś je zastawił. Niebieska lancia zatrzymała się w połowie drogi wjazdowej, najpewniej jej kierowcy bardzo się śpieszyło. Henry wolał długo manewrować, jeżdżąc w przód i w tył, niż szukać właściciela auta, który być może cierpi tak samo jak on, więc minęło kilka minut, zanim wreszcie wydostali się z Melissą ze szpitalnego parkingu.

SŁUŻBISTA Z KONTROLI PASZPORTOWEJ UŚWIADOMIŁ ALEXOWI, ŻE ŚWIAT BARDZO ZMienił się po jedenastym września. Uzbrojony oficer, z kamienną twarzą wyzierającą spod daszka czapki, przyglądał mu się tak czujnie, jak gdyby Alex stanowił największe zagrożenie dla całych Stanów Zjednoczonych. Jarzyły się światła, buczał komputer. Oficer podejrzliwie zmrużył oczy, po czym uśmiechnął się dobrodusznie i wcisnął paszport w dłoń Alexa, bez zbędnych komentarzy, ograniczając się do obowiązkowego: „Miłego dnia”.

Alex myśłami był zupełnie gdzie indziej, na wykładzie, który zamierzał wygłosić swoim studentom na temat najnowszych poglądów dotyczących komunikacji międzykomórkowej. Bezwiednie podszedł do bramki kontrolnej, położył na taśmie walizkę, przesunął się w kierunku skanera, nieświadomie naśladowując pasażera, który szedł przed nim: zachowywał się

jak automat. Coś natrętnie zapiszczało. Nieskazitelnie ubrany mężczyzna, stojący o trzy czy cztery osoby za nim, nie odrywał od niego oczu. Inni podróżni także zerknęli w jego stronę.

Dla Alexa cały ten rytuał był czymś zupełnie odrealnionym; ze zmęczenia i umysł, i ciało miał jakieś ociążałe. Potem do rzeczywistości przywołał go surowy, władczy głos:

- Proszę opróżnić kieszenie. - Alex zdał sobie sprawę, że te słowa są skierowane do niego. — Proszę wrzucić bilon do tego naczynia i przejść jeszcze raz.

Alex uznał to za demonstrację specyficznego nowojorskiego poczucia humoru, którego strażnik na pewno był pozbawiony. Bez cienia niepokoju sięgnął

głęboko do kieszeni płaszcza, jedną ręką wyciągając garść monet, drugą małą plastikową torebkę, zawierającą książkę w miękkiej okładce. Strażnik wyjął mu ją z ręki, już zaglądał do niej, już pokazywał ją koledze, równocześnie dając znak Alexowi, żeby umieścił bilon na tacce, gdzie właśnie spoczęła książka.

- *Extraordinario, este libro* — mruknął ten drugi, ale tak cicho, że Alex był niemal pewny, że się przesłyszał. Szybko podniósł wzrok; i przez ułamek sekundy czuł się tak, jak gdyby dzielili się czymś bardzo osobistym, skrywanym w tajemnicy. Potem system alarmowy znowu się rozwrzeszczał, powietrze rozdarł przenikliwy, rozdzierający uszy pisk. Pierwszy strażnik, teraz z kamienną twarzą, poprosił Alexa, żeby spróbował jeszcze raz. Alex wrócił przez bramkę, obserwując drugiego strażnika, który wciąż uśmiechał się do niego łagodnie, gdy nagle w przeblasku świadomości wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki wieczne pióro.

- I o to chodziło, mości panowie! Oto nasz winowajca! - Starszy rangą miał minę agenta FBI, który właśnie rozwiązał niezwykle

skomplikowaną sprawę, decydującą co najmniej o czyimś życiu lub śmierci. — Obawiam się, proszę pana, że będziemy musieli je skonfiskować.

Kolejka zaczynała szemrać, pozostali pasażerowie coraz głośniej dawali wyraz swojemu zniecierpliwieniu. Alex, jak gdyby jego samego zupełnie to nie dotyczyło, wzruszył tylko ramionami, daleki od skruchy. To wieczne pióro podarowała mu matka, dawno temu, gdy dostał się na Cambridge, i nie zamierzał wracać bez niego do domu.

Spojrzał w oczy tryumfującemu strażnikowi i jakimś cudem zdołał rozładować narastające napięcie.

- Jestem do niego bardzo przywiązany. Czy moglibyśmy poprosić ko goś z załogi samolotu, żeby je przewiózł, tak abym mógł je odebrać na Heathrow?

Strażnik był wyraźnie zdeprymowany. Przyjrzał się imieniu Alexa wygrawerowanemu na skuwce pióra.

- To jest niezgodne z procedurą, proszę pana. Ale może w drodze wy

jątku... Zobaczymy, co da się zrobić. — Podał „nieregulaminowy” przedmiot koledze, który uśmiechał się sucho, ale zdołał już bezgłośnie dać Alexowi do zrozumienia, że odzyska swoje wieczne pióro. Sprawdził jeszcze numer jego lotu, żeby móc wszystko załatwić, a chwilę później oddawał mu już bilon i książkę; gdy mu ją przekazywał, po raz pierwszy nawiązała się między nimi autentyczna nić porozumienia.

-*E muy metafico, si?* — Alex żałował, że nie zna lepiej hiszpańskiego, ale strażnik i tak był zachwycony, słysząc odpowiedź w swoim ojczystym języku, i łagodnie pokiwał głową.

-To długi lot, a filmy już widziałem. Ta książka będzie dla mnie miłą towarzyszką podróży. — Alex nie mógł uwierzyć, że całe zajście rzeczywiście ma miejsce, ale poruszyło go ludzkie podejście do sprawy tego drugiego celnika; i co jeszcze dziwniejsze, był w pełni świadomy, że więź, która przez chwilę ich łączyła, nie jest prawdziwa, bo on jeszcze do tej powieści nie zajrzał. Mniejsza o to, o czym ta książka jest. Rzeczywiście jest *extraordinario*.

Wciąż dumiał nad powieścią i losami swojego wiecznego pióra, kiedy usłyszał rzeczowy głos angielskiej stewardessy, domagający się uwagi. Alex sięgnął po koc, gdyż pod wpływem zmęczenia dotkliwiej odczuwał chłód, i wpatrzył się w tomik tkwiący w przezroczystej plastikowej torbce. Nader sympatyczna, świetnie i wyraźnie mówiąca po angielsku lekarka z Ameryki Południowej wcisnęła mu tę powieść w rękę po

konferencji, tuż zanim odwiedziono go do Jersey.

-Może to panu przybliży, jakim szaleństwem jest szukanie różnicy między duchowością a rzeczywistością. Miłej podróży do domu; i *buena suerte*. — Serdecznym gestem dotknęła jego ramienia, a potem zniknęła.

Niewiele myśląc, schował wtedy książkę do kieszeni płaszcza i zamknął drzwi auta, na pewien czas odcinając się od świata zawartego na kartach powieści. Teraz gdy już rozsiadł się w wygodnym fotelu, całą swoją uwagę poświęcił lekturze *Stu lat samotności*.

Czytał urzeczony. Pluton egzekucyjny. Pułkownik Aureliano. Jego ojciec. Wspomnienie lodu. Już pierwsze linijki porwały jego wyobraźnię. W uszach rozbrzmiewał mu głos autora, taką moc miała proza Gabriela Garcii Marqu-eza. Sam nigdy nie wpadłby na pomysł, żeby kupić tę powieść; co za szczęśliwy zbieg okoliczności. Trafiła do niego właśnie teraz, gdy siedzi, nie mając żadnego zajęcia, za to dysponując nieograniczonym wolnym czasem.

Stewardessa uśmiechnęła się do niego

usłudnie, a kiedy osiągnęli wysokość przelotową, podała mu kartę dań oraz drinka.

- Mam pańskie wieczne pióro, doktorze Stafford. Tradycjonalista z pana, mało kto ich dzisiaj używa. A jeszcze mniej osób wciąż potrafi przyzwoicie piśać! — Roześmiała się, błyskając ślicznymi białymi zębami. - Zwrócę je panu, jak tylko wylądujemy na Heathrow i wszyscy pasażerowie wysiądą z samolotu. ~ Zaproponowała kieliszek szampana „w ramach rekompensaty”. — Prawdę

mówiąc, to nie mogę się nadziwić, że zgodzili się na pański pomysł. To chyba przez tę aurę angielskiego spokoju, którą pan roztacza.

Alex uśmiechnął się jak uczeń, uprzejmie odmawiając przyjęcia długiego wąskiego kieliszka i prosząc za to o *truite amandine* z karty. Następnie wrócił do losów Francisca Drakea, korsarza, który w szesnastym wieku złupił miasteczko Riohacha, nieświadomie zmieniając życie postaci, które Alex miał poznać na następnej stronie. Podano obiad, zjadł szybko i czytał dalej. Sąsiad z fotela dokładnie za nim pochrapywał cicho.

W stylu powieści było coś urzekającego. Zmęczenie obejmowało go szczerze niczym wielki ciepły koc, a on to drzemał, to budził się i czytał kolejny fragment, przerywając lekturę, by zastanowić się nad szczegółikami i niuansami książki, porównując fabułę z pewnymi aspektami życia jego rodziny. Z pozoru dwa różne światy, a jednak jakoś z sobą powiązane. Galeon w środku lasu deszczowego: Will w środku coraz to nowej krucjaty, jego nieustająca donkiszoteria. Kobieta zbyt piękna, by mogła spocząć w ziemi, w

zwykłym grobie, więc w magiczny sposób zostaje zabrana do nieba w chmurze białych prześcieradeł, które właśnie składała. Odeszła nieoczekiwanie jak jego matka. Realizmu tej baśniowej fabule przydawał właśnie styl narracji. Alex był pewny, że Will przeczytał tę książkę i był nią zachwycony; wypatrzył ją w stertach paczek, które zawierały całe życie Willa, a poniewierających się obecnie w londyńskim mieszkaniu Alexa. Jego brat nigdy nie zainwestował ani jednego pensa, za to miał całe półki dóbr intelektualnych: muzykę na płytach i partyturach, sterty książek aż po sufit, pierwsze wydania Penguin Books, których wyrzuceniem Sian groziła mu tak często, że może o raz za dużo. To nie najlepszy pomysł dawać mu wybór „albo ja, albo te okropne zakurzone starocie” - chciała nawet powiązać je wstążkami po kilka i efektownie poukładać na półkach, żeby nie wyglądały tak niechlujnie, ale ostatecznie machnęła na to ręką. Alex lepiej niż ona wiedział, w którą stronę przechyliłaby się szala, gdyby Will musiał dokonać wyboru, niemniej teraz, kiedy przestali być parą, mógł sobie pozwolić na

współczucie dla Sian, wiedząc chociażby, jak Willowy księgozbiór lubi się rozrastać. Nie mógł się doczekać, kiedy porozmawia z bratem o tej powieści; żałował, że nie może tego zrobić od razu, na bieżąco: wiedział, że nagość uczuć i fantastyczność fabuły przemówiłyby do Willa. Równocześnie w jego umyśle zrodziło się całkiem nowe spostrzeżenie. Chociaż Alex i jego brat byli jak dwie strony jednej monety - jeden był ukochanym starszym synem ojca, drugi najdroższym młodszym synkiem matki - Alex

wiedział, że w głębi jego jestestwa drzemią pokłady czegoś, czego nigdy nie odważył się w pełni zbadać, podobnie jak w Willu skrywały się pokłady powagi, z którą nie lubił się obnosić. Ubolewał nad typową dla rodziców i znajomych dobroduszną skłonnością do szufladkowania własnego bądź cudzego potomstwa: „Alex jest taki stateczny, pracowity, i tak logicznie myśli. Będzie wspaniałym lekarzem. Brat nigdy mu nie dorówna. Will? To niepoprawny marzyciel, na bakier z ortografią, ciągle siedzi z nosem w książce. Owszem, na fortepianie gra jak Chopin. Ale Bóg jeden wie, czy kiedykolwiek do czegoś dojdzie, nigdy nie może się na nic zdecydować”. Will tradycyjnie śmiał się z tego rodzaju komentarzy, oznajmiając, że chciałby być George Sand. Niemniej w głębi duszy musiało go to boleć, podobnie jak Alexowi działało na nerwy to, że w zestawieniu z Willem - na zasadzie binarnej opozycji - wychodził na tego solidniejszego, a w konsekwencji, mniej ciekawego. Ich matka wiedziała swoje i walczyła z opiniami rodziny.

- Obaj to inteligentni, świetnie się

zapowiadający młodzi mężczyźni. Pożyjemy trochę, to zobaczymy, jak spożytkują swoje godziny na tej ziemi.

Alex potrzebował snu; zdawał sobie sprawę, że jego myśli coraz częściej zbaczają na manowce. Temu spostrzeżeniu towarzyszyła inna, mroczniejsza myśl: czy u nich wszystko w porządku? Mąciła jego spokój w tych cichych nocnych godzinach, lecz odsunął ją od siebie, biorąc ją za efekt zmęczenia. Najprawdopodobniej ojciec i brat pokłócili się przy kolacji i Alex, jak zawsze, będzie musiał wystąpić w roli rozjemcy, by przywrócić pokój. Słońce weszło równocześnie z tym na kartach książki i wzniósłszy się po łuku ponad purpurową linię chmur, rozbłysło oślepiającą bielą. Księżyc równie nagle zbladł i rozplynął się gdzieś nad oceanem. Czy to tylko efekt prędkości samolotu lecącego „pod prąd” czasu? Alex zdrzemnął się trochę i wrócił do lektury, by ją skończyć, rozpamiętując niepokojącą myśl autora, iż ludzie, których los skazał na stulecie samotności, drugiej szansy na tej ziemi nie dostają.

Co aż się prosi o pytanie o odkupienie w

niebie, pomyślał Alex.

Czasem debatowali z Willem nad takimi filozoficznymi kwestiami, o ile akurat nie wyklócali się, kto jest bardziej wszechstronnym krykiecistą, Gary Sobers czy Ian Botham. O tej stronie ich zażyłości zdążył jakimś cudem zapomnieć. To interesujące, jaką głębię miały przemyślenia, którymi dzielili się w dzieciństwie. Niemniej jednak Alex zdawał sobie sprawę, że kiedy zmarła ich matka, niespecjalnie pomógł bratu uporać się z zagadnieniem śmiertelności. Przypomniawszy sobie moment po pogrzebie, kiedy to Will, z papierosem

w ustach, pochylał się nad klawiaturą, gniewnie wygrywając kolejne takty *Fantazji-Improptu* Chopina, tak iż muzyka aż grzmiała w salonie. Wrócił do tego paskudnego nałogu, kiedy matka zachorowała: teraz szczęśliwie zdążył już rzucić. Podobnie jak, najwyraźniej, swoją muzykę.

Co się zmieniło? Właściwie to tylko czas - czy raczej absurdalny jego brak, który ciągle Alexowi doskwierał. Will namawiał go, by się otworzył i mówił o swoim bólu związanym z nieudanym małżeństwem z Anną; sam usiłował po trosze zwierzyć się ze smutku, jaki czuł po rozstaniu z Sian. Jednak Alex nie znajdował już czasu na takie zwierzenia, nawet gdyby chciał. Każdy z nich stosował własne uniki - aczkolwiek zdarzało się i tak, że intuicyjne zrozumienie drugiej strony okazywało się wystarczającym wsparciem. Och, Will, stęskniłem się za tobą - nawet jeśli przez większość czasu jesteś okropnie upierdliwy, pomyślał Alex, usiłując wrócić myślami do rzeczywistości. Był pewny, że tęsknota za towarzystwem młodszego brata minie, zaledwie ten hałaśliwie rozpanoszy się w jego cichym, spokojnym mieszkanku w Chelsea. W ciągu

tygodnia Will wywłaszczy go z jego kuchni, upierając się, że będzie dla wszystkich gotował, i brudząc przy okazji wszystkie możliwe garnki. Alex zaśmiał się cicho, wpatrzony w okładkę przeczytanej książki.

-Uwaga, personel pokładowy! Za dziesięć minut schodzimy do lądowania. - Stewardessa dotknęła jego ramienia, pomagając mu podnieść oparcie fotela, i zebrała ze stolików resztę naczyń. Po kilku chwilach rozległo się znajome tapnięcie, oznaczające, iż koła właśnie zablokowały się w odpowiedniej pozycji, Alex zaś poczuł, jak olbrzymi samolot nerwowo ślizga się na boki niczym wystawowy koń, który tańcząc, podchodzi do poprzeczki; w końcu wyprostował się, łagodnie opadł na ziemię i galopował po pasie, dopóki wizg wstecznego ciągu nie wdarł się w tę magiczną chwilę. Był w domu.

Biorąc pod uwagę olbrzymią masę ludzi, jaką o tej barbarzyńskiej porze wypluwały z siebie samoloty zlatujące z najróżniejszych zamorskich

krajów, pracownicy kontroli paszportowej byli nadspodziewanie weseli i kulturalni.

- Dzień dobry. Dziękuję panu. Witamy w kraju, doktorze Stafford. Stewardessa wypatrzyła Alexa w holu bagażowym.

- Pańska własność. Potężniejsza od miecza, jak to mówią!

I pomknęła dalej, zaledwie pióro, którym spisał tak dużą część swojej historii, spoczęło na jego dłoni. Nie zdążył jej nawet podziękować. Alex włączył komórkę i czekał, aż na taśmie pojawią się jego bagaże. Miał siedem nowych wiadomości. Dzięki przyspieszonej odprawie celnej, wspaniałemu gratisowi

do lotu w droższej klasie, holował za sobą walizę na kółkach, gdy nagle jego świat zamarł: „Alex, chodzi o Willa, obawiam się, że to coś bardzo poważnego. Gorszego niż sądziłem, kiedy nagrywałem poprzednią wiadomość. Proszę, oddzwoń do mnie, jak tylko odsłuchasz tę wiadomość. Cholernie potrzebuję twojej rady”. Głos ojca brzmiał ochryple.

Odsłuchiwał jeszcze dwie wiadomości, zanim przerwał połączenie; zabrały go jeszcze dalej w głąb czasu, gdyż były nagrane wcześniej od tej, którą wysłuchiwał jako pierwszą. Ze ściągniętą, pobladłą twarzą wybiegł z terminala.

16:43: Czy chcesz zamknąć system?

- I to jak! - warknęła Jane Cook. Kliknęła „tak” i zamknęła laptopa. Siedząc przy biurku, powoli sięgnęła po słuchawkę, lecz niemal natychmiast odłożyła ją na widełki. Jeszcze chwilę poczekała z telefonem do córeczki. Miała takie spóźnienie - spóźnienie to mało powiedziane! - że po prostu nie była w stanie zdobyć się na kolejne przeprosiny. Cóż, przynajmniej komuś wyjdą na dobre nadgodziny, których wymagała od niej ta

praca.

W dużej mierze owa praca opierała się na założeniu, że stan dawcy się nie poprawi. Czasami jej wielogodzinna harówka szła na marne, czasem jednak istotnie skracala odstęp czasowy między śmiercią a przekazaniem organu, co było sprawą pierwszej wagi. Mógł się rozpocząć drugi etap, o ile wszystko przebiegło zgodnie z planem. Biedna Lucy przeżyła już jedno rozczarowanie w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin: zespół już się szykował do operacji, by ostatecznie dowiedzieć się, że serce się nie nadaje - przy zgodności tkankowej II klasy, co brzmiało dobrze, lecz niestety, tylko brzmiało. Nie chciała, żeby Lucy musiała znowu to przeżywać.

Aż czterdzieści osób będzie zaangażowanych w tę sprawę, zanim operacja się odbędzie, a na tym etapie wciąż jest mnóstwo niewiadomych. Dzięki gorączkowej wymianie e-maili i niezliczonym rozmowom telefonicznym przełożona pielęgniarek, siostra Cook, wiedziała już, że do przylotu helikoptera pozostało mniej więcej dziesięć minut. Nacisnęła klawisz szybkiego

wybierania i po chwili uzyskała potwierdzenie, że serce powinno dotrzeć do nich w ciągu kolejnych piętnastu, dwudziestu minut od lądowania.

Koordynatorka przeszczepów serca spojrzała na zegarek: nieco ponad godzinę i dwadzieścia minut od momentu, kiedy chirurg pobrał od dawcy organ i umieścił go w specjalnym pojemniku transportowym, do chwili

gdy serce dotrze do Harefield. Nieźle, biorąc wszystko pod uwagę. Nie był to, ściśle rzecz biorąc, najlepszy sposób transportowania organów do przeszczepu, niemniej akurat nie dysponowali żadnym przenośnym systemem podtrzymywania życia, który pozwoliłby na przewiezienie dawcy, więc serce pobrano *in situ* i przewieziono do Londynu. Pierwszy zespół wykazał się niezwykłą skrupulatnością i oddaniem, jak zawsze. Ludzie kręcą nosem na publiczną służbę zdrowia, pomyślała po raz tysięczny Jane, ale gdzie indziej na świecie dostaliby taki serwis?

Przewidywała, że z racji tego, że jest niedziela, dwadzieścia minut krążenia nad Heathrow skurczy się do niecałego kwadransa.

- Jest niemal doskonałe — brzmiała powściągliwa ocena szefa zespołu, starszego kardiochirurga doktora Amela Azziza, gdy obejrzał dostarczone serce i wyniki badań. — Naprawdę nieźle — dodał z wyrazem satysfakcji na twarzy. „Bóg”, jak za plecami nazywał go cały personel, w ten lakoniczny sposób komunikował wszystkim, że jest w siódmym niebie i że jeszcze

nie jest najgorzej z tym naszym światem. Jane wiedziała, że w jego rękach Lucy King będzie bezpieczna.

-Zgodność tkankowa, grupa krwi, wszystko wygląda znacznie lepiej niż moglibyśmy oczekiwać. Zakładam, że sala już czeka, więc mogę iść się myć.

-Spojrzał na Jane ponad krawędziami szkieł „połówek”; było jej przyjemnie, że szef jest z niej zadowolony. — Chyba że jest jakiś problem, o którym powinienem wiedzieć?

-Skądże znowu. Wszystko w najlepszym porządku, panie doktorze.

-To „panie” miało zabrzmieć żartobliwie tylko w połowie. Jane już dawno zasłużyła na prawo zwracania się do niego po imieniu, lecz lubiła z sympatią mówić o nim „pan doktor” czy „sam szef”, rozmawiając o nim z innymi pracownikami.

-Ależ to się rozumie samo przez się, Jane. Mam do ciebie pełne zaufanie.

-W jego oczach zamigotały iskierki rozbawienia.

I to rzeczywiście rozumiało się samo przez się. Bądź co bądź, czyż nie jest najlepszą koordynatorką w kraju? Inaczej nie pracowałaby u samego „Boga”. Na płaszczyźnie zawodowej uważała go za ósmy cud świata, lecz przenigdy by się do tego nie przyznała. On zaś wiedział ponad wszelką wątpliwość, że ona nigdy nie zawiedzie zespołu. Nie zaniedbała najmniejszego szczegółu od momentu, gdy stwierdzono zgon dawcy w wyniku masywnego krwotoku mózgowego. Tomografia nie wykazała żadnej aktywności, dawcę pozostawiono pod respiratorem, lecz już bez

ducha. Od tamtej pory minęły godziny. Jako że miał przy sobie kartę dawcy, nikt nie musiał się zastanawiać co dalej. Ktoś z najbliższej rodziny, przebywający w szpitalu w momencie, kiedy stwierdzono jego zgon, podpisał zgodę na pobranie narządów do przeszczepu. Kopie wszystkich możliwych dokumentów trafiły już do właściwych teczek, a dane do komputera.

Znowu zadzwonił telefon. Kompletnie ją to zaskoczyło. Obdzwoiła wszystkich, wszystko sprawdziła, i to nie raz, ale dwa razy, tak dla pewności. Więc ten telefon mógł tylko oznaczać jakieś kłopoty. Azziz szukał jej wzroku, w jego oczach malowało się nieme pytanie. Kiwnęła głową, uśmiechając się ze spokojem, którego nie czuła.

- Cholera - pomyślała na głos i ugryzła się w język, zanim zdążyła użyć gorszego słownictwa, i to w obecności doktora.

Dzisiaj wieczorem rodzina nie zobaczy jej przy kolacji.

„Kolejny weekend w pracy, mamo - powiedziała mała Sarah. - Kiedy cię zobaczę, kiedy trochę z tobą pobędę?" - Objęła matkę za

szyję i nie chciała jej puścić, kiedy ta przyszła do niej rano powiedzieć, że musi wcześniej wyjść. Ludzie mający rodziny nie powinni pracować na takich posadach. Jane z trudem otrząsnęła się z tych myśli i w okamgnieniu skoncentrowała się na pracy, na powrót stając się uosobieniem profesjonalizmu. Odebrała telefon.

Zakończyła połączenie, naciskając palcem guziczek telefonu i zaledwie rozbrzmiał sygnał wolnej linii, szybko wybrała numer.

- Cześć, James. Możesz mi znaleźć kogoś na zastępstwo, byle szybko?

- Kilkakrotnie pokiwała głową, potem jeszcze raz, patrząc na doktora Azzi-za, powiedziała: - Och, to super - i odłożyła słuchawkę. Przewróciła oczami. - Akurat bez tego telefonu moglibyśmy się spokojnie obyć - wyjaśniła z irlandzkim akcentem, dzięki któremu w jej głosie wydawało się pobrzmiwać jeszcze większe przygnębienie. - Myślałam, że jest na dyżurze, przynajmniej wedle moich papierzysk, i usiłowaliśmy się z nim skontaktować, ale bez powodzenia. Najwyraźniej pana ulubiony immunolog spóźnił się o dzień z konferencji. Sekretarka nie może go

zlokalizować, ale zarzeka się, że dzisiaj miał świętować swoje urodziny. Ale cóż, doktor Lovell może go zastąpić

-jeszcze nie wyszedł ze szpitala i będzie tu za pięć minut, a przecież nie potrzebujemy go na długo.

Jane Cook była świetną pracownicą, zawsze, nawet i teraz, sprawiała wrażenie osoby całkowicie panującej nad sytuacją. Ale w duchu była zirytowana. Jest weekend, ona znowu siedzi w pracy, a ktoś inny ma wolne - czemu nie?

Ale żeby ten ktoś ot, tak przedłużał sobie weekend o cały dzień, to już gruba przesada! Oczywiście konsultanta nikt nie będzie szykanował. Niemniej uważała, że jak się ma dyżur, to się go ma i cześć! Bez względu na to czy się akurat obchodzi urodziny, czy nie. Już widziała pana immunologa, jak siedzi w eleganckim wiejskim pubie z kieliszkiem dobrego wina, w gronie rodziny, a na blacie stołu leży komórka, którą bezmyślnie wyłączył, żeby nikt nie psuł mu zabawy. Wciąż jednak się uśmiechała i gratulowała sobie, że w zespole, w którym pracuje, nie ma miejsca dla solistów: wszyscy są równie dobrzy.

Azziz patrzył na jej twarz. Widząc, że jej oczy pociemniały jak niebo w chwili, gdy księżyc chowa się za chmurami, dodał, zupełnie jak gdyby czytał w jej myślach.

-No cóż, sądzę, że możemy wybaczyć doktorowi Staffordowi nieobecność w takie święto, prawda? Każdemu zdarzają się małe wpadki, każdemu oprócz ciebie. Ty nigdy się nie zapominasz.

Urok Azziza i jego zaufanie do niej całkowicie

ją ułagodziły. Naprawdę nie ma się czym przejmować, James Lovell to pierwszorzędny lekarz i już jest pod ręką. Ona musi tylko poinformować o zmianie pacjentkę. Nie przypuszczała, by to stanowiło dla niej problem. Pan Azziz, jak zdała sobie sprawę, zapewne nie jest tym wcale zachwycony, ale jakoś to przeżyje. Lubił mieć przy sobie ludzi, których darzył sympatią i którym ufał, lubił też odrobinę polegać na Alexandrze Staffordzie. Na Sfinksie, jak go nazywał. „Może nie za dużo mówi, ale widzi absolutnie wszystko i wie więcej niż jest skłonny przyznać” — napomknął kiedyś w rozmowie z Jane, świadomy, że przychylniejszym okiem patrzyłaby na młodszego lekarza, gdyby był bardziej wylewny i mniej skryty. Najprawdopodobniej brała typową dla niego małomówność za zarozumiałość, a Amel wiedział, że zupełnie niesłusznie. „— To spokojny, rozsądny młody człowiek, ale nigdy w najmniejszym bodaj stopniu nieosądający poglądów i słabostek innych. Lubię go”.

Tak czy inaczej, pomyślała Jane, w tej chwili będą musieli jakoś sobie poradzić bez

wszechwiedzącego „Sfinksa”; albo znajdował się gdzieś, gdzie były jakieś zakłócenia, albo zniknął z eteru, żeby spokojnie obchodzić urodziny. Nie miała już nic do zrobienia w ciągu najbliższych dwunastu godzin, więc równie dobrze może coś zjeść i trochę odpocząć. Wciąż jednak była w pogotowiu, tak na wszelki wypadek, i jeszcze nie mogła wracać do domu.

-Nie martw się, Jane. Sam powiem o wszystkim pacjentce. - Mimo wszystko będzie rozczarowana. I chyba tylko on jeden wiedział jak bardzo.

Idąc do sali operacyjnej, zahaczył o jej salę.

-Lucy, wyglądasz dzisiaj wyjątkowo ślicznie. Przez kilka następnych godzin będziesz w rękach moich i Allaha.

Uśmiechnęła się do niego zza mgiełki premedykacji; rozsypane na poduszce kruczoczarne włosy tworzyły miękką aureolę dookoła bledziutkiej twarzy jak z romańskich portretów. Ani światła, ani cienia, rysy nieomal jak wymazane - a pan Azziz myślał właśnie, iż taki wygląd u kobiety, od dawna walczącej ze zdradziecką chorobą i właśnie jadącą na operację, która ma odmienić jej życie, jest czymś tak surrealistycznym, iż niemal nie do uwierzenia.

—Jakoś wytrzymam - przemówiła zaskakująco dźwięcznym głosem - tych kilka godzin, kiedy będę gościem pana i Allaha.

Mimo to pod jej pozorną pewnością siebie chirurg dostrzegł przebłysk strachu.

— Teraz wybierzemy się w pewne czarodziejskie miejsce, wszyscy razem.

-Popatrzył na Lucy tak, jak patrzy się na nadzwyczajnie inteligentne dziecko.

-Doktor Stafford, choć mówię to z wielką

przykrością, chwilowo nie może do nas dołączyć. Najwyraźniej ma dzisiaj wolny dzień i nie sposób się z nim skontaktować, a może po prostu jeszcze nie wrócił ze służbowego wyjazdu. Tak czy inaczej wiem, że miał być przy tobie i wspierać cię, że chciałby tu teraz być. Tym razem to ja sprawdziłem zgodność tkankową, a dodatkowo ściągnęliśmy na dzisiaj doktora Lovella. Najpóźniej pojutrze odzyskasz doktora Stafforda - a do tego czasu i tak niewiele będzie do ciebie docierało.

Lucy strasznie przygnębiła ta wiadomość. Miała wiele szacunku dla doktora Stafforda, a w ostatnim tygodniu zauważyła, że zdążyła przywyknąć do jego stałej bliskości. Pomyślała, że to najłagodniejszy człowiek, jakiego kiedykolwiek poznała; i że wolałaby nie wyruszać w tę swoją podróż w mroki nieznanego pozbawiona jego wyjątkowej, jasnej obecności. Ale cieniutki woal energii, za którym się ukryła, wszyscy uznali za efekt działania premedykacji - oprócz pana Azziza, któremu, podobnie jak Alexowi, nie umykała żadna najsubtelniejsza nawet zmiana. Azziz uśmiechnął się i poklepał jej szczupłą dłoń.

Jane Cook uważała, że to wręcz zadziwiające, jak szybko, niemal niepostrzeżenie rozwiązał wszelkie wątpliwości, które mogły w ostatniej chwili ogarnąć Lucy w związku z samą operacją. Jego niezmacony, zdawałoby się, spokój w pewnym stopniu wszystkim dodawał otuchy, personelowi i pacjentom na równi. Kazał im wierzyć, że dopóki są w jego rękach, wszystko musi się

udać, pomimo groźnie brzmiących ostrzeżeń, które dostawał każdy pacjent, zanim podpisał zgodę na operację. Amel, bardziej niż jakikolwiek inny chirurg, z którym Jane miała okazję pracować, był po prostu wyjątkowy.

Zadzwoni do Sary po przerwie na herbatę. Po południu ojciec miał ją zabrać do parku, a już nie lało tak jak w zeszłym tygodniu. Zgarnęła z biurka stertę dokumentów i ruszyła w kierunku oddziału.

Kiedy upychali jej włosy pod jednorazową czapkę i przekładali ją na wózek, Lucy zerknęła — nie mogąc na niczym na dłużej zatrzymać wzroku - na mgliste kolory patchworkowej kapy. To jej życie, pomyślała, które miesiącami zszywała z małych kawałków, odkąd wróciła z Kolumbii z chorobą Chagasa. Miała dwadzieścia osiem lat, a przez trypanosomozę wyglądała na dziewiętnaście; lecz niczym mądra stara kobieta przyjmowała każdy dzień takim, jaki jest. Całymi tygodniami opowiadała różne historie nie słowami, lecz skrawkami materiału, zależnie od nastroju to pastelowymi, to w kolorach żywych jak barwy drogich kamieni. Spojrzenie jej

olbrzymich, zmęczonych oczu spoczęło przelotnie na ostatnim kwadracie: skrzydlate serce wznoszące się ku maleńkiemu sierpowi księżyca na nocnym niebie. Chciała, aby przypominało jej matkę, która, kiedy Lucy była jeszcze malutka, wyruszyła na swój ostatni lot - matka miała z niego nie wrócić, a córka miała nigdy nie dojść do siebie. Moment, który na zawsze odmienił jej życie. Teraz jednak, w mglistej przestrzeni, do której przenosiły ją anestetyki, ujrzała uskrzydłone serce w nowym świetle, dotyczącym jej samej, nad czym nigdy wcześniej się nie zastanawiała. Powieki same jej opadły i odpłynęła w boski sen.

LUCY WYCZUŁA JEGO OBECNOŚĆ, ZANIM JESZCZE OTWORZYŁA OCZY. PACHNIAŁ JAK nikt i nic innego w całym szpitalu: wetywerią, a może bergamotką, pomyślała. Uśmiechnęła się, jeszcze przez moment mocno zaciskając powieki. Potem rozchyliła je i powiedziała:

-Na pewno usłyszę, że dzisiaj wyglądam lepiej niż kiedykolwiek. - Głos miała schrypnięty i zupełnie niepodobny do tego, jak zwykle brzmiał. Leżała na oddziale intensywnej opieki medycznej, ciało bolało ją w miejscach, z którymi nigdy nie czuła się szczególnie związana, lecz z rozbawionego spojrzenia Alexa wyczytała, że znalazła w sobie dość siły, by przesycić te słowa dostateczną dawką ironii. I pomimo sińców, rurek i rozplatanego skalpelem klatki piersiowej, czuła przyjemną senność.

-Wyglądasz naprawdę nieźle jak na kogoś w ósmej czy dziewiątej godzinie od operacji.

Jego głos był czysty i łagodny jak zawsze, ale

zmęczony. Wiedziała też, że nie powiedział jej prawdy, nie musiała nikogo pytać, jak wygląda, by wiedzieć, że wygląda dokładnie tak, jak się czuje: jak ktoś ciężko ranny. Jednak Alex patrzył na nią ze spokojem, który podniósł ją na duchu. Zauważyła co prawda, że oczy spoglądające na nią znad sterylnej maski straciły swój blask, lecz wciąż patrzają na nią ciepło, pokrzepiająco.

Przysunął się do łóżka.

-Tylko nie wyobrażaj sobie, że będę się nad tobą litował. Myślałem, że zastanę cię już na nogach, ćwiczącą na bieżni. Moja sekretarka dostała pilną wiadomość, że twoja operacja miała się planowo odbyć w zeszły piątek. Nie

wierzę, że mogłabyś chcieć ją odwlekać, a może w ostatniej chwili **naszły** cię jakieś wątpliwości? Co się stało?

Chciała odpowiedzieć, zapewnić go, że wcale nie obleciał jej **strach**, wyjaśnić, jak doszło do zmiany terminu. On jednak uśmiechnął się i **uciszył** ją, przyciskając palec do jej ust.

— Nie martw się. Wiem, że gardło wciąż cię boli po intubacji, więc wy pytam o wszystko pana Azziza. Chcę tylko usłyszeć, że u ciebie wszystko w porządku.

Głos odmawiał Lucy posłuszeństwa, ale tak bardzo chciała z nim porozmawiać.

— Chciałabym powiedzieć, że to prawda - odparła powoli. Nie śpieszy ła się, wciąż walczyła z efektem działania silnych środków przeciwbólowych, które sprawiały, że była strasznie senna. - Staram się udzielić inteligentnej odpowiedzi. Chociaż wolałabym, żeby pan doktor czytał w moich myślach.

- Była jak kot, który przeciąga się po zbyt długiej drzemce przed kominkiem.

-Och, no i to moje serce... Zupełnie o tym zapomniałam... Dzisiaj są moje urodziny, pierwszy dzień nowego życia.

— Cóż, może raczej wczoraj nad ranem, kiedy wyjeżdżałaś z sali operacyjnej. Wszystkiego najlepszego. Ja też miałem wczoraj urodziny, więc sama widzisz, że coś nas łączy.

Lucy uśmiechnęła się z lekkim niedowierzaniem.

— Pielęgniarka mi mówiła, że świętował pan urodziny w niedzielę, że pojechał pan na wieś na uroczysty lunch.

— Owszem, ale urodziny miałem wczoraj, dwudziestego drugiego września. - Alex nie miał siły zmierzyć się z „niedzielą na wsi”. - Wciąż czujesz się zmęczona po narkozie?

— Długo spałam, prawda? Od dawna pan tu jest? - Mówiła cicho, lecz całkiem wyraźnie. Leciutko poruszyła głowę, tylko odrobinę, bo wzdłuż jej szyi wciąż biegła cienka plastikowa rurka; i zauważyła, że przyniósł sobie jakąś książkę, a jedyne krzesło w sali jest przysunięte. Pewnie przy niej siedział. To było niezwykle,

przecież wiecznie gdzieś mu się śpieszyło. Do sali weszła kolejna postać w masce i zanotowała coś na jej karcie, którą następnie wziął Alex. Kiedy drzwi się otworzyły, Lucy poczuła cudowną woń żonkili, a może narcyzów? Gdzie te kwiaty i skąd się wzięły we wrześniu? Grace skądś je ściągnęła?

— Chciałem być przy tobie, kiedy się obudzisz. — Alex przez kilka chwil zajmował się notatkami, najwyraźniej czekając, aż pielęgniarka wyjdzie z sali.

- Pan Azziz prosił mnie, żebym wszystko sprawdził, zanim trafisz na stół operacyjny, a ja nie mogłem tu dotrzeć. Miałem poczucie, że cię zawiodłem, chociaż jak widzę, beze mnie poradziłaś sobie wręcz irytująco dobrze. - Przy niej łatwiej mu było żartować; jak zawsze nagrodziła go ciepłym uśmiechem. - W nocy kilka razy zaglądałem do ciebie przez drzwi, ale nie czekałaś na mnie. Spałaś.

-Lekarze też mają prawo do urodzinowego lunchu. A mnie i tak uciekł cały poniedziałek. Słyszałam, że był pan w Stanach?

-Wyrwałbym się z tego lunchu i przybiegł prosto do ciebie, Lucy. Po prostu... coś... się wydarzyło. Byłem potrzebny rodzinie.

Głos Alexa przez sekundę brzmiał zadziwiająco niepewnie; i nie wiedziała, jak to rozumieć. W jego odpowiedzi zawierał się komplement, ale i zagadka. Różnica między tym pierwszym a tym drugim szybko się jednak zatarła, zaledwie Alex odwiesił jej kartę i spojrzał na nią spokojnym wzrokiem.

-Sprawdziłem, jakie leki ci podają, przejrzałem wyniki badań zgodnie

ści tkankowej i OB. Jeszcze nie czytałem protokołu operacyjnego, ale zamie nię słówko na twój temat z doktorem Azzizem albo z doktorem Denhamem. Coś mi się wydaje, że mieliśmy niesamowity fart. Jak rozumiem, nie dostałaś serca, które miałaś planowo dostać, ale inne, być może nawet lepsze. Dwóch odpowiednich dawców w tak krótkim czasie? Ty to masz szczęście.

Prawdę mówiąc, to Lucy czuła się jak po koszmarnym wypadku samochodowym; leki przeciwbólowe nie tyle znosiły, ile raczej nieco uśmierzały ból. Czuła się odmieniona i miała wrażenie, że Alex także jest dzisiaj inny niż zawsze. Nie potrafiła określić, na czym polega ta nieuchwytna zmiana; wydawał jej się dziwnie obcy, odarty ze zwykłego spokoju i wewnętrznej siły. Ona z kolei czuła się fizycznie słaba i potwornie szybko się męczyła. Niemniej pokusiła się o żart, usiłując wykrzesać z siebie bodaj krztynę energii.

-Dzisiaj niech się pan nie martwi o resztę świata. Nigdzie się nie wybieram. Powinien pan

zafundować sobie taki koktajl - dodała, wskazując kroplówkę - i położyć się do łóżka. Wygląda pan na wyczerpanego. Jak po ciężkiej podróży. — Była odurzona lekami, on miał na twarzy maskę, lecz mimo to widziała, że jest zmęczony, jak gdyby długo nie spał, może nawet od kilku dni. Był przystojnym mężczyzną o regularnych rysach, zawsze dla wszystkich uprzejmym. Pielęgniarki ciągle o nim plotkowały. Dzisiaj jednak wyglądał upiornie — oczy miał zaczerwienione i podkrążone.

-Może i powinienem. — Zaśmiał się, lecz było mu przyjemnie, że ona tak się o niego troszczy. — Może zajrzę do ciebie wieczorem, a jutro pewnie

będziesz już na oddziale pooperacyjnym. Wpadniemy do ciebie z doktorem Denhamem i razem ci wytłumaczymy, jakie antybiotyki musisz brać i dlaczego, co musimy zrobić, żeby uniknąć zakażeń pooperacyjnych. - Poprawił cienką kołdrę, którą była przykryta. - Może coś ci przynieść? - Maską fachowości, za którą ukrywał się człowiek, znowu wróciła na swoje miejsce. - Przez dzień czy dwa nie wolno ci jeść, więc o pieczeni wołowej z puddingiem z Yorkshire, tonącym w mięsnym sosie, na razie możesz tylko pomarzyć.

Lucy była wegetarianką, o czym doskonale wiedział; pomyślała o ciotkach, które, kiedy było jej smutno, przygotowywały dla niej jej ulubione potrawy; i od razu poprawił jej się humor.

-Nie, dziękuję. Czy jutro mogłabym się napić herbaty cytrynowej? Mam na nią straszliwą ochotę.

-Hm. Dobry wybór. Musisz się rozsmakować w napojach, w których nie ma kofeiny. - Uśmiechnął się z aprobatą. - Nabiał też niestety odpada, Lucy. Podejrzewam, że jutro pod wieczór odwiedzi cię dietetyczka. Dieta niskotłuszczowa

nie jest ci obca, to już wiem. Tylko pamiętaj, że odtąd ma być też niskosodowa. Prednizolon podnosi poziom glukozy, więc musimy go bardzo pilnować.

- O grejpfrutach pewnie też muszę zapomnieć z powodu tego czy innego leku? - zażartowała, doskonale pamiętając jego wytyczne na temat diety.

- Przepraszam. Wiem, że się powtarzam, ale takie rzeczy łatwo wylatują z głowy. Jest dużo do spamiętania. — Alex roześmiał się, ku swojemu zaskoczeniu, najzupełniej szczerze. — Tak, na grejpfruty masz szlaban ze względu na cyklosporynę. Ale czekaj, ty chyba przez kilka lat studiowałaś balet, prawda? Nie sądzę, żebyś przysparzała nam kłopotów swoimi nawykami żywieniowymi. Byłoby dobrze, gdybyś mogła troszeczkę przybrać na wadze. - Lucy wciąż była boleśnie chuda.

- Chciałem pani życzyć miłego ranka, panno Lucy King. Ale cóż, z rana zrobiło się południe. - Doktor Azziz, też w masce, bezgłośnie pojawił się w progu, ubrany w sterylny fartuch, tym razem biały, a nie jak zazwyczaj niebieski. -

Czujesz się tak, jak gdybyś wybrała się do Szmaragdowego Miasta i wróciła z niego z nowym sercem i odwagą lwa? - Każde słowo wypowiadał z pietyzmem, w pełen namaszczenia sposób, co nadawało jego wypowiedziom dobroduszny charakter.

-Zatem miłego popołudnia, drogi Czarodzieju. Czuję się... trochę jak pijana. - Lucy rozpromieniła się, mając przy sobie dwóch swoich ulubionych

lekarzy. Wobec uwagi, jaką jej poświęcali, jej fizyczne bolączki wydawały się maleć i niknąć w oczach. Przez niewielkie okno do sali intensywnej opieki medycznej sączyło się światło, rozpraszając się jak w pryzmacie, rozbłyskując kolorami niczym z jej patchworkowej kapy. Może to wiadomość od bogini tęczy, pomyślała Lucy, że jestem na najlepszej drodze do powrotu do normalnego życia. Z zaskakującym spokojem oznajmiła: — Miałam sen, który tak bardzo wykraczał poza ludzkie pojmowanie, że nie sposób go opowiedzieć. - Słowa same wyrwały jej się z ust.

Alex i Amel Azziz popatrzyli na nią bardzo poważnie; potem starszy chirurg uśmiechnął się i zwrócił do immunologa.

- Doktorze Stafford...

Alex natychmiast zrozumiał te niewypowiedziane kondolencje. Wnosząc z miny Azziza, ten o wszystkim już wiedział. Jednak chirurg powiedział tylko:

— Miło pana widzieć. Proszę wpaść do mnie na słowo w wolnej chwili.

Alex skinął głową, a chirurg ponownie

zainteresował się Lucy.

— No dobrze. Zostawię panią, proszę odpoczywać. Sądzę, że jutro rano możemy panią wypuścić z oddziału intensywnej opieki, wygląda pani za dobrze, żeby u nas leżeć! Tylko proszę mi się nie forsować; właśnie wraca pani z podróży dookoła świata, że się tak wyrażę. Jakby co, będę w swoim gabinecie, doktorze Stafford. - Mówił powoli, bez cienia pośpiechu, chwilę później jednak zniknął jak duch. Jeszcze tylko zza przymykających się drzwi napłynęła kolejna fala słodkiego zapachu.

-Te kwiaty w holu, które tak pachną... Wszędzie bym je poznała. To narcyzy. - Lucy nie mogła przestać o nich myśleć. — Przyniósł je ktoś z moich znajomych? Swoją drogą nie mam pojęcia, gdzie można je teraz kupić. Wiosenne kwiaty jesienią? Chociaż w Sydney zaczynały rosnać w samym środku zimy.

-Ale masz nosa. Są z kwiaciarni Libertys. Oni zawsze mają coś ciekawego. To tylko skromne przeprosiny za to, że

przegapiłem całe przedstawienie. Nie mogę postawić ich tutaj, przy tobie, ale cieszę się, że sprawiłem ci przyjemność. To taki symbol nowej wiosny, Lucy. Jutro albo pojutrze powędrują za tobą do twojej nowej sali. Ale cóż, najwyższa pora przestać zamećzać cię rozmową i dać ci trochę odpocząć. Postaram się jeszcze tu do ciebie zajrzeć, o ile nie wezwą mnie do drugiego szpitala.

Po chwili Lucy została sama. Zastanawiała się, czemu kupił jej kwiaty i dlaczego ten gest tak wiele dla niej znaczy, lecz trudno jej było zebrać my-

śli, gdyż umysł wciąż miała jak zasnuty mgłą. To chyba dość niezwykle, żeby lekarz kupował pacjentce bukiet kwiatów? pomyślała, lecz natychmiast zakazała sobie takich myśli. Był po prostu miły, jak dla każdej innej pacjentki. W zeszłym tygodniu podarował książkę pani Morris, jej sąsiadce z sali, a tydzień wcześniej dał przełożonej pielęgniarek piękne cymbidium na urodziny. Zresztą Lucy rzadko pozwalała sobie na obdarzanie kogoś uczuciem. Gdy tylko miała wrażenie, że zaczyna ją z kimś łączyć coś poważniejszego, robiła pełny odwrót i wiała ile sił w nogach. Teraz jednak pozwoliła zmysłom utonąć w wonnym powietrzu, zagubić się w pajęczynie majaków płytkiego snu, marząc o drugim końcu tęczy.

W MIESZKANIU PANOWAŁA POSEPNNA,
CIEŻKA ATMOSFERA, GDY NAGLE
POWIEW

wiatru poruszył zasłoną, odsłaniając otwarte okno. Piękno tego jesiennego wrześnieowego dnia, słońce wlewające się do salonu, zapach białych peonii, które ktoś ustawił na fortepianie, a których

zapach owiał teraz Sian siedzącą apatycznie na sofie, wydały jej się dziwnie nie na miejscu. Gdy telefon znowu zaczął dzwonić, zakryła uszy. W tej samej chwili z niewielkiej kuchni wyłonił się Calvin i z kubkiem w ręku podbiegł do aparatu.

- Halo? Przepraszam, ale... Dzięki za kondolencje, przekażę jej, że pan dzwonił. Akurat nie może podejść do telefonu. — Przez chwilę słuchał tylko, a potem przerwał rozmówcy. - Tak, jeśli chodzi o piątek, to najlepiej za dzwonić do jego brata. - Calvin wyrecytował numer i pożegnał się w rekordowym czasie.

Sian spojrzała na niego z wdzięcznością; twarz miała w plamach. — Jesteś kochany, że załatwiasz to za mnie. Tak mi przykro. Nie mogę uwierzyć, że aż tak mnie to rąbnęło. Jakim cudem wszyscy już się dowiedzieli?

- Oczywiście, że przeżyłaś wstrząs. Jak długo byliście razem? Kiedy traci się kogoś, z kim było się tak długo, nie wzrusza się ramionami i nie mówi: ot, takie życie. — Podał jej kawę, potem sięgnął po

swoją kurtkę i klucze. - Słuchaj, podjadę do sklepu po coś na lunch. Może miałabyś ochotę na kurczaka z rusztu i sałatkę? - Czekał na jakąś reakcję, ale Sian go nie słuchała. Sięgnął po karteczkę, która była dołączona do peonii, i włożył jej w rękę. - Tylko nie zapomnij, że brat Willa prosił o telefon.

Jeszcze nie wyszedł z mieszkania, gdy odezwała się jego komórka.

-Boże, czy oni nie mogą dać nam świętego spokoju? Chociaż przez dzień czy dwa? — Sian była u skraju wytrzymałości. Te wszystkie kondolencje

jeszcze bardziej ją przygnębiały. Tego już za wiele. To już nawet nie można wziąć wolnego dnia z pracy, żeby wszyscy natychmiast nie dowiedzieli się, z jakiego powodu? Swoją komórkę wyłączyła, lecz najróżniejsi znajomi jakiś cudem zdobyli numer Calvina i wypytywali o nią, zadrezczając ich tymi swoimi dobrymi intencjami. Jednak tym razem Calvin tylko pokręcił głową na znak, że to do niego, i pomachawszy jej na pożegnanie, zamknął za sobą ciężkie drzwi.

TO JAKAŚ PODEJRZANA HISTORIA. -
ŚCISZYŁ GŁOS I SZYBKIM KROKIEM
ruszył przez hol rozłożystego wiktoriańskiego budynku, chcąc znaleźć się na dworze, gdzie nikt nie mógłby podsłuchiwać. Na uliczkach przy placu było nienaturalnie cicho. - Najpierw ginie mój kuzyn. Potem ktoś się włamuje do domu jego ojca. Miałeś z tym coś wspólnego? Z tym włamaniem? Ja rozumiem, że wszystkim nam zależy na tych informacjach, ale Bóg mi świadkiem, trudno o gorszy moment.

-Wiem, Calvin. - W głosie jego rozmówcy

brzmiał niezmacony spokój. - Pierwsze słyszę o jakimś włamaniu. Ale wierzę w ciebie całym sercem. Profesor Walters też.

-Nie martw się, Guy. Zdobędę ten klucz. Pewnie trafi teraz do jego ojca. A na razie pokręcę się tutaj i zobaczę, może czegoś się dowiem. Ale okażmy choć trochę szacunku.

-Nie zawieź nas, Calvin. Dokumenty, do których naszym zdaniem doprowadzi nas ten klucz, są w najwyższej mierze poufne. To nasza szansa, żeby dowiedzieć się wszystkiego. Poza tym mam coraz większe naciski z góry. Wiesz, że wbrew temu, co twierdzi o sobie F.W., nie zawsze bywa cierpliwy.

Calvin pomyślał, że zabrzmiało to dość nerwowo.

-Wierz mi, Guy, nie po to zainwestowałem w tę sprawę tyle czasu, żeby... - urwał, szukając właściwych słów - .. .wycofać się z niej z pustymi rękami. Jako niemalże członek rodziny, będę w piątek na pogrzebie. Odezwę się do ciebie jakoś po weekendzie, ale nie popędzaj mnie. To delikatna sprawa,

muszę najpierw zdobyć ich zaufanie, zanim będę mógł wam pomóc.

- I sobie też, Calvin. Nie zapominaj, o jaką stawkę tutaj grasz. - Rozległo się kliknięcie i połączenie zostało przerwane.

W GABINECIE OPRÓCZ AMELA ALEX ZASTAŁ TAKŻE COURTNEYA DENHAMA, ślęczącego nad wynikami badań któregoś z pacjentów.

-Przyjdę później. - Alex odwrócił się na pięcie.

-Nie ma takiej potrzeby, człowieka, już skończyłem. Pewnie miło ci będzie usłyszeć, że operacja Lucy King przebiegła nadspodziewanie dobrze. Może pod względem zgodności tkankowej to drugie serce nieco ustępuje temu, które początkowo dla niej przeznaczaliśmy, ale pod każdym innym względem jest lepsze o całe lata świetlne. To twarda dziewczyna, będzie walczyć.

Alex patrzył na niego ze szczerą sympatią. Courtney pochodził z Trynidadu, a jego głos, pomimo lekkiego akcentu z ojczystych stron - a może właśnie dzięki niemu - był niezwykle melodyjny i zawsze pełen humoru, czego Alex potrzebował zwłaszcza dzisiaj. Trynidadczyk był ponadto wybitnym kardiologiem.

Podszedł do Alexa i uściśnął mu dłoń.

-Już słyszałem, Alex. Współczuję. Will był wyjątkowym człowiekiem. I miał niecodzienne poczucie humoru. Zawsze je podziwiałem.

Alex nie zdobył się nawet na ciche podziękowanie, ale wyraził wdzięczność,

przedłużając uścisk dłoni. Courtney wyszedł z gabinetu.

-Co ty tutaj robisz, Alex? Sekretarka miała ci przekazać, że możesz się dziś nie pokazywać w szpitalu. Damy sobie radę bez ciebie, no, przynajmniej przez jakiś czas.

-Tak jest mi łatwiej, Amel; przynajmniej czuję się potrzebny. Poza tym Lucy nie ma rodziny w Wielkiej Brytanii, więc potrzebuje nas bardziej niż inni pacjenci. Wsparcie krewnych to taka ważna część opieki pooperacyjnej, a ona jest go całkowicie pozbawiona. Ja rozumiem, że jej współlokatorka jest dla niej prawie jak siostra, ale to nie to samo. Z przyjemnością robię to, co do mnie należy.

Ktoś inny, chcąc zachować się taktownie, zapewne unikałby rozmowy na bolesny dla Alexa temat, lecz Amel dobrze znał swojego młodszego kolegę.

-Słyszałem, że to był wypadek. Już wiesz, jak to się właściwie stało?

Alex z ulgą przyjął to pytanie. Nie mógł zagłębiać się w takie szczegóły,

rozmawiając z ojcem, który w odstępie niecałego roku stracił żonę oraz syna i jeszcze nie zdążył się po tym wszystkim pozbierać. Nie odpowiadał, gdy Alex pytał o raporty policyjne i zeznania ewentualnych świadków.

- Will miał podobno uderzyć w most nad wezbraną rzeką, przy gęstej mgle. Policja sugeruje, że najprawdopodobniej był zmęczony i nie zachował należytej ostrożności. - Powiedział to bez emocji, a potem podniósł wzrok na Amela. - Ale jakoś trudno mi w to uwierzyć. Will był doświadczonym motocyklistą. Gdyby był zmęczony - zbyt zmęczony, żeby prowadzić - zjechał-

by na pobocze. Żył niebezpiecznie, przyznaję; **ale** wiedział, gdzie jest granica między odwagą a szaleństwem.

- Mgła nie mogła trochę jej zatrzeć?

- Znał tę rzekę; znał tam każdą dróżkę jak nikt inny. Po prostu nie wierzę, że mógłby popełnić tak poważny błąd w ocenie sytuacji. Jak ktoś, kto zjeździł całe Włochy, Francję i Grecję bez jednej choćby stłuczki, mógłby popełnić taki tragiczny błąd zaledwie o milę od domu?

Amel patrzył na niego z powagą.

- Alex, czy ty podejrzewasz, że to mógł nie być zwykły wypadek? - Stałoby za nim murem i bronił przed każdym, kto zarzuciłby mu nadmiernie wybujałą wyobraźnię. Znał Alexa i wiedział, że nigdy nie dopatruje się on spisku tam, gdzie go nie ma.

- Przyznaję, że ciągle się zastanawiam, czy najpierw nie uderzył w niego jakiś inny kierowca. Znalazła go sąsiadka, udzieliła mu pierwszej pomocy i wezwała karetkę. Mówiła potem ojcu i policji, że mógł tam być jeszcze jeden pojazd, że chyba słyszała jakiś silnik. Ale nie była pewna, a ja nie chcę ojca dodatkowo dręczyć. Niemniej

uwazam za dość prawdopodobne, że ktoś go potracił, a potem spanikował i uciekł z miejsca wypadku.

Alex, przynajmniej z pozoru, wydawał się całkiem nieźle radzić sobie z tą tragedią; podobnie jak ze śmiercią matki niespełna rok wcześniej. Amel wychwycił w jego głosie nutkę napięcia, lecz znał go zbyt dobrze, by liczyć na szczere zwierzenia.

-Zostaw to policji, Alex. — Podszedł i oparł dłoń na jego ramieniu.
- Pozwól sobie na żałobę po bracie. Przykro mi, że nie zdążyłem go poznać. Słyszałem o nim same dobre rzeczy, wszyscy są wstrząśnięci jego śmiercią. Ale chciałbym przyjść na pogrzeb, ze względu na ciebie, o ile nie masz nic przeciwko temu?

Alex, który uważał Amela za najbardziej zapracowanego człowieka pod słońcem, był szczerze wzruszony. Minęła chwila, zanim zdołał zapanować nad głosem.

-To bardzo miło z twojej strony, Amelu. Cieszyłbym się, gdybyś tam był, oczywiście o ile

uda ci się wyrwać z pracy. — Alex wpatrzył się w swoje dłonie. — Nawet nie zdążyłem się zastanowić, jakiego pogrzebu chciałby Will. Nie było kiedy.

-Pogrzeby są dla żywych, Alex, nie dla zmarłych. Liczy się to, co ten dzień ma dać tobie, twojemu ojcu i przyjaciołom. O to się martw, o waszą

potrzebę, aby się z nim pożegnać. - Amel wiedział, że Alex nie jest człowiekiem wierzącym: otwarcie przyznawał się do ateizmu. — Will podzielał twoje poglądy na temat wiary? A może powinienem powiedzieć: jej braku?

- Chyba wolałby usłyszeć na pożegnanie cytaty z Shakespeare'a niż jakiś fragment z Biblii - mówił Alex do swoich myśli. - Duchowość nie była mu obca, ale podchodził do niej w dziwny, niesformalizowany sposób. Ostatnia wiadomość, jaką od niego dostałem, dotyczyła starej Biblii po naszej matce; a w jego kurtce znalazłem pocztówkę z Chartres, ksero *Pieśni nad pieśniami*, po francusku. Ja już nic nie wiem.

- Podoba mi się pomysł z Shakespeare'em. Niech każdy sam się martwi, co powiedzieć. Ale wiesz, podoba mi się to, co Hamlet tłumaczy Horacju-szowi: „Więcej jest rzeczy w niebie i na ziemi...”*

Alex zaśmiał się cicho. Wiedział, że Amel, wielki chirurg, jest zarazem człowiekiem o szerokich horyzontach i głęboko wierzącym. I szanował go za to - mimo iż nie podzielał jego wiary. Amel powiedział kiedyś, że Allah patrzy

rozbawiony, jak ludzie szamoczą się, usiłując znaleźć klucz do nieodgadnionych tajemnic wszechświata — że przygląda się ich poczynaniom niby pobłażliwy ojciec - Darwinowi i jego następcom. Dla Amela Bóg i Nauka nie były siłami przeciwstawnymi. Uważał, że nauka daje ludziom narzędzia, które pomagają im odkryć własne, niewiele ustępujące boskim, możliwości. Niemniej wciąż mamy przed sobą długą drogę, dodał.

Alex popatrzył na jego ciepłą, mądrą twarz. Cieszyłby się, gdyby ten wyjątkowy człowiek był przy nim podczas piątkowego pogrzebu. I w jakiś sposób na pewno byłoby mu lżej.

* *Hamlet*, W. Shakespeare, przeł. S. Barańczak (przyp. tłum.).

CRABTREE LANE PROWADZIŁA NAD RZEKĘ, KTÓRA W WEEKENDY STAWAŁA SIĘ małą oazą spokoju, jak gdyby od stolicy dzieliły ją dziesiątki mil, choć tak naprawdę leżała w centrum miasta. Owego chłodnego październikowego wieczora u styku wody z ziemią kładła się rzadka mgiełka. Alex zaparkował samochód przed zabytkowym budynkiem, pamiętającym kochliwego Karola II, który przeszło trzy wieki wcześniej pojawiał się nad Tamizą z coraz to inną kochanką. Z niewielką pomocą finansową rodziców Alex i Anna zbierali kwotę potrzebną na depozyt i przed ośmioma laty, kiedy czekali na narodziny Maxa, kupili dom stojący naprzeciwko. Położony nad wodą, którą Alex kochał, i w miarę blisko jego pracy, miał w sobie coś z wiejskiego domku, a ten rustykalny klimat od razu urzekł Annę. Ona i ich syn wciąż tam mieszkali i chwilami Alex żałował, że cała ta trójka - Anna, Max i dom, przed którym rosły dwa piękne drzewa - już nie czeka na jego

powrót, już nie należy do niego. To nie tak, że wcześniej ich nie doceniał. Po prostu zawód transplan-tologa wymaga całkowitego oddania i niezliczonych godzin w szpitalu, a on to akceptował. Zajęty praktyką i pracami badawczymi nie zauważył, że jego życie rodzinne rozpada się powoli, że on sam zaniedbuje młodą żonę i malutkiego synka. Anna nie była mściwa, nie robiła mu wyrzutów z powodu tego, czego nie był w stanie zmienić; ale któregoś dnia obudzili się, wiedząc, że to co kiedyś ich łączyło, odeszło bezpowrotnie. Obyło się bez wrogości, bez kłótni o prawa do opieki nad dzieckiem i o finanse, pozostał tylko cień smutku, że dwoje inteligentnych ludzi nie zdołało uniknąć pułapki, którą jest stawianie pracy zawsze na pierwszym miejscu. Zawsze.

MAX BYŁ JAK NA SWÓJ WIEK DOŚĆ WYSOKIM CHŁOPCEM, MIAŁ ZIELONOBRAZOWE oczy podobne do oczu ojca. W podskokach pobiegł do holu, kiedy Alex zadzwonił do drzwi, żeby zabrać go na weekend.

- Muszę ci coś pokazać, coś ekstra! - Wciągnął ojca na schody, zanim ten zdążył zdjąć płaszcz. - Grałem w tych nowych Simów, których mi kupiłeś. Nie uwierzysz, co oni wyprawiają, tato.

Anna pojawiła się, zanim jej syn zdążył wciągnąć gościa do swojego pokoju. Jasne włosy miała schludnie upięte nad karkiem, ubrana była prosto, lecz elegancko, w długą kremową koszulę wypuszczoną na wierzch i spodnie w identycznym odcieniu. Wyglądała tak, jak gdyby miała za chwilę gdzieś wyjść, lecz w jej głosie i zachowaniu nie było pośpiechu, co sprawiło Alexo-wi niemałą przyjemność.

- Skończyłeś na dzisiaj, Al? Może napijesz się wina? - Z troską patrzyła na byłego męża, dla którego zawsze miała czas i dużo szacunku z racji tego, jak dobrym ojcem wciąż był dla Maxa. Wyglądał na zmęczonego, jak gdyby nie dosypiał od miesiąca - i najpewniej tak właśnie było. Bez

względu na to, jakie demony spędzały sens z oczu biednemu Alexowi, radził sobie z nimi sam. Nikomu nie zwierzał się z tego, co dzieje się w jego głowie i w sercu. Skrytość stała się jego drugą naturą i - zdaniem Anny — najgorszą wadą.

-Z przyjemnością, Anno, dzięki. To był wyjątkowo długi dzień. - Poszedł za nią do kuchni. - Dzwonił ojciec. Mówił, że uciał sobie nieoficjalną pogawędkę z patologiem, chociaż oficjalnie dochodzenie potrwa jeszcze parę miesięcy. Siedziałem w pracy od szóstej rano, a wieczorem chciałbym jeszcze zrobić porządek z resztą rzeczy po Willu, ciągle się o nie potykam. Część spokojnie można oddać biednym. Aha, firma ubezpieczeniowa odprowadziła dzisiaj jego motocykl, wymaga tylko drobnej naprawy. Jeszcze nie zdecydowałem, co z nim zrobić. Chyba wywiozę go na wieś, a potem zastanowię się, czy go nie sprzedać. To cały Will, nie uważasz? Wprowadzić to się umie, ale wyprowadzić to już nie, zawsze nazostawia swoich rzeczy. Część u mnie, część Bóg wie gdzie. Zalegają u mnie od maja. Jak je widzę,

jestem kompletnie rozstrojony.

Zauważyła, że jego głos brzmi całkiem spokojnie. Podała mu kieliszek.

-Może ci pomóc? Niełatwo będzie to wszystko uporządkować. — Po wiedziała to w taki sposób, że nie zabrzmiało to jak pytanie, czy Alex byłby skłonny przyjąć jej pomoc, ale raczej czy chciałby o tym wszystkim porozmawiać. Max wciąż stał przy ojcu i ciągnął go za rękaw, wcale nie chcąc się

z nim rozstawać - co Anna doskonale rozumiała. Jednak czuła też, że to jest wyjątkowy moment, który zaraz przeminie, jeśli nie zdoła przekonać syna, żeby dał im chwilę spokoju.

-Max, daj tacie dziesięć minut, żeby mógł ze mną pogadać, a potem oboje przyjdziemy do ciebie i popatrzymy, jak grasz. — Trudno go było na mówić, żeby ich zostawił, dopóki nie napomknęła, że w domu Simów może wybuchnąć pożar albo pan Sim nie będzie miał jak dojechać do pracy - jeśli przez przypadek Max zapomniał wrzucić pauzę.

Max popędził do swojego pokoju, a Alex podążył za Anną po schodach do salonu, świeżo wyremontowanego i przemeblowanego. Jej ulubiony niegdyś rustykalny styl zastąpił schludny nowoczesny wystrój, dzięki któremu salon wydawał się większy i lżejszy. Białe lilie w ascetycznym szklanym wazonie, jedna pachnąca, biała świeca, która zdawała się wnosić do pomieszczenia atmosferę świętości, na ścianie obrazek w stylu rysunków Ingesa. W kominku było napalone; Alex usiadł ciężko w fotelu

stojącym niedaleko od ognia. Zaczął od pytań o syna: czy Max wypytywał ją o wujka, czy ona sądzi, że mały jakoś sobie z tym wszystkim radzi.

-Prawie tak samo jak ty. - W odpowiedzi Anny była i ironia, i smutek.

-Niewiele mówi, dopóki wprost się go nie zapyta. Słyszając jej krytyczny ton, Alex zdobył się na blady uśmiech.

-Porozmawiam z nim.

-Słyszałam, że formalności się przeciągają?

-Ta sprawa to jeden wielki koszmar. - Jak na Alexa to było wielkie wyznanie. - Wiesz, że do ojca ktoś się włamał, kiedy on był w szpitalu? Niezwykły zbieg okoliczności? - Anna skinęła potakująco. - Policja uważa, że to robota jakichś dzieciaków, bo zginęło trochę luźnej gotówki, trochę płyt kompaktowych, nic, co miałoby realną wartość, jak chociażby biżuteria mamy.

Anna dowiedziała się o wszystkim na pogrzebie; przerażona nie pojmowała, jak ktoś może być tak nikczemny. Szybko jednak zdała sobie sprawę, że widząc pusty dom, włamywacze, kimkolwiek byli, po prostu skorzystali z okazji, ani jednej myśli nie poświęcając okolicznościom

czy bólowi, który musieli przeżywać nieobecni domownicy. Jakże oni mogli? - Jak nie urok...

- zaczęła rozgoryczona.

- Ale już zauważyliśmy - wpadł jej w słowo - że brakuje dwóch czy trzech rzeczy. Paru starych książek mamy, które były w domu; w tym Biblii, którą dostała od babki i która była w rodzinie od pokoleń. Cennej, z tego,

co się orientuję, i nie do odkupienia. Upstrzonej notatkami na marginesach, z datami narodzin i śmierci, zapisywanymi od wielu, wielu lat. - Anna z niedowierzaniem kręciła głową. - I jeszcze maluteńkiego portretu, który od lat chcieliśmy dać do wyceny. Właściwie nie tyle obrazu, ile miniatury. Z damą w sukni ze schyłku szesnastego wieku, bardzo w stylu Hilliarda, aczkolwiek nie jego pędzla, jak nam się zdaje; i nikt nie miał zielonego pojęcia, kogo mogła przedstawiać. Ale już przepadło. A wiem, że mama była bardzo do niej przywiązana.

-Tak, chyba ją sobie przypominam, miała ciemnoniebieskie tło, prawie granatowe, jak nocne niebo, stała na biurku Diany. Czyli jednak włamywacze wiedzieli, co kraść, orientowali się, co ma jakąś większą wartość?

-Na to wygląda. Nawet policja powoli wycofuje się z początkowych podejrzeń. Poza tym w wiosce nikt nie wierzy, że to mógł być ktoś z miejscowych. Wszyscy są zgodni co do tego, że w Longparish tego rodzaju rzeczy się nie zdarzają. - Alex uśmiechnął się bez cienia

wesołości.

-Jak myślisz, jak będzie brzmiała ostateczna opinia policyjnego patologa, Al? — Teraz to ona musiała zapanować nad głosem; jeszcze nie pogodziła się ze śmiercią Willa. Minęły cztery długie tygodnie, a ona wciąż czuła się tak, jak gdyby miał zaraz zadzwonić. Jak mógł odejść ktoś, w kim było tyle życia? Will był dla niej największą stratą, poniesioną na skutek rozvodu z Alexem. Był dla niej bratem, o którym zawsze marzyła, i tym boleśniej przeżyła jego śmierć. Wobec niej zawsze serdeczny i wesoły, pobłażliwy wobec Maxa, zawsze pierwszy odpowiadał na jej telefoniczne S.O.S., jeśli Alex akurat był zajęty. Będzie okropnie za nim tęskniła. Czy ktokolwiek poza Bogiem zrozumie, co muszą teraz przeżywać Alex i Henry?

-Prawdopodobnie skończy się orzeczeniem śmierci z przyczyn naturalnych, w wyniku pęknięcia tętniaka mózgu. Chyba że krwotok wywołany był przez wcześniejszy uraz czaszki. To zmieniłoby kwalifikację na wypadek ze skutkiem śmiertelnym. Ale policja nie

doszukuje się w tym niczego nad
zwyczajnego. Głębokość wgnieceń na kasku
wskazuje na to, że nie jechał
zbyt szybko. Ot, pechowy zbieg okoliczności, on
zmęczony, gęsta mgła, tak
przynajmniej sugeruje policja. Ale jak ktoś w to
uwierzy, to da sobie wmó
wić i to, że Ziemia jest płaska.

Anna nie zdobyła się na odpowiedź. W pełni
się z nim zgadzała. Wyobrażała sobie, jak Will
rujnuje sobie kręgosłup, kaleczy przez nieuwagę
narzędziami, parzy się w rękę podczas gotowania,
bo gada przez cały czas. Ale

za nic nie mogła go sobie wyobrazić, jak nie mieści się w zakręcie czy pakuje się prosto w most na tym swoim motorze. On uwielbiał tę maszynę i jeździł z klasą. Gdy pierwszy raz przyjechał pokazać go jej i Maxowi, chichotała jak pensjonarka. „Nigdy nie miałem motoru, który tak łatwo byłoby poderwać; siedząc na nim, ma się poczucie, że przednie koło jest zawieszona na pętli, jak jojo, i można nim manewrować, w górę i w dół, samym tylko sprzęgłem: patrz na mnie!“. Śmignął przez całą Crabtree Lane, zawrócił i pomknął w ich stronę; przednie koło motoru co chwila odrywało się od ziemi przy wtórze pełnych zachwyty pisków jej syna, śmiechu Willa i ku zgorszeniu sąsiadów. Nie, pomyślała, on nie rozwaliłby tego motocykla. Za bardzo go kochał.

- Tato, prooszę chodź obejrzyć moich Simów!
- Max, niecierpliwie przestępujący z nogi na nogę na szczycie schodów, zdołał sprawić, że to „proszę" trwało całe wieki. - Tak wszystko poustawiałem, żeby cała rodzina wyglądała zupełnie jak nasza. Musisz ich wszystkich

obejrzeć. Twój Sim nawet
zapomniał się dzisiaj ogolić, zupełnie jak ty. Aż
dziwne.

Miał rację, co tak bardzo rozbawiło Annę, że
aż się roześmiała. Od samego rana Alex miał tyle
pilnych wezwań, że praktycznie biegał od
pacjenta do pacjenta, w wiecznym pośpiechu, i do
około piątej zdążył się dohodować cienia zarostu
- co było dla niego zupełnie nietypowe, niemniej,
jak zauważyła Anna, z zarostem wyglądał
całkiem seksownie i na bardziej zrelaksowanego,
prawie jak dawny Alex. Will zawsze się
podśmiewywał z jego schludności i żart Maxa z
pewnością by go rozbawił.

- Poskładał naszą rodzinę do kupy, tak że jest
zupełnie jak nowa, dzie
ki tej grze komputerowej, którą mu dałeś. Można
zaprojektować każdą po
stać w taki sposób, żeby wyglądała, jak tylko
chcesz. To jego metoda radze
nia sobie... ze wszystkim. - Anna popatrzyła ze
smutkiem na Alexa, w pełni
świadoma, że jej mały syn przeżył zbyt wiele
wstrząsów w swoim krótkim

życiu - rozwód rodziców i śmierć babki - by zacząć przetrwać wiadomość o śmierci wuja. - Najwyraźniej wyblagał kogoś o wdzięcznym imieniu Ko stucha o wskrzeszenie Willa, na co, jak słyszałam, zgadza się bardzo rzadko, ale nasz Max jakoś zdołał ją przekonać.

Alex pokręcił głową, czując rozbawienie połączone z niedowierzaniem. Osobiście uważał, że w takich zabawach jest coś perwersyjnego, ale aż za dobrze rozumiał, jakie pragnienie przemawia przez jego syna.

- Chodźmy, Max - pokaż mi, jak w to się gra. Chcesz zabrać tę płytę do mnie do Chelsea?

Gdy wstał, by odstawić kieliszek na półce nad kominkiem, nagle aż podskoczył i omal nie upuścił kieliszka.

- Labirynt w Chartres? - Spojrzał na Annę, czekając na jakieś wyjaśnienie.

- Od Willa. Przysłał tę widokówkę Maxowi. To było takie dziwaczne, Alex - doszła w sobotę rano, nazajutrz po pogrzebie. Jak głos z zaświatów. Na stemplu pocztowym jest data: piątek, dziewiętnasty września. Zaledwie dzień przed wypadkiem. - Zdjęła z półki pocztówkę i dała mu ją do przeczytania. Rewers był intrygujący: pięć kwadratów niczym pięć elementów układanki. „Nikt z nas nie wie, dokąd prowadzi jego ścieżka. Przywiozę cię tutaj na wiosnę albo latem i przejdziemy go razem. Gra w klasy przy tym wysiada. Do zobaczenia wkrótce, ucałowania dla Mamy

- ściskam, Will".

- Ja też taką dostałem, z identycznym zdjęciem, ale wysłaną z miejsca wości Lucca w Toskanii. - Patrzył na Annę i zastanawiał się. — Mógłbym ją pożyczyć na kilka dni? Chciałbym zrobić ksero.

Oczy Anny rozszerzyły się w nieskrywanym rozbawieniu. Czyżby Alex robił się sentymentalny? A może chce po prostu prześledzić ostatnie dni z życia brata? I jedno, i drugie wydawało się tak mało prawdopodobne... Niemniej zamknęła na widokówce jego palce, zadowolona, że może cokolwiek dla niego zrobić.

- Ale skserujesz ją? Max na pewno nie chciałby jej stracić.

- Alex schował widokówkę do wewnętrznej kieszeni marynarki i wszedł po schodach do pokoju syna.

Mieli właśnie wychodzić, targając ciężką torbę z rzeczami Maxa i najróżniejsze gry komputerowe, gdy zadźwięczała melodyjka Alexowej komórki. Anna położyła dłoń na głowie syna i oparła się pokusie, by westchnąć: czekała na oznajmienie, że z weekendu nici, że doktor Stafford jest proszony o bezzwłoczny powrót do szpitala. Piątki i soboty to najpracowitsze dni na oddziale transplantologii — co dziesiątki razy rujnowało ich wcześniejsze, wielokrotnie przemyślane plany.

- Alex Stafford, słucham.

- Alex, tu Sian. - W jej głosie pobrzmiwała nutka hysterii.

- Coś się sta...?

Przerwała mu szorstko.

- Alex, ja mam dzisiaj urodziny. — Urwała na chwilę, on zaś zaczął się sumitować i miłym tonem życzyć jej wszystkiego najlepszego, lecz podjęła

szybko: — Nie, Alex, posłuchaj mnie. Przed chwilą dostałam po prostu przepiękny bukiet róż.

- Znowu urwała, zastanawiając się, jak to powiedzieć. AJex czekał, nie mając pojęcia, jak zareagować, dopóki nie dodała: - Na karteczce jest napisane... One są od Willa, Alex. Te cholerne róże są od Willa.

Z KOŃCEM WRZEŚNIA DŹDŻYSTA
POGODA USTĄPIŁA DWÓM TYGODNIOM
październikowego słońca; zupełnie jak gdyby
jesień chciała się dostosować do nastroju Lucy, w
której świecie także na nowo zaświeciło słońce.
Ostrzegano ją przed depresją, z którą należy się
liczyć po tego rodzaju operacji, ale nic takiego się
nie zdarzyło. Rozumiała, że może odczuwać -
pomijając fizyczne dolegliwości - apatię, która
wysysie z niej całe zapasy energii; lecz tego także
nie doświadczyła. Nawet hirsutyzm, który jest
częstym efektem ubocznym działania
przyjmowanych leków, wciąż jeszcze nie
wystąpił u niej w skali problematycznej.
Trzeciego dnia po operacji pozwolono jej na
krótki spacer po okolicy, dziesiątego była już
domu, w swoim mieszkaniu w edwardiań-skiej
kamienicy, które dzieliła z najlepszą przyjaciółką,
smukłą, długoręką i długonogą Grace.

Obie były młodymi producentkami

telewizyjnymi i spędzały długie godziny w najdziwniejszych miejscach. Grace zajmowała się rozrywką — konkretnie branżą oświetleniową - co pasowało do jej wesołego usposobienia i nieustającej pogody ducha, aczkolwiek dysponowała talentami znacznie przewyższającymi jej obecną posadę: z wyróżnieniem ukończyła historię na uniwersytecie w Durham, zdobywając wiedzę, która chwilowo się marnowała. Grace była nieodłączną częścią życia Lucy, znała ją niemal od jej przyjazdu do Londynu, kiedy to w wieku dwudziestu jeden lat, świeżo po uniwerku, wyruszyła poznawać wielki świat, porzucając piękne plaże i życie jak pod kloszem w domku na przedmieściach Sydney. Lucy była po socjologii, ale produkcja, jak również reżyserowanie programów dokumentalnych zro-

biły z niej nie najgorszego antropologa i przyrodnika. Kiedy pracując nad pewnym projektem, trafiła najpierw na bezdroża Peru, a następnie do Kolumbii, przywiozła z podróży osobliwą chorobę. To właśnie spostrzegawcza Grace zauważyła, że to coś poważnego, i wierciła przyjaciółce dziurę w brzuchu, aby poszła do lekarza.

Początkowo po prostu czuła się zmęczona - nic nowego, jako że jej praca bywała fizycznie wyczerpująca, poza tym Lucy źle znosiła duże wysokości, a przez częste podróże i poranne wstawanie niedosypiała całymi tygodniami. Pracę nad tamtym projektem rozpoczęła w nie najlepszej formie, gdy jeszcze dochodziła do siebie po przewlekłym zapaleniu oskrzeli - podatność na tę chorobę, odziedziczona po matce, często wywracała jej życie do góry nogami, gdy zaczynały się wilgotne zimowe miesiące. W styczniu, kiedy wyruszała w podróż, wciąż czuła się dość słaba, nie na tyle jednak, żeby odrzucić propozycję pracy, która zapowiadała się naprawdę pasjonująco. Kilka dni po swoim powrocie, w marcu, Lucy zauważyła paskudną

opuchliznę nad okiem; a potem przyszła gorączka. Grace, rzadko wpadająca w panikę, dosłownie wepchnęła ją do taksówki i bezzwłocznie zawiozła do Instytutu Chorób Tropikalnych. Była świadoma potencjalnego związku między dziwnymi objawami u Lucy a jej niedawnymi egzotycznymi podróżami i upierała się, żeby przyjaciółka skonsultowała się z jakimś specjalistą. Wykonane bezzwłocznie kompleksowe badania krwi potwierdziły to, co jej objawy — biegunka, wymioty, całkowita utrata apetytu i dramatyczny spadek wagi - już wcześniej sugerowały: cierpiała na chorobę Chagasa. Charakterystyczny pasożyt, przenoszony przez niewielkie insekty, jest łatwy do wykrycia.

I w tym momencie szczęście się od Lucy odwróciło. Wprawdzie w przyzwoitym czasie zareagowała na leki, które skutecznie zwalczają trypanoso-możę, ale podstępne choróbko zdążyło już wyniszczyć jej organizm i dosłownie zrujnować serce. Widzieli to wszyscy jej znajomi; jej subtelna uroda przybladła, Lucy zmieniła się nie do poznania i wyglądała jak duch siebie samej

sprzed zaledwie kilku miesięcy. Na początku maja została przeniesiona do kliniki kardiologicznej w Brompton, ale świat jej się zawalił, gdy po raz pierwszy usłyszała wyrok: z niemal stuprocentowym prawdopodobieństwem będzie potrzebowała nowego serca.

Jasne wydawało się tylko to, iż może się zdarzyć, że nie zdołają go dla niej znaleźć. Nie oceniała swoich szans nazbyt pesymistycznie, niemniej życiowy nawyk trzymania marzeń na wodzy uczynił ją, jak sama by to ujęła, realistką.

Ani na chwilę nie straciła woli życia; była na to zbyt pragmatyczna, poza tym nie lubiła się poddawać i nie poddawała się praktycznie od dnia swoich narodzin. Jej dzieciństwo upłynęło pod znakiem deprivacji emocjonalnej. Wychowywał ją pełen dobrych intencji ojciec, który wierzył w żelazną dyscyplinę, wpojoną mu przez matkę, z urodzenia Sycylijkę, kobietę, która nigdy nie zapominała dawnych uraz. Nosił głębokie rany w sercu, odkąd żona opuściła go bez słowa wyjaśnienia. Lucy wiedziała, że w życiu jej matki pojawił się inny mężczyzna - i poleciała za nim do Europy szukać szczęścia. Ofiarami tego dramatu padli jej mąż i córka. Zdruzgotany mężczyzna stał się niezdolny do wyrażania jakiegokolwiek uczuć i obdarzenia zaufaniem drugiej istoty ludzkiej. Uderzające podobieństwo córki do pięknej matki czyniło jego ból jeszcze trudniejszym do zniesienia i tak stał się rodzicem odpowiedzialnym, acz kompletnie nieuczuciowym. Świat - z nieugiętą babcią Lucy na czele — surowo osądził panią King. Mimo to Lucy ocalała dla niej odrobinę miejsca w swoim sercu, aby któregoś pięknego dnia spróbować

zrozumieć, co zrobiła jej matka.

Przeprowadzka do Londynu była próbą zbliżenia się do niej, mimo iż Lucy nie miała zielonego pojęcia, gdzie jej szukać. „W Europie” to zbyt ogólna wskazówka; i co prawda zgadywała, że matka może mieszkać gdzieś we Włoszech, ale nie miała jej adresu, niczego, prawdę mówiąc, co mogłoby ją do niej doprowadzić. Ojciec nie chciał odpowiadać na jej pytania, zresztą najprawdopodobniej sam też nic nie wiedział. Więc odkładała tę sprawę na później i dalej wiodła życie sieroty. Nawet jej się to podobało - z niczego nie musiała się tłumaczyć, nie musiała spełniać niczyich oczekiwań - lecz równocześnie była świadoma, że żyje niejako na pół gwizdka, rozwijając umysł, pomijała sferę emocji.

Mimo to teraz, w ostatniej przed zmrokiem godzinie owego chłodnego piątku w październiku, z nowym sercem i z poczuciem, że na nowo odnalazła życie, szła pieszo te półtorej mili do Chelsea na cotygodniową wizytę kontrolną u kardiologa, pełna nadziei i szczęścia, i niezmeńczona ani trochę. Nie zdołałaby nikomu

wyjaśnić, jak się w tej chwili czuła. Nigdy nie widziała niczego, co dorównywałoby światu, w którym ostatnio żyła. Jej sposób postrzegania go i reagowania na niego - nawet jej dzikie, barwne sny - były podniecające i pełne pasji. Drzewa, tracące już liście, wydawały się jej piękniejsze niż wtedy, gdy były w rozkwicie, a ona przeżywała własną, upływającą pod znakiem choroby wiosnę. Jeszcze do niedawna drażnili ją ludzie z psami, udający ślepych, kiedy ich czworonożni pupile załatwiali się na parkowych

trawnikach - nagle zaczęli się do niej uśmiechać i szukać jej spojrzenia, kiedy ją mijali; dzieciaki w wieku szkolnym, wsiadające gęsiego do autobusów, nagle wydawały się pełne życia i humoru, a nie pyskate i śmierdzące dymem z popalanych po kątach papierosów. Lucy, której udzieliła się ich energia, czuła się zaskakująco dobrze.

Kiedy weszła do budynku, rejestratorka rozpoznała ją i uśmiechnęła się ciepło: - Dzieńdoberek, miło panią widzieć.

- Miło wpadać tu z wizytą, a nie praktycznie mieszkać trochę tutaj, trochę w Harefield. - Lucy odwzajemniła uśmiech ze szczerą sympatią.

Po schodach wchodziła pomalutku; kiedy zajrzała do gabinetu doktora Denhama, wcale nie brakowało jej tchu. Wymieniali powitalne uprzejmości, po czym on osłuchał jej serce i zmierzył ciśnienie; a następnie roześmiany i zadowolony machnął ręką, przeganiając ją na krzesło.

- Wyniki ostatniej biopsji są takie, że trudno o lepsze, Lucy. Ani śladu

niczego, co mogłoby zapowiadać odrzucenie przeszczepu. Leki w oczywisty sposób robią swoje, a cała reszta też wygląda całkiem nieźle. Jeszcze jest za wcześnie, żeby mówić o pełnym sukcesie, ale rany pooperacyjne już zaczyna ją się goić - w twojej diecie musi być dużo produktów bogatych w witaminy z grupy B, ryb i tak dalej. Twój immunolog, jak widzę, idealnie ustawił leki. Jak wyglądasz, to sam widzę, ale jak się czujesz?

Wysiłek fizyczny przydał Lucy lekkich kolorów. Jej odpowiedź niemal ocierała się o kokieterię.

-Równie dobrze jak pana zdaniem wyglądam. Lepiej niż świetnie. Jestem o niebo mniej zależna od Grace. Żadnych problemów z lekami, więc niech się doktor nie śpieszy z kroplówkami!, po prostu nic. Jest jesień, a mnie nawet gardło nie bolało.

Courtney zaśmiał się serdecznie.

-I bardzo dobrze. Powinienem cię poprosić, żebyś dała niektórym z mo

ich pacjentów wykład na temat roli optymizmu w wychodzeniu z choroby.

Dobrze sypiasz?

Kiwnęła głową.

-Żadnej depresji, o której warto by mówić? Poczucia, że uszła z ciebie cała adrenalina? - Courtney wyglądał na lekko zaskoczonego.

Lucy stanowczo pokręciła głową.

-Nie. Apetyt mi dopisuje, nawet znowu wzięłam się za gotowanie. Mam swoją osobistą deskę do krojenia chleba, z czego Grace się podśmiewa, ale

rozumie moje powody. Kuchnię zlewamy najróżniejszymi antybakteryjnymi specyfikami. Dietetyczka mówi, że jest ze mnie zadowolona. Codziennie wskakuję na rower treningowy i ćwiczę, każdego dnia o kilka minut dłużej. I coraz więcej spaceruję - dzisiaj przyszedłam tu pieszo, mostem przez rzekę - to znacznie przyjemniejsze od wielogodzinnego dreptania na bieżni.

Zerknęła na niego, niepewna, czy to wyznanie nie spotka się z dezaprobatą. Jednak podobnie jak wielu innych chirurgów, zmuszonych godzinami stać przy stole operacyjnym, doktor Denham miał znakomitą kondycję, by nie powiedzieć, że był niesamowicie wysportowany. Wiedziała, że uchodził za najlepszego biegacza w szpitalnej reprezentacji biorącej udział w londyńskim maratonie i że w tenisa z łatwością ogrywał wszystkich kolegów. W oczywisty sposób pochwalał jej determinację, aby nabrać sił, więc odważyła się mówić dalej: - Z zasypianiem też nie mam najmniejszych problemów, ale wciąż czuję, że serce szybko mi bije, nawet kiedy odpoczywam.

-Mmm-hmm. Pamiętasz, że o tym

rozmawialiśmy? Twojemu nowemu sercu wciąż jeszcze brakuje połączeń nerwowych, dzięki którym normalnie reagowałoby na zmiany w twojej aktywności, więc bije znacznie szybciej. Po prostu nie reaguje tak szybko na zwiększony bądź zmniejszony wysiłek fizyczny. Minie sporo czasu, zanim te połączenia się wytworzą.

-Pamiętam. Tłumaczył mi to pan z doktorem Azzizem i prawdę mówiąc, wcale mi to szybsze bicie serca nie przeszkadza. Przeciwnie. Pomaga mi to ukryć emocje, co bywa bardzo przydatne.

-O tak, przez jakiś czas będzie z ciebie świetna pokerzystka. Oczywiście ewentualnych bólów w klatce piersiowej też nie będziesz odczuwała w normalny sposób, więc wciąż musimy mieć cię na oku. Ale to co słyszę, to czysta rewelacja. Rozumiem, że nie zauważyłaś nic niepokojącego. Mam rację, Lucy?

-Tak... - odparła Lucy dziwnie powściągliwym tonem. Courtney Denham czekał. - Fizycznie czuję się niemal nienaturalnie dobrze, o niebo lepiej niż przed przeszczepem.

-A psychicznie...? - zachęcił. Nie wiedział zbyt dużo o jej prywatnym

życiu, niemniej nie przypuszczał, by była z kimś poważnie związana. Może ma jakieś inne domowe kłopoty. Albo też, o ile rzeczywiście z kimś się spotyka, trudy opieki pooperacyjnej mogły się okazać zbyt dużym obciążeniem dla kogoś, kto by nie umiał bądź nie chciał takiej opieki sprawować. Trzeba wręcz fanatycznie dbać o czystość, jeśli czyjś układ odpornościowy zostaje praktycznie wygaszony lekami - to samo dotyczy osób, z którymi chory jest

uczuciowo związany. Seks w takim wydaniu często okazywał się frustrujący nawet dla par z wieloletnim stażem, a o ile osoba chora nie miała partnera całkowicie wyzbytego egoizmu, pożycie stawało się właściwie niemożliwe. Nagle tknęło go pewne podejrzenie.

-Chciałabyś polecieć do Australii, Lucy? Zobaczyć się z rodziną? - Przyglądał się jej przez moment, lecz jej twarz nie zdradzała żadnych emocji. Nie mniej byłoby to całkiem naturalne, gdyby chciała odwiedzić rodzinę po tak poważnej, wręcz ratującej życie operacji. Żaden z zajmujących się nią lekarzy nie mógł zrozumieć, dlaczego rodzina nie przyleciała do niej z Australii.

-No cóż, co do dłuższych podróży, jesteśmy zdania, że w pierwszych miesiącach po przeszczepie to nie jest najlepszy pomysł. Będziemy bardzo uważnie cię obserwować, rzecz jasna, i jestem przekonany, że jeśli w dalszym ciągu będziesz robić takie postępy i wciąż będziesz chciała zobaczyć się z rodziną,

pozwolimy ci na wyjazd już w nowym roku.

Nie odpowiedziała od razu. Przyglądała się mu uważnie, zastanawiając się, jak odbierze to, co zamierzała zaraz powiedzieć.

-Nie, nie chcę nigdzie wyjeżdżać, panie doktorze. Chodzi mi raczej o to, że świat, w którym żyję tu i teraz, nagle zmienił się w inny, nowy. - Zrobiła pauzę, świadoma, że cieszy się jego niepodzielną uwagą. — Miewam dziwne sny, dzikie, niezwykle żywe. Smak mi się trochę zmienił. I jakbym się trochę... przeorientowała.

-Sny, zmiana upodobań kulinarnych, tak, mogę to zrozumieć. Wiele przeszłaś. Z tą zmianą smaku to może tak, że podświadomie masz ochotę na rzeczy, które wiesz, że są dla ciebie zdrowe? Zwiększony apetyt to zwykle efekt leków, zwłaszcza prednizolonu. Powinnaś o tym pomówić z doktorem Staf-fordem. - Lucy ani trochę to nie przekonało, ale na chwilę dała temu spokój.

-Ale nie jestem pewny, co miałaś na myśli, mówiąc o orientacji.

-Panie doktorze, ja zawsze byłam praworęczna. A teraz automatycznie sięgam po

długopis lewą ręką. W lewej trzymam łyżkę. Mam poczucie, że jest silniejsza.

-Nigdy wcześniej o czymś takim nie słyszałem. Ale prawdę mówiąc, wcale mnie to nie martwi. Serce to tylko pompa. Nie majstrowaliśmy przy twoim mózgu, a to właśnie tam się rozstrzyga czy ktoś jest prawo-, czy lewo-ręczny. Być może to reakcja na kroplówki, jakie dostawałaś podczas operacji, lekkie osłabienie prawej kończyny, przeczulica - aczkolwiek zazwyczaj dotyka to lewej strony ciała, choć to może wydawać się dość dziwne. Miałaś po-

bieraną krew z naczyń na prawym przedramieniu? Tak czy siak, poczekajmy trochę i zobaczymy, jak długo to się utrzyma. Nie powinnaś się tym martwić. - Zanotował coś w jej karcie. - Coś jeszcze?

-Sprawa jedzenia. Od około dziesięciu lat jestem wegetarianką, a ostatnio znowu nabrałam ochoty na mięso.

-No cóż, to akurat pochwalam. Instynktownie szukasz czegoś, co ci pomoże odzyskać siły, Lucy; i trochę może to efekt przyjmowania leków. Tylko postaraj się pilnować, żeby w twojej diecie nie znalazło się za dużo czerwonego mięsa, ze względu na twoje nowe serce. Za ryby i kurczaka natomiast dostaniesz piątkę od swojej dietetyczki. Tym też się później zajmiemy. - Dopisał coś w karcie.

-A te sny? Ostatnio śnią mi się naprawdę realistyczne sny, widzę dziwne obrazy, słyszę echo jakichś dźwięków... — Wiedziała, że nigdy nie zdoła mu tego wytłumaczyć.

-Lucy, twoje życie wisiało na włosku. Najpierw Chagas, potem uciążliwe leczenie silnymi lekami. A w końcu przeszczep: długa,

ciężka operacja. I jeszcze rekonwalescencja. Spodziewam się, że umysł jeszcze przez jakiś czas będzie ci płatał figle. — Popatrzył na jej twarz i zrozumiał, że to zapewnienie wcale jej nie uspokoiło. - Ale może pomyślmy nad skierowaniem cię do psychologa, żebyś mogła szczerzej o tym porozmawiać. Leki, które bierzesz, miewają bardzo nieprzyjemne działania uboczne. Jestem pewny, że dostałaś cały wykład na temat emocjonalnej huśtawki, jaką mogą powodować niektóre z tych specyfików. Zapiszę cię na wizytę i dopilnuję, żeby jutro lub pojutrze odezwał się do ciebie ktoś ze szpitala, ale doktorowi Staffordowi też o tym wspomnę. To on jest ekspertem w tej dziedzinie: może zaproponuje zmianę leków. - Patrzył na nią życzliwie, ale mimo to poczuła się, jak gdyby zbywał ją niczym jakąś histeryczkę. Przestała próbować cokolwiek wytłumaczyć i podziękowała uśmiechem. Wizyta dobiegła końca.

Zrobił nawet trochę notatek na ten temat, pomyślała; ale i tak wie o niebo mniej niż ja. Jeśli naprawdę będę musiała porozmawiać z

psychologiem, to już on sobie posłucha naprawdę dziwnych rzeczy.

ALEX I MAX ZAPARKOWALI PRZED MIESZKANIEM PRZY ROYAL AVENUE, które Alex kupił nieco ponad dwa lata temu, kiedy jego rozwód z Anną się uprawomocnił. Miał stąd bardzo blisko do jednego z dwóch szpitali, między którymi notorycznie kursował. Mieszkanie położone było przy wschodnim

krańcu placyku wysypanego żwirem, na końcu Kings Road, w spokojnym, cichym miejscu odciętym od ulicznego ruchu. Składało się z dwóch dolnych pięter wczesnowiktoriańskiego budynku - przy czym jedno dopiero niedawno udało mu się dokupić dzięki pieniądzom po matce - i miało nawet malutki ogródek z wejściami z piwnicy i z parteru.

Kiedy przechodzili przez ulicę, Max wziął ojca za rękę. Zobaczyli, że na schodach domu tonącego w różowawym londyńskim zmierzchu czeka na nich jakiś mężczyzna.

- Chyba na dzisiaj się umawialiśmy? - Simon miał taką minę, jak gdyby było mu trochę głupio. Przybił piątkę z Maxem, którego znał całkiem dobrze dzięki dniom spędzonym z jego wujkiem.

- Przepraszam cię, Simon, tak, tak, oczywiście. Spodziewałem się ciebie. Coś mnie zatrzymało, coś naprawdę dziwnego, ale o tym potem. Wchodź, wchodź. — Alex jednym kluczem otworzył drzwi wejściowe, drugim swoje prywatne, i obrócił się w stronę syna: - Już możesz normalnie poukładać swoje rzeczy, Max. Chyba już wszystko jest uprzątnięte. - Nie chciał, żeby

Max mieszkał w swoim pokoju, dopóki rzeczy Willa nie będą stamtąd wyniesione. Wiedział, że ten widok jeszcze bardziej przygnębiłby Maxa, więc podczas kilku ostatnich pobytów syna w swoim domu odstępował mu część — większą zresztą - własnego łóżka. Dzisiaj wieczorem planował dokooptować do pomocy Simona i dokończyć robotę, wynosząc z niewielkiego holu ostatnie pudła. Wiedział też, że Simona, jako najlepszego przyjaciela Willa, ucieszy prośba o pomoc i propozycja, żeby na pamiątkę dyskretnie wybrał sobie kilka rzeczy po Willu. — Potem upichcę coś dla nas wszystkich na kolację.

-Nigdy się nie nauczyłeś gotować tak dobrze jak wujek Will, tato. - Max popatrzył smutnie na ojca, który jednak nie poczuł się urażony.

- Chciałeś powiedzieć, że nie chcę tak często robić dla ciebie sma-
żonej kiełbasy i frytek, tak jak to robił wuj Will! -
Posłał synowi smutny
uśmiech.

Max skinął głową i przerzucił sobie plecak przez ramię, zamierzając zanieść go do swojego pokoju. Nagle w rogu przy ławie zauważył

niemal nowiułkiego laptopa Willa. - Wujkowy laptop wciąż tu jest. Myślisz, że mógłbym na nim zainstalować moich Simsów? Mac ma o niebo lepszą grafikę niż pecet.

- Nie przychodzą mi do głowy żadne powody do odmowy. Tylko nie jestem pewny, czy na Macintoshu gra odpali? Inny system... No ale spró-

buj koniecznie. — Pochylił się nad synem i oznajmił z udawaną surowością: — Tylko najpierw pochowaj swoje rzeczy.

Kiedy Max podreptał po schodach do swojego pokoju w suterenie od strony ulicy, Alex ściągnął krawat i rozpiął kołnierzyk koszuli, a potem zaczął kroić kurczaka. Opowiedział Simonowi o dziwnym telefonie byłej dziewczyny brata. Wymagało to niemało zachodu z ich strony, ostatecznie jednak kwiaciarka, która właśnie miała zamykać, zdradziła im numer zamówienia, którego los zdołali dzięki temu prześledzić. Dowiedzieli się, że Will zamówił kwiaty w Chartres, dziewiętnastego września, o trzynastej pięćdziesiąt czasu środkowoeuropejskiego, a więc tuż przed trzecią po południu we Francji. Co skłoniło go do zamówienia bukietu — z miesięcznym wyprzedzeniem — trudno było powiedzieć. Will nigdy nie był zorganizowany.

— Wiesz, Alex, to nie tak, że Will nie potrafił być romantyczny. Taki gest idealnie pasuje do jego spontanicznej natury - odparł Simon zdławionym głosem, jak gdyby sam sobie próbował wmówić, że kupienie takiego bukietu

byłej to naprawdę nic nadzwyczajnego.

— Nie nazwałbym specjalnie spontanicznym gestem zamawiania dla kogoś kwiatów na miesiąc przed okazją, na którą mają być doręczone. Poza tym oni ostatecznie z sobą zerwali, Simon. Will mówił mi, że to było nieuniknione. Wiem, jego fizyczny pociąg do Sian był jak narkotyk, ale na płaszczyźnie intelektualnej nie mieli z sobą zbyt wiele wspólnego. Prawdę mówiąc, osobiście uważam Sian za bystrą dziewczynę, ale jej umysł nie był ukształtowany w taki sam sposób jak jego. Zainteresowania też mieli kompletnie różne.

Kiedy Simon tak siedział, słuchał Alexa i potakiwał, poczuł się dziwnie. Wszystko się zgadzało, pomyślał, przypominając sobie, co powiedział mu Will któregoś razu, kiedy wypił o kilka piw za dużo.

— Mnie mówił, że wydawała trzy razy tyle co on, nie czytała żadnych książek, nie chciało jej się nawet pójść z nim na spacer. Ale może zaczął za nią tęsknić, myśleć o tym, żeby jednak się pogodzić?

— Oczywiście, ona właśnie tak uważa i

normalnie wariuje. Ale ja jestem pewny, że chodziło o coś innego. Zawsze powtarzał, że Sian jest jak piękne, rozpieszczone dziecko. Przyzwyczajona zawsze stawiać na swoim i kompletnie niezdolna do głębokiego namysłu nad czymkolwiek, co bezpośrednio nie dotyczy jej samej. Co może jest lekką przesadą, ale jej egoizm i brak szerokich horyzontów czasami doprowadzał go do rozpacz. Ich systemy wartości, mam wrażenie, też były oddalone o całe lata świetlne. Ona uwielbiała ładne

rzeczy, chciała szafy pełnej ciuchów od Chanel i od Prady - o co trudno mieć do niej pretensje, w końcu to była część jej pracy - podczas gdy on zawsze powtarzał, że chciałby popracować rok czy dwa dla jakiejś międzynarodowej organizacji humanitarnej.

Zaskwierczała cebula, wrzucona na patelnię.

-Po śmierci mamy, kiedy Sian zaczęła naciskać, żeby się pobrali - ciągnął Alex - Will zdał sobie sprawę, że i tak za długo trwał w tym związku, że nie może ożenić się ze Sian, nigdy nie stałby się kimś, kogo w jego odczuciu potrzebowała; i to, szczerze mówiąc, było wobec niej nie fair. Musiał walczyć z jej fizycznym magnetyzmem, co, jak zgaduję, łatwe nie było, ponieważ ona wiedziała, jaką ma nad nim władzę, i wiedziała, jak jej użyć. — Alex mimo wolnie zachował obiektywizm. - I myślę, że to działało w obie strony. Biedna Sian — musiało jej być potwornie ciężko. Czy to jej wina, że przez trzy lata kochała kogoś, kto nie do końca wiedział, jak chce

pokierować swoim życiem?
No i powiedzmy sobie uczciwie: Will też nie miał
nic przeciwko uciechom
cielesnym. - Zerknął na niemal pustą butelkę
drogiego koniaku, którą Will
otworzył i nad której opróżnieniem metodycznie
pracował. Alex rozumiał, że
wprawdzie jego brat był świadomy, że rozstanie
jest pod każdym względem
jedyną właściwą decyzją, lecz mimo to cierpieli
oboje, nie tylko Sian.

Simon zdążył już przejrzeć z roztargnieniem
olbrzymią kolekcję książek, które Alex odłożył
dla niego w oddzielnym kartonie, i właśnie
zaklejał go taśmą. Następnie zaniósł karton do
holu, gdzie pogrupowana leżała reszta rzeczy i
drobiazgów Willa, i poszedł pomóc Maxowi,
który przed chwilą włączył do gniazdka wtyczkę
lśniącego białego laptopa ze znakiem jabłka.
Uśmiechnął się do siebie, myśląc o tym, co przed
chwilą powiedział Alex. Tak, Will też lubił mieć
kilka kosztownych zabawek. Nie zwykły
motocykl, ale ducati. Nie jakiś stary laptop, ale
najnowocześniejszy iBook na rynku. W

mieszkanii, które dzielił z Sian, nie stało byle jakie pianino, tylko bechstein. Dla niego liczyła się jedynie jakość. Wolałby nie mieć nic niż zadowolić się byle namiastką. Miał złote serce i poukładane w głowie, ale ładnymi rzeczami też nie gardził.

- Co było na bileciku? - zapytał Alexa. - Tym przy różach?

Alex podał Simonowi i Maxowi napoje, każdy w innym kolorze. Wyjął z kieszeni kurtki jakiś karteluszek:

- „Chyże jak wiatr, kłujące jak ciernie, czerwone jak krew, nieprzemijające jak miłość, wyrwane jak serce: teraz białe jak śnieg. *Bonne anniversaire. To-ujours, William*”. Sian, jak to przeczytała, nie mogła się uspokoić. - Popatrzył

na syna i na przyjaciela swojego brata, połączonych wspólnym wysiłkiem, by uruchomić opornego laptopa. - To były białe róże.

Wspominałem o tym? Simon pokręcił głową.

-Cholerny Will i te jego zagadki. Ale masz rację. Białe róże symbolizują czystą miłość, platoniczną, a nie namiętność. To wielka różnica. No i miały być na urodziny, więc może próbował jej w ten sposób powiedzieć, że nie czuje do niej nienawiści i że na swój sposób zawsze będzie ją kochał.

-On wciąż kochał Sian. - Max oderwał wzrok od monitora przed sobą i powiedział to w absolutnie naturalny, rzeczowy sposób.

Ojciec uśmiechnął się do niego.

-Tak, choć już inaczej, ja też tak sędzę. Ale jest i tajemnica - oznajmił im obu. — Co działo się w godzinach między pobytem w katedrze a momentem, kiedy wsiadł na prom? Był czymś pochłonięty. A w przedostatniej wiadomości, jaką nagrał na mojej poczcie głosowej, mówił, że ma mi coś niezwykłego do zakomunikowania. Ciągle się zastanawiam, co to mogło być.

Max usiłował odpalić laptopa, ale nawet z

pomocą Simona nie był w stanie się zalogować. Polecenie przypomnienia hasła poskutkowało tym, że na monitorze rozbłysło zdanie: „Jedyna kobieta, z którą potrafię sobie poradzić. —Jakie wujek miał hasło, tato? Kim była jedyna kobieta, z którą potrafił sobie poradzić? Bo nie „Sian". „Babcia" też nie. Już próbowaliśmy i to, i to.

Alex wzruszył ramionami.

-Jak on ochrzcił ten swój motocykl? - spytał bez emocji.

-Claudia - odparli zgodnie Max i Simon, zabierając się za wpisywanie nowego hasła.

-Bingo, Alex! - Simon nie wierzył, że zagadka może się okazać aż taka prosta, dopóki nie zobaczył przed sobą ulubionej tapety Willa, obrazu namalowanego przez Joshuę Reynoldsa: Kleopatra rozpuszczająca perłę w kielichu wina. Patrząc na nią, czuł się tak, jak gdyby przyjaciel wciąż przy nim był. W przebłysku natchnienia spojrzął na Alexa. - Cokolwiek go tak pochłaniało, mogło znaleźć się w mailach, które wysyłał z zagranicy na własny adres mailowy. Z Rzymu na pewno przesłał zeskanowane dokumenty i swoje notatki, sam mi się tym

chwalił.

- Simon, to takie proste, że aż genialne! Możesz się zalogować do poczty? - Max wyglądał na rozczarowanego kolejną zwłoką. - Oj, Max, tylko sprawdzimy zawartość skrzynki, potem zjemy, i zaraz będziesz mógł usiąść do swojej gry. Zresztą kolacja i tak będzie gotowa dopiero za jakieś dziesięć minut.

— A ja myślę, że twój tata ma rację i że gra na peceta i tak nie pójdzie na tym komputerze, Max - niezręcznie usiłował pocieszyć chłopca Simon. - To dwa zupełnie różne systemy.

Max miał trochę naburmuszoną minę, ale poczłapał w kierunku stacjonarnego komputera stojącego na biurku w drugiej połowie przestronnego salonu, którego środek wyznaczała otwarta kuchnia. Włożył płytę i uruchomił grę „The Sims”. Alex uśmiechnął się z przygnębieniem, wiedząc, że prośba chłopca, by pozwolił mu pograć na laptopie, nie miała nic wspólnego z jakością grafiki, ale tylko z tęsknotą za wujkiem. Podeszedł do syna i pocałował go w czubek głowy; potem wziął swój kieliszek i dołączył do Simona, wpatrzonogo w monitor iBooka. I nagle zdał sobie sprawę, że przeczucie Simona nie zawiedzie - że wszystkie zdjęcia, jakie zrobił Will, wszystkie jego przemyślenia, po prostu wszystko jest w jego komputerze. Ten laptop był częścią jego życia zawodowego - obrabiał w nim zdjęcia, zanim rozesłał je w świat, edytował je, i nigdy niczego nie kasował. Alex

zastanawiał się, dlaczego sam nie pomyślał o tym, żeby przejrzeć zawartość twardego dysku.

— Kkk... kurczę! — Simon zmitygował się w ostatniej chwili, przypominając sobie o obecności Maxa. - Wpisałem „Claudia”, ale poczta się nie otwiera. — Wyglądał jak balonik, z którego uszło powietrze. — I uprzedzając twoje pytanie: próbowałem wpisywać inne hasła, wszystko, co mogłoby się wydawać oczywiste. Nazwę waszego domu na wsi. Imię jego pierwszej dziewczyny. - Alex popatrzył na niego pytająco. - Nic więcej nie przychodzi mi do głowy, chyba że zaczniemy wpisywać hasła ze słownika oksfordzkiego jak leci. Poza tym Will miał lekką dysleksję, prawda? Jego pisownia była twórcza, ale niezgodna z zasadami ortografii.

Alex przytaknął. Mogą nigdy się nie dowiedzieć, jakie hasło wybrał, jeśli nie pomoże im przypadek.

Podszedł do duchówki przy kominku i wyjął z niej makaron, a potem dorzucił podsmażonego

kurczaka i zamieszał.

- Chodź zjeść, Max.

- Czekał, tato. Muszę dla nich zorganizować trochę więcej pieniędzy, a potem będę już mógł wrzucić pauzę.

— Jak to, zorganizować?

- No, jest taki kod do gry. - Uśmiechnął się szeroko do ojca. - Extra sprawa, mówię ci, wpisujesz go, a twoim postaciom przybywa kasy. - Alex podszedł popatrzeć, a przy okazji odciągnąć syna od komputera, zanim ko-

lacja zdążyła wystygnać. - Wpisujesz słowo *Rosebud*, potem kilka symboli, im więcej razy to robisz, tym więcej pieniędzy pojawia się na koncie. Taka sztuczka graczy. Wujek Will mi ją pokazał.

Alex zawrócił w stronę Simona, który przysłuchiwał się tej rozmowie. *Rosebud...* „Różyczka”!

-To z *Obywatela Kane'a*. Chyba tak się nazywały te jego sanki, pokazane na samym końcu? Will był pod wielkim wrażeniem tego filmu. - Jednak Simon go nie słuchał: już wpisywał nowe hasło. I nagle laptop zaczął się łączyć z Internetem.

Makaron zaczynał stygnąć. Alex nie mógł oderwać wzroku od maila, który był adresowany do niego i wciąż czekał w skrzynce roboczej na edycję i wysłanie, co tłumaczyło, dlaczego nie doczekał się korespondencji od brata, choć się jej spodziewał. Simon spojrzał na niego pytająco i zaledwie Alex wyraził zgodę skinieniem głowy, otworzył plik załącznika. I to Simon przeczytał na głos początek tekstu: „W Drzewie Życia, Kether

uosabia Źródło. On ci jest Słońcem za Słońcem, Największą Światłością, rezerwuarem świadomości dla wszystkich wtajemniczonych alchemików. Ze Źródła tego można czerpać, ilekroć odbywają się Zgromadzenia Świątłych - poza wszelkim czasem i przestrzenią się odbywające. Toczą się one w wyobraźni prawdziwych Adeptów, pod protektoratem Róży. Na owych Zgromadzeniach Świątłych wszyscy Adepci połączyć się mogą nie tylko ze Źródłem, lecz i ze wszystkimi innymi członkami bractwa po świecie całym rozrzuconymi, nie wyłączając dawnych mistrzów i pierwszych alchemików. Każda czerwona róża - Król — musi połączyć się z Królową - różą białą - aby zapoczątkować zmiany nie tylko w sobie, lecz i w tych jednako, co się wokół nich zebrali. I takim właśnie sposobem podziemna rzeka wiedzy płynie nieprzerwanie, od zamierzchłych czasów". Tekst urywał się nagle. Obu mężczyznom wydał się poetycki. Zapomnieli o kolacji, wciąż patrzyli po sobie z nadzieją na jakieś wyjaśnienie, ale obaj wiedzieli tyle samo. W końcu, pochylając się nad przyjacielem brata, Alex potrząsnął głową na

znak, że nie ma zielonego pojęcia, co Willowi chodziło po głowie. Nagle Simon zrobił głośny wdech, zauważając, że jedna z ikon w dolnym pasku zaczęła migać.

-Alex, właśnie ktoś się próbuje włamać do naszego systemu. Jak gdyby tylko czekał, aż się połączymy z siecią... - Zawiesił głos, a potem przez moment patrzyli z Alexem na alert systemu. Ekran płynnie zmieniał kolory, kilkakrotnie, a potem program antyspyware wyświetlił mapę pokazującą, że

hakerzy atakujący system są gdzieś w Wielkiej Brytanii. Monitor się zawiesił; na samym środku obracało się zielone koło, powoli zwalniając i przechodząc w kwadrat.

S A T O R

A R E P O

T E N E

T

O P E R

A

R O T A S

LUCY CZUŁA SIĘ CORAZ BARDZIEJ ZESTRESOWANA; TO NIEDOBRZE DLA JEJ SERCA, tylko co miała na to poradzić? Musi być na Cadogan Pier o piątej. Dochodziła już czwarta trzydzieści, a ona wciąż była w domu, z niedokończoną fryzurą, nie wybrawszy nawet pantofli.

— Weź się w garść, dziewczyno - upomniała się z mocą. — Tym razem to najprawdziwsza randka z Alexem Staffordem. Czym się tu martwić?

Zadzwoił do niej jedenaście dni wcześniej, z samego rana w poniedziałek po jej wizycie u doktora Denhama. Dość niezobowiązująco zaprosił ją na ekspresowy lunch - rzekomo po to, by w mniej oficjalnej scenerii pogadać o problemach z jej nowymi lekami, ale oprócz pierwszych paru minut, poświęconych sterydom i huśtawkom nastrojów, wcale nie rozmawiali na tematy medyczne. Pod wieloma względami ten lunch stał się dla niej pierwszą wycieczką do

realnego świata. Należał do rodzaju: „Proszę, mów mi Alex”; i miała nadzieję, że tym samym przekroczyli granicę między relacjami, jakie łączą lekarza z pacjentką, a znajomością towarzyską, może przynajmniej trochę? Uważała to za sukces. On siedział, uśmiechał się, uważnie jej słuchał, nie mówiąc nic o sobie. Niemniej i tak był to najgorszy wstęp do bliższej zażyłości.

Miała wrażenie, że od samego początku był nią zainteresowany, przynajmniej odrobinę; jednak trudno mieć pewność w takich sprawach. Alex należał do tego rodzaju lekarzy, którzy mają genialny kontakt z pacjentem, ale prywatnie nie sposób go było rozszyfrować. Zauważyła, że — o ile można to nazwać jakimkolwiek wyróżnieniem - był przy niej jeszcze mniej rozmowny niż przy innych pacjentach, może ociupinę bardziej nieśmiały, a może

po prostu niepewny - co odbierała jako przejaw pewnego zainteresowania sobą. Z drugiej strony, mogło być całkiem odwrotnie: mógł czuć się skrepowany, widząc, że nie ma ani stałego chłopaka, który by ją odwiedzał, ani rodziny - tylko Grace i garstkę rozbawionych kolegów z pracy, z których co drugi był gejem. Może chciał w ten sposób okazać, że nie życzy sobie żadnych poufałości - ostrzec ją, żeby nie odbierała jego troskliwej opieki jako czegoś więcej niż relacja lekarz-pacjentka, może próbował w ten sposób jasno wytyczyć granice ich znajomości. Prawdę mówiąc, wydawało się to Lucy całkiem prawdopodobne. Dopóki nie zaczęła się zastanawiać nad kwiatami, które przyniósł jej po operacji. I tak wskazówka barometru przechyliła się w drugą stronę, a Lucy zaczęła znowu się zastanawiać, czy w jego spojrzeniach jednak jest coś więcej.

Impas skończył się wraz z zaproszeniem na lunch, które padło z jego ust o wpół do dziewiątej rano, w poniedziałek dwudziestego października:

- Lucy, Courtney Denham prosił mnie, żebym zamienił z tobą słówko o twoich lekach, co daje

mi idealny pretekst, żeby spytać, czy nie wyskoczyłabyś ze mną na lunch. Obawiam się, że mam mało czasu, ale na pewno znaleźlibyśmy gdzieś w pobliżu szpitala jakąś małą knajpkę, gdzie jest naprawdę czysto. Prawdę mówiąc, to znam idealne miejsce, naprawdę blisko. - Była zaskoczona tym, jak swobodnie się zachowywał, jak szybko ona zgodziła się przyjąć zaproszenie i jak wielką sprawiło jej ono przyjemność. Lucy rzadko pozwalała sobie na ryzykowne lokowanie uczuć: należała do dziewczyn, które mają niezliczoną liczbę przyjaciół rozsianych po całym globie, kilku cichych wielbicieli, lecz ani jednego kochanka. Pilnowała, by ewentualne romanse trwały krótko, i zawsze trzymała uczucia na wodzy. Gdy tylko zaczynało zanosić się na coś poważniejszego, robiła odwrót i uciekała gdzie pieprz rośnie. Z drugiej strony, Alex jest jej lekarzem, uspokajała się w duchu. Skoro o żadnym romansie nie może być mowy, to wspólny lunch jest najzupełniej bezpieczny.

I tak doszło do tego, że w wyjątkowo piękny, słoneczny październikowy dzień, w prześlicznym ogrodzie za restauracją U Dana przy Sidney

Street, pięć minut drogi od Brompton, zasiedli do wspólnego lunchu. Pamiętała, że zamówili dwa proste dania i wodę mineralną. Zapamiętała jeszcze własny pogodny śmiech i cierpkie komentarze na temat tego, co widziała i przeżyte w Ameryce Południowej, które najwyraźniej go bawiły. Wprawdzie takie otwieranie się przed kimś było do niej zupełnie niepodobne, ale czuła, że on to docenia i że podoba mu się jej poczucie humoru. Uprzejmie odwiózł ją

pod same drzwi, przez całą drogę rozmowa toczyła się płynnie, bez niezręcznych przerw. A potem cisza. Mijały dni. Lucy czekała na telefon, lecz aparat wciąż milczał irytująco. Domyśliła się, że Alex czuje się zobowiązany do zachowania pewnego dystansu: bądź co bądź, wciąż jest jej lekarzem. Teraz miał przy niej znacznie mniej zajęć - oprócz monitorowania jej reakcji na leki i sprawdzania, czy nic nie wskazuje na niebezpieczeństwo odrzucenia przeszczepu - jednak wciąż łączyła ich więź na linii pacjent-lekarz, mierzona parametrami życiowymi i wynikami badań. Ta myśl ją otrzeźwiła. Najroz-sądniej byłoby o nim zapomnieć.

Ale nie była w stanie. Obgadała sprawę z Grace. Przemyślawszy wszystko, nie nazwała tego „służbowym lunchem”, nie chcąc, by przyjaciółka zasugerowała się tym określeniem. Powiedziała tylko, że przez godzinę rozmawiali, że było bardzo wesoło, przyznając jednak, że Alex właściwie nic nie powiedział o sobie. Grace ją ostrzegła: to nie jest najlepsza wróżba. Zwykle to kobieta słucha, a mężczyzna puszy się jak paw i

wychwała swoje zalety. I rzeczywiście, z nimi było inaczej, Lucy to przyznawała, ale miała poczucie, że właśnie ta odmienność czyni tego mężczyznę tak atrakcyjnym w jej oczach. Intrygował ją, a jego ujmująca powierzchowność oraz fakt, że był po rozwodzie i miał synka, wcale jej sytuacji nie ułatwiały. Za dużo kłopotów, uznała. Jak tylko wróci do pracy, szybko o nim zapomni.

A potem nieoczekiwanie odezwał się Alex, po dziewięciu dniach ciszy, i całkiem otwarcie zaprosił ją na służbową imprezę - szpitalne przyjęcie z okazji Halloween. Oprócz towarzyskiego spotkania personelu obu współpracujących szpitali, miała się odbyć zbiórka pieniędzy. Uprzedzał, żeby nie spodziewała się drugiego Chelsea Arts Ball: nie będzie artystów, olśniewających kreacji i sali balowej jak z bajki. Bilety były dostępne wyłącznie dla personelu, studentów i osób towarzyszących, ale zawsze udawało się łączyć jakieś fundusze dla szpitali. To impreza, na której on musi się pojawić, ale gdyby mogła z sobą zabrać swój najlepszy humor - bez niego ponoć

nie wpuszczają — i wybrać się z nim, byłoby mu dwakroć przyjemniej.

- Obiecuję strzec cię jak oka w głowie - dodał szybko. - Na takich obowiązkowych imprezach, kiedy towarzystwo jest już bardzo rozbawione, zdarzają się różne ekscesy, jak raczył mi przypomnieć Amel, kiedy mu mówiłem, że chcę cię zaprosić.

Martwiąc się o to, by nie nadwątlić sił świeżej rekonwalescentki, od razu zapewnił, że chodzi tylko o parę godzin - o króciutki rejs Tamizą, którego

długość ograniczona jest przez pory pływów i czas wynajmu statku. Bardzo przepraszał, że będą musieli spotkać się na nabrzeżu, bo on dojedzie prosto z pracy, z Harefield; ale odwiezie ją do domu po cichej kolacji, o ile oczywiście nie będzie zbyt zmęczona.

- Och... To bal kostiumowy, wspominałem o tym? Stroje mają nawiązywać do tematu: „Duchy umarłych z przeszłości”. Byłoby dobrze, gdybyś też miała jakiś kostium, o ile zdołasz coś wymyślić w ostatniej chwili.

Lucy odłożyła słuchawkę praktycznie bez słowa — nawet się z nim nie pożegnała, jak wypadało. Już za dwa dni? W dodatku nie powiedział, za kogo sam zamierza się przebrać, a bardzo jej zależało, żeby nie wybrać czegoś, co idiotycznie wyglądałoby przy jego kostiumie. Po konsultacji z Grace zdecydowała się na Ariadnę, tę od nici - idealną partię dla każdego mądrego księcia. Grace orzekła figlarnie, że to dobry pomysł i bardzo na miejscu. Doradzała kostium w stylu klasycznym, który można by udrapować tak, aby ukryć blizny, lecz który wciąż podkreślałby

największe fizyczne walory Lucy - jej piękne ciemne włosy i twarz o bardzo regularnych rysach, długą szyję oraz filigranową, kobiecą figurę.

- Czyż nie po to się ludzie przebierają? -
podsumowała sucho Grace.

Teraz, z niepokojem, który z każdym ryknięciem zegara coraz bardziej zbliżał ją do stanu paniki, skończyła podpinać kunsztowną fryzurę spinkami i założyła perłowe klipsy; przy skroniach wiły się dwa długie czarne anglezy, reszta włosów spleciona była w koronę podkreślającą kształt szyi i ramion. Stylizowana na antyczną, szata z dwóch brytów jedwabiu, którą Lucy uszyła z niemałą finezją i w iście rekordowym czasie, dyskretnie podkreślała zarys piersi. Lucy okazała się utalentowaną szwaczką. Jedwabny dżersej opływał jej odbicie w lustrze, nadając duchowi Ariadny lekkości i elegancji: po prostu bajka, jak zapewniała zachwycona Grace. Czasu było coraz mniej, lecz Lucy chciała, aby suknia stała się wyjątkowa i mówiła coś o niej samej, więc wykończyła ją, doszywając do niej naturalne perły o nieregularnym, niepo-

wtarzalnym kształcie. Nie zrobiła tego wyłącznie po to, aby zrobić wrażenie na Aleksie: czuła taką potrzebę, choć nie potrafiła określić dlaczego. Nagle jednak, gdy myślała o zbliżającej się „prawdziwej randce” i patrzyła na własną twarz w lustrze, poczuła, że ogarnia ją dziwna apatia.

- Załóż pantofle od Jimmy'ego Choo, Lucy. -
Głos Grace sprawił, że
ocknęła się z marazmu. - Twój doktor ma trochę
ponad sześć stóp wzrostu,
a te szpile dodadzą ci akurat tyle, ile trzeba,
będziesz wyglądała jak gwiazda

filmowa, ale wciąż mogła normalnie chodzić. - Przyjaciółka przejęła kontrolę nad sytuacją i widząc zdenerwowanie Lucy, zapewniła ją, że wygląda przepięknie: — Ale lepiej już leć, bo impreza odbędzie się bez ciebie i żaden pantofelek nie zdoła cię uratować, Kopciuszk.

Lucy ze zgrozą zerknęła na swój zegarek, złapała szal i torebkę, i niemalże sprintem pokonawszy schody, wypadła na Prince of Wales Drive. Pomyślała o sercu, które zaczęło tłuc jej się w piersi, i odrobinę zwolniła — nie chcąc, by zamiast miło spędzić z nią wieczór, Alex musiał wzywać karetkę i na sygnale pędzić z nią do szpitala. Miała nadzieję, że zaraz trafi się jakaś taksówka i mimo wszystko beznadziejnie się nie spóźni.

Jej życzenie się spełniło i niewiele później taksówka - biała jak jej kostium - zawróciła przepisowo na Charles Enbankment, wypuszczając ją przed samym wejściem na nabrzeże. Lucy wysiadła i nagle zatrzymała się na środku chodnika. Przy bramie stała Śmierć. Kostium Kostuchy wyglądał przerażająco realistycznie; niemal tak, jak gdyby ta, która go

nosiła, także przybyła tu prosto z pracy - zabierania dusz w zaświaty. Lucy poczuła dziwny, irracjonalny strach.

Aż podskoczyła, gdy tuż za nią odezwał się cichy, matowy głos:

- Kimże jest ta bogini? - Odwróciła się i ujrzała przed sobą postać żywym wyjętą z weneckiego *Carnevale* — z twarzą częściowo ukrytą pod misterną złoconą maską, która przechodziła w koronę, zrobioną z polakierowanego papieru nutowego i przytwierdzoną do cienkiego kijka. Była autentycznie zaskoczona, kiedy maska powędrowała w dół, odsłaniając uśmiechniętą twarz Alexa. Wyglądał tak, że aż zapało jej dech w piersi, trochę jak młody Byron, co jej zdaniem nie do końca pasowało do tematu maskarady. Włosy miał odrobinę dłuższe i nieco bardziej kędzierzawe, miał też cień zarostu, z którym było mu bardzo do twarzy. Podobało jej się to: nagle stał się innym człowiekiem, którego miała dopiero poznać, odkryć z

innej strony. Czy tak wygląda nieskazitelny Alex, kiedy nie ma dyżuru? A może celowo się nie ogolił, by przydać wiarygodności swojemu dzisiejszemu wcieleniu?

Podczas gdy ona przyzwyczajała się do jego odmienionej aparycji, on milczał, otwarcie podziwiając jej urodę. Nie śpieszył się; w końcu, nie komplementując jej słowem, lecz ciepłym, pełnym uznania uśmiechem, zamknął jej dłoń w swojej i poprowadził ją tam, gdzie czekała Kostucha.

-Bilety na rejs po Hadesie, tylko szybciotko, doktorze Stafford... i Bo gini. Jeszcze nie wypłynęliśmy, a już połowa tych, co są na pokładzie, jest

nieźle zalana. - Upiorny strażnik, jak się okazało mężczyzna o twarzy ukrytej pod obszernym kapturem, ledwie zerknął na bilety. - Kapela gra w salonie po lewej, drinki czekają w barze po prawej i w otwartym namiocie na górnym deku. Wejście przez bar, schodami na górę. Życzę miłego wieczoru.

Lucy ruszyła dalej, rozbawiona życzliwą gadatliwością Śmierci. Zaledwie zeszli z Alexem z trapu na pokład, doskoczyły do nich dwie zamaskowane postaci, wzbraniając im przejścia.

-Po tysiącokroć wybaczenia upraszam, dobre duszyczki, ale przewodnikowi zapłata się należy. A podróż to daleka, aż do królestwa umarłych. - Duch czekał z wyciągniętą ręką.

Alex wyjął z kieszeni banknot dziesięciofuntowy. Po pieniądzu sięgnął drugi duch czy raczej przebrana za ducha kobieta, która trzymając banknot długimi, białymi palcami jednej ręki, potarła go palcami drugiej, dmuchnęła i nagle banknot zniknął w czarodziejski sposób. Kobieta skłoniła się teatralnie.

-Nie znajdzie się jaka Kressyda dla

nieszczęsnego Trojlusa, dobrodzieju? - westchnęła, znacząco zerkając na kieszeń, z której Alex przed chwilą wyjął pierwszy banknot.

- Chyba raczej Elżbieta dla Karola, którego już dostałaś - zaśmiał się Alex. Zanim ruszyli dalej, w ręce kobiety powędrował drugi banknot, już nie dziesięciofuntowy, z wizerunkiem Karola Darwina na rewersie, lecz o nominale pięciu funtów i z wizerunkiem Elizabeth Fry.

- Prawdę rzeczesz, panie, lecz gdy my żebracy z postępem iść musimy, cała sprawa wielce na poetyczności traci, sam przyznasz? - Alex zaśmiał się tylko. — Ale cel jest szczytny, jak dobrze ci wiadomo. Dzięki, zacny panie.

- Idziemy w lewo napić się czegoś, czy w prawo potańczyć? - Alex pozostawił wybór Lucy, gdy znaleźli się w holu między salami.

- Zajrzyjmy do środka.

Otworzyła główne drzwi. Runęła na nich ściana dźwięku, a przed ich oczami ukazała się wierna inscenizacja *Piekle* według Dantego. W kłębach sinego dymu wirowały najróżniejsze postaci w kostiumach ze wszystkich możliwych epok. Kołysały się samotne ręce, nogi jak odjęte

od ciał niby na jakimś upiornym fresku. Po bokach drzwi stały prawdziwe szkielety. Wyglądało to tak, jak gdyby uczestnicy biesiady wymachiwali ludzkimi kończynami, a cała scena pulsowała w jakimś pierwotnym rytmie. Lucy miała silne podejrzenie, że te rekwizyty nie pochodzą z jakiejś teatralnej wypożyczalni,

ale nie zdołała dostatecznie zapanować nad głosem, aby zapytać o to Alexa. Słyszała o żartach, jakie robią sobie studenci medycyny, i o makabrycznym poczuciu humoru rezydentów, ujawniającym się przy takich okazjach. Wolą nie poruszać tego tematu.

Alex - z udawanym przerażeniem - starannie zamknął drzwi do sali tanecznej, dzięki czemu muzyka przestała ryczeć z ogłuszającą siłą. - Na lewo po drinki! - Zgodnie kiwnęli głowami, obrócili się w stronę drugich drzwi i weszli do baru.

Także i tutaj było pełno zamaskowanych postaci, tłoczących się wokół kontuaru na drugim końcu pomieszczenia. Drinki podawał doktor Frankenstein o zmierzwionych, sterczących na wszystkie strony włosach oraz kilku jego ponurych asystentów. Wnętrze samego baru miało imitować wystrój sali anatomicznej. Wszędzie stały rzędy szklanych kolb, chemicznych retort, kolorowych flakonów i innych naczyń, w których wyeksponowano mózgi, wątroby, nerki, dłonie i stopy, wszystkie zakonserwowane w formalinie.

-Damien Hirst czułby się tu jak u siebie - zauważyła Lucy, gdy zaczęli przedzierać się przez tłum.

-Twoim zdaniem to zbyt realistyczne? Za dużo kości? — Alex wierzył, że ironiczne poczucie humoru i tym razem Lucy nie zawiedzie; rzeczywiście jednak nie był to widok dla osób szczególnie wrażliwych.

-Witam, doktorze Stafford - odezwał się Frankenstein. - Może panu i pańskiej towarzysze byłoby wygodniej na górze? Widziałem, jak na górę wchodził szacowny Azziz, rozmawiając z administratorem, może z dziesięć minut temu. Niech państwo wejdą tamtymi schodami. - Wskazał je prawym łokciem, obiema rękami otwierając naraz po dwie butelki piwa, a następnie z wielką wprawą przelał ich zawartość do czterech wysokich szklanek. - Należy się sześć funtów. — Zwrócił się do płomiennorudej królowej Elżbiety, która zaczęła szperać w torebce.

-Kurewsko niewygodna rzecz taki gorset, no nie? - poskarżyła się Ale-xowi królowa, której akcent zdradzał pochodzenie z południowego

Londynu. Zapłaciła za piwo, zgarnęła z blatu pełne szklanki i trzymając je oburącz, zaczęła przepychać się w stronę znajomych.

-A niby skąd ja miałbym to wiedzieć? - skomentował filozoficznie doktor Frankenstein. Patrzył przy tym na Alexa, który ryknął śmiechem. Frankenstein wyczarował dla nich pół butelki szampana i trochę soku ze świeżych pomarańczy i machnął, żeby już szli na górę. Alex nie miał wolnej ręki, więc

Lucy ujęła go pod ramię i tak przepchnęli się na drugi koniec sali i weszli po schodach, prosto na świeże wieczorne powietrze.

Łódź płynęła powoli pod osłoną zmierzchu, gdy wyszli na górny pokład w samym środku czegoś, co na pierwszy rzut oka wyglądało na zgromadzenie londyńskiej arystokracji z około tysiąc siedemset pięćdziesiątego roku. Dla Lucy ten widok był czymś niemal surrealistycznym. Dopiero po chwili zaczęła rozpoznawać ludzi zapamiętanych z niezliczonych pobytów po szpitalach. Na pokładzie stało bądź siedziało mniej więcej pięćdziesiąt osób. Trzy pielęgniarki o gładkich, młodych twarzach, w długich powłóczystych szatach - trzy gracje, jak domyśliła się Lucy - zachichotały na widok doktora Staf-forda. Potem wypatrzyły za nim towarzyszkę i odwróciły się zrezygnowane, by porozmawiać z grupą stażystów. Lekarze specjaliści gawędzili z młodymi lekarkami, a ich żony obserwowały co przystojniejszych stażystów. Starszy personel nieuchronnie grawitował ku administratorom i członkom zarządu. Cała scena tchnęła swoistą nienaturalną

naturalnością; taki kostiumowy kadryl z przeszłości.

Dziwne, ale nie było Jane Cook. Lucy szybko zauważyła, że jej brakuje.

- Ktoś musi pilnować interesu - wyjaśnił Alex.

- Gdyby nie to, z pewnością by przyszła. Szpital jest dla niej najważniejszy, ale na pewno jej przykro, że nie może trochę pobyć z Amelem na płaszczyźnie towarzyskiej. To jej idol. Ja też, ale cóż. Każdy z nas potrzebuje w życiu jakiegoś bohatera.

Miejsce, gdzie stały stoły i krzesła, docieplono grzejnikami i przykryto markizą. Wokół ustawiono przezroczyste plastikowe ekrany, żeby ciepło nie uciekało, a goście nie stracili panoramicznego widoku na rzekę. Makabrycznym, często obscenicznym dekoracjom najwyraźniej nie udało się dotrzeć na górny pokład. Amel, w absurdalnym przebraniu Scotta, kapitana "Antarktyki", stał na krańcu pokładu, pogrążony w rozmowie z dwiema pięknymi kobietami — wysoką, smukłą jak wierzba i ciemnowłosą oraz bujniejszą, lecz równie

przykuwając wzrok blondynką. Gdy Alex i Lucy podeszli do niego, trzymając się blisko burty, Amel powitał ich ciepło.

- Aleksander Wielki. Dziwne, że nie przebrałeś się za jakiegoś Mace dończyka. Tak się cieszę, że gościmy cię w naszym gronie. I twoją promienną towarzyszkę. Lucy! Ależ ty ślicznie wyglądasz. Oczywiście wcale nie jestem tym zdziwiony, ale oczarowany ogromnie. - Zamknął jej delikatną dłoń w swoich, przyglądając jej się tak uważnie, iż nie mogła wątpić w szczerość jego komplementu. - Proszę, przywitajcie się. Te piękne damy są także wy-

bitnymi lekarkami — Zarina Anwar i Angelica LeRoy, obie specjalizujące się w chirurgii i po prostu znakomite, aczkolwiek nieczęsto wypuszczamy je od nas, z Harefield! Asystowały panu Denhamowi i mnie podczas twojej operacji. Miłe panie, po sześciu tygodniach i w formie znacznie lepszej niż miałyście okazję ją oglądać, pozwolę sobie paniom przedstawić Lucy King, pro-ducentkę telewizyjnych programów dokumentalnych.

Lucy patrzyła na stojące przed nią kobiety - na brunetkę, chłodną i wyrafinowaną, o nieskazitelnie wymanikiurowanych paznokciach, i na blondynkę, roześmianą i żywiołową — i oczy szerzej jej się otworzyły.

-Lucy, wydajesz się zdziwiona? Może i jestem nie najgorszym chirurgiem, ale nie zdołałbym tak długo zachować pełnej koncentracji — ciebie operowaliśmy prawie osiem godzin - więc pozwalam moim znakomitym koleżankom przejąć pałeczkę w pewnych ściśle określonych momentach i robić to, co robią znacznie lepiej ode mnie. Na przykład

Angelica zakłada prze
śliczne, równiutkie szewki.

Angelica, która wyglądała jak odrobinę tylko starsza, jasnowłosa wersja Scarlett O'Hary, podała jej rękę. Zauważyła, że Lucy podziwia jej przebogaty strój. - Podoba się pani ta suknia? Muszę wyznać, że po prostu uwielbiam tę epokę. Takie rzeczy przypominają mi moje strony.

-Pani strony?

-Ależ tak, wie pani, Mardi Gras, karnawał. Pochodzę z Nowego Orleanu. - Lucy była oczarowana jej miodowym głosem, który sprawiał, że nazwa jej rodzinnego miasta zabrzmiała jak jedna, przeciągła sylaba. - Niedawno tu przyleciałam w ramach wymiany naukowej, żeby mieć okazję współpracować z doktorem Azzizem. Z jednym z prawdziwych artystów w tej dziedzinie. Wydaje się wnosić do tej profesji coś nowego, „innego”, dlatego przyleciałam, chciałam obserwować go przy pracy. Nie zgodzi się pan ze mną, panie Stafford? Ups! Przepraszam, chciałam powiedzieć: doktorze Stafford.

Rozmowie tej przysłuchiwał się stojący w

sąsiedniej grupie dyrektor administracyjny - który przy Angelice miękł jak wosk - a teraz bez wahania pośpieszył jej na ratunek, oznajmiając dwornie:

-Nie martw się, Angelico. Tylko ci z Królewskiego Kolegium Chirurgów wiedzą, do kogo zwracać się per „pan”, a do kogo „doktorze”, ale to wiedza tajemna. Ja sam ciągle się myślę.

Alex zaśmiał się i pokiwał głową, przyznając mu rację. Nie potrafił wyjaśnić tej kwestii wielu znajomym Brytyjczykom, przekonanym, że wybór

między tymi dwoma tytułami grzecznościowymi zależy od tego, jak długo się kogoś zna, a co dopiero nieznającej systemu amerykańskiej koleżance. Nie chciał się zagłębiać w szczegóły, opowiadać o osiemnastowiecznym podziale na dysponujących formalnym wykształceniem lekarzy niechirurgów, co tłumaczyło tytułowanie ich „doktorami”, a „panów” chirurgów, którzy ćwiczyli pod okiem balwierzy.

- Proszę, mów mi Alex, Angelico. Ale odpowiadając na twoje pytanie, to owszem, jestem głęboko przekonany, że Allah cieszy się, kiedy Amel zakłada chirurgiczne rękawiczki i rusza w bój na salę operacyjną.

Lucy nie była pewna, jak ocenić ton Alexa, ale Amel uśmiechnął się pod nosem.

- Nie kpij ze mnie, młodzieńcze. Staram się mieć na względzie, że i ty możesz należeć do ludów Księgi, którym - chociaż w dzisiejszych czasach wielu o tym zapomina - należy się szacunek. Oczywiście nieraz mnie zapewniałeś, że jesteś niewierzący, ale jeszcze nie

zdecydowałem, czy ci uwierzyć, i zamierzam w dalszym ciągu traktować cię z największym szacunkiem, na który skądinąd w pełni zasługujesz. Pod każdym względem.

Potem całą swoją uwagę skoncentrował na Lucy, która raptem poczuła się szalenie ważna i wyróżniona. - Moja droga Lucy, jakże się wszyscy cieszymy, że jesteś dzisiaj z nami. Pozwól, że zajmę się twoim szalem. Na razie go nie potrzebujesz: dopóki pracują grzejniki, wieczór mamy tak ciepły jak w lecie.

- Dziękuję.

Lucy wyczuwała, że Amel stara się jej dopomóc w pokonaniu dystansu, jaki dzieli pacjenta od lekarza; jej reakcja była jednak dziwnie mało entuzjastyczna; zdjęła narzutkę i podała ją chirurgowi, który następnie powiesił ją na wolnym krześle. Alexa wciągnęła do rozmowy dorównująca mu wzrostem Zarina - zupełnie jak gdyby nagle wrócili do jakiegoś poważnego tematu, którego nie zdążyli do końca przedyskutować rano - lecz oto Alex delikatnie przyciągnął Lucy do siebie, by nie czuła się

wyłączona. Doceniała ten gest, więc przez jakiś czas słuchała i uśmiechała się, odpowiadając na kierowane do niej pytania; mimo to czuła się zaskakująco onieśmielona i obca. Obserwowała subtelne interakcje między wszystkimi tymi ludźmi i czuła się nie na miejscu. Ich życie wydawało się zamknięte w niewidzialnej bańce o specyficznym mikroklimacie, pomyślała, w której można zaobserwować pełny wachlarz ludzkich zachowań. Może ich świat wcale nie różnił się tak bardzo

od świata telewizji, lecz obsada była całkiem inna. Czy ona kiedykolwiek wróci do pracy? Nie mogła odsunąć od siebie tej myśli zwłaszcza teraz, gdy czuła się jak rozbitek dryfujący po nieznanych wodach, niemający pojęcia, czego się spodziewać po tym obcym świecie. Cóż, gdyby nie ci, którzy się tu dzisiaj zebrali, nie byłoby jej tutaj. W ogóle by jej nie było.

-Lucy. - Usłyszała swoje imię. - Lucy, znasz Tamizę? - Poznała głos Courtney Denhama po jego śpiewnym trynidadzkim akcencie. On i jego żona stali niedaleko, przysłuchując się rozmowie. Denham zabójczo wyglądał jako Otello.

-Witam. - Gdy zwrócił na nią uwagę, poczuła ulgę i na moment wymknęła się Alexowi. — Nie, w każdym razie niezbyt dobrze. - Nie była pewna, jak powinna się do niego zwracać poza szpitalem. Wciąż chodziła do niego na cotygodniowe wizyty kontrolne. - A powinnam. Mieszkam tu na tyle długo. Czy to nie tutaj odbywają się regaty wioślarskie między Oksford a Cambridge?

-Nieźle jak na kogoś urodzonego w brytyjskich koloniach. A odpowiadając na twoje pytanie: tak, ścigają się od mostu, pod którym

przeżyłaliśmy chwilę temu, potem mijają Chiswick Eyot. Pozwól: to Catherine, moja żona. — Przerwał, by przedstawić swoją Desdemone, seksowną kobietę o pełnych kształtach i niemal dorównującą mu wzrostem. Kobieta uśmiechnęła się do niej z sympatią.

- Courtney wspominał mi o tobie, Lucy.

- Mieszkamy tuż za tamtymi drzewami, pod Castelnau, w Barnes, więc dobrze znamy tę okolicę - podjął Courtney, zerkając na brzeg. — Jeszcze trochę i powinniśmy dopłynąć do Mortlake.

Przez jakiś czas swobodnie gawędzili we troje. Z początku Lucy martwiła się, czy aby nie nadużywa znajomości z Denhamem jako lekarzem, szybko jednak przekonała się, że jej obawy są bezpodstawne. Podziwiała ciekawostki okolicznego krajobrazu, które Courtney wskazywał jej palcem, i słuchała jego komentarza, dopóki łodzią nieoczekiwanie nie zakołysało. Wszyscy łapali równowagę, wiaderko, w którym stała butelka szampana, przewróciło się z brzękiem, posypały się kieliszki. Łódź skręciła gwałtownie w kierunku

linii brzegowej, dziób głębiej zanurzył się w wodzie, ryknęły silniki, na sekundę przechodząc na wsteczny bieg. Gdy syrena wydała trzy sygnały alarmowe, Lucy aż podskoczyła, a wszyscy pozostali, zaledwie pewniej stanęli na nogach, obejrżeli się, ciekawi co się stało. Widok z górnego pokładu sprawił,

że na łodzi zaległa cisza gęsta jak koc. Zza dziobu łodzi wyłoniła się barka, najpiękniejsza, jaką Lucy w życiu widziała, doskonała w każdym detalu, smukła, czerwono-złota. Zachwyciła nawet trzy gracje.

Światło nabierało już bursztynowego odcienia, lecz mimo to Lucy widziała załogę barki niezwykle wyraźnie. Heraldowie z trąbami stali w dwóch rzędach wzdłuż burt; wioślarze pracowali w pocie czoła, by wyprowadzić barkę z kilwateru za ich łodzią. Pod złoto obrzeżonym baldachimem schroniła się niewielka grupa ludzi w bogatych szlacheckich strojach. Jeden, w oślepiająco białym kostiumie, trzymał się na uboczu; przy nim zaś stał jakiś mężczyzna w ciemnych szatach, z łańcuchem symbolizującym sprawowany przez niego wysoki urząd.

Scena jak z filmu, pomyślała Lucy, patrząc na barkę okiem fachowca. I ta dbałość o szczegóły. Koszty takiej inscenizacji pewnie przekraczały możliwości finansowe niejednego hollywoodzkiego producenta. Co ta barka robi na Tamizie w Halloween? Może ambasador Włoch urządził prywatny wenecki karnawał? Albo

imprezują jakieś młode gwiazdy filmowe? W każdym razie nikogo nie rozpoznawała. Jednak oto barka płynęła rzeką, obserwowana przez jakieś dwie setki ludzi, a jej pasażerowie wydawali się niefrasobliwi i zupełnie nieświadomi tego, jak mało brakowało do tragedii, gdy barka przepływała tuż przed dziobem większego statku. Pasażerowie statku zaś w takim tempie wlewali w siebie alkohol, że rano nie będą pamiętali, jak się nazywają. Oczywiście wszystkie te kace w słusznej sprawie — usłyszała, jak Alex żartuje sobie z kolegów i zachichotała; nagle przebiegł ją zimny dreszcz. Tylko co właściwie takiego zobaczyła?

Otworzyły się drzwi sali tanecznej, gdyż część tańczących chciała pobiec na górę i zobaczyć, co się dzieje na rzece. Poziom hałasu zwiększył się chyba stukrotnie, przynajmniej Lucy tak to odbierała. A nad wszystkim górował ogłuszający dźwięk trąb, grzmiąca fanfara, którą Lucy, z racji niewielkiej odległości, słyszała niemal tak wyraźnie, jak gdyby sama była na tej barce.

-To się nazywa halloweenowa imprezka - zauważył ktoś po jej prawej stronie afektowanym

męskim głosem z ciężkim
południowoafrykańskim akcentem.

-Niemożliwe. Za szykownie to wygląda, może
kręcą jakiś film — odparł mu drugi głos, kobiecy.

-To opera na wodzie, kochanie. Tacy jak Cecil
B. już się nie rodzą. Żałuję, że to nie ja tam stoję
na tej barce. Kostiumy mają po prostu boskie.

I popatrz tylko na tego zjawiskowego młodzieńca z płaszczem przerzuconym przez ramię. Wystylizowany ryzykownie, na lorda Byrona. Ale wygląda w tym kostiumie wystrzałowo!

- Cóż, przyćmili nas - padł spokojny komentarz.

- Pójdźmy po te małe kanapeczki. Oooch, bajeczną masz suknię, kotku - pochwalił zazdrośnie pierwszy głos, gdzieś bliżej Lucy, po czym para oddaliła się niespiesznie.

Do Lucy nie dotarły ich komentarze, nie zauważyła nawet, że Alex stoi za nią. Jej umysł, cała jej istota skoncentrowana była na pasażerach barki. Oni z kolei w coś się wpatrywali - miała wrażenie, że w nią - w każdym razie twarze mieli zwrócone w stronę statku i ani na chwilę nie odrywali wzroku od niego i od Lucy. Mężczyzna w szatach z ciemnego aksamitu niczym magnes przyciągał jej spojrzenie. Patrzyli na siebie jak para przyjaciół rozdzielonych przez los. Przez kilka sekund, które zdawały się trwać całą wieczność, wpatrywali się w siebie, niezdolni wyrwać się z tego dziwnego transu.

Kiedy majestatyczna barka otarła się niemal o

odbojnicę drugiej jednostki, mężczyzna odezwał się; miał ciężki cudzoziemski akcent. Lucy owionęła osobliwa mieszanina zapachów: róż, limetek, ale i kotów, ścieków i gotowanych dań, które kojarzyły jej się z kolacją. Słyszała słowa, które wypowiadał, powoli, rytmicznie, jak gdyby uderzał w dzwon:

- *Sator Arepo Tenet Opera Rotas.*

Brzmiały tak wyraźnie, jak gdyby mężczyzna stał tuż obok. Statek i barka minęły się i przyśpieszając, popłynęły dalej, tnąc wodę tak wzburzoną, iż Tamiza wydawała się przez moment płynąć między Scyllą a Charybdą. Między nimi kłębiły się potężne, bulgoczące wiry; potem płływ je rozdzielił. Barka wyrównała kurs i skierowała się ku czemuś, co w gęstniejącej szarówce wydało się Lucy schodami prowadzącymi na ogołoczone nabrzeże, ku ogrodowi i ledwie widocznej dróżce między jakimiś budynkami; w dali majaczyła sylweta kościoła.

Lucy tłukło się serce, dosłownie łomotało; wszystkie dźwięki docierały do niej stłumione, jak wtedy, gdy ma się głowę pod wodą i głuchy pogłos zdaje się wypełniać całą wolną przestrzeń.

Ludzie stali się dalecy, zapomniała o nich, choć wciąż czuła fizyczną bliskość Alexa, jego ciepło. Brzeg wciąż widziała dość wyraźnie. Pojawił się tam masywny, brodaty mężczyzna w tocie uczonego, zaraz za nim przez ogród podążali następni. Z barki zaczął się wylewać strumień pasażerów kierujących się ku schodom. Znowu zadęto w trąby,

lecz tym razem ich dźwięk nie był słodki, lecz zgrzytliwy jak głos pękniętego kościelnego dzwonu. Cóż za wspaniały orszak, pomyślała. Wszyscy mieli perfekcyjnie uszyte stroje, trębacze w jaskrawej, płomiennej czerwieni wciąż wygrywali grzmiącą fanfarę. Mężczyzna w szatach uczonego skłonił się przed majestatyczną postacią z barki; Lucy rozpoznała w niej cudzoziemca, który na tak długo zdołał przykuć jej spojrzenie. Cudzoziemiec, przebrany chyba za mnicha, aczkolwiek z niebywałym jak na braci zakonnych przepychem, wysiadł z barki, za nim zaś wysiadły inne, pięknie odziane postacie, i następne, najwyraźniej ustępujące im rangą. Na sekundę wszyscy obrócili się w stronę rzeki, dyskretnie zasalutowali, po czym ruszyli przez trawę w gasnącym świetle.

Na statku podnosiły się szepty, komentarze na temat wydarzeń sprzed chwili.

- Bajeczny bal kostiumowy.

- Niesamowity! Ktoś zadał sobie niemało wysiłku, aby zgadzało się wszystko po najmniejsze szczegóły.

- A mnie aż ciarki przeszły, jeśli mam być

szczerzy. Jakby ci ludzie nas szpiegowali.

Muzyka znowu zabrzmiała głośniejsze, a po chwili przycichła; to tancerze, wróciwszy na dół, otworzyli, po czym zamknęli za sobą drzwi sali.

Łódź dotarła do kresu podróży w górę rzeki, zawróciła i ruszyła z prądem. Lucy nie była w stanie wydobyć głosu. Catherine Denham stała zamyślona, z przechyloną lekko głową. Wymieniły porozumiewawcze spojrzenia, lecz żadna się nie odezwała.

- Zupełnie jakby płynęli prosto z pałacu Hampton Courts - zwróciła się Angelica do Zariny, która wyglądała na zmartwioną czymś; zachwyty w jej głosie przywodził na myśl dziecko, które właśnie dostało wspaniały prezent. - Przez szczelinę w czasie między światem żywych a królestwem umarłych.

- Raczej z Twickenham Studios — wtrąciła Zarina.

- Prawdę mówiąc, to z Oksfordu - ku własnemu zdumieniu szepnęła cicho Lucy.

Nieco wcześniej Alex i Amel odłączyli się od nich. Nagle znowu pojawili się przy Lucy, która z dłońmi jak przyklejonymi do balustrady

wpatrywała się w ciemne wody Tamizy; wodziła wzrokiem wzdłuż linii brzegu, wypatrując czerwono-złotej barki i schodów, po których weszli jej pasażerowie.

Alex patrzył na wszystkich i wszystko niewidzącym wzrokiem, powtarzając dziwne słowa, które przed zaledwie dwoma tygodniami widział z Simo-

nem na ekranie laptopa: „Sator Arepo...” Delikatnie położył dłoń na plecach Lucy, od których aż biło ciepło, a potem szybko sięgnął po jej szal i narzucił go jej na ramiona, czując, że jego towarzyszka drży. - „Niewidzialna ręka pisze nasze losy”*... — powiedział cicho, a Amel pokiwał głową, zamyślony.

Żadne z nich więcej się nie odezwało. Kiedy łódź pokonywała Mortlake Reach, odcinek między dwoma mostami, wszyscy milczeli pogrążeni w myślach. Już widać było iglicę kościoła św. Marii w Mortlake, stojącego za rzędem domków, lecz samych budynków, osłoniętych gęściej utkanym całunem ciemności, nie rozpoznawali, mimo że widzieli je tak niedawno: jakieś magazyny, pub, ładny georgiański budynek. Barkę jednak, schody i ludzi, którzy po nich weszli, pochłoneła noc.

15 CZERWCA 1583 R., MORTLAKE

KRÓLEWSKA BARKA JEJ WYSOKOŚCI KOŁYSZE SIĘ NA WEZBRANYCH WODACH TAMIZY, kierując się ku stopniom na brzegu. Rozlegają się nawoływania i krzyki

załogi, gdy woda mąci się nagle od potężnych prądów, zaledwie w pobliżu pojawia się inny, dziwny statek. Zdawać by się mogło, że jesienny wiatr wniwecz obrócił spokój tego czerwcowego dnia. Ruch na rzece zawsze jest duży; zwykli śmiertelnicy winni jednak trzymać się z daleka od barki miłościwie panującej im Królowej.

Załogę ucisza signor Bruno:

— *To nie jest śmiertelniczka. Była w krainie umarłych. Bogini. Anioł światła, Lucina, światło dająca. — Mówi z ciężkim włoskim akcentem, lecz angielskie słowa brzmią czysto i wyraźnie. Daje znak komuś, komu śpieszno ich powitać.*

Na brzegu rzeki pojawia się wysoki mężczyzna, smukły i przystojny, o jasnym obliczu i długiej spiczastej brodzie, w jasnych szatach artysty o szerokich powłóczystych rękawach. Za nim widać żonę, służących i czeredkę dzieci, które biegną przez ogród, między domami i szopami ku schodom na brzegu. Człowiek ów ma nadzieję, że królewska barka, z Oksfordu do Londynu powracająca, bodaj na krótko do brzegu przybije. Heraldowie fanfarą obwieszczają przybycie Jego Wysokości księcia Olbrachta Łaskiego, wojewody

sieradzkiego, wraz z jego charyzmatycznym przyjacielem i uczniem, dworzaninem sir Philipem Sidneyem i kompanią. Owa nadzieja się ziszcza.

*O. Chajjam, *Rubajaty*, przeł. Janusz Krzyżanowski (przyp. tłum.).

John Dee świadom był uczonych debat toczących się od dni kilku na Oksfordzie. Pogłoski na ich temat płynęły w dół rzeki niczym niesione wartkim prądem. Toteż doktor Dee ciekawy jest owego niesławnego włoskiego mnicha, Giordana Bruna, który Uniwersytet cały rozpałił, stawiając szereg tez, naukowych i filozoficznych, w mniemaniu doktora wykraczających poza pojmowanie — tym samym stając się niemożliwymi do przyjęcia — konserwatywnych założycieli owej uczelni, których Bruno nazywał pedantami. Oni z kolei mienili go kuglarzem; jednak przeciwko „kuglarzowi” i poważniejszy padł zarzut, a mianowicie herezji i bluźnierstwa. Głosił nieśmiertelność duszy i wyznawał doktrynę reinkarnacji, prawil o innych systemach słonecznych i innych słońcach — wielu słońcach — świecących własnym światłem, które to światło jeno odbijają planety. Teoria Kopernika jest heliocentryczna - Słońce jest ośrodkiem wszechrzeczy; Bruno prawi o teocentrycznym wszechświecie — którego ośrodkiem jest Bóg. Doktora Dee porwały jego idee: że winniśmy szukać Boga w Naturze, w świetle Słońca, w

pięknie wszystkiego, co zrodzone z ziemi. „I my sami — rzekł niedawno swym przyjaciółom — jako i wszystko, co naszym mienimy — rodzimy się i umieramy, by ponownie się odrodzić”. To potężna i porywająca idea -a że nieco dziwną się zdaje? Cóż. Z tego jednak, czego Dee zdołał się wywiedzieć, rozważania Bruna ściśle wiążą się z dziedziną jego własnych dociekań, którą to dziedzinę pragnie lepiej zbadać.

— Wielki książe, przybywając, ogromny zaszczyt mi czynisz, za co mogę tylko dziękować Bogu. — Dee składa niski, elegancki pokłon odzianemu w aksamity mężczyźnie. — Lordowie i szlachetnie urodzeni panowie, z całego serca zapraszam do mego domu i biblioteki. — Teraz zwraca się w szczególności do pełnego wdzięku młodego dworzanina, który odwzajemnia pokłon, po czym z wielką serdecznością, w geście mniej już oficjalnego powitania, ujmując oburącz dłonie gospodarza i wieloletniego nauczyciela. Obaj mężczyźni obracają twarze i przez chwilę patrzą na Tamizę.

Doktor Dee przygląda się niskiemu, ciemnowłosemu neapolitańczykowi. Nie dbając o

nakazy grzeczności, i wielce rzeką samą zaintrygowany, Włoch pyta doktora Dee: „Widziałeś już ją? Mroczną piękność?”

Starszy mężczyzna wolno kiwa głową, głęboko zamysłony, śledząc spojrzeniem ciemny nurt ku miejscu, gdzie na rzece kołysze się mała, oświetlona latarniami łódź, która przepływała wtedy na parę chwil przed przybyciem jego przyjaciół, a teraz znika już w oddali. Upiorna łódź, orzeka w duchu. Potem obraca się twarzą w kierunku gościa, by uściskać mu prawicę. „Signor Bruno. Dziwna to była wizja. Lecz przecież diabli mogą kusić i poprzez duchy, które jasnymi się wydają”.

Signor Bruno jest nieporuszony. „ Wprawdzie mroczna jest, ale i prawdziwie najjaśniejsza. Kabalistyczne drzewo uczy nas poprzez Kether, iż źródło światła kieruje naszymi intencjami i działaniami. Czyżbyś nie słyszał jej głosu? Jest wiatrem, który trąca struny Apollinowej lutni. Kiedy przemówi miłość, w jej ślady wszyscy pójdą bogowie i niebo stanie się świadkiem idealnej harmonii. Sator Arepo Tenet Opera Rotas.

— *Bóg dzierży koło stworzenia w swoich rękach — Dee kończy tę myśl po angielsku. — A jakże wyjątkowy, złożony i cudowny jest ten świat.*

Odwracają się od rzeki i zgodnie, wraz z pozostałymi, idą po trawie ku domowi.

— *A ona niebiańską jest istotą - szepce Bruno, oglądając się, by po raz ostatni sięgnąć spojrzeniem ku znikającej zjawie.*

KIEDY WRÓCILI NA MOLO, ALEX OPIEKUŃCZYM GESTEM OTOCZYŁ RAMIENIEM Lucy - szczelnie okrytą jego rokokowym surdudem ze złotym szamerunkiem - a potem szybko poprowadził ją do samochodu. Czuł obrzydzenie do samego siebie na myśl o tym, iż zaryzykował jej zdrowie tak niedługo po operacji. Wprawdzie nie przejawiała jakichkolwiek oznak choroby, odkąd wypisano ją ze szpitala, i była pod każdym względem wzorową pacjentką, dochodzącą do siebie w podręcznikowym czasie, teraz jednak zrobiła się niepokojąco cicha i było dla niego jasne, że dzisiejszy wieczór ją wyczerpał. Najbardziej bał się, że się przeziębila - ręce miała wprost lodowate - co mogłoby mieć katastrofalne skutki, o ile szybko nie wkroczy się z leczeniem. Nad mężczyznę wziął górę lekarz, który chciał jak najszybciej dowieźć swoją pacjentkę do szpitala w Brompton. Zdjął rękę z kierownicy i rozmasował jej chłodną dłoń gestem, w którym

było tyleż troski, co uczucia. Byłoby to całkiem romantyczne, pomyślała, gdyby nie wydawał się taki zaniepokojony.

Gdy wchodzili do szpitala bocznym wejściem, w duchu pocieszała się myślą, że pozwolił jej normalnie wsiąść do windy zamiast wezwać salowego z wózkiem. Kiedy wygodnie leżała w prywatnej salce, podłączył kardiograf. I nagle, jak się wydawało, Alex odzyskał niezmacony spokój, półgłosem wydając polecenia asystującemu mu personelowi. Dwaj inni lekarze z zaskoczeniem i rozbawieniem patrzyli, jak on, immunolog, wciela się w rolę kardiologa, lecz Alex spokojnie robił swoje. Ani mu się śniło powierzać Lucy opiece któregokolwiek z kolegów.

- Naprawdę stoję u wrót s'mierci? - Prawdę mówiąc, to Lucy czuła zgrozę na myśl o tym, ile nerwów już go kosztowała, i chciała, żeby przestał wo-

kół niej skakać. - Myślałam, że na dzisiejszy wieczór oddała mnie pod twoją opiekę, tak przynajmniej mówiła na molo. — Chciała jakoś rozładować atmosferę; a wcale nie martwiła się aż tak bardzo, jak najwyraźniej martwił się on. Czuła jednak instynktownie, że szanse na jakakolwiek bliskość między nimi nikną w oczach, tak samo jak wcześniej z jego twarzy znikł wyraz rozbawienia, zaledwie dotknął jej dłoni i poczuł, jaka jest zimna.

-Może trochę histeryzuję — próbował się roześmiać, świadomy jej zakłopotania - ale ten jeden jedyny raz będziesz musiała mi wybaczyć nadmiar ostrożności.

-Bardzo się staram odebrać ją jako komplement. - Lucy chciała się z nim poprzekomarzać, lecz do Alexa, skupionego na badaniu, nic nie docierało; był głuchy na zamierzoną ironię w jej głosie, którą ktoś z boku uznałby najpewniej za próbę flirtu.

Amel - odprowadzany dźwięcznymi wybuchami śmiechu przez nieliczny dziś personel — niebawem do nich dołączył, pomimo próśb Alexa, by nie psuł sobie reszty wieczoru.

— Czyżby istniała szansa, że dasz się skusić i porzucisz swoją ukochaną immunologię, Aleksie? - Amel patrzył rozbawiony, jak kolega mierzy Lucy ciśnienie. - Myślę, że przesadzasz, ale mimo wszystko zostanę na chwilę, by potwierdzić, że moje światłe diagnozy i intuicja jak zawsze są niezawodne. Zarezerwowany stolik poczeka te pół godziny.

Lucy miała skruszoną minę: tego zdecydowanie nie chciała. Kiedy jednak kardiograf wypluwał z siebie wyniki, Amel pomrukiwał tylko z zadowoleniem. Patrząc na pacjentkę, zgodził się z Alexem, że wygląda trochę blado i ma nienaturalnie niską temperaturę: jak duch, zażartował.

— Tak czy inaczej, nie ma powodu do zmartwienia, tego jestem pewny. Nawet nie myśl o angiografii. Serce jest bardzo mocne, pięknie bije. Nerwy, rzecz jasna, jeszcze nawet nie zaczęły się regenerować, ale samo serce jest jak dzwon. Niemniej rzeczywiście jesteś blada, Lucy, a z twoich oczu wyczytuję,

że coś cię dzisiaj przestraszyło. Uważam więc, że mój obecny tu kolega ma rację. - Rzucił przez ramię pełne rozbawienia spojrzenie w kierunku Alexa. — Prawdopodobnie powinnaś chociaż do jutra zostać u nas na obserwacji. Formalnościami sam się zajmę, doktorze Stafford - dodał, nie przestając się uśmiechać do pacjentki.

Alex był wdzięczny Amelowi, że się zajął jego pacjentką; kiedy jednak wyszedł na chwilę, by zatelefonować do Grace i uprzedzić, że jej współloka-

torka nie wróci na noc, Lucy nie zdołała ukryć rozczarowania; spojrzała na chirurga z miną dziecka, które w dniu urodzin dowiaduje się, że nie dostanie żadnego prezentu.

-To jego sposób okazywania, jaka jesteś dla niego ważna. - Usiłował ją jakoś pocieszyć Amel, który doskonale się orientował, co Lucy zaczyna czuć do Aleksa. - Moim zdaniem przesadził z ostrożnością, a ty najzwyczajniej trochę zmarzłaś podczas rejsu. Możliwe, że wystarczyłoby, byś wzięła gorącą kąpiel i wcześniej położyła się do łóżka; ale jak coś robić, to porządnie. W końcu od twojej operacji minęło zaledwie sześć czy siedem tygodni.

Lucy przytaknęła zrezygnowana.

-To dla mnie bardzo typowe, zrobić zamieszanie przed samym wyjściem. Można by powiedzieć, że ten zwyczaj kultywowałam przez całe swoje życie. - Popatrzyła na niego z rozpaczą.

Amel pochylił się w jej stronę, zerkając na nią ponad krawędziami szkieł.

-Tylko że ty już nie musisz się śpieszyć. Przyzwyczaj się do myśli, że czas przestał być twoim wrogiem. A na koniec coś pozytywnego: ciśnienie masz znakomite i moim zdaniem nie ma powodu do hospitalizacji. Jestem z ciebie bardzo zadowolony. W najbliższym czasie mamy jeszcze biopsję i echo, no i kompleksowe badania jakoś w okolicy świąt, ale takie ciśnienie to naprawdę świetny znak. Ten mały epizod nie ma nic wspólnego, moim zdaniem, z możliwością odrzucenia przeszczepu. I nikt nie wie tego lepiej niż Alex. On ma genialną intuicję do takich rzeczy.

Posiadacz owej genialnej intuicji wrócił, Amel zaś uznał za stosowne przypomnieć im obojgu, że czeka na niego stolik w restauracji oraz dwie przeurocze koleżanki.

-Jestem zadowolony z wyników EKG, ale echo naprawdę nie jest konieczne, Alex. Może jakiś antybiotyk, a rano ją stąd wypuścimy. Przydałoby się jej jakieś porządne śniadanie. - Uśmiechnął się

kwaśno. — Interesujący
wieczór, zgodzicie się ze mną? - Zanim wyszedł,
popatrzył jeszcze na Alexa
i powiedział zagadkowo: - „...i na nic płacze,
starania i wybiegi, na nic się
przydadzą zrozpaczone głosy”*

Alex nie potrzebował tego zawołanego ostrzeżenia, by nie dzielił się z nikim swoimi przemyśleniami na temat dziwnej barki, którą widzieli na

* O. Chajjam, *Rubajaty*, przeł. J. Krzyżanowski (przyp. tłum.).

Tamizie. Już wcześniej postanowił więcej do tej sprawy nie wracać, chociaż w uszach wciąż rozbrzmiewały mu usłyszane wtedy słowa. I po raz setny pomyślał o niezwykłym zabezpieczeniu, które Will zainstalował w swoim laptopie: o tajemniczym kwadracie z liter składających się w słowa: Sator Arepo Tenet. Opera Rotas. Od tamtej pory we wszystkim, co działo się wokół niego, wydawały się rozbrzmiewać echa tych słów. I znowu zaczął się zastanawiać nad mailem, który znaleźli z Simonem w skrzynce pocztowej Willa — ze wzmianką o nieprzerwanej rzece myśli - w świetle dzisiejszego rejsu po Tamizie. Ani Amel, ani Lucy, jak zdawał sobie sprawę, nie wierzyli, że istnieje w pełni racjonalne wyjaśnienie tego, co zobaczyli podczas rejsu. Alex odprowadził spojrzeniem zamyślnego Amela i obrócił się ku Lucy. Miejsce niebiańskiej bogini zajęła w jego myślach uzurpatorka: krucha istota w szpitalnej piżamie, on zaś, wchodząc w rolę garderobianej, starannie powiesił jej jedwabną szatę na tapicerowanym wieszaku, specjalnie do tego celu przyniesionym. Lucy wyglądała na wycieńczoną; lecz mimo to jej twarz zdawała się promienieć.

Mądra jak Atena? Być może, pomyślał, lecz wrażliwa i delikatna jak Florencja Dombey czy Katarzyna Morland; sama w wielkim świecie, pozbawiona rodzinnej opieki. Z całą pewnością nie był to moment, by ją porzucić.

- Powiniennem dokończyć wpisy w kartach kilku pacjentów. Nie czułabyś się skrepowana, gdybym sobie usiadł i tutaj się tym zajął? - Kiwnął w stronę krzesła stojącego przy jej łóżku. - Wolę sam mieć cię na oku. - Lucy uśmiechnęła się dziwnie. - Nie w tym rzecz, że nie mam zaufania do rezydentów, ale niektórzy z nich są na nogach od trzydziestu godzin albo i dłużej. Nie będę miał poczucia, że jesteś zanedbywana.

Na twarzy Lucy po raz pierwszy od ostatniej godziny przestało się malować napięcie. Kiwnęła głową, nie ufając swojemu głosowi. Alex, przekonany, że trafnie rozszyfrował wyraz jej twarzy, odwzajemnił uśmiech.

- Ale musisz spróbować zasnąć, Lucy; nie pozwól, żebym ci przeszkadzał. - Więc szybko zamknęła oczy, niczym

posłuszne dziecko, i odpłynęła w sen, w którym pełno było bogato odzianych mężczyzn na wielkiej barce, wtapiającej się na wieki w lodowaty pejzaż jej snów.

Skąpo odziany człowiek klęczał przed innym, siedzącym na jakimś podwyższeniu. Ten drugi miał na sobie przebogate, obrzeżone brokatem szaty z mięsistego czerwonego materiału. Ów klęczący na ziemi nie miał zbyt ujmującej powierzchowności, jak zauważyła Lucy; był dość niski, o ciemnej karnacji, ubrany w strój z szorstkiej wełny, niegdyś może mnisi habit. Wy-

czuwała, że tego człowieka czeka osąd adwersarza. Klęczący wydawał się jednak dziwnie roztargniony, nie poświęcał sędziemu należytej uwagi. Mrużył oczy w bladym zimowym świetle, spoglądał przez wąską szczelinę w oknie komnaty, w której się znajdowali, ku mostowi na dworze.

-To Ponte Sant'Angelo, Lucino - usłyszała, jak do niej mówi, głęboko patrząc jej w oczy. Usiłowała pocieszyć go uśmiechem. To był tamten mężczyzna z barki, ten mnich. - Na tym moście Beatrycze Cenci, w zaledwie dwudziestej piątej wiosnie życia, została skrócona o głowę za mord popełniony na swym ojcu - opowiadał Lucy cicho - po tym, jak wielokrotnie ją zgwałcił. Tutaj też włączono końmi i poćwiartowano jej starszego brata, zaledwie przed rokiem. Jego Święto bliwość chciał w ten sposób dać nauczki innym nieposłusznym rodom.

Lucy nie miała pojęcia, jak na to zareagować, więc patrzyła tylko, jak mnich odwraca głowę, od niej i od okna, na powrót zwracając twarz ku

człowiekowi w szkarłacie. Potem odezwał się ponownie, głosem tak samo czystym jak wtedy, gdy przemawiał do niej z barki:

-Kościół jest obarczony skazą, Wasza Eminencjo. Oddalił się od czy stych nauk Apostołów, którzy nawracali, prawiąc kazania i dając przykład z własnego żywota. Teraz jednak każdy, kto na katolicyzm nawrócić się nie chce, cierpieć musi ból i karę ponosić. Siłą, nie miłością, przekonuje się wąt piących do „prawdy”.

A potem cicho odwrócił się od człowieka, który dzierżył władzę nad jego ziemskim losem, i ponownie spojrzął na jasnego ducha Lucy, niczym człowiek opętany, mówiąc, jak sam mógłby powiedzieć, do aniołów:

-Dusza człowieka, bądź tego pewna, Lucino, jest jedynym bogiem, jaki istnieje. Jak więc oddamy jej cześć?

Teraz ten drugi - najpewniej kardynał - mówił coś, czego Lucy nie dosłyszała, do mężczyzny, który przed nim klęczał - coś o wtrąceniu go do lochu, zostawieniu samemu sobie i wyrzuceniu

klucza. Potem jego głos stał się na tyle donośny, że Lucy wyraźnie słyszała, jak zwraca się do strażników:

- Przekażcie go władzom miejskim, niech czynią swą powinność; dopilnujcie jednak, by umarł miłosierną śmiercią... Jeśli to możliwe, bez rozlewu krwi.

Lucy domyślała się, iż mnich wiele czasu spędził na klęczkach, teraz jednak wstał i wyprostował się, pokazując się w skromnej, acz pełnej wysokości. -Z większą trwogą wy ten wyrok wydajecie niżli ja go wysłuchuję. - W jego głosie brzmiał niezmacony spokój, bez cienia gniewu czy lęku. Na te słowa wszyscy obecni ucichli.

Obserwowała spektakl, który rozgrywał się na jej oczach, pozbawiona fizycznej siły i jakiegokolwiek kontroli nad ciałem. Jak sparaliżowana słuchała stukotu długich butów o kocie łby, patrzyła na białe obłoczki pary, ulatujące z ust aktorów jej prywatnego misterium, sama czuła przerażający chłód, mimo że własne ciało wydawało jej się ciężkie i bardzo dalekie. Poruszyła się na łóżku i w półśnie poczuła przewody przytwierdzone do jej piersi, zobaczyła cień anioła czuwającego przy nim z pochyloną głową; a potem znowu zamknęła ciężkie powieki i zapadła w głębszy sen.

Kiedy się obudziła, był słoneczny ranek, czuła się lekka jak piórko, a jej serce biło wprost melodyjnie. Krzesło było puste, jeśli nie liczyć znajomej torby z jej ubraniami. Musiała ją podrzucić życzliwa Grace. Ale na stoliku przy łóżku znalazła malutki bukiet miniaturowych różowych róż i napisany odręcznie liścik, grubymi, pochyłymi literami:

Dla śpiącej Ariadny, kiedy się zbudzi. Dzisiaj jest u mnie syn, ale, jutro je-stem wolny. Wystarczy Ci odwagi, by dołączyć do mnie i do moich

przyjaciół na lunch w Mortlake?

Podpisany był imieniem *Alessandro*, jego alter ego z poprzedniego wieczora. Alex lekarz znowu zniknął; może znowu pojawi się Alex mężczyzna. A co do jego pytania, to owszem: bardzo chętnie obejrzałyby Mortlake jeszcze raz, za dnia.

- Mam je włożyć do wody? - usłyszała wesoły głos pielęgniarki. Lucy uśmiechnęła się spokojnie.

- Nie, dziękuję. Nie zostaję tutaj, a one wrócą ze mną do domu.

Na łóżku leżały już trzy zdyskwalifikowane stroje. Sian chciała dzisiaj roztaczać aurę pewności siebie, której całkowicie jej brakowało. Z racji zawodu - a była stylistką - jej drugą naturą stała się umiejętność przemyślnego dobierania elementów stroju w taki sposób, aby wyglądać na wolną od trosk i nieco nonszalancko, jak gdyby w ostatniej chwili niedbale zestawiała rzeczy, z których każda mogłaby się pojawić na okładce „Vogue'a”. Co się dzisiaj działo? Jakoś nie umiała odtworzyć tego wrażenia elegancji podszytej luzem.

Na życzenie Calvina mieli zacząć od spaceru po rezerwacie przyrody Barnes Common aż do Mortlake. Pantofle na płaskim obcasie, zastanawiała się, czy kozaki? Potem lunch w starym pubie nad rzeką, więc musi ubrać się praktycznie, a zarazem kobieco. Z drugiej strony wiejski pub to nie The Ivy, nie ma powodu, żeby szczególnie się stroić. Do tego jak na początek

listopada dzień był dość chłodny. Musi wyglądać o „oczko” lepiej od swojego nowego chłopaka. Do tego ten jej relatywnie „nowy” chłopak ma po raz drugi pokazać się w towarzystwie, w którym będzie najlepszy przyjaciel jej byłego, o czym myślała z dużym niepokojem.

Najbardziej ze wszystkiego obawiała się jednak krytyki Alexa, zamartwiała się, że może źle o niej pomyśleć, skoro jego wyjątkowego brata zamieniła na jednego z jego kuzynów, którego raptem raz widział na oczy. W dodatku miało to miejsce na pogrzebie tego brata, kiedy wszyscy byli w szoku, zbyt odrętwiali z bólu, by nad czymkolwiek się zastanawiać. Miała wrażenie, że Alex nie ma nic do Calvina. Cóż, w każdym razie za jakiś czas nie będzie nic do niego miał. A może po prostu tamtego dnia Alex był myślami zupełnie

gdzie indziej? Aczkolwiek jakimś cudem zdołał wygłosić mowę pożegnalną w pękającym w szwach kościele i głos nawet mu nie zadrżał — a jego mocny, dźwięczy ton sprawił, że nawet Simon, siedzący obok niej, podniósł wzrok i słuchał z czymś zbliżonym do uśmiechu, gdy Alex ciepło, z cieniem subtelного humoru opowiadał o zmarłym bracie. Mimo to wciąż zbierało jej się na płacz, ilekroć przypominała sobie ostatnie słowa Alexa, że jesteśmy tylko surowcem, z którego wyrabia się sny, a życie to tylko „chwila jawy między dwoma snami”*. Will czasem cytował jej ten fragment z *Burzy*, jak gdyby przeczuwał, co go czeka. Znowu zacisnęło jej się gardło, ale postanowiła nie płakać. Chyba już całkiem by się rozkleiła.

Zabrzączał domofon: to wraca Calvin, zaraz będzie na górze. Musi się uspokoić i spróbować się zrelaksować. Narzuciła różową marynarkę z twe-edu, o mankietach zapinanych na różnokolorowe guziki, i przypięła do kołnierza jedwabną różę; wyglądała dziwacznie ale stylowo; i to będzie musiało wystarczyć.

- Will mnie zostawił - szepnęła do samej siebie

— więc chyba nie mogą mieć do mnie pretensji, że ktoś inny pojawił się w moim życiu. Alex zawsze był dla mnie miły i nie powinien mieć mi tego za złe. - Mimo to czuła niepokój, napięcie, którego powodów sama nie pojmowała.

ALEX WYRWAŁ LUCY Z JEJ NIEDZIELNEJ SAMOTNOŚCI O JEDENASTEJ PRZED południem, odnotowując w duchu, że jej zły nastrój z piątku najwyraźniej zdążył rozwiać się niczym zły sen. Ciemne włosy miała związane w koński ogon ozdobiony apaszką i w jakiś sposób wydawała się emanować niewinną zmysłowością. Wyglądała naprawdę ślicznie. Alex delikatnie trzymał ją za rękę, kiedy szli do samochodu. Rozmowa toczyła się lekko: on opowiedział jej o planowanym spotkaniu, świadomy, że perspektywa poznania jego znajomych może ją odrobinę stresować. Wyjaśnił, że propozycja wyszła od kuzyna, którego właściwie nie znał, a który chciał się z nim zobaczyć przed powrotem do Stanów. Dla zapracowanego Alexa oznaczało to, że umówią się teraz albo nigdy. Uznał, że lepiej będzie nie wdawać się w szczegóły dotyczące obecnego związku kuzyna. Nie zdążył się jeszcze

zastanowić, co sam o tym wszystkim sądzi, aczkolwiek nie byłby w stanie podać żadnych racjonalnych obiekcji.

* Przeł. S. Barańczak (przyp. tłum.).

Simon pomachał do nich, kiedy Alex parkował na podjeździe przy Wo-odlands Road za znajomym autem z napędem na cztery koła. Gdy mężczyźni przywitani się zdecydowanym uściskiem dłoni, Alex wszystkich sobie przedstawił. No, no! — pomyślał Simon. Lekarze to mają szczęście.

— Czy my się już nie poznaliśmy? - zagadnęła go Lucy. Jego szczerą, inteligentną twarz wzbudziła w niej zaufanie.

- Na pewno bym pamiętał. - Simon nie zawsze był taki uprzejmy; podobnie jak Will, patrzył na świat krytycznym okiem, niechętnie ugiął kark przed konwenansami, lecz miał duże poczucie humoru i był urodzonym kpiarzem. Dziewczyna była jednak czarująca i śliczna, więc dodał szczerze: - Ale jestem zachwycony, że poznajemy się teraz.

Lucy uśmiechnęła się niewymuszenie i bez cienia skrepowania zajęła miejsce między nim a Alexem.

- Sian z Calvinem są pewnie gdzieś przy stawie z kaczkami. - Ton Ale-

xa był bardzo spokojny, lecz mimo to Simon zastanawiał się, co brat przyjaciela musi teraz czuć.

— Jestem bardzo ciekawy — odparł Simon. - Nie wiem, czy zamieniłem z nim ze dwa słowa na pogrzebie.

Lucy milczała. Słyszała od Amela o niedawnej tragedii w rodzinie Alexa i wiedziała, że duchy zmarłych mogły jeszcze nie odnaleźć spokoju; on jednak w ogóle nie poruszał tego tematu, a ona nie знаła go na tyle dobrze, by pierwsza zacząć rozmowę, wyznać, że słyszała o tej tragedii i współczuje mu tak, że aż jej serce pęka. Postanowiła poczekać na wieczór, kiedy nastrój będzie odpowiedni, a kieliszek wina skłoni go być może do większej otwartości. Marzyła o tym, by jej się zwierzył. Taki wieczór, i taki dowód zaufania, oznaczałby pewien przełom w ich relacjach.

Ruszyli w stronę stawu. Lucy milczała, a jej towarzysze rozmawiali między sobą, dopóki nie zobaczyli zbliżających się dwojga ludzi. Kiedy mężczyzna i kobieta znaleźli się dostatecznie blisko, by Lucy mogła zobaczyć ich twarze,

poczuła się dziwnie zakłopotana. Przedstawiono ich sobie. Alex był uosobieniem uprzejmości i serdecznie uściskał dziewczynę. Simon wobec chłopaka dał pokaz dobrych manier, a dziewczynę ucałował ciepło. Ani jeden, ani drugi nie wydawał się pałać do niego sympatią; a Lucy także czuła do niego pewną niechęć - ale tylko do niego. Był przystojny, chociaż nie uderzająco; miał świeżo umyte jasne włosy, elegancki garnitur: czekoladową marynarkę i spodnie o prostych nogawkach oraz koszulę z przypinanym kołnierzykiem.

Nie budził jednak zaufania, raczej czujność - a to pech, pomyślała. Ale skoro to kuzyn Alexa...

Towarzyszająca mu dziewczyna o egzotycznej urodzie — na oko może rok czy dwa starsza od niej - wręcz Lucy zafascynowała. Wyglądała jak kobiety z obrazów Rossettiego - płomiennorude włosy, wzrost modelki i magnetyczny urok, którego Lucy nie potrafiła zdefiniować. Sprawiała wrażenie kobiety, która zawsze jest towarzyska i otwarta, równocześnie nie tracąc nic ze swojej wrażliwości. Lucy dostrzegała w jej twarzy cierpienie i zastanawiała się nad jego źródłem.

Sian także przyjrzała się Lucy badawczo i po sekundzie doszła do wniosku, że ta dziewczyna jej się podoba. Przy innych kobietach często czuła się nieswojo - znacznie swobodniej czuła się w towarzystwie mężczyzn. Ale ta fascynująca twarz o klasycznych rysach - jakże innych od jej własnych - i te olbrzymie, ciepłe oczy dodały jej otuchy, wyrażały współczucie i była zadowolona, że Alex ją zabrał, cieszyła się jego szczęściem, o ile między nimi zaczyna się dziać coś wyjątkowego. Odkąd skończyło się jego małżeństwo z Anną, był niemal jak samotna

wyspa - z własnego wyboru. Dzisiaj wydawał się zrelaksowany i szczęśliwy, i tak się stylowo ubrał, w blad różową koszulę i szarawo-niebieski sweter, do tego dzinsy. Sian uśmiechnęła się z uznaniem.

Lucy tak dalece pochłoneły jej własne wrażenia, że przestała nadażać za rozmową. Calvin akurat wyjaśniał rodzinne koneksje. Zapamiętała z tego jedynie, że babcie jego i Alexa były siostrami, ale jedna emigrowała do Ameryki i wszelkie kontakty między nimi ograniczyły się do sporadycznej korespondencji.

-Rzeczywiście pamiętam, że moja matka pisywała do jakiegoś kuzyna, ale miałem wrażenie, że mieszkał na Nantucket. - Alex nigdy nie opowiadał Lucy o swojej rodzinie, więc zaczęła z zainteresowaniem przysłuchiwać się rozmowie.

-Tak, to się zgadza. Babcia poznała mojego dziadka w Paryżu, jeśli się nie mylę. Uczyła się malarstwa albo szlifowała język, jakoś tak. To była miłość od pierwszego wejrzenia, niemal wszyscy są co do tego zgodni. Potem babcia wyjechała za nim do Stanów. Na Nantucket

mieszkała jego liczna rodzina; moja matka i jej kuzynostwo ze strony ojca wciąż tam są.

-A jak to się stało, że przeniosłeś się na środkowy zachód? - Alex miał wrażenie, że Sian wspomniała, że domem Calvina jest Kansas.

- Tam jest mój college, tam studiuję.

Simon od pewnego czasu przyglądał się jego drogim butom i ubraniu jak z „Hampton Style”. Wyglądał mu na kogoś po studiach biznesowych.

— Studiujesz?

— Teologię. - Calvin błysnął w uśmiechu idealnie równymi, olśniewająco białymi zębami, Simon zaś usiłował nie zniechęcić go za ten zestaw jak z reklamy pasty do zębów.

Alex stłumił śmiech i wlepił wzrok w ścieżkę. Krewny mój i Willa związany z Kościołem, pomyślał. A to coś nowego. Podobna myśl musiała przyjść do głowy Simonowi, który też wyglądał na rozbawionego.

— To bardzo miło.

Calvin nie wychwytał w tym ironii.

Alex podprowadził ich do White Hart Lane i poprosił, żeby we troje poszli dalej do Korabia, a on podwiezie Lucy samochodem. Nie zamierzał powtarzać piątkowego błędu i znowu jej umęczyć; ale Lucy zaprotestowała.

- Proszę, nie martw się o mnie. Wiesz, że pilnie ćwiczę na bieżni, a kiedy tylko jest ładna pogoda, chodzę do szpitala pieszo z Battersea. Trochę ruchu dobrze mi zrobi. - Mówiąc to, była tak

słodka i rozbijającą stanowczo, że naprawdę trudno było jej się sprzeciwić.

- Wszystko z umiarem. - Alex nie zamierzał rezygnować, więc skapitulowała, wzruszona jego opiekuńczością i patrzyła, jak truchtem biegnie po samochód.

— Chorowałaś, Lucy? - Troska w głosie Sian była szczera.

- Parę miesięcy temu przeszłam operację serca. Ale kiedyś muszę prze cież przestać się oszczędzać. Nie zamierzam do końca swoich dni żyć pod kloszem.

— A ja chętnie bym na to przystała na twoim miejscu. - Wzięła Lucy pod ramię. - Alex będzie przeszczęśliwy, opiekując się tobą; a robi to na prawdę świetnie.

Samochód powiózł ją dalej, a pozostała trójka ruszyła szybkim marszem w kierunku rzeki. Kiedy spotkali się dziesięć minut później, Alex i Lucy siedzieli już wygodnie przy okrągłym stoliku przy oknie z widokiem na wodę. Alex opowiadał jej o okolicy, którą mogli teraz

oglądać z odwrotnej perspektywy niż ta, którą mieli ze statku.

-Świetne miejsca! - Calvin entuzjastycznie podsunął krzesło dla Sian.

-Przychodziliśmy tutaj co rok, w marcu, i czekaliśmy, aż między braćmi dojdzie do wojny - powiedziała. - Will studiował na Uniwersytecie Londyn-

skim, ale kibicował drużynie wioślarskiej Oksfordu, tylko po to, żeby zirytować Alexa, który skończył Cambridge. Nigdy nie dałeś się sprowokować, Alex, mimo że Will nieprzerwanie głądził o ostatnich dwóch zwycięstwach Oksfordu.

-Musicie zarezerwować stolik na dzień regat. - Uczucia Alexa uwięzły gdzieś między rozbawieniem a smutkiem, ale zdołał się zaśmiać. — Widok Tamizy nawet zimą działa jednak jak balsam. - Nalał wszystkim po kieliszku wina z butelki, która czekała na stoliku na ich przyjście, omijając swój, napełniony wodą mineralną.

-Och, Alex, ty oczywiście jeszcze dzisiaj pracujesz? - Sian знаła go dość długo, by przywyknąć do jego „bezalkoholowych” lunchów, na które jednak on nigdy nie narzekał.

-Muszę być pod telefonem, ale to na jedno wychodzi.

-Pewnie dlatego lekarze jak już piją, to do upadłego. Dobrze mówię, Alex? - Calvin posłał im szczere spojrzenie, ale Alex tylko uniósł brwi.

Przyniesiono kartę z daniami dnia. Alex i Lucy dyskutowali przez chwilę na temat tego, co

powinna wybrać: nic odgrzewanego i nic z baru sałatkowego. Zdecydowała się na kurczaka z grilla węglowego, a kiedy pozostali także złożyli zamówienia, Alex zaciekawionym tonem spytał kuzyna:

- Czemu chciałeś się tu przeprowadzić? Czym cię zauroczył kościół w Mortlake?

Calvin położył dłonie na blacie i spojrzał prosto na Alexa. Zrobił dramatyczną pauzę, a Alex omal nie parsknął śmiechem.

- Co ci wiadomo o doktorze Johnie Dee?

- O astrologu królowej Elżbiety? Niewiele. Pamiętam jak przez mgłę, że chyba to on przetłumaczył dzieła Euklidesa, a może tylko opatrzył je przedmową? Jako pierwszy rozpowszechniał jego nauki po Europie, od czasów starożytnych. Taki pierwowzór Prospera, jak sądzę. Dziwna mieszanka nauki i magii. Mam rację?

- Masz. Ale czy wiesz, że jesteśmy z nim spokrewnieni? Matka ci o tym opowiadała?

- Nie, pierwsze słyszę. To przez niego jesteśmy spokrewnieni?

Simon aż pochylił się nad stołem, poświęcając tej rozmowie całą swoją niepodzielną uwagę. Z napięciem wpatrywał się w Amerykanina.

-Pokrewieństwo w linii żeńskiej. Wyłącznie po kądzieli. -Ton Calvin wydał się Alexowi zaskakująco poważny.

-Co oznacza, że można by je prześledzić za pośrednictwem naszego mitochondrialnego DNA.

- Alex odwzajemnił spojrzenie Calvina z cieniem rozbawienia, ale kuzyn wciąż wpatrywał się w niego, puszczając tę ostatnią uwagę mimo uszu. Wydawał się ważyć w myślach jakąś istotną kwestię. Nie chciał popełnić błędu i zepsuć wszystkiego zbyt dużym pośpiechem.

-Sądzę, że twój brat mógł coś odziedziczyć po waszej matce. Najprawdopodobniej byłyby to spuścizna po samym Dee, a dokładniej po jego córce Katherine. Jestem zdumiony, że o niczym nie wiesz, Alex.

Lucy zauważyła, że Simon zaciska pięści. Z wielkim wysiłkiem starał się ukryć wzburzenie.

-Przepraszam cię, Calvin, ale kiedy to właściwie było? - spytała. - Za królowej Elżbiety?

-Tak. Żył właśnie w czasie jej długiego panowania. Zmarł zapomniany, w pierwszych latach rządów Jerzego. Swoje najlepsze lata przeżył za królowej Bess. Tutaj jest pochowany, w kościele Świętej Marii, dlatego uznałem, że to będzie najodpowiedniejsze miejsce, żeby się spotkać. Później chciałbym rzucić okiem na ten

kościół.

Alex spoglądał na niego zamyślonymi zielonymi oczami, które jednak nie zdradzały emocji. Przeniósł wzrok na Sian, a ta odezwała się z przejęciem:

- Ten klucz, który Will dostał po śmierci Diany. To o nim mówiłeś?

- Możliwe. Prawdopodobnie tak. Może wiedziałbym więcej, gdybym go obejrzał. - Znowu wbił wzrok w Alexa, bez powodzenia siląc się na nonszalancką minę. - Zgaduję, że najpewniej nie masz zielonego pojęcia, co się z nim stało?

Alex, mimo iż był z natury bardzo skryty, niemal natychmiast zareagował na to pytanie, co odwróciło uwagę wszystkich od faktu, że wyraźnie zwlekał z odpowiedzią. Wyciągnął coś z kieszeni koszuli. Po chwili trzy pary oczu wpatrywały się jak urzeczone w przedmiot kołyszący się przed nimi na cienkim łańcuszku.

- Ja go mam. - Jego głos brzmiał łagodnie.

Sian patrzyła na kluczyk jak na ducha, widziała dłonie Willa, obracające go z szacunkiem; ale jeszcze bardziej wzruszało ją to,

że Alex - zwykle taki wyważony - ma przy sobie klucz, który był częścią Willa; zobaczyć Alexa z takim przedmiotem było dla niej objawieniem. Chciało jej się płakać.

Calvin pilnował, by nie zdradziły go własne dłonie. Chciał sięgnąć po klucz; ale zanim odzyskał głos, Lucy, która przez większą część rozmowy

ograniczała się do roli obserwatora, wyciągnęła rękę i kluczyk, jak w kołysce, znalazł się w jej skulonej dłoni.

- Alex, jakież on piękny. Mogę chwilę potrzymać?

Uśmiechnął się nieco zaskoczony jej zachwytem; kluczyk jak kluczyk, srebrny, być może stary, skromnie przyozdobiony malusieńkim grawerunkiem i drobną perłą. Mimo to podał go jej chętnie. Z szacunkiem zamknęła go w dłoni, a potem zacisnęła powieki. Słońce muskało jej długie, ciemne rzęsy, a ona była częścią tego światła.

W tej samej chwili, zdawałoby się, zawieszony w czasie, Calvin usiłował znaleźć jakiś pretekst, aby i jemu pozwolono obejrzeć klucz; Alex był jednak poruszony nieuchwytną zmianą, która zaszła w twarzy Lucy.

- Chciałabyś go zatrzymać? Na jakiś czas? - Własne słowa wydały mu się groteskowe. Miał poczucie, że wypowiadając je, spłoszył ulotny moment, ale wypowiedzieć je musiał. Nie mącąc czarodziejskiego nastroju, odpowiedziała

mu bezgłośnie, spojrzeniem, którego Alex nigdy wcześniej nie widział, lecz które miał nadzieję jeszcze kiedyś zobaczyć. Zdołała mu nim zakomunikować pełne mocy „tak” i emocje, których Alex nie potrafił rozszyfrować.

Simon był jedyną przy stoliku osobą, która nie wytrzeszczyła oczu, kiedy Alex wyciągnął z kieszeni kluczyk. Obserwował Calvina, którego najwyraźniej coś męczyło. Spytał rzeczowo:

-Ktoś wie, co się nim otwiera?

-Najcenniejszy klejnot naszej rodziny. -
Odpowiedź Calvina była gorączkowa. - Ale nie wiemy, co to takiego. - Przez sekundę patrzył na Alexa, po czym znowu przeniósł spojrzenie na kluczyk w zaciśniętych palcach Lucy. - A wiesz, że to podobno przynosi pecha, jeśli kluczyk nie zostanie przekazany przez matkę córce?

-Nie wiedziałem. - Głos Alexa brzmiał rzeczowo. Nie wierzył w żadne klątwy i uroki. - Dostał go Will, a cokolwiek powiedziała mu matka, już na zawsze pozostanie ich tajemnicą. — Spojrzał na kuzyna z błyskiem rozbawienia w oczach. - Wydajesz się wiedzieć znacznie więcej

niż my.

- Matka mi mówiła, że kluczyk musi przechodzić na córkę, albo przynajmniej, jak sądzimy, na siostrzenicę, o ile córki po prostu nie ma. W przeciwnym razie może się stać coś złego. Ma to w jakiś sposób prze rwać łańcuch.

Lucy patrzyła na Calvina z niemym wyzwaniem, lecz wciąż się nie odzywała.

-No cóż, to raczej nie ma większego znaczenia, skoro nie możemy znaleźć sekretarzyka albo drzwi, albo szkatuły, które się nim otwiera. - Sian czuła potrzebę, aby natychmiast przerwać to, co się właśnie działo. Zdecydowanie chciała, aby klucz został w posiadaniu Alexa. Po śmierci Diany ten srebrny drobiazg zdecydowanie zbyt długo spędzał Willowi sen z oczu. Jej samej smutno kojarzył się z otchłanią bólu, w jaką wtrąciła ją śmierć Willa, ale także ich wcześniejsze rozstanie. Niech zostanie u Alexa; on nie pozwoli, by zatruł mu życie jak Willowi.

Podano lunch i atmosfera wyraźnie zelżała, Calvin zaś miał okazję się przekonać, że pomimo jego najszczerzych chęci, w żaden sposób nie daje się na powrót skierować rozmowy na temat klucza i klątwy. Jakoś nie miał apetytu i szczerze się cieszył, kiedy wstawali od stolika, by przejść się w stronę kościoła.

Uparcie starał się drażnić temat, nawet kiedy spacerowali ulicą. Zwrócił się bezpośrednio do

Alexa:

- Powinien istnieć jeszcze dokument, przekazywany z kluczem. Na ile zapamiętała go moja babka, był w idealnym stanie. Zawiera jakąś wskazówkę, gdzie odnaleźć to, co otwiera kluczyk, cokolwiek to jest. Tak przynajmniej sędzę.

- O niczym podobnym mi nie wiadomo, ale poszukam w papierach Willa. Część jego rzeczy wciąż jest u patologa. - Alex udął brak zainteresowania i po raz pierwszy ukrył część tego, co już wiedział.

Otwierając ciężkie drzwi, spytał:

- No a co z tym doktorem Dee? Czym się wślawił?

Calvin nie odpowiedział od razu. Przez chwilę tylko chłonał atmosferę panującą w małym kościółku, zaskakująco ciężką, choć do wnętrza wpadało dużo światła. Kątem oka zauważył, że Lucy przyciska rękę do serca - też to wyczuła. Chciał z nią porozmawiać, lecz przy tym nie wydać się Alexowi nieuprzejmym.

- Był pierwszym człowiekiem, który użył określenia „imperium bry

tyjskie" i który pomógł statkom królowej je odkrywać, sporządzając precyzyjniejsze mapy. Zgromadził olbrzymi księgozbiór, jeden z największych w Europie, ponad trzy tysiące ksiąg i manuskryptów, prawdziwych białych kruków, w czasach, kiedy twój uniwersytet, Cambridge, miał ich może trzy sta! Niektórzy uważają, że kiedy jego bibliotekę splądrowano, a księgozbiór rozproszył się po świecie, dokonana się strata porównywalna z podpaleniem biblioteki w Aleksandrii. - Calvin znowu skupił uwagę na Aleksie.

-Tak. Niektóre z tych ksiąg znajdują się obecnie w bibliotece Królewskiego Kolegium Lekarzy, zaczynam coś sobie przypominać. Oczywiście inspiracja dla ksiąg Prospera... - Myśli Alexa płynęły ku czemuś, czego Calvin nie rozumiał, lecz mimo to opowiadał dalej:

-Był również pierwszym Jamesem Bondem, że się tak wyrażę. Członkiem dość elitarnej organizacji szpiegowskiej założonej przez Walsinghama, do której należał także sir Philip Sidney, jego zięć. Dee z kolei przez wiele lat nauczał Sidneya. 007 było tajnym szyfrem doktora Dee, oznaczającym, że jest „oczami” królowej, pomijając duchową siłę liczby siedem, świętej liczby, rzecz jasna, mającej dla Dee również osobiste znaczenie. Co chyba jest jednak jeszcze bardziej interesujące, on i człowiek nazwiskiem Kelly - Calvin chrząknął- zajmowali się alchemią. I potrafili także porozumiewać się z aniołami. Mówi się, że przekazano im tą drogą zadziwiające tajemnice. - Popatrzył prosto na Alexa. - O ile ktoś wierzy w takie rzeczy...

-Ty na pewno! - Simon od paru chwil kręcił się przy nich i usłyszał końcówkę opowieści

Amerykanina.

Ten komentarz ponownie wywołał uśmiech na twarzy Alexa, wytrącając go z dziwnego nastroju, w który popadł chwilę wcześniej. Zatracił się w widoku ślicznej jak marzenie Lucy, która badawczo przyglądała się ołtarzowi głównemu i całemu prezbiterium, jak gdyby spodziewała się coś znaleźć; niczym dziecko milczące z nabożną czcią. Co za cudowny dzień, Alex aż uśmiechnął się do swoich myśli, nikomu ich nie zdradzając. Ileż przyniósł przeróżnych i nieoczekiwanych wrażeń.

**DZIEŃ ZADUSZNY 1609 R.,
KOŚCIÓŁ ŚWIĘTEJ MARII PANNY,
MORTLAKE**

- JAKŻE DOBRZE WEJŚĆ W TĘ CISZĘ. - TE SŁOWA SĄ ZALEDWIE SZEPTEM, GDY szukając schronienia przed niebywale zimnym listopadowym dniem, Katherine Dee zamyka za sobą ciężkie drzwi kościoła i cicho wstępuje do środka. Jeszcze młoda, zaledwie dwudziestokilkuletnia, jest dziewczyną o dobrym sercu, lecz dosyć stateczną,

mądrą nad wiek, i cieszy się, mogąc uciec od gwaru wesołych biesiad i tańców na świątecznym jarmarku na dworze. Przez moment oddycha głęboko, zamykając oczy, na ile zdoła, wstrzymując dech; czuć nikłą woń kadzidła i jesiennych kwiatów, które zdobią kościół dla uczczenia Dnia Zadusznego.

Za wielkiej monarchini Elżbiety owe dwa święta w jedno się stopiły, Wszystkich Świętych z Zaduszkami; gmin jednak wciąż hołduje tradycjom swoich dziadków, przynosząc ciastka i inne łakocie duszom ukochanych zmarłych, wciąż wznosząc modły za tych, co wierzyli. I to samo uczyni ona.

Zachwyca ją przestrzeń, z nikim nie dzielona; zajęci świętowaniem, strawą i muzyką, która wypełnia High Street, wszyscy już stąd wyszli, msza dawno się skończyła. Podchodzi szybko do schodów prezbiterium i klęka, by złożyć wianuszek z ziół i kwiatów, ostatnich, jakie znalazła w ogrodzie przy domu, zaledwie po drugiej stronie ulicy naprzeciw kościoła. Rozmaryn wciąż bujnie rośnie, przetrwało kilka goździków — a także późny kwiat damasceńskiej róży, który jej matka nieboszczka nad wszystkie inne przedkładała. Kwiat, przechodzący od żywej kremowej barwy w ciemny, nasycony róż, oprzeć się zdołał przymrozkowi, którym ubiegłej nocy posrebrzył ogród zimny nów księżyca.

Ciesząc się uroczystym spokojem, dziewczyna siedzi cicha przy grobie swojego ojca,

kontempluje nowiutką miedzianą płytę, niedawno przytwierdzoną do zimnego kamienia. Minęły miesiące, nim wykonana wedle życzenia i opłacona przez dobrych przyjaciół ojca, dotarła w to miejsce i zdobić zaczęła tę ciężką płytę nagrobną. Ojciec by się cieszył, myśli dziewczyna; jest w niej świetlistość jakowaś, alchemia, która bezbarwny kamień przemienia w coś złotego i promiennego.

—Jako żywo, pięknie to wygląda, panno Kate.

Słyszac to, dziewczyna oglada się nerwowo i rozpoznaje proboszcza, który zbliża się do niej powoli. Ona pozdrawia go skinieniem, uspokojona widokiem znajomej twarzy. On z uwagą przygląda się kwiatom.

— Goździki na znak miłości skrywanej — odzywa się dziewczyna. — Często na nich robiłam korzenną nalewkę na winie, by ulżyć mu w chorobie, gdy zbliżał się koniec.

Proboszcz patrzy smutno na dziewczynę, która tyle lat życia poświęciła wielkiemu, lecz uboższemu człękowi. Ciekaw jest, czym teraz wypełnia dni, skoro jej szanse na zamążpójście z

pewnością już się obróciły wniwecz.

— *Rozmaryn na znak pamięci, Kate?
Ona kiwa głową, zwleka, namyślając się, co
mu rzec.*

— *Ale to róża była jego ulubienicą,
doskonałą jego towarzyszką — powie
działa w końcu. - Szyfrem ukazującym całej
ludzkości drogę do poznania bo
skiej mądrości. — Patrzy młodemu mężczyźnie
prosto w oczy, zastanawiając się,
czy temu zaprzeczy, kierując własnym, nieco
innym, pojmowaniem teologii. On
jednak milczy, więc dziewczyna mówi dalej: —
Jedyna ścieżka do owej mądrości*

wiedzie poprzez miłość oraz wiedzę; w tej róży cały sens wszechświata się zawiera — i zaiste sens wszechświata można nam wyjaśnić poprzez taką jak ta różę. Rozwikłać tajemnicę tej róży to zrozumieć istotę wszechświata. Poprzez doskonałość zawartą w jej prostocie i my możemy zbliżyć się do doskonałości.

Patrzy na niego, lecz jej słowa nie do niego są skierowane, płyną przez czas i przestrzeń.

— *Aby zrozumieć możliwości tej jednej róży, człowiek musi nauczyć się takiej miłości, która ogarnia wszystkich ludzi i wszelkie stworzenie, wszystko, co dla nas dziwne i obce. Musimy pomnożyć swoją zdolność pojmowania wiedzy i rozumienia poprzez opartą na miłości mądrość serca.*

Uśmiecha się do młodego proboszcza, który czuje się jak pod wpływem jakiegoś uroku, lecz w swoim oczarowaniu szczęście znajdując. Położywszy kwiaty u stóp ojca, dziewczyna żegna go ukłonem i wychodzi cicho.

W CIĄGU TEGO POPOŁUDNIA SIMON ZDAŻYŁ ZE STRZĘPKÓW INFORMACJI SKLECIĆ

cały szereg teorii. Podążył za Alexem i Lucy, zaledwie zdołał uwolnić się od tej drugiej pary. Miał eklektyczny umysł, obdarzony zdolnością wyławiania z najróżniejszych źródeł pozornie niezwiązanych szczegółików i dostrzegania, co je łączy — podobnie jak Will, co wyjaśniało jeden aspekt ich przyjaźni. Także i teraz zaczęły mu się rysować jakieś wrażenia i musiał skonsultować je z Alexem, nawet gdyby ryzykował, iż ściągnie na siebie gniew Kupidyna.

Zaproponował, żeby poszukali jakiegoś spokojnego miejsca i zamówili po kawie, ale Alexowi zależało na tym, aby Lucy jak najszybciej znalazła się w domu, w ciepłe. Od pół godziny wyglądała na nieco znużoną, a Alex nie chciał, aby cokolwiek przyćmiło wyjątkowość

tego dnia. Z czułością — która, o ile w ogóle została zauważona, nie spotkała się ze szczególnie ciepłym przyjęciem ze strony Lucy - zaproponował Simonowi, żeby spotkali się w Chelsea, jak tylko odwiezie ją do jej mieszkania na drugim brzegu rzeki.

-W każdej chwili mogą telefonicznie wezwać mnie do Brompton, więc lepiej, żebym za bardzo się nie oddalał.

Lucy była zazwyczaj bardzo ugodowa, gdyż od dzieciństwa wpajano jej, że z jej życzeniami i tak nikt się nie liczy. Dzisiaj jednak przejawiała dziwny upór i nie pozwalała nikomu decydować za siebie, po raz pierwszy okazując stanowczość w kontaktach z Alexem. Być może początkowo popchnęła ich ku sobie jej choroba, nagle jednak zaczęła stawać się przeszkodą.

-Alex, to był spokojny dzień i nie jestem zmęczona. Bardzo chętnie dołączyłabym do was i napiła się z wami kawy. - Popatrzyła na niego wyrazistymi oczami, a on poczuł, jak wszystkie jego obiekcje rozplływają się jak dym.

-Ale tylko pod warunkiem, że pozwolisz, żebym rozpałił w kominku, i obiecasz usiąść blisko ognia.

I tak znalazła się w wygodnym fotelu, popijając świeżo zaparzoną herbatę, z kotką Alexa - czy raczej jego syna - imieniem Minty na kolanach, w wysokim, słonecznym salonie z widokiem na porośnięty drzewami skwer. Podziwiała gust Alexa, detale na pięknym zabytkowym kominku z szarego marmuru, leciusieńki nieład, który sprawiał, że łatwo się tu było zrelaksować; i było jej bardzo dobrze. Alex krzątał się po kuchni, ale nie był tym zbyt zaabsorbowany, więc uznała, że to dobry moment, aby zwrócić się do obu mężczyzn i podzielić się z nimi przemyśleniami na temat minionego popołudnia, z którymi nosiła się od godziny czy dwóch.

-Dziwna sprawa z tym kościołem, nie uważacie? Żeby nie został ani jeden ślad po doktorze Dee, ani jedna wskazówka, gdzie znajdował się jego grób? I żeby z jego domu też zostało tyle co nic, tylko kawałek starego ogrodowego muru. Zupełnie jak gdyby jego

doczesne życie było jedynie snem, a pozostało po nim tylko to, co duchowe. Kościół niesamowicie się zmienił od początku siedemnastego wieku. - Powiedziała to ze smutkiem, ale i uporem.

- „Jesteśmy surowcem, z którego sny się wyrabia” *? - zaśmiał się Alex. - Ale podobała mi się ta dość baśniowa opowieść z przewodnika, że ktoś po wielu latach przypomniał sobie, jak to Dee przywołał burzę na życzenie sir Everarda Dibgy'ego! Wymarzony czar dla pierwowzoru Prospera!

Simon zamierzał rzucić jakąś nonszalancką uwagę na temat nieporadności wiktoriańskich restauratorów kościołów w całym kraju, ale nagle zmienił zdanie, gdyż jego myśli pobiegły w innym kierunku. Od pewnego czasu przyglądał się Lucy z narastającym zainteresowaniem i raptem oczy mu zabłysły, w chwili, gdy Alex wyszedł z kuchni i postawił na stole dzbanek z kawą.

- A wiesz co, Lucy? Chyba miałaś rację. Rzeczywiście już gdzieś wi działem twoją twarz, to wspomnienie jest bardzo wyraźne. - Spojrzała na

niego z rozbawieniem, gdyż zabrzmiało to niemal tak, jak gdyby próbował ją poderwać. - Męczyło mnie to przez cały lunch. Jestem już pewny, że widziałem cię w tym pubie, w The Phene Arms, kilka tygodni temu. I mam wrażenie, że porządnie otaksowałem cię wzrokiem... - Zaśmiało się nieśmiało.

* W. Shakespeare, *Burza*, przeł. S. Barańczak (przyp. tłum.).

Lucy z namysłem pokiwała głową i nagle ją olśniło: trzydziestolatek, który puścił do niej oko tamtego deszczowego dnia, kiedy niemal biegiem wracała do szpitala.

-Tak! Ale nie w pubie, tylko przed nim, akurat tamtędy przechodziłam wracając do szpitala w Brompton. Masz dobrą pamięć. — Spodobał jej się i musiała podświadomie zapamiętać jego twarz.

-Żeby było jeszcze dziwniej, byłem wtedy umówiony na lunch ze Sian. Powinienem był na siłę wciągnąć cię do pubu, chociaż jeszcze się nie znaliśmy! Ale mówiąc poważnie, to widać, że od razu przypadłyście sobie do gustu.

Alex odezwał się; powiedział coś naprawdę miłego.

-Sian to teraz taka zagubiona duszyczka, i nie zawsze pokazuje się innym kobietom z najlepszej strony. Ale sądzę, że dzisiaj dobrze się bawiła... Przynajmniej przez większość czasu.

-Ale wciąż jest w niej ból. - Lucy przeniosła wzrok z Alexa na Simona. Nie chciała okazać się wścibska. - Była dziewczyną twojego brata...? — Było to ni pytanie, ni stwierdzenie. Sama zdążyła

poskładać w całość urywki informacji i domyślić się tego, czego nikt nie chciał jej powiedzieć.

-Przez ponad trzy lata byli razem. Ale rozstali się w maju. Czego z pewnością nie zrobiliby, gdy to zależało tylko od Sian. - Alex mówił rzeczowym tonem, ale wyraz twarzy miał zamyślony.

-Wydaje się, że ona właśnie zaczyna wszystko od nowa, a przynajmniej próbuje. - Simon spojrział na Alexa i zmienił ton na taki, w którym pobrzmiwał czarny humor. - Nic na tej ziemi równie skutecznie nie nadaje człowiekowi quasi-boskiego statusu jak przedwczesna śmierć w tragicznych okolicznościach. Klasyczny Willowy manewr w stylu Jamesa Deana! Biedna dziewczyna, teraz już nigdy się z niego nie wyleczy.

-Ale on chyba chciałby jej szczęścia - wtrąciła niepewnie Lucy.

-Tak, na pewno by tego chciał. — Alex uśmiechnął się do niej smutno i uciął dyskusję na ten temat. - Simon, co sądzisz o tym jej nowym facecie?

-Moja matka zawsze powtarzała, że jak się nie

ma o kimś do powiedzenia nic miłego, to lepiej już nie mówić nic. — Simon odchylił głowę i zaniósł się śmiechem. — Obawiam się, że skazuje mnie to na kamienne milczenie.

- Jest w nim coś takiego... - odezwała się Lucy, ale nie dokończyła. - A może po prostu uważasz, że jest nieodpowiedni dla Sian?

Simon zareagował żywo:

— Nie ufam mu. Kropka. Alex, widziałeś wyraz jego oczu, kiedy dałeś Lucy ten klucz? Aż się zaślinił z pożądliwości. Wiem, co mówię.

— Rzeczywiście, klimacik trochę jak z *Wyspy skarbów*, nieprawdaż? - W głosie Alexa brzmiało zdziwienie. - Zdziwiłem się, jak bardzo ten kluczyk fascynuje Willa, ale sądziłem, że ma to coś wspólnego z naszą matką i z tym, jak bardzo Will interesował się naszą rodziną, zwłaszcza ze strony matki. Zawsze uważał, że jest bardzo do niej podobny. Sądzę, że ta jego ciekawość była niejako próbą odnalezienia własnej tożsamości. Calvinowi na pewno zależałoby na tym kluczyku, gdyby jego zdaniem otwierał szkatułę z klejnotami samej królowej. Co jest bardzo mało prawdopodobne.

— Ale to, co mówił o Johnie Dee, było prawdziwym objawieniem. - Simon czekał na jakąkolwiek reakcję ze strony Alexa, ale niczego takiego się nie doczekał. - Ja kompletnie nic o nim nie wiem, ale udało mi się dać do zbadania dokument, oryginał, który Will dostał z kluczem. Wspominał ci o tym? - Alex pokręcił głową. — Mój kuzyn pracuje na Oksfordzie, zajmuje się

datowaniem dokumentów metodą węglową. Istnieje margines błędu, rzecz jasna, ale jego zdaniem data mieści się w widełkach między tysiąc pięćset pięćdziesiątym a tysiąc sześćset pięćdziesiątym rokiem.

— Co oznacza, że dokument mógł powstać za życia Dee. - Alex wstał i przeszedł przez cały salon do półki, na której leżała gruba tekturowa teczka. Wrócił i położył przed nimi ciężki, równo złożony arkusz pergaminu, wyglądający na bardzo stary. - To oryginał. Will dał mi go do przechowania, a w podróż zabrał kopię, która znajduje się w którymś z pudeł z jego rzeczami. Calvin pytał mnie o niego w kościele.

Lucy dotąd uważnie przysłuchiwała się rozmowie, teraz jednak przemówiła z zaskakującą mocą:

— Alex, to nie są moje sprawy, więc może nie powinnam się odzywać. Ale podobnie jak Simon, przy Calvinie czułam się trochę nieswojo. On ma taki dziwny sposób patrzenia na ludzi, nigdy otwarcie, tylko tak zerknie i zaraz ucieka wzrokiem, jak gdyby nie mógł nikomu spojrzeć w oczy. Zgadzam się z tobą, Simon. On chciał

zdobyć ten klucz. I chociaż zabrzmiało to niedorzecznie, musiałam się powstrzymać, żeby nie ulec temu jego ołowianemu spojrzeniu i sama mu go nie oddać. Moje wrażenie jest takie, że ten kluczyk musi otwierać coś, co szalenie go interesuje i być może nawet wie już, co to takiego.

— „Najcenniejszy klejnot...” -
przypomniał im Simon rozbawionym, ironicznym tonem.

Alex roześmiał się.

-Każdy cenny klejnot już dawno zostałyby zrabowane. Domek na wsi należał do rodziny mojej matki; wciąż jest w nim trochę starych książek i kilka ładnych drobiazgów. Ale jej przodkowie nie byli bogaci. Jestem pewny, że wszystko, co miało jakąś wartość, już dawno poszło do ludzi.

-Mogę go obejrzeć? — Lucy delikatnie zdjęła z kolan kota i pochyliła się nad pergaminem, który ostrożnie podał jej Alex. Zza zagięcia wypadła jakaś karteczka. Lucy, nawet na nią nie patrząc, podniosła ją z podłogi, wpatrzona w arkusz welinu. Zmarszczyła czoło. - A więc to pochodzi z szesnastego wieku? - Przemknęło jej przez myśl, że może nie powinna dotykać wiekowego dokumentu, dopóki nie założy rękawiczek.

-Albo z początków siedemnastego. — Simon zbliżył się i przykucnął przy niej, żeby jeszcze raz przyjrzeć się pergaminowi. - Klasycznej mapy skarbów raczej to nie przypomina.

-Przecież to tylko część całości. - W głosie Lucy pobrzmiwała absolutna pewność, która

zaskoczyła ich obu. - Kolejna znajduje się w tym, co otwiera ten klucz, cokolwiek to jest.

Wpatrywali się w nią.

-A skąd Kasandra ma taką pewność? - Alex nie zdołał zapanować nad tonem, w którym pojawiła się cierpka nutka.

-Wcale nie mam pewności. Ale czuję, że mam rację. - W głosie Lucy nie pobrzmiwały ani żadne mistyczne tony, ani opryskliwość; jedynie stanowczość. —To „kluczowy element”, jeśli tak chcecie to nazwać, więc jeśli rzeczywiście istnieje jeszcze jeden pergamin, to ten jest od niego ważniejszy.

Alex uważnie słuchał, lecz nie skomentował jej słów.

-Will wysłał swoje notatki na ten temat w mailu z innymi informacjami, które zdobył w Rzymie. - Simon usiadł na podłodze, przyciągnął kolana do piersi i objąwszy je ramionami, oparł na nich podbródek. - Zacząłem je przeglądać, odkąd udało nam się dostać do jego laptopa może ze dwa tygodnie temu. Większość tej jego pisaniny to

dyslektyczny bełkot, mętne wywody o alchemikach i świetle. Wydrukowałem je. Ale jego zainteresowania rzeczywiście wydawały się koncentrować na świętej inkwizycji, głównie z powodu daty, na którą wskazywałoby datowanie węglem, oraz tych pierwszych słów, które tu widzisz, o Polu Kwiatów i płomieniach. Ustalił, że w okresie, który nas interesuje, plac Campo de' Fiori był miejscem egzekucji na tle religijnym, gdzie najwyraźniej palono na stosach heretyków. Spisał listę nazwisk i zbierał

trochę faktów. Człowiek nazwiskiem Bruno wydaje się najbarwniejszą ofiarą inkwizycji, może też rozmawiał z aniołami, że się tak wyrażę.

- Simon popatrzył na nich i dodał: - A skoro rozmawiał z nimi i doktor Dee, to inkwizycja z pewnością także chciałaby znać wszystkie szczegóły.

- Zupełnie jak Calvin. - Alex zaśmiał się niewesoło. - Może on to taka dzisiejsza inkwizycja.

Odezwał się jego pager i Alex ruszył w stronę kuchni, by oddzwonić do szpitala z drugiego aparatu, odprowadzany słowami Simona:

- To nie jest śmieszne. Czy Calvin mógł mieć jakiś powód, żeby włamywać się do komputera Willa?

Patrząc na nich, Simon zdał sobie sprawę, że oboje doskonale wyczuwają jego cichy niepokój.

- Przepraszam, może nie powinienem był tego mówić, ale te całe Satory Arepy itepe to sprawy dokładnie tego rodzaju, jakie by go interesowały...

Lucy wpadła mu w słowo.

- Sator? Simon, masz na myśli ten kwadrat z

wyrazów? - Wciąż odtwarzała w myśli słowa, które usłyszała dwa wieczory wcześniej.

- „Pan dzierży wszelkie Stworzenie w swoich rękach”. Są inne sugestie co do tego, jak powinno się je tłumaczyć, ale tak: mówię o tym kwadracie. To albo jakiś talizman, który ma chronić przed złem, albo coś w rodzaju zakodowanego znaku rozpoznawczego pierwszych chrześcijan. Will wiedział, że to najpewniej tylko jego paranoja, ale wysłał mi esemes, że jego zdaniem ktoś go śledził, kiedy przebywał za granicą; no i znaleźliśmy kwadrat Sator na dysku jego laptopa, przypuszczalnie miał uniemożliwić komuś obcemu przeczytanie jego poczty. Po jego zapiskach widać, że zaczynał mieć na tym punkcie obsesję. Bardziej mnie martwi jednak co innego: czy Sian za dużo nie opowiedziała nowemu chłopakowi o swoim eks?

Alex nie odrywał od Simona zatroskanego wzroku i wciąż rozważał jego słowa, gdy rzucił w słuchawkę:

- Jill, tu Alex Stafford. Czy Jane chce, żebym podjechał do Harefield, a może wy mnie potrzebujecie? — Kiedy

zawiesiła połączenie, zerknął w kierunku Simona. - Cóż, mamy absolutną pewność, że ktoś usiłował dobrać się do jego e-maili... U was jakiś problem? Przyjadę jak najszybciej. - Odłożył słuchawkę. - Może powinniśmy to jakoś sprawdzić, Simon. Nie zdziwiłbym się, gdyby Calvin choć trochę interesował się poczynaniami Willa. Mam przeczucie, że nie jest wobec nas całkiem szczery. Jeśli Lucy ma rację,

że chodzi mu o ten klucz i że chce go zbadać, można założyć, że zdobył hasła i inne dane - o ile choć przez jakiś czas przebywał sam w mieszkaniu Sian. Masz trochę czasu, żeby poszukać informacji o Johnie Dee?

Lucy słuchała rozmowy Alexa z Simonem, dzieląc uwagę między nich a twarz widniejącą na kartce pocztowej, która leżała na niskim stoliku.

—Ja mam czas — odezwała się. — Alex, mówisz, że mam głowę na karku, to pozwól mi jej teraz użyć. Niech się na coś przydam. Mam urlop, poza tym jestem rekonwalescentką, a nie emerytką. I zbieranie danych to moja praca.

Alex był świadomy swojej rosnącej fascynacji nią, pragnienia, by poznać ją lepiej. Uśmiechnął się:

-Okay, będę ci wdzięczny. Ale teraz muszę odwieźć cię do domu. Przepraszam, że musimy przerwać, kiedy tak dobrze nam idzie. Simon, zadzwonię do ciebie jutro czy pojutrze, dobrze? Muszę lecieć. Z Ormond Street wiozą do nas ciężko chorego dzieciaka. Ma zaledwie dziesięć lat.

-To może ja odwiozę Lucy do domu, jeśli

pozwolisz, a ty już leć. O ile sama zainteresowana nie ma nic przeciwko temu...?

Niespokojnie zerknęła na kartkę, a potem już uprzejmie odpowiedziała Simonowi:

- Oczywiście, że nie mam. Będę ci wdzięczna.

Alex podszedł do niej i uściskał ją delikatnie.

- Do ciebie też odezwę się jutro albo pojutrze. - Podążając za jej spojrzeniem, popatrzył na kartkę, na której widniała piękna twarz, niczym magnes przyciągająca wzrok Lucy. Zaczął się zbierać. - To Beatrycze Cenci, portret pędza Gwidona Reniego. Will przysłał mi tę kartkę z Rzymu. Zaczytywał się poezją Shelleya.

Lucy, rozpoznając imię z własnego niedawnego, niepokojąco realistycznego snu, mogła tylko wpatrywać się w Alexa, który poprosił, żeby wychodząc, zatrzęsnęli drzwi, i już go nie było.

PO DWUDZIESTU MINUTACH

PROWADZENIA SAMOCHODU W CAŁKOWITYM

milczeniu, Sian wysiadła, w napadzie złości trzaskając drzwiami.

-Coś ty się tak uczepił tego klucza? Nie chcę, żeby był tam, gdzie ja. - Napadła na Calvina z zaskakującą wściekłością. - Czuję się tak, jakby odbierał mi Willa.

-Tak, sędzę, że istotnie tak było.

Spojrzała na niego, ze zdumienia otwierając usta.

— Co, u nieba,
miałeś na myśli? Calvin
nagle się zawahał.

— A tobie o co chodziło?

— O to, że był nim taki zaabsorbowany, że
czasami wydawał się ledwie
mnie zauważać. To już zaczynało graniczyć z
obsesją.

-Sian, ja bardzo poważnie traktuję tę... - na
moment zamknął oczy, a potem wyraźnie
wypowiedział ostatnie słowo - ..kłątwe. Moja
matka jasno mówiła, że klucz musi być
przekazywany w linii żeńskiej. Nigdy nie po-
winien był trafić do Willa. Matka uprzedzała, że
będzie z tego bieda.

-Chyba sam w to nie wierzysz? Że wypadek
Willa spowodowała jakaś kłątwa? - Sian
dostatecznie długo obracała się w rodzinie wolnej
od przesądów, żeby bodaj przez chwilę uwierzyć
w jakieś czary-mary.

-Wierzę. - Calvin zachowywał stoicki spokój. -
Mówię śmiertelnie poważnie. Ten cały wypadek
był co najmniej dziwny. Nagła mgła. Wezbrana
rzeka. Sama mówiłaś, że był naprawdę świetnym

motocyklistą. No i żeby zabił go akurat tętniak mózgu... dla mnie to tak, jak gdyby po latach umrzeć od jakiejś starej rany. Zwykle zdarza się to po wcześniejszym urazie głowy, kiedy dzieje się coś, co znowu go uaktywnia... i odpala bombę zegarową. - Jego szarozielone oczy spoglądały na nią ze skrupulatnie ukrywaną wrogością. - To nie powinno się było stać, mówię serio. I równie serio mógłbym zasugerować, że prawdopodobnie rozstaliście się także z powodu tego klucza.

Sian wytrzeszczyła na niego oczy. Była wściekła, zdenerwowana i kompletnie zdumiona. Jego argumenty wcale nie zachwiały jej przekonaniem na temat tego, co się wydarzyło. Will lubił sport i uprawiał najróżniejsze dyscypliny. W swoim życiu zaliczył kilkanaście upadków i uderzeń w głowę. Wszystko rozumiała, przemieścił się skrzep: i żadna klątwa nie miała tu nic do rzeczy. Martwił ją jednak fakt, że ten dziwnie odmieniony mężczyzna, z którym teraz była, wydawał się autentycznie w nią wierzyć. Badała wzrokiem jego twarz, próbując go zrozumieć. Był człowiekiem religijnym - to wiedziała - lecz nigdy nie przyszło jej do głowy,

że również zabobonnym. Zakładała tylko, że przestrzega surowych nakazów wiary, którą pojmuje inaczej niż ona, dlatego woli z nią nie mieszkać i tylko czasem u niej nocować. Ale żeby nagle sugerował, że ona i Will rozstali się z powodu pecha, jaki ma rzekomo przynosić nieożywiony przedmiot? To śmieszne.

Calvin przez kilka chwil przyglądał się swoim palcom z taką miną, jak gdyby zastanawiał się, czy powiedzieć więcej, a potem zaryzykował:

- Kto jak kto, ale ta dziewczyna, Lucy, na pewno nie powinna go mieć. To niebezpieczne. Grozi nieszczęściem. Klucz powinien trafić do kogoś, kto wie, co robi. Powinien wrócić ze mną do Stanów, do mojej matki. - Zakończył rozmowę, nie wdając się w dalsze tłumaczenia, i wyszedł, głośno trzaskając drzwiami.

BOŻONARODZENIOWE DEKORACJE NA ODDZIALE ANI TROCHĘ NIE POPRAWIŁY Lucy humoru. Ostatnie tygodnie były prawdziwym piekłem, a teraz siedziała w poczekalni, ze strachem czekając na biopsję. Mimo iż sam zabieg nie był szczególnie bolesny, jej obawę przed fizycznym dyskomfortem pogłębiał fatalny nastrój, który nie opuszczał jej, odkąd zaczęły się te jej bóle głowy i koszmary. Poczucie, że odbudowuje swoje życie, mając jakąś przyszłość, coś, na co może czekać, nagle w niej przygasło.

Tak trudno było to zrozumieć. Pierwszy okres po przeszczepie tak dobrze się zapowiadał; rekonwalescencja przebiegała po prostu podręcznikowo. Oprócz lekkiego drżenia rąk, dziwnych zachcianek kulinarnych i jeszcze dziwniejszego wrażenia, że jej umysł nie zawsze należy wyłącznie do niej, leki nie wywołały żadnych szczególnie nieprzyjemnych efektów ubocznych i radziła sobie ze swoim stanem

fizycznym, jak również psychicznym, o niebo lepiej niż ktokolwiek przewidywał. Potem, w pierwszych dniach listopada, przeziębila się, co omal nie przyprawiło Alexa i Courtneya Denhama o zawał. Zdawała sobie sprawę, że infekcje mogą być dla niej niebezpieczne, i od początku bardzo skrupulatnie przestrzegała zasad higieny i zaleceń dotyczących diety i stylu życia. To było zwykłe przeziębienie, lecz mimo to temperatura szalała, a Alex - pomimo zapewnień Amela, że nie zrobił nic, co bodaj ocierałoby się o nieodpowiedzialność - wyrzucał sobie wieczorny rejs po Tamizie, wycieczkę do Mortlake, a nawet możliwość, że będąc w jego mieszkaniu, mogła jakimś cudem mieć kontakt z kocimi odchodami i złapać jakąś chorobę odzwierzęcą. Nie potrafiąc sobie w żaden inny, racjonalny sposób

wytłumaczyć, jak mogłaby od świetnego samopoczucia w okresie pooperacyjnym przejść do obecnego, stale się pogarszającego, obserwował ją niczym matka obserwuje pierwszego noworodka. Był uosobieniem profesjonalizmu, nie powiedział nic, co mogłoby ją zaniepokoić, lecz jego zachowanie jasno komunikowało, że z mężczyzny na powrót stał się w pierwszej kolejności lekarzem i ich wspólna podróż ku, być może, staniu się parą znalazła się w stanie zawieszenia. Długie rozmowy z Azzizem, Denhamem i z nowym konsultantem, który na stałe pracował w Brompton, wskazywały na to, że poważnie się martwi. Przesiadywał w laboratorium, sam przeprowadzał niektóre testy, zmieniał jej leki i dalej się zamartwiał.

Do tych zmartwień doszły kolejne, z całkiem innego frontu, kiedy jego syn podczas upadku na wrotkami fatalnie złamał sobie rękę w dwóch miejscach. Zespolenie kości wymagało operacji, a opieka nad rekonwalescentem pochłaniała cały wolny czas Alexa. Lucy rozumiała to, lecz był to dla niej poważny cios; na tym etapie znajomości nie mogła z nim porozmawiać od serca i spytać

szczerze, jak sobie z tym wszystkim radzi. Nie mieli czasu tylko dla siebie między porą odwiedzin w szpitalu a żelazną kurtyną zapadającą w chwili, gdy kończył dzień pracy i wracał do synka. Uważała to za idiotyczny paradoks: pilniej niż ktokolwiek inny obserwował jej system immunologiczny i martwił się możliwością odrzucenia przeszczepu, lecz właśnie jego troska spowodowała, że powrócili do czysto zawodowej znajomości, kiedy osobista więź między nimi dopiero zaczynała kiełkować. Lucy zaczynała już wierzyć, że szanse na prawdziwą bliskość rozwiały się bezpowrotnie. Przez jakiś czas broniła się jeszcze poczuciem humoru, ale w końcu dopadły ją stresy, poważnie odbijając się na stanie jej zdrowia. Chociaż tak długo nie pozwalała sobie o tym wszystkim myśleć, nagle, poniewczasie, uświadomiła sobie, jaki koszmar przeżyła i ile razy otarła się o śmierć w ciągu tego roku. W dodatku ktoś, komu dopiero zaczynała ufać na tyle, żeby być może obdarzyć go jakimś uczuciem, wydawał się od niej oddalać. Zaczęły się potworne migreny, depresja i złe sny, w których nawiedzały ją wrogie twarze.

Budziła się w panice, z uczuciem, że obserwuje ją ktoś, przed kim rozpaczliwie chciała się ukryć. Więc znowu przyjęto ją do szpitala i zlecono kolejną serię badań.

Dzisiaj był dwudziesty drugi grudnia, szary poniedziałek, i zapowiadało się na to, że święta zastaną ją w szpitalu. Po stronie plusów miała przynajmniej możliwość spotkania z Alexem. Koniec listopada spędził w drugim

szpitalu, ze swoimi studentami, a w zeszłym tygodniu miał jakieś sprawy w Cambridge. W rozmowach z Grace żartowała sobie, że zapomniała już, jak on wygląda, i że jest bardzo ciekawa, kto karmi jego kota. Ta wesołość była tylko na pokaz, gdyż w głębi duszy Lucy czuła się jak opuszczona mała dziewczynka. Znalazła się ponownie w punkcie wyjścia. Wrócił nader uprzejmy - acz obecnie niemal stale nieobecny — konsultant, doktor Stafford. Alex mężczyzna był zupełnie gdzie indziej, może w domu swojej byłej żony, przy ich synu. Przynajmniej jednak wciąż miała srebrny klucz, swój talizman, którego strzegła jak oka w głowie.

- Wcale nie jest tak aż źle. - Simon zakłócił szpitalną monotonię, pojawiając się z Grace oraz z naręczem książek dla Lucy, i natychmiast zauważył jej przygnębioną minę. Uśmiechnęła się do niego ze smutkiem: to była jedyna miła rzecz w ostatnich tygodniach. Simon, tak jak obiecywał wtedy przy kawie, odwiózł ją do domu i między nim a jej współlokatorką od razu zaiskrzyło. Grace była nim oczarowana. Jego brak szacunku dla konwenansów i leniwy wdzięk natychmiast ją

urzekły. Przy Grace - która po matce, Mulatce, odziedziczyła wydatne kości policzkowe i seksowne krągłości, a po ojcu żydowskiego pochodzenia umiejętność prowadzenia rozmowy w sympatyczny, dowcipny sposób - pokazał się z najlepszej strony. Pretekstem, by wkrótce znowu do nich wpaść, stały się książki, w których Lucy mogłaby poszukać informacji o doktorze Dee. Grace wykorzystała okazję. W ciągu kilku tygodni nawiązał się między nimi gorący romans. Lucy szczerze cieszyła się radością przyjaciółki, która w ostatnim roku nie miała zbytniego szczęścia w miłości, ale ich związek czynił jej brak postępów z Alexem jeszcze boleśniej. Teraz jednak była na to przygotowana.

- Odrobina lekkiej lektury - skomentowała na widok naręcza opasłych tomów, które dzierżył w ramionach.

- Grace kazała mi czymś cię zająć. Twierdzi, że jeszcze trochę i zaczniesz się nad sobą roztkliwiać. Biografia Dee zapowiada się rozrywkowo, ale przez tę całą matkę i te hermetyczne pierdoły ciężko będzie przebrnąć. Naprawdę chcesz nad tym ślęczeć? Will zamówił

to wszystko w Amazonie i kazał wysłać na adres Alexa, więc pomyśleliśmy, że i ty powinnaś rzucić na nie okiem.

Simon usiłował zainteresować ją czymkolwiek, co mogłoby oderwać jej myśli od obecnej patowej sytuacji, lecz jej milczenie i bladość kojarzyły mu się z wystudiowanym spokojem nowicjuszek na chwilę przed złożeniem ślubów; to opanowanie nie miało, jego zdaniem, nic wspólnego z naturalnością. Po namyśle, niemal z ociąganiem, dodał

- Dee miał umrzeć właśnie dwudziestego drugiego grudnia, to tak w ramach ciekawostki. Przynajmniej kiedyś tak uważano, bo ostatnio badacze doszli do wniosku, że stało się to raczej pod koniec marca, dostał taką kilkuniesięczną odroczkę. Będziesz musiała przeczytać jego biografię, żeby się dowiedzieć, dlaczego raptem zmienili zdanie. Według legendy, dość zresztą ponurej, jego serce spoczywa gdzieś pod głównym ołtarzem kościoła w Mortlake. Jestem przekonany, że nie stracisz serca do lektury, dopóki nie wyczytasz wszystkiego, do ostatniego makabrycznego szczegółu.

Z jakiegoś osobliwego powodu twarz Lucy ożywała z każdym jego zdaniem; zaintrygował ją zwłaszcza interesujący dobór słów Simona. Lucy uśmiechnęła się nieco zagadkowo, zadowolona, że będzie mogła zająć myśli czymś naprawdę frapującym. Ostatnio czytanie jej nie szło przez niewyobrażalnie silne bóle głowy. Dopiero niedawno zaczęły one powoli ustępować, dzięki

zmianie leków. Nie zdążyła więc znaleźć zbyt wielu informacji, lecz samo ich poszukiwanie sprawiało, że czuła się bliżej Alexa - a chciała się znaleźć jak najbliżej.

-Tylko żebyś nie przedobrzyła, skarbie - dodała łagodnie Grace. - Przede wszystkim masz wyzdrowieć. Alex jasno wyraził się na ten temat. Wiesz, że moi rodzice wciąż mają nadzieję, że spędzisz z nami święta w Shropshire?

Lucy doceniała propozycję Grace i była za nią wdzięczna, niemniej to nie na świętach w skrytości ducha najbardziej jej zależało.

-Dzięki, skarbie. Na pewno poczuję się lepiej, jak już będę znała wyniki biopsji.

-Dopóki wszyscy zajmujący się panią lekarze się nie zgodzą, że można panią wypisać, lepiej niech pani nie planuje żadnych podróży, panno King.

Poznając ten głos, Lucy zarumieniła się z radości; jego posiadacz niezauważenie wślizgnął się do sali i stanął za Simonem.

-A czy mogę mieć nadzieję, że zdołam jakoś na pana wpłynąć, doktorze Stafford? — Przy przyjaciółach łatwiej było zachowywać się

kokieteryjnie.

-Zawsze! - Na ułamek sekundy poprawił jej nastrój. - Mam nadzieję, że nie dokuczacie mojej pacjentce. Obawiam się, że ja sam będę musiał zaraz wbić jej szpilę.

Lucy roześmiała się, na migi pokazując Grace, że będzie musiał założyć jej wenflon. Przyjaciółka ucałowała ją w czoło i z konspiracyjną miną zaczęła holować Simona ku drzwiom, by Lucy została sama z Alexem.

-Później zadzwonię dowiedzieć się, jak poszło. Daj mi znać, kiedy będzie mogła stąd zwiewać, Alex.

-Zostaw ją mnie, Grace - odpowiedział z kwaśnym uśmiechem i goście sobie poszli.

Alex podszedł i bez pytania usiadł na skraju łóżka, co wydawało jej się cudownie poufałym zachowaniem.

-Czujesz się choć trochę lepiej? — W jego tonie pobrzmiewał cień wahania, jak gdyby nie był pewny, z jaką spotka się reakcją.

-Prawdę mówiąc, owszem. Cieszę się, że cię widzę. - Ona też sondowała. Wiedziała, że w każdej chwili ktoś może im przeszkodzić. - Jak twój syn? Miałam nadzieję, że może kiedyś go przyprowadzisz, żebym mogła go poznać.

Alex pokręcił głową.

-To nie miejsce na takie rzeczy. W tej chwili on nie za bardzo przepada za szpitalami! Ale w Wigilię ma mieć zdjęty gips. Wypadek nie zniechęcił go do sportu, to pewne. Wciąż chce jechać na narty. - Alex wyczytał w jej twarzy niepewność. — Znowu miewasz słodkie sny?

-Tak mi się zdaje. Ten babsztyl w czarnej pelerynie i z kosą nie odgrywa już w nich pierwszoplanowej roli, przynajmniej na razie. —

Schroniła się za ironią. - Simon zadał mi mnóstwo pracy domowej. Te książki to część zamówienia Willa. Powiem ci, jeśli znajdę w nich coś ciekawego. - Pomyślała, że może to da mu jakiś obraz stanu jej ducha.

-Nie ma powodu do pośpiechu, Lucy. Niedługo będziemy mieli czas, żeby spokojnie o wszystkim porozmawiać. Teraz, uważam, powinniśmy skupić się na tym, żebyś jak najszybciej znalazła się w domu.

Ktoś odrobinę pewniejszy siebie wiedziałby, jak rozumieć to zapewnienie, ale dzisiaj Lucy nie była taką osobą. Potem pojawił się salowy z wózkiem, który Alex przysunął do łóżka, a mężczyznę przegonił żartobliwym gestem.

-A w tej chwili trzy Mojry tylko czekają, żeby wbić ci w szyję to żelazo.
- Pochylił się w jej stronę i szepnął: — Ale poprosiłem, żeby wybrały najcieńsze.

Uśmiechała się niepewnie. Pod wpływem tych słów jej twarz nabrała spokojniejszego wyrazu: wiedząc, że Alex nad wszystkim panuje, jechała krętymi szpitalnymi korytarzami do sali, gdzie czekali na nią kardiolog, radiolog i technik

rentgenowski. Znowu czuła się bezpieczna.

Gdy Calvin szedł przez recepcję do sali jadalnej, czuł niemal duszący zapach lilii, dzięki któremu cudowny stary hotelik wydawał się jeszcze bardziej wymyślny. Zbliżał się do restauracji, niosąc płaszcz z jasnej wielbłądziej wełny,

nieznacznie bawiąc się jednym z dużych guzików. Zobaczył w lustrze odbicie głowy profesora i szybko schował rękę do kieszeni, po czym równie szybko ją z niej wyjął.

- Profesor Walters już jest przy stoliku, panie Petersen. Pański płaszcz, jeśli można?

Szef sali restauracji hotelu Claridge przekazał pomocnikowi nakrycie gościa, którego zaprowadził następnie do stolika w rogu. Siedział przy nim sztywnie ubrany mężczyzna, może pięćdziesięciopięcioletni, w prążkowanej koszuli i granatowej kaszmirowej marynarce; zamiast krawata miał kremowy jedwabny fular. Calvin widział spinki w jego mankietach, łapiące słabe światło i rozsyłające imponujące błyski; teraz zaś, gdy się zbliżali, profesor Fitzalan Walters odłożył czytanego właśnie „New York Timesa” i wstał z krzesła. Podał Calvinowi bladą piegowatą dłoń, drugą zaś oparł mu na ramieniu. Kiedy kelner pośpiesznie odsunął krzesło, Calvina po raz tysięczny uderzyła myśl, jaką imponującą prezencję ma ten stosunkowo niewielki mężczyzna.

-Jakże się cieszę, że mogliśmy się spotkać podczas mojej bytności w Londynie, Calvinie. — Fitzalan miał aksamitny głos, przywodzący na myśl stare fortuny i nieznoszący sprzeciwu; słychać w nim było leciutki akcent zdradzający kogoś z południa Stanów. - Wracasz do domu na święta?

- Wylatuję pojutrze.

Profesor był człowiekiem ważnym i szalenie zajęтым, jednym ze starszych wykładowców Wydziału Teologii w Collegeu. Założony w Kansas w tysiąc osiemset siedemdziesiątym roku, równocześnie z siostrzaną instytucją w Indianie, College cieszył się świetną renomą, a wśród jego absolwentów znalazło się wielu późniejszych senatorów, sędziów i znanych osobistości z najróżniejszych dziedzin życia. Co więcej, tytuł uzyskany na tej uczelni na dobrym kierunku wydawał się przepustką do dobrej posady w dziedzinie prawa, polityki albo i nawet w samym Waszyngtonie. Walters z dumą opisywał ją niewtajemniczonym jako neokonserwatywną instytucję fundamen-talistyczną. Profesor wydawał się wszystko wiedzieć i wszystkich

znać. Przed dziesięcioma laty napisał inspirujące dzieło o ponownym przyjściu Chrystusa. Z przekonaniem moralnym Calvinem oraz jego szerszymi zainteresowaniami nie kolidowało poszukiwanie posady wykładowcy, dzięki której miałby co do garnka włożyć, robiąc magisterium, a potem, miał nadzieję, doktorat; kiedy więc natknął się na ogłoszenie informujące o wakacji w College'u, który wydawał się oferować dokładnie to, czego szukał, zgłosił swoją kandydaturę.

Podczas pierwszego spotkania w sprawie pracy profesor Walters - F.W., jak lubił, by nazywali go znajomi - wydawał się żywo zainteresowany Calvinem i jego rodziną. Długo rozmawiali o doktorze Johnie Dee, jego przodku. Calvin wspominał o nim, by zrobić wrażenie na profesorze, którego zainteresowanie mu pochlebiało. Byli tacy, którzy uważali Johna Dee za człowieka niespełna rozumu, lecz EW. wypowiadał się o nim z szacunkiem i chciał jak najwięcej się o nim dowiedzieć. Oczywiście nie brakowało i takich, którzy wierzyli, że Dee rzeczywiście rozmawiał z aniołami, które zdradziły mu tajemnice Apokalipsy i drugiego przyjścia Chrystusa. Jaka wiedza mogła kryć się w jego rozlicznych rękopisach i co się z nimi stało? Było wiadomo tylko tyle, że podczas pobytu Dee za granicą, w Bohemii, w latach osiemdziesiątych szesnastego wieku, jego dom został ograbiony, a biblioteka splądrowana. Wydawało się, że Walters zna bardzo wiele szczegółów dotyczących życia i pracy doktora Dee; zdecydowanie więcej niż Calvin.

Rozmowa okazała się owocna: F.W. dał

Calwinowi posadę, której ten tak bardzo potrzebował. Ponadto pomógł mu zdobyć stypendium podyplomowe, by Calvin mógł dokończyć swoją dysertację, uwzględniając w niej wnioski z wyjazdu badawczego. Calvin wywodził się z dobrej rodziny, dysponującej pewnymi nieruchomościami oraz kilkoma pakietami akcji, ale żywej gotówki zawsze mu brakowało, więc był wdzięczny za protekcję. Z biegiem czasu, gdy Calvin coraz lepiej poznawał profesora Waltersa, przekonał się, że niektóre z jego poglądów na temat „inteligentnego projektu”, „pochwycenia kościoła” i kreacjonizmu są dość radykalne. Był wręcz zaniepokojony, kiedy Walters publicznie wyraził opinię, że za koszmar jedenastego września można w tym samym stopniu winić pogan, feministki, gejów i lesbijki, co islamskich terrorystów - niemniej nigdy nie rozmawiał o tych odczuciach ze swoim mentorem. F.W. okazywał mu coraz większe zaufanie, a Calvin nie chciał go stracić. W ostatnim czasie było jeszcze lepiej, odkąd tylko Calvin wspomniał o śmierci swojego brytyjskiego kuzyna i o tajemniczym kluczu,

który omal nie trafił do jego matki i z którym wiązała się fascynująca historia. Powinien być przekazany w linii żeńskiej, wyjaśnił profesorowi Calvin, ale trafił do jego kuzyna z Wielkiej Brytanii, naruszając tradycję pielęgnowaną od stuleci. Jego zdaniem mogło to mieć coś wspólnego z księgami i rękopisami, które jego znakomity przodek uważał za zbyt kontrowersyjne dla rozdartego między różnymi doktrynami świata początków siedemnastego wieku. EW. wyraził zaskoczenie, że Calvin wcześniej nie napomknął o istnieniu owego klucza.

Gdy kelner kładł serwetkę na kolanach Calvina, ten rozmyślał o tym, jak szybko zacieśniają się więzy łączące go z Waltersem, który najwyraźniej był dzisiaj w nader familiarnym nastroju; poprosił nawet, by Calvin wybrał coś z karty. On sam zdążył już zamówić dla siebie treściwe, staroświeckie angielskie śniadanie.

-Uwielbiam te kielbaski. W kraju nie można kupić nic, co by mogło się z nimi równać - rzucił. Calvin zastanawiał się, co F.W. zamierza. To było do niego niepodobne, nie mówić od razu wszystkiego, co mu leży na sercu.

-Jakieś postępy w sprawie twoich brytyjskich kuzynów i doktora Dee?

-spytał Walters pomiędzy jednym kęsem a drugim, nie odrywając wzroku od Calvina i śledząc każdą jego reakcję.

-Mogę przyjąć pańskie zamówienie? - Kelner czekał przy stoliku. Calvin miał właśnie zamówić jajka a la Benedict, lecz Walters ubiegł go, zanim ten zdążył wypowiedzieć pierwszą sylabę.

-Dla niego angielskie śniadanie: jaja sadzone,

kielbaski i gorące tosty z masłem. Ale lepiej żeby były naprawdę gorące. - Walters, ignorując obecność kelnera, zwrócił się do Calvina, nie próbując nawet ściszyć głosu: — Ci Brytole nie mają pojęcia o przyzwoitych grzankach.

- Och, ależ mamy, proszę pana. - Kelner uśmiechnął się spokojnie.

- My Brytole wiemy, że „przyzwoita grzanka” to taka, którą smaruje się masłem zaraz po wyjęciu z opiekacza, tak żeby masło w nią wsiąkło, a pieczywo zrobiło się rozmiękle i gąbczaste. Coś jeszcze dla pana? Może kawy, bezkofeinowej czy zwykłej?

Calvin zdążył podziękować skinieniem, zanim Walters rzucił cierpko:

- To już byłoby wszystko. Dziękujemy.

Gdy kelner znalazł się dostatecznie daleko, by ich nie słyszeć, Calvin odpowiedział:

- Owszem, tak się składa, że niedawno byłem na lunchu z kuzynem i jego znajomymi. Od pewnego czasu... - szukał odpowiedniego słowa - spotykałem się z byłą dziewczyną tego drugiego brata, który

zginął tragicznie. Nie jestem pewny, czy mój bezpośredni przełożony ci o tym wspominał? O wypadku sprzed kilku miesięcy? - Słowa Calvina obliczone były na to, aby złagodzić treść komunikatu, lecz jego chłodne szaroniebieskie oczy z uwagą obserwowały współbiesiadnika. Chciał oszacować jego reakcję na tę jedną wiadomość. Zastanawiał się, czy ktoś z uczelni może o wszystkim wiedzieć i ponosić odpowiedzialność za włamanie do domu jego krewnych w takim niefortunnym momencie.

Spotykasz się z nią, aż ledwo może chodzić, pomyślał Walters, lecz z powagą popatrzył na towarzysza. Omiótł spojrzeniem jego twarz i kiwnął głową.

-Tak, słyszałem. Guy wszystko mi opowiedział. Cóż za niefortunny zbieg okoliczności. Już go o nic nie zapytasz.

Podano śniadanie, a Calvin kontynuował:

-To prawda. Ale jego eks bardzo przeżywała ich wcześniejsze rozstanie i wiele mi opowiedziała o tej rodzinie. Musiała się komuś wygadać. - Wciąż czekał z ujawnieniem informacji, która interesowała mentora, słuchającego go nad wyraz uprzejmie. Nie śpieszył się: spokojnie dokończył jajko sadzone, po czym podjął temat: - Ciekawa sprawa... Podczas tamtego lunchu do wiedziałem się, że klucz znajduje się teraz u drugiego brata; widziałem go na własne oczy. Ten drugi brat nie jest pewny, co się stało z pergaminem, który towarzyszy kluczowi. To bardzo dziwne. Usiłowałem wytłumaczyć Sian - tej

byłej dziewczynie - czym grozi złamanie zasad przekazywania spuścizny. Co się może stać, jeśli nie zostanie przekazana potomkini w linii żeńskiej, krwi z jego krwi. Oni nic nie wiedzieli o swoim pokrewieństwie z Johnem Dee. Ojciec uważał, że to głupie przesady, coś, czego należy się wstydzić. Martwi mnie, że nie uszanowali nakazu. - Calvin opowiadał swobodnie, świadomy, że F.W. wsłuchuje się w każde jego słowo. - Muszę powiedzieć, że niemalże spodziewałem się jakiegoś nieszczęścia. Moja matka wyraźnie mówiła, że łańcuch zostanie wtedy przerwany. Osobiście uważam, że to miało coś wspólnego z jego śmiercią - ot, wyjątkowy pech, przed którym mnie ostrzegęła. - Wciąż dyskretnie sondował, lecz bez powodzenia. - Nie chcieli tego zrozumieć. Nie wydaje mi się, żeby podeszli do tego z należytych respektem. To idee o wielkiej mocy. Jeśli Bóg coś przeklnie, to to coś jest przekłete; jeśli to

samo zrobi anioł, skutek jest dokładnie taki sam. -
Popatrzył na zasłuchane
go profesora. - Relacje między mną a Sian są
teraz trochę bardziej napięte.
Ale wciąż się z nią widuję.

Nie wątpię, pomyślał Walters. Odkąd ją
zobaczył, był aż nazbyt świadomy jej uroków.

-Calvin. - Pochylił się w jego stronę. —
Rozmawialiśmy o tym. Możli-
we, że stoimy wobec jednego z największych
odkryć w historii. Obaj chce-
libyśmy, żeby College miał w tym swój udział.
Ty miałbyś z tego akademic-
ką chwałę. Materiał na książkę, to nie ulega
wątpliwości. Z punktu widzenia
twojej kariery, byłby to moment przełomowy. A z
religijnego punktu widze-
nia, rzecz jasna, byłaby to fascynująca przygoda.
Przypuszczam, że zwery-

fikowaniu mogłaby ulec cała teoria pochwycenia, nad którą pracujemy od lat. Dee z pewnością wszystko wiedział. Sądziłbym, że mógłbyś po prostu, zawalczyć o swoje...

Sugestywnie zawiesił głos, w którym nie było ani cienia nalegania. Mimo to Calvin wiedział, że oto nadarza się szansa, aby stać się dla pracowników College'u kimś w rodzaju bohatera. Mnóstwo osób - pracowników College'-u nie wyłączając - wiele by dało, aby spuścizna po Johnie Dee trafiła w ich ręce. Każdy rozumiałby, jaką rangę nadałoby przyczynienie się do takiego odkrycia, a w przypadku Calvina dodatkowo oznaczałoby to, że wzrosłaby jego wartość w oczach F.W., który miał wpływy polityczne i towarzyskie. Zaczął zdawać sobie sprawę, że właśnie otrzymał dyrektywę zdobycia klucza, czy to znowu będącego w posiadaniu Alexa, czy wciąż na przechowaniu u Lucy, za wszelką cenę. F.W. nie będzie czekał w nieskończoność.

Kelner dyskretnie położył na stoliku rachunek. Profesor Walters podpisał go, nawet na niego nie patrząc, a jako napiwek wsunął pod skórzaną okładkę banknot o dużym nominale. Gdy tylko

wstali od stołu, pojawił się szef sali z płaszczem Calvina. Walters wcisnął mu w rękę kolejny amerykański banknot i ujął protegowanego pod ramię.

-Masz chwilę? - To nie było pytanie. - Podejdźmy na górę do mojego apartamentu. Jest tam coś, co mogłoby cię zainteresować, i parę osób, które powinieneś poznać. To ci pomoże zrozumieć wagę sytuacji.

Kiedy przechodzili przez elegancki hol w stylu art deco, jakiś mężczyzna wstał z fotela i wszedł do windy tuż przed nimi. Walters i Calvin także wsiedli i stanęli przodem do drzwi.

-Osiągnąłeś wszystkie swoje cele, Mefistofelesie? - odezwał się Walters, nie oglądając się.

-Tak, profesorze Walters. To było bardzo pouczające. - Nieznajomy podał Waltersowi niewielką skórzaną aktówkę.

-Calvinie, to jest Angelo, chociaż nazywam go wieloma imionami. Czasami bywa dość niegrzecznym aniołkiem. Załatwia moje sprawy w Europie. - Ton Waltersa był nieprzenikniony.

Calvin obejrzał się i wpatrzył w twarz mężczyzny. Wszystko w nim było przeciętne oprócz oczu, żółtych niczym kocie ślepie. Mówił z akcentem, którego Calvin nie potrafił przyporządkować żadnemu konkretnemu miejscu na ziemi.

-Bardzo mi miło - rzekł młodzieniec nieszczercze, zauważając, że nie znajomy ma na sobie nieskazitelny i bardzo drogi ciemny garnitur i jeszcze

droższy kaszmirowy płaszcz. Mężczyzna uprzejmie skinął głową, co z niepojętego powodu sprawiło, że Calvin poczuł się ociupinkę nieswojo. Zastanawiał się, co EW. rozumie przez określenie „niegrzeczny aniołek”.

- Zaprowadziłem pańskich ludzi do salonu w apartamencie - mówił właśnie mężczyzna - i podałem im kawę, tak jak sobie życzyłeś, panie.

- Dziękuję ci.

Drzwi windy otworzyły się i po chwili cała trójka znalazła się w korytarzu.

- W lewo, penthouse od strony Davies Street — zakomenderował Walters.

Angelo otworzył drzwi i odsunął się. Walters wszedł przed Calvinem,

który ponad jego ramieniem zajrzał do pięknego biało-żółtego salonu wyłożonego lakierowanym parkietem. Przed oknem, podświetleni od tyłu przez jasne poranne słońce, stali dwaj mężczyźni. Walters podszedł do nich i dość oficjalnie kolejno ich uściskał.

- A oto i młodzieniec, o którym wam opowiadałem, Calvin Petersen, mój osobisty protegowany. Mam nadzieję, że on właśnie

pomoże nam znaleźć odpowiedzi, których poszukujemy od lat. - Głos F.W. brzmiał nad wyraz poważnie.

-Calvinie, oto moi współpracownicy. — Zrobił zamaszysty gest, nie podając imion ani nazwisk, niemniej Calvin miał nieodparte wrażenie, że twarz jednego z tych mężczyzn, jeśli nie obu, jest mu znana z szeroko rozumianej sceny politycznej albo może z występów w programach telewizyjnych poświęconych religii.

EW. podniósł z ziemi aktówkę, położył ją na stole i otworzył. Ze środka wyjął coś, co wyglądało jak zwój pergaminu oraz prześliczną miniaturę.

- I cóż mi powiesz, mój zły aniele? -
spytał cicho Walters.

Angelo stanął przed nim ze splecionymi dłońmi.

- Panie, wyjaśniłem tym z V&A, że to niedawna... darowizna na rzecz College'u. Potwierdzili, że portret pochodzi z drugiej połowy szesnastego wieku i niewykluczone, że jest oryginałem pędzla Hillarda, ale prawdopodobnie

nieskatalogowanym, więc niewykluczone, że to tylko kopia zaginionego oryginału. Na chwilę obecną nie byli w stanie zidentyfikować modelki. Papierami - przekartkował jakieś dokumenty - zainteresowało się Muzeum Fitzwilliama w Cambridge. Używając ich nazewnictwa, to znakomite kopie jakiegoś oryginalnego tekstu, być może zaginionego, czego jednak nie mogli potwierdzić bez dalszych analiz; ale mogą to być kopie rękopisów doktora Dee - oprócz tego pergaminu, który wydaje się być czymś w rodzaju urywka ze scenariusza

jakiejś sztuki teatralnej. Zrobili fotokopie i dadzą je do zbadania grafologowi, o ile mamy takie życzenie. Tą tutaj wydawali się dość podekscytowani, aczkolwiek starali się zachować powściągliwość na wypadek, gdyby okazało się, że to falsyfikat. - Powiódł wzrokiem po poważnych twarzach i mówił dalej: - Te małe książeczki po łacinie wciąż są u antykwariusza, ale już wiemy, że Biblia jest bardzo stara i cenna. Zleciłem komuś rozpracowanie zaznaczonych fragmentów, które są, jak się wydaje, prawdziwym objawieniem.

Walters skwitował pełny raport powściągliwym skinieniem i podał miniaturę Calvinowi.

-To oczywiste, że wszystko to jest ściśle *subrosa*, Calvinie. Piękna dama, nieprawdaż? - dodał. - Sądzisz, że mogłaby być jedną z twoich przodkiń?

Calvin nieświadomie zmrużył oczy, gdy patrzył na tę twarz, właściwie jej nie widząc, usiłując wyobrazić sobie konsekwencje, które może pociągnąć odpowiedź na to pytanie. Co to ma w ogóle z nim wspólnego? Potrzebował

zaledwie paru sekund, by połączyć miniaturę z włamaniem do domu letniskowego Staffordów - wiedząc, że stało się to w czasie, kiedy Will w stanie krytycznym leżał w szpitalu. Już otwierał usta, żeby powiedzieć profesorowi Waltersowi o czymś, co właśnie przyszło mu do głowy, lecz nagle zmienił zdanie. Jak daleko ci ludzie są gotowi się posunąć? Nie mógł zebrać myśli, owładnięty nieprzyjemnym przeczuciem, że mimo wszystko miał rację i że ci tutaj gotowi są na wszystko, byle zdobyć swój skarb; dopóki dość nieoczekiwanie nie skupił wzroku na ślicznej kobiecie w sukni z misternie haftowanym gorsetem, patrzącej prosto na niego z błękitnego tła. Oczy mu się rozszerzyły.

- Nie jestem pewny — rzekł powoli. - Ale wydaje mi się, że kilka tygodni temu jadłem z nią lunch. Możliwe nawet - porażony widokiem jej twarzy nie zdawał sobie sprawy, że myśli na głos, aż było już za późno - że to ona ma w tej chwili klucz.

DZWONEK U DRZWI ZNOWU ZADZWONIŁ. RECEPCJONISTA ALBO ODDALIŁ SIĘ od swojego stanowiska za biurkiem, albo pozwolił jakiemuś człowiekowi podejść aż pod same drzwi.

- Taksóweczka, kotuniu. Zamówiona na nazwisko King? — Lucy wpa trywała się w mężczyznę w osłupieniu. - Mam ci przekazać tę wiadomość, a potem poczekać jakieś dziesięć minut. - Mrugnął do niej, podał jej zaklejoną kopertę i obrócił się na pięcie. - Stoję przed wejściem, jak już się pani wyszykuje.

Przez zamieszanie panujące od rana Grace już była spóźniona do pracy.

- Kogo znowu diabli nadali? Jeśli zaraz nie skończy się to wariatkowo, to chyba już nigdy stąd nie wyjdę... - Roześmiała się i zerkając przyjaciółce przez ramię, przeczytała odręcznie napisaną

wiadomość:

*3 lutego, mademoiselle. Zabierz ciepły płaszcz, wygodne pantofle i paszport. Depeche - toi...
Alexandre*

- Włożę je do wody. — Wzięła eleganckie pudło z kwiatami, które pojawiło się w wyniku poprzedniej wizyty portiera. - Weź się w garść, Lucy. To jasne, że porywa cię w jakieś obrzydliwie romantyczne miejsce. Na przykład Paryż? - Grace zaczęła podśpiewywać piosenkę Edith Piaf i energicznie sięgnęła po wazon.

- Ja już nic nie kapuję, Grace. Najpierw, zanim wyjechałam do Shropshire na święta, zostawia dla mnie kartkę z życzeniami i flakon drogich per-

fum, mój ulubiony zapach Fleur de The Rose Bulgare; potem przez cały styczeń jest nieuchwytny. Nasza najdłuższa rozmowa telefoniczna trwała dziesięć minut, a to marny substytut bezpośredniego spotkania. Mogłabym ogołocić pole stokrotek, próbując sobie wywróżyć, co on właściwie do mnie czuje. Mam prawo uznać to za irytujące, wiesz? I rzeczywiście uważam, że to jest irytujące! Jest zainteresowany, nie jest zainteresowany... Grace przerwała te wywody.

-Lucy, facet jest tobą zainteresowany, koniec i kropka. Zadał sobie trud, żeby dowiedzieć się, jaki jest twój ulubiony zapach - a potem jeszcze więcej, żeby znaleźć perfumierię, w której można go kupić. A teraz jeszcze to, sama zobacz! - Zamaszystym gestem wskazała dwa tuziny długich czerwonych róż, które szybko układała w wazonie. - I jeszcze ta taksówka! Sorry, ale nie możesz gościa winić za to, że pracuje. Prowadził wykłady, zgadza się? Simon mówił, że od miesiąca miał może jeden wolny

dzień. Musiał się bardzo postarać, żeby dzisiaj mieć wolne. I jakie to romantyczne: ewidentnie chce cię zabrać w jakieś wyjątkowe miejsce.

Nowe, silne serce Lucy przeżywało właśnie atak paniki. Z tymi jej uczuciami do Alexa Stafforda to była skomplikowana sprawa. Fakt, iż wciąż był jej lekarzem, niepewność co do jego prywatnego życia, były niczym wielkie znaki ostrzegawcze. Popatrzyła na Grace, która usiłowała ukryć uśmiech, i nagle coś ją tknęło.

-Co o tym wiesz? - Pomachała liścikiem od Alexa, pytając patrząc na współlokatorkę.

-Nie mam czasu, żeby teraz ci o tym opowiadać. Spóznisz się.

-Namówił się z tobą?

Grace uśmiechnęła się szeroko, nic nie odpowiadając, a Lucy popędziła za nią do kuchni.

-Musi być jakiś powód, dla którego ani ty, ani nikt z moich najbliższych przyjaciół nie miał dzisiaj czasu, żeby wyskoczyć ze mną na lunch. Taka byłaś pewna, że dostanę ciekawszą propozycję?

-Cóż... - poprawiła róże w wazonie,

zauważyła, że nie ma na nich kolców i złagodniała. - Wiem tyle, że musiał porządnie się naprosić, zanim załatwił sobie wolne w środku tygodnia, akurat w twoje urodziny. Ale to nie ode mnie dowiedział się przed świętami, jakie perfumy lubisz, i nie wiem, co dzisiaj dla ciebie planuje. - Popatrzyła na przyjaciółkę. - I tylko półgłówek miałby wątpliwości, czy jest tobą zainteresowany, Lucy. Haruje dwadzieścia

cztery godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu, mam rację? Do tego kończy doktorat. Raczej nie ma kupy wolnego czasu. Poza tym sędzę, że bardzo uważa na twoje zdrowie, a to rozsądne po ostatniej katastrofie. Chce, żebyś wyzdrowiała, a nie skonała, wykończona jego zalotami. Mimo to ja-kim cudem udaje mu się znaleźć czas, żeby dzwonić do ciebie co drugi dzień. No czy on nie jest słodki? Pokrzepiająco staroświecki w świecie, w którym wszystkim zawsze się śpieszy, a romanse kończą się, zanim się na dobre zaczną. On nie jest taki jak inni. Oczywiście, jeśli wciąż masz jakieś wątpliwości, sama chętnie zatrzymam te różę.

Lucy podniosła na nią udęczone oczy.

-Dwa, trzy telefony w tygodniu to nie jest co drugi dzień! Zresztą on i tak prawie nic nie mówi.

-I tu go masz! No zbieraj się wreszcie. A sio! — Grace serdecznie się z niej obśmiała. - Włóż coś ładnego. Tylko żeby było ciepłe! Taksówka czeka.

ALEX OTWORZYŁ DRZWI TAKSÓWKI, KTÓRA ZATRZYMAŁA SIĘ PRZY MOŚCIE KEW, teraz lekko przyprószonym

śniegiem, po tej samej stronie Tamizy co Chiswick, i zapłacił kierowcy.

-Wszystkiego najlepszego! - Szczelniej zaciągnął poły jej płaszcza.

-Czyli jednak nie Paryż - stwierdziła figlarnym tonem. - Spodziewałam się spotkania na stacji Waterloo.

-Ach tak, to ty miałaś nadzieję na lunch u Boffingera, mam rację? - Zaśmiał się, wziął ją za rękę i trzymając mocniej niż zwykle, pokierował dziewczyną w stronę swojego samochodu. - Przepraszam cię, że spotykamy się dopiero tutaj, ale musiałem przejechać kawał obwodnicy północnej. Do bladego świtu nie mogłem się wyrwać z drugiego szpitala i musiałem najpierw załatwić kilka rzeczy. - Lucy czekała, a kiedy otworzył drzwi, poczuła zapach, który aż zaparł jej dech w piersi. Czarny płócienny dach audi skutecznie zasłaniał niespodziankę: zadziwiająco pojemny tył samochodu wypełniały naręcza żonkili, fiołków i innych wiosennych kwiatów. Lucy nie była w stanie się odezwać, a on patrzył na nią z radością.

- Z okazji powrotu Persefony - powiedział.

Miała zdziwioną minę.
— Twoje urodziny przypadają na szczególny
dzień, no, dzień po pewnej
szczególnej dacie. To pierwsze tchnienie wiosny,
według pogańskich wie
rzeń. Dzień, w którym Persefona i jej niezliczone
imienniczki wracają ze
świata podziemi.

-Ja także z niego wróciłam. - Lucy uściskała go. - No i dokąd mnie zabierasz? Sądziłam, że będę potrzebowała paszportu.

-I potrzebujesz - odparł, naśladowując jej ton. Sprawdził ustawienie lusterek bocznych, a kiedy już jechali, wyjaśnił: - Pomyślałem, że porwę cię na wieś na lunch: do wioski, w której dorastałem, w której stoi mój rodzinny dom. Widoki jak z pocztówek! - zaśmiał się. - Wiesz, że według L. P. Hartleya przeszłość to obca kraina? Cóż, to zabieram cię na zagraniczną wycieczkę, w moją przeszłość.

Zaśmiała się szczęśliwa.

-Nie wyobrażam sobie miejsca, w które pragnęłabym teraz z tobą pojechać równie mocno, Alex. To wymarzony prezent. Dziękuję ci.

Rozsiadła się wygodniej w przepastnym beżowym skórzanym fotelu i wdychała cudowną woń kwiatów, napawając się bliskością Alexa. Nie spodziewała się tego wszystkiego: nastawiła się na urodziny bez niespodzianek. Teraz, spowita ciepłem, które sprawiało, że aż trudno było uwierzyć w temperaturę na dworze - termometr

na desce rozdzielczej wskazywał zaledwie jeden stopień powyżej zera - pozwoliła kierowcy skupić się na prowadzeniu auta, a kiedy wyjechali z ruchliwego miasta, zaczęła rozmowę na wybrany przez siebie temat.

- Wasz sławetny antenat niesamowicie mnie zafascynował, Alex. Przeczytałam dopiero połowę książek, które podrzucił mi Simon, ale są pełne niespodzianek.

- Spodziewałem się raczej bardzo starych kościotrupów, zwłaszcza jeśli Calvin jest tym taki zafascynowany.

- Nic bardziej błędnego! Wiem, że jesteś człowiekiem oświeconym, Alex, ale powinniśmy spróbować zrozumieć waszego przodka przez pryzmat jego czasów, o ile to możliwe, docenić jego znaczący wpływ na elżbietańską Anglię. To był prawdziwy człowiek renesansu, mający szeroką wiedzę w dziedzinach astronomii i historii, biegły w nawigacji i jak zgodnie twierdzili świadkowie, wybitny wykładowca. Drake i Gilbert nie dotarliby do Nowego Świata, gdyby Dee im nie pomógł. Nie sądzę, żeby dało się przecenić jego zasługi.

-Cóż, ja nic o nim nie wiem, a przy tej pogodzie będziemy jechać do Hampshire najmarniej godzinę! Poopowiadaj mi o nim, niech mam chociaż mizerne pojęcie o tym, jakim był człowiekiem. - Był dzisiaj w wyjątkowo wesołym nastroju, a widząc to, Lucy czuła się coraz bardziej zrelaksowana.

-Pierwsze, co powinieneś wiedzieć o Johnie Dee, to fakt, że Iwią część tego, co o nim wiemy - albo, jeśli wolisz, tego, jak go postrzegamy — zawdzięczamy Mericowi Casaubonowi, siedemnastowiecznemu uczonemu, który po przysiągł sobie zniszczyć mu reputację. Niechęć Casaubona jest powodem, dla którego wciąż nie potrafimy spojrzeć na życie doktora Dee bez uprzedzeń. Uważał, że Dee cierpi na urojenia i że oddawał się „ciemnym” praktykom, jak to określał. Ujawnił najpikantniejsze szczegóły z życia Dee. Nie żeby było ich dużo, ale rzeczywiście zdołał się dokopać do kilku dziwactw.

Alex uśmiechnął się szeroko. - Niezbyt obiektywny biograf, tak?

Lucy przytaknęła.

-Żeby tylko! Dla nas jednak najbardziej interesującą informacją mogłoby być to, że Casaubonowi wpadła w ręce niezwykle kolekcja prywatnych zapi

sków Dee, na którą natknął się w naprawde przedziwnych okolicznościach.

Spojrzał na nią, zaintrygowany.

-Mów dalej.

-Na początku siedemnastego wieku sir Robert Cotton - ten od manuskryptów w British Library - postanowił z niezbadanych powodów przekopać ziemię wokół domu Johna Dee w Mortlake. No i miał szczęście...

Alex patrzył na Lucy.

-Więc nasz klucz i pergamin rzeczywiście mogły ocaleć? - W jej oczach wyczytał potwierdzenie. - Po co wszystko zakopywać? Te jego zapiski naprawdę były takie niebezpieczne?

-Cotton odkrył kryjówkę z rękopisami, przeżartymi przez wilgoć, lecz wciąż czytelnymi, i z nich pochodzą transkrypty konwersacji Dee i Kelleya z aniołami. Syn Cottona przekazał później te notatki Casaubonowi.

-Z aniołami. - W głosie Alexa rozbrzmiewała znajoma ironiczna nuta; Lucy zachichotała. Obróciła się w fotelu, aby siedzieć bardziej w jego stronę.

-Dałeś słowo, że spróbujesz spojrzeć na niego

z perspektywy jego czasów i będziesz pamiętał, że jemu współcześni częstokroć hołdowali podobnym poglądom i ideom!

Jej głos był pełen rozbawienia, ale i proszący, Alexa zaś zachwycała jej fascynacja tematem. Słuchał pilnie, gdy ze znanstwem opowiadała, jak sama pojmuje atmosferę tamtych czasów. Elżbietański świat zaludniała eklektyczna mieszanina postaci: polityków, teologów, poetów i dramaturgów, od-

krywców i starych wilków morskich jak Raleigh czy Drake, wiodących nader barwne życie. Ale wśród jego mieszkańców nie brakowało także całej rzeszy duchów - skrzydlatych duszków, demonów, wiedźm i zjaw - zarówno dobrych, jak i złych, oraz tych, którzy je przywoływali. Były kanwą, na której utkano ówczesny świat, nikogo więc nie dziwiło, że wielki poemat epicki Spensera traktował o królowej wróżek, a perypetie Hamleta zaczęły się od pojawienia się ducha. Owa fascynująca mieszanka fizycznego i astralnego świata równie wiele zawdzięczała filozofii okultyzmu, co wpływom tradycji ludowych, zabobonów i folkloru. Świat szczerze czerpał ze spuścizny magii i kabały, odziedziczonej po wielkich neoplatonistach włoskiego renesansu. Celem było zrozumienie najgłębszych sfer tajemnej wiedzy, w której nauka przeplatała się z tym co duchowe.

-W Anglii na czele tego nurtu stał właśnie John Dee.

Alex był zaabsorbowany jej wywodem i pełen podziwu dla fachowości, z jaką przekazywała tyle skomplikowanych informacji; kiedy jednak

wróciła do osoby doktora Dee - człowieka, którego znał jako głosiciela nauk Euklidesa - był w kropce.

-Trudno to wszystko przetrwać... że człowiek, który zasłynął jako matematyk obdarzony pewnym geniuszem, okrył się również niesławą jako czarnoksiężnik. Zastanawiam się, jak udawało mu się godzić te naukowe i okultystyczne zainteresowania.

-Nie zapominaj, że w tamtych czasach nawet matematykę uważano za dziedzinę pokrewną „czarnym sztukom”. Matematyczne obliczenia wydawały się wtedy niepokojąco bliskimi krewniakami rzucania zaklęć i sporządzania horoskopów.

Zaśmiał się, gdyż przypomniawszy mu się niechęć brata do matematyki, diabelskiego przedmiotu, jak ją zawsze nazywał w rozmowach z Alexem, gdy ten odrabiał za niego zadania.

-I mimo to Dee zawsze utrzymywał z powagą, że ma się za bogobożnego chrześcijanina, jeśli wierzyć Calvinowi, a nawet za zwolennika reformacji?

-Tak, zgadzam się, że z dzisiejszej

perspektywy to dość dziwne. Dee pozostawał jednak pod wpływem różnych, często sprzecznych doktryn rodem z piętnastowiecznej Europy. Właśnie wtedy masowo napływały do Włoch dokumenty i księgi z Konstantynopola oraz z Hiszpanii, z której Ferdynand i Izabela wygnali Żydów. Jedna z najbardziej wpływowych idei dotarła wraz z naukami zawartymi w kabale. Drugim przełomowym momentem było od-

krycie tekstów traktujących o Hermesie Trismegistusie, dzieł znanych teraz jako *Corpus Hermetica*. - Lucy popatrzyła na Alexa: to była najważniejsza informacja, do jakiej dotarła, i chciała mieć pewność, że nic nie rozproszy uwagi Alexa. On tymczasem prowadził auto i musiał brać pod uwagę oblodzenie drogi oraz coraz mocniej sypiący śnieg, który ledwo nadążały zgarniać gorączkowo pracujące wycieraczki. Umilkła na chwilę, myśląc o tym, jak niefortunna pogodę wybrała Persefona na swój powrót do świata żywych.

-Nie przerywaj. - Zerknął na nią, zafascynowany. - Lubię słuchać twojego głosu.

Uśmiechnęła się, napawając się nieoczekiwaną zamianą ról, która to z niej uczyniła autorytet.

-Renesansowi filozofowie Pico della Mirandola i Marsilio Ficino pracowali dla Medyceuszy i to właśnie dziad Lorenza, Cosimo, poprosił ich, aby odłożyli na bok wszystko inne i zajęli się tekstami Hermesa, które niedawno znalazły się w ich posiadaniu. Dzieła przez nich

przetłumaczone, czyli trak-
taty Hermesa, zapoczątkowały falę mistycyzmu,
która rozlała się po całej
Europie. Mówiąc Hermes, nie mam na myśli
posłańca greckich bogów, lecz
mitycznego egipskiego mędrca czy ściślej rzecz
biorąc, coś w rodzaju grec-
ko-egipskiej hybrydy, która ucieleśniała cechy
zarówno greckiego Hermesa,
jak i egipskiego boga i skrybę Thota.
Renesansowi uczeni nazywali go „egip-
skim Mojżeszem”.

Alex nieznacznie podkreślił ogrzewanie, gdyż
temperatura powietrza na dworze wciąż spadała.

-Z tego co słyszę, raczej nie mogło chodzić o
człowieka z krwi i kości?
Takiego, który naprawdę istniał?

-Raczej o kogoś w rodzaju boga we wcieleniu
człowieka o zdolnościach
herosa. W poczet dzieł, które znane są teraz jako
Corpus Hermetica, wchodzą
łacińskie i greckie traktaty o nim oraz zapiski
nakreślone ponoć jego ręką,
niemniej florentyńczycy, którzy je czytali, nie

uważali go za postać mityczną, lecz za autentycznego mędrca i kapłana. Dla nich był skarbnicą starożytnej świętej wiedzy z czasów Mojżesza, pod której wpływem mógł ich zdaniem pozostawać sam Platon, chociaż wydaje się bardziej prawdopodobne, że to właśnie teksty hermetyczne opierały się, między innymi, na niektórych naukach Platona. Ale trzeba pamiętać o tym, że to były fascynujące teksty, sprawiające wrażenie autentycznych, a ówcześni uważali mądrości Hermesa za starożytne. Dzisiaj wielu naukowców uważa, że co prawda same teksty po-

wstały mniej więcej sto lat po Chrystusie, ale stanowią zapis znacznie wcześniejszych ustnych tradycji przekazu przedchrześcijańskiej egipskiej myśli religijnej. A dla wolnomyślicieli poszukujących prawd religijnych, które byłyby ponad rozłamami religijnymi, były jak objawienie! Te teksty pozwoliły im uciec przed decydującymi o ich życiu i śmierci dylematami dotyczącymi wiary - czy pozostać wiernymi Rzymowi, czy pójść za Lutrem i Kalwinem, i czy odsądzać żydów i muzułmanów od czci i wiary. Idee wyrażone w dziełach hermetycznych zbliżały ich do sedna istoty Boga. I pod wieloma względami mieli rację, odnosząc się do nich z takim szacunkiem, gdyż teraz już wiemy, jak bardzo religia starożytnego Egiptu, a przede wszystkim jej sposób pojmowania świata, wpłynęła na Mojżesza.

Alex położył rękę na kolanach Lucy, prosząc o chwilę przerwy. Ciężki, słodki zapach kwiatów w małym zamkniętym pomieszczeniu, połączony z mocą idei, o których mu opowiadała, sprawił nagle, że zaczęło mu się kręcić w głowie.

-Poczekaj, Lucy. Czy dobrze to rozumiem?

Kiedy mówimy o hermetyzmie, mamy na myśli ogół tekstów, które narosły wokół tego człowieczego Hermesa, obdarzonego boskimi atrybutami, takimi samymi, jakie posiadał grecki bóg, jego imiennik? - Gdy przytaknęła, spytał: - A wkład samego Hermesa...?

— To fakt, że wydawał się mówić o czystej prawdzie religijnej, nienaświetnianej, jeśli wolisz takie określenie. Ficino nazwał teksty hermetyczne „światłem boskiego oświecenia”. Poprzez kontemplację zawartych w nich nauk, jak wierzył, można było wznieść się ponad złudzenia człowieczego umysłu i zrozumieć umysł boski. To była porywająca koncepcja w czasach, kiedy doktrynalne spory różniły ludzi i ciągnęły ich w najróżniejszych kierunkach. W drodze studiowania tych tekstów można było zrozumieć umysł Boga bezpośrednio, a przynajmniej tak wtedy wierzono. Hermes wydawał

się nawet przewidzieć nadejście Chrystusa - ale patrzył na nie przez pryzmat mądrości starożytnego Egiptu. Wraz z egipskimi wpływami w jego dziełach pojawił się pierwiastek magii i okultyzmu, jak również szacunku dla kobiet, echa kultu Izydy. Hermesa darzono taką czcią, że jego wizerunek pojawił się na ołtarzu katedry w Sienie.

Alex, przysłuchując się słowom Lucy, myślał o tym, jak bardzo ta szkoła filozofii mogłaby zainteresować jego matkę z jej ekumenicznym podejściem do duchowości i umiarkowanym feminizmem.

-Dobra - kiwnął głową z namysłem. - Czy uważano powszechnie, że teksty hermetyczne rywalizują z Księgą Rodzaju, jeśli chodzi o ich źródło i duchowy autorytet?

Lucy energicznie przytaknęła,

-Zgadza się. Zwłaszcza autorstwa takich myślicieli jak Giordano Bruno i Ficina.

Ruch na drodze był niewielki, na dworze panowała dziwna, niesamowita cisza, jak gdyby wszystkie dźwięki tłumił śnieg sypiący tak obficie, iż nawet na autostradzie widoczność spadła niemal do zera. Nagle, niedaleko od nich, przez jezdnię przeskoczył okazały jelen i zniknął w zaroślach. Oboje uśmiechnęli się oczarowani, lecz myśli Alexa wciąż krążyły wokół wielkich filozofów.

- A kabała?

-Racja. Interesował się nią Pico. Nauka kabały przywędrowała do Włoch wraz z Żydami wypędzonymi z Hiszpanii, zarówno w postaci tradycji ustnej, jak i tekstów pisanych. Pico pojmował ją jako starożytną tradycję wiedzy mi-

stycznej związanej z językiem hebrajskim, którego używał Mojżesz: pamiętaj, że dla ówczesnych hebrajski był językiem Boga. Kabala przypisuje do każdej litery określoną wartość numeryczną, nazywa się to gematrią. Przechowywali też tajemną wiedzę magiczną, która podobno zawarta była w samym języku hebrajskim. Każdej literze odpowiada konkretna liczba. Nawet same hebrajskie słowa, jak sądzono, mają boską moc.

Urwała na sekundę, czekając na zapewnienie, że jej towarzysz nadaża za tym wywodem, lecz niepotrzebnie się martwiła. Ich spojrzenia spotkały się na chwilę, mimo iż Alex wciąż musiał uważać na drogę.

-Innymi słowy sam język miał zawierać głębszą wiedzę niż ta, która była szeroko rozpowszechniana, nieść w sobie ukryty podtekst. Coś w guście przesłania dla elity. Nadażam za tobą.

-To dobrze. JAHWE to wymowa tetragramu, czterech hebrajskich liter, YHWH, składających się na imię Boga. Niektórzy twierdzą, że jest niewymawialne, ponieważ nie ma w nim

samogłosek. Inny wariant to „Jehowa” - a nawet „Jove” - Jowisz.

Alex jej przerwał.

-A wiesz, że Amel mi mówił, że słowo „Jahwe” wywodzi się od egipskiego słowa, które oznacza: „moc księżyca wzrasta”. Od Yah, imienia egipskiego boga księżyca, jak również od babilońskiej bogini księżyca o tym samym imieniu.

Lucy z rozbawieniem przewróciła oczami.

- Alex, to bardzo ciekawe, ale proszę, nie rozpraszać mnie. Przechodźmy do głównego powodu, dla którego doktryna kabalistyczna wywołała takie emocje. - Uśmiechnął się do niej i kiwnął głową.

- A więc — podjęła - dla chrześcijan jednym z pociągających aspektów kabały było to, iż jej tradycja wydawała się potwierdzać prawdziwość pojmowania Jezusa jako syna Bożego. W ten oto sposób: jeśli weźmie się imię IESU zamiast Jezus, a jeszcze lepiej Jeszua - którego wariantami są także Joszua czy angielskie Joshua — dodajemy, jak wierzyli, kluczową środkową literę *shin* do tetragramu, który składa się z samych spółgłosek. Ich zdaniem czyniło to niewymawialne imię wymawianym; inaczej YHWH jest całkowicie pozbawione samogłosek. Dla kabalistów chrześcijańskich to, że to imię stało się słyszalne, było równoznaczne ze Słowem, które stało się Ciałem.

Alex roześmiał się głośno, zerkając na Lucy, kiedy zjeżdżali z dwupa-smówki w kierunku niewielkiej wioski Longparish.

-Cóż, nawet pomijając etymologię imienia „Jahwe”, to dziwna argumentacja. I już sobie wyobrażam, jak podsumowałyby to mój brat, ze znacznie mniejszym szacunkiem niż ja. -
Zaśmiała się. - Ich to przekonało?

-W zależności od tego, jak zręcznie manipulowano hebrajskim alfabetem i jak „rozciągali” spółgłoski, by uwzględnić pominięte samogłoski - tak! Ówczesnym adeptom wydawało się to przekonujące. Ale częściej chodziło o to, aby przekonać muzułmanów i żydów do idei Trójcy - do chrześcijaństwa.

Alex przytaknął w zamyśleniu.

-*Plus ca change!* Tylko czy aby nie oddaliliśmy się za bardzo od Johna Dee?

-Z pewnością może się tak wydawać. Musisz ogarnąć tę dość pogmatwaną pajęczynę, żeby zrozumieć, jakie myśli rozpały wielki umysł Johna Dee. Kabała chrześcijańska usankcjonowała debaty z aniołami, poprzez ich święte imiona w języku hebrajskim, który miał

magiczną moc, zbliżając maga czy czarnoksiężnika bezpośrednio do Boga bez doktrynalnych ograniczeń...

- W starożytności imiona miały magiczną moc. Jeśli znało się imię jakiegoś bytu i wypowiedziało się je, zdobywało się nad nim władzę.

- I właśnie do niej, mówiąc w skrócie, miał ich zdaniem dostęp sam Mojżesz, jako szczególny mag czy wtajemniczony. I Hermes Trismegistus też. Podróż człowieka wtajemniczonego w arkana wiodła od świata fizycznego ~ ziemi — przez eter, czyli powietrze - taki pół-raj - do świata niebiańskiego - prawdziwego raju, czy, jak wolisz, nirwany. Aniołowie chronili maga

i podróż przed złymi duchami. Zatem Dee mógł być zarazem dociekliwym naukowcem, jak i magiem przywołującym anioły. Dla niego koncepcje neo-platonizmu — którego duchem przepojona jest cała epoka renesansu, co poważnie martwiło nieprzejednanego wroga Lorenza de Medici, biednego staruszka Savonarolę - miały wielką wartość intelektualną. Był pod wpływem weneckiego zakonnika nazwiskiem Giordi, który napisał dzieło oparte na tekstach Hermesa i kabale, zatytułowane *De Harmonia Mundi*, będące wykładnią filozofii harmonii wszechświata. Alex oparł dłoń na jej ramieniu:

-W czasach Dee nadzieje na osiągnięcie jakiegokolwiek zgodności praktyk religijnych jakoś się nie urzeczywistniały?

Lucy zaśmiała się cicho.

-Co to, to nie, to na pewno. Filozof, o którym wspominał Simon, Giordano Bruno, pięknie to ujął. Powiedział, że metody, jakich używa Kościół, by strachem zmusić ludzi do powrotu, w niczym nie przypominają metod Apo

stołów, którzy docierali do ludzi poprzez miłość. W szesnastym i siedemnastym wieku każdy, kto nie chciał być katolikiem, stawał wobec wizji tortur z rąk inkwizycji lub odwrotnie, w szeregu krajów północnej Europy, wobec wizji spłonięcia na stosie, o ile chciał katolikiem pozostać. Reformacja i kontrreformacja tylko pogłębiły rozłamy. Cóż za ponura perspektywa dla bardziej liberalnych umysłów tamtych czasów. Ominięcie Kościoła - we wszystkich jego formach — poprzez bezpośrednie rozmowy z aniołami Bożymi wydawało się nieść na dzieję. Ale mag i kontakty z aniołami? Uważano to za wyjątkową herezję.

Alex akurat musiał się skupić na serii zakrętów na zasypanych śniegiem bocznych drogach, więc minęła dobra chwila, zanim się odezwał:

-A zatem Dee był człowiekiem późnego renesansu, rozwijającym filozofię okultystyczną w kierunkach różnych dziedzin nauki, zgłębiającym ją poprzez alchemię i astrologię, matematykę i geometrię, a wszystkie te dziedziny

mogły człowieka zbliżyć do istoty Boga. Amel wciąż uważa, że jest w tym źdźbło prawdy.

-A co najważniejsze, Alex, hermetyzm sankcjonował zgłębianie astrologii, ponieważ wyjaśniała ona sposób, w jaki starożytni Egipcjanie wznosili swoje budowle, na wzór konstelacji niebieskich. Wielu dzisiejszych badaczy uznaje, że właśnie to stało się bodźcem, który pomógł ówczesnym zrozumieć, że to Słońce, a nie Ziemia, stanowi centrum Układu Słonecznego. Astrologia pomogła im wyjść poza średniowieczny sposób myślenia o wszechświecie.

Przez pewien czas zastanawiał się nad tym, nie śpiesząc się z odpowiedzią-

-Jak myślisz, Lucy, czy do Dee naprawdę przemawiały te reformatorskie aspekty okultyzmu?

-Bez wątpienia. Przyczynił się do zbudowania obrazu królowej Elżbiety jako bohaterki w neoplatońskim duchu. Bezpośrednio wpływał na twórczość takich osobistości jak Spenser czy Philips Sidney. Kwestionował również potęgę kolonialną Hiszpanii, głosząc swoją wiarę w brytyjskie prawo do prowadzenia własnych odkryć geograficznych. Termin „Imperium Brytyjskie” został przez niego ukuty i stanowił część jego światopoglądu.

-Calvin o tym wspominał, ale przecież to świadczy na jego niekorzyść! - zasugerował Alex.

-Tak, teraz zapewne liczyłoby mu się to na minus, ale nie jeśli spojrzeć na niego przez pryzmat jego czasów i środowiska, w jakim żył. Jego wizja Brytanii była rozmyślnym wyzwaniem rzuconym hiszpańskiej, czytaj: katolickiej dominacji na świecie. To, że Amerykanie mówią dzisiaj po angielsku, a nie po hiszpańsku, to po

części zasługa Dee. - Alex pograżył się w rozmyślaniach, a Lucy patrzyła na niego, śmiejąc się nieśmiało. - Wykończyłam cię.

-Rzuciłaś na mnie urok. - I była to prawda. Zwolnił, zanim wjechali do miasteczka. - Spójrz na śnieg na tej strzesze.

Lucy dopiero teraz zaczęła chłonać piękno tego zakątka i aż westchnęła: wzdłuż drogi rozciągała się nieskażona cywilizacją angielska wioska, pobielona śniegiem, jak gdyby przesunął się nad nią potężny mroźny aerograf. Domy chyliły się pod ciężarem lat; dachy obwisały pod dachówkami wyprazonymi w słońcu minionych stuleci; okna ciężko opierały się o pochyłe framugi. Rzeka szemrała przed frontami ogrodów i przepływała pod starymi mostami. Lucy była urzeczona.

-Dziękuję ci za to wszystko. Co za ulga po wielkim mieście. Możemy się trochę przejść?

Było może wpół do dwunastej w południe, kiedy Alex zaparkował przed wejściem do ulubionego baru jego matki, Pod Pługiem. Opatulił Lucy własnym szalikiem, oddał jej

rękawiczki i po ostatni guzik zapiął jej płaszcz. Razem spacerowali wzdłuż drogi, trzymając się blisko siebie, by było im cieplej. Mdłe słońce oświetlało dachy i ścieżki, ogrzewając je nie mocniej niż płomień świecy. Lucy znajdowała się jednak w świecie uczuć, do którego zimno nie miało dostępu. Pozwoliła, by ta cisza, plamy koloru na drzwiach i budzą-

cych się do życia rabatach, samo przetrwanie tej wioski z jednym sklepikiem, kościółkiem, pocztą i boiskiem, wniknęły do jej duszy. Pogoda przegoniła większość oznak życia, ale raz czy dwa ktoś wychodzący akurat z domu czy wysiadający z samochodu pozdrowił Alexa skinieniem głowy. To było jego terytorium. Ze wszech stron otaczało go jego dzieciństwo.

Gdy mijali boisko do krykieta, pokazał jej klubowy budynek o dachu krytym strzechą, który wyglądał na bardzo zmęczony zimną aurą.

- Mój drugi dom przez długie letnie miesiące. Pierwsze pocałunki pod tymi drzewami, pierwsze kace po przegranych meczach. Jeszcze większe kace, kiedy wygrywaliśmy. Moja matka wpadała wtedy i donosiła wszystkim herbaty.

Lucy miała poczucie, że to wspomnienie poprzedzał cały szereg innych, które Alex wołał przemilczeć. Nie odezwała się jednak, nie chcąc go ponaglać, chłonąc te szczegóły z jego życia, którymi zechciał się z nią podzielić, niczym usychająca trawa pierwsze krople deszczu. Poczula przy tym coś, czego nie czuła nigdy wcześniej - radość patrzenia na świat cudzymi

oczami: oczami człowieka, którego zaczyna się kochać. Zdała sobie sprawę, jak dalece brak podobnych wspomnień z własnego dzieciństwa, związanych z osobą matki, utrudnił jej poznanie samej siebie. Alex - pewny swojej tożsamości - potrafił dotknąć życia innych ludzi, z łagodnością i siłą, nie lękając się ciemności. Bez względu na to, co działo się wokół niego, wciąż był sobą. Ona czerpała poczucie siły z trzymania uczuć na wodzy, lecz pierwsza burza, pierwszy poważny poryw serca, groziłby jej unicestwieniem, pozbawiając ją jej jedyne go życiowego motta. I nagle zrozumiała bez zdziwienia, że jej piętą achillesową zawsze było... jej serce.

Ruszyli z powrotem. Alex na chwilę zatrzymał się przy samochodzie, by zgarnąć kilka białych żonkili o pełnych kwiatach, po czym niebawem doszli do kościoła. Otworzył bramę i puścił Lucy przodem. Czowała się jak turystka; on zaś wskazywał jej trzynastowieczne elementy budynku, najstarszy witraż, piękny drewniany dach. Z zacienionego wnętrza przeszli do ogrodu, gdzie słońce łagodnie rozświetlało cieniutką kołdrę śniegu; i w milczeniu podążyli do

najnowszej części cmentarza. Lucy wiedziała, po co tam idą, lecz wątpiła, czy zdoła jakoś pomóc. Alex był jednak wyciszony i zamyślony, i wcale nie prosił o słowa pociechy. Przykucnął przy dwóch grobach, jednym tak świeżym, iż wywoływał ból zbyt dotkliwy, by Alex odważył się o nim mówić, i drugim, niewiele starszym. Cicho złożył na nich kwiaty, a jeśli prócz nich złożył i słowa, to całkowicie bezgłośnie. Niebawem wstał, wziął Lucy pod rękę i wy-

szli z cmentarza. Także i Lucy słowa zamarły na wargach, dosłownie nie była w stanie dobrać głosu: może go zawiodła albo przegapiła szczególny moment. Otuchy dodała jej jednak spokojna siła, którą w nim wyczuwała, gdy wracali po swoich śladach i przechodzili przez jezdnię, żeby wejść do pubu.

BUDZĄC SIĘ JAK ZE SNU, ZAMÓWILI LUNCH - I NASTRÓJ SIĘ ZMIENIŁ. KAŻDY, kto wpadał się napić albo coś zjeść, musiał zagadnąć Alexa, a kiedy i przed nimi wreszcie pojawiły się nakrycia, sam wypytywał tych, którzy siadali za stołami i na barowych stołkach - o wakacje, o krewnych, o przebieg remontów. Znał ich dobrze. Od razu czuło się, że stanowi część tej społeczności. Lucy była tym zachwycona. Ratowało ją to przed utratą wiary w ludzi, stanowiło dowód, że nie każdy interesuje się wyłącznie własnymi sprawami. Była rozszczebiotana i rozbawiona.

- Czyli nawet w dzisiejszych czasach człowiek wciąż może być zwierzęciem stadnym? - spytała pół żartem, pół serio.

- Och, mam taką nadzieję. Chyba na wszystko machnąłbym ręką, gdybym uważał, że nie

jesteśmy w stanie cieszyć się tym, jak bardzo jesteśmy różni. - Popatrzył na nią poważniej niż zdawałoby się to sugerować jego ton. - A teraz, jeśli czujesz się na siłach - powiedział, gdy uporali się z bezkofe-inową kawą i puddingiem na spólkę - chciałbym pokazać ci mój dom. Tylko żebyś go zobaczyła.

Zdziwiła się, że tyle w nim wahania. Czyżby uważał, że jego propozycja może być niemile widziana? Nie umiała tego ocenić. Chce z nią pobyć sam na sam? Lucy czuła, że to przełomowy moment w ich związku. Ogarnęły ją wątpliwości.

Wtedy wyjaśnił:

- Nie było mi przyjemnie tu przyjeżdżać, już od miesięcy. To dom rodzinny. A mojej rodziny już nie ma w tym domu, oprócz mojego biednego ojca. — Kiedy podniósł na nią wzrok, z tą swoją gładko ogoloną twarzą i perfekcyjnie przyciętymi włosami wydał się jej młodszy niż zawsze. Znikła gdzieś jego typowa, spokojna pewność siebie. - Myślę, że byłbym szczęśli

wy, gdybyś poszła tam ze mną. Tato pewnie jest w pracy, w Winchesterze, ale zostawię mu wiadomość.

Lucy odparła swobodnie:

- Tak, proszę cię, Alex: musisz mnie tam zabrać. - Niezręczna chwila przeminęła.

Po obu stronach ścieżki leżały pecyny zbitego śniegu, zimowy jaśmin nad gankiem z trudem opierał się działaniu żywiołów. Pierwsze wrażenie Lucy na widok ogrodu było takie: że ktoś włożył dużo wysiłku w jego obecne piękno. Sam dom był raczej duży niż ładny — być może pamiętał jeszcze czasy Tudorów, pomyślała; strzecha ułożona była w jodełkę w taki sposób, by w oczach kogoś znającego tajniki fachu drobne detale zdradzały tożsamość strzecharza.

Wewnątrz było ciepło. Za ledwie weszli, Lucy wpadła w zachwyty. W salonie był kominek, taki akurat w sam raz, żeby przy nim posiedzieć; przed przeszklonymi drzwiami do ogrodu stał fortepian; czuło się atmosferę spokoju.

-Moja matka wszędzie nastawiała by kwiatów, nawet zimą. - Alexowi było przykro, że tak tu nieprzytulnie, ale wrażenie to łagodziła wygodna stara ława z wysokim oparciem, nakryta adamaszkową kapą, kremowe nakrycia na meblach i inne ocieplające wnętrza dodatki. Wciąż czuło się tu silnie kobiecą obecność pomimo kilku męskich drobiazgów:

pary miękkih skórzanych
kapti i złożonych gazet.

Alex oparł się o stół.

-Zaparzyć ci herbaty? Chyba wolisz ją od kawy.

-Poproszę. - Zaczęła się rozglądać. - Czy mogłabym trochę pomysz-kować...?

-Po to tu przyszliśmy. - Udał się do kuchni i postawił czajnik na płycie kuchni węglowej. Zauważył, że na dębowym blacie roboczym leży jakiś pakunek. Podczas gdy Lucy zaglądała do gabinetu pełniącego również funkcję biblioteczki, Alex otwierał tekturowe pudełko i odwijał z folii groszkowej jego zawartość. Wpatrzył się w nią, po czym zdjął słuchawkę z aparatu powieszzonego na ścianie i wybrał numer.

-Tato, nie jesteś w sądzie? Ja jestem w domu. Przywiozłem przyjaciółkę na lunch do pubu z okazji jej urodzin. Wszystko w porządku? Właśnie obejrzałem przesyłkę z policji. Dowiedziałaś się czegoś nowego?

Lucy słyszała głos Alexa, wydał się jej wzburzony. Przysiadła na poręczy obszernego fotela, czekając, aż skończy rozmawiać.

-I to wszystko? Tylko tyle wiedzą? Nic innego się nie odnalazło?

Słuchała, jak kończy rozmowę: pogoda jest kiepska, niedługo będą ruszać, ale zobaczą się w weekend, już z Maxem. Odłożył słuchawkę i spojrzał na Lucy:

-Chodź coś zobaczyć.

Z niezwykłą ostrożnością i niemalże z cieniem ceremonialności, złożył w jej dłoniach malutki obraz. Lucy była zaskoczona jego ciężarem: znacznie większym niż by się spodziewała. Wpatrzyła się w twarz kobiety o ciemnych włosach, pięknych brązowych oczach, które miały kształt migdałów, w suknię, której gorset zdobiły piękne, misternie wyhaftowane jelonki albo łanie i maleńkie drzewa na błękitnym tle, choć cały obraz miał zaledwie kilka cali długości i kilka szerokości. Lucy nie mogła oderwać wzroku. Wielki zegar stojący dźwięcznie wybił połowę godziny. Minęła może i kolejna minuta, nim Lucy spojrzała na Alexa.

- Kto to jest? - spytała bezgłośnie.

- Jakaś daleka przodkini mojej matki, ale pewni nie jesteśmy. Tę miniaturę ukradli nam włamywacze kilka miesięcy temu i dopiero ją odzyskaliśmy, za pośrednictwem Interpolu. Mój ojciec nie jest *au fait*, jeśli chodzi o to, jak ją odnaleźli. W zasadzie już straciliśmy nadzieję, że ją odzyskamy. - Popatrzył na nią z na poły rozbawioną, na poły poważną miną. - Czy ona kogoś ci przypomina?

Lucy odwzajemniła jego spojrzenie.

- Oczywiście, że tak. — Usiadła z portretem w rękach, podczas gdy Alex robił herbatę. Nikomu nie umknęłoby podobieństwo. To była jej własna twarz.

Czuła początki potężnego bólu głowy i było jej trochę słabo, ale nie zamierzała mu o tym mówić. Od operacji niejednokrotnie przydarzały się jej takie migreny. Rozmawiając o nich z Grace, powiedziała pół żartem, pół serio, że odkąd otarła się o śmierć, czuje się tak, jak gdyby udzielało jej się cierpienie innych ludzi. Grace odparła, że to trochę jak powrót zza grobu. Nie, nie zmienia się w drugą Joannę d'Arc czy świętą Teresę, a swojemu obecnemu towarzyszowi też o niczym nie wspomni. Ale ból był aż nazbyt realny, a odkąd dotknęła miniatury, narastał w zastraszającym tempie. Alex podał jej herbatę; Lucy ledwie spojrzała na nią i od razu szarpnęły ją mdłości. Najchętniej położyłaby się na chwilę, ale nie zamierzała pozwolić, by jej choroba popsowała kolejną randkę z Alexem. Mówił coś do niej, ale nie była w stanie skupić się na

jego słowach.

Jeszcze raz popatrzyła na twarz z portretu, przyglądając się szczegółom. Wstała z ławy, z roztargnieniem trzymając miniaturę. Zrobiła kilka kroków i nie pytając Alexa o pozwolenie, usiadła przy fortepianie, nieobecny gestem pieszcząc klawisze palcami jednej ręki. Rozbrzmiało kilka pięknych, ciężkich

taktów. Alex pytał chyba, czy umie grać. Odpowiedziała jakąś bezsensowną uwagą, że uczyła się aż do średniej szkoły, ale jej głos zabrzmiał słabo, i dalej wpatrywała się w niego niewidzącym wzrokiem. Czuła, że zaraz zwymiotuje. Nie minęła sekunda, a był już przy niej.

-To przez tę podróż, Alex; jestem zmęczona. Nie panikuj. Sądzę po prostu, że pierwszy raz naprawdę się zrelaksowałam. - Nie zamierzała pozwolić, by ten dzień już się skończył, i walczyła z nudnościami, które szarpały jej trzewia. - Przez cały dzisiejszy dzień, w każdej chwili, czułam się szczęśliwa. Tak się cieszę, że mnie tu przywiozłeś. - Spojrzała w jego zmartwione oczy, które już zdawały się szukać pierwszych objawów choroby. Poczuli się nieswojo na myśl, iż nie jest w stanie niczego przed nim ukryć; więc uciekła wzrokiem i wpatrzyła się w swoją lewą dłoń, w której wciąż ścisnęła miniaturę. Przyglądała się haftom na sukni kobiety i usiłowała określić, jakie drzewo przedstawiały. Drzewo mądrości.

-To morwa, prawda... ? - Dotknęła klucza,

który wciąż wisiał na łańcuszku na jej szyi. - Alex, to, co się nim otwiera — cokolwiek to jest - jest właśnie tutaj. Zakopane pod korzeniami morwy. Tu, w twoim ogrodzie. -I jak gdyby wypowiedzenie tych słów kosztowało ją niesamowicie dużo energii, ukryła twarz w dłoniach i zgięła się w pół. Alex ostrożnie wziął ją na rękę. Tuląc ją w ramionach, bladą, bezwładną, wbiegł po schodach, przeskakując po dwa stopnie, po czym złożył ją na łóżku, zdjął jej buty i nakrył ciepłym pledem. Miała świadomość, że przez kilka chwil głaskał ją po skroni, drugą ręką trzymał ją za nadgarstek i patrzył na sekundnik swojego zegarka, nie okazując zaniepokojenia; potem świat jej zawirował i zapadła w sen.

Kiedy się obudziła, niebo za oknem ciemniało, w domu paliły się światła. Wstała i zeszła po schodach. W salonie jakiś dobrze ubrany starszy pan siedział przy lampce i czytał gazetę; w kominku trzaskał ogień. Mężczyzna popatrzył na nią zyczliwie.

- Same ze mną kłopoty. Strasznie pana przepraszam. Jestem Lucy.
Szybko zerwał się z fotela.

-Błagam, za nic mnie nie przepraszaaj, biedulko. Lepiej się czujesz? Sekundę, już wołam Alexa. - Podprowadził ją do fotela, po czym uchylił tylne drzwi i poprosił syna, żeby wracał do domu. Po chwili pojawił się Alex. Dotknął jej dłoni i uważnie przyjrzał się źrenicom.

-Napędziłaś mi stracha. — W jego głosie rozbrzmiewała ulga. - Złożmy to na karb ciężkostrawnego jedzenia, zgoda?

Przytaknęła z wdzięcznością. Chciała, by udawali, że ten dziwny epizod nigdy nie miał miejsca, i najchętniej ucałowałyby Alexa, gdyby nie to, że w pomieszczeniu był jego ojciec. Alex zrozumiał ją bez słów i więcej do tego tematu nie wracał; potem uśmiechnął się szelmowsko.

-Widziałaś, co położyłem przy twoim łóżku, w sypialni na górze? - Gdy pokręciła głowę, zniknął na chwilę. Po jego powrocie na stoliku, przy którym stała, pojawiła się omszała drewniana szkatuła. - Chyba masz do niej klucz!

PRZEZ DOBRY KWADRANS SIEDZIAŁA I WPATRYWAŁA SIĘ W NIĄ: OT, SKROMNA dębowa szkatuła, nieco przybrudzona ziemią, wcale nie taka duża, miejscami pokryta skupiskami pleśni, z metalowymi okuciami, które, chociaż zdążyły szernieć, wyglądały na zrobione ze srebra. Można było o niej powiedzieć wszystko prócz tego, że wygląda na cenną, i Lucy w głębi duszy poczuła się odrobinę zawiedziona, jak gdyby znalezisko nie spełniło pokładanych w nim nadziei: okazało się pospolitym przedmiotem, z pewnością niezawierającym drogocennych

klejnotów. Czy ma prawo być tą, która otworzy szkatułę? Alex przed chwilą przyniósł jej herbatę i parę grzanek, a teraz siedział na ławie i obserwował ją z rozbawieniem, nie mniej niż ona zaintrygowany; Henry natomiast zdołał jakoś połączyć uprzejmy brak zainteresowania ich poczynaniami z powściąganą ciekawością, dorzucając do ognia i szczerzej zaciągając zasłony, lecz równocześnie zerkając kątem oka na onieśmieloną Lucy. Ani ojciec, ani syn nie próbowali jej popędzać. W ciszy słychać było tylko ogłuszające tykanie zegara.

Wreszcie rozpięła łańcuszek i położyła klucz przed malusieńkim misternym srebrnym zamkiem. Popatrzyła z powagą na Alexa i jego ojca, po czym spytała:

-Czy ja mam to zrobić?

Alex uśmiechnął się, wstał i podszedł do Lucy. Klęcząc przy niej, zamknął jej dłoń w swoich, by uspokoić jej drżenie.

-Śmiało. - Jego ton dodał jej odwagi; wsunęła kluczyk do zamka i obróciła go. Spodziewała się, że mechanizm będzie zardzewiały i trudno go bę

dzie poruszyć, być może nawet się nie da. Ale zamek ustąpił za pierwszym razem. Lucy założyła jednorazowe rękawiczki, które zdążył jej podać Alex, i obserwowana przez obu mężczyzn, uniosła wieko szkatuły, uwalniając uwięzioną w niej woń stuleci, trącąca stęchlizną i jakimś zwietrzałym pachnidłem. Henry wstał i zbliżył się do niej.

Lucy zajrzała do środka, a następnie z niemal nabożną czcią wyjęła rulon wyprawionej skóry koloru słomy, luźno przewiązany sznurkiem. Rozwiązała go ostrożnie i przekonała się, że trzyma w dłoniach kilka zwojów pergaminu, opatrzonych czerwoną pieczęcią. Na pergaminie zalegała warstewka białego pyłu - soli, a może ałunu albo wapna? Ale pomijając ten dziwny osad, znalezisko było naprawdę w dobrym stanie. Henry podszedł, po czym oddalił się bez słowa, by powrócić z małym ostrym nożem; Lucy ostrożnie podważyła ostrzem lakową pieczęć.

-To pachnie ekstraktem z kłączy irysa - powiedziała, doskonale znając delikatną woń suszonych kłączy, które stanowiły subtelną bazę wielu odmian potpourri i pomagały zakonserwować suszone kwiaty innych roślin.

Chwilę później, gdy oglądali pergaminy pokryte pięknym, kaligraficznym pismem, z rulonu nieoczekiwanie wyślizgnęła się mała złota moneta.

- MOŻESZ JECHAĆ ZE MNĄ ALBO ZOSTAĆ. ALE COKOLWIEK POSTANOWISZ, JA JADĘ.

Pomimo wątpliwości i nieporozumień Lucy nigdy dotąd nie pokłóciła się z Alexem; lecz teraz była naprawdę tego bliska. Bardzo emocjonalnie podchodziła do jego decyzji. Zdobycie zezwolenia zabrało jej tygodnie, wszystko było dopięte na ostatni guzik, nic tylko jechać. Wróciła do pracy na część etatu i musiała uwzględnić także i to. Zarezerwowała pokój od piątku do niedzieli, przygotowała się psychicznie na to, co jak liczyła, miało nastąpić. Co więcej, czuła, że jechać po prostu musi. Właśnie teraz.

Alex był zdenerwowany i wściekły. Od miesiąca każdą wolną godzinę, której nie spędzał ze studentami albo w szpitalu, wykorzystywał na podgonienie zaległości w pisaniu doktoratu - co samo w sobie przypominało wspinanie się na niemałą górę - a zarazem, niejako w efekcie ubocznym, obudziło to w nim potrzebę

zorganizowania w przyszłości choć kilku wolnych dni. Przed dwoma tygodniami Lucy wspomniała mu, że wybiera się do Chartres na wiosenne zrównanie dnia z nocą. Bardzo jej zależało akurat na tym terminie i załatwiła z władzami katedry, aby pozwolono jej przejść przez labirynt jeszcze przed oficjalnym początkiem sezonu, po godzinach zamknięcia. Alex wiedział, że zadała sobie wiele trudu i podparła się swoją pracą w telewizji, aby uzyskać zgodę. Zaintrygowała ją widokówka od Willa. Chciała na własne oczy zobaczyć to, co widział brat Alexa. Chciała odtańczyć starożytny rytuał wiosny w odpowiedniej chwili.

Wprawdzie Alex dziwił się, że to tak wiele dla niej znaczy, lecz w gruncie rzeczy sam był zadowolony, poza tym nie chciał puszczać jej samej. Więc przed kilkoma dniami, kiedy siedzieli przy lunchu, powiedział po prostu:

-Chciałbym pojechać z tobą.

Lucy nie posiadała się ze szczęścia. Zupełnie się tego nie spodziewała. Bardzo się do siebie zbliżyli od jej urodzin, mimo iż czasu dla siebie, jak zwykle, mieli nadal niewiele.

-To nie jest zbyt rozsądne - wzdychała, rozmawiając z Grace - czuć cokolwiek do faceta, który jest po rozwodzie, ma syna, którego nie widziałam na oczy, pracę na pełnym etacie i otwarty przewód doktorski. Nikomu bym tego nie polecała. — W sercu nosiła jednak znacznie poważniejszą troskę, za stanowiąc się tygodniami, czy fakt, że Alex nigdy nie próbował dążyć do zbliżenia, ma cokolwiek wspólnego z jego niepewnością co do stanu jej zdrowia. Wiedziała, że w ciągu niespełna roku stracił matkę i brata. Nie mówił o tym, nigdy nie pozwolił jej zajrzeć pod maskę, za którą ukrywał uczucia, lecz nie musiała o nic pytać, by mieć pewność, że jego ból wciąż jest świeży. Czy mogłaby go winić za to, że zwleka z

pokonaniem ostatniej bariery, która dzieliła ich od pełnego związku, skoro ten związek może w każdej chwili się skończyć? Co prawda statystyki, jeśli chodzi o przeżywalność liczoną od końca pierwszego, krytycznego roku po przeszczepie serca, są coraz lepsze, niemniej nikt nie mógł niczego zagwarantować, to pewne. Miała nadzieję, że dzięki temu wyjazdowi raz na zawsze rozwieje swoje wątpliwości. Dowie się, co ich łączy, i skończą się te wszystkie niedomówienia. Od tygodni trudno jej było skupić się na czymkolwiek innym.

Ze swojej strony Alex zdołał załatwić nie tylko wolny weekend, ale i cały poprzedzający go piątek. Nie mógł się doczekać wieczora, kiedy będzie mógł przejść z nią przez labirynt i nareszcie spędzić z nią trochę czasu tylko we dwoje, gdy nagle na drodze do wspólnego wyjazdu wyrosła przeszkoda w zupełnie nieoczekiwanej postaci. Aż nie sposób było w nią uwierzyć. I gdyby Lucy go słuchała, zdenerwowanie w jego głosie powiedziałoby jej połowę tego, co musiała

wiedzieć. Ona jednak czuła się absurdalnie zawiedziona. Zaczynała wierzyć, że los sprzysiągł się przeciwko nim, i wmówiła sobie, że widocznie bycie razem nie jest im pisane. To nauczka, że nie warto nikomu oddawać swojego serca. Czując się odtrącona, pochłonięta sobą - i emocjonalną huśtawką od wielkiej, nieoczekiwanej radości do jeszcze większego zawodu

- ogłuchła na emocje, które zdradzał głos Alexa. Docierał do niej wyłącznie niepożądany komunikat, że była żona poprosiła, aby zabrał Maxa akurat na ten weekend, z powodu jakiegoś niesprecyzowanego kryzysu w jej rodzinie - chodziło chyba o czyjaś matkę w szpitalu.

-Nic nie szkodzi, Alex - zapewniła Lucy, lecz było dla niego jasne, że szkoda mimo wszystko się stała. Powiedziała mu, że akceptuje fakt, iż on ma swoje zobowiązania. Ale mimo to ona pojedzie. Przecież nawet nie prosiła go, żeby z nią jechał. Dodała jeszcze uprzejmiej: - Dobranoc - i rozłączyła się, tonąc we łzach. Zupełnie zapomniała, jakie to uczucie płakać przez mężczyznę.

Alex odłożył słuchawkę; ołówek, który ścisnął, z trzaskiem pękł mu w palcach. Nigdy nie zawiódłby Anny w potrzebie. Podobnie jak nigdy nie zawiódłby Maxa. Nie było już Willa, który by mu pomógł. Czy istnieje jeszcze jakieś wyjście, czy naprawdę musi zawieść Lucy? Ona nie mogła przełożyć wyjazdu, a on nie mógł pojechać. Po prostu pat.

W PIĄTEK RANO GRACE I SIMON
ZAWIEŹLI JĄ POD STACJĘ WATERLOO.
SIMON

wyjął jej torbę z bagażnika land-rovera.

-Na pewno nie chcesz towarzystwa? Zawsze moglibyśmy zadzwonić do pracy i nałgać, że jesteśmy chorzy.

Lucy uściskała Simona z całych sił.

-Jesteście kochani. Ale nie, chyba chcę to zrobić sama. Prawdę mówiąc, to potrzebuję chwili samotności. Najwyraźniej powinnam przemyśleć sobie kilka rzeczy.

-Wiesz, co właściwie spodziewasz się tam znaleźć?

-Nie mam pojęcia. Jeśli się dowiem, wyślę wam pocztówkę! - Zdołała się nawet zaśmiać.

-Tylko pamiętaj, że ja chciałem taką z aniołem! - dodał Simon z kwaśnym uśmiechem.

Dwa ostatnie niedzielne popołudnia spędzili w londyńskim mieszkaniu Alexa, wystrojeni w rękawiczki i obłożeni tajemniczymi dokumentami, które Lucy wyjęła z okutej srebrem drewnianej szkatuły, wykopanej w ogrodzie w Longparish. Nietypowy urodzinowy prezent, jak określił to Alex: osiemnaście arkuszy kilkusetletniego pergaminu, przez które zapomnieli o zaplanowanej kolacji. A każdy najeżony zagadkami i wskazówkami, mającymi

najwyraźniej doprowadzić ich do kolejnego, równie tajemniczego znaleziska. Pierwszy był pergamin, którego kopię miał Will — oryginał tekstu, który trafił do niego wraz z kluczem. Jednak, jak się tego spodziewała, teraz było ich znacznie więcej, i to zapisanych po obu stronach. Wszystkie one przez wieki spały pod korzeniami gigantycznej morwy w rodzinnym ogrodzie Alexa,

dokładnie jak Lucy to przewidziała, mając za jedynego towarzysza złotego elżbietańskiego „anioła” - monetę o znacznej dziś wartości, z wytłoczoną na awersie postacią świętego Michała Archanioła walczącego ze smokiem. Gdy oglądali monetę, Henry zasugerował, że może dla Dee było to coś w guście opłaty za podróż przez wieki - anioł miał zapewnić, by zawartość skrzyni czekała na nich nienaruszona. A leżała w ziemi, jak wszystko na to wskazywało, przez cztery stulecia - przy znaku mennicy, „0”, widniała data dowodząca, że monetę wybito około roku tysiąc sześćsetnego. Pismo na pergaminach wciąż było czytelne, pergaminy dość dobrze zachowane, gdzieś tylko upstrzone kropkami pleśni - i wcale nie były tak znowu głęboko zakopane w ziemi, jak można się było tego spodziewać; kiedy Alex skończył opowiadać, jeszcze długo siedzieli i jak zahipnotyzowani wpatrywali się w linijki tekstu i przecinające się wzory na odwrocie arkuszy. Najwyraźniej nikomu nie przyszło do głowy, by czegokolwiek szukać pod morwą. Alex dodał też dość sceptycznym tonem, że drzewo to miało podobno wyrosnąć z sadzonki z wielkiej

morwy z ogrodu Shakespeare'a - którą z kolei podarował Sha-kespeare'owi sam król Jerzy w czasach, gdy obsesyjnie chciał zapoczątkować w Anglii przemysł jedwabniczy. Ściągnął z zagranicy niewłaściwą odmianę drzewa, *Morus nigra*, czyli morwę czarną, których owoce nie służyły jedwabnikom. Niemniej stareńkie drzewo było piękne. Alex pamiętał jak dziś, że przez całe dzieciństwo, nie mogąc oprzeć się wysypowi owoców, opychali się nimi z bratem i wracali do domu z twarzami i rękami poplamionymi ich ciemnym sokiem. Wciąż czuł ich smak. Czemu Dee wybrał akurat morwę - skąd Lucy wiedziała, że właśnie tam należy szukać - było zagadką. Wszystko, co była w stanie powiedzieć na ten temat, od tamtego dnia do tej pory, to że miało to coś wspólnego z portretem.

Teraz, całując przyjaciół, zabroniła sobie myśleć o Aleksie i jego domu.

- Uważaj na siebie, mała. - Simon uścisnął jej rękę przez prześwit w barierce i ramieniem objął Grace w talii. Lucy wsiadła do Eurostara i smutna zajęła swoje miejsce. To już przestała być podróż, na którą tak bardzo czekała przez ostatnie dni, i

szczerze żałowała, że ostatniego wieczoru telefon nie milczał. Poprzysięgła jednak sobie, że pojedzie, więc teraz usiłowała skupić się na przemożnym przeczuciu, że docierając do celu, zaspokoi swoje nie-sprecyzowane pragnienie czy raczej niewytłumaczalny wewnętrzny przymus, a problemem z doktorem Alexandrem Staffordem zajmie się później. Skoro nawet trzy Mojry sprzysięgły się przeciwko niej, to chyba powinna stracić

wszelkie nadzieje na bycie z Alexem. Teraz jednak czekało na nią całkiem inne doświadczenie, i niebawem miała się dowiedzieć jakie.

ALEX ODEBRAŁ MAXA Z DOMU PRZY CRABTREE LANE WCZEŚNIE RANO, ŻEBY rozko-jarzona i zdenerwowana Anna mogła wcześniej wyruszyć na północ kraju, gdzie, jak już zdążył się dowiedzieć, jej matka miała niebawem przejść operację zwiadowczą. Ze względu na Annę starał się zachowywać pogodnie, udzielił jej kilku dobrych rad i dodał parę słów otuchy. Zabrał Maxa na porządne śniadanie, a potem podrzucił go do szkoły; kiedy jednak wracał do domu samochodem pełnym zakupów spożywczych, ogarnęło go zmęczenie. To jego pierwszy wolny dzień od tygodni, a on nie wie, czym go wypełnić. Oцени prace części studentów. Przejdzie się nad rzekę. Trochę sobie poczyta. Ale przede wszystkim chciał zadzwonić do Lucy. Tylko co jej powie? Jest na niego zła. Rozumie, na czym polega jego dylemat, ale czuje się dotknięta. Lepiej poczekać, aż emocje trochę ostygną, uznał w końcu. A potem sięgnął po telefon i wykręcił numer jej komórki.

-Tak? — Jej ton był nieprzenikniony. Musiała zauważyć jego numer na wyświetlaczu.

-Lucy...

-Alex?

Nie wiedział, że jej głos brzmi tak cierpko, bo usiłowała jakoś pogodzić się z rozczarowaniem, które jej sprawił. Nie był w stanie nic powiedzieć. Chciał jej przypomnieć, żeby przy braniu leków uważała na różnicę czasu między Wielką Brytanią a Francją, żeby regularnie się odżywiała, ubierała ciepło - co było tylko pretekstem, by spróbować jakoś okazać, jak bardzo chciałby teraz przy niej być. Z drugiej strony, miałyby mu za złe przesadną troskę - uważając ją za marny substytut jego obecności. Czuł się niezręcznie i ostatecznie powiedział tylko: - Powodzenia dziś wieczorem. - Nie odpowiedziała; a on dodał tonem niewiele dźwięczniejszym od szeptu: - „Stąpaj ostrożnie...”* - Nie miał pojęcia, czy Lucy zna ten wiersz Yeatsa, ale tylko tyle mógł jej powiedzieć.

Odłożył słuchawkę i sięgnął po pocztówkę przedstawiającą labirynt w Chartres, którą Will

przysłał Maxowi.

- Cóż - szepnął - ty nigdy nie wpakowałbyś się
w taką kabałę, prawda,
mój bracie? I co ja mam teraz zrobić? - Położył
pocztówkę na stole w jadalni
i poszedł po enigmatyczne dokumenty, które
ujrzały światło dzienne dzięki

* W.B. Yeats, *Poeta pragnie szaty niebios*, tłum. L.
Engelking (przyp. tłum.).

dziwacznemu olśnieniu Lucy. W końcu ma wolny dzień. Może już pora, aby porządnie im się przyjrzał.

BYŁA OSIEMNASTA TRZYDZIEŚCI. KOŚCIELNY SPOTKAŁ SIĘ Z NIĄ POD ŁUKIEM transeptu. Nigdy wcześniej nie była w Chartres i nigdy dotąd nie czuła się taka poruszona, przebywając w miejscu kultu religijnego. Ostatnią godzinę dnia spędziła, siedząc z twarzą w świetle wpadającym przez kolorowe szkło, nie odrywając spojrzenia od rozety. Po prostu siedziała sobie i patrzyła na nią. Widok budził w niej nabożny podziw i nie mogła się nim nasycić. Zastanawiała się, jak zmyślnie wykorzystano tu światło: w wysokim pomieszczeniu światło przyciągało wzrok i kierowało go ku górze. Angielskie katedry były dłuższe i niższe. Alex powiedział kiedyś, że zaprojektowano je z myślą o długo dogasającym świetle angielskiego zmierzchu. Francuskie słońce było ostrzejsze, a jego zdolność rozpraszania mroku wręcz wyjątkowa, tak że człowiek mimowolnie nieustannie podnosił głowę. Zaraz po wejściu do katedry Lucy zapaliła

świecę w intencji swojej matki, gdziekolwiek jest; potem drugą, za duszę ojca; a potem jeszcze dwie, za dwoje ludzi, których nie zdążyła poznać. Usiłowała choć na dzisiaj wyrzucić z myśli Alexa i jego rodzinę, ale jej się nie udało. Poruszyło ją to, co powiedział przez telefon - choć było to zaledwie kilka słów. Żałowała, że nie ma go przy niej. Od pewnego czasu obserwował ją jakiś człowiek - ale taka już jest przykra rzeczywistość, kiedy młoda kobieta podróżuje sama. Zapomniała, jakie to bywa irytujące - czy wręcz niepokojące jak teraz - i tym bardziej żałowała, że nie może ująć Alexa pod ramię i przestać się wszystkim przejmować. Tak czy inaczej oprócz niej i kościelnego zaledwie trzy inne osoby brały udział w tym kameralnym przedsięwzięciu. Każde z nich raz przejdzie świętą ścieżką, jak to ujął kościelny. Krzesła porozsuwano, a wzdłuż wielkich pętli labiryntu zapalono świece.

Przewodnik, który przyszedł z kościelnym, zaczął opowiadać po angielsku: — W dwunastym wieku na mocy dekretu niektóre katedry stały się miejscami pielgrzymek, co miało przyczynić się do zmniejszenia liczby pątników podejmujących

niebezpieczną podróż do Ziemi Świętej nękaną świętymi wojnami. W wielu katedrach pojawiły się wtedy labirynty, zwane później „drogami do Jerozolimy”. Początkowo pokonywano je w Wielkanoc, podobnie jak w starożytności przejście przez labirynt było rodzajem tańca na cześć wiosny, powitaniem odradzającej się roślinności. Ale samo przemierzanie labiryntu miało skłaniać do refleksji, odnalezienia spokoju, koncentracji. Wiele

osób ma poczucie, że stają się dzięki temu bliższe nieba, gotowe zrozumieć wolę Bożą. Przez tych kilka minut w labiryncie jest się poza czasem: troski niematerialne, duchowe zastępują te materialne i doczesne.

Strumień informacji wartko płynął dalej, a w głowie Lucy coraz szybciej wirowały tysiące niespokojnych myśli. Świece powoli zmieniały się w kałuże płynnego wosku, gięły się ku labiryntowi i od niego odchylały, rzucały długie cienie na ściany nawy. Lucy chciała, żeby pozostali poszli przed nią: chciała być ostatnia, przemierzyć labirynt przez nikogo nieobserwowana. Nagle gonitwa myśli ustała, a Lucy poddała się magicznej grze światła i cienia. Chciała znaleźć się poza czasem.

A potem nadeszła jej kolej - po półgodzinie, która zdawała się trwać tyle co jedno uderzenie serca - i stopy same, bez udziału jej woli, już niosły ją ku początkowi labiryntu.

BYŁA SZÓSTA PO POŁUDNIU. MAX ROZSIADŁ SIĘ PRZED TELEWIZOREM PO NADZWYCZAJ WCZESNEJ KOLACJI, Alex zaś wyciągnął się przy nim na sofie z kieliszkiem bor-deaux. Zdążył ostrożnie podzielić arkusze

pergaminu na kilka stosów, a teraz znowu sięgnął po pierwszy. Pomyślał o Lucy w Chartres, mającej przy sobie kopię tego samego tekstu; dzięki niemu czuł się bliżej niej i boleśnie pragnął znaleźć się przy niej nie tylko duchem, ale i ciałem. *Dwie dusze...* Miał poczucie, że Donne rozumiał coś, co odnosiło się bezpośrednio do nich. W tym momencie Lucy i jego dzieliła odległość, lecz pozostała myśl, która ich jednoczyła. Opisałby to właśnie w taki sposób: teraz ich dusze są jedną istotą - a oni znaleźli się poza czasem. We Francji już pewnie siódma, pomyślał. Sięgnął po pocztówkę od Willa i popatrzył na labirynt, a potem jeszcze raz przeczytał następny fragment tekstu na pergaminie: *Jestem, kim jestem i zdradzę wam, mili... I wam, mili li tylko powiadam...* Alex bawił się tymi słowami, powtarzającymi się, dziwnie zestawionymi. Minutę później usiadł na sofie i napisał w notatniku: *wam, mili li*. Przetawił litery. Skreślił ostatnie "m" przed przecinkiem. Skreślił ostatnie „i” po przecinku. William.

Obrócił pocztówkę od Willa i patrząc na wiadomość, którą brat napisał do Maxa, zaczął

rozpracowywać geometryczny wzór skreślony jego ręką. Max o coś spytał, Alex odpowiedział twierdząco, nie rejestrując nawet, że coś powiedział. Znowu usiadł i wpatrzył się w widokówkę, a potem w tekst. *Na dole po lewej kwadrat. Na dole po prawej kwadrat.* Obwiodł wzór nakreślony przez Willa. A zatem jego brat rozumiał to dość dosłownie: pięć zazębiających

się kwadratów stanowiło wizualne przedstawienie tych słów. Przypomniało to Alexowi kwadraty magiczne składające się z liczb, które analizowali w Cambridge. Zwykle każdy ciąg po zsumowaniu dawał ten sam wynik, tak samo jak liczby z wewnętrznych pól kwadratu. *Odnajdziesz mnie w orbity połowie*. Alex przełknął haust wina. Na jednym z pergaminów widniał magiczny kwadrat. Tylko od czego wyliczyć tę połowę?

+	ELOHIM + ELOHI				+
	4	14	15	1	
ADONAI	9	7	6	12	ZEBAOH
	5	11	10	8	
	16	2	3	13	
+	ROGYEL + JOSPHIEL				+

KTOŚ Z BOKU OSTRZEGL, BY UWAŻAŁA, STĄPAJĄC WŚRÓD PALĄCYCH SIĘ ŚWIEC. Lucy machinalnie skinęła głową i ostrożnie, na palcach, weszła w wijącą się wstęgę labiryntu. „Stąpaj ostrożnie...” - usłyszała cichy głos Alexa i pomyślała o wierszu Yeatsa; tak, nie tylko ty się boisz o swoje marzenia, Alex, ja też. Strofy wiersza wciąż rozbrzmiewały jej w

uszach.

Raptem, jak gdyby w jej umyśle zaskoczyła jakaś zapadka, znowu usłyszała głos Alexa, tak wyraźnie, jak gdyby stał przy niej. *Dwie dusze...* Bez wahania dokończyła słowami Donne'a: ... *jedną są istotą, Więc w czas rozłąki się nie zmienia, Jak wyklepane w drucik złoto, Nie przerwą się, lecz rozprzestrzenia.* .. I kolejne słowa z Willowego pergaminu, wypowiedziane miękkim, ciepłym głosem *Mexa: Jestem, kim jestem i zdradzę wam, mili, iż nikim więcej niż jestem, nie mam woli się stać. I wam mili, li tylko powiadam...* Te słowa pulsowały jej pod czaszką, lecz stopy pozostawały w bezustannym ruchu, niosąc ją to wstecz, to naprzód, to znowu obracając ją dookoła; migotanie świec przyprawiało ją o zawroty głowy, żołądek przypominał boleśnie, że zapomniała o lunchu. Czuła się tak, jak gdyby pielgrzymka przez labirynt rzeczywiście przybliżała ją do nieba. Ogarnęła ją błogość: wystarczyło uważać na każdy krok, aby poczuć, że dusza staje się wolna, swobodna.

Gwałtownie otworzyła oczy - by wyrwać się spod uroku, który rzucił na nią głos, wciąż rozbrzmiewający w jej duszy. Zdało jej się, że widzi, jak jakiś człowiek pośpiesznie wychodzi ze środka labiryntu, choć jeszcze przed chwilą była przekonana, że znajduje się w nim sama. Przebiegł ją zimny dreszcz: cisza w katedrze nagle wydała jej się grobowa. Obejrzała się za nim, lecz zobaczyła tylko, jak zadrżały płomienie świec, zafalowało morze światła. A potem znowu usłyszała łagodny, aksamitny głos Alexa, który koił, uspokajał. *Że jestem Ścianą, i skończona sprawa. A stąd dotąd mam szparę i ujrzycie, jak Kochankowie w nią szepczą w te, we w te i wspak.* Uśmiechnęła się. Niebawem, ale chyba już wiedziała, jak rozumieć te słowa. Powinna wysublimować ze swoich myśli to, co duchowe. Każde słowo z Willowego pergaminu zbliżało ją do Alexa. To oni są Kochankami, którzy szepczą do siebie przez szczelinę w Ścianie czasu; mają zaledwie jedną krótką chwilę - malusieńki wyłom w czasie - by się spotkać. Jedno zaburzenie, jeden fałszywy krok wystarczy, aby to drugie już nigdy tego pierwszego nie odnalazło.

Akurat była zwrócona przodem do rozety i nagle poczuła na twarzy jakiś powiew, niosący zapach jej własnych perfum. Przeciąg po raz kolejny rozkołysał płomień świec. A ona znowu wyczuła czyjąś obecność w labiryncie, jakieś poruszenie, i choć była pewna, że raz jeszcze zwiodła ją gra światła, zaczęła drżeć. Słyszała głos Alexa, serdeczny, kojący, i oddech zaczął jej się powoli uspokajać. W niepojęty sposób Alex był tutaj razem z nią. Musi o niej teraz myśleć, właśnie w tym momencie. *Serce też jest kwadratem.* Wstąpiła w samo serce labiryntu, gdzie niegdyś widniała postać Tezeusza. Poczuła, że coś się o nią otarło, i starała się zebrać spódnicę, tak by nie powiewała; wystraszona, że materiał może zająć się od płomienia którejś ze świec. A potem znowu ogarnął ją spokój. Kolejny powiew owiał jej twarz i znowu czuła zapach perfum, który Alex podarował jej na Boże Narodzenie. Znowu czuła przy sobie jego ciepło, znowu słyszała jego głos; wydawał się być tak blisko, niemal na dotknięcie ręki. *Odnajdziesz mnie w orbity połowie.* Była pewna, że to Alex.

A może to jednak nie jego głos? Powieki miała

ciężkie, półprzymknięte; teraz rozchyliła je pośpiesznie. I aż wstrzymała oddech. W blasku setki migoczących świec, w rozgrzanym powietrzu aż ciężkim od zapachu róż, zobaczyła niewyraźny obraz twarzy Alexa. Nie doskonale ogolonego, ale chyba z kilkudniowym zarostem. Włosy też miał dłuższe i chyba odrobinę bardziej kręcone, w większym nieładzie niż tamtego wieczoru na Tamizie - i z całą pewnością nie takie nieskazitelnie czyste jak w dniu jej urodzin. Zdawała sobie sprawę, że widzi go tylko oczami duszy; lecz obraz wydawał się tak realny, że była pewna, iż mogłaby go

dotknąć. *Nie sięgaj dalej niż po dzisiejszy dzień. Moja alfa i moja omega.* Znowu ten głos. Łagodny, ciepły, aksamitny, melodyjny. *Scal na powrót dwie połowy.*

ALEX SZYBKO ZSUMOWAŁ LICZBY I STWIERDZIŁ, ŻE TE NA TABLICY JOWISZA narysowanej na małym kawałku welinu układają się w pięć kwadratów, dokładnie tak jak na rysunku Willa. *Odnajdziesz mnie w orbity połowie* — ten arkusz stanowił środek całości, na którą składały się wszystkie pergaminy; teraz Alex był tego pewny, choć początkowo myślał, że pergamin Willa jest pierwszym elementem układanki. Znowu sięgnął po ołówek. *Moja alfa i moja omega.* Czyjś początek jest zarazem czyimś końcem - tylko czy chodzi o zbieżność czasu, czy może miejsca? Alex doznał olśnienia. Sięgnął po książkę i sprawdził jakąś datę. Potem wstał z sofy i poszedł po Biblię, która wciąż leżała wśród innych rzeczy Willa, niedawno odebranych od policji. Była to współczesna wersja Biblii króla Jakuba — czyżby to właśnie była „księga starego króla”? Pieśń o równym numerze. Zerknął na Pieśń Salomona, której kserokopię, o ile pamiętał, Will przywiózł z

Francji; ale prawdę mówiąc, nie doszukał się żadnego numeru, o który mogłoby chodzić; może Will tak samo zinterpretował wskazówki i może popełnili taki sam błąd? Alex postanowił, że zacznie od Psalmów: przynajmniej są ponumerowane.

LUCY NAGLE OGARNEŁA DZIWNA SENNOŚĆ: DRYFOWAŁA PO POLU KWIATÓW i płomieni; słyszała głos, ukochany, jak pojęła w nagłym olśnieniu, który kochała jak żaden inny na ziemi; a jej serce było szaleńczą radością, jakiej nigdy wcześniej nie doświadczyła. Zdawała sobie sprawę, że to łomotanie, nieomal dudnienie w piersi niepokojąco przypomina początek zawału, lecz pochłonięta czym innym nie czuła bólu ani strachu, gdyż wcale nie była sama.

Równa liczba kroków od początku w przód przypomniała sobie słowa z pergaminu Willa. I nagle uświadomiła sobie, że minęło dokładnie pół roku, co do dnia, od daty operacji, która ocaliła jej życie; pół roku od jesiennej do wiosennej równonocy. Pokonała dokładnie pół drogi - przeżyła połowę krytycznego pierwszego roku.

Zacząła się obracać, stojąc w środku labiryntu, gotowa ruszyć z powrotem, mając do przejścia dokładnie taką samą liczbę kroków.

Dwie dusze jedną są istotą. Głos Alexa znowu był przy niej, był w niej; a potem: *Jestem, czym jestem, odnajdzie się zguba.* Pamiętała tekst zapisany na

pierwszym pergaminie, choć nie była pewna kolejności słów. Dwa serca są jednością, pomyślała, i oczy jej się rozszerzyły. Dobry Boże! Moja alfa i moja omega. Mój początek i mój kres.

ALEX ZACZAŁ OD PSALMU 23: „THE LORD IS MY SHEPHERD” - „PAN JEST moim pasterzem”. Werset nie wydawał się nieść żadnych zaszyfrowanych przesłań ani wskazówek. Nic nadzwyczajnego, pomyślał Alex. Więc traktując kluczową liczbę 23 jako połowę całości, podwoił ją, by „na powrót ją scalić”. To wskazywało na Psalm 46: odliczył tę samą liczbę wyrazów - „kroków” - od początku. Zapisał słowo mgliście kojarzące mu się z pocztówką, którą Will przysłał jego synowi z Chartres. Następnie odliczył tę samą liczbę wyrazów od końca i zapisał na kartce drugie słowo, tuż przy pierwszym. Oddech mu się uspokoił, wszystkie dźwięki wokół niego nagle ucichły. Słowa składały się w jedno, o ikonicznym znaczeniu. Kiedy zaś zestawił je z imieniem, które zapisał na samym początku - William - stworzyły niezwykłą całość.

Rzucił ołówek na blat stołu i zaczął się śmiać. Max podniósł na niego zdumione oczy. Musi to pokazać Lucy: ona siedzi w tym po uszy. Jest tam razem z nim. W labiryncie.

JESZCZE JEDEN KROK NA OSTATNIM ODCINKU ŚCIEŻKI, MAJĄCYM KSZTAŁT niedomkniętej pętli, i Lucy wreszcie wyłoniła się z morza światła i płomieni. Ledwie do niej docierało, że nie jest tu sama. Zrozumiała sens słów, które powierzono Willowi razem z małym srebrnym kluczem. Czyjaś omega stała się jej alfą. *Odnajdzie się zguba*. I właśnie się odnalazła. Musi o tym powiedzieć Alexowi.

Ucałowała kościelnego, wcisnęła trochę pieniędzy w rękę przewodnika i lekkim, nieomal tanecznym krokiem wybiegła z monumentalnej katedry na północny portyk. Włączyła komórkę i wybrała numer, nie czekając, aż oddech jej się uspokoi.

- Halo? - Wychwyciła nutkę przejęcia w jego głosie, lecz wcale jej to nie zdziwiło.

Chciała mu jak najszybciej powiedzieć, co czuje, że jej przykro, że była taka niemiła, kiedy

do niej ostatnio dzwonił; lecz właśnie ktoś przechodził obok, bardzo blisko niej, i poczuła się trochę skrepowana, więc zaczęła inny temat:

-Muszę ci coś powiedzieć. A właściwie to chcę cię o coś zapytać. Może powinnam jutro wrócić. -Tysiące myśli przemykały jej przez głowę: ile może

mu powiedzieć, jakimi słowami wyrazić to, co paliło jej mózg niczym płomień tysiąca świec?

-Ja też bym chciał, żebyś wróciła. - Alex był spokojny, lecz w jego głosie dźwięczała prośba. — Nie chcę ci psuć weekendu, ale na coś wpadłem, chcę ci pokazać coś naprawdę niesamowitego. Rozwiązałem zagadkę tekstu, którego kopię z sobą zabrałaś.

-Tak! Ja też! Słuchaj, Alex. — Czekał cierpliwie, pragnąc, by pierwsza mu opowiedziała o swoich odkryciach, choć sam także chciał podzielić się swoimi. Ona zaś milczała, nie wiedząc, jak zadać mu to trudne, dziwne pytanie, opowiedzieć mu o swoich domysłach i przypuszczeniach. Chciała się z nim podzielić tym wszystkim, czego przed chwilą doświadczyła, ale tylko z nim, a wciąż nie była w portyku sama. - Alex? Jesteś tam?

-Słuchaj, jeśli mimo wszystko postanowisz zostać tam jeszcze jeden dzień, to może chociaż wróciłabyś w niedzielę rano? Maxa odwożę do Anny około trzeciej, może nawet wcześniej. Popołudnie mam wolne. Mógłbym coś ugotować. - Ty idioto, pomyślał pod swoim adresem; Will

na twoim miejscu powiedziała by jej prosto z mostu, że jej pragnie, kazała by jej natychmiast wracać, i to już. Zamiast kręcić, od razu powiedziała by, co mu leży na sercu. A jeśli nawet Max byłby przy tym, no to by był i cześć. Już tak czasem w życiu bywa.

-Lucy?

Milczała, gdyż jej wzrok padł właśnie na jakiegoś człowieka, który stał dosłownie kilka kroków od niej, wyraźnie podsłuchując. Teraz zaś, patrząc jej prosto w oczy, powoli do niej podchodził. Poczowała się jeszcze bardziej nie-swojo. To był ten sam nienagannie ubrany mężczyzna, który wcześniej gapił się na nią w katedrze.

-Alex! - W jej głosie rozbrzmiała panika. Usłyszała jakiś stukot, jak gdyby telefon upadł na ziemię, potem zdławione głosy, cichy, piskliwy krzyk Lucy, brzęczy jak kwilenie małego dziecka, i nagle dźwięki zaczęły się oddalać. Usłyszała jeszcze, jak jakiś zegar wybija połowę godziny. A potem już nic.

MĘSKA DŁOŃ TAK MOCNO PRZYCISKAŁA SIĘ DO JEJ UST, ŻE LUCY Z TRUDEM

oddychała. I to straszne tempo. Lucy odwykła od szybkiego marszu, starała się uważać na swoje nowe serce. Ścisnął ją za ramiona, miażdżąc je drugą ręką, lecz zdołała przyciągnąć dłoń do serca, usiłując je uspokoić. Pomyślała, że jeżeli miała kiedykolwiek anioła stróża, to właśnie jest wymarzony moment, aby go poznać. Albo ją, o ile anioły w ogóle mają jakąś płęć.

Pachniał limonkami. O dziwo, ten zapach wcale nie wydawał się jej nieprzyjemny; ale okoliczności, w których musiała go wdychać, były po prostu przerażające. Wielkim wysiłkiem woli broniła się przed omdleniem i rozpaczliwie próbowała odsunąć od siebie piekący ból, który przeszywał jej ciało. Nie bolało jej serce, ale ręce i nogi, ramiona protestowały dziko przeciwko uchwytowi, który zgniatał je z siłą imadła. Rany i

blizny po operacji znowu zdawały się płonąć żywym ogniem. Wiedziała, że wymierzane na oślepiep kopniaki na nic by się nie zdały; fizycznie wciąż jeszcze nie była w najlepszej formie. Każde potknięcie, każdy fałszywy krok okupiony był jeszcze większym bólem. Usiłowała skupić myśli, lecz ból skutecznie to uniemożliwiał.

Dotarli do wyjazdu z podziemnego parkingu i nagle poczuła, że ziemia usuwa jej się spod nóg. Zaczął biec, ciągnąc ją za sobą; w dół, zakręt, potem znowu w dół, a ona czuła się, jakby obracał nią potężny wir. Biegli dalej, coraz niżej i niżej, aż wreszcie nogi odmówiły jej posłuszeństwa, myśli zaczęły się plątać, zawartość żołądka niebezpiecznie podjechała do gardła, jak wtedy, kiedy jeszcze miała chorobę Chagasa. Wraca do podziemi, pomyślała, dosłownie. W półmroku, oparty o samochód, stał jakiś mężczyzna. Przez chwi-

lę chciała nawet zawołać o pomoc, dopóki nie uświadomiła sobie okrutnej prawdy, że on czeka tam na nich. Razem wpełnęli ją dość bezceremonialnie na tylne siedzenie eleganckiego, ciemnoniebieskiego samochodu z prześliczną, cielistą skórzaną tapicerką. Jej osobisty „asystent” wślizgnął się na siedzenie obok niej i przygiął jej głowę. Drugi uruchomił silnik i ruszył z piskiem opon. Jest ich aż dwóch! Czowała się chora, słaba i przerażona. Wyobrażenia podsuwała jej najbardziej koszmarnie obrazy. Jak na ironię, dopiero teraz zdała sobie sprawę, ile miała dotąd szczęścia, że nigdy wcześniej nie doświadczyła bezpośredniej przemocy, choć tak często bywała sama w najróżniejszych zakątkach globu. Chyba najbardziej bała się gwałtu. Miała wrażenie, że aby uniknąć najgorszego, powinno się zachować spokój i opanowanie. Rusz głową, Lucy: podobno jesteś w tym naprawdę dobra. Twoje zachowanie może zadecydować o tym, czy przeżyjesz, czy zginiesz. Nagle owładnęła nią myśl, która dosłownie zmroziła jej krew w żyłach: że labirynt może równie dobrze okazać się jej omegą - jej końcem, jeśli wykona jeden

falszywy ruch. Więc rozluźniła mięśnie i oddychała wolno, miarowo, bezgłośnie modląc się, by w jej głowie znowu rozległ się głos Alexa. Rozpamiętywała ekstatyczną radość, którą czuła w labiryncie, poczucie jedności z nim, miłość, która wtedy przepęłniała jej serce.

- SIAN, MAM KŁOPOT. POMOŻESZ? -
NAGŁĄCA NUTA W TONIE GŁOSU
ZUPEŁNIE

nie pasowała do człowieka, którego Sian знаła.

— Tylko powiedz jak, Alex.

W ekspresowym tempie opowiedział jej, że Lucy zaginęła w Chartres: że powiadomił już francuskie władze, wyjaśnił, że właśnie wychodziła z katedry, kiedy kontakt z nią się urwał, i uprzedził, że niedawno przebyła operację przeszczepu serca. Francuzi zareagowali błyskawicznie, zdołali nawet namierzyć jej telefon komórkowy, który wciąż leżał przy katedrze, i oddzwonili do niego z nowymi informacjami. Ktoś splądrował jej pokój w hotelu, jak się okazało. Alex szalał z niepokoju, a jeszcze bardziej martwiła go myśl, że mogłaby

przestać brać leki. Nawet nie chciał myśleć, jaki wpływ miałyby to na jej zdrowie. Immunosupresanty u pacjentów po przeszczepie to absolutna konieczność. Chce jak najszybciej znaleźć się w samolocie, wyjaśnił Sian. Czy ona mogłaby posiedzieć z Maxem?

— Bardzo chętnie, Alex.

— Zadzwońm jakoś strasznie nie w porę?

-Ależ skąd. Wybieraliśmy się na kolację, ale wobec tego, co się stało. Daj mi dwadzieścia minut i już jestem u ciebie.

-Sian. - Alex się zawahał. - Wiem, że i tak oczekuję zbyt wiele prosząc, żebyś wszystko rzuciła i przybiegła mi na pomoc, ale... Czy mogłabyś przyjechać sama, bez Calvina? Po prostu... Max... - Alex spojrzał na syna, który nagle znalazł się u jego boku, wspierając go milcząco, choć przecież nie był dorosły i nie mógł w pełni rozumieć powagi sytuacji. Alex nie życzył sobie, by jego syn musiał znosić towarzystwo następcy Willa; ponadto z niejasnych przyczyn mierzila go myśl, iż ten dziwny kuzynek, którego znał od raptem paru miesięcy, może szwendać się po jego mieszkaniu i szperać w jego życiu.

-Nie ma sprawy, Alex. Rozumiem cię. Daj mi chwilę, żebym mogła spakować chociaż szczoteczkę do zębów i piżamę. Gdybym jutro czegoś potrzebowała, to najwyżej podjadę tu z Maxem. - Rozłączyła się.

Sian przyjechała, zanim zdążył wyjaśnić Annie, co się stało. Zanim otworzył drzwi,

zapewnił ją, że Max będzie pod dobrą opieką. Anna wiedziała, że Alex jest spokojnym człowiekiem i nie wpada w panikę z byle powodu; zrozumiała, że Lucy musi być dla niego niezwykle ważna, że Alex bardzo się o nią niepokoi. Max lubił Sian, Anna też nie miała do niej zastrzeżeń - niemniej chciała jak najszybciej wrócić do syna.

Upychając po kieszeniach paszport i inne niezbędne rzeczy, otworzył i przekonał się, że mimo wszystko Sian przywlokła z sobą Calvina. Patrzył na nią pytająco, gdy na powitanie serdecznie uściskała Maxa.

-Calvin tu nie zostanie, Alex; tylko mnie podwiózł. Ma ci do powiedzenia coś ważnego, o czym moim zdaniem powinieneś wiedzieć. — Obróciła się w stronę drzwi i zawiesiła wzrok na twarzy Calvina.

Alex patrzył na niego nieufnie.

-Troszkę mi się śpieszy, Calvin. Czy to ma coś wspólnego z tą sprawą?

-Jak najbardziej. Pozwól, żebym odwiózł cię na lotnisko, Alex. Pogada

my po drodze. - Jego głos nie był czarujący jak zwykle, nie tchnął pewnością siebie; dzisiaj brzmiał pokorniej, wręcz przeprasząco. - No i powinieneś chyba zabrać te papiery dotyczące Dee. Wiem, że je odnaleźliście...

Alex roześmiałby się, gdyby nie fakt, że sytuacja była boleśnie wręcz poważna. Nie wierzył własnym uszom. Przecież to tylko zabawa, prawda? Takie rodzinne „poszukiwanie skarbów”, próba rozwikłania ich prywatnej rodzinnej tajemnicy. A same „skarby” są co najwyżej zbiorem intrygujących zagadek,

nad którymi dla rozrywki będą się mogły głowić następne pokolenia. Słowa Calvina natomiast sugerowały, że w grę wchodzi znacznie wyższa stawka — że ta tajemnica ma może inny, bardziej złowieszczy wymiar. W końcu Alex odezwał się — śmiertelnie poważnym tonem, którego Sian nigdy wcześniej u niego nie słyszała.

-A jaka w tym twoja rola? — spytał, każdą sylabę wypowiadając z takim dziwnym naciskiem, że nawet jego syn spojrzał na niego ze zdumieniem.

-Możliwe, że trochę za dużo powiedziałem przy kimś, kto nie powinien o niczym wiedzieć; może być i tak, że mam znajomych, kierujących się w życiu zasadami, które różnie można by oceniać. W każdym razie jest pewne, że komuś bardzo zależy, żeby dorwać się do pewnego przedmiotu, który niedawno wszedł w twoje posiadanie.

-Calvin, chcę wiedzieć wszystko, co ty o tym wiesz. Całą prawdę, choćby i najgorszą. I wszystko mi powiesz. Do tej pory nigdy nie skrzywdziłem człowieka, ale zrobię to bez wahania, jeśli Lucy stanie się krzywda. - Alex

spojrzał na niego z taką furją, że Calvin pośpiesznie odwrócił wzrok. Rozejrzał się za pergaminami i stwierdził, że te, którymi sam się dotąd nie zajmował, spoczywają na podłodze, rewersami do góry, ułożone w swoisty wzór; najwyraźniej Max potraktował je jak coś w rodzaju układanki. Aż dotąd nigdy nie przykładał wagi do wzorów na odwrotnej stronie pergaminów. Uśmiechnął się i mrugnął do syna, któremu wyraźnie ulżyło; takiego ojca znał. Alex szybko zgarnął pergaminy, włożył je do aktówki, a aktówkę wrzucił do walizki, chwycił apteczkę i narzucił płaszcz.

-Bądź grzeczny i słuchaj się Sian. Kocham cię.
- Pocałował syna i uściskał go mocno. - Mądry z ciebie chłopak. - Obrócił się w stronę Sian i objął ją niemal równie serdecznie. — Dziękuję ci - powiedział cicho. A potem obaj mężczyźni wyszli.

SAMOCHÓD ZATRZYMAŁ SIĘ WŚRÓD RYSUJĄCYCH SIĘ NA TLE CIEMNIEJĄCEGO NIEBA drzew na jednym ze wzgórz wznoszących się nad równiną Chartres, w zakątku, którego piękno wydawało się Lucy wręcz niestosowne. Kierowca niemalże wywlókł ją z

samochodu, ale sama musiała przyznać, że nie zrobił jej specjalnej krzywdy. Może tylko czuła się odrętwiała z zimna. Wprawdzie wychodząc z katedry, narzuciła na siebie lekki wiosenny płaszczyk, ale wcale nie chronił jej przed chłodem wieczornego powietrza; odkąd zaszło bledziutkie marcowe słońce, temperatura ciągle spadała. W niknącym świetle dnia zauważyła

jeszcze jakiś budynek, bardzo malowniczy. Rozpoznała w nim opuszczoną, powoli niszczącą farmę. Lucy szczegóły tutejszej architektury nie interesowały. Dziwiła się tylko, jak można w tak pięknym miejscu czuć taki przeraźliwy lęk. Porywacze wepchnęli ją do środka i nagle znalazła się w wilgotnej izbie z kominkiem, w którym pełgały blade płomyki, a w pewnej odległości od kominka, przy stole, siedział mężczyzna, który nie wydawał się zaskoczony przybyciem trojga intruzów. Spokojnie czytał książkę.

O Boże, co ze mną będzie? - pomyślała, do reszty podupadając na duchu. To już przestało wyglądać na napaść na samotną kobietę. Paniczny strach chwycił ją za gardło; nie miała pojęcia, jak się zachować, co zrobić. Ani co ją czeka.

-Ufam, że nic się pani nie stało, panno King? - Mężczyzna podniósł wzrok znad lektury. - Przeszczep serca to poważna operacja. Człowiek po tym już nie jest taki sam.

Lucy miała mętlik w głowie: skąd on o niej tyle wie? W milczeniu przyglądała się

mężczyźnie. Był niemal atrakcyjny, chyba średniego wzrostu, miał może czterdzieści lat i lekką nadwagę, siwiejące kędzierzawe włosy. Siedział przy prostym drewnianym stole przed częściowo rozegraną partią szachów. Nie odzywała się — nie była w stanie. Zmuszając się do zachowania pozorów spokoju, postanowiła powstrzymać się od wypytywania, czemu ściągnięto ją w to zapomniane przez Boga i ludzi miejsce. Ukradkiem rozejrzała się po izbie i znowu zawiesiła wzrok na jego twarzy. Wydawało się, że jej milczenie go bawi - a może i nawet nieco mu imponuje. Po chwili przerwał ciszę.

— Dziękuję wam, panowie. Mefistofelesie, bądź łaskaw wyjść na zewnątrz i zatelefonować do naszego starszego kolegi. Sądzę, że chętnie się o wszystkim dowie. A teraz - dodał, ni to do Lucy, ni to w powietrze - już tylko czekamy. - Ze znudzoną miną sięgnął po książkę, podczas gdy posiadacz tego nieco dziennego imienia, słusznej budowy mężczyzna, który uprowadził ją sprzed

katedry w Chartres, zniknął za drzwiami. Lucy pomyślała posepnie, bez cienia humoru, że istotnie znalazła się w diabelskim miejscu.

Minęło pół godziny, a Lucy wciąż milczała. Powoli zaczynała wierzyć, że jej życie nie jest bezpośrednio zagrożone. Rozmyślała gorączkowo, szukając jakiegokolwiek sensu w tym, co ją spotkało. Było jej coraz zimniej - po izbie hulały przeciągi, a kominiek niemal nie dawał ciepła. Nagle mężczyzna siedzący za stołem odezwał się płynną francuszczyzną, a wtedy kierowca - wysoki i szarooki - udał się do zaniedbanej kuchni, znikając Lucy z oczu, by

po chwili przynieść jej szklanek wody. Lucy oparła się pokusie, by chlusnąć mu jej zawartością prosto w twarz - wiedząc, że mogłoby się to tragicznie dla niej skończyć — i przyjęła ją spokojnie, lecz nie zamierzała pić.

Zadzwonila komórka. Mężczyzna przy stole sięgnął po nią bez pośpiechu.

- Aha? - Przez bardzo długi czas słuchał tylko.

- Daj go do telefonu.

Lucy dopiero teraz zauważyła jego akcent, zdradzający Amerykanina z południa Stanów; pochodził z ciepłych stron, lecz w jego głosie nie było ciepła.

- Mamy dziewczynę. - Jego ton brzmiał lekko i żartobliwie, lecz kiedy to mówił, niejasno przypominał Lucy kocura bawiącego się jakimś rannym ptakiem, którego właściwie wcale zjeść nie zamierza. Gestem przywołał człowieka, który porwał ją z katedry, a który teraz bezgłośnie podniósł się z krzesła w najciemniejszym kącie izby. Podeszedł do Lucy i zerwał jej z szyi łańcuszek - cienki złoty łańcuszek, który Alex podarował jej na urodziny przed zaledwie kilkoma tygodniami. Został mu w palcach razem

z kluczykiem, Lucy zaś została ze szczypiącą skórą na karku i szybko ciemniejącym siniakiem. Czuła się zbrukana i z nienawiścią wpatrywała się w żółte oczy diabła, którego imię już знаła.

- Tak, ależ oczywiście - właściciel czarującego głosu z południowym akcentem mrucał jak kocur. - Cóż, łaskawy panie doktorze, mamy coś, na czym, jak mniemam, panu zależy. A pan ma coś, na czym zależy mnie. Nie ma powodu, aby kogokolwiek jeszcze w to mieszać, i nikt więcej nie będzie w to zamieszany, o ile będzie pan przestrzegał instrukcji, które znajdzie pan w liście. Proszę mi wierzyć: jeżeli do moich drzwi zastuka zaciekawiona *gen-darmerie* albo zaczną podejrzewać najbliższą chociażby próbę sprzeciwu z pańskiej strony, z pewnością stanę się drażliwy. Mam nadzieję, że wyrażam się dostatecznie jasno? - Każde słowo było zwięzłe i wyważone. Lucy zauważyła też, że słowo „gendarmerie” wymówił niemal jak rodowity Francuz.

Wstał z krzesła i powoli podszedł do kominka. Kiedy mijał Lucy, usłyszała cichy, stłumiony głos Alexa, dobiegający z miniaturowej słuchawki w

jego uchu. To podniosło ją na duchu: wydawał się spokojny jak zawsze. - .. .zrozumieć, że te papierzyska, które wydają się tak bardzo pana interesować, mnie wcale nie fascynują. Nie mogę się nadziwić, że dorośli ludzie wariują na ich punkcie. Czy naprawdę pan uważa, że...

Dżentelmen, któremu zawdzięczała wizytę w tym pięknym miejscu, odwrócił się do niej bokiem. Obserwowała jego profil, myśląc, że w jego słownych potyczkach z Alexem jest coś żalosego. W roztargnieniu podniósł prze-

wrócony pionek szachowy i bawił się nim przez chwilę. W końcu ponownie usiadł przy stole, na tyle blisko, że znowu usłyszała głos Alexa, tym razem znacznie już wyraźniej. Zdała sobie sprawę, że zrobił to celowo: chciał zobaczyć, jak ona się zachowa.

— .. .dochodzi do siebie po operacji i wymaga szczególnej troski. Poruszę niebo i ziemię, żeby przyszedł taki moment, kiedy będzie pan musiał odpowiedzieć na kilka nader nieprzyjemnych pytań. I co prawda pan Petersen zarzeka się, że jest pan człowiekiem, który zawsze jak kot spadnie na cztery łapy, ale zapewniam pana, ja też bywam nieustępliwy. Więc darujmy sobie te roszady, umówmy się na coś i tego się trzymajmy. Mój samolot wylatuje za piętnaście minut, o jedenastej będę na Lotnisku de Gaulle'a. Jak pan proponuje...?

Lucy obojętnie odwróciła twarz. Rozumiała, że ci ludzie chcą, aby Alex przywiózł im wykopane pergaminy, lecz nie miała pojęcia, skąd o nich

wiedzieli ani czemu są dla nich takie ważne, ani jaka, u nieba, była w tym rola pana Petersena. Uparcie unikała spojrzeniem człowieka, który ją tu więził. Usiłowała także zapomnieć, jak brzmiały ostatnie słowa, które rzucił w słuchawkę:

-To niebywała przyjemność negocjować z inteligentnym człowiekiem. Cóż za oszczędność czasu i cierpienia. Proszę sobie wyobrazić, że musiałem z tego powodu zrezygnować z pójścia do opery; aczkolwiek szereg naprawdę wiarygodnych osób zapewni pana, że właśnie tam jestem w tej chwili i raczę się szampanem, korzystając z antraktu. Lubi pan operę, doktorze Stafford? A już zwłaszcza *Lucia di Lammermoor*?

ALEX AŻ GOTOWAŁ SIĘ ZE ZŁOŚCI, ILEKROĆ POMYŚLAŁ O OSTATNIEJ DYSPOZYCJI tego typu, dotyczącej wymiany Lucy na cholerne dokumenty, wiedział jednak, że nie ma żadnego istotnego argumentu i musi potulnie przystać na warunki porywaczy. Trzasnął klapką telefonu i ustawił się za ostatnim odprawianym pasażerem. Nie mógł przestać

myśleć o zawołowanej groźbie, kryjącej się w słowach człowieka, z którym przed chwilą rozmawiał.

Przez ostatnią koszmarną godzinę napędzała go adrenalina. Teraz jednak, gdy usiadł w fotelu i zapiął pas, chciał wykorzystać chwilę spokoju na przemyślenie wszystkiego, co wydarzyło się w ostatnim czasie. Calvin chciał koniecznie lecieć z nim do Francji, a spotkawszy się z kategoryczną odmową, robił, co mógł, by podczas podróży na lotnisko jak najlepiej

przybliżyć mu postacie trzech ludzi, którzy stali za tym porwaniem - nie tylko ich obsesyjne zainteresowanie spuścizną po Johnie Dee, ale też, co w świetle losów Lucy było jeszcze bardziej alarmujące, robił subtelne aluzje do towarzystwa, w jakim się obracali, do znajomości, jakie mieli w sferach rządowych trzech kontynentów. Tym, z którym Alex przed chwilą rozmawiał, był niejaki Guy, jak nazwał go Calvin: „Amerykanin w Paryżu”. Z wyboru większość życia spędzał we Francji i chlubił się, iż wywodzi się w prostej linii od jednego z templariuszy, ale nie to było najważniejsze: przede wszystkim człowiek ten miał potężne wpływy. Sposób, w jaki Calvin wypowiadał jego imię, mgliście kojarzył się Alexowi z błotem: może i człowieka uwala, ale nie zabije, pomyślał i z irracjonalnych powodów podniosło go to na duchu.

Coraz bardziej niespokojny i wstrząśnięty słuchał, jak Calvin opowiada o innych, związanych z College'em typkach, którzy przejawiali niezdrową fascynację Johnem Dee i jego rzekomą rolą powiernika aniołów. Alex zauważył, że wszyscy członkowie organizacji

posługują się pseudonimami, nigdy nie ujawniając nazwisk, a ich wpływy sięgały, wedle zapewnień Calvina, najwyższych politycznych elit. Nigdy sami nie wykonywali brudnej roboty, lecz mimo to, kiedy Calvin o nich opowiadał, w jego głosie pobrzmiwała nutka autentycznej obawy. Podsumował ich krótko i zwięźle: to ludzie, z którymi strach zadzierać i którym wcale nie chodzi o majątek. Chodzi im wyłącznie o rozgłos, jak zapewnił Alexa kuzyn, o sławę, którą mogliby wykorzystać do swoich politycznych celów. Oczywiście mogą liczyć na ochronę wielu osób na najwyższych stanowiskach, lecz jak zapewniał Calvin, niemal na pewno powstrzymają się przed zrobieniem komuś krzywdy, o ile dostaną dokładnie to, czego chcą. Przynajmniej przez jakiś czas najrozsądniej, jego zdaniem, byłoby postępować tak, jak oni sobie tego życzą.

Calvin budził w Aleksie mieszane uczucia, oscylujące od głuchej nienawiści, poprzez nieufność, aż po cień politowania. Słuchając jego wywodów, zastanawiał się, w jakiej mierze ten nagły przyływ szczerości wynika z dobrych

chęci, a w jakiej z innych, ukrytych pobudek. Starał się zwracać uwagę na to, co kuzyn mówi, jak mówi i co woli pominąć milczeniem - sam zaś w miarę możliwości powstrzymywał się od zadawania pytań, by przypadkiem nie zdradzić, ile już wie. Chciał sobie to wszystko spokojnie przemyśleć i ochłonać, bo jedno było pewne: po trwającej ponad pół godziny rozmowie z Calvinem było mu niedobrze. Uzmysłowił sobie pe-

wien fakt, może mało odkrywczy, lecz bardzo prawdziwy: że są na tym świecie ludzie, których wiara uczy nienawiści, lecz nie nauczyła kochać. Bliski rozpaczy pomyślał, że będzie miał wielkie szczęście, jeśli zdoła odzyskać Lucy całą i zdrową, a jeszcze większe, jeśli oboje zdołają bezpiecznie wrócić do domu.

PRZEZ CAŁY LOT ZASTANAWIAŁ SIĘ NAD TYM, JAKIE KONSEKWENCJE MOŻE mieć obsesja tych ludzi na punkcie Johna Dee i jego „anielskich ksiąg”; czy wiązała się ona ze śmiercią jego brata? Przed miesiącem patolog wydał ostateczną opinię: śmierć w wyniku wypadku, bez udziału osób trzecich; jednak Alex zaczynał coraz poważniej w tę ekspertyzę wątpić. Mimo to ta sprawa będzie musiała poczekać: rany wciąż były zbyt świeże, poza tym najpilniejsze stało się dotarcie do Lucy. Przez telefon ten cały Guy, rzekomy potomek templariusza, był uprzedzająco grzeczny, lecz jego cierpliwość zapewne szybko by się wyczerpała, gdyby poddać ją próbie. Ponadto Alex zbyt nie dowierzał zapewnieniom Calvina, że nie są zdolni do najgorszego. Czuł, że życie Lucy wisi na włosku, a jeśli on szybko do niej nie dotrze, to oprócz zagrożenia ze strony tych ludzi, będzie jej groziło kolejne niebezpieczeństwo — być może jeszcze większe,

jeśli nie śmiertelne - efekt przerwy w przyjmowaniu leków. Oprócz telefonu komórkowego policja znalazła jej torebkę, a gdyby miała nosić przy sobie leki, to zapewne byłyby właśnie tam. Alex chciał jej jak najszybciej dowieźć zapas immunosupresantów.

Samolot wylądował z dziesięciominutowym opóźnieniem. Alex, wypoczęty, z jasnym umysłem, prawie pobiegł do wypożyczalni samochodów odebrać ten, który dla niego zarezerwowali porywacze - i za który zapłacili z góry żywą gotówką, co dowodziło, jak pręźnie potrafi działać ich organizacja. Z wielką niechęcią myślał o jeździe autem, które tak łatwo mogli namierzyć, lecz nie miał wielkiego wyboru. Dwadzieścia minut później, w ulewnym deszczu, opuszczał teren lotniska małym citroenem w kierunku Arbonne le

Foret. Będzie musiał naprawdę ostro jechać pomimo podłej pogody, jeśli ma dotrzeć na miejsce w niecałą godzinę i stawić się pod wskazanym adresem na pół godziny przed północą. Spóźnienie po prostu nie wchodziło w grę. Lucy powinna była przyjąć leki o dziewiątej francuskiego czasu. Kilkugodzinna zwłoka mogłaby zagrozić jej życiu.

Podróż do Fontainebleau i dalej, do Arbonne, minęła nadspodziewanie szybko, choć warunki na drodze stale się pogarszały. Na szczęście nie było ruchu i Alex, który dość dobrze znał trasę do Fontainebleau, nie miał większych problemów z dotarciem pod wskazany adres. Wjechał do małego miasteczka i zwolnił, zerkając na numery domów. Szybko znalazł ten właściwy, jedyny w uśpionym miasteczku, w którego oknach wciąż paliło się światło. Zapukał. Otworzyła mu jakaś kobieta.

-Je suis desole...

-Oui, monsieur. Il attend. Entrez, s'il vous plait. - Jej zdenerwowanie uświadomiło Alexowi, że kobieta musi działać pod przymusem. Poprosiła, żeby poczekał w dużym pokoju o

ścianach z kamienia; kiedyś ten budynek był zapewne skromnym domem jakiegoś farmera, lecz niedawny remont nadał mu nieco bardziej dostatni wygląd. Na jednej ze ścian wisiały zdjęcia bardzo ładnej, młodej blondynki o urodzie modelki. Alex wpatrzył się w fotografie, nic z tego wszystkiego nie pojmując.

-Nie znajdzie pan tutaj żadnej wskazówki, doktorze Stafford. Dom należy do niemieckiej aktorki, jednej z moich dawnych kochanek, ale od lat nie darzymy się sympatią. - Ze schodów, które kryły się w głębokim cieniu, wyłonił się ciemnowłosa, opalony mężczyzna w kremowym polo i ciemnych sztruksowych spodniach; schody, jak przypuszczał Alex, prowadziły na górę, na mieszkalny strych albo poddasze. Głos nic mu nie mówił- to nie był człowiek, z którym rozmawiał przez telefon. - Ona nie ma pojęcia, że tu jestem; a jej ciężarna córka jest w Londynie... Nie jestem pewny, czy którakolwiek z nich ucieszyłaby się na mój widok, więc prosiłbym, żeby nie przeciągał pan sprawy. - Miał leciutki cudzoziemski akcent, trudny do określenia, zamaskowany angielszczyzną przyswajaną w

jakiejś amerykańskiej szkole, uznał w końcu Alex. Z wyglądu - acz nie ze sposobu bycia - przypominał mu pewnego błyskotliwego specjalistę od astmy i alergii, urodzonego w Izraelu.

-Nie interesuje mnie to. Mam dla pana te dokumenty. I ja też chcę mieć to jak najszybciej za sobą. - Alex starał się mówić zwięźle, spokojnym głosem, by robić wrażenie pewnego siebie, choć wcale pewnie się nie czuł; niemniej

był w tej roli bardzo przekonujący. Gdy czekał, para rąk w rękawiczkach skrupulatnie przeglądała zawartość teczek na dokumenty, pergamin po pergaminie, strona po stronie, niemalże słowo po słowie. Czas mijał nieubłaganie, a Alex coraz bardziej denerwował się na myśl o lekach, które już dawno powinna przyjąć Lucy. Napomknął, że dokumenty są bardzo stare i delikatne; nie powinno się ich dotykać, o ile nie ma takiej konieczności.

Ciekawe, co też jego zdaniem kryje się w tych dokumentach, zastanawiał się ten drugi, zerkając na Alexa. Był zaskoczony jego zapewnieniem, iż nie interesuje się nimi ani nie zna ich zawartości. Alex rzeczywiście oznajmił, że nie ma pojęcia, czego dotyczą, i że uważa zamieszanie, które wokół nich wybuchło, za burzę w szklance wody; nie ujawniając jednak, jakie słowo napisał wczoraj wieczorem na pocztówce od Willa. Zachował spokój i czekał, by pozwolono mu wyjść.

Tuż po pierwszej w nocy siedział za kierownicą citroena i jechał na zachód. Droga była mokra po niedawnym deszczu, więc

przypuszczał, że powrót do Chartres zajmie mu prawie godzinę, mimo iż lwia część trasy wiodła autostradą. Odezwała się jego komórka i znowu usłyszał aksamitny głos dalekiego potomka templariusza.

- Wysoce imponujący występ, doktorze Stafford. A my, jak mówiłem, jesteśmy dżentelmenami. Zatem: *la porte d'hiver*. Z wybiciem drugiej. *Je sous souhaite une bonne nuit. Au revoir.*

KILKA SEKUND PO TYM, JAK ZEGAR NA KATEDRZE WYBIŁ DRUGĄ, ALEX ZOBACZYŁ Lucy samą, skuloną i drżącą, u wejścia do północnego portyku. Poczł głuchą złość; pośpiesznie ściągnął gruby płaszcz i narzucił go jej na ramiona. Kątem oka zobaczył jeszcze ciemny samochód z wyłączonymi światłami, odjeżdżający z wielką prędkością. Wpatrywał się w twarz Lucy, usiłując wyczytać, w jakiej jest formie psychicznej i fizycznej. Była osłabiona, ale uśmiechała się do niego.

- Nie wrócę do nich. Nie przełknęłam ani kęsa stawy, którą mnie czę stowali. Nie wypłam ani łyka wody.

Dopiero po chwili dotarło do Alexa, że

wcieliła się w rolę bogini powracającej ze świata podziemi. Zaśmiał się cicho, pełen ulgi i niedowierzania. Przez kolejną chwilę tylko tulił ją w ramionach, niby po to, aby ogrzać ją własnym ciałem; lecz kiedy ją obejmował, czuła, że i on drży. Widziała jasno jak na dłoni, jakie horrendum przeżywał przez ostatnie godziny, i choć raz

czuła się od niego silniejsza. Nie okazując, ile i ją to wszystko kosztowało, odwzajemniła jego uścisk i uniosła ku niemu twarz.

-Nic mi nie jest, Alex. Wiedziałam, że mnie z tego wyciągniesz. -A po tem dodała: - Tylko co takiego jest w tych dokumentach?

Nie potrafił odpowiedzieć.

- HOTEL JEST BARDZO BLISKO STĄD.

-Nie zostaniemy w hotelu. - Podawszy Lucy wodę mineralną i garść kapsułek wyjętych z przepastnych kieszeni płaszcza, wsadził ją do samochodu i ruszył szybko. Na chwilę zatrzymał się przed hotelem Grand Monarque, odmawiając puszczenia jej ręki, nawet kiedy zostawiała u nocnego portiera należność za pobyt, odbierała paszport i resztę swoich rzeczy. Jeszcze szybciej Alex uwinął się z wizytą na posterunku policji: podziękował za pomoc, odebrał jej torebkę oraz telefon komórkowy i oznajmił, że wprawdzie Lucy

nie została ranna, ale jest w szoku. Najpilniejszą sprawą, jak dodał, jest jej powrót do zdrowia, a na wszelkie pytania odpowiedzą jeszcze dzisiaj, ale do piero kiedy Lucy trochę odpocznie. Jego płynna francuszczyzna i nieznoszący sprzeciwu ton zrobiły swoje: po chwili wracali już do samochodu. Trzymał ją za rękę przez całą półgodziną jazdę, puszczając ją tylko wtedy, gdy musiał zmienić bieg. Dochodziła trzecia w nocy, kiedy skręcali w podjazd przed domem nieopodal L'Aigle. Mimo późnej pory Alex uparł się, że zostawi auto w garażu, który następnie starannie zamknął. Lodowaty deszcz zmusił ich do pokonania sprintem krótkiej drogi do domu, potem Alex szybko wyciągnął klucz z doniczki odpoczywających na zimę pelargonii.

Włączył światło w kilku pomieszczeniach, okiennice pozostawiając szczelnie zamknięte, i pokazał Lucy, jak trafić do łazienki, a sam wielkimi krokami pobiegł po schodach na górę i

zaczął majstrować przy jakichś prztyczkach. Wrócił, zanim Lucy zdążyła usiąść.

Twarz miała zmęczoną, ale promienną.

-Ileż tu przestrzeni. — Patrzyła na białe wiklinowe meble z niedawno wymienioną tapicerką, na niewielką oranżerię, do której wchodziło się z dużego salonu, na akwarele na ścianach, fortepian, wiolonczełę opartą o taboret, mnóstwo zdjęć, gdzie tylko spojrzeć. Czowała się jak dziecko, które zgubiwszy się, właśnie wróciło do domu. Usiadła w pięknym zabytkowym drewnianym fotelu przy stole niedaleko toaletki, na której jaśniała krucha porcelanowa zastawa.

Alex włączył piec olejowy, nalał wody do czajnika elektrycznego i nacisnął przycisk, a potem długo szperał w zamrażarce stojącej w wąziutkim korytarzu, by wrócić z bochenkiem ciemnego pieczywa sandwiczowego. Jeszcze nie miał czasu na relaks i słuchanie wrażeń Lucy.

- Nie jestem pewny, jak długo był zamrożony, ale jak się go wrzuci do tosterka, będzie jak świeży. Tego masła lepiej chyba nie ruszać... Ale musisz coś zjeść. - Nie odpoczął ani chwili, dopóki nie podał jej gorącej herbaty i kromki chleba, opieczonej w tosterze i - po skrupulatnym umyciu rąk - polanej odrobiną miodu. Potem znowu na kilka minut zniknął na górze. Lucy powoli wracały kolory - dzięki gorącemu napojowi, lecz przede wszystkim dzięki ciepłu tego domu — ale równocześnie zaczęła odczuwać zmęczenie i senność. Po chwili pojawił się Alex i ciężko oparł się o róg kuchennego stołu. Uśmiechnął się, patrząc na jej olbrzymie, podkrążone oczy.

- No dobrze, moja panno. Na górze już się w kominku pali, gorącej wody też powinno wystarczyć na bardzo szybki prysznic.

Lucy wstała i delikatnie przycisnęła palce do jego ust, by go uciszyć.

- Nie prysznic potrzebuję, Alex... Nie lekarza.

- Koniuszkiem kciu
ka obwiodła jego uśmiech, a Alex pocałował ją w
opuszkę słodką od miodu.
Wpatrywał się w jej brązowe oczy, usiłując
odgadnąć jej nastrój, a potem de
likatnie przytrzymał jej głowę, a ich usta się
spotkały.

Tak długo czekali na tę chwilę, że gdy wreszcie nadeszła, nie chcieli się śpieszyć. Alex zatracił się w słodkim zapachu miodu. Pocałował ją sennie, a potem delikatnie objął dłońmi jej biodra i uniósł ją z ziemi. Oplotła go nogami. Wpatrywała mu się w oczy, gdy lekko niósł ją po schodach na górę, do sypialni pachnącej drewnem i sosnowym igliwem. Kołysał ją w ramionach, by po chwili ostrożnie posadzić ją na osłoniętym wełnianą narzutą łóżku. Rozebrali się nawzajem, bez pośpiechu, świadomie rozkoszując się każdą chwilą. On całował jej policzki, jej długie rzęsy, zanim położył się przy niej na miękkiej wełnie, pieszcząc jej szczupłą talię i maleńki wzgórek

brzucha. Jego dłonie nieomal z czcią przesuwały się ku górze; wrażliwe palce obwiodły kontur głębokiej blizny, której łuk obejmował prawie całą lewą pierś, od żebra niemal po obojczyk.

Lucy wstrzymała oddech; chciało jej się płakać.

- Jest taka brzydka.

- Nie - odparł. - Jest piękna, bo uratowała ci życie. - Składał na niej powolne, pełne czułości pocałunki, dopóki nie owiał oddechem szyi Lucy, nie ucałował jej, by znowu sięgnąć ku jej ustom.

Tym razem pocałunek był pełen żądzy i gorączkowego pośpiechu. Zmysły Lucy zawrzały, pragnęła jego ciepła, jego ciała, tak bardzo, że każda chwila czekania oznaczała udrękę, rozkosz nieomal zmieniała się w ból.

- Alex. - Z takim zalem oderwała się od jego ust, tyle tęsknoty zawie
rało się w tym jednym słowie, że wolną ręką już sięgał ku jej biodru; a kiedy znowu usłyszał swoje imię, uniósł ją lekko, by w nią wejść. Dwa zdławione okrzyki zlały się w jeden dźwięk.

Wsunął dłoń pod jej talie; a ona bezwiednie oplotła go nogami; czuła go w sobie, wypełniał ją w sposób, który sprawiał, że jej myśli zaczęły się rozsnuwać niczym przecięta nić, jej westchnienia nabrały lekkości motyla. On wciąż jeszcze nie przerwał pocałunku; nagle jego palce zaczęły szukać drogi między ich ciałami, sięgając w dół i w dół, do zagłębienia pępka, lecz Lucy zatrzymała jego dłoń.

- Nie, Alex. To dla mnie za dużo. - Otworzył oczy, chcąc ją zrozumieć,
wejrzeć w sedno jej istoty; a ona obnażyła przed

nim duszę. Raptem, bez ostrzeżenia, węzeł, który zaciskał się w jej wnętrzu, rozsypał się. Przeszyła ją rozkosz, która nieomal graniczyła z bólem, tak przejmująca, iż jej ciało nagle przestało poddawać się nakazom woli. Nigdy dotąd nie czuła się taka obnażona i wolna zarazem. Jej zmysły tryumfalnie powróciły z długiego wygnania. Nie wiedziała kiedy, nie wiedziała jak, ale zaczęła mu ufać, marzyć o chwili, kiedy naprawdę staną się jednością, lecz nic nie przygotowało jej na reakcję własnego ciała. Czuła się jak zahipnotyzowana. On napawał się jej rozkoszą, wyjątkowymi i niepowtarzalnymi pierwszymi mgnieniami prawdziwej bliskości; i dopiero potem poddał się rytmowi, który wyznaczała.

Czas ich nie dotyczył. Lucy nie miała pojęcia, ile sekund, minut czy godzin minęło, zanim zamknął ją w ramionach i oboje poczuli się zaspokojeni. Do snu ukołysało ją bicie jego serca i szum wiatru za oknem.

ZDAŁA SOBIE SPRAWĘ, ŻE SŁYSZY JAKIEŚ POSTUKIWANIE; POTEM POCZUŁA, że miejsce obok niej jest puste. Rozchyliła ciężkie powieki i patrzyła, jak jego cień rozgarnia żar w kominku i dokłada drewna; w powietrzu znowu zapachniało sosną. Okiennice nie były zamknięte na skobelki i wiatr tłukł nimi o szyby.

- Jest jeszcze wcześniej, nawet nie ma siódmej.

Pogoda jest paskudna.

-Jego głos był cichy i nieco ochrypy; Alex podszedł do łóżka. - Za to moja pani jest piękna. To dobry powód, żeby nigdzie się nie ruszać. - Wślizgnął się pod kołdrę i objął jej ciepłe ciało. Ucałowała opuszki jego palców - pachniały migdałami - i był to dopiero wstęp do dalszych zmysłowych dociekań.

Zaśmiał się.

-Zawsze jesteś taka nienasycona? Po dwóch godzinach snu?

- Najwyższy czas, żebym zaczęła chcieć więcej... Nigdy nie czułam się taka wyspana po zaledwie dwóch godzinach. - Podparła się na łokciu, by zobaczyć jego twarz, i zauważyła, że w jego szmaragdowych oczach pojawiły się iskierki rozbawienia. - „Wejdz. Obyś słuchał mnie zawsze i wszędzie”*

- Wsunęła się na niego i przybrała władcą pozę.

- „Chcę słuchać, pani”.

BYŁO PO DZIESIĄTEJ, KIEDY ALEX OBUDZIŁ JĄ POCALUNKIEM I PRZYCISNAŁ palec do jej ust, by się nie odzywała.

* W. Shakespeare, *Wieczór trzech króli*, przeł. M. Słomczyński (przyp. tłum.).

-Sprawdzę tylko co u Sian, i pobiegnę po jakieś mleko i coś do jedzenia, żebyśmy nie poumierali z głodu.

-Pójść z tobą?

-Szybko się z tym uwinę. Czujesz się tu bezpieczna? - Przytaknęła sennie. - Tylko mi się stąd nie ruszaj. Albo zrób sobie kąpiel. Poleż w gorącej wodzie, a burza niech sobie szaleje za oknem.

ZJEDLI PÓŹNE ŚNIADANIE, ALE POGODA WCIAŻ BYŁA PASKUDNA, WIĘC NIE RUSZALI SIĘ Z DOMU. Rozmawiali jak nigdy wcześniej, zadowoleni, że nikt i nic im nie przeszkadza. Najpierw o tym domu, o jego historii, o ścieżkach i spacerach po lesie, o sadzie, o rodzinnych zdjęciach, których tyle w nim było. Lucy wdychała zapach kwiatów i dymu z kominka, broniącego domu przed wilgocią, pytała o rodzinne święta, które odbyły się pod tym dachem, i o wspomnienia związane z tym miejscem. Alex opowiedział jej trochę o Willu i nieco więcej o swojej matce. Lucy też mu opowiadała o sobie. Byli zrelaksowani, wiedząc, że nikomu nie są w tej chwili potrzebni: Sian

bezwstydnie rozpieszcza Maxa, zachwycając się rolą zastępczej matki. „Zostań, gdzie jesteś - powiedziała, kiedy Alex do niej zadzwonił — opiekuj się Lucy”. Więc rozmawiali o wydarzeniach ostatniej doby, o wrażeniach, jakie zrobili na nich porywacze. Następnie Alex opowiedział jej o dziwnej roli Calvina w tej całej sprawie.

-Jakimś sposobem dowiedzieli się, że klucz trafił do ciebie, a mogli się o tym dowiedzieć wyłącznie od Calvina. Moim zdaniem właśnie dlatego zostałaś porwana.

Dzięki tym słowom zrozumiała, że Alex nie przemyślał do końca wszystkiego, czego dowiedział się w ostatnim czasie. Słuchała, z rzadka się odzywając, a równocześnie rozmyślała o romansie Sian i Calvina, który nagle zaczął jej się jawić w całkiem nowym, niepokojącym świetle. Później zadzwonili do *gendarmerie*, pamiętając o wyraźnym ostrzeżeniu, by nie ściągali policji i nie prosili się o dodatkowe kłopoty. Chociaż Alex wcale nie miał ochoty kłaść uszu po sobie, uznał jednak, że rozsądniej będzie ograniczyć się do złożenia ogólnikowych

zecznań i trzymać się razem.

Nad ranem, gdy szukał chleba, Alex zauważył w zamrażarce kawałek dziczyzny, o której matka wspomniała w kartce do Willa: do około piątej po południu mięso rozmroziło się na tyle, żeby Alex mógł zabrać się za przygotowywanie kolacji. Później otworzył butelkę dobrego wina, polał nim pieczeń, która powoli dochodziła w piekarniku, a następnie napełnił dwa kie-

liszki, dla siebie i dla Lucy, i przypomniał sobie, że kiedy ostatnio dzwoniła, bez tchu, chwilę po wyjściu z katedry, chciała go o coś zapytać.

Zmieniła się na twarzy. Alex wyczuwał jej rozterkę, wiedział jednak, że nie powinien jej popędzać. To pytanie skutecznie pochłaniało jej uwagę, kiedy z konieczności „gościła” u znajomych Calvina. Rozważanie go ze wszystkich możliwych stron pozwoliło jej wtedy nie poddać się panice i trzeźwo myśleć. Niemniej wiedziała, że bez względu na to, w jakie słowa je ubierze, zadając je, rozpęta burzę, nad którą nie będzie miała żadnej kontroli. Najbardziej zaś obawiała się tego, jak ta burza wpłynie na jej relacje z Alexem. Nigdy w życiu niczego nie pragnęła bardziej, jak poznać odpowiedź na to pytanie, lecz bała się je zadać. Zaczęła dość pokrętnie.

- Kiedy mnie zauważyłeś? - Nie była onieśmielona, raczej poważna. Od razu zrozumiał, że to pytanie ma głębszy podtekst. - Chyba właśnie o to chciałam cię zapytać: kiedy się mną zainteresowałeś? Przypominasz sobie?

Czy to było po moim przeszczepie?

Dotknął jej twarzy palcami, które pachniały pokruszonym liściem laurowym; a ona wciąż szukała właściwych słów.

-Gdybym chciała tylko spytać, czy jesteś dość silny, aby to znieść, nie wahałabym się tak długo. Ale mnie zastanawia co innego: czy my jesteśmy dość silni? A jeszcze nie znam odpowiedzi na to pytanie.

-Nie pociągało mnie to, że wiesz między dwoma światami, jeśli tym się martwisz. Nigdy nie myślałem o tobie jako o kimś, kto wymaga opieki. Przeciwnie: kocham twoją niezależność i twoje opanowanie. Ten pierwszy raz, kiedy cię zobaczyłem... Kiedy to było? Jakoś w maju? Usłyszałem, jak się śmiejesz, i pomyślałem: co za fascynująca kobieta. Młoda, piękna kobieta, która nie straciła wdzięku i radości życia, nawet zaglądając śmierci w oczy. Ja nie miałbym tyle odwagi. A ty byłaś twarda jak skała i nigdy, ani przez chwilę, nie litowałaś się nad sobą.

Kiedy to powiedział, kąciki jej ust drgnęły i powędrowały w górę. Ona także pamiętała ten moment. Alex wydał jej się kimś, kto całym sobą

absorbuje światło, a kiedy przeżywała najczarniejsze chwile w swoim życiu, jego obecność stała się dla niej źródłem jasności.

- A więc taka sprzed operacji też ci się podobałam?

Alex przegarnął jej włosy i kiwnął głową. Patrzył jej w oczy, chcąc sięgnąć samej duszy.

- Co cię gryzie?

Jego życzliwość - sposób, w jaki na nią patrzył, tak jak teraz - często sprawiały, że Lucy czuła się bezbronna, niemal obnażona. Wstała i przeszła w drugi róg kuchni, próbując jakoś się od niego zdystansować. A potem, kiedy już zdobyła się na odwagę, by znowu na niego spojrzeć, powiedziała tylko:

- Sądzę, to ja dostałam serce twojego brata.

Odczekała może pół minuty, lecz miała wrażenie, że czas stanął w miejscu.

— Alex, powiedz coś. - Sama stworzyła między nimi fizyczny dystans i nie wiedziała, jakie słowa mogłyby trafić do jego serca. Wpatrywała się w twarz, szukając jakichś emocji, lecz były one dla niej tajemnicą. Spróbowała inaczej:

- Pomyślałam, że może ty będziesz wiedział, kim był dawca?

Jej słowa nie wstrząsnęły nim. Raczej wzbudziły w nim czułość. Wiedział, że Lucy usiłuje uporać się z czymś, co ją przerasta. Pokręcił głową.

— Nie było mnie przy tym. O ile w ogóle, to może coś o tym wiedzieć

koordynatorka, ale dla niej to tylko jeden w morzu szczegółów, aczkolwiek czasami tryb życia dawcy, przyczyna jego śmierci jest ważna dla całego zespołu. - Wydawał się spokojny. - Ale pamiętaj, że ja częścią tamtego zespołu nie byłem. A skąd myśl, że to mogło być serce Willa?

-Cóż, daty się zgadzają. - Urwała i zobaczyła, że Alex kiwa głową za myśloni. - Ale chodzi o coś więcej, znacznie więcej. Kiedy myślę o ostatnich miesiącach, sama się dziwię, że wcześniej nie zdałam sobie z tego sprawy. Mając takiego brata jak ty, Will z pewnością nosiłby kartę dawcy.

Alex wciąż miał sceptyczną minę, więc powiedziała defensywnym tonem. -Tylko posłuchaj mnie przez chwilę. Przestałam być wegetarianką, mam niewyobrażalne sny.

— To od leków — odparł, nie chcąc, aby zabrzmiało to protekcjonalnie.

-Przez pierwsze pół roku albo i rok jesteś na naprawdę mocnej mieszance

specyfików. To prawdziwe petardy, Lucy.

- Okay, zgadza się, Courtney mówił to samo, a ja mu wierzę. Ale za każdym razem, kiedy poznaję kogoś z twoich znajomych, czuję się, jakbym też ich znała. Na przykład Sian. I Simona. Jakbyśmy się znali od zawsze.

- Alex patrzył na nią z powątpiewaniem. Zaśmiała się bez przekonania, świadoma, że to co mówi, brzmi jak jakieś wariactwo. — Alex, wiem, że to wygląda, jakbym zbzikowała, ale ja naprawdę jestem przy zdrowych zmysłach. Zapewniam cię, po prostu za dużo rzeczy na to wskazuje. Znałam twój dom w Hampshire; a jak tylko weszłam tutaj, poczułam się, jakbym wróciła do siebie.

-Lucy, po prostu poczułaś ulgę, że jesteś bezpieczna... Usiłowałem sprawić, abyś się tak poczuła, odkąd tylko przestąpiliśmy próg tego domu. Nie liczyło się dla mnie nic innego.

-To prawda. — Uśmiechnęła się z wdzięcznością. - Ale pomyśl o tym moim nagłym ataku migreny, Alex. Tamtego dnia w Longparish. Pękała mi głowa, miałam mdłości, było mi zimno. Autentycznie myślałam, że zaraz umrę. Jestem przekonana, że to przez to miejsce, ten cmentarz, wszystko. - Chciał jej przerwać, ale uparcie mówiła dalej. - I chyba z pół tuzina razy omal nie powiedziałam do ciebie: „Piachu”, chociaż dopiero się poznawaliśmy; myślę, że Will musiał cię tak nazywać...? - spytała cicho.

Alex zaśmiał się zaskoczony. Miała rację - takie przydomko nadał mu Will jeszcze w czasach ich dzieciństwa; nie chciał jej pochopnie osądzać, ale rzeczy, o których mówiła, były dla niego nowym, nieznanym terytorium. - Czyżby mnie się to kiedyś wymknęło? A może Sian coś mówiła?

-Nie, Alex. Nikt mi o tym nie mówił. I myślę, że nazwał cię tak z powodu koloru włosów. One naprawdę mają kolor...

—...piasku — dokończyli zgodnie.

Patrzył na nią, zastanawiając się, starając się nie zamykać na coś, co dla niej jest takie ważne; niemniej jej przypuszczenie wydało mu się co najmniej dziwne.

- Chcę cię o coś spytać, chociaż to może śmieszne. Czy Will był leworęczny?

Alex podniósł na nią wzrok.

- A ty od przeszczepu częściej posługujesz się lewą ręką? Lucy, to bardzo interesujące, naprawdę. - Zareagował ciepło, przejęty jej zestresowaną miną. — Ale to o niczym nie świadczy. Równie dobrze mógłby to wywołać któryś z immunosupersantów.

- Mógłby, całkowicie się z tobą zgadzam. Zaryzykowałbyś wskazanie który? Da się to jakoś sprawdzić?

Lucy widziała, jak oczy mu ciemnieją. Pojawiła się w nich jakaś inna, nowa emocja. Wątpliwości, domysły, nieme debaty z samym sobą. Każdy inny na jego miejscu nawet nie próbowałby jej wysłuchać; ale wierzyła, że Alex jest jedynym człowiekiem pod słońcem, zdolnym zobaczyć świat jej oczami. Poszedł po komórkę,

wybrał numer i wrócił do Lucy, zanim jeszcze uzyskał połączenie.

- Mogą mi nie powiedzieć. Nie wspominałem o tym, ale na początku tego tygodnia poprosiłem Jamesa Lovella, żeby zajął się twoim przypadkiem. Pomyślałem, że może już pora... Cześć, Jane, tu Alex Stafford.

Lucy miała tylko chwilę, by przemyśleć sobie znaczenie decyzji Alexa, aby zrzec się opieki nad nią jako pacjentką; przez kolejną chwilę słuchała, jak Alex ubolewa nad losem biednej Jane, zmuszonej kolejną sobotą przesiedzieć w pracy, przekomarza się z nią, że wcale nie marzy o powrocie do szpitala, co to, to nie, wreszcie ma wolny weekend, a w ogóle to nie ma go w Londynie, ale jak wróci, to przywiezie jej butelkę calvadosu. Lucy pomyślała, że jest rozmowniejszy niż zwykle. Potem wolną ręką ścisnął dłoń Lucy i spytał: czy mogłaby sprawdzić w archiwach, z jakiego regionu kraju przyjechało serce dla Lucy?

- Jane, nie prosiłbym cię o to, gdyby to nie było ważne. - Czas znowu stanął w miejscu. Lucy wpatrywała się w Alexa, czekając na odpowiedź. Kiwał głową. - Tak, rozumiem. Jane, dałabyś radę ustalić coś więcej? Może pamiętasz nazwę szpitala? - I nagle przestał owijać w bawełnę. - A jeszcze lepiej, Jane, mogłabyś mi po prostu podać... nazwisko dawcy?

Szczebioczący głos, dobiegający z telefonu, nagle się urwał; nawet Lucy słyszała tę ciszę. Alex patrzył na nią z nieprzeniknioną miną.

-A możesz mi chociaż powiedzieć... i o nic więcej nie będę już pytał... Czy to nazwisko mogłoby mi coś mówić? — Lucy słyszała, jak dźwięczny zwykle głos Jane — z tą jej zaraźliwą irlandzką żywiołowością - nagle staje się matowy. Lucy zdawała sobie sprawę, że nawet jeśli Jane wtedy niczego nie skojarzyła, mogła skojarzyć po śmierci Willa, kiedy w szpitalu rozeszła się wieść o stracie Alexa. Ten właśnie nieomal miażdżył jej palce. - Nic nie szkodzi. Nie martw się. I tak bardzo mi pomogłaś, dziękuję ci. Jane, leć do domu, do rodziny.

Alex skończył rozmowę. Spojrzał w aksamitne oczy Lucy, pociemniałe, niemal grafitowe, i objął ją bez słowa. Odpowiedziała tym samym, przepelniona współczuciem, a kiedy w końcu przestał ją tak mocno ściskać, powiedział tylko:

-Skąd tak naprawdę wiedziałaś?

Szybko podjęła decyzję. Alex to rozsądny

człowiek, bardzo tolerancyjny wobec innych, bez względu na to, co sądzą, jak się modlą i do kogo; niemniej to człowiek twardo stąpający po ziemi, wierzący tylko swoim pięciu zmysłom. Teraz jednak wzięła go za ręce i spojrzała ze spokojną siłą. Czowała, że wtedy, w katedrze, widziała przebłysk krainy umarłych; zamierzała mu szczerze o tym powiedzieć, nawet jeśli w odpowiedzi usłyszy tylko drwiny.

- Wczoraj wieczorem widziałam Willa. W tych światłach. W labiryncie.

Wzięła oba kieliszki i zaprowadziła Alexa do salonu. Kiedy siedzieli przy kominku, opowiedziała mu, jak zastanawiała się nad słowami z perga-

minu Willa, jak złożyły jej się w słowo William. Jak słyszała głos mówiący o dwóch duszach teraz stanowiących jedność. Z początku odczytała te słowa jako wyraz swoich rosnących uczuć do Alexa - co było prawdą. Ale miała wrażenie, że mają i drugie, ukryte znaczenie. Czyjaś omega — koniec — stała się jej alfą - początkiem. A potem, jak wyznała, naprawdę zobaczyła twarz Willa. W pierwszej chwili pomyślała, że to twarz Alexa - ta, którą najbardziej chciała zobaczyć. Jednak rysy w świetle świec były jakby inne: podbródek trochę bardziej kanciasty, twarz nieco szersza, o odrobinę mniej wyrazistych rysach, włosy znacznie ciemniejsze, bardziej kręcone, lecz podobieństwo do Alexa wciąż było znaczne.

-To była twarz tego ślicznego chłopca, kiedy już wyrósł na mężczyznę.
- Wskazała Willa na zdjęciu, które stało na półce nad kominkiem; fotografia przedstawiała braci z czasów, kiedy byli dziećmi; mieli może dziesięć i dwa naście lat. Lucy widziała między nimi więcej podobieństw niż różnic.

A potem, jak tłumaczyła, nagle usłyszała ten

głos. Dosłownie. Pomyślała, że Alex musi rozmawiać z nią w myślach.

-Tak - przyznał zaskoczony - rzeczywiście o tobie myślałem. - Nie musiał zapewniać, ona to po prostu wiedziała. Po pewnym czasie doszła do wniosku, że i w tym musi się kryć kolejne, głębsze znaczenie. Głos Willa też słyszała, tak bardzo podobny do głosu brata, może trochę bardziej melodyjny, trochę weselszy i już nie tak kojący. I poczuła, jak ociera się o nią coś niematerialnego. Will też tam był, przemierzał labirynt po raz drugi, razem z nią. Alex może jej wierzyć albo nie. To nie ma znaczenia. Ona wie, że to prawda.

Minał dłuższy czas, zanim się odezwał. Myślał o lekarce z Ameryki Południowej, która podarowała mu powieść Marqueza, ostrzegając, że w przestrzeni między światem realnym a duchowym czai się szaleństwo.

Upił wina i w końcu powiedział:

-Badano takie zjawiska, wciąż się je bada. To się nazywa „pamięć ko

mórkowa". Niektórzy lekarze kategorycznie uważają ją za mit. Inni stawiają hipotezę, że komórki mają coś na kształt umysłu, by tak rzec, i że kiedy przenosi się tkanki z jednego organizmu do innego, nie wymazuje to wspomnień, które są w tym „umyśle” zgromadzone. Możliwe, że łańcuchy aminokwasów, które odpowiadają za przekazywanie komunikatów między mózgiem a różnymi częściami ciała, powstają także w sercu. Nigdy nie zająłem konkretnego stanowiska na ten temat. Wiem, że było kilka głośnych przypadków, zwłaszcza w Stanach; naprawdę wyjątkowych historii, po których

zachowywanie uprzedzeń byłoby naprawdę nie fair. Niczego jednak nie udowodniono ponad wszelką wątpliwość. Jeśli mózg nie jest jedynym ośrodkiem świadomości, a serce, jak sugerują niektórzy, ma swój własny złożony system nerwowy, to wtedy być może coś takiego miałyby miejsce. - Podniósł na nią wzrok i stwierdził, że wsłuchuje się w każde jego słowo, nie chcąc niczego uronić. - Courtney z miejsca nazwałaby to bzdurą, ale pomówię z Amelem. Na pewno ma na ten temat jakąś opinię i warto ją usłyszeć. - Przez chwilę trzymał kieliszek pod światło. - Ale to jest dziwne. Nie każdy tego doświadcza. Może gdyby to była reguła, łatwiej byłoby ją udowodnić.

Lucy patrzyła na niego ze smutkiem; jeszcze nie rozproszył wszystkich jej obaw.

- Alex, bez względu na to, czy potrafisz uwierzyć w impresje, o których ci opowiadałam, czy nie, co z najważniejszym? Z możliwością, że mam serce Willa. Dla ciebie to wciąż byłaby tylko pompa? Czy to dla ciebie problem?

Alex siedział przy kominku, odchylony do tyłu, podpierając się dłońmi o podłogę. Dźwignął

się, by jej dotknąć, by pogłaskać ją kciukiem po policzku.

-Lucy, Will umarł. Sam wszystko sprawdziłem, byłem przy nim do samego końca. Teraz już wiesz, czemu nie mogłem być z tobą.

Położyła dłoń na jego plecach.

-Cokolwiek Will zabierał z sobą odchodząc, nie miało to nic wspólnego z bijącym sercem. Jeśli śmierć mojego brata w jakikolwiek sposób przyczyniła się do tego, że wciąż żyjesz, będę mu za to wdzięczny do końca moich dni, do mojego ostatniego tchnienia. - Ujął jej twarz w stulone dłonie i spojrzeniem dodał jej otuchy. - Czy dla ciebie to problem?

-To ty pocałunkami obudziłeś moją duszę, Alex. Przez całe moje życie kryła się w półmroku, dopóki ty mi nie pokazałeś, że jednak można ufać. Ale sądzę, że Will także odegrał w tym pewną rolę. Pierwszy raz poczułam, że powinnam słuchać głosu serca. Will musiał mieć bardzo gorące serce, skoro rozgrzało nawet taki sopel lodu jak ja. Jeśli to tylko moja psychika radzi sobie w ten sposób z tym, co się stało, cóż,

jakoś się z tym pogodzę. Dla mnie to nie jest tylko pompa, która tłoczy krew. Ja chyba czuję jego - szukała słowa w jakimkolwiek języku, które najtrafniej oddawałoby to przedziwne wrażenie - *joyance*. W końcu. On na nic nie dybał, Alex; nie nawiedza mnie. Czuję, jak stoi w czystym powietrzu, gdzieś wysoko. Czuję, ile w nim było humoru, aż do końca. Nigdy nie bałam się śmierci; on sprawił, że mniej obawiam się życia.

-Ze wszystkiego co mówiłaś, myśl o jego niepokornym poczuciu humoru aż po kres jest najbardziej przekonująca. - Alex zaśmiał się cicho. Chciał w to wierzyć. — O jedną rzecz wyklócaliśmy się szczególnie zajadle. Jeśli chodzi o odkrycie Newtona, poglądy Willa plasowały go gdzieś w poczcie poetów romantycznych. Keats, Lamb chyba też, utrzymywali, że sir Isaac zabił poezję tęczy, sprowadzając ją do wiązki światła rozszczepionej przez pryzmat: a Will podchwycił tę melodię, po części po to, żeby zobaczyć, jak na to za reaguję. Przez całe życie doskonaliłem się w patrzeniu na świat oczami Newtona i pewnie robiłbym to dalej, ale dzisiaj sprawiłaś, że muszę jeszcze raz wszystko sobie przemyśleć. Może serce nie jest tylko organem. I może wszyscy musimy ocalić choć odrobinę boskości każdej tęczy. Zobaczyć ją jako coś więcej niż tylko sumę cząstek.

Alex delikatnie rozwiązał poły jej miękkiej

kaszmirowej kopertowej bluzki i czule, zmysłowo powiódł opuszkami palców między jej piersiami. Pocałował ją.

-Jak cudownie, że jesteśmy tu razem. -I nawet jeśli to „my” miało oznaczać nie tylko ją i Alexa, to zupełnie jej to nie przeszkadzało.

NA WIDOK MĘŻCZYZNY W DROGICH DIZAJNERSKICH DŻINSACH I W JESZCZE droższej jasnej sztruksowej kurtce, przechodzącego tuż obok jego samochodu, Simon aż się zagotował; odwrócił wzrok od bocznego lusterka i odczekał kilka sekund, a potem gwałtownie wyskoczył zza kierownicy, zatraskując przed nosem niczego się niespodziewającego Calvina drzwi jego własnego mieszkania. Wbiegłszy po paru schodach, już brał zamach, żeby go uderzyć, ale Calvin wykazał się zadziwiającym refleksem i przytrzymał umięśnione ramię napastnika, zanim jego pięść dosięgła celu.

-Możemy to załatwić tutaj, jeśli chcesz, ale może byłoby lepiej, gdybyś wszedł do środka?

Simon był nieco zbity z tropu.

-Nigdy nie miałem brata, Calvin; mam tylko

matkę. Will Stafford był dla mnie wszystkim: a coś mi się zdaje, że ty wiesz o jego wypadku więcej niż się przyznajesz.

Obaj mężczyźni patrzyli na siebie z napięciem, które nie uszło uwagi kobiety idącej chodnikiem i niosącej torbę ze świeżo kupionym pieczywem; odwróciła wzrok i przyśpieszyła, ostentacyjnie zajęta swoimi sprawami. Obaj obserwowali się czujnie, starając się przewidzieć następny ruch tego drugie-

go; dopóki Calvin ponownie nie zaprosił nieoczekiwanego gościa w swoje... skromne progi. Uprzedzam, że to klitka... Ale lepiej już wejść. - Puścił rękę Simona, a kiedy przekręcił klucz w zamku i wszedł, gość bezceremonialnie wepchnął się tuż za nim.

Mieszkanie Calvina w niczym nie przypominało studenckich kawalerek, z którymi miał dotąd do czynienia Simon. Gdy rozglądał się po pomieszczeniu pełniącym funkcję salonu i gabinetu, uderzyła go sterylność czystości oraz ascetyczne umeblowanie: niewielka liczba książek ustawiona była w schludny rząd, starannie ustawione buty, płaszcz w pokrowcu z pralni chemicznej. Nieliczne, ale drogie rzeczy. Alex był zorganizowany i lubił porządek; lecz jego kuzyn wydawał się mieć na jego punkcie niemalże obsesję. Trudno sobie wyobrazić dziwniejszego następcę Willa w życiu Sian, pomyślał Simon.

Calvin sztywno usiadł na sofie; wszystkie mięśnie miał napięte. Dopiero po chwili poprosił, żeby Simon usiadł w obitym jaskrawą tkaniną fotelu w stylu art deco, stojącym dokładnie

naprzeciwko niego. Ale jego gość wolał nie siadać.

— Proste pytanie, Calvin. A pytam uprzejmie, bo jesteś, niestety, związany z osobami, które są mi szczególnie bliskie. - W głosie Simona rozbrzmiewały nieumiejętnie ukrywane emocje, za co był na siebie wściekły. - Chcę wiedzieć wszystko o kluczu, o papierach Dee i o typach, z którymi masz jakieś konszachty. Jestem skłonny nie wierzyć w nic, co do tej pory padło z twoich ust, więc daruj sobie te dyrdymały i powiedz mi prawdę. Mogłeś omamić Alexa, który zawsze szuka w ludziach tego, co w nich najlepsze, ale ja nie jestem taki wyrozumiały, a moi dwaj serdeczni kumple ze Scotland Yardu ogromnie ucieszyliby się, gdybym tylko dał im cynk.

Calvin wyraźnie zwlekał z odpowiedzią. W końcu powiedział matowym, cichym głosem:

— Wszystko... wymknęło się spod kontroli. Ja zawsze chciałem czegoś innego niż oni. - Podeszedł do biurka, wysunął

szufladę i wyjął z niej dwie książki w miękkich okładkach, podniszczone od częstego czytania. Podał je gościowi i wrócił na sofę, nie zamierzając dać się ponaglać we własnym domu.

- Ludzie, z którymi studiuje, wierzą w to, co jest zapisane w Biblii, i przeinaczyli ją w takim stopniu, by móc napisać o niej te dwa tomy. Możesz się z nich śmiać, Simon - dodał, widząc jego ironiczną, pełną niedowierzania minę - ale ich nie lekceważ, proszę cię. Wierzą święcie, że Chrystus powróci na ziemię i że ten dzień jest już bliski. Teorie Dee leżą w polu ich zaintereso-

wań. Te książki są częściami serii, a ich autor należy do najpopularniejszych autorów w historii literatury amerykańskiej. Ich pojmowanie teologii nie pokrywa się z moim. Ich polityka nie jest moją polityką.

Simon patrzył na okładki książek, nie mając pojęcia, o co Calvinowi chodzi. Na jednej widniały cztery konie w galopie, na drugiej lufa jakiejś broni, ale nic mu to nie mówiło. Niemniej zauważył, że Calvin ma dziwny nastrój, gdy znowu się odezwał.

- Naprawdę wierzę w Jezusa, Simon, i w kazania, we wszystko, czego uczy nas Pismo Święte. Ale żeby wiara miała wpływać na naszą kulturę i cele polityczne - żeby wykorzystywać ją jako argument moralny na korzyść prowadzenia wojny? Nigdy się z tym nie zgodzę. Mój szef jest charyzmatycznym człowiekiem, ale robi z religii broń, którą chce zagrozić światu. Ja się od tego kategorycznie odcinam.

Simon został i jeszcze przez blisko godzinę słuchał tego, co chciał mu powiedzieć Calvin. Potem wyszedł, ściskając pod pachą dwie książki o osobliwych tytułach i niepokojących obrazach

na okładkach. Na upartego dałoby się w to uwierzyć, pomyślał. Niewykluczone, że Calvina łączyło z tymi typami zainteresowanie teologią, a nie polityką. Ale dziennikarska intuicja podpowiadała mu, że coś się tutaj nie zgadza i że Calvin w gruncie rzeczy nader powściągliwie wypowiadał się na temat tego, czym obecnie zajmują się jego znajomi. Wyszedł, nie dowiedziawszy się, co czyni teksty Johna Dee bezcennymi dla interpretatorów Ewangelii, z którymi zadawał się Calvin, ani też jaką wartość — na płaszczyźnie osobistej czy zawodowej — mają dla samego Calvina.

Zamierzał jednak się tego dowiedzieć.

- CZY TO TY ZERWAŁEŚ WCZORAJ TĘ RÓŻĘ I PRZYNIOSŁEŚ JĄ TUTAJ?

Lucy, przyciskając do ciała ciepły ręcznik, wstała z kąpieli i przyjrzała się bliżej lekko zwiędłemu kwiatowi. Był pachnący i kolorowy, ale kiedy spojrzała uważniej, dostrzegła, że jest podniszczony, prawdopodobnie przez deszcz.

- Powinieneś to zrobić wczoraj, dwudziestego pierwszego, w wiosenne ekwinokcjum.

Obok niej pojawił się Alex. Wyszedł z sąsiedniego pokoju - sypialnie obu braci miały wspólną łazienkę.

- Nie. Myślałem, że to ty ją zerwałaś. Byłem zdziwiony, że udało ci się o tak wczesnej porze znaleźć różę. - Alex pokręcił głową. - Pożałowałem nawet, że sam tego nie zrobiłem, chociaż wątpię, czy już coś jest z kwiatów. Ktoś tutaj był? Może wynajął dom? - Podszedł bliżej i przyjrzał się róży. — Właściwie jest już zwiędła,

prawda? Chociaż pięknie się zachowała. Tak jakby zakonserwował ją mróz na krzaku.

-I pachnie tak cudownie mirą. Jak myślisz, dawno ją zerwano?

Nie czekając na odpowiedź, wróciła do sypialni. Okiennice były już otwarte, podobnie jak okno. Alex przyniósł na tacy śniadanie — dzbanek z herbatą i maślaną bułeczkę.

-Pijesz teraz moją herbatę? - roześmiała się. - Rozpieszczasz mnie. Jutro muszę wrócić do prawdziwego świata i czeka mnie raczej długi dzień.

Alex zastanawiał się przez chwilę, z czego może się aktualnie składać ten „prawdziwy świat”, ale odpowiedział rozmyślnie lekkim tonem:

-Tak jak my wszyscy. Polecimy około czwartej. Muszę najpierw zwrócić samochód i zapłacić za jego przetrzymanie. Powinniśmy zjeść wcześniej lunch.

-Chciałabym stąd w ogóle nie wyjeżdżać. — Lucy bez problemu wy czuła u Alexa ślad jego niewypowiedzianej myśli.
- Jest mi tu tak bezpiecz nie: tak jakby to miejsce otoczyło mnie swoimi ramionami. A pościel pach nie lawendą...

Czuła się głęboko poruszona tym, że przyjechała tutaj, do domu matki Alexa, i wydawało jej się, że znalazła coś, czego nigdy nie miała, choć wcześniej nie zdawała sobie z tego sprawy. Mieli za sobą dzień pełen napięcia, ale miejsce to wydawało się na nich działać jak filtr, oczyszczający miłością. W obecności Alexa czuła się odprężona, uzdrowiona, wyleczona. Opuściła ręcznik i podeszła do okna, po raz pierwszy od wielu miesięcy nie przejmując się tym, by zakryć swoje okaleczone ciało. Słońce odniosło właśnie zwycięstwo nad deszczem i wymalowało na niebie podwójną tęczę.

- Aleksie, popatrz.

Dołączył do niej, obejmując ją od tyłu rękami i opierając się o parapet.

- Poezja i nauka. - W jego oczach pojawił się adresowany do niej uśmiech. - Przed lunchem musisz zobaczyć ogród.

- Pozwól, że dzisiaj to ja będę dla ciebie gotowała - zaproponowała.

Nie zaprotestował.

Trawa była mokra, a w sadzie gdzieniegdzie leżały jakieś gałązki, ale poza tym burza nie spowodowała zbyt wielu szkód. Lucy spojrzała na bujne krzaki róż, które właśnie zaczynały pączkować, wypuszczając drobne pędy, na których jednak trudno było dostrzec kwiaty. Dotknęła spirali fontanny, postawionej w samym środku grządek, a Alex wyjaśnił, że to dzieło rąk jego matki. Woda przelewała się, zamarzała; Lucy odgarnęła lód i spojrzała na stojący pośrodku fontanny posąg Wenus. Na kamiennym murku, tworzącym za kwiatami wiatrochron, zauważyła zegar słoneczny - jego wiekowe żelazne ramię wskazywało na boginię. Słońce

świeciło na tyle jasno, że można było sprawdzić, czy zegar wskazuje właściwą godzinę; Lucy, jak dziewczynka usiłująca zgłębić jakąś tajemnicę, spojrzała na swój zegarek. Zmarszczyła nos - godzina się nie zgadzała. Alex się roześmiał.

-Został wyskalowany na księżyc. Moja matka miała na imię Diana, jak bogini księżyc, i uwielbiała księżyc. Przez jakiś czas używała zegara słonecznego stojącego w innej części ogrodu, ale musieliśmy brać na niego poprawkę. Pamiętam, że każdego dnia przed i po pełni, kiedy południe odpowia-

dało północy, trzeba było do wskazywanej przez niego godziny dodawać lub odejmować czterdzieści osiem minut. Później jednak wymagało to mnóstwa obliczeń. Ten zegar ma więc już poprawki wpisane w tarczę.

- Magiczne. Miałaś cudowną matkę.

Alex skinął głową. Smutek, który Lucy dostrzegła na jego twarzy, wywołany był w mniejszym stopniu poczuciem straty po śmierci jego matki, co zrozumieniem tego, czym w życiu Lucy była nieobecność jej własnej. Nie powiedział jednak na ten temat ani słowa, odkładając to na jakąś inną okazję.

- Pójdziemy do sadu?

Lucy, oddalając się z królestwa zegara księżycowego, nastąpiła na luźną płytkę, na której była wyryta duża gwiazda. Alex usłyszał szczęknięcie.

- Muszę je naprawić. Jeżeli uda mi się kiedyś znowu wyrwać na długi weekend, to zrobię tutaj trochę porządku, oczywiście pod warunkiem, że będzie ładna pogoda. Zabiorę z sobą do pomocy Maxa. A może i ty włożysz rękawice ogrodnicze?

- Nawet nie musisz pytać.

Doceniła wzmiankę o synu. Wzięła Alexa za rękę i poprowadziła go w stronę kępki drzew. Gdy trawa zrobiła się długa, mokra i splątana, Lucy wskoczyła mu na barana. Pomyślała o swoich lekarstwach, zastanawiając się, czy to nie halucynacja. Ale Alex był tuż przy niej, rozsiewając wokół siebie delikatną wetiwerową nutę Acqua di Parma oraz ziemisty zapach dymu z palonego drewna; pocałowała go w szyję.

ZADZWONIŁ DO MAXA - KTÓRY CIĄGAŁ SIAN PO WSZYSTKICH SWOICH ULUBIONYCH miejscach — a Lucy w tym czasie pocięła szalotki i cytryny oraz ułożyła na półmisku zakupioną dzień wcześniej na rynku tilapię. W kuchni wspaniale się gotowało - była dobrze oświetlona i przestrzenna, odpowiednio wyposażona, bogato zaopatrzona w zioła. Lucy włożyła rybę do piekarnika i nastawiła w samowarze ryż, po czym wzięła do ręki szklankę wody i przeszła do salonu, zmierzając prosto do pianina. Alex wyjaśnił jej, że tak naprawdę należało ono do Willa; Lucy chciała go dotknąć. Nie grała od lat — choć kiedyś była w tym całkiem dobra - pragnęła się jednak przekonać, czy może zacząć od nowa. Spojrzała

na leżące na pianinie nuty i przełknęła ślinę.

- Spróbujesz zagrać coś z tego? - dołączył do niej Alex.

- To trochę nie moja liga. Waldstein, impromptu Schuberta... Chopin, którego, jak wiadomo, nie da się zagrać. Nie widzę ani jednego prostego nok-

turnu. Czy Will był aż tak dobry? - Alex zdecydowanie skinął głową, a ona pokręciła swoją: - W takim razie powinnam poćwiczyć. — Podeszła do wiolonczeli i spojrzała nagle na Alexa. - A ona była twoja. Własność boga Apolla. Roześmiała się. Nie zabrzmiało to jak pytanie.

-Przestałem grać. Nie mam czasu. Wykonywaliśmy razem tria. Byłem najśłabszy. Matka grała świetnie na skrzypcach. Gdy była już tak chora, że nie mogła nam towarzyszyć, rzuciłem to. Will zawsze dla niej grał. W czasie deszczu siedział tutaj przez cały czas. Kiedy graliśmy razem po raz ostatni, chyba jeszcze była zdrowa. - Głos Alexa nagle zabrzmiał głucho i niewyraźnie. — Proszę, zagraj coś. Milczące pianino wywołuje smutek. To wspaniały instrument.

-Nie spodziewaj się zbyt wiele.

Powiedziała to nieśmiało, ale bardzo chciała coś zagrać. Wpatrywała się w Alexa na tyle długo, że udało jej się sformułować myśl, po czym usiadła; jej dłonie bez skrepowania odnalazły właściwą drogę. Alex słuchał. Grała De-bussy'ego. Nie jakiś specjalnie trudny utwór -

taki, któremu była w stanie podołać; grała jednak z ogromnym zaangażowaniem. Najbardziej uderzył go jej wybór. Utwór był krótki. Kiedy skończyła, skinął głową z aprobatą.

- „La filie aux cheveux de lin” - jego głos odpłynął w dal. — „Dziewczyna o płowych włosach”. Will nazywał go: „Dziewczyna o końskich udach”. — Lucy się roześmiała. — Zapomniałem już, jak jest piękny. Możesz zagrać jeszcze raz?

Z radością spełniła jego prośbę; lata odpłynęły gdzieś w dal. Nadszedł znowu dzień jego ślubu; zenił się z Anną, której włosy, jak zauważył kiedyś Will, były niczym „wiatr w polu kukurydzy”. Zagrał dla nich ten utwór w kościele w wiosce Anny w Yorkshire, ostrzegając Alexa, by jeżeli rzeczywiście kocha żonę, zawsze trzymał ją mocno w ramionach. Alex zaczął się zastanawiać, co Will chciał mu teraz za pośrednictwem Lucy powiedzieć — czyżby chodziło o to, by nie popełniał po raz drugi tego samego błędu i nie wypuszczał jej z rąk? Jej włosy były ciemne, jedwabiste i fizycznie w ogóle nie przypominała Anny, Alexa ogarnęła jednak

czułość, jakiej jeszcze dzień wcześniej nie byłby w stanie sobie nawet wyobrazić. Zaskoczyło go to. Podeszedł do Lucy i ucałował jej włosy.

- Dziękuję.

LUCY SZOROWAŁA TALERZE, A ALEX WYRZUCAŁ RYBIE RESZTKI DO KUBŁA, KIEDY zadzwonił jego telefon komórkowy. Żałował, że w ogóle go tego dnia włączył, ale przecież nie mógł wrócić do szpitala, więc spojrzał na Lucy pełnym optymizmu wzrokiem i odebrał.

- Alex Stafford.

- To jest połowa. Przejrzeliśmy to i brakuje połowy stron.

W słuchawce brzmiał głos partnera Alexa od szermierki słownej z piątkowego wieczoru, lekko zaprawiony charakterystycznym, przywodzącym na myśl Kentucky zaśpiewem.

- Nie mam pojęcia, o co panu chodzi. To wszystko, co mam. Może miałyby pan ochotę sprawdzić w książkach, których to bez wątpienia pan nas pozbawił?

- W takim razie nie znalazł pan wszystkiego. Na ostatniej stronie jest napisane wyraźnie: „odnajdziesz mnie w orbity połowie”. To połowa dokumentów. Podejrzewam, że to, czego naprawdę szukamy, znajduje się w drugiej części. Proszę się więc zastanowić, doktorze Stafford: wiele od tego zależy. Gdzie może być reszta?

- A co chcecie tam znaleźć? Rąbek anielskiej szaty?

- Zbyt uparcie trzymają się pana żarty, doktorze Stafford. Radziłbym dobrze zastanowić się nad pytaniem, które właśnie panu zadałem. Zdaje pan sobie sprawę, że jestem człowiekiem, który

niezłomnie dąży do swego. Zadzwońię jutro o tej samej porze. Oczekuję odpowiedzi.

Rozłączył się.

Lucy przyjrzała się Alexowi. Dotarły do niej jakieś strzępy rozmowy i natychmiast zorientowała się, o co chodzi.

- Czy dałeś im wszystko?

Alex skinął głową.

- Wszystkie oryginały. Mam jeszcze zestaw kopii, które zrobiłem dla ciebie, żebyś mogła pracować, nie przejmując się wiekiem dokumentów. Niczego nie zatrzymałem, o ile mi wiadomo.

- Powinniśmy się obawiać tych ludzi?

- Żebym to ja wiedział. - Zawahał się. - Jak do tej pory, twój instynkt zawsze się sprawdzał. Czy czujesz, że jest tego więcej?

Zdjęła gumowe rękawiczki i oparła się o zmywak.

- Ciągle nie opowiedziałeś mi, do czego doszedłeś na podstawie pierwszego arkusza papierów Willa. Powiedziałeś mi tylko, że znalazłeś rozwiąza

nie. Przypuszczam, że nieco inne niż ja?

Alex wziął ją za rękę i zaprowadził do regału w korytarzu.

- Możesz znaleźć Biblię? - Oboje zaczęli przeszukiwać półki i Lucy wy patrzyła po chwili księgę w lekko wytartej oprawie, opatrzoną przez rodzi-

ców chrzestnych Alexa dedykacją z dnia jego chrztu: „Niedziela palmowa, 1970”. -Tak, doskonale, to Biblia króla Jakuba.

Ruszyła za Alexem w stronę kanapy, a on po drodze zaczął jej wszystko wyjaśniać.

-Podobnie jak ty, zrozumiałem pierwszą część jako „William”. Założyłem, że było to adresowane do Willa. Potem zacząłem myśleć o kimś, czyje alfa i omega przypadły na ten sam dzień; natychmiast przyszedł mi do głowy Shakespeare - okres się zgadzał, imię też. Sprawdziłem więc i okazało się, że miałem rację — rzeczywiście umarł dwudziestego trzeciego kwietnia, a urodził się prawdopodobnie tego samego dnia; trop wydawał się obiecujący. Pomyślałem o „pieśni o równym mi numerze” z „księgi starego króla”, a ponieważ z lektury *Pieśni nad pieśniami* nic nie wynikło, doszedłem do wniosku, że chodzi o psalmy. Zajrzałem więc do słynnego Psalmu dwudziestego trzeciego i pobawiłem się w liczenie. I nic. Ale popatrz, co się dzieje, jeżeli pomnożymy liczbę dwadzieścia trzy razy dwa, tak by z dwóch połówek — dnia narodzin i śmierci - powstała jedna liczba.

-Czterdziesty szósty? - Lucy znalazła w Biblii Psalm 46. Oboje spojrzeli na siebie znacząco, bo z zagięcia strony wypadła nagle wymięta gałązka palmy w kształcie krzyża. — Takie palmy robi się w niedzielę palmową. Czyżby gałązka leżała tutaj od dnia twojego chrztu?

Alex z niedowierzaniem pokręcił głową.

-Ciekawe... zaznaczono nią właśnie to miejsce. Odlicz tę samą liczbę słów od początku i powiedz mi, co znalazłaś.

Lucy odliczyła paznokciem czterdzieści sześć słów i spojrzała na Alexa z uśmiechem na twarzy.

-„Shake”? Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że jeśli odliczę tę samą liczbę od końca...?

-Pomiń ostatnie słowo, pamiętasz? W tej wersji brzmi ono „koniec”, ale w Biblii, którą miałem w mieszkaniu, a którą Will wcisnął do swojego plecaka, było: „amen”.

Lucy zrobiła, co kazał, i zadrzała, kiedy jej palec zawisł nad czterdziestym szóstym słowem: „spear”.

-Aleksie, jesteś geniuszem. Ale czy to prawda?

-Zgodzisz się ze mną, że cały komunikat brzmi: „William Shakespeare”, który zresztą,

przypadkowo, w roku wydania Biblii Króla
Jakuba skończył czterdzieści sześć lat?

- „Czy to nie dziwne — po wielokroć dziwne?”

Ale czy to zamierzony szyfr?

-Wydaje mi się, że Shakespeare jest jakoś wpisany w te dokumenty - jak, trudno mi sobie wyobrazić. Ale nie przybliżyła to nawet o krok odpowiedzi na pytanie, gdzie jest „reszta”, prawda?

Lucy zaświeciły się oczy.

-Czy Will dotarł tak daleko?

-To ty powinnaś wiedzieć. — Alex żartował z niej, ale bez złośliwości.

-Oddałbym wszystko, żeby się dowiedzieć, co robił w ciągu kilku godzin po tym, jak odwiedził katedrę i przeszedł labirynt. Z wiadomości, którą mi zostawił, wynika, że miał mi coś do powiedzenia; a kiedy przejrzałem jego rzeczy, znalazłem kartkę z Chartres - tę z dziczyzną, którą zostawiła mu moja matka

— i rachunek z lunchu w brasserii; obciął też włosy, a na kawałku ozdobnego papieru naszkicował jelenia lub łanię; jak wiemy, kilka minut przed trzecią zamówił również dla Sian kwiaty. Ale prom odpłynął o wiele później. Co się działo w jego głowie przez te brakujące godziny?

Lucy spojrzała na niego.

- Sama chciałabym wiedzieć, Aleksie. Ale nie jestem Willem. Po prostu noszę w sobie dosyć istotną jego cząstkę. Jeżeli jednak moje instynkty są cokolwiek warte, powiedziałabym, że kilka rzeczy wydaje się znaczących. Te kwiaty, które zamówił dla Sian - czy nie mówiłeś wcześniej, że to były róże?

- Białe. Na jej urodziny, do których został wtedy jeszcze miesiąc.

Lucy skinęła głową.

- Wyczułam w labiryncie zapach róż. Być może w ciepłym powietrzu po czułam perfumy, które mi dałeś; ale może to cecha samego labiryntu. A może nie. Czy ta róża na górze może mieć pół roku? Czy zwiędłaby, tak pięknie się zachowując? A może leżała już tam, kiedy Will tutaj przyjechał?

Alex wzruszył ramionami.

- Zastanawiasz się, czy to on ją zerwał?

- Był tutaj w dzień jesiennej równonocy. Mamy więc różę równonocy, dziczyznę. I jelenia. To

interesujące, nie sądzisz? Czy jelenie nie jest przypadkiem narzędziem bogini Diany? - Lucy nie czekała na odpowiedź. - Przecież to jelenie widniał na gorsecie kobiety z twojej miniatury. Moim zdaniem Will mógł tutaj wrócić. Czy jadąc na prom, miał tu po drodze?

-Co masz na myśli?

-A może twoja matka dawała mu wskazówki?

- W głowie Lucy pojawił się nowy pomysł, więc spojrzała na Alexa. - Jak brzmiała dokładnie treść jej adresowanego do niego przesłania - tego z kluczem?

-Coś w rodzaju: „Dla Willa - kiedy stanie się kimś, kim teraz nie jest...” — Alex spróbował podążyć za tokiem rozumowania Lucy. — Przypuszczam, że chodzi o ciebie, Lucy. Jeżeli myślisz jak poeta, a nie jak naukowiec. Być może klucz był tak naprawdę przeznaczony dla ciebie.

-Oni zabrali jego złotą kopię, którą zrobiłeś mi na urodziny.

-To bez znaczenia. Kiedy wrócimy do domu, musisz odzyskać oryginalny srebrny klucz.

-Jesteśmy elementem tej zagadki, Alex. Razem mamy ją rozwiązać. Czy to nie Alexander przeciął węzeł gordyjski? Alex się roześmiał.

-Żeby było zabawniej, na naszym herbie rodzinnym - rodziny Staf-fordów - widnieje węzeł. Myślę, że nazywając mnie Alexandrem, rodzice splatali mi swego rodzaju figla. Tyle że ten węzeł był elementem heraldyki Staffordów co najmniej od piętnastego wieku. No i nie należał do rodziny mojej matki.

-Ale Staffordowie wydają się również częścią tej tajemnicy. Za panowania królowej Elżbiety ambasadorem we Francji był między innymi Stafford. To on zapewniał kontakt z hermetystą

Giordanem Bruno, spalonym na stosie nie gdzie indziej, ale na Campo de' Fiori - „placu kwiatów” - do czego zresztą nawiązuje pewnie ten pierwszy dokument, który otrzymał Will. Myślę też, że Will zdawał sobie z tego sprawę. Czytałam coś na ten temat, kiedy szukałam informacji na temat Dee, wydaje mi się również, że wspominał o tym Simon. Związek z nazwiskiem Staffordów natychmiast rzucił mi się w oczy. Sprawdzę swoje notatki. Zastanawiam się, czy był ich krewnym.

Nagle spojrzała na Alexa z błyskiem zrozumienia w oku.

-Ogród węzłowy. Róże. Glob księżycy.

Królestwo Diany. Zajrzyjmy tam.

Palec Lucy ześlizgnął się po spirali, którą Diana ozdobiła swoją fontannę. Jej wykonana z lustrzanej porcelany ścieżka wiała się przez błękitny i ru-binowoczerwony wzór, ułożony w mozaikę z potłuczonych chińskich talerzy o tak idealnie dopasowanych kolorach, że Lucy zorientowała się, iż musiały zostać rozbite celowo. Fontanna była płytka, a jej brzegi wykończono muszlami; srebrzyste kawałki

tłucznia odbijały niebo i rozciągający się wokół krajobraz. Lucy pomyślała o Pani z Shalott haftującej przed lustrem. Ruszyła ścieżką w stronę Wenus, myśląc o delikatnych palcach Alexa, przebiegających wzdłuż blizny wokół jej piersi, krążących wokół jej serca. Sam ten ruch był zmysłowy, hipnotyczny, jak owiany tajemnicą.

Odwróciła się do niego, żeby coś powiedzieć, ale on, wyraźnie zamyślony, spoglądał na przerobiony zegar słoneczny, więc się zawahała. Wyczuł, że zrozumiała, i podzielił się z nią myślami.

-Tą krainą nie rządzi słońce. Róże potrzebują jego siły witalnej, ale nawet w środku lata, kiedy ich zapach opanowywał cały ogród, matka długo po zapadnięciu zmroku wyprowadzała mnie z domu, by udowodnić mi, że zapach jest najsilniejszy, najbardziej kuszący wieczorem. Wszystkie kwiaty pachną nocą. W świetle księżycy róże zaczynają fosforyzować, niemal można to zobaczyć. Zegar księżycowy o północy wskazuje południe. Fontanna odbija gwiazdy: fragment nieba na ziemi. Duch tego ogrodu jest kobiecy. Matka stworzyła to miejsce, by wyrazić nim inny sposób postrzegania świata, by odwrócić normę. Słońce jest małżonkiem królowej, niezbędnym partnerem, ale nie suwerenem. Nie wystarczało jej, żebyśmy zrozumieli to za pomocą umysłu: chciała, żebyśmy stali się tego świadkami. - Odwrócił się do Lucy. — Może dlatego, że jej dom był domem

mężczyzn.

- Chyba jednak im się nie poddała.

- Nie. Ale to ją właśnie interesowało. W czasach prehistorycznych, zanim jeszcze rozumiano prawdziwą rolę mężczyzn w procesie prokreacji, to kobiety były strażniczkami tajemnicy życia i śmierci, to one przynosiły na świat życie, a męski wkład trudno było wytłumaczyć. Uważano, że kobiety posiadają wrodzoną znajomość tajemnic bogów, że są wtajemniczone w boską mądrość. Później dopiero dokonało się przesunięcie w stronę bardziej męskiego, apollińskiego, racjonalnego obrazu świata, w którym pomniejszono znaczenie tajemnic i snów oraz lunarnych, żeńskich aspektów religii. Bóg słońca, Apollo, nie opowiadał się za niewytłumaczalnym, lecz za klarownością i świadomością tego, co można objąć wiedzą. Bogiem ekstatycznych wizji i rytów związanych z księżycem był Dionizos.

- Ty i Will - odpowiedziała

Lucy.

Alex się roześmiał.

- Do pewnego stopnia. Ale mama uważała, że

małżeństwo tego, co ja
sne, z tym, co tajemnicze, nie jest bynajmniej
niedobre i że to dzięki nie
mu można zrozumieć świat. Być może sądziła, że
pod pewnym względem
ucieleśnieniem takiego związku jest ona i mój
ojciec.

Alex zamilkł, ale Lucy zrozumiała. Podeszła i
wzięła go za rękę.

- Gdybym mogła wybrać sobie matkę,
chciałabym, żeby była taka jak
twoja - powiedziała pełnym żaru głosem. Alex
był wzruszony. Lucy spoj-

rzała na pazur zegara, wskazujący rozmytą przystań Wenus, i zauważyła, że przypadkiem pokazuje godzinę między trzecią a czwartą, choć tak naprawdę była co najwyżej druga.

Alex podążył za jej wzrokiem.

- Spiesz się o znacznie więcej niż czterdzieści minut.

Lucy pomyślała o matce Alexa, pływającej się w świetle tego ogrodu.

- Wiedziałeś, że Botticelli namalował *Primaverę* oraz *Wenus i Marsa*, by uchwycić magię precyzyjnego obrazu planet, tak aby oglądający je mógł od dychać harmonią nieba? Twoja matka musiała zdawać sobie sprawę z tego, że człowiek jako istota ludzka, jako mikrokosmos uniwersum, uważany jest czasem za wyraziciela pełni stworzenia i pełni boskości.

Alex słuchał jej, ale uwaga Lucy przeniosła się z zegara na cień. Jeszcze jeden dzień i miała nastąpić wiosenna równonoc, kiedy to co męskie i to co żeńskie — słońce i księżyc, dzień i noc — znajdą się w stanie równowagi. Niebiańskie

małżeństwo. Myślała o tym, że to idealny moment dla nich - być tutaj, w tym domu. „Taki koniec byłby czymś upragnionym...” Może chodziło o ten niedokładny czas — około czwartej, tuż przed jutrzejką, ostatnią godzinę, w której rządziło światło księżyca, ostatnie chwile, zanim przebiją się przez nie pierwsze promienie wschodzącego w ekwinokcjum słońca.

-Aleksie, popatrz, gdzie akurat padają cienie.

Minęła dopiero druga, ale wskazówka cienia dotknęła płytki, na której była wyryta gwiazda i o której Alex powiedział wcześniej, że wymaga naprawy. Nachylił się nad nią i jeszcze raz się jej przyjrzał; tym razem fakt, że jest obłuzowana, przyciągnął jego uwagę. Lucy rozpuściła włosy i wręczyła mu spinkę, by podważył nią krawędź. Płytką ustąpiła bez problemu. Znaleźli pod nią wolną przestrzeń: głęboką i pustą jamę.

-Coś tam było, bez dwóch zdań.

Alex, zbity z tropu, spojrział na Lucy. Właśnie wkroczył na zupełnie nieznaną sobie teren. Wyglądało na to, że jego matka przez lata pracowała nad tym pełnym tajemnic miejscem, mając w głowie głęboko ukryty plan, o którym on

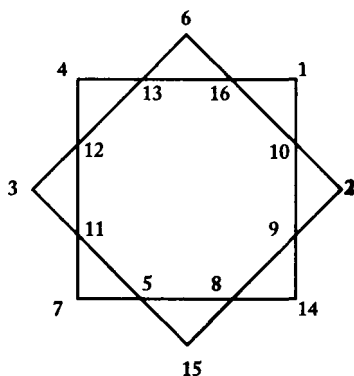
nie miał pojęcia. Pod gwiazdą musiał się znajdować jakiś przedmiot, schowany na głębokości mniej więcej starej angielskiej stopy. Akurat, żeby ukryć w dziurze jakieś pudło czy butelkę.

-Ktoś znalazł to przed nami - stwierdził.

Lucy sięgnęła ręką ponad dłońią Alexa i złapała za płytkę. Zacisnęła wokół niej palce i odwróciła ją. Spojrzeli na siebie i oboje się uśmiechnęli.

-Will.

Po drugiej stronie płytki widniała druga gwiazda w kształcie dwóch, układających się w pentagram kwadratów. Oznaczono ją mnóstwem numerów, a pod spodem wyryto jakieś słowa. Aby ją lepiej zakonserwować, ktoś ją nawet wypalił.



Pod gwiazdą napisano po włosku: *E quindi uscimmo a riveder le stelle*. W samym środku przyklejony był kluczyk. Zapasowy kluczyk do motocykla Willa.

SIMON RZUCIŁ OKIEM NA ZBLIŻAJĄCE SIĘ DO NIEGO WE WSTECZNYM LUSTERKU odbicia, ale myślami ciągle był przy Calvinie. Nie potrafił się oderwać od osobliwego wyglądu jego mieszkania — całkowitej nieobecności czegokolwiek osobistego oraz intrygującego braku książek naukowych na półkach. Dziwne, jak na siedlisko oddanego pracy studenta kursu podyplomowego, pomyślał. No i ta nieszczerza odpowiedź na pytanie o książki, że niby jego badania skupiają się tylko na takich, które są zbyt stare i cenne, żeby je wynosić z biblioteki. Czy rzeczywiście tak było? Do czego tak naprawdę dążył Calvin? Simonowi odbiły się w uszach słowa Jagona: „Nie jestem, kim jestem”. Jakie to trafne, pomyślał. W rym samym momencie zauważył trzy podskakujące głowy zbliżające się do niego. Włączył silnik.

Lucy pogrążyła się we własnych myślach. Fizyczna bliskość Alexa napawała ją poczuciem bezpieczeństwa, godzinny lot z Orly spędziła

więc w oderwaniu od świata. Pomimo niemiłej rozmowy telefonicznej oraz dziwnego odkrycia w ogrodzie węzłowym, aż do chwili, gdy zobaczyła w hali przylotów napiętą twarz Grace, nie była w stanie skupić myśli na zagrożeniu ani uświadomić sobie powagi sytuacji. Kiedy w dodatku, wskakując na tylne siedzenie poobijanego samochodu z napędem na cztery koła, zauważyła zdenerwowaną minę Simona, zadrżała. Alex usiadł przy niej, a Grace zajęła miejsce obok Simona, który wcisnął gaz zanim jeszcze wszyscy pasażerowie zdążyli zatrzasać drzwiami.

—Jestem ci winien przysługę, Simonie. Mam nadzieję, że nie byłem zbyt tajemniczy przez telefon.

-Raczej niewystarczająco tajemniczy, Aleksie —roześmiał się niespokojnie Simon. -Twoje mieszkanie czy Lucy?

Słyszając uwagę Simona, AJex pomyślał, że powinna go ona rozbawić, postanowił jednak nie komentować niepokoju wyraźnie pobrzmiewającego w głosie reportera i odpowiedział tylko na zadane mu pytanie.

-W sumie zastanawiałem się, czy nie mógłbym nam wszystkim postawić kolacji U Krykiecistów w Longparish? Chyba że macie inne plany?

-Świetny pub. Czy to nie tam Will uwielbiał wpadać na prawdziwe *alei* Dawno tam nie byłem. Ale dlaczego dzisiaj?

Simon prowadził z jednym okiem przyklejonym do wstecznego lusterka.

-Lucy wygrzebała w ziemi coś bardzo interesującego, tym razem w domu we Francji.

Lucy naciągnęła pas i nachyliła się do przodu, błyskając reszcie przed oczami kluczykiem do motocykla, ciągle przyklejonym do płytki, pod którą go znaleźli.

-Ktoś go sobie zasadził w różanym ogrodzie.

-Dziwne miejsce, by trzymać w nim zapasowy kluczyk — uśmiechnął się do lusterka Simon. - Ducati ciągle stoi w garażu twojego ojca? — Alex skinął głową. Simon spojrzał na Grace. - W takim razie jedziemy na kolację do Krykiecistów.

Przyspieszył, ciągle nie odrywając oka od wstecznego lusterka.

-Macie sporo do opowiedzenia - rzekł — ale najpierw ja udzielię wam lekcji historii najnowszej. Przez ostatnie dwa dni również mnie udało się co nieco wygrzebać. Próbowałem cię namierzyć w twoim mieszkaniu, Aleksie, i Sian opowiedziała mi, co się stało. - Grace odwróciła się i ze współczuciem uścisnęła dłoń Lucy. — Złożyłem więc wizytę Calvinowi.

Simon oderwał oczy od lusterka i spojrzał na drogę, po czym znowu wbił wzrok tam, gdzie wcześniej; skreślił w stronę zjazdu, którym powinni się dostać na autostradę; kiedy jednak minęli tunel i zbliżyli się do ronda, przejechał zjazd i wrócił na obwodnicę, zajeżdżając drogę mknącemu tą samą trasą samochodowi. Jego

pasażerowie rozejrzeli się po sobie zaskoczeni. Obwodnica prowadziła kilka kilometrów przez teren lotniska i drugi samochód jechał za nimi. Po chwili zbliżył się do nich, po czym znowu został w tyle.

Kiedy zbliżali się do ronda przy zjeździe na M25 i do terminali cargo, Lucy zmarszczyła brwi: drugi samochód nabrał znowu prędkości, zamrugał światłami i przykleił się im do zderzaka. Jego pasażer otworzył okno. Simon

wcisnął ostro hamulec, skręcając terenówką w stronę chodnika. Pasażer krzyknął jakieś przekleństwo, po czym samochód gwałtownie zjechał na bok i po chwili zniknął im z widoku.

Wszyscy milczeli, doskonale zdając sobie sprawę z tego, co robi Simon. Ten wjechał z powrotem na drogę i ruszył w stronę M25.

-Czy to było konieczne? — zapytał cicho Alex. Pogodził się wreszcie z faktem, że jego romantyczny weekend dobiegł właśnie końca, i zaczął odczuwać to samo ssanie w żołądku, które dawało mu się we znaki dwa wieczory wcześniej w czasie rozmowy z Calvinem.

-Co najwyżej mogłem spowodować wypadek - wzruszył ramionami Simon. Jego podenerwowanie zdziwiło Lucy. -Jeśli dobrze pamiętam, Aleksie, M3, a potem A303, tak?

-Jest niedziela, więc nie powinno nam to zająć zbyt dużo czasu. O szóstej będziemy na miejscu. Mogę zadzwonić z twojego telefonu do ojca i powiedzieć mu, że jesteśmy w drodze?

-Jeżeli oni dzwonią na twój, nie używaj go w ogóle. — Simon przekazał Alexowi swoją komórkę, a kiedy ten skończył rozmawiać, wziął

głęboki oddech. Miał do opowiedzenia długą historię i wiedział, że dla Alexa i Lucy nie będzie ona łatwa do przełknięcia. Jej treść była całkowicie irracjonalna, a jednocześnie tak prosta, że przerażała nawet jego.

Możliwie spokojnym tonem, w którym jednak nie udało mu się do końca wytłumić gniewu, opowiedział im, co udało mu się wyciągnąć z Calvina w trakcie gwałtownej rozmowy poprzedniego dnia. Pracował jako dziennikarz od wielu lat i spotykał w życiu przeróżne osoby. Według niego jego praca polegała na obserwowaniu innych — wnioski na temat tego, co uda mu się zaprezentować, wolał pozostawiać czytelnikom. Przedstawiał odpowiednio fakty, a prawdę każdy musiał sobie z nich ułożyć sam. Tymczasem z tego, co udało mu się ustalić, Lucy i Alex stanęli w obliczu grupy osób, które tak mocno wierzyły w słuszność swego stanowiska, iż wydawało im się nawet, że stoją ponad prawem.

-Dyktatorzy, prezydenci, przywódcy religijni - spotykałem ich wszystkich. Wiesz, Aleksie, że kiedy tylko Will mógł, pracowaliśmy razem; ja byłem

pismakiem, a on opowiadał historię za pomocą zdjęć. Pod koniec dnia często siadaliśmy w barze jakiegoś międzynarodowego hotelu w jakiejś dalekiej stolicy i pytaliśmy sami siebie, jak, do jasnej cholery, tym gościom udało się wywinać. Czasem byliśmy tak oburzeni bzdurami, które od nich słyszeliśmy, że aż brakowało nam słów. Często dochodziliśmy do odmiennych wniosków,

ale prawie zawsze unosiliśmy potem szklanicę i piliśmy zdrowie wolności, demokracji i zachodniego stylu życia. „Niechaj nam żyje!” Simon był niezwykle poruszony.

-Willa tak naprawdę poznałem dopiero wtedy, gdy przez jakiś czas pracowaliśmy razem w Afryce. Początkowo podążaliśmy tropem min lądowych, którymi zainteresowanie rozbudziła księżna Diana. Postanowiliśmy udać się razem w miesięczną podróż, którą zakończyliśmy w Maputo, w hotelu Polana, w spustoszonej przez wojnę domową Mozambiku - klasyczna kolonialna sceneria, otoczona potworną nędzą. Na zakurzonych ulicach dzieciaki śmiały się i bawiły, a za jedyną zabawkę służyła im puszka po coli. Poruszyło to Willa. Drugiego dnia byliśmy świadkami wybuchu bomby, który pochłonął autobus pełen dzieci i ich matek. Prawdziwa masakra, dokonana w imię jakichś niejasnych celów. Żaden z nas nie był w stanie tego pojąć, że ktoś zadaje

sobie taki trud, by narzucić innym swą wolę, swoją wizję świata. Na moich rękach wykrwawiła się pięcioletnia dziewczynka, a Will nie był w stanie zrobić jej zdjęcia. Wiedział, że świat powinien to zobaczyć, ale powiedział, że poczułby się po tym jak gwałciciel.

Ostatnimi czasy w pogoni za grozą nie musieliśmy już jeździć do krajów Trzeciego Świata. Byliśmy razem w Waszyngtonie, gdzie z otwartymi ze zdumienia ustami przyglądaliśmy się zniszczeniom, pióropuszu dymu, który przez całe dni unosił się nad Pentagonem; no i ten okropny swąd spalenizny, powietrze gęste od tłustego popiołu. Co zrozumiałe, wywołało to atmosferę strachu, która niestety umożliwiła pewnym fanatykom religijnym wykorzystywanie sytuacji do własnych celów. Likwidacja Saddama, samobójcze zamachy terrorystyczne, wszelkiego rodzaju fanatycy... Każdy ciągnął w swoją stronę...

Simon obawiał się, że nie mówi na tyle składnie, by jego przyjaciele zrozumieli, w jakim znaleźli się niebezpieczeństwie.

-Aleksie, epicka wyprawa, na którą wyruszył Will po śmierci waszej matki, wynikała moim zdaniem z potrzeby zgłębienia w sobie czegoś złożonego. Niepokoję Willa, jego niezdolności do pogodzenia się ze światem czy, mówiąc bardziej konkretnie, zaakceptowania panującej na nim niesprawiedliwości. To, co odkrył, być może kosztowało go życie. Po rozmowie z Calvinem nie jestem przekonany, że jego upadek do rzeki był przypadkowy.

-Od początku to podejrzewałem; tych kilka nowych szczegółów utwierdziło mnie w przekonaniu, że wydarzyło się coś złego, dokładnie tak jak mówisz. Nie wysuwajmy jednak oskarżeń, których nie potrafimy udowodnić.

I proszę, nie wspominajcie o tym — nikt z nas nie powinien tego robić — mojemu ojcu. Mnie samemu trudno jest się z tym pogodzić, a przecież ze śmiercią stykam się na co dzień. I... — dodał Alex po chwili zastanowienia — uważam, że na razie lepiej nie mówić mu, dlaczego pojechałem z Lucy do Francji. Porozmawiam z nim, kiedy poczuję, że nadszedł odpowiedni moment - przez ostatni rok przeszedł wystarczająco dużo i szczerze mówiąc, wolałbym go nie niepokoić bardziej niż to konieczne. Nie rozumiem tylko, Simonie - kontynuował, odetchnąwszy głęboko - o co im, na litość Boską, chodzi? I skoro już jesteśmy przy tym temacie, kim właściwie są ci „oni”?

-Tego, o co im chodzi, raczej nie określiłbym mianem Boskiej „litości”. Aleksie, dokument, który znaleźliście z Lucy, według ich przekonania jest kluczem otwierającym bramy zbawienia. Są przekonani, że za pomocą czegoś, do czego doprowadzą ich te papiery, jakiejś Arki Przymierza, będą mogli porozmawiać z aniołami i ustalą moment nadejścia oraz dokładne szczegóły Pochwycenia lub że rozmowę taką czterysta lat

temu własnoręcznie spisał Dee. Według Calvina, Dee miał pewną teorię, którą ukrył, ponieważ była zbyt trudna do przyjęcia. Zresztą najwyraźniej ukrył sporo rzeczy. Porywając Lucy, zmusili cię do przekazania im papierów, a teraz odkryli, że w ich rękach znalazła się tylko część rozwiązania zagadki. Chcą dostać kolejny element, czymkolwiek on jest, nawet jeżeli nie masz zielonego pojęcia, gdzie go szukać. I nie chcą czekać.

Lucy przez cały czas siedziała w milczeniu, zastanawiając się nad tym, co wynikało z pytań Alexa i ze słów Simona, nagle jednak uczepliła się tego ostatniego.

-Przepraszam, Simonie, ale się pogubiłam. O czym ty mówisz? I o kim? „Pochwycenie”?

Grace rozumiała dezorientację Lucy. Widziała wyraźnie, że skażony niepokojem umysł Simona - zazwyczaj niezwykle sprawnie wchłaniający informacje i przekazujący je w klarowny sposób — wymknął mu się spod kontroli. Zauważyła, że Simon przy dużej prędkości zmienia ciągle pas ruchu i prowadzi bardzo nerwowo.

-Simonie, rozmawialiśmy o tym nieraz, odkąd zobaczyłeś się z Calvinem, ale może cofniesz się trochę i opowiesz im, czego się dowiedziałeś? Poza tym czy mógłbyś nieco zwolnić? Jest trochę rozbity — wyjaśniła Alexowi i Lucy.

-Masz rację, Grace, przepraszam. Ludzie, którzy zainteresowali się tobą i twoim przodkiem, Aleksie, to teologiczni fundamentaliści, choć może to nie najlepsze określenie, bo mieści się w nim zbyt wiele. Dla naszych potrzeb

założmy, że znajomi Calvina to tylko jedna z wielu grup, dla których religia równa się władzy absolutnej i którzy nie dopuszczają pod tym względem nawet cienia krytyki. Oczekują, że konkretne wymogi i nakazy wywiedzione z Pisma Świętego powinny zostać nie tylko powszechnie uznane, ale również zagwarantowane przez prawo. Mają obsesję na punkcie walki z erozją religii oraz jej roli w naszym społeczeństwie, oczywiście według ich własnego ujęcia. Są chrześcijanami, a nie muzułmanami, ale wszelkie ich myśli, wszelkie aspekty ich wizji świata wypełnia raczej mało miłosierna i chrześcijańska moralność. Uczą kreacjonizmu, krytykują Darwina, twierdzą z całą stanowczością, że prawdy religijne są objawione i jednakowe dla wszystkich. Interesują się przede wszystkim Apokalipsą, więc w swojej interpretacji dziejów inaczej niż wszyscy oceniają większość kluczowych wydarzeń historii ludzkości, uznając je za przejaw kosmicznej walki. Jezus nie jest dla nich Barankiem Bożym ani Księciem Pokoju; jest łąkącym krwi Mesjaszem, płonącym żądzą zemsty.

— Tak przy okazji, ich przywódcami są wyłącznie mężczyźni - przerwała mu Grace.

-Tak, muszę przyznać, że to prawda - zgodził się Simon, po czym podjął wątek. — Aktualnie ci teologiczni fundamentaliści Calvina są właściwie pewni, że do Drugiego Nadejścia Chrystusa zostało bardzo niewiele czasu. To podstawowe założenie chrześcijaństwa: Chrystus zejdzie na ziemię jeszcze raz, ale drżycie, niewierni, bo oni pragną je przyspieszyć, niezależnie od tego, ilu autobusów pełnych matek i wykrwawiających się dzieci będzie wymagało zrealizowanie tej koncepcji.

Zrobił przerwę na oddech, upewniając się, że słuchacze nadażają. Nikt nawet nie mrugnął, choć Lucy była osłupiała i czuła się trochę oślepiąca przez reflektory samochodów nadjeżdżających w ich kierunku od strony Londynu. Nieświadomie ścisnęła dłoń Alexa.

Simon kontynuował:

— W ten sposób dotarliśmy do sedna. Po pierwsze, grupa ta wierzy, że w chwili nadejścia ci, którzy zachowali wiarę, zostaną dosłownie

uniesieni z ziemi do nieba. To właśnie, Lucy, nazywają Pochwyceniem.

— Uniesieni? Tak po prostu? - zapytała Lucy, tak jakby w słowach Simona po raz kolejny objawiło się jego ironiczne poczucie humoru.

— Jak bohaterka *Stu lat samotności* — wyjaśnił Alex. - Zbyt piękna, by złożono ją do grobu, została owinięta w prześcieradło, które akurat wywieszała, i wzięta do nieba.

-Och! Obawiam się, że nie chodzi ani o tak dosłowne, jak u Marqueza, ani duchowe uniesienie! Chociaż co ciekawe, sama idea cieszy się ostatnio sporą popularnością, czego dowodem jest seria chrześcijańskich powieści science fiction, które propagują cały ten chory pomysł i sprzedają się na kopy. Ale dla milionów Amerykanów to nie jest fikcja. Więc owszem, Aleksie - wrócił do zasadniczego wątku Simon - przypuszczam, że można te dwie rzeczy porównać. Problem polega na tym, że według nich tylko niewielu zostanie pochwyconych. Tylko elitarny, pozbawiony sumienia klub. Reszta nas, biednych dusz - a zalicza się do niej przytłaczająca większość zrównoważonych i miłosiernych chrześcijan plus, powiedzmy, sześćset milionów Chińczyków, trzysta milionów Azjatów oraz trudno powiedzieć ilu muzułmanów, sikhów, żydów, z pewnością wszyscy cynicy w rodzaju mnie, o naukowcach takich jak

ty nie wspominając - pozostanie tutaj, na tym, jak to się mówi, łez padole, by zmierzyć się z tym, co nieuniknione i posprzątać bałagan. Podczas gdy obłąkani akademicy Calvina będą ze świętym Piotrem wnosić toast szampa nem, nas - świeckich humanistów — czeka Armagedon i ostateczna zagłada w krwawej łaźni. W każdym razie oni mają taką nadzieję.

Alex miał ochotę roześmiać się na głos, wiedział jednak, że jego przyjaciel mówi całkowicie poważnie.

-Simonie, już dawno nauczyłem się to rozumieć: ludzie obdarzeni silną wiarą czasem chcą umrzeć za to, w co wierzą. To ich prawo. Ale wiara jest wiarą — wywodzi się z chęci, by wierzyć. Nie ma nic wspólnego z tym, co wiemy. I jest nie tylko niepoznawalna. To, w co wierzymy, czasem jest całkowicie nieprawdopodobne. W dzisiejszym nowoczesnym świecie, świecie wykształconych ludzi, nie ma miejsca dla grupy, która mogłaby do tego stopnia narzucić innym swoją ślełą wiarę i pozbawione

cienia prawdopodobieństwa idee, w dodatku zdobywając tak silne wsparcie rządu, że ten jest gotów wysłać nas wszystkich na rozpętaną z tego powodu wojnę! Nie, przynajmniej nie na Zachodzie. Patrzysz na to zbyt pesymistycznie.

-Aleksie, nie próbuj racjonalizować ich argumentów. To nie ma nic wspólnego z logiką. Chodzi wyłącznie o strach przed znalezieniem się w gronie wykluczonych. Pracują więc gorączkowo nad tym, by cofnąć czas i anulować Oświecenie. Jak Jakub I i jego opętany na punkcie czarownic generał. Co dzisiaj powiedziałby Shakespeare o zachodnim przywódcy, który tego rodzaju klimat wykorzystuje do własnych celów czy nawet go napędza? O „starym dziwaku prezydencie”, który publicznie opowiada się za Pochwyceniem? W tym właśnie sęk.

Chrześcijańscy syjoniści twierdzą, że aby utorować drogę temu Drugiemu Nadejściu, należy pozwolić Żydom odbudować ich Świątynię w Jerozolimie, a nawet im w tym dopomóc. Tyle że wymaga to usunięcia stamtąd jednego z najświętszych i najpiękniejszych obiektów islamu, i może wkurzyć parę osób. To jednak nieważne: grupa ta zobowiązała się stworzyć bramy dla Drugiego Nadejścia. Są dobrze ustosunkowani. Postrzegają siebie jako element kosmicznej walki. Demonizują swoich przeciwników. Są antynowocześni, choć bynajmniej nie zacofani. Wykorzystują wszelkie dostępne nowinki technologiczne. Są ultrakonserwatywni, jeśli chodzi o rolę kobiet w społeczeństwie i badania naukowe. Silnie opierają się wartościom Oświecenia, za które wielbimy twoich bohaterów, Aleksie - Kanta i Woltera - oraz samym zasadom wpisanym w amerykańską Konstytucję - co, jak pewnie sam przyznasz, zakrawa na paradoks, bo to przede wszystkim właśnie ten cudowny, wyidealizowany raj liberalnych myślicieli pozwolił im urosnąć w siłę i zapewne udzielił im głosu. Wreszcie, w celu

propagowania swego przesłania z pewnością bardzo skutecznie wykorzystują eter. I pamiętaj, że nie mówię o kimś ukrywającym się w jaskini w Afganistanie. Ci ludzie to prawicowi chrześcijanie opętani wizją rewanzu, w której pokonają w najbardziej brutalny sposób, racjonalny, nowoczesny, naukowy oraz egalitarny pod względem ideologicznym świat. Walkę na słowa prowadzą za pomocą swojej literatury oraz kontrolując media, a kierują ją przeciw liberalnym myślicielom, gejom, kobietom, które ich zdaniem są zbyt dobrze wykształcone, muzułmanom, Arabom, a zwłaszcza przeciw ONZ.

Są opętani wizją odbudowy Świątyni w Jerozolimie, ponieważ ich zdaniem utoruje to drogę do odzyskania biblijnych terenów Judei i Samarii na Zachodnim Brzegu. Twierdzą, że zgodnie ze Starym Testamentem stanowią one element niezmiennego przymierza Boga z ludem Izraela. Według prorocत्व przepowiadających Pochwycenie, zjednoczony naród Izraela jest niezbędnym zwiastunem Drugiego Nadejścia Chrystusa. Kiedy więc będzie już miał swoją

Świątynię — Simon zauważył w lusterku szeroko otwarte oczy Ale-xa - kiedy ją zdobędzie, nadejście wreszcie nastąpi. Kiedy ostatni z kamiennych bloków znajdzie się na swoim miejscu - a może nawet kiedy zostanie postawiony pierwszy z nich - rozpocznie się Pochwycenie. Wszyscy uważamy, że propagowanie demokracji na Środkowym Wschodzie jest szczytnym celem; jednak w tym wypadku plan nie polega na poprawieniu warunków życia mieszkańców tych krajów. Chodzi raczej o umożliwienie tym całym

wybrańcom odbudowania Świątyni. Przygotowywali się do tego od chwili, kiedy w 1948 roku powstało niezależne państwo Izrael. A idea Świątyni jest dla nich najważniejsza.

Alex spojrział sceptycznie w odbite w lusterku oczy Simona.

-Chcesz przez to powiedzieć, że mój świeżo odnaleziony kuzyn i jego mentor, samozwańczy spadkobierca templariuszy o pozornie dworskich manierach, rzeczywiście w to wierzą? I że ich zdaniem zabezpieczone czterysta lat temu przez Dee papiery w cudowny sposób pozwolą sfinalizować to, co zakładają ich mętne tezy?

Simon zmienił pas na zewnętrzny, przygotowując się do zjazdu z autostrady na drogę prowadzącą do rodzinnego miasteczka Alexa. Kiedy zredukował prędkość, dzięki czemu zelżał hałas, wszyscy pasażerowie, których zmysły były już zmęczone bezustannym atakiem ostrych świateł, tempem ruchu oraz szybko płynącym strumieniem informacji, poczuli wyraźną ulgę.

Simona jednak, który chciał uświadomić Alexowi, o jak wysoką stawkę chodzi w tej grze, nic nie zdołałoby wytrącić z rytmu.

- O to właśnie walczą. Wiedzą doskonale, na czym polega propaganda. Co więcej, użyją wszelkich dostępnych narzędzi zastraszania - o czym Lucy przekonała się na własnej skórze. Jeżeli więc uważacie, że inkwizycja jest już tylko zamkniętym, tragicznym rozdziałem historii, powinniście zweryfikować swoje przekonania. Ci ludzie dysponują przerażająco dużymi zasobami finansowymi. W aktualnym politycznym klimacie bez problemu sięgają po władzę i docierają do łatwowiernych słuchaczy. Ich zamiary sprowadzają się do tego co zawsze: zmusić Żydów do nawrócenia się na chrześcijaństwo — przepraszam, Grace; wiem, że twój ojciec jest Żydem. Dążą do nowej krucjaty, a żniwo śmierci, jakiego się spodziewają, przyćmi nawet Holocaust. Ich rozmnóżony naród starego Izraela ma zamieszkiwać

tereny od Nilu po Eufrat, ziemie nad Morzem Śródziemnym, a nawet pustkowia Jordanu. Wymusza to ostateczną rozgrywkę z Egipcjanami i Syryjczykami oraz z Irakiem i Libanem. — Simon odwrócił się do Lucy i Alexa, przez co Grace poczuła ucisk w żołądku. - Możecie sobie wyobrazić skalę tego konfliktu?

PRZEZ CAŁY DZIEŃ PANOWAŁ WŚCIEKŁY UPAŁ I DOPIERO WIECZOREM NIEBO pokryło się czerwonymi smugami. Profesor Fitzelan Walters zdjął kapelusz, by chłodny strumień powietrza owionął jego głowę. Miał za sobą wyczerpujący dzień. Musiał w tym skwarze jechać z Cezarei do wykopalisk archeolo-

gicznych, które odsłaniały kolejne warstwy pozostałości po następujących po sobie przez tysiące lat cywilizacjach, począwszy od fortyfikacji postawionych przez króla Salomona. Z pełnym animuszem gawędził z dwoma gośćmi, doskonale zdając sobie sprawę, że reprezentują zarówno dysponujący ogromnymi funduszami przemysł naftowy, jak i władzę Kongresu: musiał zrobić wszystko, by do końca wciągnąć ich na pokład. Jego euforii nie dało się tak naprawdę przełożyć na zrozumiały dla innych język, ale profesor na tyle opanował sztukę oratorską, by przynajmniej spróbować.

-Panowie, znaleźliśmy się wreszcie w godnym podziwu Megiddo, miejscu, w którym przez ponad dziesięć tysięcy lat nawarstwiło się ponad dwadzieścia cywilizacji. Od czasów Alexandra, poprzez święte krucjaty, aż po Napoleona, mężowie umierali na tej ziemi i nad nią płakali. Nasza warstwa będzie ostatnią - dlatego właśnie nazywamy to Armagedonem, miejscem katastrofy, bitwy o Objawienie, miejscem przyszłego zwycięstwa Pana.

-I dlatego właśnie nie powinniśmy się

przejmować całą tę kretańską gadką na temat globalnego ocieplenia, EW.! — roześmiał się wyższy mężczyzna, obdarzony potężnym brzuchem i głębokimi, szarymi oczami. W jego zaprawionym silnym teksańskim akcentem głosie pobrzmiwało rozbawienie, co w każdej innej sytuacji mogłoby być czarujące.

F.W. uroczyście skinął głową, wziął obu mężczyzn pod ręce i przeszedł z nimi ostatnie kilka metrów w kierunku szczytu wzgórza Megiddo, gdzie się zatrzymał i zadumał. Szerokim gestem kapelusza omiół rozpościerającą się przed nim przestrzeń.

-To tutaj Jezus zstąpi na ziemię w obłokach chwały, by wezwać nas do domu Swego Ojca. Do czasu, gdy skończy wielkie Swe dzieło, ta trzystukilometrowa dolina pograży się na metr w morzu krwi. — Ścisnął ich od tyłu za ramiona, pragnąc, by podzielili z nim jego radość. - Wyobraźcie sobie, panowie, piękną dolinę Jezreel skąpaną we krwi, jak obliczyli moi ludzie, po nad dwóch milionów osób! A my będziemy z

Nim!

Kiedy wracali do swojego opancerzonego mercedesa i czekających poniżej dwóch zwiadowców, wyczarowane przez EW zakłęcie ciągle jeszcze unosiło się w powietrzu. Profesor znajdował się w niezwykłym miejscu i udało mu się wytworzyć stosowny nastrój, który jednak niemal przysł, gdy w półmroku zadzwonił jego telefon komórkowy. Wskazał swoim towarzyszom drogę do klimatyzowanego wnętrza samochodu, po czym odebrał rozmowę.

-Mówi Guy, F.W.

-Trochę później niż oczekiwałem, Guy. Jakieś wieści?

-Mamy bardzo interesującą kolekcję papierów, ale sądząc z notatek w rodzinnej Biblii, to jeszcze nie całość. Być może ukrywają przed nami resztę; mam jednak przeczucie, że mogą po prostu nie wiedzieć o istnieniu pozostałych dokumentów. Albo nie wiedzą, jak je odnaleźć.

- Rozumiem. A Calvin nie zdołał rzucić światła na sprawę? Guy się zawahał.

-Nie. W każdym razie jeszcze nie.

-A więc, Guy, masz zupełną jasność, co powinieneś robić. Obserwuj dom, nie spuszczaaj chłopca z oka; i postaraj się, żeby nie wydarzyło się nic -zastanawiał się przez chwilę - niefortunnego. Brzydzą się zbędną przemocą. Zadzwoń do mnie jutro.

Skończył rozmowę i wszedł do samochodu, który czekał już tylko na niego i natychmiast pomknął w dal, zostawiając za sobą chmurę drobnego czerwonego kurzu.

PANUJĄCY NA DRODZE SPOKÓJ POZOSTAWAŁ W OSTRYM

KONTRAŚCIE DO PORUSZENIA, które ogarnęło umysły całej trójki pasażerów. W końcu odezwała się Lucy.

- To prawda, Aleksie. Twój przodek — Dee oraz krąg jego uczniów

- walczyli o oświecenie i tolerancję w czasach, kiedy światem rządziła do syć wąsko pojmowana religijność. Wychodzili od o wiele bardziej jednolitych przekonań na temat wiary w Boga niż my. Pamiętasz, że w ich oczach komunikacja z aniołami stanowiła ścieżkę prowadzącą do prawdy, bez ingerencji doktryny. Mieli nadzieję, że aniołowie powiedzą im, czego Bóg tak naprawdę od nich chce, w podobny sposób, w jaki Mojżesz słuchał bezpośrednio słowa Bożego.

- Bruno zginął na stosie na Campo de' Fiori - kontynuowała - bo nie tylko utrzymywał, że Ziemia krąży wokół Słońca, ale też że istnieje kilka systemów słonecznych, z których wszystkie poruszają się wokół własnych słońc.

Znacznie wyprzedzał swoje czasy - bardziej nawet niż Galileusz. Nie przesłaniało mu to jednak Boga: uważał, że Bóg jest wszędzie, w każdej rzeczy, w każdym. Jego najbardziej odrażającą herezją było kwestionowanie narożdzin Jezusa z „dziewicy” - znał klasyczne warianty tej idei, wiedział o wielu śmiertelnych, pięknych kobietach, których wyjątkowi synowie mieli rzekomo za ojców niewidzialnych, nieśmiertelnych bogów. Wierząc w piękno nauki Chrystusa jako człowieka, pragnął otworzyć nam oczy i zmusić do zadawania

pytań, by przekonać się, co jest nieracjonalne. Wątpił również, że w czasie Eucharystii chleb jest rzeczywiście zamieniany w ciało - co zgodnie z moim katolickim wychowaniem stanowi niepodważalny dogmat. Dzisiaj, kilkaset lat później, trudno zrozumieć dlaczego tego rodzaju umiarkowane rewizjonistyczne pytania wywoływały aż tak wielkie oburzenie.

— Podobnie było w wypadku Dee - dodała. - Jego wyznawcy, podejmując wysiłek, by uniknąć różnic doktrynalnych, zaczęli zgłębiać tajemnice natury - w duchu religijnym. Przyczyniło się to do powstania atmosfery, w której mogła się rozwijać nauka. Poszukiwali sposobów wyrażenia życia religijnego bez twardogłowego trzymania się tego, co niemożliwe. Simonie, czyżbyś twierdził, że ludzie, którzy ciągle odczytują te metafory jako rzeczywiście - w tym ci, którzy porwali mnie we Francji - mogą naprawdę mieć dzisiaj wystarczający wpływ na politykę Zachodu, by pchnąć świat z powro

tem w objęcia chaosu i dogmatów, od których Dee i jemu podobni próbowali kilkaset lat temu uciec?

-To naciągane, oczywiście - odpowiedział Simon - dopóki ci, którzy próbują być tolerancyjni względem poglądów innych, ciągle mogą mówić i myśleć niezależnie, zadawać racjonalne pytania, być inteligentnymi sceptykami czy nawet myślącymi wyznawcami. Niestety, koledzy Calvina nie widzą dziur w swojej teorii - wierzą w nią co do litery, co ogranicza jakąkolwiek debatę. To najbardziej negatywne, najgorsze z nieszczęść. Sam Calvin moim zdaniem ma pewne zastrzeżenia, ale jego prawicowi współpracownicy wierzą bez najmniejszych wątpliwości, że doktor Dee potrafił rozmawiać z aniołami. A ta cała klika uważa, że jeśli położy łąpska na tekstach ze wskazówkami, jak to robić, na alfabecie, którego używał, na instrukcji obsługi komórki do nieba, to zdoła urządzić sobie małą pogawędkę z istotami nadprzyrodzonymi i dowiedzieć się, co tak naprawdę jest grane. Albo co tak naprawdę zostało objawione. I każdego, kto stanie im na drodze do odnalezienia numeru

do aniołów, usuną z całą brutalnością, jakiej będzie to wymagało. Interesujące, prawda?

Zapadła martwa cisza. Kiedy mijali zarys pięknego, skromnego kościółka parafii w Longparish, który przez całe stulecia służył wiernie mieszkańcom wioski, Lucy poczuła ukłucie bólu.

— Nic dziwnego — odezwała się rozpalonym głosem — że Bóg tak się wściekł na Ewę za to, że zjadła owoc z Drzewa Poznania. Według Księgi Rodzaju, wiedza przydaje człowiekowi boskiej władzy. To Ewa jest odpowiedzialna za wyrwanie nas ze stanu naiwności, za zbliżenie się do statusu bogów,

którzy potrafią myśleć i działać zgodnie z podszeptami rozumu. A w całą tę bzdurę z Pochwyceniem moglibyśmy uwierzyć wtedy, gdybyśmy wrócili do wcześniejszego stanu ignorancji. W twojej rodzinie, Aleksie, kobiet nie udało się odwieść od poszukiwania wiedzy ani wzbudzić w nich poczucia winy za to, że chcą wiedzieć więcej. Nie zgodziły się na ślepe posłuszeństwo wobec mściwego Boga. Ostatecznie dokumenty należące do Dee postanowiły ukryć pod morwą, drzewem mądrości. Wybrały klasyczny model Ariadny, która wyprowadza mężczyznę z labiryntu, a nie Ewy jako winowajczyni Upadku oraz wszystkich nieszczęść rodzaju męskiego.

Alex spojrział na nią z wdzięcznością.

Pocałował ją.

-Dzięki tobie mam wiele do przemyślenia. *Sapere aude*, powiedział Kant. Odważ się być mądrym, odważ się wiedzieć. Był po stronie Ewy.

Gorączkowa dyskusja trwała już od godziny, kiedy wreszcie dotarli do rodzinnego domu Willa i Alexa. Simon wtoczył się na podjazd. Włączyło

się automatyczne oświetlenie, nikt jednak nawet się nie poruszył. Minęła minuta, zanim Simon zapytał Lucy:

-Czy odważysz się podjąć wyzwanie i spróbować dociec, dokąd nas za prowadzi klucz Willa? Jaką puszkę Pandory otworzy?

Lucy nie odpowiedziała. Kilka sekund później otworzyły się drzwi wejściowe domu i pojawiła się w nich wyprostowana postać Henry'ego Staffor-da, zachwyconego przybyciem gości.

-Będziecie tam siedzieć przez całą noc czy może wpadniecie na drinka?

- SZAMPAN? TATO! - ROZEŚMIAŁ SIĘ ALEX. - CZY TO NIE ZBYT EKSTRAWAGANCKIE, jak na zwyczajny niedzielny wieczór? Coś nie tak z twoją Laphroaig?

Alex wyjął z wiaderka zmrożoną butelkę, uwolnił dłonią korek i nalał trochę szampana do każdego z kieliszków. Tylko Lucy, która od operacji jedynie od czasu do czasu pozwalała sobie na łyk alkoholu, powstrzymała go uprzejmym gestem.

- Dziś Dzień Matki, Aleksie. Mam nadzieję, że możemy wypić za nie obecnych przyjaciół? - Henry uniósł kieliszek ku nowo przybyłym. - Simone, nie mam zamiaru cię stąd wypuścić. W piątek była sprzątaczką; zmieniła we wszystkich łóżkach pościel. Pokój gościnny jest gotowy. Może dasz się za prosić na parę drinków i kolację, a pojedziesz do domu jutro zaraz z rana?

-To bardzo miło z twojej strony, Henry.

Okazałbym się gburem, odmawiając. Czy ktoś ma coś przeciwko wczesnej pobudce? - Rozejrzał się po otaczających go kiwających na zgodę, rozluźnionych twarzach. Od chwili, kiedy wysiedli z samochodu, nastrój wyraźnie się polepszył. - Grace, szkoda, że nie ostrzegłaś mnie, żebym zadzwonił do matki. Jutro rano mnie zamorduje.

-Do swojej zadzwoniłam. — Grace mogła czuć się bezpiecznie. — Za moją mamę i twoją, Simonie. A zwłaszcza — dodała ściszym głosem - za panią Stafford.

-Lucy, możemy wypić również za twoją matkę? Choć podejrzewam, że w Australii jest już inna data.

Wdzięk Henry'ego był tak naturalny, że Lucy nie poczuła się ani odrobinę przymuszona i odpowiedziała ciepłym tonem:

-Z przyjemnością wypiję za mamę Alexa, Henry. Aleksie, nalej mi odrobinę. - Podał jej kieliszek, po czym kolejny nalał sobie. - W takim razie, za Dianę - powiedziała Lucy głosem, w którym brzmiało autentyczne wzruszenie. Pozostali powtórzyli za nią.

-Co ciekawe, to o niej właśnie chciałbym z tobą porozmawiać, tato. Jak tylko zadzwonię do Elaine do pubu i zarezerwuję stolik.

-*Fait accompli*, Aleksie. Czeka już na nas. Zamówiłem stolik przy oknie na siódmą trzydzieści. Mamy godzinę, zanim się tam przespacerujemy, zgoda?

Od wizyty z Lucy w ogrodzie w Normandii Alexowi wydawało się, że jego świat trochę się zmienił. Zawsze podziwiał łagodną siłę swojej matki, różnorodność jej zainteresowań oraz wiedzę; zawsze wydawało mu się, że w artystycznych ciągotach wyrażała się ta część jej osobowości, którą musiała poświęcić na ołtarzu swego małżeństwa. Dziś pewnie byłaby zawodową malarką, rzeźbiarką albo projektantką. Żyła jednak jeszcze w pokoleniu, które zwłaszcza przedstawicielom klasy średniej nakazywało

rodzinę stawiać na pierwszym miejscu. Dziełem swego życia uczyniła więc swoich chłopców i dom, sztukę spychając na peryferia. Dzisiejszy dzień pozwolił jednak ujawnić pewien sekret - aspekt życia matki, o którym Alex nie miał pojęcia. Nic dziwnego, że aż palił się, by dowiedzieć się czegoś więcej. Zdawał sobie sprawę z tego, że jego ojciec nie spodziewa się takich pytań ze strony jego, a nie Willa. Życie Alexa do tej pory było proste i przewidywalne, a teraz nagle i on zaczął się borykać z czymś mniej namacalnym, już nie tak prostym.

-Nie mówiłem ci, że Lucy i ja zaimprovizowaliśmy sobie małą wycieczkę do Normandii. Było cudownie, choć prawie przez cały czas padało. - Spojrzał uważnie na ojca. - Dlaczego kupiliście dom w L'Aigle? Ty go wybrałeś czy mama?

-Cieszę się, że tam byliście, Aleksie.

Simon miał właśnie napełnić kieliszek Henry'ego. Kiedy spojrzał na gospodarza, pytając go wzrokiem o zgodę, zauważył, że uśmiecha się do Lucy i syna. Simon zinterpretował to jako błogosławieństwo.

Domyślił się, że Henry o wiele bardziej niż ktokolwiek mógł się spodziewać, martwił się o Alexa, który na śmierć siejącą zniszczenie w jego rodzinie oraz rozpad małżeństwa reagował upartym milczeniem.

- To była jej decyzja - odpowiedział na pytanie syna Henry. - Właściwie jej. Określiłbym to tak, że było to bardziej jej życzenie niż prośba. Ale zgodziłem się z radością, choć oczywiście o wiele łagodniejszy klimat panuje

w Prowansji. Twierdziła, że Pays d'Auge jest na tyle blisko, by wpadać tam regularnie. - Spojrzał zdumionym wzrokiem na Alexa. - Dlaczego pytasz?

-No dobrze, nie ma co owijać w bawełnę. Lucy i ja odkryliśmy dzisiaj, że mama swój ogród węzłowy stworzyła nie bez powodu. Kiedy byliśmy mali, opowiadała mnie i Willowi, że ma on znaczenie jako ogród księżycowy i że jest on poświęcony jej patronce i jednocześnie bogini, Dianie. A węzeł, który ułożyła dla róż, był węzłem Staffordów, tak więc całe to miejsce było czymś w rodzaju elżbietańskiego rebusu nawiązującego do jej imienia i nazwiska.

-Ojciec Alexa skinął głową. - Uważam jednak, że chciała, aby ogród był miejscem świętym, czymś w rodzaju relikwiarza. Rozumiesz, o co mi chodzi?

-Mów dalej.

Henry zamyślił się i zamilkł; Grace i Simon siedzieli bez ruchu.

-Myślę, że również region musiał mieć dla niej

znaczenie. Być może chodziło o to, że niedaleko stamtąd do Chartres. Odkryliśmy dzisiaj, zresztą raczej dzięki przypadkowi niż z rozmysłem, że ogród był miejscem spoczynku... czegoś. Nie jestem pewien czego. Trafiliśmy w nim na luźną płytkę, pod którą wykopano jamę, na tyle dużą, by pomieścić jakąś niewielką statuetkę czy może kolejne pudełko, na przykład podobne do tego, które Lucy odkryła pod morwą. - Alex próbował patrzeć spokojnie na Henry'ego, zdając sobie sprawę, że jego ciekawość może zdziwić ojca. — Czy wiedziałeś, że planuje coś takiego?

-Aleksie — rzekł Simon. — Chcesz powiedzieć, że twoja matka zaprojektowała ogród tylko po to, by schować w nim jakiś tajemniczy przedmiot i ukrywała go przez bliżej nieokreślony czas, a ty i Will nigdy się o tym nie dowiedzieliście?

Przełknął szybko szampana.

-A jak niby miałem się tego dowiedzieć? — odpowiedział Alex. - W każdym razie wygląda na to, że rzeczywiście przechowywała w nim jakiś przedmiot, a może jakieś informacje. Muszę przyznać,

że nie miałem o tym pojęcia. Podejrzewam, że Will również nie. Ale z powodów, o których opowiem za chwilę, jestem pewien, że pod koniec dowiedział się czegoś i pewnie dla tego właśnie chciał ze mną tak pilnie rozmawiać.

- Odwrócił się do ojca.

- A czy ty wiedziałeś?

- Nigdy by mi o czymś takim nie wspomniała, Aleksie. Raczej nie jestem entuzjastą mistycyzmu czy osób w rodzaju Johna Dee — tych wszystkich ich sekretów i w ogóle wszelkiego rodzaju tajemnej wiedzy. Ale ona

sama stanowiła fascynującą mieszankę. Była bardzo niekonwencjonalna w swoich przekonaniach religijnych, żywiła ogromny szacunek dla innych wyznań i interesowała się nimi; należała do osób, które określiłbyś pewnie mianem „uduchowionych”. Z cierpliwością podchodziła do powszechnego wyobrażenia Boga i wiary; traktowała je na swój własny, wyjątkowy sposób. I w żadnym razie nie niepokoił jej nasz... agnostycyzm. Przecież jesteś większym ateistą ode mnie.

Wydawało się, że Henry'ego nie speszyły pytania Alexa; wyszedł na korytarz prowadzący z salonu w stronę klatki schodowej i zdjął wiszący na jego ścianie oprawiony obraz.

-Pytałeś o region. Pamiętasz, kiedy wyhaftowała ten obraz? Wiele lat temu. W Normandii mamy podobną poduszkę.

Wręczył Alexowi obraz, który zresztą był tak naprawdę gobelinem i na który od czasów dzieciństwa Alex nigdy nie zwracał szczególnej uwagi. Teraz przyjrzał mu się bliżej.

-Nawiązuje do świętej geometrii Chartres - wyjaśnił Henry, starając się

sobie przypomnieć, jakie znaczenie miał dla jego żony.

Alex wpatrywał się w obraz. Widniał na nim skrzydlaty żeński anioł, utkany z niebieskiej i białej nici; w jednej dłoni trzymał gałązkę palmową, a w drugiej kłos pszenicy. Tło było wypełnione różnymi odcieniami błękitu — głównie lazurowego, ale momentami ciemnego jak niebo w nocy. Na szaty i twarz anielicy, wyszywane złotawą nicią, nakładał się dziwny kształt przypominający latawiec, którego ogon prowadził w stronę lewego dolnego rogu ramy. Identyczny latawiec widniał w ramie poniżej seraficznej istoty, tyle że ta jego wersja pozbawiona była szczegółów ludzkich. Alex przechylił obraz, żeby siedząca obok niego na ławie Lucy mogła mu się lepiej przyjrzeć.

- Myślę, że to gwiazdozbiór Panny — stwierdziła z wahaniem.

- Owszem, Lucy — odpowiedział Henry. - Chyba masz rację. Diana zaczęła nad tym pracować wkrótce po urodzeniu Alexa. To twój znak zodiaku, Aleksie, prawda? - Alex w zdumieniu skinął ojcu głową. - Kupiliśmy ten

dom, kiedy Will jeszcze nawet nie był w planach, a ty miałeś dopiero kilka miesięcy. Rozglądaliśmy się za czymś już wczesną wiosną. Zatrzymaliśmy się u twoich rodziców chrzestnych niedaleko Rouen i zaczęliśmy szukać domu. Czy wiesz, że zostałeś ochrzczony w Chartres? Załatwił to twój ojciec chrzestny, który kogoś tam znał, a twoja matka chętnie na to przystała. Will był ochrzczony w Winchester.

Lucy spojrzała na Alexa, który w zdumieniu pokręcił głową.

-Nie wiedziałem.

Wpatrzyła się w gobelin i zauważyła, że złota nitka poprowadzona między poszczególnymi białymi gwiazdami konstelacji Panny - drobnymi kryształowymi punkcikami światła, przypominającymi diamenty - układa się na nim w kształt latawca, powtórzony w przedstawionym poniżej schemacie. Gwiazdy na obrazku powyżej opatrzone były jakimiś symbolami, których Lucy nie potrafiła odczytać. Simon i Grace nachylili się nad ławą, by również przyjrzeć się gobelinowi.

-Ten symbol z lewej u góry to cyfra trzy, tyle że odwrócona — bez większej nadziei zasugerowała Grace.

-To litera grecka - wyjaśnił Alex. - Żaden szyfr, zwyczajny alfabet. Tutaj - wskazał na odwróconą trójkę - w miejscu, gdzie skrzydło łączy się z ramieniem, mamy greckie E, epsilon. Ta litera w dolnej części diamentu, na krawędzi szaty, to G — gamma. A na szczycie skrzydła widnieje ni. Wszystkie trzy stanowią główne gwiazdy konstelacji Panny. Te pozostałe są mniej

istotne, choć, jak widać, mimo to są dosyć jasne. Ni wyznacza prawy wierzchołek gwiazdozbioru, eta jest widoczna w środku latawca; następnie, przy szpiczastym końcu romboïdu mamy betę, po drugiej stronie deltę, a alfę - najjaśniejszą z gwiazd - widać na ogonie latawca, na pszenicy. - Wskazał grupkę innych punkcików, obok których widniały kolejne wyhaftowane symbole. - Z tego, co sobie przypominam, cały gwiazdozbiór Panny został nazwany od greckich liter, co jest raczej wyjątkowe. O co jednak chodzi w tym schemacie poniżej? Oddaje kształt gwiazdozbioru, ale w środku nie ma żadnej postaci.

Wszyscy nachylili się nad obrazem. Lucy przeczytała na głos nazwy różnych francuskich miast, wyhaftowanych w odpowiednich miejscach obok gwiazd.

- Bayeux wydaje się leżeć w miejscu, które na mapie oznaczono jako epsilon; Amiens leży tam, gdzie ni; Evreux pasuje do delty. A pozostałe, Aleksie?

- No cóż, Reims pokrywa się z betą. To jedna z najważniejszych katedr we Francji, to tam odbywały się koronacje. Jak myślicie, czy Laon

odpowiada kappie? - Zmarszczył nieznacznie brwi. - Paryż to eta, a Chartres, jak się zdaje, gamma. Bardzo dziwne. Po co mama zadała sobie tyle trudu?

Henry zdjął okulary i zadziwiająco ożywionym głosem odpowiedział na jego pytanie.

-Kiedy byłeś mały, zrobiliśmy sobie wycieczkę. Powiedziała mi, że wszystkie wielkie francuskie gotyckie katedry to tak naprawdę katedry „No-tre-Dames”: każda z nich jest poświęcona Naszej Pani. Powiedziała, że potajemnie naśladują one tu, na ziemi, kształt gwiazdozbioru Panny, dziewicy. Zawsze uważałem, że to trochę naciągane, ale nie protestowałem, bo sprawiało jej to ogromną radość. Panna jest jedynym żeńskim gwiazdozbiorem wśród wszystkich znaków zodiaku. Często kojarzy się ją z Ceres, boginią zbóż, a także z Izydą z panteonu egipskiego.

-Oraz oczywiście z Maryją Dziewicą. - Lucy starała się powiązać w myślach to, o czym mówił, z tym, czego dowiedziała się z przewodnika po Chartres. - Również w pozostałych katedrach - Reims, Bayeux i Amiens - znajdowały się labirynty, choć tylko w Chartres labirynt przetrwał w nienaruszonym stanie od tysiąc dwusetnego roku. - Poczula podniecenie i pomyślała o palmie w kształcie krzyża, znalezionej w Biblii w domu w Normandii. - To interesujące, że postać Panny trzyma w ręku liść

palmany i że ty, Aleksie, zostałeś ochrzczony w Niedzielę Palmową. A co z tą gwiazdą — alfa, jak ją nazwałeś

- która leży w dolnej części ogona? Może to dom w L'Aigle?

Alex spojrzał na nią.

- Ciekawy pomysł. „Moja alfa i moja omega”. Nie wydaje ci się, że ma to związek z najważniejszym z dokumentów Willa?

Lucy uśmiechnęła się do niego.

- Być może, pod warunkiem że to, co było ukryte w ogrodzie, stanowiło jednocześnie gwiazdę alfa konstelacji Panny oraz omegę podpowiedzi

— początek i koniec.

Alex nagle poczuł się skrepowany.

- Tato, czy uważasz, że za tą całą geometrią rzeczywiście coś się kryje?

Henry zastanawiał się przez chwilę.

- Odpowiedź na pytanie, czy tkwi w tym choć ziarno prawdy, nie jest wcale najważniejsza, Aleksie. Najciekawsze jest to, że wierzyli w to architek

ci gotyku. Wydaje się, że katedry rzeczywiście zostały wybudowane w ten sposób - niezależnie czy uznasz w tym udział jakiegoś czynnika nadprzyrodzonego, czy nie. Teoria, według której chrześcijańską warstwę nałożono na przypuszczalnie o wiele starsze żeńskie sanktuarium, zafascynowałaby twoją matkę. Uwielbiała takie przeplatania - to, jak jeden mit wtapia się głęboko w kanwę kolejnego. Pluralizm wierzeń - tak to nazywała. Fakt, że ludzie nie próbują wykorzenić starych rytuałów, ale raczej najważniejsze z nich włącza-

ją do swoich obrządków, dodawał jej otuchy. Uważała, że dzięki temu różne postaci ludzkich wierzeń układają się w pewne continuum - że dzięki temu możemy obserwować, jak spomiędzy różnych religii wyłania się jeden wspólny wątek. Pokrewieństwo między gwiazdozbiorem Panny a Maryją Dziewicą wzbudziłoby jej zachwyty.

- Po drugiej stronie ramy coś jest napisane — zauważyła nagle Grace. Lucy przewróciła obraz i przeczytała:

- „Zarówno siostrą jest, jak i panną młodą”. Po chwili dodała ożywionym głosem:

— Dla twojej mamy, Aleksie, z pewnością było to bardzo ważne. Wykonała ten gobelin, zaprojektowała ogród. W jej głowie tkwił jakiś zamysł. A Will pewnie zaczął do niego docierać, nie sądzisz?

Alex spojrzał na otaczające go zaintrygowane twarze, po czym łagodnie zapytał Lucy:

- Pokażesz ojcu, co znaleźliśmy w ogrodzie?

Wyciągnęła płytkę i ostrożnie ją odwróciła, pokazując wszystkim dziwną opatrzoną mottem

gwiazdę oraz frapujący, przyklejony do niej kluczyk.

- Cokolwiek tam było, Will znalazł to pierwszy. To musi mieć jakiś związek z jego motocyklem, prawda? - zapytała.

Henry przyjrzał się bliżej gwieździe.

— „Kędyśmy wyszli, by znów ujrzeć gwiazdy” - powiedział smutnym głosem. - Dante, *Piećło*. Te same słowa były wypisane jako inskrypcja na odwrocie miniatury. Przyjrzałem się im uważnie, kiedy wróciłem z Interpolu.

Alex ściągnął brwi, ale Henry pobiegł już myślami do motocykla i potarłszy kluczyk kciukiem, pokręcił z powątpiewaniem głową.

— Pamiętasz przecież, Aleksie, że ducati był długo w naprawie, choć właściwie nie został mocno uszkodzony. Policjanci dokładnie go przeszukali, więc trudno mi sobie wyobrazić, by coś przepuścili. Przeszukaliśmy sakwy, pozostaje więc chyba tylko zbiornik paliwa. Gdyby coś jeszcze było w nim schowane, zostałyby nam już zwrócone.

Chyba że ktoś stanął temu na przeszkodzie, pomyślał Alex. Powiedział jednak:

— Masz rację. Mimo to powinniśmy go przeszukać. Tak dla pewności.

ALEX OBLUZOWAŁ ZAKURZONY POKROWIEC, SPOD KTÓREGO JASNOŻÓŁTYM blaskiem zaśnił rajdowy motocykl.

- „Moja nadpobudliwa ślicznotka”. Tak go nazywał. Jest w idealnym stanie. - Alex ze skrzyżowanymi rękami nachylił się nad maską samochodu swojego ojca, przyglądając się pozornie łagodnej maszynie. - Kosztuje o połowę więcej niż moje audi. Kupił go za pieniądze od mamy, przed jej śmiercią. Nikt nie był w stanie go od tego odwieść.

- Bo jest piękny - spojrzała z zachwytem na motocykl Grace. - Myślę, że mój brat ukląkłby przed nim na kolana i oddałby mu hołd.

- Dobrze służył Willowi. - Simon przesunął dłonią po siodełku, po czym musnął nią karoserię. - Chłopak nigdy nie spóźniał się na zdjęcia. Mówił mi też, że łatwiej się go prowadzi niż jego pierwsze ducati. Oczywiście, jeśli chcesz jeździć na czymś takim, nie możesz sobie pozwolić na piwny brzuszek. To coś dla prawdziwych hardcorowców. I to wysportowanych, bo jest cholernie niewygodny na większe odległości. Gdzie kluczyk?

Lucy z jakiegoś powodu zawahała się, niechętnie reagując na pomysł przekazania kluczyka Simonowi, po chwili jednak oderwała

go od płytki i położyła na jego dłoni. Simon wskoczył na siodełko, przekreślił zapłon kluczykiem i dodał gazu. Motocykl zaryczał już za pierwszym razem, ale po chwili zgasł. Ręce nowicjusza najwyraźniej mu nie służyły. Wszyscy roześmiali się nerwowo, słysząc niespodziewany hałas.

Alex z uśmiechem zabrał kluczyk i otworzył zbiornik paliwa: tak jak przewidywał Henry, był pusty. Następnie i on przesunął dłonią po obu stronach maszyny. Nie znalazł żadnego niestandardowego wyposażenia, żadnych przyrządów, niczego poza zbiornikiem. Wiedział zresztą doskonale, że Will nigdy nie zamontowałby w motocyklu czegoś, co mogłoby zakłócić jego funkcjonowanie. Pokręcił głową i zapytał Henry'ego:

-Może coś było w sakwach? Albo w plecaku?

-Z tego co pamiętam, nic, co by zasługiwało na uwagę. Oczywiście, nie szukałem niczego w szczególności. Możemy jeszcze raz przegrzebać jego manatki. Ale co chcielibyście tam znaleźć?

Zamyślona Lucy stała trochę z boku. Alex nagle zauważył wyraz jej twarzy. Zastanawiał się,

czy może znowu nagle zmienił jej się nastrój, czy też raczej czuje się niedobrze albo po prostu chce pomilczeć. Niezależnie od tego, co działo się w jej sercu, z pewnością czuła pewne pokrewieństwo z Willem i potrafiła w dziwny sposób reagować na związane z nim przedmioty, choć Alex ze swej strony uważał, że jest to jedynie kwestia psychiki. Tego wieczoru wydawała się jednak spokojna i najwyraźniej doskonale wiedziała, co robi:

po prostu wyciągnęła dłoń po kluczyk. Alex uśmiechnął się nieco kwas'no i przekazał go jej.

Położyła dłoń na siodełku i nachyliła się, zaglądając pod nie. Poszperała pod spodem po omacku, po czym prawą dłonią odciągnęła niewielki sprężynowy pokrowiec pod osłoną za siedzeniem, a lewą wcisnęła kluczyk w powstałe w ten sposób miejsce. Alex przykucnął, by mieć lepszy widok na to, co robi. Tylna połowa mocowania siedzenia odsunęła się na kilka centymetrów, odsłaniając niewielką, starannie ukrytą przegrodę, najwyraźniej zrobioną na specjalne zamówienie Willa. Lucy była teraz w stanie przesunąć pokrowiec, wtopiony idealnie w karoserię, i sięgnąć dłonią do środka.

Cztery milczące twarze obserwowały, jak wyciąga cztery niewielkie skórzane torby oraz jakiś przedmiot zawinięty w cienką aksamitną szmatkę, obwiązaną skórzanym sznurowadłem. Kiedy Alex po niego sięgnął, przez twarz Simona przemknął jakiś cień. Lucy oddała zawiniątko Alexowi.

Grace spojrzała na swojego mężczyznę, nie wiedząc, czy bardziej dziwić się znalezisku, czy

raczej temu, jak na nie trafili. Z kolei Henry'emu wymknął się okrzyk; „Wielkie nieba!”, co pozwalało stwierdzić, że również on jest zdumiony.

-Leica Willa - rzekł Alex przejętym głosem. - Zastanawiałem się, gdzie może być. Wynika z tego, że trzymał ją tutaj przez cały czas i dopiero, kiedy pracował, wsuwał ją do kieszeni. Dzisiaj właściwie nie da się już kupić czegoś takiego. Kosztuje fortunę. To aparat, a w torebkach pewnie są zapasowe obiektywy, co najmniej dwa.

Alex zaczął znowu przypominać sobie samego, choć Amel wyczułby pewnie w jego głosie jakiś dziwny ton, który zresztą przyciągnął uwagę Lucy i Henry'ego.

Simon sprawdził wagę skórzanej torby.

-Pamiętam. Dał mu ją chyba dziadek, prawda? Twój ojciec, Henry. Will powiedział mi, że dostał go na osiemnaste urodziny.

Henry na pozór był spokojny, choć jego twarz nieco zadrżała.

-Pod Frankfurtem mój ojciec wymienił na ten aparat całą ciężarówkę z żywnością - wyjaśnił. - Gdzieś pod koniec czterdziestego czwartego albo na początku czterdziestego piątego. Moim zdaniem wziął go tylko po to, by mężczyzna, który mu go dał, poczuł się lepiej - najzupełniej szczerze nie miał pojęcia o jego wartości. Rodzina najwyraźniej próbowała ugotować zamrożonego konia, dzieci wyglądały na wyniszczone psychicznie i wygłodniałe.

Simon skinął głową.

-Will mówił mi, że jego dziadek rozdał praktycznie wszystkie zapasy, jakie jego kompania zgromadziła dla głodujących uchodźców. Z tego, co zrozumiałem, zbiegowie uciekali chyba przed Rosjanami; przyjechali aż z Drezna. I jeden z nich dał mu aparat, praktycznie zmuszając go do przyjęcia prezentu. Według Willa żaden współczesny sprzęt nawet w przybliżeniu nie pozwala na taką finezję jak oryginalna leica.

Alex ostrożnie odwiązywał sznurowadło, a kiedy skończył, odwinął aparat. Wszystkie jego mocowania powleczone były dopasowanym kolorystycznie niklem, a obudowę wykonano z kauczuku; jego właściciel musiał go często używać i bardzo lubić, choć aparat był w doskonałym stanie. Alex zerknął na licznik: rolce brakowało do końca kilku klatek.

Tymczasem Lucy podniosła pozostałe skórzane torby i zaczęła przeglądać ich zawartość. Jak przewidywał Alex, w dwóch woreczkach schowane były dwa piękne, oryginalne obiektywy; w trzecim Lucy znalazła cztery

pudełka na kasetki. Potrząsnęła nimi. Simon ze swojego woreczka wyciągnął jeszcze dwie oraz niewielką kasetkę, która wydawała się pusta. Lucy zabrała mu ją, podniosła wieczko i palcem sprawdziła jej zawartość.

-To notatki z informacjami, jak naświetlać filmy przy wywoływaniu i potwierdzenie nadania przesyłki, imienne. - Rzuciła okiem na kartkę. -Wyślane priorytetem, z poczty w Caen. Zaadresowane do niejakiego Browna na Trzydziestej Czwartej Ulicy w Nowym Jorku.

Alex nachylił się i spojrział na kartkę.

-Roland Brown. Wolny strzelec, ale związany z Magnum, agencją fotograficzną Willa. Sprzedawali większość prac Willa w Stanach. Roland był jego dobrym znajomym - miał też chyba biuro w Londynie. Wściekał się na Willa z powodu jego leiki II, ponieważ stary obiektyw bez powłok pozwalał robić zdjęcia o jakości wyższej o całą klasę. Od nastania epoki zdjęć cyfrowych uwielbiał je jeszcze bardziej.

-Will cenił ten aparat, ponieważ miał cichą migawkę i nikt nie wiedział, że ktoś robi nim

zdjęcia - stwierdziła spokojnym tonem Lucy.

Simon skinął głową, ale Grace spojrzała na nią zaskoczona.

- A ty skąd, na Boga, możesz o tym wiedzieć?

Lucy się uśmiechnęła.

- Gdybyś kręciła filmy dokumentalne w Ameryce Południowej, też na uczyłabyś się mnóstwa zbędnych rzeczy, Grace. Z telewizji się tego nie do wiesz - dodała.

Alex spojrział na nią. Nie rozmawiali o tym, by nie zdradzać nikomu jej sekretu, na który inni mogli zareagować bardzo różnie, bardzo emocjonalnie; stwierdził jednak, że zrozumieli się bez słów.

Uścisnął z wdzięcznością jej rękę.

-Spóźnimy się na kolację. Może weźmiemy aparat do pubu? Jest zbyt cenny, żeby go tutaj zostawiać.

Henry wyłączył w garażu światło. Wszyscy włożyli płaszcze i wdychając chłodne powietrze, ruszyli powoli dróżką.

-To tylko pięć minut stąd - zapewnił ich Alex; kiedy jednak oddalili się na tyle od ojca, że nie mógł ich słyszeć, otoczył ręką ramiona Lucy i szepnął jej do ucha: - Pięć minut stąd, licząc od końca tęczy.

Uśmiechnęli się do siebie.

KOLACJI TOWARZYSZYŁA OŻYWIONA DYSKUSJA NA TEMAT TEGO, CO OZNACZA „gotowość do Pochwycenia”, a Simon był w swawolnym nastroju. Odłożył na chwilę na bok swój gniew na politykę rapturystów - jak nazywano amerykańskich zwolenników Pochwycenia - i z radosną werwą wziął się do komentowania co zabawniejszych aspektów ich teologii. Rozwodził się na temat kobiety, która wierząc w Pochwycenie, zaprojektowała sobie odpowiednio toaletę: gdyby w momencie nadejścia Jezusa znalazła się w kłępującej sytuacji, jego portret na rezerwuarze z pewnością pozwoliłby aniołom rozeznaczyć się w jej przekonaniach. Inni co wieczór oczekują, że w środku rodzinnego posiłku zaczną kwitować w swoich jadalniach - przesuną się pomiędzy krokwiemi i znikną w objęciach obłoków. Opowiadał też, że niektórzy szczególnie hałaśliwi rapturyści utrzymują, iż katolicy mają dobre intencje, ale są niedoinformowani, a papież jest Antychrystem,

ponieważ nie można modlić się z innymi ludźmi i ich bogami.

-Ponieważ ci inni bogowie nie istnieją, Bóg może być zazdrosny i uznać to za „duchowe cudzołóstwo”.

Wszyscy słuchali Simona jak urzeczeni: początkowe niedowierzanie zgromadzonych przy stoliku gości szybko zastąpiła beztroska wesołość, wywołana podejrzeniami, że gawędziarz dosyć swobodnie korzysta z przysługującego mu prawa *licentia poetka*.

—To wszystko prawda, przysięgam. - Uniósł dłonie w obronnym geście. — Wiem, że wydaje się to naciągane, ale ludzie, którzy dzielają tego rodzaju przekonania, do fikcyjnych elementów propagandy podchodzą bez

cienia krytycyzmu. Postanowiłem zrobić o tym duży materiał. Napiszę artykuł demaskatorski w „Saturday Review”. Tylko poczekajcie.

Henry'ego zafascynowała jego opowieść; spróbował wyznaczyć wyraźną linię oddzielającą absurdalne anegdoty, które Simon zaprezentował im z takim humorem, od bardziej niebezpiecznych aspektów opisywanych przez niego wierzeń. Dostrzegał ich polityczny potencjał. Opowiedział o swoim znajomym z czasów oksfordzkich, który teraz pracował w dekanacie w Winchester i z którym ciągle od czasu do czasu umawiał się na lunch i przyjaźnił. Postanowił, że porozmawia z nim o Chrześcijańskich Syjonistach, postara się uzyskać inną perspektywę. Ostrzegł również Alexa, by jako idealista, przedstawiciel środowiska medycznego, gdzie większość ludzi działa z altruistycznych pobudek i stara się przede wszystkim ratować ludzkie życie, nie był zbyt naiwny.

— Aleksie, wiem, że wybrałeś swoją dyscyplinę, ponieważ uważasz, że tego rodzaju badania torują nam drogę ku lepszemu światu, w którym ludzkości zagraża przede wszystkim

mniejsza liczba chorób dziecięcych. Naprawdę wierzysz, że komórki macierzyste są naszą prawdziwą nadzieją. Ale przecież czasami, kiedy wracasz z różnych konferencji medycznych, zwierzasz mi się, że nie wszyscy podzielają twój punkt widzenia, że w pewnych kręgach politycznych robi się dużo hałasu wokół tego tematu, że niektórzy politycy są bardzo nieustępliwi w swoich protestach. Rozmawialiśmy o tym, że oskarżają ciebie i twoich kolegów o zabawę w Boga i używają agresywnego języka, podburzając innych, by was powstrzymali. Ci ludzie o wąskich horyzontach z różnych powodów - nie zawsze wyłącznie etycznych - pragną wam uniemożliwić prowadzenie badań. Ci twardogłowi, z którymi ścieraszą się na swoich konferencjach, są bardzo blisko powiązani z fanatykami, o których opowiadał Simon. Jeżeli dokumenty twojego przodka każą ci zwrócić uwagę na tych ludzi, proszę, postępuj ostrożnie. O twoich poglądach na życie najlepiej świadczy to, jaki rodzaj kariery wybrałaś, ale błędem byłoby ignorować zwichrowane namiętności tego rodzaju

szaleńców. Ich perspektywa jest tak wąska, że dostrzegają wyłącznie swój własny punkt widzenia i nawet nie mają zamiaru dyskutować o innych. Przemawia przez nich bigoteria, nienawiść - może nawet strach. Nie pozwolą, by okazało się, że liberałowie i naukowcy mieli rację. Podważyłoby to wszystko, na czym opierają swoje poglądy na świat. Słowa ich Biblii oznaczają dla nich to, co jest dla nich wygodne, a oni sami nie cenią adwersarzy. Nie lekceważ ich szaleństwa.

Henry był z natury powściągliwy, więc tego rodzaju płomienny apel zaniepokoił jego syna. Ostrzeżenie zawisło w powietrzu, a Alex zwrócił uwagę na ton ojca. Pomyślał, że kiedy wróca, powinien sprawdzić, co u Maxa i Anny, która pewnie jest już o tej porze w domu — choć musi rozegrać wszystko tak, by ich nie wystraszyć. On sam i Lucy z pewnością znaleźli się na pierwszej linii. W końcu to oni odkryli teksty i stanowili element wpisanego w nie dziedzictwa.

Lucy słuchała uważnie, powstrzymując się od komentarzy; wreszcie zaproponowała Alexowi, że jeśli Henry nie ma nic przeciwko, pójdzie do ciemni Willa i wywoła niedokończoną rolkę filmu. Będą mogli dzięki temu sprawdzić, czy nie ma na nim jakichś informacji na temat przedmiotu ukrytego pod płytką albo przynajmniej dotyczących tego, co robił Will, zanim zaokrętował się na prom.

Alex nie miał pojęcia, kiedy nauczyła się wywoływać filmy: o wiele łatwiej było mu zakładać, że dawno temu. Martwił się jednak tym, że mieli za sobą długi i stresujący dzień.

-Robi się późno, Lucy. Może lepiej przywiozę

cię tam któregoś popołudnia, jeszcze w tym tygodniu, i wtedy zajmiesz się filmami?

Lucy pamiętała jednak o słowach Henry'ego i wołała nie zwlekać.

-Nie, zajmę się nimi teraz. Czas działa na naszą niekorzyść. W godzinę przygotuję stykówki. Nie masz nic przeciwko, Henry?

-W żadnym razie. Potrafisz wywoływać filmy? Ja nie wiedziałbym od czego zacząć. A ty, Aleksie?

-Lucy kryje w sobie wiele niespodzianek. — Alex posłał jej pełen ironii uśmiech. - Ale o jedenastej to odłożysz, dobrze? Jeżeli chcemy zdążyć do Londynu, powinniśmy wstać wcześniej i wyjść koło siódmej. Po trzech dniach nieobecności, muszę być w pracy i nadrobić zaległości.

Zaczęli planować szczegóły wyjazdu, a Alex czekał na rachunek; Henry wrócił jednak z baru z miną dobroczyńcy i stwierdził, że mogą już wyjść z pubu. Alex spojrzał na niego krzywo.

-Co ty wyprawiasz?

-Pozwólcie mi się ugościć. To czysta

przyjemność jeść kolację w towarzystwie czterech tak świątłych umysłów. Aleksie, nie opieraj się. Uratowaliście mnie przed tostem z serem w domu. A wysłuchiwanie sceptycznych uwag Simona na temat wpływu polityki na życie, to tak, jakby była z nami częśćka Willa. Nie śmiałem się tak od miesięcy.

Pocieszyło to nieco Alexa, wzięli więc z Lucy Henry'ego pod rękę i ruszyli z powrotem do domu. Byli w zdecydowanie lepszym nastroju niż kilka godzin wcześniej, gdy jechali do Longparish samochodem.

ZEGAR WSKAZYWAŁ KWADRANS PO DZIESIĄTEJ. GRACE I HENRY ZACIEKLE dyskutowali na temat pewnych sprzecznych interpretacji Apokalipsy. Alex - upewniwszy się, że u Anny wszystko w porządku i poprosiwszy sąsiadów o nakarmienie kota - pił właśnie drugą kawę.

Simon nie mógł się doczekać zdjęć i poszedł zobaczyć, jak sobie radzi Lucy. Zdziwiło go, że wiedziała o ciemni Willa. W dzisiejszych czasach niewiele osób własnoręcznie wywołuje zdjęcia. On sam wiele razy podpatrywał pracę mistrza i choć nie był w stanie przypomnieć sobie dokładnie wszystkich kolejnych kroków, jakich wymagał cały proces, postanowił dołączyć do Lucy i obserwować, co robi. Nalał sobie filiżankę kawy i przeprosił wszystkich.

Ciemnia została urządzona w starej spiżarni. Miała dostęp do bieżącej wody oraz umywalkę. Drzwi były zamknięte. Simon zapukał stanowczo

i zawołał do Lucy, żeby mu otworzyła.

-Simon? - Potwierdził mruknięciem. -
Chwileczkę. Kończę wieszac
negatywy, zaraz otworzę.

Chwilę później w szparze drzwi pojawiła się dłoń w białej rękawiczce. Kiwnęła mu, by wszedł do środka. Oczy Simona przez chwilę przyzwyczajały się do szatańskiej poświaty. Lucy, kończąc robotę przy kuwecie, wskazała mu taboret i zaproponowała, by usiadł. Wylała utrwalacze i splukała naczynie wodą, po czym ostrożnie otworzyła znowu kuwetę, wyciągnęła z niej wywołane negatywy i powiesiła paski nad umywalką, by je trochę wysuszyć.

-Nad czym teraz toczy się dyskusja?

Uśmiechnęła się znacząco, podnosząc jednocześnie irchę i przemywając nią paski filmu, by usunąć z nich nadmiar cieczy.

-Nad Aniołem Apokalipsy. Henry i Grace się za niego wzięli! Nie wie działem, że jest tak oblatana w historii.

Lucy uśmiechnęła się z dumą, słysząc komplement pod adresem swojej przyjaciółki.

-To bystra dziewczyna. Ma też bardzo głęboki,

światny głos. Jest jeszcze mnóstwo rzeczy, których o niej nie wiesz.

-Rozmawiają o Objawieniu świętego Jana, spisanym w pierwszym wieku po Chrystusie — alegorii przepowiadającej wyćpienie nikczemnych,

obalenie Szatana i ustanowienie królestwa Chrystusa na ziemi. Autor, Jan — najczęściej utożsamiany z Janem Ewangelistą, choć warto wspomnieć, że nie potwierdzają tego żadne dowody - pisał o chrześcijanach w Cesarstwie Rzymskim. Każda epoka przedstawiała jednak własną proroczą interpretację tego dzieła.

Choć mówił z charakterystyczną dla siebie energią, był całkowicie skupiony na tym, co robi Lucy.

Lucy uśmiechnęła się do Simona, nie przerywając cięcia negatywów na krótsze paski, które umieszczała w suszarce.

- Miał niezły sprzęt. Rzadko mi się zdarza korzystać z takich luksusów jak suszarka fotograficzna.

Skończyła i włączyła normalne światło, gotowa, by przejść do suchej części ciemni i zająć się stykówkami.

- Wywołałaś wszystkie rolki?

- Wszystkie oprócz jednej, tej ze specjalnymi instrukcjami. - Lucy się zamyśliła. - Będę musiała przy niej uważać, bo być może zdjęcia wykonano w jakimś specyficznym oświetleniu. Ale co do

pozostałych, jak już załadujesz jedną rolkę, reszta idzie jak po maśle. Skończę dzisiaj stykówki; potem zobaczymy, co na nich jest, i wybierzemy interesujące nas klatki. Dopiero wtedy będę mogła zrobić właściwe odbitki.

Simon był pod wrażeniem. Patrzył, jak Lucy umieszcza paski negatywów w ramce do stykówek, kręcąc się z wprawą wokół sprzętu. Musiał przyznać, że dziewczyna wie, co robi.

- Wspaniała z ciebie dziewczyna, Lucy. Will by cię polubił. Myślę, że Alex uzyskałby od niego pełną braterską aprobatę. Jedną z niezwykłych cech charakteru Willa było to, że zawsze potrafił powiedzieć coś wyjątkowego ko biecie. Każdej kobiecie. Zawsze znajdował w nich coś autentycznie pięknego. Czasem była to jedna, jedyna rzecz - i potrafił to pochwalić. Był szczodry wobec innych, ale myślę, że w tym wypadku byłby autentycznie zachwycony i miałby o tobie wiele wspaniałych rzeczy do powiedzenia.

Lucy poczuła się głęboko poruszona. Zdjęła

rękawiczki i pocałowała Simona w czoło.

-Dzięki, Simonie. Wiele to dla mnie znaczy.

Włączyła z powrotem czerwone światło, wyjęła z pudełka kilka arkuszy papieru fotograficznego, umieściła je na suchym blacie i nałożyła na jeden z nich ramę do styków. Simon patrzył, jak zapala na kilka sekund światło,

umieszcza naświetlone arkusze w bezpiecznym, wyciemnionym miejscu, po czym powtarza tę czynność z każdym z arkuszy.

-Jak długo ci to zajmie? Może przyniosę kawę?

-Myślę, że jakieś piętnaście minut. Co do kawy: nie, dziękuję. Obawiam się, że jestem na ścisłej bezkofeinowej diecie.

Ciągle przy czerwonym świetle, wróciła do mokrej części ciemni, włożyła gumowe rękawiczki i przytrzymując stykówki szczypcami, wsadziła je do kuwety.

-Żadnej przekłętej kawy. Żadnej czekolady. Śmietany. Tłuszczu. Soli. Papierosów. Uwaga na cukier. Nie za dużo alkoholu... Niesamowite. Mam nadzieję... że innego rodzaju przyjemności nie są zabronione, co?

Lucy, która patrzyła, jak na papierze zaczynają się pojawiać obrazy, roześmiała się głośno. W panującym w pomieszczeniu dziwnym oświetleniu nie było widać, że się zaczerwieniła. Wiedziała, co miał na myśli, ale mimo że czuła się w towarzystwie Simona swobodnie, był to

zbyt osobisty temat, żeby go z nim omawiać. Wyciągnęła pierwszą stykówkę, wypłukała ją i umieściła jeszcze raz w utrwalaczu.

-Z tego, co mówisz, nudziara ze mnie. Innego rodzaju przyjemności są w porządku, ale... Niech ci nawet przez myśl nie przejdzie, że uprawnia cię to do jakichś sprośności.

Rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie, pod którym jednak czaiła się nuta rozbawienia. Wypłukała jeszcze raz stykówkę i powiesiła ją do wyschnięcia.

-Mm... Cieszę się, że to słyszę.

Simon nie miał zamiaru uderzać w czuły punkt, ale dzięki Grace wiedział o problemach Lucy z Alexem. Był pewien, że ten ostatni zachował się jak profesjonalista i nie rzucił się na nią zaraz po operacji, ale zauważył, że Lucy wróciła z Francji trochę zmieniona, że emanuje z niej coś bardzo zmysłowego. To bardzo dobrze, słodziutka, pomyślał.

Obróciła się i stanęła przed nim z kwaśnym wyrazem twarzy. Zapaliła normalne światło.

- Włóż rękawiczki i pomóż mi wyciągnąć

stykówki z ramek.

Usłyszał w jej głosie ostrzeżenie: nie
pytaj o nic więcej.

Podczas gdy Simon walczył z zaciskami,
wyjęła kilka negatywów i oznaczyła je; nagle coś
przykuło jej uwagę. Chwyciła lupę i umieściła ją
nad stykówką, przybliżając ją do źródła światła.
W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi.
Simon zapytał, czy może otworzyć. Skinęła
głową, nie

odrywając oczu od stykówki. Do środka, trzymając w rękę filiżankę herbaty z trawy cytrynowej, wszedł Alex, najwyraźniej zaciekawiony tym, co się dzieje; zauważył, że Lucy przygląda się uważnie zdjęciom. Usłyszał dzwonek alarmowy, podszedł więc prosto do Lucy i opiekuńczym gestem położył jej dłoń na ramieniu.

— Co to jest?

—Ten samochód. - Spojrzała na twarz najpierw jednego mężczyzny, potem drugiego, po czym wróciła do fotografii. -Tutaj. Nie wiem, gdzie Will zrobił te zdjęcia, ale to do tego samochodu wepchnięto mnie w Chartres. To w nim mnie uprowadzono.

— Jesteś pewna? — spojrzał na nią Alex.

-Na sto procent.

KILKA MINUT PÓZNIEJ LUCY SIEDZIAŁA NA ŁAWIE I OBSERWOWAŁA, JAK INNI WPATRUJĄ SIĘ W ostatnią ze stykówek, starając się cokolwiek na niej rozpoznać. Obok niej przysiadł Alex, gotów zareagować na każde jej wezwanie, ale Lucy wydawała się spokojna, choć była zamyślona.

— O to chodziło! - zawołał nagle Simon. Przesuwał lupę nad ostatnią stykówkę, tę, którą Lucy wywołała z rolki wyciągniętej z aparatu; z czterdziestu ramek naświetlone były tylko trzydzieści dwie. — Will sfotografował jakieś teksty i wydaje się, że jest ich... — policzył szybko - też osiemnaście. Tak jak wcześniej. Ze stykówki nie da się wyczytać żadnych szczegółów, ale wygląda na to, że spisano je ręcznie. Różnymi charakterami pisma.

Alex i Lucy rzucili się w stronę stolika. Alex zorientował się, że tego właśnie szukali - że to na tym tak desperacko pragnęli położyć łapę Guy Tempie i jego kumple. Nie wiedział, co to takiego, ale jedno było pewne: Will znalazł to i sfotografował każdą stronę za pomocą dwudziestopięciomilimetrowego obiektywu.

-Na pewno to właśnie znalazł w różanym ogrodzie - stwierdził z przekonaniem Alex. - Podejrzewam, że oryginały wysłał w paczce do Rolanda. Pewnie chciał je zabezpieczyć.

-W takim razie - przejął pałeczkę Simon -

musimy powiększyć odbitki i sprawdzić, czy da się odnaleźć oryginały. Najwyraźniej Will uważał, że należy je trzymać w ukryciu albo że są niebezpieczne.

Był tak samo zaniepokojony jak Alex i Lucy, wiedział też tyle co oni; z kolei Grace i Henry wydawali się zbici z tropu.

Ale to właśnie Henry wrócił szybko do przeglądania innych zdjęć, które przykuły jego uwagę, i zapytał po chwili:

- Aleksie, czy jak już skończysz, możesz mi przekazać lupę?

Alex wyczuł zmieniony głos ojca i natychmiast podał mu szkiełko, które Henry wycelował w jedną z ramek.

- To chyba katedra w Lukce, widać na niej charakterystyczny kwadrat. Piękna. Byliśmy tam z twoją matką kilka lat temu. Chodzi jednak o ten zaparkowany samochód. Wygląda dokładnie jak ten, który widziałem... I u nas wydawał się dosyć charakterystyczny, ale nawet we Włoszech należy do pewnej klasyki. - Spojrzał przenikliwie na Alexa. - A przyciągnął moją uwagę, ponieważ to chyba ten sam samochód co tutaj, obok Chartres. — Wskazał na jedną ze stykówek, tę, która tak zaniepokoiła Lucy. — Zaczyna się to robić dziwne, prawda?

Lucy spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

- Widziałeś gdzieś ten samochód, Henry?

Nie chciała mówić nic więcej; ale Henry

rzeczywiście widział, zauważył gdzieś ciemnoniebieski samochód, którego zapach ciągle czuła, kiedy zamykała oczy - zapach skóry, woń limonki, dobiegająca od siedzącego obok niej mężczyzny, smród papierosów utrzymujący się ponad kierowcą. Zadrżała odruchowo.

Henry zdjął okulary i wyteżył pamięć. Po chwili wyraźnie zmienił się na twarzy.

-Tak - rzekł pewnie. - To ten samochód zablokował mnie, kiedy byłem w szpitalu w Winchester. Pamiętam to bardzo dobrze. Był wczesny ranek, więc parking dla odwiedzających był całkiem pusty, a ten samochód zatrzymał się dokładnie za mną i nie mogłem wyjechać. Melissie i mnie zajęło całe pięć minut, żeby go jakoś wyminąć. Miałem mnóstwo czasu, żeby mu się przyjrzeć, bo przecież starałem się nie uderzyć w to przekłete cacko. Piękny wóz, kierownica po lewej stronie, zagraniczne tablice. Lancia, chyba granatowa. Pomyślałem, że pewnie jakiemuś biednemu turyście przydarzył się na wakacjach wypadek.

-Stał przed szpitalem w nocy, kiedy Will przebywał na oddziale intensywnej terapii? - Alex

poczuł ukłucie paniki, choć starał się to ukryć przed ojcem.

Henry skinął głową; Lucy spojrzała na Alexa; Simon na Lucy; a Grace na Henry'ego. Od strony drzwi prowadzących do studia Diany dobiegła dziwna melodia wybijana przez podróżny zegar. W pokoju zapadło grobowe milczenie. Wszyscy zrozumieli.

SIAN DOMYŚLIŁA SOIĘŻE JEST JUŻ ŚRODEK NOCY: NA JEJ WZBURZONY NASTRÓJ

szturm przypuściły *Wiadomości o pierwszej*. Podniosła pilota i wyciszyła telewizor. Po drugiej stronie pokoju na automatycznej sekretarce świeciła się ciągle pojedyncza, ciągła lampka, Sian musiała więc się zadowolić tym, że nie przysnęła i nie przegapiła telefonu. Minęła duży pokój i weszła do niewielkiej kuchni; wyciągnęła z lodówki butelkę wina i przelała resztę jej zawartości do lampki. Wróciła do salonu i spojrzała przez otwarte okno na pogrążony w mroku plac. Na zewnątrz panowała cisza.

Było już za późno, żeby próbować do niego dzwonić. Zostawiła wszystko w stanie napięcia, czując, że między nią a Calvinem pojawiła się niechęć, ale mimo to, po czterdziestu godzinach, nadal z przyjemnością wspominała ich rozmowę. Podeszła znowu do kuchni, opuściła roletę i wyłączyła światło. Wróciła jeszcze raz do pokoju i sięgnęła po słuchawkę telefonu, zawahała się jednak i spojrzała na zegarek. Było już prawie pięć po pierwszej. Tak, zdecydowanie za późno

na telefon - przynajmniej tak podpowiadała jej duma. Na pewno nie wyszedł gdzieś z kimś innym? Nigdy jednak nie dałaby mu satysfakcji i nie przyznałaby przed nim, że się nad tym zastanawia.

Pstryknęła wyłącznik lampy podłogowej, gasząc światło, i przeszła do sypialni. Udowodni samej sobie i Calvinowi, że mimo wszystko się wyśpi.

Na zewnątrz, na placu, każde z gasnących po kolei świateł obserwowała para żółtych oczu; widziała też przez okno szczupłą sylwetkę Sian, wycofującą się w głąb mieszkania na tle dobiegającego stamtąd jaśniejszego światła. Pulchna dłoń wyciągnęła z wewnętrznej kieszeni nieskazitelnie czystej granatowej jedwabnej marynarki telefon komórkowy i w ciemnościach wystukała na jego klawiaturze wiadomość tekstową; oczy, wyczulone na wszystko, co odstawało od normy, sprawdziły godzinę. Po chwili, bez cienia znużenia, wróciły tam, gdzie przedtem i wpatrzyły się nieruchomo w mieszkanie.

KIEDY ALEX WŁOŻYŁ KLUCZ DO DRZWI OD STRONY PIWNICY, ZAUWAŻYŁ, ŻE brzegi ich framugi łączy delikatna pajęcza sieć. Jej wilgotne nici błyszczały w słonecznym świetle. Wydawało się, że nie było go w domu od wielu tygodni, a nie tylko od kilku dni. Na wycieracze znalazł poranną gazetę, na którą jednak ledwie zerknął, przechodząc do sypialni, by zmienić koszulę i krawat. Spojrzał na zegarek: ósma piętnaście; będzie w szpitalu o wpół do dziewiątej.

Kiedy wychodził, Lucy spała w łóżku Willa, do którego instynktownie udała się, gdy koło północy pokazywał Grace i Simonowi ich pokój. Znalazł ją tam; zdążyła już zasnąć. Była to dziwna perspektywa - spać w pokoju, który przez trzydzieści dwa lata należał do jego brata; nie chciał jednak zostawiać Lucy i iść do swojego łóżka. Położył się po cichu obok niej i objął ją, a jego myśli wtopiły się jakby mimochodem w atmosferę miejsca. Kiedy odezwał się budzik w

zegarku, Alex ciągle leżał w tej samej pozycji. Lucy odwróciła się i uśmiechnęła, nadstawiając usta do pocałunku, po czym poinformowała go, że chciałaby się zatrzymać w domu na cały dzień, żeby dokończyć wywoływanie. Omówiła to już z Henrym, który obiecał, że po powrocie z pracy podrzuci ją na stację. W ramach rekompensaty pojawi się w biurze następnego dnia. Alex nie sprzeciwił się, pocałował ją i zostawił z Simonem i Grace.

Wspiął się po krętych schodach do kuchni. Nagle zadzwonił jego telefon komórkowy.

— *Ti amo, Alessandro.*

-I wzajemnie. Zadzwonię później. Zjedz śniadanie.

Uśmiechnął się krzywo i rozłączył, zabierając szybko z blatu aktówkę, ale nagle jego wzrok przykuła jakaś zapieczętowana woskiem koperta. Najwyraźniej została doręczona osobiście. Sprawdził charakter pisma, zważył ją w rękę. Wziął głęboki oddech, ostrożnie przełamał czerwoną pieczęć i zajrzał do środka. Włożono do niej kawałek czystego grubego papieru i jakiś metalowy przedmiot. Alex się zasepił. Był to przerwany łańcuszek Lucy, z inkrustowaną perłą kopia kluczyka, którą zamówił dla niej na urodziny. Czy Calvin ją odzyskał? Alex miał taką nadzieję, choć musiał przyznać, że nie bardzo w to wierzył.

Włożył płaszcz i wsunął kopertę do kieszeni, w drodze do drzwi wystukując w telefonie numer. Przechodził właśnie przez Kings Road, kiedy uzyskał połączenie i odezwała się Sian.

- Dzięki, że o wszystko zadbałaś. Żyjesz?

Stłumił w głosie niepokój.

- Fajnie było. Max spędził większość weekendu nad jakimiś papierami, które obaj studiowaliście w piątek wieczorem. Obawiam się,

że rozrzucił je po całym twoim biurku. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko. Posłuchaj, nie mogę rozmawiać. Prowadzę, jadę na plan reklamy. Powiedz mi tylko, czy u Lucy wszystko w porządku?

-Myślę, że tak. Sian, jeszcze tylko jedno pytanie: o co chodzi z tą ko-pertką w kuchni?

-Ktoś ją wrzucił przez szparę w twoich drzwiach w sobotę. Jedliśmy z Maxem lunch w Rainforest Cafe, a kiedy wróciliśmy do domu, już tam była. Widziałam, że coś jest w środku, więc wolałam nie zostawiać jej w korytarzu. Coś się stało?

-Nie jestem pewien. Nie wiesz może, kto mógł ją zostawić?

-Przykro mi, nie. Alex, co to jest?

-Łańcuszek Lucy i kluczyk Willa, który dla niej skopiowałem. Zerwali jej go z szyi w piątek wieczorem we Francji. To ostrzeżenie - łańcuszek pojawił się u mnie już następnego dnia.

Sian również pomyślała, że to groźba.

-Powinnam zadzwonić do Calvina?

-Tak, gdybyś mogła. Ale jestem już spóźniony do szpitala. Zadzwonię do ciebie wieczorem. I

dziękuję za weekend.

- Nie ma sprawy. Ucałuj

Lucy.

Głos Sian zadrżał.

KIEDY WCHODZIŁ DO BIURA, SEKRETARKA POMACHAŁA MU NA POWITANIE. Chciała się z nim pilnie widzieć doktor Anwar, która od rana pomagała na sali przy operacji. Jane Cook zostawiła mu wiadomość, szukała go jedna ze studentek, a pan Azziz wkrótce przyjedzie z Harefield: czy może spotkać się z nim o jedenastej na kawie?

— Aha, i doktor Franks prosił, żeby pan do niego wstąpił, a jutro wieczorem poprowadził wykład w Imperial na temat limfocytów T.

Uśmiechnął się. Była dopiero dziewiąta. Witamy w pracy, Aleksie, pomyślał.

— Nie panikuj, Emmo. Powiedz wszystkim, że się zgadzam; sam znajdę Zarinę Anwar.

STOLIK W KUCHNI ZALEWAŁY PROMIENIE SŁOŃCA. DOM BYŁ TAK PRZYTULNY, a każdy jego kąt tak silnie naznaczony obecnością Alexa i jego rodziny, że Lucy miała problem ze skojarzeniem aktualnej sytuacji z tym, co stało się poprzedniego wieczoru. Nikt niczego nie wypowiedział na głos, wszyscy jednak zdawali sobie sprawę, że dyskretna obecność lancii na zdjęciach każe przypuszczać, iż

Will przez jakiś czas był śledzony — i chociaż nie mieli pojęcia, czy o tym wiedział, mogło to również wyjaśnić fakt, że odesłał dokumenty. Mrożąca krew w żyłach opowieść Henry'ego o samochodzie blokującym mu tego bolesnego niedzielnego poranka wyjazd na szpitalnym parkingu zmusiła Alexa do powtórzenia relacji Melissy o tym, że w chwili wypadku niedaleko mostu prawdopodobnie dał się słyszeć odgłos silnika. Czy miało to jakiś związek z włamaniem, którego dokonano tej samej nocy? Goście i gospodarz, udając się do łóżka, mieli wiele do przemyślenia - między innymi fakt, że Lucy niedaleko Chartres uwolniła się od tego samego samochodu. Ale paradoksalnie, ona sama zapadła natychmiast w głęboki sen, niezmacony niczym prócz wyciszonego alarmu i porannego pocałunku Alexa. Nic nie zakłócało jej spokoju; była w domu.

Również później pozory normalności wydawały się kpić z wiszącego nad nią niebezpieczeństwa. Zauważyła, że Alex próbuje zachować kontrolę nad sytuacją i nie zwiększać napięcia. Zostawił dla niej płatki; z kolei Henry

dał jej swój numer do Winchester.

— Rano muszę być w sądzie, Lucy, ale jeżeli tylko będziesz czegoś potrzebowała, natychmiast dzwoń do mojej sekretarki. Tak czy inaczej, zobaczymy się po piątej. O wpół do jest pociąg z Andover. Szkoda, że wyjeżdżasz. Przy jedź do mnie z Alexem i Maxem na święta.

Uścisnął Lucy rękę i dał jej klucze; po chwili wyszedł.

Godzinę później pracowała już nad odbitkami, wybierając negatywy, które miała zamiar powiększyć. O jedenastej w bezpiecznym świetle można już było zobaczyć pierwszą serię zdjęć. Pracując nad dokumentami, musiała kilka razy dostrajać ostrość, ale Will wykonał kawał dobrej roboty i jakość była pierwszorzędna. Wstrzymała oddech, czytając pierwsze słowa, które pojawiły się w oświetlonej kolorowym światłem kuwecie. Zobaczyła wypisane starannym kobiecym pismem, na oko osiemnastowiecznym, wyrazy:

Lucy w lesie gubi mieszek...

A na następnym zdjęciu:

Och — lecz córce króla grozi niebezpieczeństwo. Może zmylić ścieg. Stracić wątek. I stracić głowę.

Na kolejnym:

BYK 4 - POD TĘCZĄ ZŁOTA DZBAN

Na jeszcze innym napisano na maszynie zabawną starą czcionką:

Umarła dziś muzyka.

Dlaczego w tych tekstach widziała siebie? Miała na imię Lucy. Zgubiła coś - nie mieszek wprawdzie, ale klucz. I była córką króla - swojego ojca, który miał na nazwisko King; wiele też razy, kiedy zszywała kołdrę w szpitalu i starała się nie zmylić ściegu, myślała o tym, że ten patchwork symbolizuje jej życie. To z pewnością tylko przypadek. Ale czy aby na pewno? A tęcza? Żartowali często o niej z Alexem. Co w takim razie z ostatnią zagadką? Wszystko to było bardzo dziwne. Niewątpliwie teksty mówiły o niej; musiała jednak pokazać łamigłówki Alexowi i Simonowi - sprawdzić, czy i oni dojdą do tego wniosku. Nikt inny nie mógł zrozumieć aluzji. Nic im nie powie; pokaże im, a potem dopiero zapyta.

Skończyła partię i postanowiła zrobić sobie herbatę, zanim weźmie się do następnej stykówki. Dochodziła dwunasta; chciała zadzwonić do Alexa, usłyszeć jego głos.

Zagwizdał czajnik. Lucy zalała wodą torebkę. Podeszła z komórką do tylnych drzwi, mając nadzieję, że będzie tam lepszy sygnał niż przy grubych ścianach, i jeszcze raz wystukała numer.

Tym razem udało jej się połączyć i usłyszała sygnał jego bezpośredniej linii. Natychmiast napadła na nią sekretarka Alexa, przywodząca na myśl Cerbera. Rozmawiały już wcześniej, urna-

wiając jej spotkania z Alexem, ale Lucy czuła się teraz skrepowana faktem, że jej relacje z nim się zmieniły.

— Nie, przykro mi. Chyba nie ma go w budynku, panno King. Sama go szukam. Ma dzisiaj napięty harmonogram i biega po całym szpitalu. Czy mam mu przekazać wiadomos'ć?

Lucy zaprzeczyła, czując wyrzuty sumienia, że przeszkadza Alexowi, kiedy on ma „napięty harmonogram”. To w sumie nie było takie ważne; mogła z nim porozmawiać później. Nagle zadzwonił telefon domowy. Lucy nie wiedziała, czy powinna odebrać.

- Jeżeli to coś pilnego, mogę poprosić do telefonu doktora Lovella.

Lucy próbowała wymówić się uprzejmie: to nic pilnego, może poczekać i złapać doktora Stafforda później. Udało jej się zakończyć rozmowę dokładnie w momencie, kiedy domowy telefon przestał dzwonić. Poczowała się zakłopotana i zaczęła zastanawiać, czy nie zadzwonić do Alexa na komórkę. W szpitalu często ją wyciszał albo nawet wyłączał, zwłaszcza gdy znajdował

się w przychodni albo w pobliżu jakichś urzędzeń monitorujących; ale przynajmniej będzie mogła mu osobiście zostawić wiadomość. Poza tym jego głos w słuchawce doda jej otuchy. Postanowiła nastawić się pozytywnie.

— *Buongiorno, Alessandro.* Próbowałam się dodzwonić, ale nie było cię przy biurku. Masz świetnego ochroniarza, sekretarkę. Porozmawiamy później? Pierwsza partia zdjęć jest bardzo intrygująca. Zawiadom mnie, co wyniknie z rozmowy o pierwszej. Nie zapomnij o różnicy czasowej między Francją a Anglią. Och, dzwoni telefon domowy. Odbiorę, może to ty. *Ciao.* — Rozłączyła się szybko i podbiegła do telefonu w kuchni. - Halo?

-Nigdy nie zgadniesz, co znalazłem w plikach ze zdjęciami Willa. Nie zaglądałem do nich, odkąd wysłałem je sobie mailem z komputera Alexa.

— Cześć, Simonie. — Starła się ukryć w głosie rozczarowanie. — Coś cie kawego?

Simon znalazł cztery kadry, wszystkie zrobione cyfrowym nikonem Willa na Sycylii i w Rzymie, na których było widać samochód. Trzy z nich były trochę rozmazane, ale jeden bardzo wyraźny. Simon chciał porozmawiać ze swoim znajomym w Scotland Yardzie i poprosić go o poprawienie trochę jakości zdjęć i odczytanie z nich numerów rejestracyjnych wozu.

- Myślę, że Jamie McPherson coś wymyśli. Nie martw się, Lucy, jest bardzo dyskretny. Młody chłopak, ale inteligentny. Zostaw to mnie. Znalazłem też kilka zdjęć pięknej dziewczyny, która jest dosyć podobna do ciebie, tylko

ma dłuższe i mocno kręcone włosy. Aha, i zadzwonię do Rolanda Browna, poczekam tylko, aż Nowy Jork się obudzi. A co u ciebie?

Lucy przekazała mu kilka szczegółów na temat tego, co znalazła na powiększonych zdjęciach, dzieląc się z nim między innymi swoim narastającym przekonaniem, że w zapisanych na dokumentach grach słownych zawarte jest jej imię. Usłyszała dzwonek komórki, ale Simon był tak zaangażowany w dochodzenie, że trudno mu było przerwać. Czy mogą się spotkać na kolacji? Nie mógł się doczekać, by podążyc tropem nowych wskazówek. Lucy odprawiła go i odebrała komórkę, niestety okazało się, że to tylko jej poczta głosowa.

-Lucy, jest piętnaście po dwunastej. Uciekłem gdzieś, gdzie jest ciszej, żeby do ciebie zadzwonić. Domowego nikt nie odbiera, a na twojej komórce włącza się poczta, więc rozumiem, że ciągle grzebiesz się w czerwonej strefie. Mam tutaj urwanie głowy: całe rano przychodzi, a potem poproszono mnie o pomoc na sali operacyjnej, ale spróbuję

zadzwoń znowu po lunchu. Podaj mi godzinę twojego pociągu, to się spotkamy na Waterloo. Znikam, żeby zamienić parę słów na twój temat z Amelem. Zadzwoń na mój bezpośredni, jak się pojawisz. Będzie bezpieczniej.

Cholera. Lucy opadła zrozpaczona na dębową ławę. Jak mogła przepuścić oba telefony? Cóż, zostawi Alexa w objęciach Amela i pracy w laboratorium; zadzwoni po lunchu. Zabrała herbatę i wróciła do ciemni Willa, z głową pełną myśli o zagadkowej, zagubionej w lesie Lucy.

- WYGLĄDASZ JAKOŚ INACZEJ.

Amel podał swojemu gościowi doskonale zaparzoną kawę i poczęstował go falafelem oraz liśćmi winorośli.

Alex uśmiechnął się enigmatycznie.

-Czuję się inaczej. W ostatni weekend zostałem przeniesiony w nieznane mi wcześniej miejsce. I wcale nie jest to tak zagadkowe, jak mogłoby się wydawać. - Spojrzał na swego mentora. - Amelu, czy masz wyrobione zdanie na temat pamięci komórkowej?

-Komórki w naszych ciałach, które

przechowują informacje dotyczące naszych gustów i osobowości? - Amel mrugnął do swego ulubionego protegowanego. — Interesująca dygresja w twoim wypadku, Alexandrze. Czy ma to coś wspólnego z pytaniem, które zadałeś w sobotę Jane?

-Mówiła ci?

— Martwiła się, czy to tobą jakoś nie wstrząśnie. Powiedziała, że może ci to „zamieszać w głowie”, że użyję jej wyrażenia. Mówiłem jej, żeby się nad tym specjalnie nie zastanawiała, że tobie w ogóle nie będzie to przeszkadzało. Myliłem się?

— Nie. Nie wstrząsnęło to mną, może tylko czuję, że Lucy... jest mi teraz jeszcze bliższa. Chodzi raczej o to, w jaki sposób się dowiedziała: to mną wstrząsnęło.

— Courtney z pewnością odrzuciłby ten pomysł. „Kompletne bzdury”, powiedziałyby. Ale nie każdy by się z nim zgodził. Jeśli potraktujemy to jako pewien pomysł, znajdziemy kilka teorii, które pomogą nam go lepiej zrozumieć. Rozumiem, że Lucy powiedziała coś, co wywołało twoją ciekawość?

— Moim zdaniem częściowo jest to kwestia lekarstw: nowe upodobania względem jedzenia, obrazowe sny. Ale jedna czy dwie rzeczy mnie zaintrygowały. Will był niesłychanie muzykalny. Lucy poczuła, jak to określiła, przymus, by po wielu latach przerwy zagrać znowu na pianinie. Powiedziała mi, że od operacji

nosi w sobie muzykę klasyczną. Być może chodzi o kolejny czynnik psychologiczny, ale jeżeli zacząć analizować go wspólnie z innymi symptomami, rzecz staje się godna uwagi. Wydaje się jej też, że rozpoznaje przyjaciół mojego brata. Zbliżyła się do jego poglądów na wiele różnych tematów — w dodatku wtedy, gdy trudno się tego spodziewać. Wreszcie, co ciekawe, od operacji staje się stopniowo leworęczna, co już trudno przypisać lekarstwom.

— Will był leworęczny?

— Tak, był też do pewnego stopnia dyslektykiem. Możesz oczywiście stwierdzić, że po prostu po operacji Lucy faworyzuje lewą stronę. Ale zauważyłem jeszcze inne dziwne rzeczy i staram się myśleć obiektywnie. Za każdym razem, gdy reaguje na coś instynktownie - a nie, kiedy przypomina sobie jakieś fakty czy wydarzenia - jej instynkty są w jakimś stopniu zbieżne ze sposobem działania Willa.

Amel skinął głową.

— Pamiętam - powiedział — rozmowę z pewnym błyskotliwym neurokardiologiem na konferencji w Holandii kilka lat

temu. Interesował się relacjami między mózgiem a sercem, zapośredniczonymi przez system nerwowy. Wydawało mu się, że są one dynamiczne, mają charakter dwukierunkowej reakcji. Nie można wykluczyć, że każdy z tych organów ma pewien wpływ na funkcjonowanie drugiego. Zgodził się z pomysłem, według którego ser-

ce jest samo dla siebie mózgiem, złożonym z sieci neuronów, przekaźników, białek i komórek wspomagających, umożliwiających mu działanie do pewnego stopnia niezależnie od czaszki - być może dzięki temu jest ono nawet w stanie czuć i odbierać bodźce.

Alexa wyraźnie zainteresowały słowa Amela.

— Rozumiem z tego, że informacje przekładają się na neurologiczne impulsy i przemieszczają z serca do mózgu na różne sposoby, że docierają do rdzenia w pniu mózgu. Następnie impulsy te regulują czynności naczyń krwionośnych i organów. Ale jeżeli docierają do wyższych ośrodków mózgu, mogą również wpływać na naszą percepcję i inne procesy poznawcze, tak?

— Dokładnie. To właśnie osobny system nerwowy serca, funkcjonujący niezależnie od mózgu, pomaga w przeszczepach. Normalnie serce i mózg komunikują się z sobą przez włókna nerwowe w kręgosłupie; kiedy jednak te połączenia zostają uszkodzone i przez jakiś czas niemożliwe jest powtórne uzyskanie łączności, funkcjonować w nowym ciele pozwala sercu jego

wewnętrzny system nerwowy. Jeśli więc zgodzimy się z poglądem, że ma ono swój własny minimózg, to okaże się, że pewna postać tego, co uznajemy za pamięć komórkową, jest do przyjęcia.

Amel spojrział na Alexa, zastanawiając się nad czymś jeszcze.

— Nie powiedzieliśmy jednak, Aleksie, ani słowa o tym, że na zmiany w Lucy mogła jakoś wpłynąć jej dusza. Mówiliśmy o naukowych podstawach pewnej teorii; może jednak powinniśmy zastanowić się nad inną ewentualnością, a mianowicie, że jej osobowość jest... dodatkowo empatyczna w stosunku do osobowości twojego brata. Darzy cię silnym uczuciem, a ty byłeś z nim bardzo blisko. Może jest w jakiś subtelny sposób bardziej wyczulona na pewne mało uchwytnie cechy jego serca, tak jakby była w stanie dotrzeć do jego istoty w sposób, którego nie potrafimy wyjaśnić?

— Jak dwoje identycznych bliźniąt?

— Być może. To oczywiście nie ma nic wspólnego z nauką - w przeciwieństwie do argumentów za pamięcią komórkową, które da się

zweryfikować empirycznie. To jednak fascynujące, nie sądzisz? Mnie osobiście tego rodzaju założenie wydaje się intrygujące. Zachowałbym ostrożność z przypisywaniem temu zjawisku czegokolwiek, z wahaniem opowiadałbym się za lub przeciw. Często popełniamy błąd, łącząc dla własnych celów dwa niezwiązane z sobą zjawiska. Możemy być jednak otwarci na tego rodzaju badania. Bardziej zaawansowane wnioski mogą wynikać właśnie z analizy przypadków tak inteligentnych pacjen-

tów jak Lucy, którzy są wyczuleni na doświadczane przez siebie zmiany i rzadko ubarwiają szczegóły. Zapytaj o to na swojej następnej konferencji, Aleksie. Wielu lekarzy i badaczy może się pochwalić pewnymi doświadczeniami w tej dziedzinie. Musimy jednak zadać sobie - Amel spojrzał na Alexa z niepokojem

-jeszcze jedno pytanie. Czy to nie stanie na przeszkodzie wam jako... wam?

— Trudno powiedzieć, dopóki nie dowiem się czegoś więcej. Nie mam żadnego powodu, by wątpić w to, co czuje Lucy: jestem przekonany, że ni czego nie wymyśla. Czasem bywa to frapujące. Zanotuję sobie, żeby poruszyć ten temat na którejś z najbliższych konferencji i dowiedzieć się jak najwięcej, co ludzie mówią na ten temat. Jeżeli to tylko kwestia leków, to z pewnością efekty ich działania są dosyć zabawne.

—Jasne, ale nie chodziło mi o to. Czy nie widzisz tu pewnej psychologicznej bariery, którą musicie pokonać? Twój brat jako dawca Lucy?

Założyłem się z Jane o lunch w dobrej restauracji, że nie; ale przyznasz, że to trochę dziwne. Część Willa spoczywa w Lucy - na pewien pokręcony sposób czyni to z niej twoją siostrę. Chodzi też o okoliczności, w jakich serce do niej trafiło. Dzień lub dwa wcześniej mogła mieć inne: była pierwsza na liście, już ją sprowadziliśmy, a wiesz przecież, że nie lubię pacjentom dawać i odbierać nadziei. Ale to serce nie było najlepsze, niedobre dla tak młodej kobiety. Niezwykłe było również to, że jej tkanka praktycznie idealnie pasowała do serca Willa.

Nastrój zakłócił nagle pager Amela, który jednak zerknął tylko na urządzenie i nie miał zamiaru popędzać gościa.

— Oczywiście, żaden z nas nie miał pojęcia o związku między dawcą a biorcą. Wiesz o tym.

— To cud, prawda? - uśmiechnął się Alex.
- Tak, to zdumiewające mieć obok siebie tak istotną jego część. Ale jednocześnie to cudowne. Nie boję się. Nie dopuszczamy, by takie rzeczy miały na nas jakiś wpływ. Na razie Lucy do pewnego stopnia przejawia tylko jego

wrażliwość. Mam nadzieję, że nie zacznie podzielać jego opinii! Na szczęście ona sama ma bardzo wyrazistą osobowość. - Tym razem odezwał się jego pager, Alex musiał więc wstać.

-I oczywiście jest dużo ładniejsza od Willa.

Spojrzał na swoją wiadomość. Poczł ulgę, kiedy okazało się, że to wezwanie do nagłego przypadku.

— Zauważyłem — roześmiał się na głos Amel za otwierającym już drzwi Alexem. Na szczęście z jego głową było wszystko w porządku. Amel wygra zakład.

- Chodzi o świńską zastawkę, Aleksie. Czy mógłbyś wrócić ze mną na salę operacyjną i popracować z anestezyjologiem? Musimy sobie poradzić z do syć trudną reakcją immunologiczną.

Alex podniósł pager, pokazując, że właśnie po niego dzwonią. Zbiegli razem korytarzem. Po chwili Alex zorientował się, że wielkimi krokami zbliża się pierwsza. Czy będą bardzo punktualni? Poczł się rozdarty między poczuciem obowiązku a niepokojem. Zerknął znad maski na Amel.

- Możesz sobie poradzić beze mnie przez dziesięć minut? Mam coś pilnego do załatwienia punktualnie o pierwszej.

Amel mrugnął przyzwalająco.

- Wróć zaraz, jak tylko będziesz mógł.

Alex zniknął za harmonijkowymi drzwiami.

Zegar na korytarzu wskazywał cztery minuty do pierwszej; wyciągnął z kieszeni własny zegarek i porównał godzinę - według niego została mu tylko minuta. Wetknął głowę za ściankę działową biurka Emmy.

-Ktoś dzwonił?

-Lucy King, a oprócz niej Jane Cook, która chce zamienić pilnie słówko, i doktor Anwar, żeby podziękować z całego serca. Poza tym ta śliczna studentka z długimi, długimi nogami i krótką, krótką spódniczką wpadła przed chwilą, żeby zostawić jakieś papiery. Powiedziała, że są „spóźnione”.

- Emma spojrzała na formujące się na jego ustach pytanie. - Więcej nic. Ale Jane dzwoniła trzy razy.

Alexa rozbawiła skrótowa relacja Emmy, pobiegł jednak szybko w kierunku zewnętrznych drzwi, rzucając tylko okiem na komórkę.

-O której dzwoniła Lucy? - zawołał jeszcze przez ramię.

-Godzinę temu. - Emma obdarzyła go ironicznym spojrzeniem. No cóż, trwało to trochę, ale wreszcie wykonał właściwy ruch. - Tuż przed dwunastą! - zawołała głośniej, ale jego już nie było.

Szukając odosobnionego miejsca, pobiegł do ogrodu, w którym grupka pielęgniarek z oddziału

kardiologii spędzała przerwę na papierosa. Jego telefon odezwał się głośniejsze i wyświetlił dwa nieodebrane połączenia i dwie wiadomości. Alex wyciszył go i odczekał całą minutę, wpatrując się w godzinę na wyświetlaczu, aż telefon pokazał pierwszą dwie, a jego zegarek - pięć po. Był pewien, że telefon jest nastawiony na Greenwich, więc po chwili zastanowienia zadzwonił na pocztę głosową, przygotowując się na południowy zaśpiew w głosie Guya.

Wiadomości były nagrane w odwrotnej kolejności - ostatnia jako pierwsza. Simon wypatrzył samochód na cyfrowych zdjęciach... Alex niecierpliwie skasował nagranie, zanim zdążyło wybrzmieć do końca. Zadzwoń do Simona wieczorem. Następna - krótka, czuła wiadomość od Lucy. Na jego ustach pojawił się uśmiech. Zadzwoń do niej za chwilę. Tego właśnie potrzebował.

Spojrzał na aparat. Telefon pokazywał cztery, a jego zegarek siedem po pierwszej. Czekał dalej cierpliwie: pomyślał wprawdzie, by zadzwonić do Lucy, ale wolał nie zajmować linii.

Minęły trzy minuty. Zrobiło mu się gorąco, zaczęło go drażnić, że bawią się z nim w ten sposób. Mogą zadzwonić o drugiej, nie przejmując się różnicą czasową. Wpatrzył się znowu w budynek. I w tym momencie zadzwonił telefon. Alex wciągnął cicho w płuca powietrze.

-Tak? Alex Stafford... - nie zdążył się jeszcze do końca przedstawić, kiedy zdał sobie sprawę, że rozmawia z pocztą głosową. Według automatycznej sekretarki, wiadomość nagrano trzy minuty po pierwszej. Zmiana grawitacji

sprawiła, że Alex poczuł ucisk w żołądku.

-Doktorze Stafford. Umówiliśmy się, że o tej godzinie porozmawiamy. Nie lubię czekać. Znajdę pana później. Jeżeli nic pan dla mnie nie ma, to sam sobie coś wezmę.

Rozmówca się rozłączył.

Głos był upiorny. Alex jeszcze raz odsłuchał wiadomość i sprawdził godzinę. Najwyraźniej spóźnił się o minutę lub dwie, co wywołało u niego wściekłość. Pewnie kasował wtedy wiadomości od Simona i Lucy. Wcisnął kciukiem kilka klawiszy, szukając numeru nieodebranego połączenia, ale okazało się, że się nie wyświetlił. Zadzwoił pod ostatni numer, mając nadzieję, że uda mu się oddzwonić, ale również to nic nie dało. Telefon wyświetlił informację o niezidentyfikowanym rozmówcy. Musiał się odwołać do wyćwiczonego przez lata spokoju lekarza: nagrał nową wiadomość, informując dzwoniących, że w czasie pracy nie zawsze może odebrać telefon. Zostawił swój numer wewnętrzny. Czy to ich usatysfakcjonuje?

Zatrzymał się, żeby zadzwonić do Calvina: powinien mieć numer kontaktowy do nich. Calvin

jednak nie odebrał. Alex wpadł na inny pomysł. Ruszył biegiem do Emmy, mając zamiar przypomnieć jej, żeby pilnowała jego komórki, kiedy on będzie na sali operacyjnej, i żeby znalazła go natychmiast, jak ktoś zadzwoni na którykolwiek z numerów - nie miał wątpliwości, że

spróbują. Potem jednak w jego głowie pojawiła się o wiele mniej przyjemna myśl. Przyspieszył gwałtownie.

— Połącz mnie z ojcem. Jeżeli jest w sądzie, to niech jego sekretarka pilnie go wezwie.

Emma spojrzała na niego zdziwiona, on jednak ruszył pędem w stronę telefonu w swoim gabinecie. W komórce Lucy odezwała się od razu sekretarka: widać Lucy była w ciemni. Nagrał wiadomość wystudiowanym, spokojnym głosem, który mógł oszukać wszystkich oprócz Amela i kobiety, do której dzwonił: „Jak odbierzesz tę wiadomość, zadzwoń do mnie natychmiast. I, Lucy, nie otwieraj drzwi”. - Zadzwonił na domowy, mając nadzieję, że usłyszy dzwonek. Nic. Opuścił głowę. Emma złapała przez szybę jego wzrok i pokręciła głową. Uniosła jeden palec, co miało oznaczać, że Henry będzie nieuchwytny przynajmniej przez godzinę. Alex wstał bez słowa i zdjął z wieszaka na drzwiach płaszcz. Po chwili jednak się zatrzymał. Odwrócił się, rzucił płaszcz na krzesło i poszperał w skrzynce kontaktowej komórki. Znalazł numer i

zadzwoił z biurowego telefonu.

- Melisso, dzięki Bogu. Mówi Alex Stafford. Możesz coś dla mnie zrobić?

WYKONUJĄC ODBITKI Z CZWARTEJ ROLKI, LUCY ZNALAZŁA WRESZCIE SWOJEGO sobowtóra. Dziewczyna, jak jej się wydawało, była trochę młodsza od niej i rzeczywiście miała bujną grzywę silnie skręconych loków, w których hulał ciągnący od morza wiatr. Jeden rzut oka wystarczył Lucy, by stwierdzić, że istotnie, są do siebie dziwnie podobne - poczuła się, jakby patrzyła na ducha. Kolejna dziewczyna Willa? Wydawało jej się, że rozpoznaje jej twarz, że pamięta ją z jakichś snów - a może była to tylko fantazja?

Jednak najciekawsze odkrycie nastąpiło chwilę później. Lucy nie uświadomiła sobie jego znaczenia, dopóki nie powiększyła jeszcze bardziej ujęcia. Początkowo pomyślała, że to po prostu płytką z kluczykiem do motocykla, którą Will zostawił w różanym ogrodzie. I rzeczywiście była to ta płytką, tyle że kluczyk był zdecydowanie inny. Kiedy Lucy powiększyła

zdjęcie, zorientowała się, że Will przykleił zapasowy kluczyk w miejscu, gdzie wcześniej był ukryty inny. Powiększyła klatkę do maksymalnych rozmiarów, jakie można było uzyskać bez zniekształcania obrazu. Pomyślała, że kluczyk bardzo przypomina swego srebrnego kuzyna, zarówno jeśli chodzi o kształt, jak i rozmiar. Był jednak złoty. Zauważyła też wygrawerowany na nim symbol oraz rubin.

W miejscu, gdzie na trzonku srebrnego klucza widać było spiralę i perłę, na rym był wyryty jelen - podobny pod każdym względem do tego z miniatuury, którą pokazywał jej Alex. Kiedy się nad tym zastanawiała, przypomniła też sobie opowieść Alexa o tym, jak Will szkicował jelenia.

Nagle usłyszała uderzenie w wyciemnione okno oraz młody kobiecy głos, wykrzykujący jej imię. Uporządkowała rzeczy wokół siebie, po czym pobiegła korytarzem w stronę tylnych kuchennych drzwi. Jakaś kobieta machała do niej jak oszalała.

-Lucy? Przepraszam, że cię niepokoję. Mam na imię Melissa, mieszkam niedaleko stąd. Alex zadzwonił do mnie i poprosił, żebym cię wypłoszyła z ciemni. Możesz do niego natychmiast zadzwonić?

Lucy zaprosiła ją gestem do środka, ale dziewczyna natychmiast zniknęła. Lucy, wytrącona z równowagi, zadzwoniła z domowego telefonu na prywatną linię Alexa i od razu usłyszała jego głos.

-Wszystko w porządku?

-W porządku.

W głosie Lucy zabrzmiało zdumienie.

-Nie chciałbym cię niepokoić, ale proszę, nie rzucaj się w oczy i nie otwieraj nikomu drzwi. Jak tylko ojciec odbierze moją wiadomość, zaraz do ciebie przyjedzie.

-Aleksie, gdybym nikomu nie otwierała, Melissa nie mogłaby mnie poprosić, żebym do ciebie zadzwoniła. Mówisz jak Simon. Co się dzieje?

-Nie wiem. Może nic. Nastawiłem sobie alarm na tuż przed pierwszą, żeby nie zapomnieć o odebraniu telefonu; potem zostałem wezwany na salę operacyjną do nagłego przypadku. Ciągle jednak mieściłem się w czasie, a przynajmniej tak mi się wydawało, tyle że potem przegapiłem telefon, bo kasowałem inne wiadomości. Powinienem był czekać, wiem, ale w sumie to oni się trochę spóźnili. Nie ufam im. Jestem pewien, że obserwują tylko mnie, ale ciągle mogą być przekonani, że to ty masz oryginalny klucz albo coś innego, co przyciągnie ich uwagę. I mogą wiedzieć od Calvina, że wykopałaś w domu

jakieś dokumenty. Lucy, nie ruszaj się z miejsca, dopóki nie zobaczysz samochodu ojca i niech on odprowadzi cię prosto do pociągu. Próbowałem się dodzwonić do Calvina, za chwilę znowu spróbuję, a za godzinę zadzwonię do domu, żeby się upewnić. Boże, zostawiłem Amela samego na sali. U ciebie wszystko w porządku?

Ledwo zdążyła odpowiedzieć i Alex natychmiast się rozłączył. Po jego telefonie poczuła się trochę zdenerwowana. Spojrzała na zegar. Zbliżała się

pierwsza trzydzieści. Zrobiła herbatę i obeszła dom. Panował w nim błogi spokój. Pachniał ogniem, kwiatami, wygodą. Nic nie miało zamiaru jej niepokoić. Miała nadzieję, że AJex przesadza. Zamknęła się więc z powrotem w cichym ustroniu Willa i wróciła do wcześniejszych zajęć.

Jej wzrok pobiegł znowu do zdjęcia płytki. Wniosek był tylko jeden: Will zamienił klucze. Zapasowy kluczyk do motocykla spoczął w miejscu innego. Czy ten oryginalny leżał teraz gdzieś u Rolanda? Lucy przerzuciła jeszcze raz zdjęcia, szukając na każdym z nich wskazówek. Czas mijał. Zrobiła drugi zestaw, złożony z niektórych zdjęć, i nagle zorientowała się, że jest już po czwartej. Poczowała wyrzuty sumienia i niepokój o Alexa. Zadzwoiła.

„Lucy w lesie gubi mieszek” - pomyślała, czekając aż ktoś odbierze telefon. Została przekierowana na inny numer. „Kitty nad stawem znalazła go w trawie. Ale gdzie jest Kitty?”

Nieoczekiwanie przywitał ją wzburzony głos Emmy.

-Cześć, Lucy. Alex prosił mnie, żebym go

namierzyła, kiedy zadzwonisz, ale jakieś dziesięć minut temu wybiegł szybko ze szpitala. Spróbuj na komórkę, ale obawiam się, że może nie odebrać. Jego mały miał jakiś wypadek.

LUCY WYSKOCZYŁA Z TAKSÓWKI I STANEŁA NA PALCACH. ŚWIATŁA BYŁY ZAPALONE, zasłony odsłonięte; przez podniesione okna na parterze mogła dostrzec czubek głowy Alexa. Kiedy minęła parę stopni i nachyliła się nad prowadzącą do piwnicy dróżką, żeby lepiej widzieć, zauważyła, że leży z zamkniętymi oczami i przekrzywioną niewygodnie głową na sofie. Zastanawiała się przez chwilę, czy użyć dzwonka - nie chciała go budzić - po czym postanowiła wyciągnąć z płaszcza klucze, które dał jej Henry. Minęła pierwsze, a potem drugie drzwi i nagle usłyszała łagodne dźwięki symfonii Mozarta. Położyła torbę w korytarzu. O jej kostki otarł się kot. Alex przez cały czas nie zdawał sobie sprawy, że ma towarzystwo. Kiedy ją wreszcie zauważył, uśmiechnął się ponad ramieniem. Na jego twarzy malowało się wyczerpanie.

Kiedy się odezwał, jego głos był łagodny i nie wyczuła w nim paniki, co odczytała jako dobry znak.

- Miałem nadzieję, że przyjdiesz.

Jej własny głos zabrzmiał podobnie.

- Dzwoniłam, ale miałeś wyłączony telefon i pomyślałam, że nie będę ci przeszkadzać. - Minęła salon i nagle stanęła jak wryta. Alex siedział ze swoim synem częściowo rozciągniętym na sofie, a częściowo skulonym w jego ramio-

nach. Widok ten był oszałamiająco niespodziewany. Emocje Lucy wahały się między czułością a bólem. Na czole chłopca widać było zszycie już rozcięcie, jego nos był obdarty, ale poza tym Max wyglądał spokojnie, jak aniołek.

- Dobry Boże, Aleksie! Czy to coś poważnego?

- szepnęła.

- Nie. Nic mu nie jest. Porwałem go Annie, żeby go popilnować, ale chodzi bardziej o moje poczucie winy niż realne zagrożenie. Jest zmęczony, ale źrenice i puls ma w porządku i nawet nie stracił przytomności. Choć wolę dmuchać na zimne.

Lucy usiadła na stoliku do kawy i delikatnie musnęła kosmyk jasnych włosów Maxa, opadających mu na skronie.

- Wygląda zupełnie jak ty. Powiedz mi, co się stało. Masz wyrzuty sumienia?

Mówiła bardzo cicho.

- Został brutalnie potrącony przed szkołą. Biegł do Anny. Zobaczył jakiegoś barczystego mężczyznę, który przebiegł obok niego, i początkowo na

wet się nie zorientował, jak mocno upadł. To nie był wypadek, Lucy. Choć Anna myśli, że owszem.

Pamiętając o wcześniejszych ostrzeżeniach Alexa, Lucy szybko pozbierała myśli; wnioski, do których doszła, wcale jej się nie podobały. Próbowwała jednak mówić miarowym głosem.

- Jesteś pewien?

- Nieodebrane połączenie. - Alex spojrzał na nią spokojnie. - Gruby mężczyzna. Ty też wspominałaś o grubym mężczyźnie. Zbyt wiele podobieństw, jak na zwykły zbieg okoliczności. Zaniósłem go prosto do Courtneya, żeby Anna nie patrzyła, jak zakładamy mu szwy. Dzięki temu Max mógł mi opowiedzieć, że według niego mężczyzna wpadł na niego celowo. Nie wspomniał o tym matce. Wiesz dobrze, że chodzi o nieodebrane połączenie i że to bardzo skuteczna przestroga. Znają moje słabe punkty.

Lucy spojrzała na niego ze współczuciem.

- Właściwie nawet nie pomyślałem o Maksie czy Annie - powiedział niemalże do siebie. - Nie mają dostępu do niczego, co mogłoby zaintereso

wać tych ludzi i nie są w to bezpośrednio zamieszani. Skupiłem się na tobie, ponieważ to my znajdujemy się w centrum wydarzeń, jeśli chodzi o te dokumenty. Ale nie powtórzę już tego błędu. Znajdę sposób, żeby przekonać Annę i zabierze Maxa na kilka dni do swoich rodziców w Yorkshire. Niech oboje nie rzucają się w oczy do czasu, aż znajdziemy tę paczkę Willa. - Na

jego twarzy wymalowała się odraza do siebie samego. — Zaatakowali Maxa i udało im się, Lucy. Czymkolwiek jest to, czego od nas chcą, jeżeli to znajdziemy, przekazemy im. To nie jest tego warte - powiedział stanowczym głosem, spoglądając na Maxa. Lucy popatrzyła w zamyśleniu na ojca i jego małego syna, nieświadomie przygryzając górną wargę.

Alex zaniósł Maxa do łóżka, a ona przygotowała sałatkę. Kiedy wrócił, objęli się, było w tym jednak więcej chęci wspierania się nawzajem niż pożądania. Po chwili, łamiącym się nieco głosem, Alex zapytał:

- Ojciec dał ci klucze

Willa?

Skinęła głową.

- Nie masz nic przeciwko? Dziwnie się czułam, kiedy mi je dawał, ale nalegał.

- Sam mu to podpowiedziałem. Zresztą, mam dla ciebie jeszcze jeden klucz.

Sięgnął do płaszcza, wyjął z kieszeni kopertę ze złamaną pieczęcią i wsunął ją Lucy w dłoń. Kiedy wyciągała jej zawartość, podszedł do wieży, by wybrać nową płytę, po czym spojrział

na Lucy, która wpatrywała się w kopertę zszokowana.

- Kiedy to przyszło?

- W sobotę. - Lucy wypuściła powietrze przez zaciśnięte usta. Alex uniósł brwi. - Chcą, żebyśmy wiedzieli, że mogą nas osiągnąć wszędzie i o każdej porze. Wywołałaś coś, co moglibyśmy im przekazać?

Lucy skinęła głową. Rozłożyła jedzenie na stoliku, wyciągnęła z lodówki butelkę, podała szklanki. Opowiedziała Alexowi o drugim kluczu, przymocowanym do sfotografowanej przez jego brata płytki, po czym zadała pytanie, które nie dawało jej spokoju.

- Czy rzeczywiście uważasz, że jeśli znajdziemy ten drugi klucz i będzie my mieli oba, złoty i srebrny, oraz oryginalne dokumenty, powinniśmy to wszystko tak po prostu im przekazać i nie próbować już znaleźć odpowiedzi przed nimi?

Alex się zastanowił. Wiedział, co miała na myśli; wiedział, że jego matka zadała sobie sporo trudu, by stworzyć miejsce, w którym mogłaby

przechować klucz, i drugą partię dokumentów; że bez wątpienia ileś tam pokoleń kobiet w jego rodzinie przechowywało ten tajemny „skarb” w oczekiwaniu na chwilę, kiedy można będzie go ujawnić. Ale Will umarł dla tego czy może z powodu tego. To z pewnością nie było częścią planu.

— Moja matka nie chciałaby, żeby do tego wszystkiego doszło. Will, Max, groźba, że szczęście, które właśnie udało mi się dzięki tobie osiągnąć, znowu umknie. Wiesz, co o tym myślę, Lucy. Przyznaję, że zżera mnie jakaś dziwna ciekawość; cóż takiego może być dla nich aż tak cenne? Ale żadna pamiątka rodzinna, choćby nie wiem jak cenna, nie może być dla mnie ważniejsza niż ludzie, których kocham. Musimy ustąpić. Znajdę sposób, żeby się z nimi jutro skontaktować i przekazać im zdjęcia, które wywołałaś. Miejmy nadzieję, że w ten sposób zyskamy czas, by wydobyć na światło dzienne resztę. Nie możemy zrobić nic więcej. Nie chcę mieć już z nimi nic wspólnego.

— Aleksie...? - Lucy zamierzała wstąpić na dosyć grząski grunt, musiała więc ostrożnie dobierać słowa. Rozumiała jego niechęć, zwłaszcza po wypadkach minionego dnia; chciała jednak przedstawić swój własny punkt widzenia i, dziwna rzecz, nabrało to nagle dla niej ogromnego znaczenia. - Myślenie o tym w ten sposób może być bolesne; mnie nawet trudno o tym mówić. Ale bez śmierci Willa nie byłoby

mnie już wśród żywych; a Will nie stałby się kimś, kim nie był. Dla nich było to stanowczo czymś więcej niż tylko salonową grą, choćby z powodu tego, co zrobiła twoja matka, by to uratować.

Alex wysłuchał jej bez gniewu, wyczuwając pasję, której przejawianie nie było przecież zgodne z charakterem Lucy. Wiedział, że jest niezwykle uczuciowa, choć bardzo często powstrzymywała swoje emocje; zawsze jednak, tak jak on, starannie ukrywała je przed innymi.

Zdała sobie sprawę, że jej słowa go poruszyły, i postanowiła nie dawać mu czasu na ripostę.

— Poza tym - dodała - Bruno oddał swą wolność, a nawet życie za to, co jego zdaniem było ważne. Dante wyznaczył specjalne miejsce - coś w rodzaju antypiekła - dla tych, którzy są zbyt słabi moralnie, by zabrać głos przeciwko niesprawiedliwości lub by mieć własne zdanie — tych, którzy napotykając na swej drodze istotne kwestie, zawsze idą na kompromis. Uważał ich za nikczemników - chorągiewki na wietrze i

obojętnych, którzy, jak twierdził, żyją, nie mogąc dowieść ani swej chwały, ani niesławy.

Alex uśmiechnął się nieznacznie.

— Niewarci nieba, ale i piekła, gdzie mogliby czuć się lepsi od innych?

Odwzajemniła uśmiech i skinęła głową.

— Wśród twoich przyjaciół nie widzę żadnych moralnych tchórzy, Aleksie. Każdy z nich woli otwarcie głosić swoje przekonania; ty zresztą też. Tak czy inaczej, czy możemy tych znajomych Calvina tak po prostu zostawić w spo-

koju? - Spojrzała na niego, ale jej pytanie tak naprawdę nie wymagało odpowiedzi. - A właściwie jak Calvin skomentował ostatnie wypadki? W ostatnim słowie Lucy pojawił się gorzki ton.

-Nie mogłem go nigdzie znaleźć. Również Sian nie ma pojęcia, gdzie on jest.

Lucy zmarszczyła brwi, po czym zadała pytanie, do którego od początku zmierzała:

-Posłuchaj, czy nie powinnam jutro wziąć twojego telefonu? Mogę odebrać, jeśli zadzwonią. Mnie nie przeszkodzi w tym żaden nagły wypadek. Pozwól mi ustalić warunki przekazania materiałów. Spotkam się z nimi. Nie boję się ich. Naprawdę.

-Nie? - Spróbował się usmiechnąć, a Lucy odpowiedziała tym samym, starając się jakoś wesprzeć Alexa. Jej zawsze tak spokojny bohater został tego wieczoru zwyczajnie, po ludzku skrzywdzony, ponieważ zaatakowano kogoś, kogo kocha. Patrzyła na cień Alexa.

-A kogo mam się bać? Despotów? Wyrosłam z despotką. To pewnie przez moją babkę matka

mnie zostawiła. Była bardziej przerażająca niż jacyś tam rapturys'ci. - Alexowi prawie że udało się rozes'miać; Lucy uśmiechnęła się do niego. — Jedyna rzecz, której się boję, to uzależnienie od kogoś, kto może mnie uszczęśliwić albo tego, że będę musiała skapitulować przed gniewem.

Alex przeczesał palcami włosy Lucy, starając się zarazić jej siłą.

-Nadal?

Skinęła powoli głową. Minęły dopiero trzy noce od chwili, kiedy przeszła przez labirynt w Chartres. Alex był wtedy tutaj z Maxem. W czasie wspólnego weekendu gwałtownie ujawnili emocje, które przez długi czas w sobie tłumili, co bardzo ich zmieniło. Jeszcze nie tak dawno nic nie miało znaczenia; teraz nagle liczyło się wszystko. Magnetyzm, który narastał między nimi przez całe miesiące, utrudniał Lucy myślenie o czymkolwiek innym niż to, by mieć Alexa. Teraz musiała zwalczyć wieloletnie przyzwyczajenie do tłumienia w sobie silniejszych uczuć. Alex prawidłowo odczytał jej obawy i nie pozwolił jej się wycofać. Oddał się jej całkowicie i pocałował ją, zmieniając

charakter napięcia.

-Zostań... - powiedział.

-Nie mogę - odparła. Oddychała ciężko, kręcąc głową, by przekonać samą siebie. - Nie powinnam. Przecież co godzinę będziesz chciał zaglądać do syna.

Zgodził się z nią.

- AJe... Jutro?

Alex skinął głową; po chwili jednak się zawahał.

- Mam wykład o szóstej. - Ciągle próbował zapanować nad pożądanym. - Późna kolacja?

Ustalili co trzeba i Lucy ogromnym wysiłkiem woli oderwała się od niego. Wskazała na paczkę, którą położyła na kuchennym blacie.

- Zrobiłam dwa komplety zdjęć. Rzuć okiem na te nowe dokumenty, jeżeli będziesz miał ochotę. Kolejne zagadki, kolejne labirynty.

Uśmiechnęła się z żalem, widząc, że prawie już stracił serce do poszukiwań. A może miał rację, sugerując, by dać temu spokój? Sytuacja stawała się coraz bardziej niebezpieczna.

- Zanim wyjdiesz... - Alex wziął ją za rękę i zaprowadził do biurka, które stało w jego urządzonym na planie otwartym i wychodzącym z tyłu na ogród gabinecie. - Popatrz, co Max zrobił z naszymi kopiami, zanim pole

ciałem do Francji, żeby cię odszukać.

Lucy rozszerzyły się oczy. Sprytny siedmiolatek sprawił, że należało spojrzeć na zagadkę z zupełnie nowej perspektywy. Ułożył przewrócone na drugą stronę kartki z tekstami w pewien wzór, łącząc rysunki w sposób, który nikomu z nich nawet nie przyszedłby do głowy. Nagle stało się jasne, że brakuje połowy obrazka. Wyglądało to jak pół twarzy, umieszczone w jakimś labiryncie.

- Wydaje mi się, że gdybyśmy mieli oryginalne dokumenty, pojawiła by się na nich ścieżka, którą można by poprowadzić przez te zakręty aż do środka.

Alex pokazał jej palcem część ścieżki, którą Max zakreślił kredką: wyglądało to na autentyczny labirynt.

- Tak jak mówiłeś, musimy mieć oryginały: Will sfotografował tylko jedną stronę. Ale Max dokonał wspaniałego odkrycia! - Lucy pokręciła w zdumieniu głową. - Bystry chłopak. Zupełnie jak tato... - Zrobiło to na

niej wrażenie, była dumna z ich obu. - W ogóle nie zastanawiałam się nad szczegółami tych rysunków po drugiej stronie. Popatrz na ten statek. Czy nie przypomina ci...? - Nie musiała kończyć pytania. Zobaczyła, że Alex również rozpoznał barcę, którą widzieli ze statku wycieczkowego. Niemalże po głaskała szlak, który prowadził częściowo przez rzekę. - A to ktoś, kto idzie przez labirynt. Dreszcze mnie przechodzą.

Skinął w zamyśleniu głową; Lucy zobaczyła, że usilnie się nad czymś zastanawia - przypuszczała, że próbuje złożyć rysunki w jakąś całość. Zadała jeszcze raz swoje pytanie, ale tym razem wyraziła je inaczej:

- Popatrz, jak daleko dotarliśmy. Czy możemy, tak z ręką na sercu, po prostu dać sobie z tym spokój? Znaleźliśmy papiery, które spędziły kilkaset lat w ziemi. Will znalazł inne. Nie mogę się pozbyć wrażenia, że mieliśmy je znaleźć; i że z jakiegoś powodu ja jestem ich częścią. — Zauważyła, że Alex się waha. - Przynajmniej rzuć okiem na te powiększone odbitki. Znajdziesz na nich kilka interesujących zagadek, które powinny zająć twój matematyczny umysł. — Zaczęła się zbierać do wyjścia, nagle jednak odwróciła się do Alexa. Na jej twarzy wymalowała się ciekawość. - Posłuchaj, którego dnia umarła muzyka?

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Chodzi o tę piosenkę?

Mrugnęła oczami; Alex zaczął myśleć na głos.

-Masz na myśli wypadek?

Katastrofę samolotu?

Lucy uśmiechnęła się.

-W lutym?

-Aha - skinęła z zadowoleniem głową. - Miłej lektury.

Musnęła ustami jego wargi i wyszła, zanim zdążyła ją opuścić determinacja.

PORANNE SŁOŃCE OŚWIETLIŁO NA INSTRUMENCIE CIENIUTKĄ WARSTWĘ KURZU. Sian podniosła nakrywę i wciągnęła w nozdrza zapach drewna. Poprzedniej nocy przyzywała Willa, by ją nawiedził, a jej pragnienie było tak silne, iż była pewna, że wróci do niej i usiądzie obok. Zwinęła się w fotelu w kłębek i czekała, czekała, wysłuchując. Wypiła za dużo wina, zresztą nie po raz pierwszy. Ale ona nie była Heathcliffem, a on nie był Cathy. Tak jak poprzednio, nie rozległ się żaden dźwięk. Opuściła nakrywę, rozciągnęła ręce nad drewnem i przycisnęła twarz, by poczuć jego zapach, czekając, aż w ciszy rozbrzmi jej jakaś nuta. Gdzie byli ci wszyscy aniołowie, którzy mieli ponoć spieszyć człowiekowi z pomocą na jego wołanie? Calvin opowiadał jej o nich po śmierci Willa, a ona mu wierzyła; nie potrafiła jednak dotrzeć do żadnego z nich. Nawet łzy nie chciały płynąć z jej oczu.

Co za perwersja kazała jej gniewać się na

niego, gdy grał? Jej zdaniem wycofywał się w pianino, żeby od niej uciec. Nagle zdała sobie sprawę, że Will myślał właśnie w ten sposób, że kiedy nie był w stanie wyrazić rzeczywistości w słowach, zamykał ją w dźwiękach. Po powrocie z dalekich podróży często grał przez kilka dni, w ogóle się nie odzywając. Czuła się oddzielona od niego murem - choć nie miało to żadnego wpływu na ich życie seksualne. Pograżony w cieniu, wydobywający z siebie słodko-gorzkie dźwięki, wyczuwał jej zagubienie i bez słowa zabierał ją do łóżka. Wiedziała, że nie miał nikogo, ale mimo to nie potrafiła dostać się do miejsca, w które uciekał. Była lekkomyślna pod względem emocjonalnym i naciskała na niego tak mocno, że wreszcie przeradzało się to w bitwę. Nie potrafiła przetłumaczyć ciszy na język, który byłaby w stanie zrozumieć.

A teraz nagle śmierć Willa zaczęła jej się jawić w zupełnie nowym świetle: czy odegrała w niej jakąś rolę? Z rozmowy telefonicznej z Alexem z poprzedniego wieczoru wywnioskowała, że istnieje pewien związek między współnikami Calvina a tym, co spotkało Maxa i Lucy. Chociaż tego nie powiedział, jego pytania kazały jej podejrzewać, że również wypadek Willa mógł być z tym związany. Była przerażona. Wiedziała, że nie jest jakąś głupią gęsią, że była tylko beznadziejnie bezmyślna - i nie potrafiła uciec przed tą myślą. Po raz pierwszy od dnia katastrofy Willa zdała sobie sprawę, że jest zupełnie sama, a jej poczucie straty stało się przez to jeszcze bardziej dojmujące niż na początku. Dodatkowo przygnębiało ją echo ich ostatnich kłótni.

Nagle jak wściekła osa zabrzączał dzwonek u drzwi. Podskoczyła. Calvin. Czy powinna się z nim zobaczyć? Woląca pozostać odizolowana od świata, wyłącznie w towarzystwie ducha Willa. Wątpliwości co do lojalności Calvina sprawiły, że zrobiła się nerwowa. Czy powiedziała mu za dużo? Czy w ogóle dla niego coś znaczyła - a może była

tylko środkiem do osiągnięcia jakiegoś celu? Może była zbyt niedyskretna w odniesieniu do życia Willa i jego rodziny. Dzwonek odezwał się znowu, tym razem bardziej natarczywie. Oderwała wzrok od płatu nieba rozciągającego się za oknem i spojrzała poniżej na Redcliffe Square; wychyliła się trochę. Na zewnątrz było dziwacznie jasno i spokojnie. Pod domem stało, zaparkowane „na drugiego”, ciemnozielone audi z opuszczonym dachem. Podbiegła szybko do domofonu, nacisnęła guzik i otworzyła drzwi.

Kiedy pojawił się u wylotu długiej klatki schodowej, spod jej powieki wypłynęła gorąca łza, potem druga. Alex uścisnął ją i zamknął drzwi.

-Jedyny człowiek... - wymamrotała w jego czarny lniany garnitur. Nie była w stanie spojrzeć mu w twarz.

Przekrzywił jej policzek.

-Wiedziałem, że nie jest dobrze. Musiałem podrzucić Maxa, pomyślałem więc, że sprawdzę. - Dotknął kciukiem obydwu jej poplamionych policzków, spojrzał jej w oczy i zmarszczył brwi. —

Co miałaś wczoraj na kolację - butelkę Sancerre?

I co oprócz tego, chciał zapytać.

Jej usta zadrżały. Alex dwa czy trzy razy pomagał jej już przechodzić przez kryzys.

-Posłuchaj, Sian. Z Maxem wszystko w porządku, rano był zupełnie zdrowy. Pojechał do szkoły; będzie się mógł pochwalić przed kolegami wspinałką, odniesioną w boju raną. To było moim zdaniem ostrzeżenie, a nie praw-

dziwy atak. Nie możesz się za to winić. Trudno, żebyś w każdym podejrzała bandytę. Mimo to muszę się skontaktować z Calvinem. Mam nadzieję, że rzuci na to jakieś światło. Ciagle się nie odzywa?

-Ciagle. Próbowалам dzwonić do akademika. Nie odbiera komórki, na korytarzu też cisza. Czyżby wszyscy już wyjechali na święta? - Spojrzała na Alexa, który pokręcił głową. - Prawie zaczynam się o niego martwić.

-No cóż, może rzeczywiście powinniśmy. - Ale zastanawiał się już nad tym. Gdyby znajomi Calvina doszli do wniosku, że żywi on jakieś wątpliwości co do ich krucjaty czy podporządkowania się ich ideologii, mógł się znaleźć w nieprzyjemnym położeniu - w zależności od tego, ile wiedział o intencjach rapturystów. Równie prawdopodobne było jednak to, że jest oddanym pośrednikiem i pod pozorem lęku o Lucy, namówiwszy Alexa do tego, by oddał cenne papiery Dee, łup, którego pożąдали, dostarczył w najprostszy z możliwych sposobów. Alex ciagle nie mógł sobie wyrobić zdania na temat tego, po czyjej Calvin stoi stronie.

Wątpliwości, jakie według Simona miał wobec swoich współwyznawców oraz ich teorii, mogły być tylko kwestią chwilowego oportunistu. Możliwe, że ciągle był jednym z czołowych rapturystów. Jednak żaden z tych argumentów nie był w stanie przekonać Sian. - Ostatnio rozmawiałaś z nim w sobotę; od tamtej pory ani słowa?

Pokręciła głową, bezwiednie uwalniając loki z grzebyków.

-Wcześniej już nieraz się sprzeczaliśmy i zapadał się pod ziemię na dzień czy dwa; ale nigdy nie robił czegoś takiego. Widujemy się już od ośmiu lub dziewięciu miesięcy. Moim zdaniem chodzi o jego charakter. Ale właściwie nie znam go dobrze. Może doszedł do wniosku, że tym razem naprawdę się wkurzyłam i uciekł?

Alex spojrzał na nią melancholijnym wzrokiem. Nie był pewien, co tak naprawdę czuje do Calvina.

-Posłuchaj, zaparkowałem w niedozwolonym miejscu i jestem już spóź

niony do pracy; ale martwię się o ciebie. Jeżeli chcesz, żebym został, powiem, że mam nagłą sprawę. Nawet mnie może się od czasu do czasu przydarzyć wizyta domowa.

Spojrzała mu w oczy - zielone, niepodobne do piwnych Willa - i nie mogła powstrzymać uśmiechu. Miały w sobie niewyczerpane pokłady siły, do których tak często się odwoływała.

-Poradzę sobie. Jedź do szpitala. Zadzwoń, jeżeli się czegoś dowiem. Ale dzięki, że wpadłeś. Potrzebowałam tego.

- Pogadamy później. Wieczorem będę w Imperial, a potem idę z Lucy na kolację; zadzwoń jednak, gdybyś czegoś potrzebowała. Wypij dużo wody. Alkohol odwadnia organizm i wywołuje depresję, a nie jestem pewien, jakie wino osuszyłaś... — Spodziewał się, że jakoś mu się odgryzie, kiedy ukradkiem szukał dowodów na stoliku do kawy, ale Sian nie podjęła rękawicy, podarował więc sobie wykład. - Zrób sobie śniadanie, a potem idź do łóżka. Chyba zapomniałaś o tym w nocy. - Uścisnął ją i odwrócił się, by wyjść, ale nagle się zatrzymał. - Zabiorę cię jutro na kolację. Jesteś wolna?

- Oczywiście, chyba że dodzwonię się do Calvina.

- Wszystko jedno. Wezmę Lucy i pójdziemy do jakiejś fajnej knajpy. Ona chętnie się z tobą spotka, a ja powinienem pogadać z Calvinem. Jeżeli do jutra nie da znać, to się zastanowimy. Zadzwoń wcześniej, ale wpadniemy koło siódmej.

Nalegał. W maju, godzinę po tym, jak Will pojawił się na progu jego mieszkania po ostatnim zerwaniu, Alex przyjechał do Sian. Mogła nie

być w dobrym stanie i rzeczywiście: zastał ją pogrążoną w czarnej rozpacz, o czym zresztą nigdy nie powiedział Willowi. Dziś wyglądała jeszcze gorzej niż wtedy. Nie narzekał na brak zajęć, ale będzie musiał mieć na nią oko. Czuła się oszukana i była niepokojąco bliska załamania nerwowego.

- WŁAŚCICIEL MA STATUS DYPLOMATYCZNY. TYLE JAMIE MAC MÓGŁ MI powiedzieć. Ma związane ręce. Dopóki faceta nie da się połączyć z jakimś przestępstwem, jest dla niego nietykalny. Ale samochód ma rzymskie tablice i status dyplomatyczny we Francji - tyle wiemy.

W Simonie wezbrała frustracja. Przekopywał się przez papiery na biurku Lucy, przyglądając się wydrukowi, które zrobił z aparatu cyfrowego Willa. W końcu rzucił je na blat, żeby i ona mogła na nie spojrzeć.

- A moje porwanie się nie liczy?

- Nie złożyłaś skargi, a w tym momencie nie można nawet uzyskać dostępu do istniejących już akt. Bardzo wygodne.

- Spełniliśmy ich żądanie, żeby trzymać się z dala od policji. Alex zgrzeszył chyba trochę

nadmiarem ostrożności. A zatem właściwie są nietykalni?

-Bzdura! Muszę tylko poszukać innego dojścia.

Lucy dała sobie spokój z montażem, który usiłowała dokończyć. Koszmarnie spóźniony skrypt jej opowieści dawno temu ukrył się za wygaszaczem ekranu. Nie było sensu dłużej z tym walczyć. Jej umysł błądził gdzieś wokół liści laurowych Alexa, róż Diany i mężczyzny pachnącego limonką.

-Ciałem jestem w pracy, ale duchem nie bardzo — poinformowała swojego nieoczekiwanego gościa, kiedy na jej widok poderwał się z sofy w recepcji. Był zbyt niecierpliwy, żeby zadzwonić, chciał z nią porozmawiać natychmiast, a ona, musiała przyznać, z radością powitała chwilę przerwy.

-Jak myślisz, kto ich tak naprawdę sponsoruje?
- zapytała ściszym głosem.

-Masz na myśli College? Zadałem sobie to samo pytanie. Pod tym prezydentem ich wychowankowie załapali się na mnóstwo stanowisk. Zacząłem badać sprawę. I jaką, do cholery, rolę pełni w tym wszystkim Calvin? Ma na koncie więcej ucieczek niż Houdini.

Nagle zadzwoniła komórka. Lucy aż podskoczyła na dźwięk sygnału. Oczekiwała telefonu wszystkimi zmysłami, okazało się jednak, że to jej własny aparat. Odebrała, obdarzając Simona pełnym skrepowania spojrzeniem, ale kiedy tylko usłyszała w słuchawce „Dzień dobry”, natychmiast poczuła przypływ szczęścia.

-Jak dobrze... Co u ciebie?

-Max jest w doskonałej formie, ale Sian nie wytrzymuje napięcia. Będę musiał na nią uważać. Trochę się wczoraj zdołowała, zresztą nie tylko winem, ale nie miałem serca zmywać jej dzisiaj rano za to głowy. Czuje się do pewnego stopnia odpowiedzialna za to wszystko, choć przecież nie powinna. A u ciebie?

-Biedna Sian. Nic, na razie klasztorna cisza - nie licząc Simona, który zaatakował mnie przy biurku i robi, co może, żeby mnie oderwać od zdrowej diety i protestanckiego etosu pracy.

-Ej, dajże już spokój i zjedz kanapkę - ryknął do słuchawki Simon, mając nadzieję, że usłyszy to Alex, który jednak zamiast protestować, roześmiał się tylko.

-Myślę, że mogę ci zaufać. Dzwonię, bo przyszło mi do głowy coś właściwie oczywistego. Te kwadraty z numerami - oba. Pamiętasz, jeden znaleźliśmy przy pierwszej partii dokumentów, a drugi pod płytką. Zorientowaliście się już pewnie, że w obu wypadkach chodzi o magiczne kwadraty „trzydzieści cztery”. Ten starszy jest znany jako tablica Jowisza. Podejrzewam, że był jakoś

wykorzystywany w anielskiej magii Dee. Chodzi zwłaszcza o otaczające kwadrat słowa, czyli imiona Boga lub aniołów, które w istotny sposób mogły się łączyć z całym magicznym kręgiem. Kiedy siedziałem tutaj w nocy przy Maksie, poszperałem przez kilka godzin w książkach Willa na temat magii. Najwyraźniej Jowisz i We-

nus jako czynniki planetarne były uważane za antidotum na zbyt duży wpływ wywoływanej przez Saturn melancholii, a to Saturn rządzi naukowymi umysłami, praktykującymi magię i zgłębiającymi jej tajemnice. Wydaje się, że tablica Jowisza sprowadza na ziemię Boga. Znawczyni renesansu Frances Yates uważa, że być może dlatego właśnie Durer umieścił ją na swoim sztychu *Melancholia*, który według niej przedstawia adepta alchemii i angelologii, zagłębiającego się w owe mroczne dziedziny wiedzy i odrzucającego wszelkie cielesne przyjemności. Tablica Jowisza chroni maga przed popadnięciem w tarapaty i pomaga mu osiągnąć równowagę umysłu - Jowisz jest jego strażnikiem.

Gwiazda na płycie również sumuje się w liczbę trzydzieści cztery. Dawni uczeni uważali ją chyba za obdarzoną dużą mocą. Twierdzili, że odwołuje się do Boga i stanowi element Złotej Proporcji. Jest również liczbą Fibonacciego. Zastanawiałem się, ile nawiązań do tej liczby znajduje się w naszych zagadkowych tekstach.

Porażona Lucy uciszyła Simona, podnosząc

palec.

- Myślisz, że to ta liczba może być kluczem?

- Dokładnie. Dante rozmyślnie wybrał ją na liczbę ksiąg, składających się na *Pieśń*; a przecież słowa pod wyrytą na płycie gwiazdą to ostatnie wersy *Pieśni*. Nadążasz? Ostatnie słowa *Pieśni Trzydziestej Czwartej*. Liczba ta symbolizuje ponoć oś świata i potęgę Spełnienia Człowieka czy też nadania mu statusu boga, jeśli wolisz. Tak. Myślę, że może być ona kluczem. Przypomnij sobie zagadkę z emalią i malowaniem miniatur. Też są z nią powiązane. Podobnie jak ta o „małej dziewczynce na szlaku cyklonu” i szacie Madonny. Łączy je z naszą liczbą pewien pomost. I jeżeli nie uda ci się go znaleźć - Alex roześmiał się przekornie - to odpowiedź będzie cię kosztowała kolację. Znowu więc możesz być grzeczną dziewczynką pracującą. A tak przy okazji: ten ostatni tekst został napisany na starej maszynie Olivetti mojej babki. Bardzo charakterystycznej. Natychmiast rozpoznałem czcionkę.

- Ciekawe, powiedziała Alicja. - Lucy postanowiła trochę wypróbować Alexa. -

Wygląda na to, że uważnie przyjrzałeś się tym zdjęciom. Czy to oznacza, że nie do końca dałeś sobie spokój z poszukiwaniami?

- „Ciekawe” powiedziała Dorotka, tak na marginesie. Jestem pewien, że zauważyłaś, o ilu „córkach króla” się tam wspomina. Przyciągnęły moją uwagę, owszem. Muszę lecieć. Zadzwoń, jak się odezwą. Powiedziałem Emmie, żeby mnie wywołała.

Lucy przegrzebała plik zdjęć i wyciągnęła z nich dwa, o których mówił Alex. Położyła je przed Simonem.

-Skup się na tych. Alex twierdzi, że gdzieś tutaj jest liczba trzydzieści cztery i że ten tekst napisała - lub przepisała - jego babka. Najwyraźniej na swojej maszynie. Jeśli nie uda nam się znaleźć tego związku, moja дума mocno na tym ucierpi.

Simon dopił kawę, po czym nachylił się z Lucy nad fotografią.

-Chodzi zwłaszcza o ten o cyklonie, dziewczynce i szacie Madonny. Może ma to coś wspólnego z żywotem któregoś ze świętych? — Lucy, wychowana po katolicku, spróbowała sobie przypomnieć jakieś opowieści na temat życia pierwszych męczenników. - Może chodzi o jakieś wydarzenie z trzydziestego czwartego roku związane z Pochwyceniem?

Simon przeczytał na głos:

-„Historia państwa zapisana jest na fladze - a wszystko to zaczyna się od jedwabiu barwy szaty Madonny". No cóż, państwo brzmi dla mnie

o wiele nowocześniej. Mamy mnóstwo możliwości, ale najbardziej oczywi sta kazałaby przypatrzeć się Stanom Zjednoczonym. Jakiego koloru jest szata Madonny?

Lucy ożywiła się.

-Ciekawe, że właśnie w Chartres przetrzymywana jest suknia, którą rzekomo miała na sobie Madonna, gdy rodziła Chrystusa. Widziałam ją - to szczególny skarb. Jest biała, a przecież z historii sztuki wiemy, że Maryję zazwyczaj przedstawia się w niebieskiej szacie, co ma symbolizować niebo, któremu króluje. Jej właściwa szata lub habit może być też czerwona. Mamy więc niezły wybór.

-Nie ma jak rozwiązać problem. Właśnie zaproponowałam mi czerwień, błękit i biel. Wystarczy flag, by zorganizować spotkanie na szczycie. A co z tym „cyklonem” w następnym kawałku? Chodzi o tornado, tak?

Przeczytali razem:

-„Mała dziewczynka na szlaku cyklonu spojrzała na kłębiącą się burzę - istną nawałnicę. Gdyby nie pogoda, historia ta nigdy by się nie

rozpoczęła. Zapach kwiatu pomarańczy jest jak spacer polem słoneczników - z których jeden został zerwany i umieszczony na środku sceny. Cegła się zgadza, ale buty nie".

-Umieśćmy w takim razie słonecznik na środku sceny.

Lucy wrzuciła w komputerze słowo „słonecznik" do wyszukiwarki. Simon spojrzał na informacje, które po chwili pojawiły się na ekranie.

-Zaczyna kwitnąć w lipcu... Jedenaście gatunków słonecznika odkryto w... Kansas. Ciekawe. Tu jest napisane, że ten kwiat jest symbolem tego stanu. Uchwalono to w tysiąc dziewięćset trzecim roku.

-Słoneczniki są żółte, z czego wynika, że cegła też jest żółta. — Lucy zerwała się i pobiegła do innego kąta pokoju, łapiąc po drodze komórkę. Simon zajął jej miejsce i rozpoczął nowe wyszukiwanie. — Ale buty są innego koloru... - Czekaając na połączenie, zastanawiała się nad pomysłem, który przyszedł jej do głowy.

-Niesamowite. Odebrałeś telefon. Jeszcze nie dzwoniли. Posłuchaj: w którym roku urodziła się twoja babka?

-Lucy! Pamiętam, kiedy są urodziny mojego syna, twoje i mojej matki. Ale nie wyciągnę ci babci z kapelusza.

-Przynajmniej spróbuj.

Była wyraźnie ozywiona i nie miała zamiaru dać się tak łatwo zbyć. Alex policzył na głos.

-Moja mama urodziła się w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim. Pierwsza dziewczynka... wcześniej chłopcy... po drodze wojna... Myślę, że mogła mieć wtedy trzydzieści osiem albo trzydzieści dziewięć lat. Gdybym więc miał zgadywać, krążyłbym wokół...

-Tysiąc dziewięćset trzeciego?

-Mniej więcej. Dlaczego pytasz?

-Zaczekaj do kolacji, którą mi obiecałeś. Później. - Rozłączyła się. — Simonie, słyszałeś. Droga wybrukowana żółtą kostką, prawda? A buty to rubinowe trzewiki. Dorotka i *Czarnoksiężnik z krainy Oz*. Chociaż nie mam pojęcia, co to ma wspólnego z szatą Madonny ani z liczbą trzydzieści cztery. Babka Alexa była starsza, kiedy urodziła jego matkę.

-Aha. - Simon przekrzywił nieco monitor, żeby pokazać, co znalazł. Na fladze stanu Kansas widniał słonecznik przedstawiony na jedwabistym błękitnym tle - kolorze szaty Madonny. - Ile ma gwiazd, Lucy?

-Naprawdę mam liczyć? - roześmiała się. Przeczytała na głos, wodząc palcem po tekście: - Trzydzieści cztery gwiazdy w gwiazdozbiorze.

-Wszystko wskazuje na to - podjął Simon - że to trzydziesty czwarty stan Stanów Zjednoczonych. No i, jak szybko ustaliłaś, rozgrywa się tam akcja *Czarnoksiężnika z krainy Oz*. — Spojrzał na Lucy wzrokiem zadowolonego z siebie kota, któremu udało się wygryźć z ulubionego fotela psa. - Wygląda na to, złotko, że dziś wieczorem płaci Alex. Powiedz mu, że

chcesz iść do Gordon Ramsay.

Skupili się na pozostałym tekście.

- „Dama, która wyjaśniła wszystko, pokonała swą siostrę w gorącym finale, ale opisał to mężczyzna i trudno powiedzieć, jak wiele zrozumiał. Czy

rzeczywiście cieszy się, że znów jest w domu, a może dziewczynka miała to po prostu zaśpiewać, obwieszona girlandą kwiatów?"

-Film i książka. Glinda była Dobrą Czarownicą, przypuszczam, że podłą była jej siostra; Dorotka wraca do Cioci Em twierdząc, że „cieszy się, że znów jest w domu”. Ale reszta jest trochę tajemnicza.

-Dziwne. Mnie się to skojarzyło z siostrami Williams i ich gorącymi finałami - no i z tym, że ich kariery zostały zaplanowane przez ojca. Ale twoja wersja jest bardziej prawdopodobna, zwłaszcza w świetle pozostałych elementów, tych na temat Kansas.

Simon nie poddał się jednak i postanowił wczytać się w tekst. Myśli Lucy pobiegły w tym czasie gdzieś za okno.

Glinda z pewnością dobrze jej radziła, ale było to oczywiście królestwo Czarnoksiężnika. Tkwi w tym pewne podobieństwo.

ŻEGLARZ OPOWIADA JAK OKRĘT ŻEGLOWAŁ NA POŁUDNIE Z DOBRYM WIATREM I ŁADNĄ POGODĄ, AŻ DOPŁYNAŁ DO RÓWNIKA.

-To Coleridge, Lucy. Fragment *Starego żeglarza*. — Simon zamyślił się, próbując odnaleźć związek między tekstami, ale nagle na twarzy jego towarzyszki odmalowało się napięcie, które sprawiło, że natychmiast oderwał się od dokumentów. - Zobaczyłaś ducha?

-Simonie, skąd oni mogli to wiedzieć? To musiało zostać napisane wiele lat temu. Chodzi o Calvina: pamiętasz, gdzie studiował?

Lucy pobladła.

-Kansas! — zawołali jednocześnie.

Ich okrzyk nagle zagłuszył inny dźwięk - dzwonek komórki Alexa. Lucy wzięła głęboki oddech i odebrała spokojnie telefon.

-Lucy King, słucham.

Jej głos był twardy jak skała.

-Och, cóż za niespodzianka. Zgubiła się nam pani na dzień czy dwa.

Dobiegający ze słuchawki głos należał do mężczyzny, w którego

towarzystwie wbrew własnej woli spędziła piątkowy wieczór. Lucy zapamiętała informację, którą właśnie - być może niemądrze - się z nią podzielił.

-Robienie sobie wroga z doktora Stafforda nie było najmądrzejszym po sunięciem z waszej strony. To, do czego się wczoraj posunęliście, było obrzydliwe. Miałam pana za bardziej subtelnygo człowieka.

Zdaniem Lucy amerykański Francuz był osobą niezwykle próżną, postanowiła więc to wykorzystać.

-Mój pomocnik, którego mieli państwo okazję wczoraj poznać, bywa czasem niezdarny, kiedy wykonuje rozkazy. Co zresztą powinni państwo wziąć pod uwagę.

-A ja myślałam, że potrafi pan zapanować nad swoimi ludźmi. - Zerknęła na Simona i zauważyła, że był pod wrażeniem. Dodało jej to odwagi. - Przejdźmy więc do ustaleń. Niech pan nawet nie myśli, że może pan cokolwiek zrobić bez doktora Stafforda. Zdaje pan sobie sprawę, że jest on niezbędnym elementem całej tej układanki. Jest żywą tkanką tej opowieści i nie może go pan tak po prostu wyciąć. Gdyby był pan na tyle bystry, by samemu rozwiązać którąś z tych łamigłówek, zorientowałby się pan, że lepiej byłoby pracować wspólnie z doktorem niż go tracić.

-Trafna uwaga, panno King. Ale niech pani nie lekceważy naszych możliwości. Mamy długie ręce.

-No cóż, przekonajmy się, czy na tyle długie,

żebyście mogli podrapać się po własnych plecach. To jak, ustalimy co dalej?

Simon uśmiechnął się szeroko. Rozmówca Lucy trafił na godnego przeciwnika.

W OSTRYM, CZYSTYM POWIETRZU
WYCZUWAŁ SMAK SOLI. Z
WYCHODZĄCEJ

na ogród werandy rozciągał się widok na gęste pole zaczynających powoli kwitnąć żonkili, wijącą się ponad nimi wstęgę piasku oraz szeroki pas błękitu morza u szczytu nakrapianego drobnymi punkcikami bieli. Faith Petersen postawiła na stoliku dzbanek kawy, opatulony ocieplanym pokrowcem. W tak piękny dzień nie miała zamiaru marnować okazji na lunch z synem na wolnym powietrzu. Usiadła w wiklinowym fotelu i przykryła nogi kołdrą.

-Czy to oznacza, że nie możesz za parę tygodni przyjechać do domu na święta?

Przez chwilę skupiał się na eksplozji kolorów, wywołanej przez wydymającego się w oddali

spinakera.

- Obiecuję spróbować; ale mam obowiązki w Londynie i nie jestem pewny, jak mi się wszystko ułoży. Siedzę po uszy w badaniach.

- Miałam nadzieję, że przywieziesz do domu tę dziewczynę, Sian, i będziemy mogły się poznać. Z tego co mówisz, musi być urocza. Jakiś czas już z sobą jesteście. Czy to coś poważnego?

Próbowała sprowokować syna do zwierzeń, choć doskonale wiedziała, że nie należy się ich spodziewać. Był trzydziestoletnim, przystojnym mężczyzną i mógł uchodzić za całkiem niezłą partię, ale nigdy nie przejawiał choćby cienia skłonności do ustatkowania i z nikim się nawet nie przyjaźnił. Jedna z jej bliskich przyjaciółek zaczęła się nawet zastanawiać nad jego orientacją seksualną, przez co i w jej głowie pojawiły się pewne wątpliwości. Nigdy nie zrobił niczego, co mogłoby je wyjaśnić, ale przecież z natury był bardzo skryty.

-Zobaczmy. - Zmienił temat. - Powiedz mi, czy nie zastanawiałaś się kiedykolwiek nad tym, że po śmierci Diany Stafford, która nie miała córki, to ty powinnaś zostać strażniczką klucza? Nie rozmawiałaś z nią o tym?

Faith wiedziała, że coś mu chodzi po głowie i czekała cierpliwie aż do lunchu, by poruszył nurtujący go temat. Nie zwykł pojawiać się w domu niespodziewanie, czuła więc, że przyjechał z jakiegoś konkretnego powodu.

-Zabawne prawda? To tajemnica, przez co

wszyscy chcemy dowiedzieć się na jej temat czegoś więcej. Ale prawdę mówiąc, Calvinie, klucz nigdy nie mógł do nas trafić. - Spojrzała na syna z wyrazem zaciekawienia na twarzy. - Naprawdę widziałeś ten mityczny kluczyk? Zawsze zastanawiałam się, czy jest piękny i wartościowy.

-Z tego, co się orientuję, to po prostu zwyczajny klucz. Chociaż nie miałem go w ręku. Z pewnością jednak — wrócił do tematu — ty i babcia jesteście najbliższą żeńską gałęzią rodziny, więc wydawałoby się usprawiedliwione, gdyby trafił do którejś z was.

-Ależ nie! Diana miała braci, a jeden z nich ma córkę. Ona mogła być następną dziedziczką. Ale są jeszcze inne przeszkody, dobrze o tym wiesz.

-Owszem, ale skoro klucz powinien być dziedziczony w linii żeńskiej, to następnej dziewczynki należało szukać, wznosząc się o stopień wyżej na drzewie genealogicznym i przenosząc prawa na linie boczne. W innym wypadku musiałby przejść przez ręce któregoś z chłopców, prawda? Poza tym nie rozumiem tego, co się stało z majątkiem wiejskim w Anglii, w

którym dorastała babcia. Czy nie powinien zostać podzielony między rodzeństwo?

-Czujesz się oszukany? Przecież nie spotkała cię jakaś szczególna krzywda. Twój dziadek zapewnił nam wystarczające dochody z domków na Nantucket.

-Powiedzmy, że mnie to intryguje. Mówiłem ci, że pod drzewem na terenie rodzinnej posiadłości znaleźli dokumenty Dee. Chciałbym lepiej zrozumieć, jak to się ma do kwestii dziedziczenia. No i ta klątwa. Możesz mi to wyjaśnić?

- Dyskusja na temat klucza i jego spadkobierców tradycyjnie była u nas tematem tabu - z wyjątkiem osób, których bezpośrednio dotyczył. Przypuszczam, że Diana nie powiedziała zbyt wiele nawet swoim synom. Niepewność co do tego, komu powinna wszystko przekazać, naprawdę ją dręczyła. Według rodzinnej legendy, klucz, jakiś dokument i domek wiejski - oraz jeszcze kilka rzeczy, których nie pamiętam — powinny przechodzić z matki na pierwszorodną córkę. To dokładne przeciwieństwo angielskiego upodobania do męskiego majoratu. Raz lub dwa zdarzyło się, że przekazano tajemnicę wnuczkom, pewnie dlatego, że matka zmarła wcześniej niż babka. Kiedy jednak dziedzictwo zostało już przekazane, nie można go było odebrać, zazwyczaj czekano więc na sam akt dłużej lub krócej. Pozostałemu rodzeństwu przekazywano w zamian niewielkie kwoty albo wykupywano ich prawo do majątku. Wydaje mi się zresztą, że do niedawna dom w Hampshire nie przedstawiał zbyt dużej wartości. Ceny nieruchomości podskoczyły tam dopiero w ostatnich latach. Zastanawiam się, czy Diana

planowała podzielić go między chłopców. Choć moim zdaniem zdawała sobie sprawę, że to koniec linii i że coś się musi wydarzyć.

- Co rozumiesz jako „koniec linii” i to, że nie można było odebrać dziedzictwa?

Calvin, nie odrywając oczu od matki, dolał jej kawy.

- Mama mówiła zawsze, że klucz do skarbu został oddany w zastaw, i to od samego początku. Wiąże się z tym przekazywana ustnie historia: musi znaleźć drogę do właściwych rąk. Jeśli spróbuje wejść w jego posiadanie nieodpowiednia osoba, zapanuje żałoba. Rzucono na niego coś w rodzaju klątwy. A kiedy zostanie już przekazany, nie można go odebrać. Jego dziedziczki należy więc wybierać niezwykle ostrożnie.

- Chodzi ci o coś w rodzaju Arki Przymierza? Podobno ci, którzy niecnym sposobem wchodzą w jej posiadanie, zapadają wkrótce na dziwną chorobę.

Faith roześmiała się na głos.

- Coś w tym rodzaju, jeżeli oczywiście masz ochotę wierzyć w coś takiego. I wiem, że minęło już tyle czasu... Tyle

pokoleń... nie jestem pewna
ile. Ale nie przejmuj się, Calvinie. Klucz jest
błogosławieństwem tylko dla
tej jednej jedynej osoby, której jest przeznaczony
- dla wszystkich pozosta
łych jest przekleństwem.

Nagle zmieniła temat.

- Porozmawiajmy jednak o czymś ważniejszym. Jak długo będę mogła się tobą cieszyć? Nie wyjaśniłeś mi nawet, co tutaj robisz. Będziemy mieli czas, żeby pójść na spacer na plażę?

- Oczywiście. Chciałbym zostać na noc; ale jutro mam ważne spotkanie w Bostonie i zarezerwowałem już wieczorny przelot. Naprawdę chciałem wrócić w środę, ale czwartek jest bardziej realny.

Faith pomyślała, że Calvin wygląda na spiętego i jak zwykle zresztą, nie miała pojęcia, jaki jest tak naprawdę stan jego umysłu. Powiedziała jednak lekkim tonem:

- Jaka szkoda. Ledwie będziemy mieli czas, żeby wyprowadzić łódkę. Koniecznie musisz wrócić na święta ze swoją dziewczyną.

WIDOK SŁONECZNIKÓW NA BIURKU PORAZIŁ LUCY. ALE PRZYNAJMNIEJ DZIĘKI nim miała na co patrzeć, kiedy czekała nerwowo w biurze; zastanawiała się, czy - jeśli Alex przyniósł je dla Emmy - miał to być jakiś utajony dowcip. Kiedy pojawił się za rogiem w odpowiedzi na wezwanie przez pager, musiała stłumić wybuch śmiechu - byli bardzo podobnie ubrani. Alex miał na sobie ciemny lniany garnitur rozjaśniony szarą koszulą i szarym jedwabnym krawatem. Stał jak wryty - on również zauważył podobieństwo. Wyglądali jak wyjęci z *Symfonii w szarości* Whistlera.

- Cześć! Kostium! Nigdy cię takiej nie widziałem.

Rzucił trzymane w ręku teczki na biurko obok kwiatów, a jego żywe oczy wpatrzyły się z uwagą w nieoczekiwanego gościa. Lucy emanowała opanowaniem i pewnością siebie. Miała na sobie szary, atlasowy żakiet i spodnie, a stopy wsunęła w buty na seksownych, wysokich obcasach. Jej

codzienne stroje mieniły się zawsze paletą żywych kolorów, były kobiece i swobodne. Ta rzeczowa, profesjonalna Lucy była dla niego nowością i tajemnicą.

- Czy możemy gdzieś porozmawiać?

Przyjęła milczeniem komplement, który wyczytała w jego oczach, bo w obecności sekretarki czuła się skrepowana. Niespodziewanie chłopcym gestem zaprosił ją do gabinetu, po czym pamiętając, że szyba w żadnym razie nie zapewnia im prywatności, przysiadł stosownie na biurku.

- I co, dzwoniли?

- Wszystko w porządku. Możesz dać te odbitki Calvinowi? - Przekazała mu kopertę. - Ma pełnić rolę kuriera. Dali mi tydzień na odnalezienie

oryginałów. Prosiłam o więcej, ale się nie zgodzili. Jeśli dopisze nam szczęście Roland będzie miał dokumenty i to, co wysłał mu Will. Drugi klucz, mam nadzieję. Mogę zrobić kopie.

Wydawało się, że Lucy chce wszystko wziąć na siebie. Nie umknęło to uwagi Alexa, który westchnął ciężko.

— Calvin ciągle się jeszcze nie pojawił. Nie mam ochoty na nim polegać. Mówiłaś, kiedy dostarczy im przesyłkę?

— Wolałam nie być zbyt konkretna, ale z tego, co mówiłam, można było wywnioskować, że raczej szybko. Oni muszą wiedzieć, co robi Calvin. Sami zasugerowali, że to on powinien być pośrednikiem.

-Pewnie tak. - Alexa bynajmniej to nie uspokoiło, ale postanowił nie drażnić tematu. - W takim razie powinienem porozmawiać z Rolandem.

— Simon już to załatwił. Zdaje się, że spotkali się kilka razy w Nowym Jorku. - Lucy niepewnie wzięła Alexa za rękę. Przepływający za szybami świat miał na nich doskonały widok, co wzbudzało u niej

nieśmiałość. Nie była pewna, czy ich związek nie wywoływał przypadkiem jakichś wątpliwości etycznych, choć formalnie rzecz biorąc, Alex nie był już jej lekarzem. - Nie mogę iść z tobą dzisiaj na kolację. Za kilka godzin będę już w samolocie do Nowego Jorku.

-Och, Lucy... - Błysk w oczach Alexa zaniepokoił ją. On sam spróbował sklecić jakiś racjonalny protest. - Wiem, że teoretycznie możesz już po dróżować, ale tak długi lot nie jest wskazany w twoim stanie, chyba że chodzi o wakacje. Naprawdę powinnaś unikać stresujących podróży. Ja polecę.

Lucy położyła delikatnie palce na jego wargach, uciszając go.

— O wiele bardziej stresujące byłoby dla mnie bezczynne siedzenie tutaj. A przy twoim grafiku nie ma się nad czym zastanawiać, pewnie nie będziesz mógł mnie nawet odwieźć, co zresztą byłoby bardzo miłe. Wiesz dobrze, że Courtney wyraził już zgodę na moją podróż do

Francji - a nawet do domu, na spotkanie z ojcem, gdybym chciała. Od operacji minęło sześć miesięcy, USG i ciśnienie mam w porządku.

-To wszystko to jakieś szaleństwo, Lucy. Wolałbym, żebyś za bardzo się nie oddalała, dopóki z tym sobie nie poradzimy. Będę odchodził od zmysłów, jeżeli polecisz sama. Mimo wszystko ciągle dochodzisz do siebie po poważnej operacji serca.

Lucy łagodnie pokręciła głową.

-Przykro mi, ale to nie działa. Mogę ci tylko zacytować twoje własne słowa sprzed Bożego Narodzenia: „Przez kilka miesięcy po operacji odradza-

my podróże zagraniczne". Kilka miesięcy już minęło, nie sądzisz? „A kiedy już będziesz gdzieś wyjeżdżać, wybieraj kraje, w których panują odpowiednie warunki higieniczne i gdzie jest dostęp do czystej żywności". Myślę, że Stany Zjednoczone się kwalifikują, prawda?

Alex wyglądał na zmęczonego i sfrustrowanego, ale w jego oczach pojawił się również podziw dla Lucy. Właściwie nie zostawiła mu pola do manewru.

-Muszę jechać, Aleksie. Muszę to zrobić. Dla Willa. I dla mnie. Zaufaj mi, załatwię wszystko szybko i nie zabawię tam długo. Wrócę najpóźniej w piątek. Jestem dużą dziewczynką.

-Będę się martwił. W przyszłym tygodniu bierzesz lekarstwo. A w obecnej sytuacji trudno mi się pogodzić z tym, że stracę cię z oczu.

-W takim razie zachowaj mnie tutaj. - Lucy odwzajemniła jego uścisk na swojej dłoni. - Spróbuj się nie martwić. Jedzie ze mną Simon, który też może się mną zaopiekować jak siostrą. Chyba dał się już do końca w to wciągnąć. Rozwiązaliśmy zagadkę ze słonecznikami. Trzydziesty czwarty stan.

-W dodatku kwiaty słonecznika mają przeważnie po trzydzieści cztery płatki, jak stokrotki, a ich główki nasienne po trzydzieści cztery spirale. I kierują się w stronę słońca. - Alex pocałował ją, nie zważając na ewentualne komentarze przypadkowych obserwatorów. - Nie podoba mi się to.

Usiłował zachować powagę, ale wdzięk Lucy polegał między innymi na tym, że nigdy nie podporządkowywała się cudzej woli. Gdyby Courtney nie udzielił jej zgody, i tak by poleciała.

Lucy uśmiechnęła się, tak jakby potrafiła czytać mu w myślach. Poczucie własnej siły wyraźnie dawało jej satysfakcję.

-Przyzwyczaisz się do mnie.

-To znaczy do twojej nieznośnie silnej woli?

Oboje się roześmiali.

-Będiesz się przez cały czas trzymać Simona?

- Skinęła głową, udając grzeczną dziewczynkę. -
O której masz lot?

-O dziesiątej trzydzieści. Musimy być na lotnisku dwie godziny wcześniej. Simon czeka w samochodzie. Zabierze mnie do domu i szybko

się spakuję. — Cofnęła się o krok, niepewna, w jaki sposób powinna się pożegnać. Wyciągnęła z kieszeni telefon Alexa.

-Och, o mało nie zapomniałam. Czy ty albo Henry możecie wysłać Rolandowi upoważnienie, żebyśmy mogli odebrać przesyłkę Willa?

Alex skinął głową, ale nie wypuscił jej dłoni. Otoczył rękoma jej talie, ale się opanował.

- Powiedz Simonowi, żeby był u ciebie o wpół do ósmej. Zabiorę was z Battersea. Przyjadę prosto z wykładu, daruję sobie zwyczajowego drinka. Zdamy na czas.

OSUNĘŁA SIĘ NA WYGODNE SIEDZENIE. BYŁA CAŁKOWICIE WYCZERPANA, ALE jej towarzysz podróży nie miał zamiaru się uspokoić.

- Simonie, przestań. Prawie że wstrzymaliśmy lot. - Lucy nie cierpiała robić niczego na ostatnią chwilę. Kiedy przyjechali na lotnisko, mieli jeszcze spory zapas czasu, ale Simon zatrzymał ją, kupując gazety i udając nagłe zainteresowanie towarami w sklepie wolnocłowym. Wiedziała, co robi, i poczuła się przez to jeszcze bardziej zaniepokojona. - Jeżeli nie skończysz z tą podejrzliwością, będę musiała poszukać sobie jeszcze jednego serca.

- Przepraszam. - Wcisnął kurtkę do pojemnika nad siedzeniem i w końcu usiadł, wkładając zdjęcia dokumentów do kieszeni w oparciu fotela. - Chyba wszystko w porządku. Nawet własny

cień wydaje mi się podejrzany. Ale nie przeszkadza ci zmiana miejsca?

Simon bez ostrzeżenia uciekł nagle z kolejki do odprawy pasażerskiej i zużył sporo ze swoich punktów w programie Air Miles, żeby oboje mogli zająć miejsca w przedniej części samolotu.

-Pod warunkiem, że nie kosztuje to Grace tygodnia z tobą na Morzu Egejskim.

Spojrzała na niego, zachęcając go do wyjaśnień, ale tak naprawdę rozumiała doskonale, że celem jego wybiegu była zmiana miejsca w ostatniej chwili, na wypadek gdyby byli obserwowani. A on wiedział, że ona wie. W odpowiedzi obdarzył ją jedynie cierpkim spojrzeniem.

Na kolanach położył zamkniętego iBooka Willa - prezent pożegnalny od Alexa. Dostali od niego również gęsto zapisaną kartkę z instrukcjami dotyczącymi zażywanych przez Lucy leków oraz namiarami na całe mnóstwo jego kolegów w Nowym Jorku, do których mieli zadzwonić, gdyby Lucy choć kichnęła.

-Pomyślałem, że powinniśmy wykorzystać ten

czas, żeby rzucić świe
żym okiem na wskazówki, wykorzystując to, na
co naprowadził nas Alex.
Jestem w odpowiednim nastroju, zwłaszcza po
twojej partyjce werbalnych
szachów z rapturystami. - Wziął od stewardessy
lampkę szampana. - Nie

mamy wprowadzie tutaj dostępu do książek ani Internetu, ale może uda aam się coś wymyślić?

-Zastanawiałam się, czy wiesz może, jakim zdrobieniem Will nazywał Sian. Albo ona jego.

— Pytanie trochę z innej beczki. - Simon spojrzał na nią ze zdziwieniem. - Nie mam pojęcia. Czy to ma jakiś związek z zagadkami?

— Być może. Alex również nie wie nic na ten temat, wspomniał tylko, że w czasie niedzielnych obiadów Sian czasem wymykało się „Willie”. Powiedział, że Will nie był tym zachwycony. Może i nie przeszkadzało mu to, kiedy byli sami, ale w obecności rodziców nie mógł tego znieść. Jestem jednak pewna, że używali jakichś zdrobnień.

-Jeżeli masz rację, zresztą teraz, kiedy już o tym wspomniałaś, przypominam sobie to „Willie” i kosmate spojrzenie, jakie zawsze temu towarzyszyło, to jak znam Willa, musiało być coś sugestywnego, jakaś inteligentna gra słów. Ale może bądź tak uprzejma i powiedz mi, o co ci chodzi, oczywiście jak już do tego dojrzejesz.

Lucy uśmiechnęła się tajemniczo.

- Tymczasem spróbuj się zastanowić nad tym, dlaczego fakt, że słoneczniki zwracają się w stronę słońca, jest tak istotny. Czy coś zwraca się w stronę księżyca? I o co im chodziło, kiedy mówili dzisiaj przez telefon o „wyplataniu złota ze słomy”.

Lucy zastanawiała się nad tym przez całe popołudnie.

- Hm. Dobre pytanie. - Simon otworzył laptopa. - Chciałbym, żebyś rzuciła okiem na notatki Willa z ostatniego dnia pobytu we Francji. Wysłał je z jakiejś kawiarenki internetowej w Chartres. Być może to tylko przypadkowe myśli, spostrzeżenia.

Simon uruchomił stronę, na której widniał tylko krótki fragment tekstu w postaci wiadomości mailowej, opatrzonej datą i godziną wysłania - piątek, dziewiętnastego września, wczesne popołudnie.

Lucy przeczytała ściszym głosem:

— „Bądź otwarty na obecność róży. To skomplikowany kwiat, pełen sym

bolicznych i paradoksalnych znaczeń. Określa to, co tajemne i milczące, ale wie również, czym jest ludzka świadomość. Róża prowadzi adeptów, alchemików i członków naszego społeczeństwa, naprawdę prowadzi".

Słowa te mocno poruszyły Lucy. Dzięki własnym wspomnieniom z labiryntu rozumiała je. Trudno byłoby to jednak wytłumaczyć Simo-

nowi, odchyliła się więc w fotelu i przygotowała na start samolotu. Grace obiecała, że wprowadzi Alexa w historię Chartres. A on uciszając swój wewnętrzny sprzeciw, postanowił, że nie pozwoli ich przeciwnikom rozegrać wszystkiego według własnych reguł. Odkurzył znajomość łaciny i zaczął studiować teksty z perspektywy matematyki. Oprócz Alexa, miała też obok siebie innego ochoczego i wspaniałego współnika. Drużyna Willa, pomyślała. W ciągu wyznaczonego tygodnia z pewnością uda im się rozwiązać zagadkę. Spojrzała na wygaszacz ekranu na laptopie, który zamienił się w obraz: kobieta, unosząca perłę nad kielichem z dwoma uchwytyami. Kim ona mogła być?

- NIE MUSISZ SIĘ O NIĄ TAK MARTWIĆ, ALEKSIE. NIE UWIERZYŁBYŚ, DO JAKIEGO stopnia jest zdeterminowana. Odnalazła nowy cel w życiu.

Grace wyszła z kuchni z butelką wina, którą podała Alexowi, prosząc, by ją otworzył, nałożyła z kartonika na talerze ryż, a na to curry.

- Aż tak bardzo to po mnie widać? - Roześmiał się nieśmiało. - Wiem. Przeszła przez wszystko, o co ją prosiliśmy. Nowy

Jork z pewnością nie jest jej straszny. Ciągłe jednak musi walczyć. Pokonać może ją najdrobniejsza cho roba — gorączka, wirus, nawet brudne jedzenie. Ciągłe nie ma jeszcze silnego systemu odpornościowego. Leki zabiły prawie wszystko. Mamy nadzieję, że w końcu uda się je ograniczyć do minimum, ale do tego momentu musimy uważać na każdy poważniejszy skok temperatury. Infekcja albo odrzucenie. Albo nic jej nie będzie, albo ją stracimy. - Spojrzał na swoją gospodynię, która wydawała się zdziwiona tym, że jej gość myśli na głos. — Oczywiście z drugiej strony musimy uznać za bezsporny fakt, że Lucy radzi chyba sobie zadziwia jąco dobrze. Tylko że to, co podpowiada mi głowa, i to, o czym mówi serce, splata się w jakąś jedną wielką antyetyczną perspektywę. - Uśmiechnął się enigmatycznie. - Zazwyczaj jestem na to odporny; ale teraz martwienie się o nią weszło mi w krew. Ale to chyba nic złego,

prawda?

Grace uśmiechnęła się, zadowolona z podtekstu.

-Dobrze wiedzieć, że i Alex ma jakieś ludzkie odruchy. Z tego, co mówi mi o tobie Lucy, wyłania się obraz człowieka, który bez mrugnięcia okiem radzi sobie z każdą sytuacją, znajduje twardą i chłodną ścieżkę przez morze rozżarzonej lawy.

Miał to być komplement; on jednak spojrzał na nią z wyraźnym zakłopotaniem.

- Naprawdę? - Zawahał się na chwilę, po czym się uśmiechnął. - Kiedy rozpadło się moje małżeństwo, byłem całkowicie rozbity. Nie domyślałem się nawet, że coś jest nie tak. A powinienem. Biedna Anna prawie mnie nie widywała, a kiedy mnie widywała, byłem kompletnie wyczerpany. Pracowała trochę w domu, redagując książki, z małym dzieckiem i właściwie nie spotykając się z nikim dorosłym. Pracowałem ponad trzynaście godzin dziennie. Tuż przed urodzeniem Maxa robiłem pierwszy stopień specjalizacji i zajmowałem się na głąbi przypadkami; musiałem też ostro walczyć o znalezienie odpowiedniego stanowiska, na którym mógłbym zaliczyć drugi stopień. Potem, kiedy zająłem się immunologią, miałem jeszcze więcej kursów specjalistycznych i pracy w domu. Trwało to pięć lat, a na koniec musiałem zdać bardzo trudny egzamin z patologii. Dziś już wiem, że Anna czuła się samotna. Nawet teraz dużo

pracuję, ale wtedy nie było mowy o żadnej taryfie ulgowej. Wydaje mi się, że jej zdaniem w moim podejściu do medycyny byłem bardzo samolubny, że właściwie miałem na jej punkcie obsesję; przypuszczam zresztą, że to prawda. Kiedy w końcu powiedziała „dość”, nie mogłem jej winić. Ale musiało minąć sporo czasu, zanim zacząłem nawet myśleć o jakimś bliższym związku.

Grace z powątpiewaniem podniosła oczy do nieba; Alex się roześmiał.

- Oczywiście, nie byłem pustelnikiem; ale unikałem wszystkiego, co mogło się zmienić w coś poważnego, ciągle byłem zajęty. Zawsze miałem coś do zrobienia, zawsze ktoś przechodził większy kryzys niż ja. Kiedy Max był u Anny, brałem na ochotnika dyżury w weekendy. Medycyna transplantacyjna to kurs filozofii na żywej tkance; osobiste problemy lekarza bledną w obliczu walki pacjentów o każdy kolejny dzień, każdy kolejny tydzień — w nadziei,

że zdarzy się cud i znajdą się gdzieś organy. Człowiek zaczyna się uważać za egoistę, kiedy porówna swoje kryzysy emocjonalne z tego rodzaju egzystencją, skupioną wokół dylematu życia i śmierci. Nie myśli więc o nich. Albo przynajmniej próbuje. Ale Willa nie mogłem do końca oszukać. - Spojrzał prosto w oczy Grace, która słuchała w milczeniu, ani trochę go nie ponaglając, i odpowiedział na jej milczące pytanie: -Tak, brakuje mi go, strasznie mi go brakuje. Jego życie w subtelny sposób przenikało moje własne.

Położyła mu delikatnie dłoń na ramieniu, rozumiejąc, dlaczego tak długo zwlekał z Lucy. Niezależnie od przyczyn natury etycznej, był po prostu w żałobie, o czym nikt z nich wcześniej nawet nie pomyślał.

- Simonowi również. Czasem po kilku piwach zaczyna mówić. Will wywierał ogromny wpływ na ludzi.

Alex skinął głową.

- A teraz daj jeszcze łyżkę tego curry i opowiedz mi o Chartres.

Zrozumiała, że to koniec zwierzeń, bez ceregieli przeszła więc do te matu.

- Nie chodzi tylko o Chartres, ale zacznijmy od tego. W nocy, kiedy twój ojciec złapał nas razem z Lucy i Simonem u siebie w pułapkę, spędziłam kilka godzin na studiowaniu historii katedry - tyle że takiej, o której rzadko wspomina się w oficjalnych przewodnikach. Wydaje mi się, że twoja matka miała sporo racji. Historycy starają się zawsze potwierdzać swoje źródła, a dowody na to, że miejsce, na którym powstała katedra, miało podobne znaczenie już przed pięćsetnym rokiem po Chrystusie, są raczej nikłe, więc w sumie wszystko to tylko domysły. Ale z wczesnych pism wynika, że zamieszkujące te tereny galijskie plemię Karnutów uważało je za święte. Istniała tam druidzka grota poświęcona przedchrześcijańskiej dziewicy, która według wierzeń Celtów urodziła syna. Wiąże się to bezpośrednio z kultem Izydy i Isztar. Chodziło

prawdopodobnie o tych samych druidów, o których pisał Juliusz Cezar - wystarczy wspomnieć jego słynną wzmiankę o *Virgini Patriae* w tym regionie. Być może dlatego Galowie tak łatwo zaadoptowali chrześcijańską wersję tego motywu. Dolmen, który znajduje się w tej podziemnej grocie, datowany jest nawet na czasy przed druidami.

- Czyli?

- Jakies dwa tysiące lat przed naszą erą. - Grace przeszła na drugą stronę pokoju, by przynieść należący do Lucy przewodnik po katedrze. W wielu miejscach spomiędzy kartek wystawały niewielkie paski papieru. Otworzyła go i pokazała Alexowi zdjęcie posągu Madonny z Dzieciątkiem.

- Jako pierwowzór dla tego istniejącego do dzisiaj posągu posłużył inny, zniszczony w szesnastym wieku. Według niektórych źródeł pochodził z dwunastego wieku, ale przecież mógł nim równie dobrze być jeden z obiektów czczonych przez druidów — czarna Madonna, prawdopodobnie hebanowa. We Francji jej kult jest bardzo rozpowszechniony.

Alex przyjrzał się uważnie zdjęciu.

-Przy budowie chrześcijańskiego kościoła wykorzystano więc wcześniejszą, bardzo sugestywną żeńską ikonografię?

-Tak. Brakuje nam pewnych informacji na temat przeddruidzkiej historii tego miejsca, ale wiemy, że orientacja Chartres w osobliwy sposób przypomina Stonehenge, niemal idealnie oddając kierunek słońca wschodzącego

w dzień letniego przesilenia. A przecież chrześcijańskie kościoły są zorientowane po prostu na wschód - Chartres wydaje się pod tym względem wyjątkowa. W katedrze można wyznaczyć dwie różne osie, podobnie jak w Stonehenge. Kamień słoneczny i doły posłupowe przy alei zaznaczają tam najdłuższy dzień w kalendarzu słonecznym oraz różnicę między nim a kalendarzem księżycowym. To równanie matematyczne, komat pitagorejski... Alex przerwał jej energicznym głosem:

-Tak, różnica między cyklem słonecznym a księżycowym. A jeżeli w architekturze wykorzystuje się obie osie nieba, to w jednym z istotnych fragmentów budowli nabrać musi znaczenia również liczba trzydzieści cztery. Ponieważ uznaje się ją za *axis mundi* — oś świata.

Grace spojrzała na niego z ukosa.

-Nie mam pojęcia, Aleksie, ale w Chartres „komat” został wyraźnie wbudowany w bryłę katedry. Budowla przechyla się nieco, można to zauważyć od strony zachodnich drzwi, jeśli

spojrzy się stamtąd na wschód. - Grace znalazła w przewodniku rzut podłogi katedry. - Trudno to dostrzec na tym rysunku, ale jej dłuższa i krótsza oś są trochę wykrzywione, przez co cały tran-sept jest w widoczny sposób „przekreślony”. Zrobiono to celowo. Wszystkie pozostałe miary są w niej skrupulatnie zachowane.

-Połączenie czasu męskiego i kobiecego?

-Mądre, prawda? Obie iglice wyrastające z zachodniej fasady różnią się pod względem stylu i wysokości, co wydaje się dziwne, choć tylko do momentu, kiedy zdamy sobie sprawę, że w jednej mieści się wiatrowskaz słońca, a w drugiej...

-...księżycyca - dokończył Alex. Odłożył jedzenie. - Moją mamę musiało to fascynować. Myślała o sobie jako o księżycu. Budowla powstała jako wyraz symbiozy energii męskiej i kobiecej.

-Interesujący sposób na wyrażenie tego. Mariaż męskiego i kobiecego rytmu. Opisuje się to często również jako „efekt vibrato”. A żeby podkreślić znaczenie, które ma w tym momencie światło, w oknie, trafnie nazwanym oknem

świętego Apolinarego, wywiercono niewielką dziurkę, skupiającą promień słoneczny na gwoździu w kamiennej podłogowej płycie, i to w południe dwudziestego pierwszego czerwca.

-Jak w Stonehenge!

Grace skinęła dobitnie głową.

-Oczywiście nie ma tu zdjęcia tego zjawiska, w tego rodzaju oficjalnych przewodnikach nawet się o nim nie wspomina. Uwidoczniliby to mocniej

warstwy praktyk religijnych i wierzeń, narastające w tych murach przez wieki, na przykład takie, jak te, o których przypomina nam labirynt.

Alex oderwał kawałek chleba nan, był jednak zbyt zaabsorbowany, by jeść.

-Byłem dzisiaj na lunchu z Amelem, chirurgiem Lucy. - Grace skinęła głową, potwierdzając, że wie, o kogo chodzi. - To człowiek renesansu, mówi w siedmiu językach, zna się na sztuce, prawdziwa chluba naszej profesji, ambasador humanizmu. Rozmawialiśmy o Chartres i opowiedział mi o sufich. Słyszałaś o nich?

-Chodzi o sektę islamskich mistyków, tak?

Alex skinął głową i streścił Grace poglądy Amela. Według niego część krzyżowców, którzy zamieszkali na wschodzie po pierwszej, zwycięskiej krucjacie, zaczęła się fascynować architekturą i ideami islamu oraz duchowością sufich. Ci Żydzi i muzułmanie, których chrześcijanie nie wymordowali w Jerozolimie, wprowadzili ich w dużym stopniu w arkana swej wiedzy, zwłaszcza jeśli chodzi o teorię piękna i

idee wyznaczające zasady budowy meczetu Al-Aksa na Wzgórzu Świątynnym, który wywierał na nich ogromne wrażenie. To stamtąd Mahomet wzniósł się podobno w swą nocną podróż do nieba. Meczet, stanowiąc wyraźny kontrast w stosunku do konstantyń-skiej Bazyliki Grobu Pańskiego, wydawał się w naturalny sposób piękny i uduchowiony. Sufiowie uświadomili im, że ostre łuki przenoszą energię i ducha w stronę niebios, podczas gdy łuki romańskie kierują się z powrotem w stronę ziemi.

- Sufiowie uznawali też Chrystusa za jednego z siedmiu mędrców islama, prawda?

Alex napełnił lampki.

- Podobnie jak wszyscy dobrzy muzułmanie. Amel wyjaśnił mi jednak, że byli bardzo mocno przywiązani do pluralizmu, co interesowało również Dee i Bruna. Sufiowie uznawali, że każda religia pochodzi od jednej uniwersalnej prawdy i zawiera w sobie jej odbicie. Byli tolerancyjni, doskonale wykształceni, znali Torę i nauki chrześcijańskie.

Wiele z szyfrów rządzących architekturą wielkich budowli gotyckich, takich jak katedra w Chartres czy St. Denis w Paryżu - zakorzenionych jest w mistycznych naukach sufich, szerzonych w Europie przez templariuszy. Uznawali oni liczbę dziewięć za świętą; było więc dziewięciu rycerzy templariuszy. Przez dziewięć lat nie przyjęli do swego grona nikogo nowego.

- Czytałam o tych łukach. Zaczekaj, zajrzę do notatek. — Grace zanurkowała w swojej teczce i po chwili pokazała Alexowi kilka stron z wyrysowanymi przez siebie liniami. - Również druidzkie i celtyckie skojarzenia łączą się z liczbą dziewięć, Potrójną Boginią. Kiedy pod koniec dwunastego wieku katedra została odbudowana po pożarze, dodano jej nowe drzwi, dzięki czemu było ich dziewięć, podobnie jak dziewięć łuków - łuków islamskich, takich jak te, o których mówiłeś. Trudno to uznać za przypadek.

Przyjrzeni się odtworzonemu przez Grace rzutowi katedry. Nagle palec Alexa drgnął: trafił na informację, że płyty labiryntu miały długość trzydziestu czterech centymetrów.

- Bardzo dziwne, choć centymetry wprowadził dopiero Napoleon. Ale wzór liczbowy wskazuje na pluralizm międzywyznaniowy - zauważył. - Ciebie kawe, prawda?

Na twarzy Grace odmalowała się głęboka

zaduma.

- Nie dla wszystkich, Aleksie. Zdaniem niektórych mogłoby to wstrząsnąć fundamentami religii. Ale dokąd dojdziemy, jeżeli spojrzymy na tę kwestię w kontekście Dee oraz jego przyjaciół? I dlaczego miała ona takie znaczenie dla twojej matki?

Alex wyciągnął portfel i ostrożnie wyjął z niego jakąś złożoną karteczkę.

- Skopiowałem ten symbol wczoraj z jednej z ksiązek Willa. Rozpoznałem go natychmiast: znajdował się w naszej starej rodzinnej Biblii, gdzie ktoś go narysował. Kiedy byłem chłopcem, zawsze przyciągał moją uwagę. Teraz już wiem, że to godło Dee, nazywane „monadą” albo „jednością”.

Grace spojrzała na rysunek i przypatrywała mu się przez chwilę.

- To on je zaprojektował. Astrologiczne symbole oraz znaki, którymi oznaczamy to, co męskie, i to, co żeńskie, łączą się w nim, tworząc krzyż po

dobny do egipskiego anchu. Uważał, że publikując go, posunął się za daleko — znak był obdarzony ogromną siłą. Co ciekawe, symbol księżyca jest w nim umieszczony na szczycie, a słońce znajduje się bezpośrednio pod nim.

Grace, słysząc to, klasnęła figlarnie w dłonie i roześmiała się na głos.

- Dokładnie tak, jak należy! Jego szefem była kobieta i wszyscy mężczyźni jej podlegali.

Alex również się roześmiał.

- Tak, zgadzam się, i wydaje mi się, że to dosyć istotne. Dee pracował nad czymś, co miało się odnosić do wszystkich wyznań. A powtarzający się motyw róży mógł stanowić odnośnik do rozet w Chartres.

— A kiedy Giordano Bruno przebywał przez dłuższy czas w Paryżu z królem Henrykiem IV, z którym w tym czasie wiązano najczęściej nadziei, jeśli chodzi o tolerancję religijną, być może odwiedził Chartres i dowiedział się o tym czystym promieniu światła, widocznym w dzień przesilenia. Z pewnością przyciągnęło to jego uwagę. Wszystko to istny labirynt spekulacji. Zanim więc Ariadna wróci z Nowego Jorku, dowiedzmy się czegoś więcej o Brunie, słońcu i róży. Najpierw jednak mam dla ciebie ostatnią wskazówkę. Skonsultowałam się z ojcem na temat tych hebrajskich liter, które pojawiają się na każdej ze stron naszych najstarszych dokumentów.

— Zauważyłem je, Grace, ale się poddałem. Czy twój ojciec rozpoznał którąś z nich?

-Przesłałam mu je dopiero dzisiaj, choć Lucy skopiowała je dla mnie kilka tygodni temu. Nie miałam do tego głowy. Nie zdążył ich jeszcze do końca przestudiować, ale żebyś miał się nad czym zastanawiać, wspomnę tylko, że jego zdaniem

każde z tych słów ma kabalistyczne znaczenie - jest jak magiczne słowo.

-Jak „abrakadabra”?

Alexowi nie do końca udało się ukryć za dowcipem autentyczne zainteresowanie.

Grace była odprężona; dobrze się czuła po winie i w towarzystwie Ale-xa. Roześmiała się głośno.

-To po arabsku, wariacie. W każdym razie ojciec przetłumaczy je nam i wyjaśni ich znaczenie. Mówił coś o „gematrii”.

— Dobry pomysł, Grace. Na pewno ma rację. „Gematria” nadaje każdej z liter odpowiadającą jej numeryczną paralełę: mogę sobie wyobrazić, w co sumują się niektóre z tych słów. Problem w tym, co oznaczają razem.

ZBLIŻAŁA SIĘ DWUNASTA TRZYDZIEŚCI - PORA UMÓWIONEGO LUNCHU - kiedy Simon i Lucy, przepychając się przez gąszcz żółtych taksówek, niemalże przebrnęli przez Trzydziestą Czwartą Ulicę na środkowym Manhattanie. Wbiegli prosto w drzwi biurowca, w którym mieściła się siedziba agencji Rolanda Browna, w przelocie rzucając okiem na tablicę informacyjną, by sprawdzić piętro, po czym wpadli do windy, a ta pomknęła w górę. Lucy, odkąd poprzedniego wieczoru zameldowała się w swoim pokoju, była spięta i dziwnie podniecona. Z powodu różnicy czasowej wołała na razie nie dzwonić do Alexa. Obdarzyła jednak Simona ciepłym uśmiechem. Za jakąś godzinę będzie po wszystkim, ich misja zakończy się sukcesem, a poza tym, chociaż nieustannie lustrowali wzrokiem hotelowe korytarze i ulice, nie pojawił się nikt ani nie wydarzyło nic, co mogłoby uzasadnić ich niepokój.

Winda dotarła na szesnaste piętro. Otworzyły

się drzwi. Lucy i Simonowi opadły szczęki. Przed nimi stał ochroniarz, a za nim dostrzegli rozciągniętą czarno-żółtą taśmę, oznaczającą „miejsce zbrodni”, przesłoniętą przez ciężkie szklane drzwi biura Rolanda. Wyglądało to tak, jak gdyby jacyś spece od przewodzących zniknęli gdzieś nagle, pozostawiając za sobą górę niedokończonych roboty. W bezładnych stosach wałały się wszędzie teczki, książki i różne elementy wyposażenia biura.

Niedaleko drzwi windy jakaś zadbana, elegancka kobieta około czterdziestki rozmawiała z umundurowanym policjantem i mężczyzną w cywilu, a w tylnej części biura krzatali się jak duchy robotnicy w kombinezonach.

Kiedy otworzyły się drzwi windy, stojąca przy nich trójka jak na komendę odwróciła głowy w stronę Simona i Lucy.

-Czym mogę służyć? - zapytała trochę ostrym tonem kobieta, podchodząc do nich o krok. Swoje pytanie skierowała do Lucy.

-Dzień dobry. Nazywam się Lucy King, a to jest Simon helan. Przylecieliśmy specjalnie z Londynu na spotkanie z panem Brownem.

Lucy była w stanie mówić tylko urywanymi zdaniami. Było oczywiste, że nie zastali pana Browna.

-Ach, tak! Wspominał mi o tym. Przepraszam, nazywam się Pearl Garrett i jestem jednym ze współników pana Rolanda. - Ledwie zdążyli uściśnąć jej dłoń, a już wróciła do rozmowy. - Został pilnie wezwany do Bostonu, a ja miałam zostawić państwu wiadomość w hotelu, ale jak państwo widzą... - przerwała i zatoczyła oczami po rozciągającym się przed nią bałaganie - odkąd policja zadzwoniła do mnie o siódmej rano, mam pełne ręce

roboty. Prosił, żebym przekazała, że do pani zadzwoni. Koło szóstej. Ma pani numer. Proponuje również, żebyście się państwo spotkali z nim rano w jego mieszkaniu. Będzie tam o wiele przyjemniej niż tutaj.

W jej głosie pojawiła się irytacja.

-Pani Garrett, przepraszam, czy może tu pani pozwolić? - przywołał ją mężczyzna w cywilu, wskazując na jednego z robotników.

-Wybaczą państwo. Jak państwo widzą, mamy tu mały problem. Trzymaliśmy w biurze sporo wysoce delikatnych zdjęć, z których nie wszystkie przechowywaliśmy bezpiecznie na dyskach. Starsze z nich w pewnych kręgach świata polityki i show-biznesu czasem wywołują panikę. Szafy pełne erotycznej bielizny i tak dalej. Ciągłe nie wiemy, ilu brakuje. - Przywołała windę i uśmiechnęła się, bo drzwi otworzyły się niemal natychmiast. - Życzę miłego dnia. Mogą się państwo pobawić w turystów. Nasze miasto to prawdziwy Disneyland dla dorosłych, prawda?

Odwróciła się, nie czekając na odpowiedź.

-Przypadek? A może powinno nas to

zaniepokoić?

Kiedy winda znalazła się z powrotem na parterze, w głosie Simona nie było już nawet cienia charakterystycznego dobrego humoru.

Lucy nie wiedziała, co odpowiedzieć. Napierało na nią prawdziwe morze twarzy; ale nawet w otoczeniu tej ludzkiej, wielkowiejskiej fali, uwolnionej na chwilę z biur w porze lunchu, i pomimo wydarzeń ostatnich dwudziestu minut, była w stanie myśleć wyłącznie o tym, żeby zadzwonić do Alexa.

W ciągu poprzedzającej ich wycieczkę do biurowca Rolanda, wypełnionej niepokojem godziny, nie potrafiła się pozbyć uczucia, że coś mu grozi. Zastanawiała się nad tym, co przydarzyło się Maxowi. W tłumie trudno było o chwilę prywatności, denerwowała się też ich sytuacją - o wyczerpaniu po bezsennej nocy w Nowym Jorku nie wspominając. Coś jednak ją nurtowało, choć nie bardzo potrafiła określić co.

Simon sięgnął ku niej ręką przez tłum ludzi i położył jej dłoń na ramieniu.

- Poszukajmy jakiegoś miejsca na kawę i lunch.

Skinęła z wdzięcznością głową, ciesząc się, że będą mogli się zatrzymać. Narastająca od rana frustracja zaczęła powoli ją przytłaczać, Lucy musiała też przyznać, że jest wyczerpana. Wszystko wydawało jej się dziwaczne - włamanie, które miało miejsce poprzedniej nocy, policja, która rozpełzła się po całym budynku, agent Willa, który odwołał spotkanie. Jego współpracniczka powiedziała, że poleciał tylko na jeden dzień do Bostonu. Ale czy to nie było dziwne? Po całej tej gonitwie - biegu z biura

Lucy do szpitala, wyścigu z Bat-tersea na Heathrow, dziwnie smutnym wyrwaniu się z rąk Alexa, bezsennej nocy, a teraz odwołanym spotkaniu - Lucy czuła się chora i przybita.

Znaleźli Tick Tock Diner. Lucy zniknęła w damskiej toalecie, a Simon zamówił dla niej kanapkę i mocną kawę. Wbrew swoim nabytym niedawno zwyczajom, postanowiła zaryzykować, mając nadzieję, że kofeina postawi ją na nogi. Kiedy dołączyła do niego do stolika, zajrzała pod pieczywo na nadzienie i poczuła falę mdłości. Zdała sobie sprawę, że nie zmusi się nawet do kęsa. Simon zauważył jej panikę, odłożył swojego nabitego na koniec widelca smażonego batata i nachylił się, ściskając ją za ramię.

- Źle zamówiłem, co? Powinienem był wziąć wegetariańskiego burgera? - Starał się trzymać wskazówek Alexa co do diety niskosodowej, jedzenia świeżo przygotowanego, nieodgrzewanego, i zdał sobie sprawę, że dokonał złego wyboru. - Wyraz twojej twarzy podpowiada, że powinniśmy poszukać jakiegoś dobrego weterynarza, który

spróbowałby przywrócić zdrowie
tej owieczce.

Lucy zmusiła się do uśmiechu.

-Przepraszam. Nie chodzi o jedzenie.
Właściwie nie wiem, co jest nie
tak. Chcę być tutaj z tobą i spotkać się z
Rolandem. Cieszę się nawet, że mia
łam okazję potwierdzić swoją niezależność,
rozstać się na chwilę z Alexem.
Czuję się jednak dziwnie rozdarta, tak jakbym
zostawiła za sobą jakąś częst
kę siebie. I nie jest mi z tym dobrze.

-Po prostu wyluzuj trochę, koleżanko. Jesteś roztrzęsiona — ja zresztą też. I nie chodzi o nockę spędzoną na popijawie. Nawet kiedy próbowałem zasnąć, mój umysł ciągle krążył wokół tych zagadek. Przypominało to starcie Bilbo Bagginsa z królem Edypem! Próbowałem rozgryźć numerologię nie których słów. Chyba zaczynam wariować! - Spojrzał na jej niezwykłą twarz i zauważył, że jest ona całkowicie pozbawiona kolorów; natychmiast przy pomnił sobie ciche napomnienie Alexa, by Lucy odżywiała się regularnie i brała na czas tabletki. - No i musimy przyznać, że obojgu dała nam w kość ta cała afera z Rolandem. Jej okoliczności wydają się dziwne, choć powinniśmy zachować spokój i poczekać przynajmniej do jutra, zanim wpadniemy w panikę. Ale Lucy, miejże litość i zjedz coś, bo jak nie, to twój chłopak po powrocie zastrzeli mnie spojrzeniem tak pełnym pogardy, że już teraz dostaję

dreszczy. Wolę najgorsze humory Willa niż spokojną dezaprobatę Alexa.

Lucy dziobnęła trochę sałatki z talerza i połknęła swoje immunosupre-santy.

-Zastanawiałam się nad czymś, Simonie. Alex ma trzydzieści cztery lata, czyli tyle, ile wynosi magiczna liczba na tablicy Jowisza. Wskazówka na temat „lojalności” i „wierności” oznacza węzeł, który widnieje w herbie rodzinnym Staffordów. Kiedy analizuję te dokumenty, zaczynam podejrzewać, że mówią o nas.

-Poza tym rozmawiamy właśnie na Trzydziestej Czwartej Ulicy, co może wywołać dodatkowy dreszczyk. Do czego zmierzasz, Lucy?

-Opowiadałeś mi o tym, że pewnej nocy siedziałeś z Alexem przy komputerze Willa i nagle pojawił się ten kwadrat magiczny, który oglądaliśmy w samolocie, tak? - Simon skinął głową. — Na części tych kart wydaje się być zapisany model opowieści o Wenus i Adonisie, zgodzisz się ze mną? Piękny młody mężczyzna, ścigany przez Wenus.

-Mów dalej.

- Czy tam przypadkiem nie chodzi o Willa i Sian? Ona rozpaczliwie chce go do siebie przywiązać, on wyrusza na łowy i - dziwna rzecz - zostaje na moście dosłownie ubodzony, w dodatku w udo, tak jak Adonis. Alex powiedział mi, że rana była poważna, ale to nie ona go zabiła. Wydaje mi się to jednak dziwne, nadążasz? Kiedy Wenus ścigała swojego rannego kochanka, białe róże, po których biegła, zraniły ją w stopę i jej krew, w której płonęła czysta miłość, sprawiła, że stały się czerwone. Pamiętasz białe róże Willa? Choć nie udało nam się ustalić, dlaczego je wysłał.

Simon wydawał się zaintrygowany rysującym się związkiem między poszczególnymi pojęciami.

-Dziwnie skaczesz, Lucy. Ale również Philip Sidney zmarł od rany uda - oddał swoje nagolenniki żołnierzowi, który ich potrzebował. Zresztą nie tylko nagolenniki, bo to kula z muszkietu w udzie wywołała u niego straszliwą gangrenę. Minęło wiele dni, zanim umarł.

-Mówisz to, żeby pokazać, że nie wszystko musi mieć z sobą związek; ale Sidney był uczniem Johna Dee. - Lucy postanowiła nie mówić o tym, jak mocno Philip Sidney przypominał człowieka, którego widziała tamtej nocy na barce na Tamizie. Obejrzała kilka jego portretów w galerii. Był człowiekiem o wielu twarzach, co zresztą znacznie przyczyniło się do tego, że po śmierci zyskał status niemal kultowego bohatera. Podobieństwo było uderzające. Arystokrata, poeta, krytyk, równie frapująca postać jak Byron - Byron swoich czasów, można by powiedzieć. Ale jak wytłumaczyć to dziwaczne, upiorne wrażenie komuś, kogo tam nie było? Żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie mógł w to uwierzyć, choć

z drugiej strony podejrzewała, że Alex i Amel nie mogliby się z tym stwierdzeniem nie zgodzić. Oni również coś widzieli. - Jeden z tekstów zawiera słowa Sidneya, Simonie - kontynuowała. - Ciekawe jest również to, że moje imię oznacza „światło”. Pamiętasz te wersy o „pani światła”, która rozpoczyna swą podróż w miesiącu świec? Panią światła może być Lucy; a urodziłam się przecież w lutym, w miesiącu, na który przypada święto Matki Boskiej Gromnicznej. Urodziłam się trzeciego lutego, a mój ojciec mawiał często złowieszczo: „Tego dnia umarła muzyka, Lucy”. Do tych właśnie słów nawiązuje jeden z tekstów, pokazywałam ci go w samolocie.

Simon pomyślał, że to przygnębiające i zaczął się zastanawiać nad tym, co z tego przypadkowego zwierzenia można było wywnioskować na temat przeszłości Lucy.

-Tak, teraz pamiętam - dzień katastrofy lotniczej, w której zginęli Buddy Holly, Big Bopper i ktoś jeszcze. Lata pięćdziesiąte, tak?

Lucy skinęła głową. Wyczytała z oczu Simona jego myśli, ale nie chciała z nim na ten temat rozmawiać.

-Przejdźmy do Alexa - kontynuowała. - W niektórych podpowiedziach pojawia się postać Aleksandra Wielkiego oraz węzeł Staffordów i róże. Oraz coś, o czym jeszcze z nikim nie rozmawiałam. Jeden z pierwszych tekstów, pochodzący z najstarszej partii, traktuje o rzece Styks, przecinającej królestwo

śmierci. To tam byłam z Alexem na swojej pierwszej randce, w Halloween. Rejs nazywał się „Dawne duchy śmierci”; a ja byłam przebrana za Ariadnę.

-Dlatego interesują cię ich zdrobnienia! Powinniśmy przeanalizować wszystkie teksty i odkryć, do którego miejsca dotarłaś. A potem zobaczyć, jak się to wszystko kończy. Tymczasem, skoro już jesteśmy na Trzydziestej Czwartej Ulicy, „pobawmy się w turystów” i zajrzyjmy do Empire State. Na pewno ma jakiś związek z naszą historią.

KILKA MINUT PO DZIEWIĘTNASTEJ ALEX ZAKRECIŁ OSTRO W REDCLIFFE SQUARE i spojrzał w okna mieszkania Sian. Ulżyło mu trochę, kiedy zobaczył zapalone światła. Objechał plac, szukając wolnego miejsca. Chwilę wcześniej nie odebrała jego telefonu i zaczął się martwić, czy nie zapomniała o umówionej kolacji. Wysiadł z samochodu i wcisnął przycisk na pilocie. Mrugnęły światła.

Okrażając plac, przyglądał się uważnie ogromnej bryle kościoła Świętego Łukasza, którego wysoka iglica dominowała nad skwerem.

Miał ciągle w pamięci ostatni wieczór, kiedy rozmawiał z Grace na temat architektury katedry w Chartres, i neogotycka budowla nagle wydała mu się interesująca, choć w ciągle zimowym, marcowym świetle wyglądała raczej złowrogo i ponuro. Na szczęście po weekendzie miało nadejść ocieplenie, które powinno przynieść z sobą długo oczekiwaną zmianę nastroju.

Zauważył, że należący do Sian fiat uno stoi zaparkowany na miejscu dla mieszkańców tuż przy wejściu do jej kamienicy. Przypomniawszy sobie jej stan emocjonalny z poprzedniego poranka i pomyślał, że nie mogła się za bardzo oddalić. Poczł ulgę. Nacisnął przycisk domofonu. Nikt nie odpowiedział. Cofnął się kilka kroków i spojrzął ponownie na kamienicę. To było jej okno, bez wątpienia; wrócił po schodach do drzwi i jeszcze raz nacisnął dzwonek. Nic. Zerknął na zegarek - spóźnił się tylko kilka minut. Może brała kąpiel? Zadzwoił znowu z komórki; linia była zajęta. Przez jakąś minutę zastanawiał się, co robić. Gdyby rozmawiała, mogła bez problemu sięgnąć do domofonu i wpuścić go - chyba że była na linii z Calvinem i nie chciała, żeby ktoś

im przeszkadzał. Nagle jednak Alex zaniepokoił się, czy nie zrobiła czegoś głupiego; szybko nacisnął inny guzik. Jakiś kobiecy głos zapytał go o nazwisko.

— Dzień dobry. Mówi doktor Alex Stafford. Przyszedłem do Sian, mieszkanie pięć. Światła są zapalone, ale Sian nie odpowiada na dzwonek. Mo głaby mnie pani wpuścić? Właściwie powinna na mnie czekać, boję się, że się źle poczuła.

- Które mieszkanie? - zapytał ostrożnie głos.

- Sian Powell, mieszkanie numer pięć. Jestem bratem Willa Stafforda.

- Ach, tak, pan doktor. Ostatnie piętro, zgadza się?

Alex przeniósł ciężar ciała na drugą nogę. Nagle poczuł zniecierpliwienie. Usłyszał szcęknięcie zamka, pchnął drzwi i zobaczył długi, słabo oświetlony korytarz, prowadzący do niknących w ciemnościach stromych schodów. Ruszył szybko w ich kierunku. Zatrzymał się powyżej drugiego piętra, by złapać oddech i zdał sobie sprawę, jak bardzo jest zmęczony. Wyszedł od Grace późnym wieczorem, a potem nie przespał właściwie ani jednej pełnej godziny, czekając na telefon Lucy - bezowocnie, jak się okazało. O szóstej wezwano go do nagłego wypadku, co oznaczało, że miał za sobą dwunasto-godzinny dzień pracy. Spojrzał w górę na drzwi do mieszkania Sian. Kiedy patrzył na nie pod tym kątem, wydawało mu się, że są uchylone. Dziwne, pomyślał; ruszył po schodach i po chwili rzeczywiście dostrzegł w półmroku, że są niedomknięte. Możliwe, że poszła z drinkiem do

ogródka na dachu i zostawiła je otwarte dla niego. Pokonał dwa ostatnie schody i włączył światło na korytarzu, które jednak się nie zapaliło. Zdał się na Willa, a wybierze miejsce w siódmym niebie bez windy.

Zauważył w ciemnościach, że coś jest nie tak. Podeszedł do drzwi i zobaczył długie pęknięcie we framudze, odsłaniające biel świeżo odłupanego drewna, wyraźnie wyróżniającego się na tle błyszczącej farby pokrywającej ościeże. Po wewnętrznej stronie framugi z wyrwanych śrub zwisał łańcuch. Co tu się, do diabła, wydarzyło? Ostrożnie pchnął drzwi, które odsłoniły mu widok na korytarz mieszkania i salon. W oczy Alexowi rzucił się straszliwy bałagan; półki zostały ogołoczone z książek i innych przedmiotów, które ktoś zwałił w kilka ustawionych wzdłuż korytarza stosów. Przez prowadzące do salonu drzwi zauważył, że w głębi mieszkania panuje taki sam nieporządek. Na podłodze leżały powyciągane z mebli szuflady i otwarte książki, których część ktoś rzucił do góry grzbietem na ułożoną trochę z boku stertę. Pianino miało otwartą pokrywę. Mieszkanie zostało przeszukane profesjonalnie i

systematycznie. Nagle Alex zauważył jakiś ruch, gdzieś w trzy czwarte drogi do końca korytarza, z dala od światła.

Siedziała pod ścianą, z kolanami przyciśniętymi do piersi, w pozycji embrionalnej. Obejmowała się ramionami i tuliła coś mocno do serca. Obok niej z przymocowanego do ściany aparatu zwisała na zwiniętym kablu słuchawka telefonu. Alex utorował sobie drogę wśród leżących na podłodze przedmio-

tów i ukląkł obok Sian. Odwróciła się do niego i zauważył, że z nosa cieknie jej strużka krwi. Nawet w słabym świetle mieszkania mógł dostrzec wielkiego siniaka, który utworzył się wokół rozcięcia na jej policzku. Wpatrzyła się w niego swymi błękitnymi oczami.

- To ty - powiedziała ledwo słyszalnym głosem. - Myślałam, że wrócił.

Objęła go rękami za szyję i przytuliła się. Jej drżenie zamieniło się w konwulsje.

-Już dobrze - powiedział cicho. Odsunął się trochę i spojrzał na nią uważnie. Żadnych widocznych na pierwszy rzut oka urazów głowy, źrenice w normie, puls trochę zbyt szybki - tyle mógł stwierdzić po kilku sekundach. - Co się stało? - Biorąc pod uwagę stan mieszkania, wykluczył gwałt. Sięgnął po komórkę i zaczął wykrecać numer, ale powstrzymała go, kręcąc głową i jednocześnie usiłując się podnieść.

-Zaczęłam już dzwonić na policję, ale rzucił mną o ścianę i powiedział, że wróci, jeżeli znowu to zrobię. Myślę - powiedziała rzeczowym tonem - że chciał mnie zabić. Ale uderzył mnie tylko

wierzchem dłoni. — Potarła nos i spojrzała na krew na palcach, po czym sięgnęła do policzka i się skrzywiła.

- Powiedział mi, że jak się nie będę ruszała, to mnie nie skrzywdzi.

Znowu próbowała się podnieść i tym razem jej się udało.

Alex chciał jej zadać mnóstwo pytań, począwszy od tego, czy może spróbować opisać, kim był „on”, ale w swojej pracy nauczył się, że nie zawsze warto się spieszyć, postanowił więc najpierw uspokoić dziewczynę. Nagle zdał sobie sprawę, że to, co tak mocno przyciska do piersi, to resztki skórzanej kurtki Willa, którą miał na sobie w dniu śmierci. Była rozcięta wzdłuż szwów

- zrobili to pielęgniarze, dzięki czemu mogli ją szybciej zdjąć. Na podłodze przed Sian leżały też pozostałe części jego garderoby - koszulka, poszarpane dżinsy, nawet bielizna. Will spakował skórzane ubrania przed ostatnim etapem podróży do domu i włożył lżejsze ciuchy, w tym swoją ulubioną kurt

kę Ducati, najwyraźniej pragnąc czuć się raczej wygodnie niż bezpiecznie. Naprzeciw sypialni leżała przewrócona do góry nogami plastikowa szpitalna torba, w której jeszcze niedawno mieściły się ubrania.

Sian odgadła myśli Alexa i spojrzała na niego wzrokiem pełnym poczucia winy.

-Henry przekazał mi tę torbę, kiedy wróciła od koronera. Prosiłam go tylko o kurtkę: to był mój ostatni prezent dla niego, na rok przed wypadkiem, i bardzo ją lubił. Klasyka, limitowana seria, pamiętasz? Musiałam ją

zamówić specjalnie w Stanach. - Alex skinął głową. - Myślę, że Henry nie wiedział, co z tym zrobić. Ja zresztą też, dlatego wepchnęłam torbę do szafy i zapomniałam o niej. Aż do dzisiaj, kiedy on to wyciągnął.

Alex wysłuchał wyjaśnień Sian, po czym objął ją ramieniem i pomógł jej przejść do salonu. Oparł ją o poręcz głębokiego fotela, po czym zsunął z jego siedziska książki i wreszcie posadził w nim dziewczynę.

-Oprzyj się na chwilę. Muszę sprawdzić, czy nie masz jakichś poważniejszych uszkodzeń. - Wyciągnął z kurtki minilatarkę i błysnął jej w oczy. Zamrugła, co przyjął z zadowoleniem. Następnie włączył lampkę do czytania, obrócił twarz Sian w jej kierunku i sprawdził chrząstkę nosową oraz rozcięcie na policzku.

-Potrzebne będzie szycie, ale nie powinna zostać blizna. Miał na palcu obrączkę. - Sian skinęła głową. - Którą częścią ciała uderzyłaś o ścianę?

Wskazała na swoje lewe ramię i potarła je ostrożnie w okolicy barku, krzywiąc się przy tym mocno.

-Bardzo boli?

-Boli, ale chyba nie jest złamana.

Alex sprawdził to, prosząc Sian, by pociągnęła go za rękę, co udało jej się zrobić.

-Nie. Nie jest. Powiedz, co się stało.

-Wyszłam po wino. Kiedy wróciłam, zobaczyłam, że dzwonisz. Usłyszałam też, że ktoś dzwoni do drzwi, więc pomyślałam, że po prostu przyjechałeś wcześniej, no i otworzyłam domofon. Kiedy zapukał, nawet nie zerknęłam przez wizjer - i tak nie działa światło. Ale łańcuch był zaczepiony. Przekręciłam zamek, a on napał całym ciałem na drzwi. Łańcuch po prostu pękł. On precyzyjnie się uderzył mnie i powiedział, że mam się nie ruszać. A potem zrobił to... — Rozejrzała się po bałaganie i nagle wreszcie wybuchła płaczem. — Myślałam, że jak zadzwonię na policję, to on wróci i skrzywdzi mnie bardziej.

Alex delikatnie przechylił jej szyję w jedną, a potem w drugą stronę. Stwierdził z zadowoleniem, że również kręgosłup Sian wydaje się nieuszkodzony. Ciągle nie wypuszczała z rąk kurtki.

-Jak długo był tutaj? Jak wyglądał? Silnie zbudowany?

-Nie wiem. Dwadzieścia minut? Nie, pewnie więcej. Był duży, chociaż właściwie niespecjalnie wysoki, miał na sobie drogi płaszcz, chyba MaxMary, i brązowe skórzane rękawiczki. Jedną z nich celowo zdjął, zanim mnie uderzył, po czym założył ją z powrotem. Miał też drogie buty, dopasowane do rękawiczek. - Alex uśmiechnął się w duchu, wysłuchując szczegółów, które

Sian wychwyciła okiem profesjonalistki. - Zapytał, gdzie jest mój chłopak, i zagroził, że uderzy mnie jeszcze raz, jeżeli nie odpowiem. Szukał czegoś, ale chyba tego nie znalazł. Chodziło mu o Willa?

- Raczej o Calvina. - Myśli Alexa pędziły jak oszalałe. Rozejrzał się jeszcze raz po mieszkaniu, po czym podniósł płaszcz Sian. - Miałem mu coś dzisiaj dostarczyć, ale nie mogłem go nigdzie znaleźć. Nadal się nie odzywał? — Sian pokręciła głową. - Chodźmy. Mam znajomego na pogotowiu przy drodze do Chelsea i Westminsteru. Rzuci na ciebie okiem, a potem pojedziesz do mnie. Jutro tutaj posprzątam, jak już policja zbada mieszkanie; dosyć tego.

LUCY SPOJRZAŁA W DÓŁ, ALE WYSOKOŚĆ JEJ NIE PRZERAZIŁA. DŁUGIE JEDWABISTE kosmyki jej włosów pofrunęły z wiatrem do tyłu, a świeże powietrze rozjaśniło jej oliwkową cerę. Wyglądała o wiele lepiej niż wcześniej. Uśmiechnęła się do swego towarzysza.

- Wiedziałeś o tym, prawda? Że w tekście jest

wskazówka o „dziwnej małej energii”, o filmach i foyer w stylu art deco.

-Nie do końca, dopóki się tu nie znaleźliśmy. Zagadka z *King Kongiem* była prosta, a igła wskazująca czubek drzewa jabłoni: Wielkie Jabłko, oczywiście. Ale aż do teraz nie byłem pewien co do dziesięciu tysięcy stóp kwadratowych marmuru. Chodzi, rzecz jasna, o Trzydziestą Czwartą Ulicę. Dlaczego ta przekłeta liczba jest tak istotna?

Lucy zorientowała się, że dzwoni jej komórka. Wiatr niemal całkowicie zagłuszył dzwonek. Za wcześnie na Alexa, pomyślała. Jest na kolacji z Sian, a w Anglii dopiero dochodzi dziewiąta.

-Tu Piach. Gdzie cię złapałem? -Jego głos, w porównaniu do napierająco cego na nią ze wszystkich stron amerykańskiego akcentu, wydawał się jeszcze głębszy niż zawsze. W jej oczach z radości pojawiły się łzy, a może wycisnął je wiatr? Co miało znaczyć to przezwisko?

-Na szczycie Empire State Building na Trzydziestej Czwartej Ulicy. Ponieważ zawsze jesteś o dwa kroki przed nami,

wiesz już pewnie, że chodzi o jedną z naszych tajemnic. - Zmieniła ton na bardziej poważny. - Czy wszystko w porządku? Martwiłam się o ciebie, ale jesteś na kolacji i nie chciałam ci przeszkadzać. Nie chodzi o Maxa, prawda?

Alex pokręcił głową - trafność jej przeczuć właściwie przestała go już dziwić.

-Nie, nie o Maxa, Lucy. O Sian. Miała nieproszonego gościa. Nie zdołałem przekazać naszemu pośrednikowi przesyłki, bo nigdzie nie mogłem go znaleźć.

Udało mi się dotrzeć do jego matki, która powiedziała mi, że spędził na Nantucket jeden dzień, ale że już go tam nie ma. Wraca właśnie nocnym lotem z Bostonu.

- Z Bostonu? - przerwała Alexowi Lucy.

- Wygląda na to, że ten wyjazd wyskoczył mi w ostatniej chwili. Nie mam pojęcia, w co on sobie pogrywa, ale na razie nie chciałbym mówić na ten temat zbyt wiele. Sian zostaje u mnie na noc. Jest wstrząśnięta i posiniaczona, a jej mieszkanie trudno nazwać bezpiecznym. Zszedłem właśnie na dół, żeby jej przygotować kąpiel, ale chciałbym najpierw zamienić słowo z Simonem na temat jego znajomych w Scotland Yardzie.

Lucy była zbyt przerażona, żeby na niego naciskać, więc przekazała telefon. Z ust Simona wydobył się natychmiast taki strumień soczystych przekleństw, że wszyscy turyści na platformie widokowej zaczęli się na nich oglądać, próbując dociec, co się dzieje.

- Jedynym powodem, dla którego przystaliśmy na ich żądanie, by nie zawiadamiać policji, była obietnica, że nic się nikomu nie stanie, i tę

obietnicę właśnie złamali. - Alex, sądząc po głosie, był bardziej zmęczony niż wściekły, choć tak naprawdę z jego głosu przeważnie trudno było cokolwiek wywnioskować. - Pogwałcili regułę, którą sami ustanowili, czas więc, żebyśmy zaczęli grać według własnych zasad.

-W ich działaniach liczy się tylko doraźna korzyść, Aleksie. Kiedy już znajdziesz Calvina, obiecaj mi, że skujesz drania i zaczekasz, aż przyjadę.

Simon wyciągnął z kieszeni płaszcza palmtopa i wymienili mnóstwo szczegółowych informacji. Simon pokręcił z wściekłością głową. Lucy, czując, że na żołądku zaciska się lodowata pięść, słuchała, jak padają kolejne cyfry, zapisywane natychmiast w notatniku, i jak Simon przedstawia swoje opinie na wiadomy temat. Z odpowiedzi, które docierały do niej po tej stronie linii, wywnioskowała jednak, że Alex powstrzymuje się od komentarza. W końcu Simon oddał telefon właścicielce.

Przycisnęła go do ucha, starając się uciszyć wiatr.

-Ja też cię kocham - usłyszała prawie na

pewno, choć wcześniej niczego nie powiedziała. Nagle, głosem mocniejszym niż Simona i zaskakująco podnoszącym na duchu, Alex zakończył rozmowę słowami, które sprawiły, że nie była w stanie nic z siebie wydusić: - Spróbuj opracować numerologię imienia i nazwiska Johna Dee; sumują się one w liczbę trzydzieści cztery. A wiedziałas, że twoje urodziny przypadają na trzydziesty czwarty dzień roku?

ALEX PODNIÓSŁ SPOD DRZWI PORANNA GAZETĘ I ODSŁONIWSZY ZASŁONĘ

w sypialni, rzucił okiem na widniejącą na jej pierwszej stronie datę: czwartek, 25 marca. Uderzyło go, że Sian po tylu miesiącach nie anulowała prenumeraty zamówionej jeszcze przez Willa. Tak naprawdę wcale nie zaczęła nowego życia, pomyślał.

Położył gazetę na stole, odwrócił się i rozejrzał po pokoju - w mieszkaniu Sian panował jeden wielki nieład. Wydawało się, że żadnemu ze znajdujących się w nim przedmiotów nie udało się umknąć spod lupy nieproszonego gościa, choć przecież cały remanent zajął mu zadziwiająco niewiele czasu. Alex rozumiał doskonale, dlaczego Sian poczuła się zhańbiona. Udało mu się złapać dozorcę, który właśnie naprawiał stolarkę przy drzwiach, a za trzydzieści funtów gotówką zobowiązał się znaleźć kogoś, kto posprząta w mieszkaniu i ułoży wszystko z

powrotem na półkach, oczywiście jak tylko Alex i policjanci skończą swoją robotę. Inspektor McPherson, znajomy Simona, wysłał do Sian kilku oficerów w cywilu, którzy przed jego przybyciem mieli spotkać się z Alexem, a właśnie krzątali się w sypialni i na korytarzu, szukając odcisków palców lub śladu DNA. Alex słyszał, o czym między sobą rozmawiają, i domyślił się, że niewiele znaleźli.

Rozejrzał się po zalanym wreszcie światłem pokoju dziennym i doszedł do wniosku, że choć z pozoru panuje w nim potworny bałagan, tak naprawdę napastnik nie wyrządził w mieszkaniu zbyt wielu szkód. Jego wysprzątanie zajmie pewnie kilka godzin i Sian, jeżeli nadal będzie nalegała, będzie mogła wrócić do domu zaraz po lunchu, choć on wolałby oczywiście, żeby

przynajmniej tego dnia, dopóki nie uda mu się wszystkiego ustalić, została u niego. Musiał być w pracy o ósmej, ale zostało mu jeszcze mnóstwo drobiazgów, którymi powinien się zająć, jeżeli chce, by wróciła sama do mieszkania. Spojrzał na zegarek, zastanawiając się, co też mogło zatrzymać Jamesa McPhersona. W tym samym momencie dobiegł go głos dozorczy, który krzyknął w jego stronę, że ktoś właśnie pojawił się na schodach i zmierza do mieszkania. Alex podszedł do drzwi, pragnąc się przedstawić. Ale widok przybysza wprowadził go w osłupienie.

W łukowato sklepionym przejściu prowadzącym do salonu stał wysoki przystojny mężczyzna. Wydawał się przygwożdżony do podłogi: opadła mu szczeka, oczy błędziły dziko po pokoju, a zwykle lekko opalona skóra wydawała się dziwnie blada. Alex rozpoznał w postawie Calvina pełnoobjawowy wstrząs. Jego wyraz twarzy świadczył o tym, że w żadnym razie nie był przygotowany na widok, który rozpościerał się przed jego oczami i najwyraźniej głęboko go poruszył. Alexowi ta spontaniczna reakcja powiedziała dokładnie to, co chciał

wiedzieć na temat młodego mężczyzny; natychmiast uzyskał pewność, że jego kuzyn nie był bezpośrednio zaangażowany w wydarzenia minionej nocy.

-O Boże. Gdzie ona jest? - Calvin postawił skromną torbę podróżną na podłodze i odwrócił się szybko, pełnym niedowierzania wzrokiem spoglądając na dwóch mężczyzn, szukających po drugiej stronie korytarza odcisków palców.

-Nic jej nie jest. - Alex obserwował, jak na twarz Calvina wracają kolory, choć w jego oczach ciągle czaiło się pytanie: co tu się stało? Postanowił mówić spokojnym, obiektywnym tonem; nie był pewien, jaką dokładnie rolę odgrywa w tym wszystkim Calvin, i wolał nie zwalniać go z góry z odpowiedzialności za choćby niebezpośredni udział w napaści. - Wczoraj wieczorem było tutaj włamanie. Sian przebywała wtedy w mieszkaniu; została zaatakowana i jest ranna... - Calvin chciał coś powiedzieć, ale Alex podniósł rękę, uciszając go - ..choć mogę dodać z ulgą, że niezbyt poważnie. To był z pewnością ktoś, kogo znasz. Jak widzisz, szukał czegoś. Uważamy, że tego nie znalazł.

Zakazał jej dzwonić na policję, po czym uderzył ją w twarz. Nie знаła odpowiedzi na pytanie o miejsce pobytu swojego chłopaka.

-Dobry Boże! - jęknął stłumionym głosem Calvin. Usiadł na oparciu stojącej obok wejścia do salonu kanapy, a Alexowi wyraźnie ulżyło, kiedy zorientował się, że chłopak nie jest w stanie ustać na nogach. - Szukali mnie?

Alex przyjrzał się mu uważnie, zbierając myśli i powiedział nieco łagodniejszym, choć nadal dociekliwym tonem:

-Jestem prawie pewien, że chodziło o drugą partię dokumentów, które Will znalazł we Francji. Wysłał je, ale wcześniej zrobił kopie. Ustalili z Lucy, że będziesz pośrednikiem i odbierzesz je w imieniu swoich... znajomych, ale zniknąłeś bez słowa, nie powiadamiając nas, kiedy wrócisz.

-Tak. Możesz być na mnie wściekły. Powinieneś być. Podręcznikowo spieprzyłem sprawę. Ale z Sian wszystko w porządku, tak?

Wydawało się, że szok ustępuje, a jego miejsce w umyśle Calvina na samą myśl o tym, że coś mogło jej się stać, zajmuje autentyczna wściekłość.

-Tak, Calvinie. Wszystko w porządku.

Alex szybko przeanalizował w myślach zmianę postawy Calvina i podszedł do kuzyna. Zorientował się, że Calvin potrzebuje jakiejś formy wsparcia, przysunął więc sobie krzesło i usiadł. Wyważonym tonem opowiedział Calvinowi o wydarzeniach ostatnich czterdziestu

ośmiu godzin, w tym o wypadku Maxa. Uważnie wybrał styl, w miarę możliwości starając się mówić prosto i bezpretensjonalnie. Bagatelizowanie przez Alexa budzących grozę wydarzeń - zwłaszcza tych, które dotyczyły jego własnego syna — sprawiło, że Calvinowi niemal zrobiło się niedobrze. Zaczął kręcić głową z niedowierzaniem, bezgłośnie wsłuchując się w słowa kuzyna.

-Oczywiście, pamiętając o tym, co przydarzyło się Willowi, zabrałem ją do siebie - zakończył Alex. - Kiedy wychodziłem, spała ciągle w pokoju Maxa.

Calvin podchwycił wzrok Alexa i skinął głową, właściwie głośnie myśląc.

-Muszę znaleźć Guya albo Fitzalana Waltersa, który tak naprawdę dzierży wszystkie sznurki w rękę. Tak, Aleksie, przyznaję, miałem w tym pewien interes; choć właściwie nie chodziło o mnie. To inni są żywotnie zainteresowani tym, by... - Spojrzał na Alexa, którego wyraz twarzy w zaskakujący sposób dodawał mu otuchy: dzięki temu nie czuł

się tak strasznie samotny.

- Chciałbym móc ci powiedzieć.

Alex uśmiechnął się i przechylił nieco głowę.

-Ale nie możesz. Mimo że, wydaje mi się, powiedziałeś.

Calvin spojrzał na siedzącego obok niego mężczyznę i na jego twarzy odmalowało się coś w rodzaju ulgi.

-Usidlili cię - powiedział wprost Alex. — Ale dlaczego Boston?

-Ludzie, którzy zapłacili za moje europejskie studia, chcą być... dobrze poinformowani. O tym, co się dzieje.

- W takim razie da się ich do pewnego momentu kontrolować?

Calvin skinął głową, nerwowo wpatrując się we własne dłonie. Gestem

głowy wskazał ludzi na korytarzu, zaznaczając, że w ich obecności nie może nic więcej powiedzieć.

- Straciłem grunt pod nogami, naprawdę, załatwiłem więc sobie spotkanie z jednym z nich w Bostonie. Aleksie - szepnął - naprawdę nie mogę nic więcej dodać, z wyjątkiem tego, że jak dobrze wiesz, kocham Sian i nigdy świadomie nie pozwoliłbym, aby komukolwiek z was stało się coś złego. Myślę, że gdybym miał lepszy refleks, udałoby się uniknąć również śmierci Willa.

Między obydwoma mężczyznami przez chwilę wisiało napięcie, ale w końcu Alex podjął istotną decyzję. Już miał się odezwać, kiedy nagle usłyszał jakiś nowy głos, który z silnym szkockim akcentem wypowiedział jego nazwisko.

- Doktor Stafford? - Na progu, w którym kwadrans wcześniej stał Ca-

lvin, pojawił się dosyć młody mężczyzna. - Nazywam się DI McPherson albo antyterrorysta James, jeśli wolicie! - rzekł raczej mało formalnym tonem. Jego ciepły, tryskający humorem głos wprowadził nieco powietrza w gęstą od emocji atmosferę, która kłębiła się wokół Alexa i Calvina. Obaj mężczyźni uśmiechnęli się do przybysza. Alex wyciągnął rękę. - Rozmawialiśmy wczoraj wieczorem przez telefon i widzę, że udało mi się trafić na miejsce. A to pewnie pan Calvin Petersen, o którym pan wspominał.

Alex i Calvin zdążyli wstać i James McPherson patrzył im teraz prosto w oczy.

- Załatwmy to szybko, bo przecież wszyscy się spieszymy. A pan, doktorze Stafford, niech pamięta, że w ogóle mnie tu nie ma. Pana zresztą też, panie Petersen. No, w takim razie formalności mamy już za sobą i możemy poszukać w tym burdelu jakiegoś kubka. Marzę o szybkiej kawie.

Alex roześmiał się i obaj mężczyźni ruszyli za policjantem w stronę niewielkiej kuchni.

LUCY I SIMON POCZULI SIĘ TROCHĘ NIESWOJO, KIEDY ICH TAKSÓWKA ZOSTAWIŁA za sobą kwitnące drzewa oraz pasaż handlowy i znaleźli się w zupełnie innym otoczeniu. Simon pożałował, że zjadł na śniadanie dodatkowy naleśnik: samochodem, wyposażonym w niewiarygodnie miękkie zawieszenie, przez całą drogę z hotelu w śródmieściu do końca Jane Street przy rzece Hudson niemiłosiernie rzucało. Wreszcie jednak skręcili w róg Jane i West Street, i dotarli na obrzeża Greenwich Village.

Lucy nie spodziewała się czegoś takiego. Budynek, którego szukali, okazał się ogromnym brzydkim ceglany magazynem, który kiedyś był częścią infrastruktury doków ciągnących się wzdłuż Hudson. Nacisnęła z niepokojem dzwonek na poobijanych metalowych drzwiach, umieszczonych obok rampy wjazdowej z blachy falistej. Jakiś uduchowiony głos odpowiedział:

-Cześć! - Kiedy podała swoje nazwisko, dodał tym samym, rozpromienionym tonem: - Miło, że wpadliście! Jak wejdziecie do budynku, podejdźcie do windy na środku, a potem wjedźcie na ostatnie piętro. Wysyłam ją, spotkamy się na górze.

Spojrzała szeroko otwartymi oczami na Simona, w którego wzroku w odpowiedzi pojawił się błysk rozbawienia. Usłyszeli trzask, Simon pchnął drzwi i pojawiła się przed nimi pusta przestrzeń oświetlona słabo kilkunastoma zawieszonymi na gołych drutach żarówkami, rozległa niczym boisko. Powitał ich dziwny zapach opuszczonego budynku i wilgotnego papieru, zmieszany z wonią pływowej rzeki.

Zgodnie z tym, co mówił głos, na środku hali zobaczyli otwarty szyb windy towarowej. Jego przerdzewiała żelazna rama, przywodząca na myśl lata dwudzieste, zniknęła daleko ponad nimi w dziurze w suficie. Oboje ruszyli nieśmiało pustą halą w kierunku windy, która, bucząc, zjeżdżała właśnie na dół.

- Myślisz, że jest bezpieczna? - zapytała Lucy, kiedy dźwig z trzaskiem zatrzymał się przy podłodze i dosłownie wyrzucił na bok żelazną bramkę. Simon nie odpowiedział. Wszedł po prostu do rozległego wnętrza, ciągnąc za sobą Lucy i uśmiechając się pod nosem. — Potworze! Ty już tutaj byłeś! Mogłeś mi powiedzieć - roześmiała się Lucy.

- Zaczekaj, aż zobaczysz jego chatę - rzekł Simon, starannie zamykając za sobą drzwi. - Widok w trzech kierunkach. Ten na rzekę jest bajkowy. Will i ja byliśmy tutaj na kilku niezłych imprezach, na które załapywaliśmy się między jedną a drugą wyprawą. Roland czasem proponował nam tutaj nocleg, kiedy tęsknił za towarzystwem. To dosyć niezwykły człowiek.

Winda ruszyła w górę i Simon w odpowiedzi

na malujące się na twarzy Lucy zdumienie podzielił się z nią kilkoma intrygującymi szczegółami.

-Pochodzi z dalekiego zachodu, z Montany, jeżeli się nie mylę, i powiedzmy, że dokładnie odpowiada stereotypowi górala, jeżeli oczywiście prawdziwi górale w ogóle istnieją. Ma gdzieś pozory, żony zmieniał jak rękawiczki. Teraz nieco bardziej przypomina mnicha, choć ciągle uwielbia kobiety. Nie mam pojęcia, w jakim może być wieku; moim zdaniem od dziesięciu lat nic się nie zmienia.

Lucy pomyślała, że Simon maluje przed nią obraz jakiejś fantastycznej postaci, która w realnym świecie nie miała prawa znaleźć swego odpowiednika: taki John Wayne, zażartowała w duchu, z osobliwie kobiecą animą. Na samą myśl o tym uśmiechnęła się, słuchając jednak dalej, jak Simon opowiada o obdarzonym doskonałym wyczuciem, jeśli chodzi o zdjęcia i literaturę, mężczyźnie, którego najwyraźniej uwielbiał.

-Kimkolwiek jest poza tym - kontynuował, starając się przebić głosem przez trzeszczenie maszynerii, która unosiła ich w stronę ostatniego piętra - zna wszystkich, dzięki czemu zbił fortunę nie tylko on sam, ale i ludzie, których reprezentuje. Kupił ten budynek za gotówkę, kiedy nikt jeszcze na wet nie myślał o loftach.

Hałas dźwigu i komentarze Simona nagle się urwały i po chwili drzwi windy otworzył mężczyzna o szerokim, gładkim czole i inteligentnych szarych oczach. Natychmiast wyciągnął rękę w stronę Lucy.

-Roland Brown. - Potrząsnął serdecznie jej

dłonią. - Naprawdę przepraszam za wczoraj. Utknąłem w Bostonie. - Odwrócił się do Simona i uściśnął go po przyjacielsku. - Przykro mi z powodu Willa. Wejdźcie i opowiedzcie mi o wszystkim.

Lucy zaskoczył jego wygląd. Roland miał co najmniej metr dziewięćdziesiąt wzrostu, włosy wiązał w koński ogon, ale pomimo swoich gabarytów poruszał się po podeście, przez wzmocnione drzwi prowadzącym do głównej części mieszkalnej, z wdziękiem baletnicy. Lucy natychmiast zrozumiała urok nowojorskich loftów - salon, ciągnący się przez pół kwartału, wyposażony był z trzech stron w długie rzędy wychodzących na rzekę okien; z nich roztaczał się widok na zachód aż do mostu Waszyngtona oraz w stronę śródmieścia, surowej przestrzeni, w której niegdyś wyrastały bliźniacze wieże World Trade Centre. Zanurzyła się w pejzażu, ale zauważyła też podłogę ze szlifowanych desek, białe włoskie meble i otwartą kuchnię, dwa razy większą niż ta u Alexa. Przy czwartej ścianie stały rzędem regały z książkami; wszędzie widać

też było zdjęcia - w ramach i bez - porozrzucane na stole, podłodze, wiszące na ścianach.

-Przepraszam, nie posprzątałem - rzekł Roland spokojnym głosem. Lucy spodobało się jego wyraźnie nosowe brzmienie i łagodna intonacja. - Późno wróciłem. Sprzątaczką przyjdzie dopiero w piątek. Simonie, w ekspresie jest kawa, a w lodówce śmietanka. Obsłuż się, a ja pójdę po przesyłkę. Jest w skarbcu na tyłach. - Roland odwrócił się i ruszył w głąb mieszkania, nagle

jednak zauważył poruszenie rysujące się na twarzy Lucy i zatrzymał się w pół kroku. - Kiedyś były tam biura tego magazynu na dole. Chcesz zobaczyć?

Poprowadził ją przez drzwi i dalej krótkim korytarzem, na końcu którego znajdował się zajmujący niewielkie pomieszczenie sejf z lat dziewięćdziesiątych dziewiętnastego wieku, wyposażony w wielkie miedziane uchwyty i biegnący przez podwójne drzwi napis z nazwą producenta: Steiner and Sons. Kiedy Roland nacisnął na uchwyty i pociągnął do siebie stalowe drzwi, Lucy odniosła wrażenie, że wchodzi do innego świata. W środku ciągnęły się wszędzie półki.

-Nigdy go nie zatrzasuję. - Roland spojrzał jej prosto w oczy, najwyraźniej nad czymś się zastanawiając. - Kiedy przejąłem budynek, od dawna nikt już nie wiedział, gdzie jest klucz. Cudowne, prawda?

Lucy patrzyła na niego przez chwilę, czując wzbierającą falę uczuć. Był dziwny, ale miała ochotę go przytulić.

-Naprawdę go lubiłeś, prawda?

-Willa? - Skinął głową, ale jego drobny na pozór gest wydawał się kipieć od emocji.

-Jaki był? - zapytała, przyglądając się mu uważnie. - Wiesz, trudno mi zadawać tego rodzaju pytania Alexowi, nawet teraz.

Roland zrozumiał i uśmiechnął się do niej.

-Ciężko powiedzieć. Był inny niż większość osób, z którymi pracuję. W głowie pojawiała mu się jakaś myśl i wyruszał w drogę. Bez zlecenia, po prostu chciał to zrobić. A potem robił mnóstwo smrodu, jeżeli nikt nie chciał tego kupić. - Roland roześmiał się głośno. - Później, przeważnie jakiś rok później, ktoś zawsze pytał: Pearl, nie mamy czegoś na taki a taki temat? Oczywiście chodziło o to, co Will już zrobił, i to o wiele wcześniej. Miał gotowy fotoreportaż, czasem opatrzony krótkim komentarzem. Ludzie i szczegóły, których nagle wszyscy poszukiwali, ale nikt już nie mógł wtedy dostać się w dane miejsce. Will wyprzedzał rynek. Tak,

lubilem go.

Sięgnął ręką do jednej z paczek na półkach i wręczył ją Lucy.

-Myślę, że to należy do ciebie. - Wymienili spojrzenia i Lucy wydało się, że jego wzrok jest bardzo znaczący, choć przecież poza nią, Alexem i osobami bezpośrednio zaangażowanymi w transplantację nikt nie znał jej tajemnicy. Roland miał w sobie coś więcej, dokładnie tak, jak sugerował Simon, a ją to w równym stopniu podniecało, co przerażało. Niemal zapragnęła mu powie dzieć, ale on tylko uśmiechnął się do niej i pokręcił dziwnie głową. - Jeżeli poznasz dobrze Alexa, Lucy, poznasz i Willa. Poszukajmy Simona.

Opuścili sejf; Lucy wciąż była pogrążona w rozmyślaniach.

Na niskim stoliku czekały na nich trzy kubki kawy, Simon przysunął też jakieś krzesła. Roland przyniósł z kuchni nóż i wręczył go Lucy, która wzięła się do rozcinania taśmy. Simon i Roland zaczęli o czymś rozmawiać, ona jednak była całkowicie zatopiona w myślach oraz tym, co robiła, i nie potrafiła nadażyć za ich rozmową. Drżącymi nieco dłońmi rozcięła pieczęcie i zaczęła odpakowywać zawartość z brązowego papieru i folii bąbelkowej. Wyczuła zapach róż.

MORTLAKE, 25 MARCA 1609

*NIEMAL ŚWITA, KIEDY SŁUŻĄCY WCHODZI,
BY PODSYCIĆ OGIEŃ W PALENISKU, KATE
DEE kręci*

*łagodnie głową i odprawia go. Wydaje jej się, że
ojcu jest wygodnie na wyścielanej ławie; po trzech
nieprzespanych nocach drzemie sobie spokojnie.
Ostatnimi czasy odmawiał udania się do sypialnej
komnaty, a Kate wiedziała, iż boi się, że jeśli po-
zwoli sobie na głęboki sen, może się już nigdy nie*

obudzić. W wyłożonym drewnem pokoju jest wystarczająco ciepło; Kate woli, by ojciec odpoczywał, póki może.

Odchyła głowę, odsuwając ją od światła świecy, by nie przesłaniać sobie cieniem robótki. Po długich godzinach wyszywania jej palce są zdrętwiałe, choć igła ciągle śmiga jak szalona: Kate ma nadzieję, że ojciec zdąży zobaczyć jej bursę, pracuje więc bez wytchnienia. Ani ona, ani jej brat Arthur nie powiedzieliby tego na głos, ale oboje wiedzą, że ojciec nie pozostanie już z nimi długo. Kate, podobnie jak Arthur, rozumie jednak, że koniec będzie dla niego błogosławieństwem. Teraz, kiedy ten wspaniały, żywy niegdyś, wykształcony mężczyzna skończył osiemdziesiąt lat, jego umysł jest coraz bardziej roztargniony, a on sam zrędzi jedynie, szukając po domu różnego rodzaju przedmiotów, które gdzieś mu „zagięły”; martwi się o cenną srebrną solniczkę, nigdzie nie może też znaleźć łyżek z wizerunkami Apostołów. Kate nie ma serca powiedzieć mu, że Arthur musiał je sprzedać, aby zdobyć pieniądze na pokrycie podstawowych potrzeb.

Wraca szybko do robótki; igła śmiga po

materiale, podążając śladem podryso-wanych na nim linii ryżowym ścięciem, który ma się ułożyć w cienie pod różami. Kate chce pokazać ojcu, że skończyła przynajmniej ten fragment, że skopiowała wzór z tych samych rzeźbionych i malowanych w czerni i bieli róż, które wiły się ponad jej głową w tej komnacie — jego ulubionej. Pozwolił jej wyszywać tylko czerwone róże; czas białych dopiero nadejdzie. I musi znaleźć miejsce dla bladoszarej ćmy

jedwabnika, jednocześnie cienia naszej śmiertelności oraz symbolu transcendencji, do której wszyscy możemy aspirować- „w tym przepięknym gobelinowym ściegu, Kate, którego nauczyła cię twoja mistrzyni, Goodwin” — mówił. Zrobiła to, o co prosił, i teraz ćma wyrasta spod jej zręcznej dłoni — rebus cennego jedwabiu naszej duszy i ciemnolicego anioła Saturna, który czuwa nad wszystkimi alchemikami.

— I czarnej damy — szepcze.

Ojciec podnosi się, zrzucając na podłogę księgę. Kate natychmiast, jak pszczoła na kwiecie, pojawia się u jego boku.

— Odpocznij, ojcze.

Poprawia mu niewielką poduszkę i wymienia narzutę, zauważając, że ukochana twarz ojca przybrała kolor pergaminu; jego oczy patrzą na nią, ale jej nie widzą. Cieszy się, kiedy ojciec je znowu zamyka, a linia, w którą układają się jego usta, wykrzywia się w wymuszonym uśmiechu, który ma dodać jej otuchy. I Kate zapada się znowu w fotelu w świetle, podnosząc ramkę.

— Słowa będą jak liczby, Kate. — Ona podrywa się i kłuje w palec, słysząc, jak ojciec

mówi z zamkniętymi oczami. Jest zdziwiona. — Twoja podróż powrotna podąży śladem kroków przez labirynt.

— *Tak, ojcze. — Uśmiecha się do niego, nie podnosząc głowy znad robótki. Będzie gadał jeszcze w swej ostatniej godzinie. — Mówiłeś mi. Trzeba odliczać liczby znowu od końca, od końca Tablicy Jowisza; a pierwszą, której mam użyć, musi być liczba trzynaście, jak dzień twoich urodzin.*

— *Właśnie tak, Kate. A twoim słowem będzie trzynaste w wersie, prócz „i”; a twoja córka — Bóg cię nią obdarzy — musi wybrać wersy, dzięki którym otrzyma ósme słowo, a jej córka dwunaste.*

— *Lub też, jeżeli to nie będę ja, ojcze — wiesz przecież, że za późno już dla mnie na małżeństwo — zadanie przejdzie na moją siostrzenicę, twoją wnuczkę Margaritę. Wybierze wersy dla mnie, by ósmym przedstawić Adonisa, tak jak prosiłeś.*

Spogląda na niego znad robótki. Nie może winić losu za to, że zgodnie z wolą matki ostatnie lata spędziła, pielęgnując ojca. Skończyła już

dwadzieścia sześć lat i wie, że nie ma zbyt wielkiej szansy na małżeństwo.

— *Moja Katherine. Czy nie widzisz tego, co stoi obok ciebie?- Głos ojca jest zaskakująco silny choć łagodny, przepelniony radością.* — *Mistrz Saunders miłuje cię od trzech lat; a jest przecież uczciwym młodym człowiekiem o przychylnym nastawieniu. Nie walcz z tym, co dobre dla ciebie, Kate.*

Ojciec odwraca się i znowu zapada w drzemkę.

ROLAND I SIMON NAGLE PRZERWALI RELACJONOWANIE TEGO, CO IM SIĘ przydarzyło od czasu, kiedy widzieli się po raz ostatni, i wszyscy troje wpatrzyli się, jak wierzchni papier i kartonowe pudełko odsłaniają swoją zawartość. Lucy wyciągnęła jakiś piękny, ręcznie haftowany na kanwie przedmiot, owinięty w bibułę i wsunięty dodatkowo w gruby plastikowy woreczek. Była to torebka w kształcie koperty, coś w rodzaju pokrowca. Wykonano ją z grubego lnianego materiału, zakończonego na brzegach frędzlami. Była bogato wyszywana jedwabnymi nićmi, głównie czerwonymi, złotymi i kremowymi; na środku widniał guzik wykonany z perły w kształcie łzy. Lucy uniosła torebkę, pozwalając, by światło lepiej uwidoczniło jej szczegóły.

Z tyłu dostrzegła wyszywany bawełnianą nicią znajomy już wizerunek drzewka morwy, opleciony dziwnie ukształtowanym tradycyjnym symbolem księżycy połączonego ze słońcem. Do ornamentu użyto bladych jedwabnych nici, a wyhaftowano go ścięciem atlasowym i ryżowym. Z kolei na przedniej stronie w rogu znajdowały się wyszywane również jedwabnymi nićmi - tech-

niką, którą jeżeli Lucy dobrze pamiętała, określało się mianem haftu przestrzennego - dwie czerwone róże, czerwono-złoty szlaczek, który przypominał jej obrazy znane ze starych folio, oraz płaski rysunek labiryntu z Chartres, ciągnącego się od spodniej części futerału aż po otwartą, błyszczącą przestrzeń powyżej. Kiedy Lucy przyjrzała się uważniej, zauważyła złoty napis, wyblakły w niektórych miejscach, biegnący przez całą powierzchnię torebki. Wydawało się, że wykonano go metodą sitodruku albo przynajmniej malowania szablonowego, złote płatki lub farbę nakładając na len. Niektóre słowa w poszczególnych wersach wydawały się bardziej wybijać niż inne. Lucy zauważyła wyrazy „szukać”, „śpi” oraz „pani”; wydawało jej się, że widzi również „Wenus” i „spotkanie”. Odszyfrowanie tekstu wymagałoby nieco wysiłku, ale Lucy najbardziej uderzyło emanujące z przedmiotu zauroczenie. Musiał on być owocem czyjejś miłości i nikt nigdy nie pozwoliłby, żeby zbyt długo spoczywał w ziemi, choćby nie wiadomo jak dobrze chroniony przed niszczącym działaniem żywiołów. Czy zakopanie go było

jedną z ostatnich czynności Diany?

Również obaj mężczyźni byli urzeczeni i musiało minąć kilka minut, zanim jeden z nich — Roland — zdołał się odezwać.

- Ćma albo motyl w górnym rogu oznacza przebywającą w nowym wcieleniu lub przebudzoną duszę. Co tam masz?

Lucy początkowo nie zauważyła tego motywu, mimo to skinęła głową. Zamykające futerał skrzydełko i wyhaftowane na nim wzory musiały

być wiele razy naprawiane, łatanie i przerabiane przez niezliczone, pogrążone w mrokach niepamięci palce, ciągle jednak widoczna w nich była ręka twórcy czy twórczyni. Tak, ten futerał zrobiono dla niej, pomyślała. Czekał przez cały ten czas, czekał na nią. Świadomość ta była dla Lucy czymś niesamowicie przytłaczającym. Poczula, że jest przywiązana do Alexa w trudny do zrozumienia, ponadnaturalny, przerażający sposób. A przecież wydawało jej się, że należy do siebie, że zawsze należała wyłącznie do siebie. Nikt nie mógł powiedzieć, że jest jego własnością. Tymczasem okazało się, że należy do kogoś innego.

Lucy była bliska łez. Położyła futerał na stole i palcami, które wydawały się znać drogę do jego wnętrza, odpięła skrzydełko. W środku były - wiedziała, że tam będą - pergaminowe arkusze, których wierzchnia część pokrywała się idealnie z obrazem na kopiach wykonanych przez Willa. Znajdowała się tam też jedna biała róża, która wypełniła otaczającą ich nowoczesną przestrzeń delikatnym zapachem, przywodzącym na myśl miniony świat. Jak jej bliźniacza siostra w

L'Aigle, była przywiedła.

Milczenie Simona uderzyło Lucy; z kolei Roland nachylił się i dotknął z szacunkiem wyszywanego skrzydełka.

-Jedna z najdziwniejszych rzeczy, jakie w życiu widziałem. Gdybym wierzył w Boga, rzekłbym, że to jego dzieło. Ale skoro nie wierzę, to może wyjaśnicie mi, skąd pochodzi to чудо? I co to takiego?

-Mamy nadzieję - wydusił z siebie w końcu Simon - że to odpowiedź na mnóstwo skomplikowanych pytań.

-I skąd miałaś wiedzieć - zapytała Lucy, patrząc na Rolanda wilgotnymi oczami - że pochodzi z prawdziwego Rajskiego Ogrodu?

DZIKA JABŁOŃ I MAGNOLIA KWITNĄCE W NIEWIELKIM OGRÓDKU OD FRONTU czyniły dom z pewnością najładniejszym w całym ciągu szeregowców. Do drzwi podeszła smukła blondynka, cmoknęła go w policzek i Alex zniknął w środku z orchideą. Lucy patrzyła za nim z samochodu, czując nagły przypływ paniki. Jej myśli były równie arytmiczne jak puls. To była jego przeszłość; a ona po raz pierwszy poczuła przedsmak tego, w co może się zamienić jej przyszłość.

Perspektywa popadnięcia w zależność od niesłychanie silnych emocji, które odczuwała z powodu Alexa, przeraziła ją, i Lucy po powrocie z Nowego Jorku nagle uciekła. Spędziła z nim tylko dwie noce, a i wtedy zwinęła się w ciasny kłębek na łóżku, unikając fizycznego kontaktu. Musiała poczekać, aż wszystko się uspokoi, odnaleźć z powrotem siebie samą, poszukała więc ucieczki w obowiązkach — zaczęła nadrabiać zaległości w pracy. Potem nastąpił przełom:

dwudziestoczwierogodzinne badania w Harefield w poprzedni piątek, sześć miesięcy po transplantacji. Alex zamienił dyżur na weekendowy, żeby ją zawieźć, i czekał cierpliwie, kiedy leżała podłączona za pomocą różnych rurek i kabli do monitorów, pozostając przy niej przez całą tę nużącą mękę. Była w jego obecności drażliwa, przeczulona i rozkapryszona; ale on przechodził przez to nie po raz pierwszy i w ogóle się nie przejmował. Od czasu do czasu jego cierpliwość budziła u niej niemal irytację. Czy aby nie chciała go po prostu zdenerwować?

Kiedy po badaniach Alex lekko speszony odwiózł Lucy do Battersea, przywitał ją wybuch wściekłości Grace.

— Nie możesz się bawić uczuciami innych, Lucy! Nie jesteś jedyną osobą na świecie, którą spotkało coś złego. Czy nie nadszedł wreszcie czas, by zostawić za sobą skrzywdzone dziecko i żyć jak normalna kobieta?

Słowa przyjaciółki zabolowały Lucy. Taki wybuch był u Grace czymś niespotykanym - nigdy jeszcze nie powiedziała jej czegoś takiego. W dodatku

- owszem, Boże święty, miała rację! Lucy odczuła cios - wiedziała, że to prawda. Któż lepiej niż ona rozumiał, jak głęboko Alex potrafi ukrywać emocje, jakim jest doskonałym aktorem? Czy to nie on z zasady ignorował własny ból, by pomagać wszystkim, którzy według niego powinni polegać na jego sile? A przecież cudze uczucia były dla niej - przynajmniej do tej pory - zawsze na pierwszym miejscu. Grace oskarżyła ją - i słusznie - o to, że samolubnie zbyt mocno zanurza się we własnym dramacie. Lucy widziała, że powtarza błędy swojej przeszłości, że kręci się wokół siebie, zataczając pełne koło. Ale jak mogła się wyrwać z tego kręgu? Mimo wszystko - a może właśnie dlatego

-w ciągu kilku dni poprzedzających święta wielkanocne unikała Alexa, oddając się pracy i doskonale zdając sobie sprawę z tego, że on robi to samo. Przez całe dwa tygodnie po powrocie nawet nie spojrzała na dokumenty Dee.

Nagle - zbyt szybko, by zdążyła się przygotować - pojawił się ponownie w drzwiach z torbą podróżną w rękę i synem. Lucy widziała, jak Anna, odprowadzając byłego męża do samochodu, zamyka drzwi na zasuwkę; wciągnęła szybko w płuca powietrze. Kiedy Alex dokonywał prezentacji i wsadzał torbę do bagażnika, jego głos był dziwnie spokojny; wszyscy wszystkim powiedzieli: „Cześć!”, a Anna zaświergotała radośnie, że naprawdę mają szczęście: rzadko można świętować Wielkanoc przy takiej pogodzie. Lucy zdjęła okulary przeciwsłoneczne, uścisnęła rękę Anny i czując, że panika powoli ustępuje, zmusiła się nawet do uśmiechu. Alex wyjaśnił synowi, że za swoją nowiusieńką supernowoczesną deskorolkę powinien podziękować Lucy, która kupiła ją u Bloomingsda-le'a w Nowym Jorku, i twarz chłopca się rozpromieniła. Anna kazała pozdrowić

Henry'ego, Max wspiął się ochoczo na tylne siedzenie, wyraził radość, że dach jest opuszczony, podał Lucy płytę CD - i ruszyli. Anna pomachała im na pożegnanie. I nagle mieli to za sobą, w dodatku wszystko poszło absurdalnie gładko. Alex oderwał rękę od drążka zmiany biegów i znacząco uściśnął jej dłoń. Z ukrytych za okularami przeciwsłonecznymi oczu Lucy spłynęło kilka łez.

Kiedy przybyli do Longparish — Lucy i Max przez całą drogę śpiewali, starając się przekrzyczeć wiatr - przywitała Henry'ego tak serdecznym uściskiem, że nawet on zorientował się, iż za pośrednictwem ojca przekazała w ten

sposób przeprosiny synowi. Uśmiech Alexa kazał przypuszczać, że rozumiał jej wątpliwości i niepewność lepiej niż ona sama. Lucy zniknęła w kuchni i wzięła się za pieczenie smakołyków, których sama ze względu na ścisłą dietę nie mogła skosztować, ale które wzbudziły zachwyty Maxa. Tak doczekała wielkopiątkowego popołudnia i pierwsze jego godziny spędziła czytając z Henrym w ciepłym, ukrytym przed wzrokiem ciekawskich ogrodzie. Max z ojcem wybrali się na deskorolkę.

Przed wyjściem Alex wręczył jej dużą kopertę, z której wyciągnęła piękny rysunek formatu A4. Przedstawiał przypominającą przezroczysty glob krystaliczną sferę z górami ukazanymi jako jej serce; całość obejmowały gałęzie wielkiego drzewa. Tekst poniżej wyjaśniał, że jest to *Axis Mundi*, czyli to, o co pytała Alexa przed wyjazdem do Nowego Jorku. Nie zrozumiała wtedy, o co mu chodzi, za to teraz poczuła się urzeczona rozpościerającym się przed nią obrazem. Było to centrum świata, miejsce, w którym niebo miało się spotykać z ziemią. Na drugim, mniejszym arkuszu zobaczyła

własnoręcznie wyrysowany przez Alexa atramentem symbol medycyny, kaduceusza, z podpisem wyjaśniającym, że laska jest odzwierciedleniem osi, a węże kanału, poprzez który uzdrowiciel przekracza oś tego świata, by sprowadzić nań wiedzę z wyższych partii kosmosu. Zgodnie z wieloma przekazami, z symbolem tym łączyła się liczba trzydzieści cztery, a Alex wyjaśnił w krótkiej notatce, że Dante dlatego właśnie podzielił swoje *Piećło* na dokładnie tyle rozdziałów, że reprezentowała ona ten punkt przekraczania, środek ziemi, przedsionek piekła - oraz z drugiej strony nowo objawiony punkt duchowego oświecenia - „by znów ujrzeć gwiazdy”. Do środka i znowu na zewnątrz, pomyślała, patrząc, jak Henry przycina jakieś krzewy. Droga do Jerozolimy. Labirynt.

Wieczorem Henry zabrał Alexa do biblioteki i choć nie zamknął drzwi, Lucy doszła do wniosku, że chcą spędzić trochę czasu sam na sam. Poszła więc do pokoju Maxa i postanowiła pobawić się z chłopcem. Wkrótce dowiedziała się wszystkiego na temat *Simów*, w które namiętnie grał na komputerze. Wysłuchiwała słów Maxa o jego ukochanej

babci, która nauczyła go trochę po francusku, i wujku, za którym bardzo tęsknił. Wciąż jeszcze przebywała w tym jego wyjątkowym, bardzo osobistym wycinku świata, kiedy Alex i Henry wyłonili się z biblioteki, żeby sprawdzić co u nich. Żadne z nich nie chciało jednak odejść od biurka, więc z racji tego, że na drugi dzień mieli przyjechać Simon i Grace, a rano w niedzielę wielkanocną Sian, Stafford senior postanowił pójść na górę i przygotować dla nich pokoje.

Zaproszenie Sian było pomysłem Alexa, na który wpadł w ostatniej chwili. Calvin nieoczekiwanie wyjechał - do Jerozolimy, ni mniej, ni więcej - rezygnując z pierwotnego planu, by zabrać ją na Nantucket i przedstawić rodzinie. Bardzo nieładnie, pomyślała Lucy. Sian z kolei nie wiedziała, co myśleć. To, że Alex poparł gorąco pierwotny pomysł Calvina, zaskoczyło Lucy, ale jeszcze dziwniejsze wydało jej się, że w żaden sposób nie skomentował jego wolty. Naprawdę ją to zastanowiło. Czyżby chodziło o aktualny stan równowagi? Od jej powrotu z Nowego Jorku - kiedy Calvin dostarczył swoim przełożonym z College'u dokumenty Willa - obowiązywało zawieszenie broni. Tak jak wcześniej, oddali oryginały, z których jednak dla potrzeb własnego śledztwa Lucy i Alex wykonali dokładne dwustronne kopie. Nie oddała cennej, wyszywanej torby nawet Alexowi na przechowanie; zatrzymała ją przy sobie. Nie mieli żadnych wieści od przeciwników, Alex zaś, nawet jeżeli czuł złość, że mieli w swoich rękach coś, co do nich nie należało, nie dawał po sobie niczego poznać. Lucy

jednak do tego stopnia nie ufała Calvinowi, że mogło go to wprawić w zakłopotanie, i poczuła ulgę na wieść, że Sian po odwiedzinach u swojej matki w Walii przyjedzie do nich. Powinna się z nim rozstać, myślała Lucy, nie rozumiejąc spokoju Alexa. Nauczyła się już szanować jego zdanie w zasadzie niezależnie od okoliczności, ale nie mogła się powstrzymać od myśli, że w wypadku Calvina wykazuje się pewną ślepotą, być może z powodu ich pokrewieństwa. W żaden sposób nie potrafiła tego zrozumieć.

Po tak aktywnym dniu Max padał ze zmęczenia i punktualnie o dziewiątej bez poganiania zostawił pograżonych w rozmowie dorosłych i poszedł do swojego pokoju na poddaszu. Alex przygotował łososia i podał go z sosem bearnaise, kładąc Lucy po raz kolejny zastanowić się, dlaczego zawsze przeprosza za swoje kulinarne umiejętności.

- Z kim ty się porównujesz? Nigdy nie przygotowałaś mi niedobrej kolacji. Jesteś świetnym kucharzem, a twoje ręce pachną jak zielenik.

Pocałowała je szybko i nagle dotarło do niej,

że były to właściwie pierwsze miłe słowa, jakie skierowała do niego od powrotu z Nowego Jorku. Musiała porozmawiać z Alexem, co zresztą natychmiast zauważył Henry. Przeprosił ich, mówiąc, że chętnie pójdzie już do siebie i poczyta coś dobrego. Wychodząc, zamknął drzwi. Oni jednak najpierw posprząтали i pozmywali naczynia, przez dłuższą chwilę przerywając milczenie tylko monosylabami. W końcu Lucy owinęła ręce wokół bioder Alexa i spojrzała mu w oczy. Byli

na urlopie, więc się nie ogolił. Uwielbiała go takim, kiedy jego twarz pokrywał kilkuniedniowy zarost - to był jej Alex, wymykający się z karbów rygorystycznej samokontroli. Rozluźniła się trochę, ciągle jednak trudno im było przełamać milczenie. Na szczęście zaczął on.

- Byłaś dzisiaj wspaniała. Max świetnie się z tobą bawił.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi, że jest taki słodki, że to będzie takie proste?

Alex się roześmiał.

- Bo nie pytałaś. Nie daj mu się zwieść, nie jest aniołkiem. Ale myślę, że mieliśmy szczęście.

- Byłam niemożliwa, Aleksie.

- Niemożliwa - zgodził się z lekką przekorą. - I bardzo powściągliwa.

- Odwrót na całej linii - próbowała wyśmiać samą siebie.

- Ostrzegałaś mnie... - Patrząc na jej zrezygnowany uśmiech, wiedział, że jest już zmęczona samoudręczaniem. Wydawała się cierpieć na samą myśl o nieuchronnej ucieczce z raj, zdeterminowana poświęcić wszelką radość wiążącą się z poważniejszym związkiem, po to

tylko, by uniknąć zamętu i stresu wynikającego ze stanu emocjonalnego, który również był - co do tego nie miała żadnych wątpliwości - nieunikniony. Jej cierpienie bolało go, przyłożył więc swoje czoło do jej głowy. — Lucy, co mam zrobić? Jak mogę ci pomóc?

Odczekała chwilę, po czym powiedziała naturalnym tonem:

-Możesz zabrać mnie do łóżka i kochać się ze mną?

Tym razem Alex zaprowadził ją do swojego pokoju. We Francji pożądanie i frustracja wynikające z długiego oczekiwania uciszyły jej niepokój, dzięki czemu mogła odpowiedzieć Alexowi z równą swobodą, z jaką przychodził jej oddech. Ale przez kilka tygodni, które dzieliły ich od tamtych chwil, miała mnóstwo czasu, by wszystko zracjonalizować. Nawet teraz, kiedy pragnęła zaufać zmysłom, obserwowała samą siebie z pewnym dystansem. Widziała, jak Alex w milczeniu ją rozbiera i jak pieści ją bez cienia zaborczości, ciągle jednak dławiła ją chęć, by powstrzymać uczucia. Zrozumiała, że ich szczęście zawisło na włosku, i nagle nabrała

ochoty, by posłuchać głosu serca.

Alex wyczytał mroczne myśli w jej oczach, zamieniające ich brąz w stalową szarość. Położył się obok niej na plecach i wsunął rękę pod łuk jej talii; drugą dłonią zaczął gładzić jej drobne, kobiece ciało. Lucy wydawało się, że trwa to całą wieczność, aż wreszcie jej przepona uniosła się i opadła spokojnie. Poczwała na skroniach jego ciepły oddech.

- Jakim słowem albo kolorem opisałabyś to, co czujesz, kiedy cię tu dotykam?

Palce Alexa odnalazły jej piersi i surową, zabliznioną tkanę między nimi. Uśmiechnęła się i odwróciła twarzą do niego.

- Bliskość.

- Mm... A tutaj? Na brzuszku?

- Ciepło. Intymność.

Przeciągnęła się jak kotka, wykrzywiając lekko kręgosłup.

Uniósł się nieco i zaczął zgłębiać zapierające dech w piersiach kontury jej ciała - bioder i brzucha, falistości piersi, delikatnej skóry na szyi i wokół sutków, krzywizny pośladków—wodząc po nich to językiem, to czubkami palców, to znów szorstką powierzchnią nieogolonej twarzy i kciukiem. Nie spieszył się; Lucy musiała poddawać się erotycznym wrażeniom, by odnaleźć, a potem wyrazić właściwą reakcję. Więcej było przy tym łagodnego śmiechu niż urywanych westchnień. Uniósł się jeszcze trochę wyżej, pocałował ją w usta i położył delikatnie dłoń na wewnętrznej stronie jej uda, powolnym

głaskaniem odchylając jej nogę. Wstrzymała oddech i wyciągnęła ponad głowę ramiona.

- Fiolet i indygo, i drobinki światła gwiazd po burzy.

- Oszukujesz. To więcej niż jedno słowo. Możesz wybrać tylko jedno. Skup się... - Jego palce zaczęły pieścić jej jedwabistość, a potem delikatnie wsunęły się do jej wnętrza; ledwo mogła oddychać. Usłyszał swoje imię. - Co to za słowo? - Jego ciało było twarde, ale głos bardzo miękki.

- Niezrównanie... Aleksie, chcę ciebie.

Wszedł w nią, poruszając się powoli.

- A teraz?

- Elizjum. — Oddech Lucy zagubił się w nagle wyzwolonej napiętności; a kiedy jego pocałunek zaczął spijać jej z ust każdy dźwięk, pomyślała, że wybuchnie jej serce. Uwolnił się od niej tylko na tyle, by powędrować do jej ucha i wyszeptać w nie pytanie o słowo. — Nie mogę znaleźć - krzyknęła i wciągnęła go głębiej w siebie; jego usta spoczęły znowu na jej wargach, a delikatne ruchy sprawiły, że zaczęła oddychać gwałtownymi spazmami. Żaden pocałunek w jej

życiu, żadnego jej kochanka, nigdy nie był tak wymagający, natarczywy i podniecający.

- Lucy, a teraz jakie słowo przyszło ci na myśl?
- Zauważył jednak, że na jej piersiach pojawiły się delikatne wypieki, i wiedział, że usłyszy to słowo. Dla Lucy ten gest zaufania był wszystkim. Mieli to za sobą.

-Uwolnienie, Aleksie. Epopeteja. - Z jej ust wydobyło się zaledwie westchnienie. Nie potrafiła znaleźć w sobie tyle powietrza, by coś powiedzieć: mogła je tylko wciągać w płuca. Ich ciała były tak ciasno splecione, że czuła drżenie, choć nie wiedziała, które z nich drżało. Zamknęła w sobie jego oczy, jego ciało, a ich ruchy i oddechy zamieniły się w jednogłośny śpiew.

-Kolory nieznane nawet tęczy - szepnęła.

Roześmiał się i pocałował ją delikatnie. Ich zmysły naprężyły się, pragnąc więcej.

-Teraz rozumiesz. Jesteś boginią.

Niebiańską.

Po każdym słowie obdarzał ją pocałunkiem.

I wtedy rzeczywiście zrozumiała. Znalazła się gdzieś, gdzie jeszcze nigdy nie była. Była umiłowana.

Sięgnęła po kołdrę i rozpuścili się w sobie nawzajem.

ROZPOCZAŁ SIĘ LEDWIE DRUGI TYDZIEŃ KWIETNIA, ALE SOBOTNIE SŁOŃCE prażyło mocno, więc owoce wielkopiątkowych wypieków Lucy mogły uatrak-

cyjnie podwieczerek urządzony w osłoniętym od wiatru ogrodzie. Simon i Grace pozwolili wznieść się towarzystwu na kolejny poziom epikurejskich rozkoszy, przynosząc doskonałego szampana, i wszyscy z radością świętowali wolny dzień i początek popołudniowego spotkania przy Starej Kaplicy. Max był zadowolony, bo cały ranek spędził z Lucy i ojcem na wycieczce rowerowej po okolicy. Chłopca — w przeciwieństwie do Alexa — zdumiało niewymownie, że Lucy jest niemal w lepszej formie niż on i ojciec, a ona sama cieszyła się w duchu, że od operacji spędziła tyle godzin na rowerze treningowym. Drażniła się z Alexem, że ma zamiar pobiec z nim i Courtneyem w barwach szpitala w następnym londyńskim maratonie.

Max potem bawił się z kolegą z miasteczka, a Simonowi w końcu puściły nerwy. Od momentu, gdy usłyszał o tym, co przydarzyło się Sian, nie mógł się doczekać wyjaśnień ze strony Calvina i chciał spróbować rozwiązać swoje wątpliwości teraz, zanim następnego ranka pojawi się u nich dziewczyna.

-Intryguje mnie coś jeszcze, Aleksie. Jak

możesz podchodzić do tego z takim spokojem? — Lucy wiedziała doskonale, że Alex miał w zwyczaju ostrożnie ważyć argumenty, zanim dokona pierwszego osądu, podczas gdy Simon raczej najpierw działał, a dopiero potem myślał o konsekwencjach. Ale i ona bardzo przejęła się krzywdą, która spotkała Sian. Instynktownie przybierała w stosunku do niej postawę opiekuńczą, przez co wzbierała w niej wściekłość na Calvina.

Alex dzień wcześniej wprowadził ojca w szczegóły napadu, więc i Henry mógł skomentować:

- Wygląda to bardzo niedobrze, Aleksie.

Jego syn skinał głową.

- Wiem. Ale nazajutrz byłem w jej mieszkaniu z twoim kolegą z Met i jego ekipą dochodzeniową, wtedy gdy Calvin przyjechał tam prosto z lotniska. Zobaczył cały ten bałagan i był zdruzgotany. Nie brał w tym udziału, możliwe nawet, że to on miał być ofiarą napadu. W każdym razie, niezależnie od tego czy zdawał sobie wcześniej z tego sprawę, czy nie, kocha Sian. Kiedy zobaczył ją w moim mieszkaniu, nie potrafił wykrztusić z siebie słowa. A potem, później... no cóż, był naprawdę opiekuńczy. Nie darzę go szczególną sympatią, ale muszę przyznać, że w tym momencie mnie zaskoczył.

- Nie możesz się z nim tak cackać, Aleksie! - wybuchł Simon, upuszczając niezgrabnie talerz na stolik. - Mam wielką ochotę wziąć stronę Willa i poprawić trochę robotę dentysty tego sukinsyna, niezależnie od głębi jego uczuć do

Sian. Może i ona chce mu wierzyć, ale ty jesteś na to zbyt rozsądny. Wiesz dobrze, w jakim parszywym towarzystwie się obraca! Mam nadzieję, że znajdą to, czego szukają, i okaże się, że naprawdę ciąży nad tym jakaś klątwa. Moją ulubioną historyjką biblijną jest ta, w której Arka Przymierza trafia do rąk Filistynów. I wszyscy dostają hemoroidów! To się nazywa sprawiedliwość.

Grace musiała wypluć łyk szampana na trawnik, a Alex wybuchł gromkim śmiechem.

- Okrutna kara, zwłaszcza przed wynalezieniem maści na hemoroidy! Ale mówiąc poważnie, Simonie, czuję w stosunku do Calvina to samo co ty, myślę jednak, że ze względu na wątpliwości, powinniśmy mu trochę odpuścić. Przynajmniej na razie. Spotkaliśmy się w szpitalu na lunchu i długo rozmawialiśmy. Załatwił sprawę z dokumentami tak szybko, jak tylko potrafił, a oni nie odezwali się nawet słowem, do momentu gdy...

- Nie powinni w ogóle dostać tych cholernych papierów - wtrącił rozgorączkowany Simon.

- Mam nadzieję, że teraz jest naszym

sprzymierzeńcem - dokończył spokojnie Alex, po czym spojrzał przyjacielowi w oczy wzrokiem, w którym nie było nawet cienia wątpliwości. - Zaufaj mi, Simonie. Calvin może się według mnie całkowicie mylić, jeśli chodzi o kwestie filozoficzne - jego przekonania

są dla mnie czymś absolutnie obcym — ale to autentycznie uduchowiony chłopak i nie mogę mu mieć tego za złe. Nie odpowiadają mi jego poglądy, ale on sam z pewnością jest człowiekiem myślącym, obdarzonym sumieniem.

-I uważasz, że kocha Sian? Jakoś nie odniosłam wrażenia, żeby specjalnie zabiegał o jej względy.

Lucy była zdenerwowana, ponieważ czuła, że może Alex im czegoś nie mówi.

-Co ciekawe, Lucy, ja też się nad tym zastanawiałem. Uważam jednak, że jest w niej zakochany. A biednej dziewczynie przydałoby się już z tym wszystkim skończyć, pożegnać się z tym, co minęło i spojrzeć w przyszłość. Wystarczająco się już nacierpiała. Powinniśmy ją w tym wesprzeć, i to tak mocno, jak tylko możemy.

Alex spojrzał na Henry'ego, który skinął głową.

Grace przysłuchiwała się tylko, popijając szampana, ale to ona w końcu sformułowała pytanie, które dręczyło wszystkich:

-Skoro tak bardzo dba o nią, Aleksie, to dlaczego się zwinął bez słowa? Bał się? I dlaczego zbył ją tak okrutnie, jeśli chodzi o wyprawę do Stanów? Była nią bardzo podekscytowana.

-Nie potrafię odpowiedzieć na twoje pytanie, Grace. Zgadzam się z tym, że odwołanie wyjazdu było szokujące. Ale profesor Walters i jego grupa przebywają w Jerozolimie z jakiegoś powodu - możemy zgadywać, że raczej nie wzbudziłby on naszej sympatii — a ja ufam Calvinowi i mam nadzieję, że wie, co robi, dołączając do nich. - Alex rozlał resztę szampana do kieliszków gości i nagle zmienił temat. — A co słyhać u naszych detektywów? Jak posuwają się prace nad „aktami Dee”? Jeżeli mamy wygrać wyścig, czas zabrać się do myślenia.

Alex coś przed nimi ukrywał, Lucy była tego pewna. Najwyraźniej jednak nie miał zamiaru nic więcej dodawać. Zastanawiała się nad tym przez chwilę i nagle zdała sobie sprawę, że nie usłyszała co mówi Henry. Spróbowała się skupić i złapać wątek.

- ...zabawny wieczór na kolacji z Johnem,

moim kolegą z dekanatu w Winchester. Podzielił się ze mną niezwykle interesującymi przemyśleniami na temat kolegów Simona z sekty Chrześcijańskich Syjonistów.

- O święci pańscy, Henry! - wtrącił się Simon.
— Proszę, nie nazywaj ich moimi kolegami.
Henry uniósł dłoń.

— Przepraszam, Simonie. Jak się zdaje, to rzeczywiście okropni ludzie. John wie bardzo dużo na ich temat i potwierdził każde twoje słowo. Dość powiedzieć, że nie podobają się mu ich uwarunkowane Starym Testamentem poglądy, oparte raczej na prorocत्वach niż odwołujące się do osoby Jezusa. Uważa, że ich nauczanie, jeżeli ktoś nad nimi nie zapanuje, może doprowadzić do powszechnej wojny na Środkowym Wschodzie, do krwawej łaźni. Bezwstydnie wykorzystują oni napięcia i niepokoje, stanowiące nieodłączny element postawy ludzi Zachodu wobec islamu. Modli się, by służby specjalne uważnie ich obserwowały. Polityka rapturystów, o czym zresztą mówiłeś, Simonie, zakłada totalny brak skrupułów w stosunku do reszty ludzkości. Opowiadają się za alternatywą: „dołącz do nas albo giń”. Johna niepokoi, że pewne grupy ewangelików — zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, i to w kręgach przerażająco bliskich Białemu Domowi - rozpowszechniają niektóre elementy swej pełnej przemocy, apokaliptycznej i raczej mało chrześcijańskiej teologii, w dodatku rekrutując nowych

wyznawców za pomocą niezwykle motywujących metod. Miejmy nadzieję, że twój kuzyn nie dał się złapać w ten sposób, Aleksie. Póki co chętnie posłuchałbym jednak o tym, w jaki sposób odzyskaliście dokumenty. Mieliście z tym jakieś problemy, Lucy?

— To było bardzo dziwne, Henry. Kiedy Alex powiedział nam, że Calvin był w Bostonie w tym samym czasie co Roland, mało nie dostaliśmy zawału. Okazało się jednak, że to fałszywy alarm. Rzeczy Willa przez cały czas leżały bezpiecznie w łofcie Rolanda. A on nam bardzo pomógł.

Lucy przypomniała sobie ich poruszające spotkanie, emocje, jakie w niej wywołało, i uśmiechnęła się do Alexa znacząco, w sposób, który mógł być zrozumiały wyłącznie dla niej.

— Był zrozpaczony, kiedy usłyszał o śmierci Willa - dodał Simon. - Nic nie wiedział; był przekonany, że Will wyjechał na rok do Meksyku albo Ameryki Południowej. Napisze do ciebie.

Henry ze smutkiem skinął głową. Wszystko to było dla niego bolesne, choć z drugiej strony

cieszył się, że uczestniczy w czymś, dzięki czemu w pewien sposób jest znowu blisko żony i syna.

— Ale nie miał przy sobie klucza, którego szukaliście?

— Obawiam się, że nie - odpowiedział Simon. - Nic o nim nie wiedział. Miał tylko przesyłkę i list od Willa, w którym ten prosił go o przechowanie jej tak długo, jak będzie trzeba. Do torby z aktami Will wsadził białą różę, która zdaniem Lucy pochodzi z ogrodu Diany.

Alex pograżył się w myślach, z pewną fascynacją odkrywając u Henry'ego nagły wzrost zainteresowania całą sprawą; teraz jednak spojrzał na Lucy.

-Białą różę? Symbol kobiecych sekretów. Myślę, że „róża” jest dla nas tak samo ważna jak liczba trzydzieści cztery.

-Podobnie klucze, jak sądzę - powiedziała rozentuzjasmowanym głosem Grace. - Kiedy byłaś pochłonięta pracą, Lucy - spojrzała na swoją przyjaciółkę - przejrzelśmy z Simonem arkusze i uważamy, że pierwsza strona traktuje o świętym Piotrze - „opoce” - który dzierży klucze do bram niebios. Jeden jest złoty, a drugi srebrny. Podobnie rzecz ma się z „Martą”, pojawiającą się dwie strony później - to siostra Marii Magdaleny, która według legendy udała się do Francji. Klucze były również jej atrybutem.

Alex otworzył na stoliku do herbaty skoroszyt ze skopiowanymi dokumentami i czysty zeszyt.

-Klucze do nieba są złote i srebrne? W takim razie nasza para musi być taka jak one. - Zanotował tę myśl w zeszycie i uporządkował arkusze. - Ozna

cza to, że najważniejsze jest teraz odnalezienie drugiego kluczyka, tego z rubinem. Być może nasze klucze otwierają właśnie bramę do nieba, ale w takim razie ciągle potrzebujemy srebrnego.

Alex prawie nie tknął szampana. Jego myśli płynęły gdzieś swobodnie.

-I ciągle go mamy - powiedziała Lucy. - Zapomnieli o nim, a ja im nie przypominałam!

Kiedy Alex sobie o tym przypomniał, zmartwił się nieco, ale ostatecznie skinął tylko głową i zagłębił się znowu w dokumentach.

-Przypuszczalnie „symbol naszego połączenia” znajduje się we Francji, jak Marta. Może w Chartres?

-A może w ogrodzie węzłów w LAigle? - podpowiedział Henry. — Węzeł symbolizuje małżeństwo lub wierność.

-Czyżby nasza rodzinna maksyma miała z tym coś wspólnego? - zapytał ojca Alex.

-„Wierni i Oddani”, Aleksie. W każdym razie wierny z pewnością nie był Henry Stafford, księżę Buckingham, który w czasie Wojny

Dwóch Róż zmieniał strony częściej niż wierzchowce. Ale naszym przodkiem był Humphrey — zawsze wierny Yorkom. Za panowania Henryka Tudora zapłacił za to życiem. Lucy, przypomniałaś mi ostatniego wieczoru o Staffordzie, który pełnił funkcję ambasadora we Francji - tym, który znał Giordana Bruno. Rano w bibliotece zajrzałem do historii naszej rodziny i okazało się, że mia-

łaś rację - chodziło o Edwarda, który rzeczywiście był naszym przodkiem. Ojcem chrzestnym jednego z jego synów był Jan Kalwin.

-Sam widzisz, Henry - powiedziała łagodnym głosem Lucy - że Staffordowie są w równym stopniu częścią tej historii co rodzina Dee.

Uśmiechnęła się do niego, czując, że Diana myślała o tym w ten sam sposób.

-Tyle że - podjął wątek Henry, obdarzywszy Lucy ciepłym spojrzeniem - węzeł łączący Kupida lub Wenus z Marsem symbolizuje więzy miłości, „wojnę poskromioną przez miłość”, jak uczyła mnie twoja matka, Aleksie. Pamiętasz, że po ukończeniu St Martins zrobiła dyplom z teorii sztuki na Sorbonie. To tam ją poznałem: pracowałem wtedy w NATO, w biurze komendanta żandarmerii wojskowej — wyjaśnił pozostałym.

Alex się zadumał. Pamiętał historię swoich rodziców oraz to, że jego przodkowie walczyli pod Bosworth po stronie białej róży. Czy to miało

jakieś znaczenie?

-Rodzinnym godłem Staffordów był węzeł i łabędź, tak?

-Oraz krzyż Świętego Jerzego. A pamiętasz węzeł gordyjski - spinki do mankietów w kształcie węzła, które twoja matka podarowała ci, kiedy skończyłeś studia?

Alex pomyślał, że chociaż przed śmiercią Diana przekazała klucz Willowi, również on był wpisany w jej rodzinną tajemnicę od samego początku. Spojrzał w milczeniu na ojca, skosztował ciasta, po czym podniósł arkusze.

-Białe róże Sian. Will był yorkistą, rycerzem „wiernym i oddanym”. Podstęp? A może kolejny wątek do prześledzenia? Lucy?

Lucy spojrzała na Alexa. Jego pytanie wyrwało ją z zadumy. Zastanawiała się właśnie nad tym, że na trzymanej przez nią w dłoniach filiżance — części serwisu do herbaty Diany - przedstawione są białe róże.

-Zaczynam rozumieć, o co chodzi w tych białych różach. Słoneczniki podążają za słońcem, ale białe róże budzą się

do życia dopiero wtedy, gdy dotknie ich światło księżyca. Myślę, że kiedy noc stanie się prawdziwym dniem, stanie się coś dziwnego - kobieta będzie znowu dzierżyć władzę. Jak królowa Elżbieta w czasach Johna Dee. Może to się dzieje już teraz, kiedy panuje Elżbieta II.

Słowa Lucy poruszyły wszystkich, a ona sama szybko podjęła wątek.

-Myślałam też o tym drugim tekście, o „kochliwym Henryku”, Henryku VIII, sześciokrotnie żonatym. - Roześmiała się. - Poczytałam trochę

o Elżbiecie i odkryłam, że jej matka, druga żona Henryka, nosiła wokół szyi „jelenia”. Uważano też, że potrafi się zamieniać w zającą. „Panny są majem w wieku panińskim” - to z *Jak wam się podoba*; i Anna Boleyn została stracona w maju, mając na sobie szarą suknię. Czy twoim zdaniem łamigłówka nawiązuje właśnie do tego? „Panią światła” była święta Łucja, a ja urodziłam się w lutym — miesiącu, w którym przypada Ofiarowanie Pańskie.

- W dodatku dokumenty „ujrzały światło dnia” w dzień twoich urodzin, trzeciego lutego, tutaj, w ogrodzie. Kolejna podróż, która rozpoczęła się trzydziestego czwartego dnia roku. - Alex nalał Lucy herbaty i zostawił na chwilę gości, żeby napełnić dzbanek. Kiedy wrócił chwilę później ze świeżą herbatą i starą, pożółkłą teczką w ręku, odniósł wrażenie, że wokół Lucy unosi się jakiś czar.

- Wracając do twoich słów, Aleksie, nie myślałam o tym w ten sposób.

- Kiedy usiadł z powrotem przy stoliku, Lucy spojrzała na niego z pewnym zakłopotaniem. - Księżniczka Elżbieta,

protektorka Dee, była dzieckiem Anny. I ona, i ja jesteśmy, że tak powiem, „córkami króla”. Moja sycylijska babka i angielski dziadek spotkali się w czasie wyzwolenia pod koniec wojny. To jemu zawdzięczam brytyjskie pochodzenie i angielskie nazwisko.

W oczach Alexa pojawił się uśmiech. Lucy rzadko opowiadała o swojej rodzinie, tego rodzaju szczegóły były więc dla niego ogromną gratką.

-Być może nasze poszukiwania dotyczą jednocześnie ich i nas? Jej i ciebie? Chciałbym jednak dorzucić coś jeszcze do tej mieszanki.

Siostra Anny, Maria Boleyn, miała syna i córkę, których ojcem prawie na pewno był Henryk VIII - choć oboje nosili nazwisko Carey. Syn Marii miał na imię Henry

-po królewskim ojcu - i został na dworze Elżbiety Lordem Szambelanem.

To on był mecenasem trupy Shakespeare'a.

-Oczywiście! Słudzy Lorda Szambelana - powiedział Henry.

-Henry Carey był więc bratem i jednocześnie kuzynem Elżbiety. Za to córka Marii Boleyn - siostra mecenasa Shakespeare'a - została obdarowana wszystkimi majątkami i ziemiami Longparish. Przed rozwiązaniem zakonów należały one do opactwa Wherwell. A więc ten dom - który należał do naszej rodziny od pokoleń, a którego historia zaczyna się od ufundowania kaplicy wotywnej — stał na ziemiach należących do niej. Była córką króla z nieformalnego związku.

Alex otworzył niewielką teczkę, którą przyniósł z domu, i ostrożnie wyciągnął z niej jakieś dokumenty.

Simon trzymał nieruchomo kieliszek.

-Z tego, co mówisz, wynika, że istniał pewien związek między twoją rodziną, potomkami Dee - a może nawet samym Dee - oraz grupą, w której kręgu, poprzez Lorda Szambelana, mógł się pojawić Shakespeare.

-Tak właśnie myślę, Simonie. Najprościej rzecz ujmując, chodzi o to, że siostra mecenasa Shakespeare'a była właścicielką tych ziem, domyślałam się więc, że podarowała ten dom - lub teren, na którym stoi - jednemu z moich przodków. Pytanie tylko dlaczego.

-Nie zapominaj o tym, że w katolickiej Anglii kaplica wotywna była miejscem świętym. - Grace przyjrzała się uważnie najstarszej części budynku. - Kaplica poświęcona odchodzącej duszy, miejsce, w którym dusza znajdowała bezpieczne schronienie.

-To prawda - powiedział Alex, który natychmiast zauważył, czemu przygląda się Lucy. - Ale chodzi o coś więcej.

Ostrożnie rozłożył poszarpane dokumenty, na które składało się kilka arkuszy papieru welinowego.

-Ojciec dał mi to wczoraj - wyjaśnił. - To

część aktów własności domu. Tutaj, na górze, możecie przeczytać nazwisko. — Wskazał ostrożnie odpowiedni wers, zapisany gęsto staroświeckim pismem, trudnym do odczytania dla dzisiejszych oczu. Grace zerwała się z fotela.

- „Nadane tą ręką...” - Pochyliła się nad Alexem, pragnąc mu pomóc, i przeczytała na głos: - „... w trzydziestym czwartym roku panowania Elżbiety, z Bożej łaski królowej Anglii, Francji i Irlandii...” - Grace podążyła za palcem Alexa i pominęła kilka słów. - „Mistrzyni Lanyer”. - W oczach Grace nagle pojawiło się zdziwienie. - Trzydziesty czwarty rok panowania Elżbiety przypadał na 1592 albo 1593 rok, Aleksie. Królowa objęła tron w 1558 roku.

Alexa wyraźnie zainteresowały słowa Grace.

- Jedną z najmocniejszych kandydatek na „czarną damę” z sonetów Shakespeare'a - wyjaśnił po chwili pozostałym - była kochanka Henry'ego Careya, Emilia Lannier. Jej panieńskie nazwisko brzmiało Bassano. Zajmo wała się muzyką, a jej rodzina pochodziła z Wenecji. Była egzotyczną ko

bietą o ogromnej inteligencji i wspaniałej urodzie,
napisała też później poemat epicki oczyszczający z zarzutów Ewę.
Polubiłabyś ją, Lucy. - Alex był podekscytowany. — Mogła nasycić poglądy
Shakespeare'a silnie feministyczną perspektywą w miejscach, w których tego
potrzebował, oczywiście jeżeli rzeczywiście miała dostęp do jego ucha, a on do
jej względów, jak twierdzą niektórzy historycy.

-Jak ci się udało dojść do tego wszystkiego? — zapytała Lucy niemal zrozpaczona.

-Dopiero wczoraj zorientowałem się, że jedną z książek ukradzionych w czasie włamania było stare, bardzo cenne wydanie poematu Lannier. Ten dom mógł mieć z nią jakiś związek, być może chodziło o zapis Henry'ego Careya dokonany za pośrednictwem jego siostry, która była właścicielką tych ziem? Akta własności wydają się to potwierdzać, choć zawierają kilka irytujących luk, jeśli chodzi o inne okresy.

-Aleksie, myślałam, że pochłaniają cię nauki ścisłe. - Grace, wyczerpana podnieceniem, opadła z powrotem na fotel i zaczęła odkrawać dla siebie i Henry'ego po kawałku ciasta cytrynowego. Dobry nastrój znowu z niej wykipiał. - A tu się okazuje, że nie jesteś wcale taki zły z historii czy raczej z literatury.

Alex roześmiał się nieco zawstydzony.

-Niezupełnie, Grace. Jako dziecko byłem jedynym wyznawcą nauk ścisłych w całej naszej artystycznej rodzinie. Musiałem przynajmniej próbować jakoś nadażyć za resztą. Od chwili kiedy z Willem nauczyliśmy się siedzieć cicho,

mama brała nas na niezliczone przedstawienia Shakespeare'a. Jeśli więc chodzi o moje wykształcenie, to wprawdzie mógłbym mieć pewne kłopoty z Kubusiem Puchatkiem albo Alicją, ale w Globe bez problemu radzę sobie bez programu. Poza tym — dodał — w ciągu ostatnich paru tygodni nadrobiłem sporo zaległości, zresztą jak my wszyscy.

-Nie słuchaj go, Grace - roześmiała się Lucy, którą nagle uderzyło, jak wiele po doktorze Johnie Dee odziedziczyli jego praprawnukowie. - Alex zna się na poezji tak dobrze jak ja. Ale ja nie mam zielonego pojęcia o komórkach macierzystych.

Ojciec Alexa siedział w milczeniu. Zamknął oczy i wygrzewał się w ciepłym, nietypowym o tej porze roku słonecznym blasku. Nagle uśmiechnął się zagadkowo.

-Z mojego doświadczenia wynika, Lucy, że osoby zajmujące się naukami ścisłymi wiedzą o wiele więcej o sztuce niż my, humaniści, na temat ich dyscyplin. Lepiej jednak nie stawiaj go na piedestale. Alex nie lubi wysokości.

Słowa Henry'ego były trochę niejasne i Lucy nie była pewna, co miał na myśli. Czy to Anna umieściła Alexa zbyt wysoko na piedestale, tak że po prostu musiał z niego upaść?

-Każda z tych interpretacji może być prawidłowa - kontynuował Henry. - Królowa Elżbieta, Lucy i Katherine Carey. Poza tym, jakież byłoby to

intrygujące, gdyby Szekspirowska „czarna dama” łączyła się jakoś z tym domem. Twojej matce bardzo by się to spodobało, Aleksie, i mogła o tym wiedzieć. - Henry poczuł ogromny żal, że aż do tej pory nigdy nie był zbyt wysokiego zdania o fascynacjach dzielonych przez pozostałych członków jego rodziny. - A co ma wspólnego z naszą zagadką „maj”?

-Uważam, że ważną rolę pełni w niej czas - rzekł Alex i spojrział z powagą na otaczające go zamyślane twarze. - Simonie, jesteś dzisiaj dziwnie milczący.

Simon rzeczywiście prawie w ogóle się nie odzywał, co w jego wypadku było dosyć dziwne. Odpowiedział jednak Alexowi obojętnym tonem.

-Tak zamyśliłem się nad tymi wszystkimi nowymi informacjami, że o mało o czymś nie zapomniałem. Razem z Grace odkryliśmy związek między twoją magiczną liczbą a tekstem, który rozpoczyna się od słów: „Ręką ogiera pochwyciła wodze”. To trzydziesty czwarty wers z *Wenus i Adonisa* Shakespeare'a. Lucy pokazała nam nawiązania do tej pary kochanków w kilku

tekstach. — Simon przerwał, by przeczytać na głos fragment odpowiedniej strony. - Zauważyliśmy jednak coś dziwnego. Obraz *Wenus i Adonis* w National Gallery - Grace ma z sobą reprodukcję - jest tam skatalogowany jako NG34. To trzydzieste czwarte dzieło zakupione przez Galerię na początku dziewiętnastego wieku. Pokazano na nim słabnącą miłość między Filipem a Marią Tudor, a Maria była również córką Henryka VIII. Wenus błagała Adonisa, by nie udawał się na polowanie, co jak rozumiem, miało oznaczać pragnienie, by Filip nie zbłądził.

-Z jej siostrą, Elżbietą! - Grace wyciągnęła ze stojącego obok koszyka pocztówkę z obrazem i pokazała ją wszystkim. Simon przekazał ją najpierw Lucy i Alexowi, a potem Henry'emu.

-Wersy poematu można było oczywiście policzyć później — powiedział. - Ale w jaki sposób pod koniec szesnastego albo na początku siedemnastego wieku, na dwieście lat przed zakupieniem obrazu, ktoś mógł wiedzieć, że zostanie on opatrzony numerem NG34?

Wszystkie cztery pary oczu wpatrzyły się w niego, a Alexowi wymknął się sceptyczny

uśmiech.

-Równie dobrze mógłbyś dodać, że do ojczyzny Filipa, Hiszpanii, wykręca się dzisiaj numer kierunkowy trzydzieści cztery!

Zbieg okoliczności był absurdalny, ale mimo to cudowny. Na pewnym poziomie tego rodzaju skojarzenia mogły wywoływać pytania natury egzystencjalnej. Czyżby życie aż do tego stopnia kopiowało sztukę?

Lucy postanowiła rozwinąć myśl.

-Świetne! Połączmy to jednak z poprzednim tekstem. „Gdzieżem śpiącą ją pozostawił?” Naprawdę współczuję Ariadnie, śpiącej damie, zostawionej na Naksos przez Tezeusza. Tycjan namalował ją, jak obserwuje odejście Tezeusza, ale jednocześnie sięga dłonią do Dionizosa czy Bachusa. Jego Ariadna nie musi umierać, bo dzięki życzliwości Trzech Mojr otrzymuje nowe serce

-ułaskawienie. Za uratowanie mężczyzny z labiryntu zostaje podniesiona do rangi bogini. Ten obraz również jest jednym z najcenniejszych dzieł w zbiorach National Gallery i wydaje mi się, że może posłużyć za rozwiązanie za gadki zawartej w tekście.

Alex przerzucił kilka kartek i znalazł interesujący go arkusz, po czym zaznaczył coś na nim ołówkiem i położył go obok tych, o których właśnie rozmawiali.

-Piąty od końca? A co z tym dotyczącym Styksu? Można tam znaleźć kolejne nawiązanie

do Wenus i Adonisa, my jednak z Lucy w czasie naszego rejsu nazwaliśmy Styksem Tamizę, musieliśmy też się opłacić przewoźnikowi i przebrnąć przez kostuchę. - Alex odwrócił się do ojca, by przybliżyć mu kontekst całej historii. - Mój szpital świętował tak Halloween.

-Aleksie - zapytała Lucy. — „Niebiańska światła bogini" i człowiek, który „może w rzeczywistości do Wysp Szczęśliwych Duszy się przedostać..."

-Wszyscy czekali, aż wyjaśni swój pomysł, ona jednak nie była w stanie wyrazić tego, co miała na myśli. Było to coś bardzo dziwnego. Przypomniała sobie łomot w sercu, który poczuła, kiedy zobaczyli dziwną barkę. Nagle zrozumiała, że wydarzyło się to w czterdzieści dni i nocy po jej operacji, po śmierci Willa. Jak w wypadku Chrystusa na pustkowiu, Mojżesza na górze Synaj czy egipskiego okresu oczyszczenia mumii, był to czas, w którym dusza pozostawała w otchłani. Czy chodziło o to, że jego serce zostało z nią, a du

sza udała się właśnie wtedy na Pola Elizejskie? -
Cały dokument jest naszą
kroniką - wyjaśniła tylko.

Odpowiedź Alexa zaskoczyła ją. Uśmiechnął
się łagodnie.

- Tak. Rzeczywiście — powiedział.

Dla Lucy było to dosyć głębokie przeżycie,
wywołujące w niej bardzo osobiste emocje.
Potrzebowała przestrzeni, kiedy więc Grace
zaczęła zadawać Alexowi kolejne pytania na
temat kobiety, która była właścicielką tych ziem,
uciekła poszukać schronienia w kuchni Diany,
pozornie po to, by zrobić świeżej herbaty i kawy.
Zakręciło jej się jednak w głowie. Kiedy czajnik

powoli dochodził na ogniu, Lucy weszła do niewielkiego, przylegającego do salonu pokoiku Diany, nie czując się zresztą ani trochę intruzem. Na biurku, z powrotem umieszczonym w najważniejszym miejscu, stał portrecik szesnastowiecznej damy w pięknym gorsecie ozdobionym drzewami, owadami i jeleniami. Lucy podniosła go i wpatrzyła się w ciemną piękność, zastanawiając się, kim była i czego dowiedzieliby się z jej historii, gdyby udało im się ją poznać.

Czajnik ciągle jeszcze nie zaczął gwizdać, Lucy weszła więc do innego pokoju i usiadła przy laptopie Alexa, przy którym dzień wcześniej zacieśniała znajomość z Maxem. Wpisała do wyszukiwarki: „Emilia Lannier, 1592”. Na ekranie pojawiły się różne pisownie nazwiska poetki. Oczy Lucy zaczęły błędzić po pewnym fragmencie tekstu, który natychmiast przyciągnął jej uwagę. Pobiegła szybko do kuchni i niemal oparzyła sobie dłoń, przelewając w pośpiechu wrzątek, po czym podekscytowana popędziła z powrotem do ogrodu.

- Akuszerką Adonisa była Lucina - opowiadał

Henry Grace. Kiedy
czytał tekst widniejący na zaznaczonej stronie,
okulary podskakiwały mu na
nosie. — Uwolniła go z potrzasku w świętym
drzewie mirry, podobnie jak
Prospero Ariela z sosny.

Nagle wszyscy spojrzeli na Lucy, która
postawiła na stoliku oba dzbanki.

- O co chodzi? - zapytał Simon.

- Myślę, że - powiedziała z błyskiem w oku —
na portrecie, który wam ukradziono i zwrócono,
widnieje Emilia, piękna kochanka Lorda Szambe-
lana.

Alex dopiero niedawno dowiedział się, w jaki
sposób i na czyje polecenie zwrócono im
portrecik; nikomu nic o tym nie mówił. Rozparł
się w swoim wyplatany fotelu i z wyrazem
zaskoczenia na twarzy skrzyżował na piersiach
ręce.

- Słuchamy.

- Była Czarną Damą czy nie, jedno jest pewne:
w 1592 roku zaszła w ciążę z Lordem
Szambelanem i znalazła się w trudnym położeniu.
Pośpiesznie wydano ją za muzyka o nazwisku

Lannier, choć swojego syna nazwała Henry, imieniem jego prawdziwego ojca. Czy nie byłby to wymarzony moment, by sprawić jej prezent w postaci parceli na jakiejś odległej, rzadko odwiedzanej przez nieznajomych ziemi, która w dodatku, znamienne, należała nie do Lorda Szambelana, ale do jego siostry?

—To trzydziesty czwarty rok panowania Elżbiety - zgodził się Alex. — Ale w takim razie w jaki sposób ziemia trafiła ostatecznie do nas?

-Być może istnieje jakieś ogniwo między nią a Shakespeare'em, Johnem Dee lub którymś z jego dzieci - podsunął Simon.

-Ona wiedziała wszystko - stwierdziła Lucy. - I być może „zapis” w dokumencie, na który patrzycie, jest duchowej natury i zawiera się w nim również portret. Myślę, że Lannier miała jakiś związek z kręgami bliskimi Dee.

Słowa Lucy spowodowały, że Alex nabrał ochoty nakierować rozmowę na coś, co bardzo go intrygowało, i co było trochę mniej osobiste.

-W tym samym tekście, Lucy, znajduje się wskazówka, o której wspomniałem tobie i Simonowi przez telefon — powiedział. - Chodzi o słowa traktujące o pierwiastku księżycy, miniaturach i emaliach. - Przekazał Lucy arkusz. - Pierwiastkiem księżycy jest w pewnym sensie kobieta, zagadka dotyczy jednak pierwiastka selenu. Używa się go przy konstrukcji świateł dro

gowych i emalii, wykorzystując jego delikatną błyszczącą fakturę. Znajduje on również zastosowanie we współczesnej medycynie, ponieważ jak się zdaje, pełni istotną funkcję w procesie zapobiegania niektórym formom raka oraz co najważniejsze, wpływa pozytywnie na układ odpornościowy. Przed nami jeszcze długa droga, ale właśnie rozpoczynamy testy, które mają wykazać, czy nie może on jakoś pomóc w leczeniu pacjentów z wirusem HIV. Najdziwniejsze jest to - powiedział, marszcząc nieco brwi — że selen jest trzydziestym czwartym pierwiastkiem według tablicy Mendelejewa, która oczywiście w czasach Dee jeszcze nie istniała.

-Może opowiedział mu o niej anioł? - wtrąciła Lucy, unosząc brew.

Alex się roześmiał.

-Nasuwa się pewne pytanie, prawda? Kto tak naprawdę napisał te teksty? Dee? A może powinniśmy założyć, że druga ich partia została dodana przez kogoś innego, żyjącego w

późniejszych czasach? Być może każde kolejne pokolenie kobiet z rodziny mamy dodawało coś od siebie? Z pewnością ona dorzuciła ten ostatni tekst. Było ich siedemnaście, plus kwadrat numeryczny wyryty na płytce; tyłu też - plus tablica Jowisza - doliczyliśmy się w pierwszej partii.

- Wyraźnie zmierza to w stronę kompletu - dodał Simon.

- Czyżby właśnie nadeszła, jak by powiedział Lear, „pora”? Po czterystu latach w tej właśnie chwili zbliżamy się do odpowiedzi — podpowiedział Alex.

- A liczba siedemnastu kobiet i ich partnerów, Aleksie - zakładając, że masz rację i każdy tekst odpowiada nowemu pokoleniu — oznacza, że potrzebne były trzydzieści cztery osoby, żebyście ty i Will mogli pojawić się na świecie. - Lucy nie chciała dodawać nic więcej, ale w głowie poczuła jakiś ciężar, a w sercu dziwne wzburzenie, coś w rodzaju nie takiej znów nieprzyjemnej palpacji. Wszystkie wydarzenia, pomyślała, musiały ułożyć się właśnie tak; i właśnie tak się ułożyły. Śmierć Willa, jej życie: była jego ratunkiem i zmartwychwstaniem, mówiąc w przenośni, a on był dla niej tym samym. Poza oczywistym znaczeniem tekstów podpowiadało to sens, który zrozumieć mogli tylko Alex i ona. Gdzieś w nich musiało się jednak znajdować również odniesienie do współczesnych czasów; powód, dla którego wszystkie dokumenty i idee ujrzały światło dzienne właśnie w tym momencie. Była pewna, że zastanawiali się nad tym również rapturyści, co zresztą oznaczało, iż bez wątplenia byli zamieszani w sprawę.

- TO BAB EL RAMEH, CALVINIE - RZEKŁ FITZALAN

WALTERS, KIEDY SPOJRZELI na złote kamienie starożytnej budowli. Promienie popołudniowego słońca rzucały jaskrawy blask na jej płaszczyznę, tworząc różowo-złotą poświatę nad rzymskimi łukami wypełnionymi teraz gładkimi blokami kamieni. - Znane również, jak mniemam, jako Brama Miłosierdzia. Według starej żydowskiej tradycji, to przez nią Mesjasz wkroczy do miasta.

Choć przez ostatnie dwa dni Calvin zwiedził wiele świętych miejsc i oglądał mnóstwo zabytków, symetria i piękno starożytnej bramy wywarły na nim ogromne wrażenie. Za świętą uznawały ją trzy religie; ona sama przez wieki była świadkiem nieprzerwanej procesji dramatycznych wydarzeń, kształtujących historię człowieka. Calvin miał na sobie zbyt grubą jak na ten klimat koszulę, i po dniu wypełnionym kwietniową spiekotą po karku spływały mu krople potu. O tej porze powietrze zrobiło się jednak nieco chłodniejsze, a w mieście - opanowanym przez tłum pielgrzymów przybywających na obchody tygodnia paschalnego i świąt wielkanocnych - panował względny spokój, ponieważ tłumy wiernych

zdażyły się już rozejść po rozrzuconych po wielkim mieście synagogach i kościołach. Calvin poczuł się głęboko wzruszony: znajdował się w miejscu, które z jednej strony było naznaczone wspaniałą historią i pięknem, z drugiej — bólem i licznymi konfliktami.

-To właśnie przez Złotą Bramę - czy Bramę Miłosierdzia-Jezus po raz ostatni wjechał do Jerozolimy. Następnym wydarzeniem w proroczym Bożym planie

będzie wyłuskanie w obecności Pana wszystkich Świętych. A jeżeli teksty aniołów Dee mówią prawdę, odbędzie się to tutaj, jutro, w niedzielę wielkanocną.

W głosie F.W. palił się zapal, który profesor rezerwował na wielkie miejsca i jeszcze większe okazje; Calvin zauważył, że jego towarzysz, choć ubrany w nieskazitelnie czystą marynarkę i z kapeluszem panama na głowie, wydawał się zupełnie odporny na działaniu upału i ani odrobinę się nie spocił.

W pewnym oddaleniu od obu mężczyzn, pragnąc zapewnić im poczucie przestrzeni, stał Guy; ale słysząc słowa profesora, podszedł do nich o krok i powiedział:

- Amen. Ponieważ to jest alfa i omega, EW., tu, w Jerozolimie. Tutaj umarł on, i tu wróci do nas.

- A wszystkie znaki wskazują na datę kwietniową - powiedział poważnym tonem EW. - Me serce drży na samą myśl o tym. Czy tu już jutro będziemy świadkami przybycia białego konia i otwarcia niebios? Czy Jezus zstąpi, by zabrać swą oblubienicę, wszystkich nas, wiernych, którzy narodziliśmy się dla niego na

nowo?

Calvin założył z powrotem okulary przeciwsłoneczne i jeszcze raz przyjrzał się gmachowi, starając się trzymać oczy nie tylko z dala od intensywnego światła, ale i od stojących obok niego mężczyzn.

-Koran nazywa ją Bramą Miłosierdzia, prawda? - zapytał. - Przez którą w Dzień Sądu wkroczy sprawiedliwość?

Ale EW. był już znacznie dalej.

-Odziany jest w szatę we krwi skąpaną, a imię Jego nazwano: Słowo Boga - powiedział poruszonym głosem, cytując swą ulubioną Apokalipsę. Calvin, pomimo słońca, zadrzał.

POPOŁUDNIE ZACZEŁO SIĘ ZAMIENIAĆ W WIECZÓR, KIEDY PO WIELU PODSUWANYCH kolejno rozwiązaniach i odrzucanych lekceważącym wzruszeniem ramion pomyłkach udało im się nieco zmniejszyć leżący przed nimi stos starych zapisanych łamigłówkami stronic. Lucy postanowiła zapytać Alexa o bibliografię.

-Macie gdzieś pewnie dzieła

zebrane Shakespeare'a? Alex
poszedł po książki.

- I atlas - krzyknął za nim Simon. Alex ruszył
biegiem.

W domu poświęcił chwilę, by zajrzeć do
chłopców oraz wyciągnąć swetry i kurtki; kiedy
wracał, usłyszał, jak Lucy zadaje jego ojcu
interesujące pytanie.

- Kim była Dydona, Henry? Co udało jej się zobaczyć?

- Kiedy Eneasza opuścił Dydonę, a ona rzuciła się na żałobny stos, Juno nie zrobiło jej żal, wysłała więc za pomocą tęczy Irydę, by uwolniła duszę nieszczęśnicy, odcinając jej pukiel włosów. Dydona zobaczyła tęczę. Idea duszy ludzkiej, opuszczającej ciało dzięki przedmiotowi, którego może się uczepić, była w świecie klasycznym szeroko rozpowszechniona, a tęcza stanowiła pomost ku wyższej mądrości oraz inicjacji do raju.

- Newton rozpatrywał ją jako symbol ikoniczny. - Kiedy Alex pomagał Lucy włożyć za duży sweter, ich oczy się spotkały. Oboje zostali razem wprowadzeni w ów symbol wyższej mądrości, a on zaczął się zastanawiać, czy przedmiotu, który Lucy wydobłała spod drzewa, rzeczywiście nie zamieszkiwała czyjaś dusza.

Przez pewien czas wszyscy pograżyli się we własnych myślach i dociekaniach. Nagle Lucy, która zajęła się jednym z tomów dzieł Shakespeare'a, podniosła podekscytowany wzrok.

- W kilku tekstach powtarzają się wersy z

trzydziestego czwartego so
netu, końcowy dwuwiersz: „Ach! Lecz te łzy to
perły, przez miłość twą suto
sypane”.

Krag osób o skoncentrowanych twarzach
wsłuchiwał się w jej słowa.

Również Simon trafił na żyłę złota w swoim
atlasie, w którym prześledził przebieg
trzydziestego czwartego południka i
równoleżnika. Naszła go pewna myśl,
opowiedział więc pozostałym, że już w czasie
wspólnej wycieczki z Lucy do Nowego Jorku
skojarzyli sędziwego marynarza, płynącego na
południe „do równika”, z Sydney.

- I rzeczywiście, na trzydziestym czwartym
równoleżniku szerokości
geograficznej południowej leży Zatoka
Botaniczna, zwana dawniej Zatoką
Płaszczek, miejsce urodzenia Lucy.

Lucy właściwie nic już nie dziwiło, podobnie
zresztą jak pozostałych. Zaczęła się jednak
zastanawiać nad innym problemem. Postanowiła
się nim podzielić.

- Jak myślicie, czy nie wynika z tego, że

miejsce, w którym zakopany jest tak zwany dzban złota, czyli koniec tęczy, znajduje się poza Anglią? Czy Dee, czymkolwiek był ten dzban, nie ukrył go gdzieś w czasie którejś ze swych zagranicznych podróży?

- Masz rację, Lucy. Możemy pójść tym tropem - powiedział Alex. - Ale liczba trzydzieści cztery czai się za każdym słowem, pojawia się w każdym

tekście. Jeżeli nie znaleźliśmy jej wszędzie, jest to wyłącznie kwestia naszego niedopatrzenia. Mamy Wenus i Adonisa oraz Ariadnę. Znaczący może być miesiąc maj; przez łamigłówki przewija się też motyw róży. W pierwszym arkuszu - kopiowanym i przekazywanym przez wszystkie pokolenia - rozwiązaniem zagadki jest „William Shakespeare”. A róża moim zdaniem funkcjonuje tutaj jako niemalże homonim łacińskiego *ros*, czyli „rosy”, jednego z podstawowych składników w alchemii. W książkach Willa poniżej symbolu „monady”, przypisywanego Johnowi Dee, znalazłem słowa: „Bóg obdarzy cię rosą niebios i obfitością ziemi”. Alchemia była najważniejszym z wszystkich obszarów zainteresowań Dee.

— Uważam jednak, Aleksie - powiedział Henry, odkładając na bok czytaną przez siebie kartę - iż najważniejsze w różach jest to, że oznaczają kobiece piękno i siłę. Ich kształt przypomina o kobiecym powabie i regeneracyjnej seksualnej mocy. Podejrzewam, że miały sugerować optymistyczny, pozytywny aspekt kobiecości. Ja też trochę w tym tygodniu

czytałem i dowiedziałem się, że królowa Elżbieta - również Panna - w kręgu Dee i swoich wyrafinowanych dworzan była znana jako Astrea, bogini sprawiedliwości z okresu Złotego Wieku. Po jego zakończeniu bogowie i same niebiosa znalazły się na ziemi. Być może - wiele na to wskazuje - Dee spodziewa się nowego złotego wieku, który powinien wkrótce nastąpić pod panowaniem któregoś z następców Elżbiety.

Spojrzał na syna i Alex poczuł, że to co mówił, miało ogromne znaczenie; rozmowę uciął jednak wkrótce dzwonek telefonu - jego własnej komórki. Odebrał rozmowę w domu, a kiedy wrócił, na jego twarzy pojawił się wyraz zatroskania.

Lucy nie miała pojęcia skąd, wiedziała jednak, że dzwonił Calvin i że Alex nic na ten temat nie powie. Czy jednak problem rzeczywiście polegał tylko na tym, że nikt z obecnych nie lubił jego krewniaka?

Dochodziła szósta i zaczęło się robić zimno, Alex przełożył więc resztki podwieczorku na tacę i zawołał chłopców, by odprowadzić gościa Maxa do domu. Grace i Simon narzucili na siebie cieplejsze ubrania i poszli na spacer do ogrodu;

Henry nie odrywał się od Shakespeare'a, a Lucy, z głową pełną myśli o boginiach, wybrała inną dróżkę i również postanowiła się przejść. Zamarudziła trochę obok drzewa morwy, na którym nie zdążyły się jeszcze pojawić pąki, czując, że coś ją do niego przyciąga. Uklękła, zadumała się i zobaczyła w myślach odzianą w rękawiczkę kobiecą dłoń, która zamyka się wo-

kół czegoś pulsującego - być może ptaka? Obraz wywołał w niej niepokój, ale nie odpychał jej od siebie. Odwróciła się, spojrzała na ścieżkę i zaczęła zbierać kwiaty. Zerwała garść pachnących narcyzów, z zamiarem postawienia ich w pokoju, który dzieliła z Alexem, co zresztą przypominało jej dni tuż po operacji; następnie rozejrzała się za wczesnymi zawilcami, którymi chciała przyozdobić pokój Sian. Zrywała je, kiedy nagle, jakby w momencie iluminacji, jej myśli utorowały sobie drogę do ust.

-Aleksie, rozumiem!

W jej okrzyku brzmiało tak silne przekonanie, że wszyscy do niej przybiegli. Wyjaśniła.

-Nie chodzi o trzydziesty czwarty stopień długości czy szerokości geograficznej, przynajmniej moim zdaniem. To czas pełni podstawową rolę. Alex zauważył, że moje urodziny przypadają na trzydziesty czwarty dzień roku. Zaczęłam się więc zastanawiać. Trzydziesty czwarty stopień zodiaku oznacza czwarty stopień Byka - znaku przypadającego na kwiecień i maj, oznaczającego też Minotaura.

-Czyli labirynt - zgodził się Alex.

-Słońce wchodzi w znak Byka dwudziestego trzeciego lub dwudziestego czwartego kwietnia — kontynuowała Lucy — w zależności od dokładnej wartości stopnia w konkretnym roku. W jednym z tekstów znaleźliśmy pytanie, czym są mężczyźni w czas zalotów. Są kwietniem, a grudniem po ślubie - to z *Jak wam się podoba*. Zastanówmy się teraz: dwudziestego trzeciego przypada dzień Świętego Jerzego. Było to początkowo święto pogańskie, dzień Zielonego Jerzego. A w języku łamigłówek „zielony” oznacza drugie imię Izydy - jako drugi kolor tęczy.

Oczy wszystkich wbiły się w Lucy; malowało się w nich pełne napięcia oczekiwanie, by wyjawiała swoje odkrycie.

-Henry, w herbie rodzinnym Staffordów znajduje się krzyż Świętego Jerzego, prawda? - Henry potwierdził, a Lucy zapytała po prostu: - Czyją „alfa” i „omega” był dzień Świętego Jerzego?

Lucy wyraźnie prowokowała ich, by podążyli jej tokiem myślenia.

Alex przekrzywił głowę. Ogromne brązowe

oczy Lucy wirowały i pojawił się w nich iście hipnotyczny wyraz - Alexowi bardzo spodobała się bijąca z nich siła.

- Williama Shakespeare'a, oczywiście! To naprawdę niesamowite, Lucy. I jeszcze ten tekst, który mama napisała własnoręcznie: „Byk 4, pod tęczą

złota dzban". Chodzi pewnie o symbol sabiański - osobisty symbol sabiański Shakespeare'a, oznaczający stopień dnia jego urodzin.

- Sabiański symbol? - zdziwiła się Grace.

- Opracował je Marc Edmund Jones w latach dwudziestych ubiegłego wieku, Grace. Każdemu z trzystu sześćdziesięciu stopni zodiaku przypisał jakąś frazę lub rysunek, intuicyjne odzwierciedlenie indywidualnego znaku. Mama miała książkę na ten temat.

Wszyscy zagłębili się we własnych myślach. W końcu Henry wyartykułował pytanie, które sobie zadawali.

- W takim razie gdzie powinnaś się znaleźć dwudziestego trzeciego kwietnia i co się stanie?

Ale dopiero dwie godziny później Max - wymigując się tym samym od nakrywania do stołu - piskliwym z podniecenia głosem zawołał Lucy i ojca. Chłopak układał w laptopie zeskanowane z rewersów wszystkich dokumentów rysunki, łącząc z sobą obrazy poprzez dopasowywanie linii labiryntu. Kiedy skończył, labirynt ukazał się oczom wszystkich gości i

gospodarzy w całej okazałości. A z jego wnętrza bez najmniejszych wątpliwości spoglądała na nich twarz pewnego człowieka.

-No cóż — uśmiechnął się Alex. -
Najwyraźniej człowiek ze Stratfordu
usiłuje nam coś powiedzieć.

PUB BYŁ JUŻ ZAMKNIĘTY, A ZEGAR KATEDRALNY WYBIŁ WPÓŁ DO JAKIEJS NIEOKREŚLONEJ godziny. W przyciemnionym świetle ledwo można było dostrzec dwie męskie postaci wyłaniające się z kwietniowej mgiełki na końcu uliczki prowadzącej na tyły opactwa pod wezwaniem pierwszego angielskiego męczennika, świętego Albana. Jeden z mężczyzn dźwigał podrózną torbę. Obaj przemknęli jak duchy przez ulicę znaną jako Holywell Hill. Drugi z nich wyciągnął z kieszeni płaszcza klucze i otworzył drzwi do sklepu z ceramiką. Wokół nie było widać żywej duszy i mężczyźni, nienękani przez nikogo, weszli do budynku. Wyłączyli alarm, pozostawiając jednak wewnątrz pogrążone w ciemnościach.

W mroku trudno było rozeznąć, że pomieszczenie jest wypełnione okrągłymi stołami - przy każdym z nich stało po kilka krzeseł, a na blatach leżały zestawy wymalowanych garnków oraz gałązki, którymi garncarze zdobili swoje dzieła, zanim wkładali je do pieca. Drzwi i okna w przedniej części sklepu zostały wymienione - prawdopodobnie w minionym stuleciu. Wpuszczały do s'rodka trochę żółtawego światła, odsłaniając pomieszczenie oczom potencjalnych klientów spacerujących wzdłuż Holywell Hill.

Na lewo od drzwi wejściowych stało biurko i kasa sklepowa, a drzwi z tyłu otwierały się na kolejne przejście i być może dalsze pokoje, oddzielone ścianą. Wzdłuż tej ostatniej stały trzy rozkładane regały z drewna sosnowego, obciążone nieglazurowanymi naczyniami, oczekującymi na natchnienie garncarzy. Za półkami rozciągała się prosta ściana obłożona solidną osiemnastowieczną boazerią o łagodnym, miodowym odcieniu - jak się okazało, kiedy padł na nią strumień światła z zapalanej na

chwilę latarki. To włas'nie boazeria bardziej niż cokolwiek innego przykuła uwagę intruzów.

Mężczyźni skupili się na ścianie. W milczeniu sprawnie opróżnili półki, starannie odkładając na stoły zgromadzone na nich przedmioty. Przedzierające się z ulicy s'wiatło rzucało na nich upiorną, rozżarzoną lunę, roztańczonym echem odbijającą się na s'cianie w postaci cieni. Kiedy półki były już puste, mężczyźni ostrożnie odsunęli je od boazerii, ustawiając je w coś w rodzaju parawanu, skutecznie maskującego przed oczami potencjalnych ciekawskich to, co działo się za nim.

Zdjęli płaszcze i powiesili je z tyłu segmentów, by zasłonić światło, które mogłoby ich zdemaskować. Jeden z nich znowu włączył laserową latarkę i wyjął z walizki starannie owinięty zestaw narzędzi. Odwinął go i umieścił na podłodze obok kolejnej niewielkiej laserowej latarki oraz obłożonego gumą obijaka. Obaj mężczyźni włożyli rękawiczki. Żaden się nie odzywał. Wyższy uważnie obserwował, co się dzieje za oknem.

Jeden z mężczyzn skoncentrował się

całkowicie na boazerii. Wybrał z zestawu narzędzi długi nóż o wąskim ostrzu i przebiegł po panelu od jednego końca do drugiego najpierw dłońmi, potem ostrzem, wreszcie strumieniem z latarki. Zawahał się, po czym wetknął nóż w drewno i przesunął nim wzdłuż miejsca, w którym łączyły się dwa fragmenty boazerii. Wreszcie trafił na coś twardego. Wysunął nieco ostrze, omijając przeszkodę, po czym wcisnął go jeszcze raz i znowu zaczął go przesuwać wzdłuż łącza, aż w końcu opór stawiała mu kolejna przeszkoda.

W panujących wokół niemal całkowitych ciemnościach musiał zagwizdać cicho na swojego towarzysza, który stał nieco z boku; po chwili skupił się na panelu umocowanym powyżej tego, nad którym pracował wcześniej. Powtórzył poprzednie czynności. Nóż znowu trafił na przeszkodę, ale tym razem mężczyzna zamiast ją omijać, przycisnął mocno. Ostrze nagle zagłębiło się w drewnie i dał się słyszeć głośny trzask. Położone niżej panele odskoczyły od ściany i upadły prosto pod stopy mężczyzny. Ten natychmiast zgasił światło i zamarł. W tym

samym momencie mężczyzna znajdujący się bliżej okna rzucił się na podłogę. Obaj nie ruszali się przez chwilę, sprawdzając, czy hałas nie przyciągnął kogoś z sypialni, pubu nad nimi lub ulicy. Dyszeli nerwowo. Na ulicy pojawił się samochód. Zwolnił. Do pomieszczenia dobiegł odgłos czyichś słów oraz snop światła reflektorów kolejnego pojazdu, który zawrócił. Mężczyźni zeszywnieli. Czekali, wsłuchując się w kolejne głosy; po

chwili jednak trzasnęły drzwi samochodu i auto odjechało w stronę wzgórza. Po jakichś pięciu minutach mężczyzna przy boazerii ponownie nachylił się i oświetlił miejsce, które odsłoniły odpadające panele. Rozciągała się tam nierówna linia starej ceglanej ściany. Mężczyzna głośno wciągnął w płuca powietrze. Niezrażony, sięgnął do narzędzi i wybrał spośród nich gumowy młotek, szerokie dłuto oraz kawałek plastikowej folii, którą rozciągnął starannie na podłodze. Starając się pracować jak najciszej, zabrał się do usuwania fragmentu tynku. Po chwili zamarł na moment, nasłuchując. Jego partner uniósł kciuk, pokazując, że wszystko w jak najlepszym porządku.

Stara wapienna zaprawa ustępowała zaskakująco szybko i wkrótce mężczyzna poluzował kilka cegieł, przytrzymując każdą z nich, by stłumić dźwięk, i odkładając ostrożnie na plastikową folię. Przez szczelinę w ścianie mógł już zauważyć coś, co wyglądało na umiejętnie skonstruowany schowek, ukryty za cegłami w grubym murze. Mógł to być dawny kominek lub nieużywane od wieków tajemne przejście dla księży, jedno z tych, które często można odnaleźć

w starych angielskich katolickich domach. Mężczyzna raz jeszcze zaatakował dziurę, po czym pomagając sobie latarką, skinął dłonią na towarzysza. Między kupkami pyłu i gęstą siecią pajęczyn dostrzegli dwie stare skrzynie - większą kwadratową i owiniętą zawiązaną na wymyślny węzeł liną, a drugą zamkniętą falistym złożonym wiekiem, na którym była wymalowana jakaś inskrypcja.

Mężczyźni pośpiesznie usunęli pozostałe cegły, wyciągnęli skrzynie i postawili je za półkami. Skupili się natychmiast na mniejszej z nich. Próbnе szarpnięcie wykazało, że była szczelnie zamknięta, ale strumień światła z latarki odślonił po obu jej stronach dziurki od kluczy. Jedna z osłoniętych rękawiczkami dłoni zmiotła z wieka kurz, odsłaniając inskrypcję. Mężczyźni spojrzeli na siebie z wahaniem, po czym odsunęli mniejszą skrzynię na bok i skoncentrowali się na większej. Węzeł był mocny i skomplikowany, i po krótkiej szarpaninie wyższy mężczyzna wziął do ręki podany mu przez kolegę nóż. Zatrzymał się na krótką chwilę, po czym przeciął równo sznur.

W skrzyni znajdował się sporych rozmiarów pergamin, pokryty jakimiś skomplikowanymi rysunkami technicznymi i notatkami. Pod nim leżało kilka przedmiotów, które wyglądały na prymitywne przyrządy naukowe: dziwny wybór zaśnieżonych mosiężnych rurek, łapy laboratoryjne oraz coś w kształcie graniastosłupa, co po oświetleniu latarką okazało się idealnie czystym kawałkiem kryształu. Osobno, owinięty w delikatną szmatkę, leżał

kawałek szkła, na którym niezwykle misternie wytrawione były lub wyrysowane jakieś linie i kształty.

Nieproszeni gos'cie wyciągnęli ostrożnie ze skrzyni jej zawartość, rozłożyli tajemnicze przedmioty na podłodze i zaczęli się im przyglądać. W końcu jeden z mężczyzn odezwał się — były to właściwie jedyne słowa wypowiedziane przez cały czas ich pobytu w pomieszczeniu:

- *Non angli, sed angeli.*

Stłumił śmiech. Obaj mężczyźni skinęli głowami, po czym ostrożnie zrolowali papier, owinęli obraz na szkłe z powrotem w szmatkę i umieścili oba przedmioty wraz z pozostałymi elementami ekwipunku w skrzyni. Jeden z intruzów dmuchnął przez słomkę czy niewielką rurkę, rozpraszając warstewkę pyłu zgromadzoną na wieku mniejszego, nieobwiązanego pudła. Po kilku chwilach schowali je z powrotem w miejscu jego wcześniejszego spoczynku, drugą skrzynię zabierając z sobą.

Następnie przez prawie godzinę w głębokim mroku, w milczeniu naprawiali wyrządzone przez

siebie szkody. Kiedy opadł pył, pierwszy mężczyzna wskoczył na stół i przez pewien czas majstrował śrubokrętem przy sufitowej lampie. Drugi wcisnął się w przestrzeń za ladą i skupił się na lampach przymocowanych do tylnej ściany za półkami. Po jakichś dziesięciu minutach wycofali się w stronę drzwi, dźwigając obwiązaną sznurem skrzynię. Jeden z nich po raz ostatni obrzucił spojrzeniem pomieszczenie, z którego zdażyły już zniknąć wszelkie ślady ich pobytu.

Ulica była pusta. Mężczyźni, ostrożnie balansując trzymanym ciężarem, włączyli ponownie alarm, po czym zamknęli drzwi. Po chwili rozplynęli się w mroku uliczki.

KURANT PRZEZ PEŁNE PIĘTNAŚCIE MINUT ŻYWIOŁOWO OGŁASZAŁ NADEJŚCIE DNIA świętego Jerzego. Lucy, zagłuszona niemal całkowicie przez skomplikowane pasażę napływających falami dźwięków, nagle uścisnęła dłoń Alexa i wyciągnęła rękę w kierunku rzeki. Jedna z dwóch zmierzających w ich stronę postaci szła przed siebie pewnym siebie, przesadnym, dumnym krokiem modelki, poruszając się z seksowną,

kocia elegancją; Lucy się uśmiechnęła.

Pół godziny po jej przyjeździe w poranek wielkanocny, kiedy wszyscy inni biegali w poszukiwaniu jajek, Lucy znalazła Sian w sypialni Willa. Siedziała tam w żalosnym milczeniu, zatopiona w materacu u wezglowia łóżka. Obok niej leżała rozdarta na pół kurtka. Sian szarpała za nią.

-Nie miałam szansy się z nim pożegnać - powiedziała do Lucy. - Pewnej nocy po prostu mnie zostawił. Był ws'ciekły, odłożyliśmy pożegnanie do momentu, kiedy nie będziemy się na siebie tak gniewać. A potem nie udało nam się już wypowiedzieć tych słów.

Lucy zastanawiała się przez chwilę, co powinna odpowiedzieć, ostatecznie uznała, że powinna przemówić za nią cisza. Pomyślała, że najlepiej będzie, jeśli Sian sama wybierze sobie odpowiednie słowa, po czym po prostu ją przytuliła. Po kilku minutach łez i rozmyślań, zaproponowała łagodnym tonem:

-Czy mogę naprawić tę kurtkę, Sian? Wydaje mi się, że zdołam połączyć obie połówki jakimś zgrabnym ścięciem i będziesz mogła ją nosić.

Zrozumiała - w sposób, który prawdopodobnie zadziwiłby Alexa, a z pewnością doprowadził do szału Simona - że kurtka mogła posłużyć za symbol pożegnania między nimi, za dziwaczne *memento mori*. Sian uścisnęła ją mocniej.

Późnym wieczorem w niedzielę wielkanocną,

podczas gdy Alex był z Ma-xem i innymi na wycieczce do Winchester, Lucy została z Henrym i Sian i z wprawą zabrała się do szycia. W pokoju Diany znalazła przyrządy do wyszywania skóry i szybko nauczyła się ich używać. Kojący ruch przypominał jej dni spędzone w szpitalu na tworzeniu patchworka; uświadomiła sobie nagle w pełni, w jak niezwykle sposób odmienił się jej los. Martwił ją kontrast, który stanowiła w zestawieniu z Sian - aż wreszcie Henry przemówił prostymi słowami, które oszołomiły Sian.

-Długo dyskutowaliśmy, kiedy nadejdzie odpowiedni moment, żeby ci o czymś powiedzieć, Sian. Alex zapewnił mnie, że właśnie nadszedł, a ja ufam jego opinii. - Przerwał na sekundę, by uspokoić Sian, na której twarzy wymalowało się wahanie, że nie przygotowuje jej na żadne złe wieści. - Nie wiem, czy wiesz, pewnie nie, że Will miał wykupioną polisę ubezpieczeniową, która miała być jego zabezpieczeniem, kiedy podróżował w kolejne nie

bezpieczne miejsca.

Sian zamknęła czytane przez siebie czasopismo i spojrzała nic nierozumiejącym wzrokiem. Całą uwagę skupiła na słowach Henry'ego. Ten spróbował się uśmiechnąć, po czym wrócił do tematu.

- Najlepiej, jeżeli powiem wprost. Jestem wykonawcą ostatniej woli Willa, a ponieważ zgodnie z ostatecznym werdyktem koronera sprzed miesiąca w żaden sposób nie był on winien własnej śmierci, jestem zobowiązany powiadomić cię, że ważności nabiera pismo, wedle którego połowa warto-

ści jego polisy — krótko przed śmiercią przez niego wznowionej — należy się tobie. Innymi słowy, otrzymasz całkiem pokaźny spadek. W ciągu miesiąca powinienem mieć gotowy czek. Chciałem ci go przekazać i wyjaśnić wszystko dopiero wtedy, ale według Alexa w tym momencie przydadzą ci się dobre wieści. Postanowiłem więc uprzedzić cię jui teraz.

Sian była w głębokim szoku i początkowo się zjeżyła.

-Henry, przecież my się rozstaliśmy. To musi być jakieś niedopatrzenie.

-Nie. W żadnym razie. Will postanowił o tym w czerwcu, kiedy już wyprowadził się z waszego mieszkania. Drugim beneficjentem jest Max. Myślę, że chciał ci zapewnić choć odrobinę szczęścia, niezależności, bezpieczeństwa - nawet jeżeli nie mógł być z tobą. Najwyraźniej bardzo się o ciebie troszczył, Sian. Nie znam jeszcze dokładnych liczb, ale z pewnością będzie to pokaźny wkład w mieszkanie. A mówiąc już we własnym imieniu, jestem z tego powodu bardzo szczęśliwy. Podobnie jak Alex.

Niezwykłe odkrycie, że Will troszczył się o

nią na tyle, żeby o tym pomyśleć, wycisnęło z oczu Sian strumień łez. Lucy natychmiast podbiegła do niej i objęła ich oboje, ciągle trzymając w dłoniach kurtkę i igłę, raniąc się lekko przy okazji. Instynktownie złapała za podszewkę, szukając jakiegoś materiału, by przytknąć go do miejsca ukłucia i zatamować krew, i w tym momencie jej palce trafiły na coś drobnego i twardego, co przez dziurę w kieszeni kurtki Willa dostało się do jej wnętrza. Zdała sobie sprawę, że to „coś” prawie na pewno jest złote i zawiera w sobie rubin: uśmiechnęła się, jeszcze zanim na to spojrzała.

KIEDY WIĘC KWIETNIOWEGO PORANKA TURYSŃCI I GOŚCIE TEATRALNI KŁĘBILI SIĘ W ŚWIĄTECZNEJ atmosferze na terenie kościoła, olśniewająca postać uroczej młodej kobiety w klasycznej kurtce Ducati w stylu retro w odpowiedzi również pomachała do Lucy. Gdy para dotarła do Lucy i Alexa, stojących przed kościołem pod wezwaniem Świętej Trójcy w Stratfordzie, uśmiech Sian promieniował nowym ciepłem, które wydawało się świadczyć o tym, że w jej sercu po raz pierwszy od wielu dni zagościł prawdziwy

spokój. Nawet Alex uśmiechał się, doceniając, jak seksownie wygląda w kurtce Willa, a Lucy po raz pierwszy przyznała sama przed sobą, że Calvin - ubrany w jasną dżinsową kurtkę, ze swoimi zgrabnie przystrzyżonymi blond włosami i wzrostem niemal dorównujący Alexowi - jest naprawdę przystojny.

Zachowywał się mniej powściągliwie niż w czasie ich pierwszego spotkania i choć raczej nie był w jej typie, Lucy nagle zrozumiała, co mogła w nim widzieć Sian.

- Dzień dobry, Kitty nad stawem -
przywitała ją uściskiem. Sian roześmiała się na głos i odwzajemniła uścisk.

- Miło znów cię widzieć, Lucy w lesie.

Fizyczna bliskość obu kobiet pozwoliła Alexowi nacieszyć oczy wyraźnym kontrastem między nimi. Potrafił docenić zadziorność Sian, ubranej w obcisłe dżinsy i skórzaną kurtkę; podziwiał jednak przede wszystkim Lucy w jej jednorzędowym, szarym jedwabnym rozpinanym sweterku i zwięzających się ku dołowi lnianych spodniach. Uśmiechnął się do obu swoich towarzyszek i powstrzymując ziewnięcie, stanął za nimi obok Calvina.

Cała czwórka ruszyła w stronę kościoła. Był piątek, dwudziestego trzeciego kwietnia i choć główne obchody dnia świętego Jerzego miały się odbyć dopiero nazajutrz, w najbliższą sobotę po dokładnej dacie, w kościele, który gościł sporo ciekawskich i wiernych, zdążyło się już

nagromadzić mnóstwo kwiatów. Alex wykupił Lucy zezwolenie na fotografowanie, jego towarzyszką wycofała się więc w stronę nawy, by ustawić się do lepszego ujęcia. Leica Willa była jak przysłowiowe różowe okulary: nadawała obrazom charakterystycznej miękkości, co Lucy bardzo się podobało. Z rozbawieniem skupiła się najpierw na Aleksie, który stanął w prezbiterium, po chwili zauważyła też Calvina, który dyskretnie wziął Sian za rękę i pociągnął ją za sobą w stronę ołtarza. Jakiś mężczyzna w drogich ubraniach czytał coś w pierwszym rzędzie ławek. Nawet z tak dużej odległości promieniował czymś w rodzaju połysku. W jakiś sposób przyciągał do siebie Lucy, która choć poczuła się nieswojo, nie mogła oderwać od niego oczu. Kiedy w obiektywie pojawił się znowu Alex, uspokoiła się trochę. Przytulił się mocno do żelaznej kraty, która oddzielała od wiernych grób Shakespeare'a.

Dołączyła do stojącego przy nagrobku Alexa. Żelazna krata odcinała dostęp do grobu, ale mimo to był on zasypany kwiatami, co zirytowało Lucy. Zapytała o zgodę porządkowego, stojącego w

bocznej nawie, pokazując mu akredytację. Chwilę później zaprowadził ją z powrotem do prezbiterium i w nabożnym skupieniu odsunął wiązanki, pozwalając jej sfotografować grób. Alex z niedowierzaniem pokręcił głową; jej sposób bycia często zmu-szał ludzi do tego, by spełniali jej życzenia. Przeczytał:

NA SŁOWO YEGO CZŁOWIECZE SIĘ
STRZEŻ BYŚ GODZIŁ W PROCHY
ZŁOŻONE TU ME NIECH ŁASKA
TEMU, KTO UCZCI TEN GŁAZ KTO
TKNIE MEY KOŚCI
PRZEKŁĘSTVEM GO SKAŻ

Liczenie zdążyło już Alexowi wejść w krew: trzydziestą czwartą literą była „G” - cóż mógł poradzić na to, że odpowiadała „gammie”, oznaczającej we Francji Chartres. Zaczął sam z siebie pokpiwać z powodu tego pomysłu, kiedy nagle Lucy nachyliła się ku niemu i szepnęła:

- Ostatnie trzydzieści cztery litery tworzą zdanie: „Kto tknie mey kości przeklęstwem go skaż”. Co według mnie potwierdza, że tego, co nas interesuje, nie powinniśmy szukać w tym miejscu. Co o tym sądzisz?

Nie czekając na odpowiedź, wpatrzyła się w popiersie dramatopisarza, spoglądające na nich ze ściany. Cóż on mógł o nich myśleć - o nich, którzy usiłowali rozwiązać zagadkę być może ułożoną przez niego? Elżbietański dżentelmen, z piórem w ręku. Lucy poczuła zakłopotanie. I w

tym momencie zauważyła na ambonie otwartą Biblię. Szturchnęła Alexa. Biblia była otwarta na Księdze Psalmów. Numer czterdzieści sześć. Oczy Alexa się zwięzły.

Nagle Lucy spojrzała na niego.

-Aleksie, właśnie zrozumiałam. „William”. Temat głównego dokumentu. Zsumuj po prostu wartość liczb, odpowiadających według numerologii poszczególnym literom. Pięć plus dziewięć, plus trzy, plus trzy; „I” jest dziewięcią, potem pierwsza i czwarta na końcu.

Myśląc o tym, zaczęła kręcić głową, a Alex natychmiast obliczył sumę.

Po kolejnym kwadransie zastanawiania się nad alternatywnymi „początkami” i „zakończeniami”, Lucy podeszła do drzwi, ciągle niepewna co - jeżeli w ogóle coś - może dla nich oznaczać dzień świętego Jerzego. Wyszła z kościoła i zaczęła na pozostałych w przedsionku.

Calvin podszedł do stojącego w przejściu kościoła kuzyna i dotknął jego ramienia. Nikt poza Alexem nie zauważył, że mruga okiem w stronę pierwszego rzędu ław. Alex dostrzegł siedzącego tam mężczyznę i przez chwilę go

obserwował. Zaczekali na Sian, która wracała od strony ołtarza, po czym minęli stare drewniane drzwi i dołączyli do Lucy. Kiedy tylko wyszli na światło dzienne, natychmiast zauważyli, że napiera na nią dwóch mężczyzn, z których jeden uważnie przygląda się przymocowanej do drzwi misternie zdobionej kołatce.

-Doktorze Stafford - rozległ się znajomy głos, pobrzmiwający zaśpie-wem rodem z Kentucky. Alex odrobinę zeszywniał. - Guy Tempie. Rozmawialiśmy przez telefon. - Sian zauważyła ogromnego mężczyznę, który zasłaniał jej Lucy, i machinalnie dotknęła policzka. -*Je suis tres contente de faire votre connaissance* - dokończył pierwszy mężczyzna.

-Przynajmniej jeden z nas. - Alex był dziwnie przekonany, że jeden z tych mężczyzn w pewien sposób przyczynił się do wypadku jego brata, a w oczach Lucy znalazł potwierdzenie, że blokujący ją, nienagannie ubrany osiłek to jej porywacz z Francji.

-Zdaje się, że drogie panie miały już przyjemność poznać Angela przy innych okazjach — kontynuował Guy z groźnym cynicznym uśmiechem.

-Czyżbyśmy mogli coś jeszcze dla pana zrobić, panie Tempie?

Alex z całej siły starał się mówić spokojnym głosem, co jednak nie do końca mu się udało. Poczul prawdziwy przyływ wściekłości, co w jego wypadku było naprawdę niezwykle. Kątem

oka zauważył, że Calvin objął Sian w talii. Wszyscy wiedzieli doskonale, co należało zrobić i Alex poczuł ulgę, że Simon tego ranka udał się w inną stronę, ponieważ w tych okolicznościach było raczej mało prawdopodobne, by zdołał się opanować.

- Po prostu trawi nas ciekawość - odpowiedział Tempie - czy udało wam się znaleźć to, czego szukaliście.

Razem ze swoim pachołkiem całkowicie blokowali im teraz dojście do schodów.

- Jeżeli spieszycie się do grobu, to dobrze trafiliście. - Alex nachylił się nad większym mężczyzną, próbując złapać za rękę Lucy. Niestety nie udało mu się jej dosięgnąć. - Chociaż jestem przekonany, że żaden anioł tam na was nie czeka.

Sarkazm Alexa wydawał się spływać po Guyu jak po kaczce; mężczyzna miał zadanie do wykonania i chciał tylko zademonstrować, że potrafi osiągać swoje cele, unikając zbyt dużego zamieszania. Ciągle nie bardzo wiedzieli, co ma się tego dnia wydarzyć, on jednak z determinacją

usiłował nie dać tego po sobie poznać.

- Pomińmy uprzejmości, doktorze. Wie pan doskonale, dlaczego tu tutaj jesteśmy. Widzę, że na nas czekaliście. W chwili kiedy dostaniemy to, czego szukamy, rozplyniemy się w powietrzu. W rozrzedzonym powietrzu.

- Angelo zaczął napierać na Lucy, zmuszając ją do przytulenia się do drzwi.

- Zdaje pan sobie sprawę, że potrzebujemy pana albo panny King. Uważa-

my, że jest kluczem albo nawet jego strażniczką. Nie chcielibyśmy kusić losu i niszczyć zamków.

Alex z ponurą satysfakcją zdał sobie nagle sprawę, że doktryna raptury-stów zakłada niezwykle żarliwe przywiązanie do własnych poglądów i przepełniona jest rozmaitymi przesadami. Zrozumiał, że oni naprawdę spodziewają się, iż jeszcze tego samego dnia zostaną uniesieni w chmury, gdzie spotkają się z Panem.

Lucy odwróciła się szybko, umykając swojemu gorylowi, i postanowiła sprowokować Temple'a:

-A nie wie pan przypadkiem, gdzie może być ten zamek?

— To od pani oczekuję odpowiedzi na to pytanie, droga Pani Światłości. To pani jest Ariadną, która wyprowadzi nas z labiryntu. Kiedy tylko pogodzi się pani z tym, że nasze zainteresowanie jest nieuchronne i uzasadnione, i że w najlepiej pojętym pani interesie leży przeprowadzenie nas przez te wszystkie meandry i zawiłości, Angelo bez żadnych dalszych pytań przywiedzie pa

nią z powrotem do jej anioła stróża.

Lucy spojrzała na niego podejrzliwie. Jakim sposobem ich zainteresowanie można było nazwać „uzasadnionym”? Guy odgadł jej myśli i wyjaśnił:

— O, tak, panno King: my też długo na to czekaliśmy. Wiedzieliśmy wszystko na temat zainteresowania Apokalipsą u Dee. I wiedzieliśmy, że tam ten czas i ten czas zostały skrupulatnie wymierzone, że istnieje optymalny moment, kiedy wszystko to ujrzy światło dzienne. Większość pomiarów to tylko kwestia interpretacji; ale Dee miał za doradców anioły. To, czego dowiedzieliśmy się od Calvina, jedynie potwierdziło nasze wcześniejsze odkrycia.

Aż do tego momentu Calvin wahał się między biernością a kontrolowaną agresją; nagle jednak postanowił się odezwać i złagodzić poczucie narastającej wrogości, które stawało się coraz bardziej widoczne w postawie Angela. Calvin zdawał sobie sprawę, że to on był słabym ogniwem w grupie; Alex szybko doszedł do tego

samego wniosku.

-Uważam, że EW życzyłby sobie, żebyśmy znaleźli jakieś pokojowe wyjście z tej sytuacji, Guy - rzekł łagodnym tonem. Zwracał się jednocześnie milcząco do Angela, goryla.

Lucy wzdrygnęła się, słysząc, że Calvin wymawia imię Temple'a po francusku, co sugerowało bliższą relację między nimi niż się spodziewała; spojrzała na Alexa, szukając u niego wsparcia, on jednak sam wydawał się usilnie nad czymś zastanawiać. W chwili gdy stanął twarzą w twarz z Angelem, który

bez wątpienia był odpowiedzialny zarówno za porwanie Lucy, jak i napaść na Sian - a prawdopodobnie również na Maxa, biorąc pod uwagę to, co chłopiec mówił o rozmiarach mężczyzny - wszystkie poprzednie debaty i dywagacje dotyczące tego, co powinni zrobić, jeżeli napastnicy pojawią się w Stratfordzie, nagle wydały mu się bezużyteczne. Zgadzał się z Calvinem, który najwyraźniej był przekonany, że ludzie ci nie uciekliby się do przemocy, gdyby Alex i reszta nie stanęli na drodze ku ich „odkryciu”. Tyle że Alex widząc Angela po raz pierwszy, dostrzegął w nim prawdziwe zagrożenie. Goryl z pewnością był nieprzewidywalny i prawdopodobnie to on był sprawcą wypadku Willa. Alex zdążył się zorientować, że Tempie nie był w stanie zapanować nad swoim towarzyszem i wszystko było możliwe. Szybko przemyślał na nowo plan. Nie można było pozwolić, by Lucy została oddzielona od reszty grupy.

Calvin bez problemu odgadł, co się dzieje w głowie Alexa, i wziął Temple'a pod rękę, odciągając go od przedsionka kościoła i

prowadząc w stronę trawnika. Pozwolił, by pozostali ruszyli za nimi - z wiszącym nad nimi cieniem potężnego cielska Angela. Zmiana perspektywy sprawiła, że Alex dostrzegł jeszcze jednego mężczyznę, wyższego, również nienagannie ubranego, który czekał na coś samotnie na końcu dróżki, tuż przy drodze dojazdowej. Milczał jak grób, ale z pewnością uważnie ich obserwował.

- Musisz przekonać doktora Stafforda, że Lucy będzie z wami bezpieczna - w przeciwnym razie nie będzie chciał z wami współpracować. A łami główki są najlepszym dowodem na to, że będziecie potrzebowali jego pomocy. - Lucy z głosu Calvina nie była w stanie wyczytać niczego na temat jego rzeczywistych uczuć w stosunku do Guya Tempie. - Wydaje mi się - kontynuował Calvin - że problemem jest Angelo.

Kiedy tak spacerowali obok siebie po cichym, spokojnym trawniku, sprawiało to niemal wrażenie, że Calvin zwierza się Guyowi.

Tempie zatrzymał się, by uświadomić coś

młodemu towarzyszowi.

- Drogi Calvinie, wydaje mi się, że oni koniec końców nie mają pojęcia, co się z nimi stanie w ów tak ważny dzień. Nawet jeżeli F.W. uważa inaczej. Mylił się już wcześniej. — Odpowiedź Temple'a kazała Calvinowi oraz Alexowi, który prawie ich dogonił, domyślić się, że mężczyznę targają wątpliwości, że nie jest pewien, co zrobić. - W każdym razie — dodał Temple, unosząc palec, by uspokoić stojącego na końcu dróżki mężczyznę - widzę, że doktor Stafford ma zamiar kategorycznie odmówić zgody na to, byśmy zabrali tylko Lucy, czy to z Angelem, czy bez niego, nawet jeżeli sama będzie chciała się z nami udać.

Alex usłyszał wystarczająco dużo i bez chwili wahania zaproponował, by to on towarzyszył Temple'owi i jego dwóm ceniom.

-Jeżeli tylko Sian i Lucy będą mogli natychmiast odejść. Bez żadnych warunków - dodał stanowczym, wykluczającym wszelką dyskusję tonem.

-Nie - odpowiedział po prostu Tempie. - Lucy jest naszą polisą ubezpieczeniową, gwarantującą, że nie będzie pan próbował żadnych sztuczek.

Wszystko zaczynało się niepokojąco dłużyć. W miarę, jak cała grupa pogrążała się coraz dalej w przysłoniętym nieco przez chmury świetle słonecznym, impas się pogłębiał. Zdaniem Alexa Angelo stał o wiele za blisko Lucy, a on sam usiłował odgadnąć, co też by się wydarzyło, gdyby spróbowali po prostu przecisnąć się obok rapturystów. Przecież znajdowali się w publicznym miejscu. Wiedział jednak doskonale, że nawet odkładając na bok troskę o Maxa i Annę, trzeba było coś zrobić, by całą tę sprawę doprowadzić wreszcie do końca. Ci ludzie nie przestaliby ich nękać, zwłaszcza biorąc pod uwagę ich przekonanie o Boskim przyzwoleniu i

nadciągających przełomowych wydarzeniach.

Lucy zauważyła, że wyraz twarzy Alexa lekko się zmienił. Pozostali nie byliby w stanie wyczytać z niej niepokoju, ona jednak to zrobiła bez trudu. Szybko podjęła decyzję. zaproponowała nowe rozwiązanie: owszem, pójdzie z Temple'em i tym całym jego Angelem, ale pod warunkiem, że pozwolą bez żadnych zastrzeżeń odejść Alexowi, Sian i Calvinowi.

-Nie ma mowy - powiedział Alex, tak jakby Tempie i Angelo w ogóle ich nie słyszeli. - Ci ludzie zorganizowali twoje porwanie we Francji, włamali się do mojego rodzinnego domu oraz zaatakowali w Londynie Maxa i Sian. Bóg wie, co zrobili Willowi, ale podejrzewam, że policja z przyjemnością by ich dorwała. Pogwałcili wszystkie umowy, które z nimi zawieraliśmy. Czy ty naprawdę choć przez sekundę myślałaś, że im teraz zaufam?

-Aleksie, im nie chodzi o mnie. Wiesz o tym doskonale - powiedziała Lucy. - Pragnę tylko znaleźć to co my. I dopiero odkrycie tego pozwoli zakończyć całą tę sprawę. - Spojrzała Alexowi w oczy, wytrzymując jego wzrok. Przez jej twarz

przemknął uśmiech. Odwróciła się do Temple'a. — Właśnie stwierdził pan, że jestem waszą Ariadną. Dzięki łamigłówkom dobrze wiecie, że chodzi wam wyłącznie o mnie. - Wyraźnie go prowokowała. - Jestem już prawie pewna, gdzie możemy znaleźć ostateczną odpowiedź. — Słowo „możemy” wypowiedziała ze szczególnym naciskiem. — Stratford okazało się ślepą uliczką, ale mimo to ciągle jestem jedyną osobą, która jest w stanie otworzyć najważniejszy zamek.

Ostrożnie wyciągnęła spod sweterka misternie wyrzeźbiony, inkrustowany rubinem złoty kluczyk. Wszystkie oczy skupiły się na nim. Calvin wpatrzył się weń rozszerzonymi źrenicami, a we wzroku Alexa zapłonęły pytania; było w nim coś niezgłębionego dla wszystkich z wyjątkiem Lucy.

-Kolejny powód, żebyś nie szła z nimi sama - oświadczył stanowczo Alex. — Nie mam pojęcia, czego szukamy, pewne jest tylko, że przez setki lat pozostawało to ukryte - z pewnością właśnie po to, by chronić zawierającą się w tym mądrość czy wiedzę przed ludźmi takimi jak oni.

-Tu się pan myli, doktorze Stafford - wtrącił się francuski Amerykanin. - Scenariusz „końca czasu” jest nieuchronny. Jest spisany i ustalony raz na zawsze. Ani pan, ani ja nie możemy zrobić nic, by mu zapobiec.

-I właśnie dlatego nie chcę, żeby Lucy udała się z wami — jeszcze raz podkreślił Alex. - Powinniśmy dążyć do tego, by nasz świat był coraz lepszy, a nie do destrukcji ludzkości za pomocą potencjalnie samospełniających się proroctw. Czy nie jest tak, że każda warta uwagi

ideologia lub filozofia skupia się wokół tego, by nauczyć nas żyć szczęśliwie, a nie jak umierać z jakąś tam gwarancją zbawienia? To nadzieja jest motorem naszych działań, niezależnie od tego, czy dochodzimy do niej przez Boga, naukę, czy przez jedno i drugie. Każda grupa ludzi, którzy głoszą jedynie nieuchronność Armagedonu, odwraca się plecami do całej planety, do nadziei. Usiłujecie nas wciągnąć w jakieś miejsce pozbawione nadziei, gdzie ani sprawiedliwość, ani miłujący Bóg nie chcieliby zabrać swojego ludu.

-Jak pan sobie życzy, doktorze Stafford — odpowiedział znużonym głosem Tempie. Odwrócił się od Alexa, nie mając zamiaru podchwycić jego wzroku.

Alex wiedział, że jego próby nie mają sensu. Rozpaczliwie chciał zachęcić innych do myślenia, ale Tempie wolał wywierać na ludzi nacisk za pomocą strachu. Nic nie było w stanie go poruszyć. Jak kogoś tak zapamiętałego można było przekonać, że groźby i przemoc nie powinny mieć miejsca tam, gdzie prowadzi się dyskusję na temat wiary?

Lucy w milczeniu przyspieszyła i dołączyła do stojącego w słońcu Ale-xa. Uśmiechnęła się do niego i wzięła go za obie ręce, przekazując mu potajemnie pewną myśl.

-Przedstawiłeś to tak, jak zrobiłby to twój ojciec, i zgadzam się z tobą. Nie jestem pewna, czy powinnam się śmiać, czy płakać, Aleksie, a ty byłbyś doskonałym adwokatem przed każdym kierującym się rozsądkiem sądem.

Ale ja i tak pójdę z nimi, ponieważ pomimo tego, co powiedziałaś... - Spojrzała mu prosto w oczy. - Lucy w lesie gubi mieszek. Kitty nad stawem znalazła go w trawie.

Alex sprzeciwił jej się wymownie, z głębi serca, w obecności wszystkich, pragnąc podważyć jej determinację i nie pozwolić pójść z nimi. Jego mowa wywarła na pozostałych ogromne wrażenie. Ale Lucy jak zawsze była niewzruszona.

Pocałowali się.

- Aleksie, jesteś jedyną osobą, jaką spotkałam w życiu, która rozumie, że prawdziwa siła leży nie tylko w kontrolowanym gniewie, ale bardzo często również w kontrolowanym braku działania. Bądź więc silny i zaufaj mi. Będę działać zamiast ciebie.

Alex nie odpowiedział i przytulił ją tylko.

- Nie martw się - dodała. — Wiesz, że mam w sobie anioła.

Odwróciła się i ruszyła za Temple'em w stronę drogi. W tym samym momencie od kościoła oderwał się kolejny cień i

pośpieszył w stronę dużej, ciemnoszarej lancierki thesis - samochodu, na który nikt wcześniej nie zwrócił szczególnej uwagi - zaparkowanej na końcu dróżki. Lucy odwróciła się na chwilę, podchwytyjąc wzrok Alexa; po chwili, wraz ze swymi dziwnymi „sojusznikami”, zniknęła.

O SIÓDMEJ TRZYDZIEŚCI SIMON
ODEBRAŁ KOMÓRKĘ I ODPOWIEDZIAŁ
NA

zadane mu pytanie.

- Razem z Grace umieramy z głodu. Wsunęliśmy dorsza z frytkami w pubie o nazwie Dąb Herna w Windsorze. Ciekawe, prawda? Hern to kolejne wcielenie Zielonego Jerzego.

- Macie lepszy obiad niż my - Alex powiódł spojrzeniem po trzech napiętych twarzach, zgarbionych naprzeciw niego nad laptopem Calvina. Kanapki leżały nietknięte. Nikt, a już najmniej Alex, nie miał apetytu. - Znaleźliście coś?

- Tak i nie. Niczego ważnego, czym należałoby się podniecać. Pobyt w Mortlake był kompletną stratą czasu, dokładnie tak jak podejrzewała

Lucy. To nie jest nasza alfa i omega. Pojechaliśmy więc prosto do najbardziej znanej kaplicy świętego Jerzego, tutaj, w Windsorze. Przez cały dzień mieliśmy za towarzystwo parę pewnych bardzo ciemnych oczu — siedzą sobie gdzieś obok nawet w pubie — ale najwyraźniej to wy byliście dla nich główną atrakcją.

Zdecydowanie nie ma tutaj żadnych skrzyń ze skarbami, choć zauważyliśmy mnóstwo wyrzeźbionych aniołów. Jednakże - stwierdził z naciskiem Simon

— niespodziewanie wygraliśmy los na loterii.

Posłuchaj tego.

Wyciągnął z kieszeni kurtki podręczny notatnik i rozejrzał się wokół, sprawdzając, czy nikt nie podsłuchuje. Kiedy Grace potwierdziła, że w zasięgu słuchu nie znajduje się żaden szpieg, Simon rozpoczął krótką, ale bardzo dziwną opowieść.

BYŁA DOKŁADNIE PIĘTNASTA CZTERDZIEŚCI CZASU UNIWERSALNEGO, KIEDY COŚ zakłóciło świąteczny charakter dnia. Grace niemal ogarnęła panika; ścisnęła dłoń Simona. Ich uwagę całkowicie pochłaniały stalle kawalerów Orderu Podwiązki w kaplicy Świętego Jerzego, gdy nagle zaalarmował ich odgłos kroków, rozbrzmiewających donośnym echem po ogromnym gmachu; Grace zeszywniała, widząc zmierzającą ku nim odzianą w dziwną szatę postać. Jej oczy były utkwione w ich twarzach.

Kiedy mężczyzna zbliżył się na tyle, że mógł już dostrzec pory w skórze Grace, jego twarz rozjaśnił uśmiech. Przedstawił się jako zakrystian. Zapytał, co ich tak zainteresowało w herbach i chorągwiach wiszących nad tymi starymi stallami. Grace miała okazję pochwalić się swoją wiedzą z dziedziny historii i heraldyki, która najwyraźniej zachwyciła nieznanego. Lody zostały przełamane. Był alchemikiem i zdeklarowanym różokrzyżowcem; zabrał ich na wycieczkę po wspaniałej budowli, wyjaśniając, że białe róże w oczywisty sposób były dla alchemików i różokrzyżowców symbolem kobiecości. Często pomijaną informacją na temat białej róży Yorku, opowiadał pełnym dumy głosem, jest fakt, iż ród ten pochodził od Edwarda III w linii żeńskiej; czerwona róża Lancasterów była męska. W odpowiedzi na strumień gorączkowych pytań Grace, zakrystian wyjaśnił, że białe róże były uznawane za symbol pogodnej nadziei właściwej czystemu sercu oraz sprawiedliwego osądu triumfującego nad samolubną furją.

— To właśnie powinno być duchowym

celem każdego z nas - rzekł.

— Robiłem notatki, Aleksie - powiedział cicho do słuchawki Simon.

- Wszyscy wyznawcy tej pradawnej filozofii usiłują być „otwarciami na powab róży”. Will napisał coś takiego, pamiętasz? Różę utożsamia się często z romantyczną miłością; ale nasz niesamowity dzisiejszy posłaniec wyjaśnił nam, że paradoksalnie oznacza ona zarówno czystość, jak i namiętność, ziemskie pożądanie i niebiańską doskonałość, dziewictwo i płodność, życie i śmierć. To tak, jakby wysłano go do nas, by wytłumaczył nam, że już sama róża łączy

w sobie boginie Izydę i Wenus z krwią Ozyrysa, Adonisa i Chrystusa. Męska czerwona róża, jednocząc się z białą — jak róża Tudorów — staje się podstawą, z której wyrasta magia oraz metamorfoza duszy. Nazwał ją „środkiem, za pomocą którego odnajdujemy w sobie boskość”.

-To metafora wszystkich poszukiwań Dee, Simonie - wtrącił Alex. - Pojęcie róży jest wspólne dla wszystkich natchnionych, czy nawet związanych z estetyką, filozofii. Jeżeli potrafimy stopić w jedną całość skontrastowane z sobą wartości, które reprezentuje, stajemy się podobni bogom, a to przecież szczyt naszych aspiracji. Mówiąc wprost, biała i czerwona róża złączone z sobą reprezentują niebiańskie gody - najlepszy wyraz „męskiego” i „kobiecego” pierwiastka na ziemi.

Simon nie był pewien, czy nadaża za Alexem, ale skinął głową, po czym zajrzał do notatek i kontynuował opowieść:

-Ujmując rzecz bardziej szczegółowo, biała róża oznacza czystość i nie winność, akceptację, bezwarunkową miłość. Zawiera się w niej kobieca ener

gia, czasem z konieczności pasywna. Wykorzystuje się ją w czasie inicjacji nowych członków do Dawnej Mądrości. Odyńiec zabijający Adonisa jest jednocześnie zimą uśmiercającą lato - co stanowi klucz do filozofii różokrzyżowców. Kiedy Adonis, Słońce, zostaje zgładzony przez odyńca, kwiaty wyrastające z jego krwi zapowiadają zmartwychwstanie, co ma wiele wspólnego z kobiecością i seksualnością, jak wyjaśnił Henry. A wiesz, kto był ojcem założycielem różokrzyżowców?

Pytanie należało do gatunku czysto retorycznych.

-Nieoczekiwanie dowiedzieliśmy się sporo ciekawych rzeczy, Simonie. Cóż za dziwny posłaniec, niczym gość z innego świata. W dodatku nie mógł sobie wybrać lepszej chwili. Kiedy cię słucham, zaczynam podejrzewać, że po prostu czekał na ciebie. Z pewnością nie pojawił się tam przypadkiem. - Alex zastanawiał się tylko, kto go wysłał. Czyżby jeszcze jacyś inni ludzie wiedzieli coś interesującego na temat owego

dnia? - A co ze świętym Jerzym?

- Bracia Różowego Krzyża pojawili się w Niemczech w siedemnastym wieku, tuż po tym, jak w latach osiemdziesiątych wcześniejszego stulecia Dee zakończył misję w Pradze, powierzoną mu przez królową Elżbietę i Leicesterów. Dee osobiście propagował elżbietańskie idee z dziedziny nauki, mistyki i literatury. Nazwa „rózokrzyż” wzięła się od krzyża Świętego Jerzego i angielskiej rycerskości - podwiązka w średniowiecznej Europie, podobnie zresztą jak dzisiaj, była niezwykle zaszczytnym odznaczeniem.

Nagle Grace ze zniecierpliwieniem wyrwała Simonowi z ręki telefon. Było to w jej wypadku dosyć niezwykle, ale musiała zamienić z Alexem kilka słów, przekazać mu to wszystko, czego dowiedziała się tego popołudnia w czasie niezwyklej wymiany zdań z zakrystianem i co wywarło na niej ogromne wrażenie.

-Aleksie, jeśli chodzi o różę: Dee wybrał ją - podobnie jak przed nim inni — ponieważ stanowi ona symbol, który wiąże nas z sobą w swego rodzaju po wszechne braterstwo rodzaju ludzkiego. Jeżeli uda nam się zrozumieć to przesłanie i jeżeli połączymy potem różę, czyli, jak to ująłeś, boski oddech, z duchem róży, to uzyskamy rodzaj magii, która będzie w stanie przemienić ludzką duszę w złoto oraz dokonać aktu uzdrowienia. To tylko teoria, ale mnie się podoba.

Alex słuchał uważnie, nie wtrącając się, pełen zachwyty dla wyłaniającej się zza słów Grace filozofii.

-Dziękuję, Grace. Ślicznie to ująłeś.

—Aha, jeszcze jedno. - Simonowi udało się

odzyskać telefon. - Przypomnij sobie tego niewysłanego maila Willa adresowanego do ciebie. Nasz zakrystian alchemik powiedział, że nowicjusze alchemii i wolnomularstwa, w tym różo-krzyżowcy, podążając śladami Bruna i Dee, skupiają się na świetle jako na Boskim Źródle. Udają się na tak zwane „spotkanie ze światłem”, w którym dawni i żyjący adepci łączą się z sobą ponad czasem, by dzielić „światło i mądrość róży”. Rozumiesz teraz, jakie znaczenie ma promień światła wpadający przez rozetę do wielkich kościołów, takich jak katedra w Chartres? To właśnie zaprzętało głowę Willa. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek udało mu się nawiązać łączność z innymi, ponad czasem i przestrzenią. Tak czy inaczej, co u was?

Alex jak zahipnotyzowany wsłuchiwał się w te niezwykle wiadomości i milczał przez chwilę, zanim odpowiedział na przedostatnie pytanie Simona.

- Simonie, myślę, że chyba tak. Ale nie mogę wyjaśnić, dlaczego tak uważam. - Przypomniał sobie słowa Lucy o świetle, o zapachy róży w Chartres i zdał sobie sprawę, że doświadczyła

czegoś naprawdę niezwykłego, że prawdopodobnie połączyła się z jego bratem. Czuł się uprzywilejowany, mogąc być tak blisko niej, ale trochę się też o nią bał. - Złapali przynętę - zaczął w końcu streszczać ostatnie wydarzenia. - Lucy jest z nimi. W decydującym momencie o mało jej nie powstrzymałem. W każdym razie od spotkania minęło już kilka godzin. Od kilku godzin jest już z nimi.

- Nie martw się o nią, Aleksie. Lucy jest wyjątkowa. Przypomina mi niektóre postaci Shakespeare'a. To prawdziwa mistrzyni cross dressingów, jak Viola czy Rozalinda. Przechytrzy ich.

Alex pomyślał, że Simon nawet nie zdaje sobie sprawy, jak trafnie to ujął; czyjaś zewnętrzna ocena sytuacji dodała mu jednak otuchy.

-Wiem. Muszę jechać. Zobaczymy się później. Sprawdź, czy ciągle je steście śledzeni. Te ciemne oczy należą do pewnego bardzo nietolerancyjnego Izraelczyka, na którego natknąłem się we Francji. Nazywa się Ben Dowid. Dołączył do Temple'a i Waltersa, ponieważ pragnie odbudować Świątynię w Jerozolimie. Calvin zbliżył się do niego i poznał go dobrze w czasie Wielkanocy. Ben bardzo zapalił się do pomysłu wypędzenia muzułmanów ze Wzgórza Świątynnego. Nie prowokuj go.

Alex wiedział, że Simon zastanawia się, dlaczego Calvin przekazał im tę informację, ale postanowił niczego nie wyjaśniać. Rozłączył się, natychmiast wybierając kolejny numer.

W HOTELOWYM APARTAMENCIE
OBRADOM PRZY PRYWATNYM STOLE
JADALNYM

przewodniczył nienagannie ubrany profesor Fitzalan Walters, a uczestniczył w nich żółtooki Angelo i wyższy, siwy Francuz, który wioził Lucy samochodem we Francji. Profesor z przesadną uprzejmością nalał swojemu gościowi wina, zatrzymując się w połowie lampki.

-Wiem, że nie wolno pani pić; alkohol powstrzymuje działanie pani lekarstw. Ale mały łyżeczek nie powinien zaszkodzić. Ten biały burgund idealnie pasuje do żabnicy.

Postawa Lucy mogła posłużyć za studium pewności siebie. Dziewczyna wykonała ogromny wysiłek, by zmanifestować opanowanie i siłę woli; jednak kolejne przyprawiające o dreszcz sugestie, z których wynikało, że profesor wiedział o niej naprawdę dużo, były dla niej poważnym sprawdzianem. W połączeniu z pytaniami, które zadawał wcześniej - na przykład, ile miała lat, gdy jej matka wyjechała z Sydney - sprawiły, że ugięły się pod nią kolana. Spróbowała jednak opanować panikę. Nagle odezwał się jej leżący na stole telefon.

-To pewnie Alex. Martwi się o mnie. Lepiej

odbiorę.

Jej towarzysz skinął z aprobatą głową. Niesamowicie, że mógł być tak wytwornym, inteligentnym i dobrze wychowanym człowiekiem.

-Wszystko w porządku, Aleksie. I zanim zdążysz zapytać - tak, jadłam. Właśnie jestem na wspaniałym obiedzie. Sam powinieneś coś zjeść. Na pewno będę mogła do ciebie zadzwonić, jak tylko załatwimy kilka spraw.

Lucy ogromnym wysiłkiem woli starała się ukryć emocje, które wywołał w niej jego głos; nie chciała okazywać słabości. Rozłączyła się i podniosła

wyzywająco wzrok, zauważając, że oczy jej towarzysza przyklejone są do wystającego jej z kieszeni inkrustowanego rubinem kluczyka.

-Ależ miała pani szczęście, panno King: chirurg otoczył panią szczególną opieką. Czy może go za to spotkać kara? Wydaje mi się, że choć niczym szczególnym nie jest na przykład utrata pacjenta, to sypiać z nim nie wolno.

- Lucy nie była w stanie rozstrzygnąć, czy profesor jest zdegrustowany ich fizycznym związkiem, czy też jego słowa świadczą o podświadomym voyeuryzmie. Nie poruszyła się jednak i zignorowała jego impertynencję, a on szybko zmienił taktykę. - Dlaczego mamy czekać aż do jedenastej?

Mówił łagodnym głosem, w którym jednak pobrzmiwała groźba. Obłożone boazerią drzwi apartamentu w wybudowanym w stylu Tudorów hotelu otworzyły się i zamknęły, i do stolika, nie przerywając rozmowy, dołączył Guy Tempie.

-Po pierwsze - odpowiedziała - powinno nam pójść łatwiej, jeżeli Biały Jeleń będzie zamknięty.

W przeciwnym razie możemy mieć problem z jakimiś ciekawskimi. Po drugie, uważam, że powinniśmy się tam znaleźć o dokładnie wyznaczonej porze. Jeżeli moje obliczenia są trafne, dzisiaj około północy osiągniemy czwarty stopień Byka. Coś wtedy ma się wydarzyć.

-Rozumiem. Godzina, w której Hamlet zobaczył ducha. Poetycka. No i ta budowla, do której zgodziła się pani nas zaprowadzić. Jest pani pewna, że chodzi właśnie o nią?

-Jak najbardziej. Mortlake było końcem dla Dee, ale nie początkiem. Urodził się w dzielnicy Tower w Londynie. Z kolei, choć dla Shakespeare'a i początkiem, i końcem było Stratford, nie mógł przecież o tym wiedzieć jeszcze przed swoją śmiercią. Moim zdaniem ze wskazówek wynika, że to on jest autorem łamigłówek - prawdopodobnie ułożył je dla Johna Dee. Musi więc chodzić o gospodę. To jedyne miejsce, w którym zbiegają się wszystkie wskazówki. Białe jelenie, Shakespeare, róża, Wenus i Adonis. Wydaje się, że została wybrana na miejsce jakichś tajemniczych spotkań i dyskusji.

Cała trójka większość popołudnia spędziła w Alveston Manor w Stratfordzie, w apartamencie Waltersa, omawiając teksty. Lucy znowu mogła uważnie przyjrzeć się oryginałom, po raz kolejny czerpiąc przyjemność z dotykania ich. Rozbawiło ją, że jej dręczyciele nie zauważyli labiryntu, w jaki układały się wzory na odwrocie arkuszy - tym samym nie będąc w stanie rozpoznać twarzy, tak wyraźnie spod niego wyzierającej, kiedy już połączyło się w odpowiedni sposób linie. Siedmiolatek rozwiązałby

tę zagadkę. Lucy postanowiła na razie nie oświecać swoich towarzyszy. Z drugiej strony byli oni w posiadaniu niezwykle siedemnastowiecznej rodzinnej Biblii Diany - przedmiotu, który nappełnił Lucy tak bardzo potrzebną jej w tej chwili siłą. Poczowała gniew, że ci ludzie ją zgrabili, że mogli nad nią ślęczeć; że dzięki niej złodzieje znaleźli tyle odniesień, o których Alex i ona mogli tylko pomarzyć. Jednak i księdze udało się ukryć parę swoich tajemnic przed niewiernymi. Lucy dostrzegła w niej kilka słów, które wcześniej zauważyła na wyszywanym futerale na dokumenty: w Księdze Przysłów zaznaczone były wszystkie fragmenty dotyczące mądrości, pereł i rubinów, a na stronie przedtytułowej Biblii, wokół tajemniczego kwadratu Tablic Jowisza powtórzone zostały wersy kończące każdy z pergaminów, co natychmiast zaalarmowało Lucy. Czyżby oznaczało to, że w celu odczytania tych słów należało dokonać jakichś obliczeń, podobnych do tych, za których pomocą Alex odszyfrował psalmy? Była przekonana, że po głębszym zbadaniu teksty ułożyłyby się w jasny i zrozumiały komunikat.

W dodatku na wewnętrznej stronie tylnej oprawy Biblii znajdowała się niewielka, ręczna reprodukcja tak zwanego „tęczowego portretu” królowej Elżbiety, z notatkami na marginesie odnoszącymi się do „Astrei”, czyli - jak sugerował Henry - bogini sprawiedliwości. Brzegi okładki były również pokryte notatkami z Księgi Przysłów na temat pereł, rubinów i Mądrości. Lucy zaświtało więc w głowie, że królowa Elżbieta, przystrojona w perły i rubiny, została tam przedstawiona jako żywe wcielenie Mądrości, pomniejszające wszelkie negatywne skojarzenia dotyczące władczyni kobiety; być może Dee był jednym z jej speców od propagandy - elżbietańskim *spin doctorem*? Lucy doszła też do wniosku, że Dee musiał również zawrzeć w tym portrecie coś ważnego, coś, co udało mu się przewidzieć - ich czasy, w których do władzy doszła inna mądra i potężna kobieta, dokładnie tak, jak twierdził Henry. Ku rozczarowaniu Lucy, wiązało się to z nowymi zagadkami, nad którymi zaczęła się zastanawiać, pijąc w milczeniu herbatę. Nie podzieliła się jednak swoimi refleksjami z żadnym z aktualnych

towarzyszy.

Biblia zaprowadziła ich do Stratfordu, alfy i omegi Shakespeare'a. Lucy pozostawało przekonać ich, że wie, gdzie można znaleźć opisany własnoręcznie przez Dianę w ostatnim tekście „złota dzban”. Jakiś tydzień wcześniej, wyjaśniła im, szukała informacji w Internecie na temat poematu Shakespe-are'a i po raz pierwszy natknęła się na wzmiankę o czymś, co musiało mieć

decydujące znaczenie. Poprosiła profesora, by na swoim cennym laptopie wpisał odpowiednie słowa. Oboje obserwowali, jak na ekranie pojawia się obraz: wspaniałe malowidło, pochodząca z epoki ilustracja dzieła Shakespeare'a — unikatowa w skali światowej, „skarbnarodowy”, zgodnie z jedną z entuzjastycznych wzmianek. Odkryto ją niemal przez przypadek. Narracyjne malowidło ściennie po raz pierwszy od setek lat ujrzało światło dzienne, kiedy ze starego muru w celach konserwacyjnych zdjęto boazerię. Jakie skrywało tajemnice na temat pierwotnego przeznaczenia pokoju, w którym się znajdowało? Jakich rytuałów było świadkiem i dlaczego przede wszystkim tak piękne malowidło powstało na ścianie zwyczajnej skromnej gospody? Według danych w Internecie uczeni datowali je mniej więcej na rok tysiąc sześćsetny - niezwykle blisko daty śmierci Giordana Bruna. Kiedy Lucy i Alex zastanawiali się, czy obraz nie łączy się jakoś z ich poszukiwaniami, Alex doszedł do wniosku, że kaplica pierwszego angielskiego męczennika byłaby całkiem odpowiednim miejscem na rozpoczęcie wyczekiwanego przez

zwolenników profesora Pochwycenia. „Dlaczego nie?” — wzruszył ramionami. Lucy oczywiście zatrzymała dla siebie ten cierpki komentarz i rzeczywiście udało jej się zachwycić towarzyszącą jej mężczyzną swoją opowieścią oraz sugestiami na temat Białego Jelenia u świętego Albana, starej gospody, pomieszczenia naznaczonego pradawną przepowiednią i sensacyjnych wydarzeń, jakie miały w nim nastąpić.

Zadzwoiła więc ze swojego telefonu komórkowego w kilka odpowiednich miejsc, by uzyskać na wieczór klucze do zamkniętej części budynku.

- To na pewno dziś wieczór - upierała się.

- A co ze wskazówką dotyczącą alfy i omegi?

— zapytał Guy Tempie.

- Podejrzewam, że Biały Jeleń był miejscem, w którym ujrzała światło dzienne sama idea tych poszukiwań, a zatem również tam powinny się one zakończyć.

Lucy była pewna, że jej argumenty są nie do odparcia.

- A w następstwie tego, kiedy znajdziemy to,

co jest tam ukryte, rozpocznie się coś jeszcze. - Profesor Walters wydawał się usatysfakcjonowany i razem z Temple'em zgodził się z Lucy. - Zmartwychwstanie rozpocznie się więc dziś o północy, nie wcześniej - snuł dalej wątek, wirując winem w przy pominającym balon kieliszku. - Od setek lat rozumiano znaczenie tej wyjątkowej daty: liczba, Spełnienie Człowieka. Liczba ta wiąże się z kamieniem węgielnym całego świata, jego rdzeniem w Świątyni w Jerozolimie. Obliczenia

Dee, dotyczące dokładnego momentu, z pewnością wzięły się z informacji uzyskanych bezpośrednio od aniołów, a zatem znajdujemy się w odpowiednim miejscu w odpowiednim czasie — a raczej znajdziemy się. Na razie nie musimy się jednak spieszyć z kolacją, więc jak skończy pani rybę - zasugerował Walters — proszę się zająć deserem owocowym. To bardzo ważne, co jemy przed inicjacją. Jak w czasie Ostatniej Wieczery. Odpowiednie przygotowanie do spotkania aniołów z ludźmi. Nawet Prospero nakarmił Ferdynanda małżami i napoił wodą morską, zanim obdarzył go wizją bogów obok jego przyszłej narzeczonej. Musimy się tej nocy przygotować na coś naprawdę niezwykłego, panno King.

Lucy zdała sobie sprawę, że profesor zagrzewa się do tematu i że tylko na pozór mówi o błahostkach. Być może zresztą układały się one w jakąś całość w sposób, którego jeszcze nie potrafiła zrozumieć.

-Guy za nic w świecie nie pominie teraz owoców — trajkotał dalej. - Wie pani, że on również przeszedł operację serca?

Bypassy. Znalazł się na krawędzi śmierci. Jestem zdziwiony, że nie podzielił się z panią tym doświadczeniem, kiedy spotkaliście się we Francji. Przemówił do niego anioł. Tylko raz. - Lucy wyczuła w jego głosie cynizm. — I teraz zdrowo się odżywia.

Lucy zdziwiło, że mężczyzna, o którym była mowa, w ogóle się nie wtrącał. Jej zdaniem wyglądał na trochę zaniepokojonego.

Kiedy minęli łuki wjazdu na parking na dziedzińcu hotelu Biały Jeleń, według zegarka na orzechowej tablicy rozdzielczej lancii Fitzalana Waltersa - bardziej przestronnej niż kształtny, mniejszy coupe, w którym umieścili Lucy porywacze we Francji - była za dwadzieścia dwunasta. Angelo, który siedział obok Lucy, otworzył jej drzwi. Z siedzenia pasażera wygramolił się Tempie. Zdumiała ją ta pełna rycerskości farsa, ale po chwili zdała sobie sprawę, że oni naprawdę wierzą, iż będą za chwilę świadkami wielkiego religijnego wydarzenia.

-Za dziesięć minut będę z Anżelem przed

drzwiami - powiedział Walters, rozsiadając się w skórzanym fotelu, i samochód odjechał.

Lucy i Tempie stanowili dziwnie dobraną parę. Nie przejmując się tym, ruszyli w stronę recepcji hotelu.

-Nazywam się Lucy King. Pracuję dla telewizji; dzwoniłam kilka godzin temu. Czy może pani poprosić pana Thompsona?
- zapytała Lucy kobietę za biurkiem, którą najwidoczniej niewiele obchodzili tak późno pojawiający się goście, wszystko jedno dla kogo pracowali. Ledwie podniosła oczy znad

książki, by na nich spojrzeć. Najwyraźniej nie miała pojęcia o nadchodzącym Pochwyceniu, pomyślała z us'miechem Lucy.

- Thommo! - zawołała recepcjonistka w kierunku schodów. Lucy i jej opiekun, w przytłumionym świetle pozostawieni sami sobie, nie mieli wyjścia. Czekali.

DZIEŃ ŚWIĘTEGO JERZEGO, 1608 R.,
GOSPODA BIAŁY JELEŃ NIEOPODAL
LONDYNU

SŁYCHAĆ SKWIERCZENIE ŚWIEC I DWIE DUŻE TACE ZOSTAJĄ ZDJĘTE Z OBSYPANEGO różami stojaka. W kielichach pojawia się wino, ktoś proponuje toast.

— Nasz plan wydaje się bliski zwieńczenia. W tej ostatniej godzinie dnia świętego Jerzego, wypijmy zdrowie Byrona!

Przy końcu stołu mężczyzna, na którym wypite wino wydaje się nie robić żadnego wrażenia, zrywa się energicznie, odsuwając krzesło. Jego kompani z serdecznym entuzjazmem przyjmują słowa toastu. Niektóre miejsca przy stole są puste, a zalana mglistym światłem komnata rozbrzmiewa upojnym śmiechem.

-Ależ Will, żądasz od niego wysiłku prawdziwego adepta. Jakże ma zatem chorych, co jęczeć tylko potrafią, nakłaniać do uśmiechu?

Mężczyzna o niezwykle długich kończynach przerywa na chwilę to, czym zajmował się do tej pory — wypuszczanie kłębow dymów z fajki — by zwrócić się do swojego mistrza ceremonii.

Starzec po drugiej stronie stołu zbliża się nieco. Widać, że to on przewodzi zgromadzonemu. Jego twarz jest pobrużdżona troskami, choć bije z niej ciekawość co do kierunku, w jakim toczy się dyskusja.

—Jakże też według ciebie, może żywić nadzieję, iż zawróci bezdusznych zelotów z obranej przez nich ścieżki? Ci, którzy dzierżą miecz niebios, w równej mierze winni być święci, jak surowi bywają. W jakimże ubóstwie ducha pogrążą się ci mężowie, ileż kryją w swych duszach, choć mają wszak po stronie swej aniołów.

*Mówca odpycha od siebie
szklaną kulę. Młodszy
mężczyzna siada z
powrotem.*

— *Cny doktorze i ty, mój lordzie
Francisie. Wiecie już zatem, że miłości
uczymy się z kobiecych oczu, i że miłość każdą
moc syci własną mocą. Taka mi
łość równa jest pracom Herkulesa. Poeta, zaiste,
nie śmie w dłoń wziąć pióra,
dopóki miłość nie wmiesza mu w inkaust swych
westchnień... Och, wszakże to
jego czyny tryumf ma zwieńczyć— a czyż nie tego
sobie życzyliśmy? Król czerwo
nej róży zwycięży różę białą, królową, i wróg się z
wrogiem polubi. Włosy jego
pani przystrojone są w czerń, więc znów musi
dowodzić urody ciemnego oblicza.
Prawdziwy anioł melancholii. Jej czerń jest
niebiańska i jakże mądry jej spokój
— natchnienie geniuszu, strawa dla jego rozumu.*

*Kobieta o kruczoczarnych włosach, siedząca po
lewej stronie starszego mężczyzny na końcu stołu,
podnosi głowę i wznosi toast:*

— *A zatem, Will, niech żyje Rosa Mundi*
— *dwoje stopione w jedno. Ta*
jemnica miłości.

Ich oczy, przedzielone długością stołu, wbijają się w siebie. Erotyczne napięcie zakłóca dopiero odgłos kroków na schodach za kominkiem, dobiegający z przejścia prowadzącego do komnaty w głównej części gospody. Po chwili otwierają się drewniane drzwi. Wszystkie twarze odwracają się, wszystkie oczy wbijają się nieruchomo i wyzywająco w spóźnionych; wreszcie mężczyzna, który przed chwilą wzniosł toast, intonuje ponownie ściszoneg głosem:

— *Ślepa miłości, w obłęd chcesz mnie wpędzić chyba, każąc mym oczom widzieć nie to, na co patrzą!*

Piękna pani o ciemnych włosach, ciemnych oczach i cudownej twarzy waha się przez chwilę w drzwiach; wreszcie wchodzi do pogrążonego w półmroku pokoju, nie zważając na swojego towarzysza, który z otwartymi ustami zamiera w miejscu. Dama widzi, że oczy wszystkich są w niej utkwione, czuje lodowatą ciszę, zakłócaną jedynie przez ostry metaliczny dźwięk kluczy,

które nagle brzęczą głośno w jej dłoni. Komnatę przenika dziwny zapach, niezupełnie przyjemny. Damę ogarnia niecodzienne uczucie, słyszy, jak serce pulsuje jej w uszach. Wie dobrze, że czuje się jak dziecko, które nagle zakłóciło rodzicom kolację. Zmusza się, by oddychać wolno; podbiega do drzwi po drugiej stronie, ukrytych za zasłoną. Ogień trzaska, a ona wie, że to właśnie „ta” chwila.

— To właśnie ta chwila — szepcze. - I nic nie zmartwychwstało. Nie ma aniołów, chyba że ja jestem jednym z nich.

Mówi teraz wymijająco i patrzy na mężczyznę, który się do niej odezwał. Ma dziwnie znajomą twarz i próbuje znowu coś jej powiedzieć, jej i swoim przyjaciółom.

— *Panowie i drogie panie. Cóż zrobić, kiedy ta „pani światła” dowodzi jeszcze raz, że piękność z czernią jest tożsama?*

Jego wzrok przenosi się z damy o kruczoczarnych włosach przy stole na Lucy, o włosach tego samego koloru.

Lucy zbiera w sobie odwagę. Udaje jej się nie uciec i zmierzyć z mężczyzną.

— *Przez szparkę tej ściany będziemy szeptać po cichu — mówi.*

Towarzystwo wybucha śmiechem. Wszyscy oprócz starego mężczyzny na końcu stołu. Jego oczy są niespokojne.

— *Pani światła, Will?*

— *Nie inaczej, mój panie. To wizja, którą dzięki twojej sztuce i mojej wywołałaliśmy, by utrwalić nasze dzisiejsze fantazje.*

— *Wiesz zatem, o pani, że róża daje nam to, co nie umiera. — Doktor John Dee spogląda na piękną, mile widzianą nieznajomą. — I zaiste,*

gdy zrozumiesz jej znaczenie, ogarniesz jej naturę do samego końca, odnajdziesz lekarstwo na wszystko, co złe i kręte, odnajdziesz je w dziecku filozofa. My wszyscy, każdy z nas tutaj, pragniemy posiąść różę na pustyni, rozkwitającą w samym środku labiryntu.

Lucy nie może przestać myśleć o tych słowach, choć nie do końca rozumie ich znaczenie. Odwraca się od mężczyzny, który najwyraźniej przewodzi zgromadzeniu, i spogląda znowu na twórcę łamigłówek, mężczyznę, którego inni nazywają Willem, którego ona nazwałaby Willem Shakespeare'em, gdyby się tylko ośmieliła. Szuka jakiegoś słowa, jakiegoś pytania, ale on już tam jest i zwraca się tym razem do samej Lucy:

— Musisz pozostać, wybrać zwieńczenie naszej gry. I musisz improwizować, znaleźć słowa dla wszystkich swoich aktorów. A więc teraz, póki co, ty w swoją stronę, my w swoją.

SŁOWA KLĘBIĄ SIĘ W GŁOWIE LUCY - ŁOSKOT W UCHU, LEDWO SŁYSZALNY poprzez bicie jej serca. Wszystkie inne dźwięki są wytłumione. Na ścianie z tyłu dostrzega malowidło. Zatrzymuje

się nagle, przyglądając się w półmroku jego detalom. Obraz nie peszy jej - w przeciwieństwie do dziwnych duchów zgromadzonych w komnacie. Jej oczy pochłaniają namalowanego konia z różą w pysku; widzi też rycerza upadającego pod końskie kopyta. Widzi drzewo z ziejącą dziurą w podstawie pnia. Czuje ucisk w głowie, słyszy

znowu szum w uszach. Wydaje jej się, że śni, ale jednocześnie wie, że tak nie jest. Jej umysł nastawia ostrość obrazu jak leica Willa; przypomina jej się, co mówił Alex na temat działania leków wymieszanych z lampką wina, tak jak wtedy w nocy na Tamizie. Na jak wiele sposobów można oglądać świat, zastanawia się. I czy Alex ma rację?

Śmiech dzwoni jej teraz w uszach, dźwięk jest prawie nie do zniesienia, chwila ulotna. Lucy otwiera szybko drzwi na ulicę po przeciwnej stronie przejścia, z której chwilę wcześniej wyłoniła się z Guyem Temple'em. Kiedy odwraca się znowu, w pokoju nie dostrzega nikogo. Nic się nie wydarzyło. Pragnąc uniknąć wzroku ciekawskich, skorzystała z opuszczonego wejścia i uchwyciła komnatę w jej dawnej postaci, kiedy setki lat wcześniej któryś z nich po raz pierwszy wypowiedział jej imię. Chwila ta, myśli Lucy, była palindromem.

Nagle gaśnie całe światło z wyjątkiem słabego snopa rzucanego przez latarkę, którą wręczył im przy biurku menedżer hotelu, by mogli odnaleźć drogę przez stare, rzadko używane przejście do

przyległego do hotelu sklepu z ceramiką, który przed wiekami był jednym z pokoiów należących do pubu.

Lucy zauważa, że Guy Tempie, prawdopodobnie wstrząśnięty tym, co przed chwilą widzieli, opiera się o ramę i osuwa w dół. Jest szary i sprawia wrażenie chorego.

LUCY OTWORZYŁA DRZWI WEJŚCIOWE DO SKLEPU, W KTÓRYCH ZARAZ POJAWIŁA SIĘ niewielka postać Fitzalana Waltersa oraz podążający jego śladem barczysty Lucyfer, jak czasem profesor nazywał swojego Angela. Widząc wyraz twarzy Lucy i jej wzburzenie, wzdrygnął się. Atmosfera była napięta, a w powietrzu unosił się nieodłączny zapach sadzy.

F.W. spojrział na Temple'a i powiedział do niego chłodnym tonem:

- Zobaczyłeś ducha, Guy?

Tempie czuł się zbyt strasznie, by się odgryźć lub cokolwiek wyjaśniać. Wstał, opierając się o ścianę, i błysnął latarką w stronę malowidła, któremu właśnie przyglądała się Lucy.

Poczuła zakłopotanie: zauważyła, że szczegóły obrazu były o wiele mniej widoczne, mniej

wyraziste niż kiedy oglądała je chwilę wcześniej. Po chwili zorientowała się, że malowidło znajdowało się za ochronną szybą. Wydawało się też mniejsze. Obraz najwyraźniej się zmienił. Lucy udało się ukryć to przed Waltersem, który nie zdołał nic na ten temat wyczytać w jej oczach.

-Ostatnia wskazówka musi być gdzieś tutaj - powiedziała ożywionym głosem. - „Niech wali się Ściana i dzieje się moja Wola”, jak czytamy w głównym tekście. To malowidło przedstawia Adonisa zabijanego przez odyńca — mężczyzna ma na sobie elżbietańską kryzę. Być może właściwe miejsce oznacza róża w pysku białego konia powyżej albo tutaj, na uździe?

Walters, rozczarowany, że musi oglądać dzieło w tak słabym świetle, przez chwilę mocował się bezskutecznie z przełącznikiem. Lucy wyjaśniła mu, że z powodu awarii w łazience na górze obsługa hotelu odcięła prąd. Walters dał sobie wreszcie spokój. Zauważył wyciek w prawym kącie ściany pod sufitem. Cóż za bluźnierstwo, traktować w ten sposób cenne i unikatowe dzieło sztuki.

-A więc, panno King, to właśnie jest Szekspirowski *Wenus i Adonis*, na malowany mniej więcej w okresie wydania poematu?

Lucy skinęła głową.

-Komnata służyła pewnie za miejsce spotkań jakiegoś tajemnego zakonu działającego początkowo pod wpływem Dee, jakichś bardzo wczesnych różokrzyżowców. Uczęszczał na nie Shakespeare, a jednym z najważniejszych członków był Bacon. Podobnie Spenser, John Donne i sir Philip Sidney, za nim przedwcześnie zginął — wszyscy mistrzowie pióra epoki elżbietańskiej.

Oraz, być może, jedna mistrzyni, pomyślała Lucy. Oświetliła strumieniem z latarki przestrzeń ponad malowidłem, po czym objęła nim jego centralną część, z koniem i jeźdźcem, rycerzem Czerwonego Krzyża, świętym Jerzym.

-Spenser pisze o nim w *Królowej wróżek*. Na malowidle koń unosi się nad Adoniszem, orientalnym „Panem Słońca”. - Lucy przerwała i spojrzała z podziwem na obraz. W jego prawej części rozpoznała odyńca, który symbolizował zimę i którego niszczycielska moc odwróciła się, kiedy Adonis odrodził się do życia poprzez czerwone kwiaty,

wyrastające na pierwszym pla-
nie z jego rany. - Jego zmartwychwstanie
dokonuje się za przyczyną miłości
i żalu Wenus — wyjaśniła wyzywającym tonem
Waltersowi. — To oczywiście
wyraźna paralela z Chrystusem. I rzeczywiście,
wizerunki bogini trzymającej
w ramionach Adonisa stały się inspiracją dla
motywu piety w sztuce.

Prowokowała go, kreśląc bezpośredni związek
między pogańską ikonografią a chrześcijańskim
mitem, ale profesor skoncentrował się wyłącznie
na malowidle i zignorował jej paralelę. Był
skupiony, podobnie jak Angelo, Lucy zauważyła
za to, że stojący obok nich Tempie wydaje się
nieobecny i jest daleki od opanowania.

- Dla Dee najważniejszą postacią był Adonis - Lucy skupiła strumień z latarki w odpowiednim miejscu. — Ta róża symbolizuje zarówno jego duszę, jak i serce. Różokrzyżowcy uznawali za niezwykle ważny wątek zmiany ciemności w światło, zimy w lato — różne ujęcia zmartwychwstania.

Słowa Lucy zawisły w powietrzu. Nabrały dla niej zupełnie nowego znaczenia, kiedy pomyślała o Willu.

— Tak, bardzo różne. O co więc chodziło tym różokrzyżowcom? — zapytał Walters.

— O religijne oświecenie, osiągnięte częściowo za pomocą magii. Dzięki niemu mogli podejść do rzeczywistości na sposób matematyczny. Matematyka dawała im wgląd w inny świat, boski świat. Ale ponad nim był jeszcze trzeci wymiar — najwyższe niebo, świat nadboski. Plasował się on o poziom wyżej od raju, a dostać się do niego można było wyłącznie za pomocą anielskiego zaklęcia. Różokrzyżowcy uważali, że kiedy już osiągną ten wyższy wymiar poprzez magię, zrównają się w hierarchii z

aniołami, na poziomie, na którym wszystkie religie są z sobą tożsame. W to właśnie wierzył Dee. Uważał, że uda mu się nawiązać kontakt z dobrymi aniołami. Niefortunnie dla Dee, rozmawiał z nimi jedynie Edward Kelly, który przekazywał wprawdzie ich wiadomości, był jednak niewiarygodny. Ale cały ruch, tak jak postrzegał go Dee, obejmował wszelkie wierzenia religijne, protestantów i katolików, żydów i muzułmanów. Na poziomie aniołów, wszystkie one były tożsame.

Jeżeli Lucy spodziewała się, że to przesłanie głoszące wspólnotę wszystkich religii, z których każda była uprawniona do wyższych duchowych aspiracji, zrobi na jej towarzyszach jakieś wrażenie, musiała być rozczarowana. Spojrzała na nich - pierwszy trzymał się za brzuch, tak jakby nękała go jakaś niestrawność, a drugi, pewien słuszności własnych przekonań i wiedzy na temat swoich „aniołów”, spojrzał na nią martwym wzrokiem. Uśmiechnęła się, postanawiając jeszcze raz spróbować szczęścia.

-Trzy światy... fascynujące, prawda? W fizycznym świecie wykorzystu

jemy swoje ziemskie powłoki, ale w boskim potrzebne nam są duch i bezinteresowne emocje. Tylko jednak na poziomie wyższego raju robimy użytek z intelektu. Adam i Ewa zamieszkiwali pierwszy raj, Eden. Kiedy Ewa zerwała owoc z Drzewa Poznania Dobra i Zła, usiłowała zyskać dostęp do najwyższych niebios. Była kobietą w każdym calu: chciała wydobyć nas z ignorancji i zdobyć prawdziwą wiedzę; z kolei mężczyzna ignorant ciągle wierzy, że prawdziwa wiedza powinna być wyłącznie męską domeną.

Walters spojrział na nią z irytacją. Tego rodzaju gadka nie była mu obca; nieraz już słuchał takich profeministycznych, prohumanistycznych bredni, których głosiciele przeczyli, że to mężczyzna byłby w stanie uzyskać status boga, gdyby tylko został oświecony przez wiedzę; że zawiera w sobie boski pierwiastek. Wedle tych teorii należało się cieszyć, że kobiety dążą do lepszego wykształcenia! A przecież jako pracownicy naukowcy zdołały one zinfiltrować system, zakłócić równowagę, wywołać zgniliznę moralną i permanentny chaos w domach, zmienić podstawowe relacje między małżonkami i podkopać autorytet mężczyzn. Walters w tej chwili pragnął jednak tylko jak najszybciej położyć ręce na swojej zdobyczy, więc nie podejmował rzuconego wyzwania.

-Jest pani czytana młodą kobietą, panno King. Wiem, że Dee i krąg bliskich mu osób dali się wciągnąć w alchemię, która zakłada czyste przełożenie rzeczywistości życia religijnego, transmutację duszy z jej materialnej podstawy w złoto.

„Aczkolwiek mylnie” - Lucy wiedziała, że miał ochotę to dodać. Odwróciła się z powrotem w stronę Wenus i Adonisa. Żałowała, że nie może podziwiać obrazu w lepszym świetle, który aż kipiał od łamigłówek związanych z Dee i hermetyczną filozofią Shakespeare'a. — „Niech wali się Ściana.

- pomyślała. Wyobraziła sobie te słowa, wypisane płomiennymi literami na arkuszu, który miała przy sobie, przechodząc przez labirynt w Chartres.

Zdawała sobie sprawę z tego, że stojący obok Tempie ciągle jest niespokojny. Od chwili, kiedy stał się świadkiem sceny, na którą się niechcący natknęli, najwyraźniej coś mu dolegało. Jest człowiekiem żarliwie wierzącym, pomyślała Lucy, ale bez wątpienia nie potrafi wytłumaczyć sobie tego, co im się przydarzyło, i drży na samą myśl, że mogą bezpośrednio doświadczyć jakiejś demonologii i stać się jej ofiarami. Miała ochotę się roześmiać, choć współczucie nie pozwalało jej na tak bezduszną reakcję. Zaskoczył ją nastrój panujący w pomieszczeniu; Tempie, jak jej się wydawało, był autentycznie przerażony. W

dodatku właśnie zaczął śpiewnie recytować tekst, który pojawił się przed chwilą w głowie Lucy. Czyżby była to próba udobruchania zjawy, zapobiegnięcia jej powrotowi?

- „Niech wali się Ściana i dzieje się moja Wola” - powiedział na głos.

- „Będą zadawać pytanie, kim jestem i czym kiedykolwiek byłem”. Gdzie nasza zwierzyna, EW? Szukamy jakiegoś przedmiotu lub drzwi, panno King, do których pasowałby klucz, prawda? Czyżby na malowidle znajdował się gdzieś jakiś otwór?

Lucy przebiegła wzrokiem po obrazie, szukając odpowiedzi na pytanie Temple'a. Usiłowała połączyć w całość szczegóły, o których rozmawiali wcześniej z Alexem, odnaleźć wskazówki, które on z pewnością odnalazł. Pragnął ze wszystkich sił, by nie sprawiała wrażenia przygotowanej do roli, powiedział więc Lucy jedynie, że musi się przebić przez zewnętrzną warstwę: czyżby chodziło mu o szybę chroniącą malowidło?

-Na pewno nikt nie miał zamiaru nakłaniać nas do bezczeszczenia obrazu - odpowiedziała Temple'owi z autentyczną niepewnością w głosie. - Na pewno musimy „zwalić Ścianę”, żeby przekonać się, na czym polega ta „Wola”. Chodzi pewnie o jakąś inną płaszczyznę, być może równoległą do tej z różą lub Adoniszem - to on jest przecież zmartwychwstałą postacią.

Odwrócili się w stronę pozostałych ścian pomieszczenia, wyglądających na solidne. Tempie nucił dalej, niczym pozbawiony zmysłów święty mąż. Lucy nagle doznała oświecenia.

„Wszystko to w płomieniach stało...”, „Dwie mieści w sobie poło-wy...

-W tej ścianie był kominek - powiedziała rozgorączkowanym głosem.
— Najpewniej tutaj, za boazerią. Gdzieś tutaj musi być szparka, przez którą tkliwi kochankowie mogą zajrzeć w przeszłość.

Walters zrozumiał, że mówi fragmentami starych tekstów. Zastanawiał się tylko, dlaczego doszła do wniosku, że w ścianie musi gdzieś być kominek. Komnata znajdowała się jednak w środkowej części gmachu, a nad nią było wystarczająco dużo przestrzeni, by można w niej było pomieścić komin, teoria Lucy wydawała się więc całkiem prawdopodobna.

-Rozumiem, że powinniśmy zdjąć tę warstwę, tak? Konserwatorzy za bytków dostaną szau, ale może mieć pani rację.

Przez dziesięć minut cała czwórka obmacywała ścianę. Wreszcie znaleźli szczelinę. Walters zawołał do Temple'a:

-Guy, czy nosisz ciągle przy kluczach swój scyzoryk?

Tempie przestał mamrotać swój dziwny,

inspirowany tekstami różaniec.

- Tak, tak, F.W. - odpowiedział żałośnie, czując w członkach oraz klatce piersiowej chłód i zastanawiając się, czy dopada go jakieś choróbko podobne do tych, które powalało archeologów otwierających zamknięte przez wiele lat grobowce i uwalniających z nich tajemnicze wirusy. Atmosfera w po mieszczeniu mogła przyprawić o klaustrofobię, a Tempie na tyle dobrze znał

swojego szefa, by zauważyć, iż znajduje się on w stanie bliskim euforii. Nie miał sił, by dołączyć do niego i również wkroczyć w przedsiónek raję; przez cały czas zastanawiał się tylko, czy dopadną ich znowu demony oraz plugawe zapachy dymu, piwa, moczu i podłego jedzenia.

-No to wyciągnij go i obluzuj tę boazerię. - Walters wskazał palcem na kawałek drewna. Tempie spróbował go podważyć, ale robił to na tyle niezdarnie, że Walters w końcu wręczył mu pogardliwie latarkę i sam wziął do ręki ostrze. Zaczął za jego pomocą gorączkowo przeszukiwać ścianę. Nastąpiła chwila pełna napięcia, które zdążyło się już udzielić obu mężczyznom, kiedy nagle, bez ostrzeżenia, panel ustąpił z głośnym łoskotem, wniecając wokół kłęby pyłu. Na podłogę spadł fragment boazerii i kilka cegieł. Lucy krzyknęła nerwowo, wystraszona hałasem; ciągle przytłumiony Tempie upuścił latarkę, która rozbiła się o leżące u jego stóp kawałki muru.

-Panno King, czy może mi pani służyć światłem? Guyowi udało się go nas pozbawić - poprosił z lodowatym sarkazmem w głosie Walters, nachylając się w stronę pogrążonej w

mroku komnaty. Lucy ostrym snopem światła z latarki rozjaśniła wnętrze alkowy. Leżała w niej pokryta inskrypcjami skrzynia. Walters zagwizdał cicho.

-No pięknie. Stary piec, zamurowany przez lata przy głównym palenisku. Angelo, wyciągnij ten kufer i postaw go w pokoju. Dzieli nas zaledwie krok od wielkości. Thomas Brightman mówił, że pierwszą z siedmiu wielkich czasz było odziedziczenie tronu przez Elżbietę w 1558 roku. Siódma Trąba Apokalipsy zabrzmiała w 1588 roku, kiedy została zniszczona Wielka Armada. Wszystko się zgadza: teraz, dzięki odkryciu tej zagubionej mądrości, należącej do wielkich jej epoki, nastąpi kres panującej od tamtej chwili ery pokoju i rozpocznie się koniec świata. Kto wie? Może skrzynia zawiera nawet siódmą czaszę? To naprawdę apokaliptyczna chwila.

Lucy cofnęła się trochę, obserwując niesamowity, nieziemski kolor twarzy swojego strażnika. Nagle dziwna gorączka zaczęła emanować również z twarzy jego starszego kolegi. Obaj naprawdę ją przerażali. Lucy miała nadzieję, że jej męki wkrótce się skończą. W tej

chwili żaden z mężczyzn nie kierował się już logiką. Lucy gromadząc informacje na temat Dee i Bruna, czytała o tak zwanych „siedmiu czasach” i wiedziała, kim był Thomas Brightman. Policzył on trąby i czasy, które odnalazł w różnych momentach historii od czasów rzymskich aż po dzień Objawienia, oraz wyznaczył datę, kiedy nastąpi „wezwanie żydów, by stali się narodem chrześcijańskim”. Przewidywał, że stanie

się to w latach trzydziestych siedemnastego wieku; kiedy wyznaczony czas minął i nic się nie wydarzyło, daty, liczby i wydarzenia historyczne zaczęły być przesuwane i określane na nowo. Lucy doszła do wniosku, że gdyby potraktować to wszystko dosłownie, można by się było już dzisiaj doliczyć co najmniej siedemdziesięciu czas i Bóg wie ilu trąb. Pomyślała jednak, że to nie najlepszy moment na głośne podważanie obliczeń Waltersa.

Angelo ostrożnie wszedł do wielkiego paleniska z czasów Tudorów i podniósł skrzynię, chwytając ją z boku i kładąc na niskim stojaku. Tempie powoli podszedł kilka kroków, pragnąc być świadkiem wielkiej chwili, kiedy jednak się zbliżył, załamał się i znowu zaczął nucić. Udało mu się zaskoczyć Lucy. Wybrał słowa z tablicy Jowisza, obronne zaklęcie, które miało moc przywoływania aniołów: „Elohim, Elohi, Adonai, Zebaot”. Spojrzała na majaczącego w dziwnym półświecie mężczyznę i z przerażeniem stwierdziła, że jego twarz przybrała barwę popiołu. Pamiętała ten kolor ze szpitala i już miała odezwać się do Waltersa, ale zdała sobie sprawę,

że jest on teraz skoncentrowany wyłącznie na swojej zdobyczy, ślepy na wszystko, co nie ma związku ze skrzynią.

Walters odwrócił się do Lucy, ledwo panując nad podnieceniem.

- Otwórz ją.

Nie była to grzeczna prośba. Lucy od początku wiedziała, że w końcu profesor będzie musiał dać sobie spokój ze swoją wytworną uprzejmością - chwila ta właśnie nastąpiła. Spojrzała na bogato zdobione wieko, na którym wymalowana została pojedyncza czerwona róża, oraz na złożone krawędzie metalowych zawiasów. Skrzynia była zakurzona, niezbyt duża, ale mocna i zwyczajnie przepiękna. Inskrypcja sprawiła, że Lucy zadrżała. Przeczytała ją na głos, dodając dramatyzmu chwili:

Jeśli chcesz mnie otworzyć, bądź Czarną Damą Światła, Siostrą i Umiłowaną, a twój Rycerz Różanego Krzyża niech będzie Wierny i Oddany. Jeśli nią nie jesteś, zaraza nawiedzi twój dom. Słowa Merkurego brzmią szorstko po piosenkach Apollina.

Lucy nie potrafiła dopatrzeć się w tych

napisanych dawno temu słowach odniesienia do aniołów czy trąb, poczuła jednak czającą się za nimi potęgę myśli. Spojrzała na rozpaloną twarz profesora.

— Doktorze Walters, wolałabym tego nie otwierać. Może i jestem Damą Światła, ale pan z pewnością nie jest Rycerzem Różanego Krzyża. Powinien tu być ze mną Alexander i symbolicznie przeciąć węzeł gordyjski. Bo moim zdaniem potrzebujemy dwóch kluczy.

Jednakże Walters nie po to dotarł tak daleko, by teraz zniechęciły go jakieś niuanse; błysnął szczyrym i gestem, w którym nie było nawet cienia wahania, skierował go w stronę Lucy.

-Posłuchaj. Po pierwsze, nie chodzi tutaj o żaden węzeł, w każdym razie prawdziwy węzeł. Po drugie, pamiętaj, że jeśli chodzi o Alexandra i węzeł, to Macedończyk po prostu oszukiwał. Zrobimy to samo. Nie trać więc wątku i nie daj się zwieść. Nie ma czegoś takiego jak kłątwa. Oboje o tym wie my, niezależnie od tego, co myślą o tym moi podwładni. Mamy dwudziesty pierwszy wiek. Poza tym, czy nie jesteś przypadkiem zarówno Damą Światła, jak i Rycerzem Posępnego Wężła? Dwoma w jednym?

Jego usta wykrzywił cyniczny uśmiech.

Lucy mocno odczuła jego cios. Gdzie leżała prawda? Nie zinterpretowała słów inskrypcji pod kątem tego zupełnie prawdopodobnego znaczenia. Obawiała się również tego, co profesor mógł mieć na myśli i co wiedział. Jakim cudem

mógł być wtajemniczony w coś, o czym rozmawiała wyłącznie z Alexem? I jak miała sobie poradzić z niezwykłym paradoksem, polegającym na tym, że nagle, powołując się na dwudziesty pierwszy wiek, odrzucał teraz „głupie przesady”, a chwilę wcześniej bajdurzył o czasach i trąbach? Trudno było uznać za normalne tak pozbawione sensu i konsekwencji zachowanie. Pytanie tylko, czy Walters był człowiekiem wierzącym, cierpiącym na schizofrenię szaleńcem, czy też zwyczajnym szarlatanem wykorzystującym łatwowierność bliźnich?

Tymczasem czoło Guya Temple'a zrobiło się jeszcze bardziej szare i pojawiły się na nim kolejne krople potu. Lucy czuła dobiegający od niego dziwnie słodkawy zapach i wiedziała, że nie jest z nim dobrze. Zdawała sobie sprawę, że to coś poważnego. Nachyliła się w stronę Temple'a, nie będąc w stanie ukryć troski. Tempie zaczął błagać Fitzalana Waltersa, by wstrzymał się choć chwilę. Przecież czekali już tak długo. Przecież byli tak blisko.

-Niech pan każe Angelowi znaleźć doktora

Stafforda... Proszę... Musi
być gdzieś w pobliżu... Pewnie nas śledził.

Rozległo się pojedyncze bicie zegara, obwieszczającego nieokreśloną godzinę - być może wpół do pierwszej - i słowa zamarły Temple'emu na ustach.

Walters był niewzruszony. Zignorował Guya. Opętany swoim świętym Graalem, szarpnął Lucy i ponownie zagroził jej krótkim, choć groźnie wyglądającym ostrzem. Lucy, wiedzona instynktem, zgasiła światło - rezygnując

z tytułu jego damy - i odskoczyła do tyłu, pogrążając pokój w gęstych ciemnościach. Angelo spróbował ją złapać, ona jednak, ubrana w bladoszare jedwabie, zniknęła w mroku jak duch. Walters również rzucił się w jej stronę i udało mu się nawet złapać Lucy za włosy, ale nagle obaj mężczyźni zamarli.

Ich zmysły nagle zaatakował wszechogarniający zapach róż, raczej duszny niż słodki. Walters i Angelo nie byli w stanie nawet się poruszyć. W środku pokoju rozbłysła żółtozielona łuna światła i pojawiła się w nim drobna, eteryczna postać anioła o obliczu i wyglądzie przypominającym Lucy. Blask promieniejący od zawieszanej w powietrzu ponad starą skrzynią anielicy rozświetlił widocznego z tyłu na ścianie konia z różaną uzdą, upadającego rycerza, drzewo z dziurą w pniu. Guy Tempie złapał się za klatkę piersiową i osunął na podłogę, wydając z siebie zbolwały jęk. Nagłe pojawienie się zjawy było elektryzujące, cudowne i mogło przyprawić o zawał serca; Guy zrozumiał je jako ostatnie ostrzeżenie.

Lucy, której oczy i umysł skupiły się

całkowicie na anielicy, zamarła, słysząc bicie własnego serca, słysząc w uszach jego stłumione uderzenia; zauważyła, że Fitzalan Walters odskakuje od niej ze śmiechem i unosząc wysoko ręce, wbiega na skrzynię — tak jakby chciał się rzucić anielicy w ramiona. W tym samym momencie wszystkie dźwięki i obrazy stopiły się w jedno. Lucy usłyszała ogłuszający wybuch, po którym pokój wypełnił gęsty łuk niebieskiego światła oraz kłęb dymu i przejrzysty obraz lotu w czarnej, mrocznej przestrzeni. Z gardła Lucy wydobył się jakiś dźwięk, coś pomiędzy szeptem a krzykiem.

- O Boże! Alex!

SIAN UKŁĘKŁA NA PODŁODZE TUŻ ZA LUCY, OTOCZYŁA JĄ RAMIONAMI I ZACZEŁA

lekko kołysać. Lucy się nie odzywała. Ciągłe wydawało jej się, że palce Wal-terasa - natarczywe, miażdżące — są zaciśnięte wokół jej gardła i że towarzyszy im błysk metalu i śmiech szaleńca. Mimo że przed oczami, jakiś metr czy dwa dalej, leżało jego ciało. Właśnie podchodził do niego Alex. Nozdrza Lucy nie mogły się pozbyć zapachu Waltersa - jego garnituru, wody kolońskiej, oddechu, który ciągle wydawał się owiewać jej twarz — i dziwnego, gryzącego, przywodzącego na myśl dym smrodu. Alex mówił coś do niej i przyjęła jego głos z wdzięcznością, choć był on pozbawiony charakterystycznej głębi, przez co przypomniały jej się dni, kiedy pozostawała pod wpływem narkozy i w tym stanie wsłuchiwała się w słowa swojego ówczesnego lekarza. Poczwała się

samotna i odcięta od świata; ale on był tutaj.

Plączące się z sobą, dezorientujące strumienie światła dwóch silnych latarek zastąpiło nagle bardziej stałe źródło i Lucy mogła rozejrzeć się po pomieszczeniu, które w ciągu trzech, może czterech minut zaroilo się od obcych ludzi w policyjnych mundurach. Calvin przytrzymał przy podłodze An-gela, podczas gdy jakiś inny mężczyzna zakuwał go w kajdanki; jedna z kobiet podała Alexowi koc, którym ten przykrył leżącego przed nim Waltersa; gdzieś w pobliżu jakiś głos z charakterystycznym szkockim akcentem mówił coś cicho do Guya Temple'a.

Chwile, które nastąpiły potem, śmignęły przed oczyma Lucy jak w perspektywicznym skrócie. Słuchała lekarza, który przekazywał informacje grupie pielęgniarzy:

- Pacjent na prawo ma dusznicę, ale nie widzę objawów zawału. Ofiara na lewo została porażona prądem z wiszącej powyżej lampy. Z tego co widziałem, mężczyzna nie stracił przytomności, choć przez kilka chwil bełkotał i s'miał się histerycznie. Jego usta mają sinawy kolor, a na palcach prawej ręki widać ślady po oparzeniu, rozpoznałem też lekką arytmie, ale oddycha regularnie. Nie widzę żadnych ran, ale został odrzucony o dobry metr, więc nie można wykluczyć urazu kręgosłupa.

Po minucie już ich nie było.

- Lucy? - dobiegł ją głos Alexa, nadal pozbawiony głębi.

Ukląkł obok niej, zwalniając Sian z posterunku. Kiedy uroczą twarz Lucy po raz pierwszy wywołała u niego uśmiech, prawie rok temu, przyczyniły się do tego okalające ją przycięte na krótko ciemne jedwabiste włosy oraz ogromne oczy na tle szczupłej bladej twarzy. Przez ostatnie miesiące włosy zdążyły odrosnąć i sięgały teraz ramion, Lucy sama przybrała na

wadze, a jej twarz znowu ożywiły kolory, uwypuklając kości policzkowe. Alex patrzył teraz na nią - na jej pogrążoną w cieniu twarz i oczy, z których było wyczerpanie - i nigdy nie wydawała mu się równie bezbronna.

- Lucy - powiedział i przytulił ją.

- LUCY? - USŁYSZAŁA GŁOS ALEXA, TYM RAZEM
ODPOWIEDNIO GŁĘBOKI.

Delikatnie otworzyły się drzwi; skrzypnęły deski podłogi; Lucy ignorowała jednak dźwięki do momentu, gdy słońce zalało swoim światłem pokój. Skrzywiła się, przytrzymując ramiona nad głową i zakrywając nimi oczy. Poczowała strumień czystego powietrza, usłyszała odgłos blokowanego okna, a potem czegoś w rodzaju drapania, co zaintrygowało ją na tyle, że wreszcie otworzyła oczy i wyjrzała spod bawełnianej kołdry. Alex postawił na stoliku obok łóżka filiżankę herbaty i wspaniały biały kwiat, wybijający się na łożdźce spomiędzy ciasno upakowanych różowych pąków.

- Madame Hardy. - Jego ręka na jej twarzy była ciepła, a głosu nie mogła

już nazwać głuchym. - Pierwsza biała róża w tym roku, ze starego angielskiego ogrodu. Chyba trochę się pospieszyła, o jakiś tydzień lub dwa.

Alex pocałował ją i wyszedł z pokoju.

Zebrała myśli. Znajdowała się w pokoju Alexa w Longparish; wróciła tam kilka minut po trzeciej nad ranem. Zdała sobie sprawę, że była wtedy pogrążona w dziwnym śnie, że widziała jakieś psotne twarze, że długo podróżowała, by wrócić do niego. A teraz mogła się zatrzymać. Spojrzała w ero-

tycznie zakręcony kształt leżącego obok niej kwiatu: elegancki adamaszek, pomyślała, setki płatków wokół zielonego „oka”, jeszcze nie do końca otwartego. Otworzy się później, w ciągu dnia. Zapach róży był bardzo silny, choć nie wydał jej się przesłodzony.

Napiła się herbaty i podniosła zegarek. Było po dziesiątej, zarzuciła więc na siebie szlafrok i podeszła do otwartego okna. Henry przycinał trawę, ogród pełen był pąków i pierwszych kwiatów, a przez wielodzielne okno pokój atakowały dojrzewające wisterie.

Lucy zeszła na dół do kuchni i zastała Alexa z kawą w jednej dłoni i srebrnym kluczykiem Willa w drugiej, pogrążonego w myślach. Wpatrywał się w skrzynię, która leżała na stole z jasnego jesionowego drewna.

-Dzisiaj rano przyniósł ją tutaj James McPherson. Oddał nam też należącą do mamy Biblię. - Spojrzał na Lucy. - Przyjechał specjalnie aż tutaj, żeby nam je zwrócić.

-A czy ustalił, czy możemy zatrzymać skrzynię? Urząd do Spraw Dziedzictwa

Narodowego nie ma nic przeciwko?

-Załatwił to już wcześniej i stwierdził, że dopóki Suzie ze sklepu albo menedżer pubu nie zgłoszą zastrzeżeń, mamy spokój. — Alex ze zmęczonym uśmiechem na twarzy spojrział na Lucy i odstawił filiżankę. - A oni wspaniałomyślnie pozwolili nam ustalić jej prawdziwe pochodzenie, choć tego, co znajduje się w środku, nie możemy sprzedać za granicę, dopóki nie przedstawimy oferty tutejszemu muzeum.

Lucy przez chwilę bez słowa spoglądała na milczącą skrzynię. Wydawała się tak niewinna, a przecież wywołała tyle walk, kłopotów, ciekawości i bólu

-oczywiście nieświadomie. Widać było na niej wyrysowany w kurzu brudny odcisk buta Fitzalana Waltersa: profesor podeptał wymalowaną w tym miejscu różę, ocierając się również o pokryte złotem i żelazne fragmenty. Może rzeczywiście ciążyła na tej skrzyni klątwa? Lucy odwróciła się i położyła dzbanek z herbatą na płycie pieca.

-Czy powinniśmy ją otworzyć? - zapytał

łagodnym tonem Alex.

-Czas wyszedł z formy. Tyle się dzisiaj wydarzyło. - Lucy podeszła do Alexa i położyła dłonie na jego ramionach, ciągle wpatrując się w skrzynię.

-Masz jakieś wieści na temat Waltersa i Guya Tempie?

-Och, nasi złoczyńcy czują się dobrze - odparł, uśmiechając się ironicznie. - McPherson aresztował kierowcę samochodu, który uparcie nie chce mówić po angielsku. Angelo jest w areszcie na posterunku Paddington Gre-

en i wygląda na to, że zostaną mu postawione *zarzuty* porwania i nieumyślnego spowodowania śmierci. Pewnie stanie przed sądem. Tempie przeszedł jeszcze jeden niezbyt mocny atak czegoś, co u normalnych ludzi nazywa się sercem. Został dzisiaj przewieziony do Brompton, gdzie możemy mieć na niego oko.

-A co z Fitzalanem Waltersem? - Lucy, błędząc gdzieś myślami, uszczypnęła Alexa w ramię. - Naprawdę myślałam, że umarł.

Alex przykrył dłońmi palce Lucy.

-Walters ma już swoje lata, więc nie wywinął się tak łatwo, ale miał szczęście, bo scyzoryk się złożył i nie wyrządził mu krzywdy podczas upadku. Zdaje się, że zlokalizowali u niego ranę - maleńkie nacięcie na nadgarstku. Ale jego EKG i USG są w porządku. Kiedy rozmawiałem rano z Amelem na temat Temple'a, zapytałem również o jego opinię na temat porażenia prądem u Waltersa. Amel twierdzi stanowczo, że u profesora wystąpią poważne uszkodzenia nerwów, ale ja nie byłbym tego taki pewien. Wygląda na to, że nie tak łatwo zabić demona! -

spróbował zażartować. - Myślę, że pewnego dnia wydobrzeje na tyle, by podjąć walkę.

-I znajdzie okazję do odwetu, i to przeciw całej naszej bandzie - powiedziała Lucy z drzeniem w głosie. Spojrzała na Alexa, ukrywając emocje. On ciągle trzymał w ręku srebrny klucz. - Chcesz otworzyć skrzynię? - zapytała.

Alexa uderzyła zasugerowana przez Lucy analogia między Fitzalanem Waltersem a Malvoliem; coś w tym rzeczywiście było. Odpowiedział jednak, rezygnując ze swego lekkiego poczucia humoru i łagodnego uśmiechu:

-Pozostali chcieliby przy tym być. Poszli się trochę przespać; zejdą później. Może jednak należałoby ograniczyć liczbę gapiów, skoro mamy zamiar zainicjować w naszej małej kuchence Pochwycenie?

-Czy tak właśnie czuła się Pandora?

Lucy się uśmiechnęła. Wstali, a ona lekko drżącymi palcami ujęła wiszący na łańcuszku wokół jej szyi złoty klucz. Alex uważnie po raz kolejny przyjrzał się skrzyni, po czym oboje nieco uroczyście włożyli srebrny klucz w srebrny zamek po jednej stronie, a złoty we właściwą

dziurkę po drugiej. Alex skinął głową; przekreślił jednocześnie swoje klucze. Mechanizm natychmiast ustąpił.

Kiedy Alex podniósł wieko, oboje odetchnęli. Cokolwiek mieściło się w skrzyni, było w niej ukryte pod grubą na kilkadziesiąt centymetrów war-

stwą gęsto upakowanych bladych płatków róży, które wypełniły powietrze wszechogarniającym zapachem perfum. Wydawało się, że w tej ciasnej przestrzeni zmieściła się szczytowa godzina, szczytowa minuta rozkwitającego w środku lata ogrodu.

- Róża - wyjaśniła Alexowi Lucy - symbolizuje to, co nie umiera. Po wiedział mi o tym Dee.

Alex spojrział na nią. Pytania wydawały się zbyteczne.

Przez chwilę oboje zaglądali do środka, nie wając się na nic więcej. Zauważyli, że choć skrzynię szczelnie wypełniały płatki kwiatów, pozostała zawartość jest w niej upakowana dosyć luźno. W końcu jednak Lucy ostrożnie zacisnęła dłoń wokół owiniętego skrawkiem papieru welurowego przedmiotu, który leżał na górze, w samym środku skrzyni. Alex zachęcił ją wzrokiem, powoli odwinęła więc przedmiot, uważając, by niczego nie uszkodzić. Pokryty jakimiś napisami papier przekazała Alexowi. Na jej otwartej dłoni leżał niewielki złoty kamień, piękny i prosty, długi na kilka centymetrów i

inkrystowany jakimś tuzinem pereł oraz tą samą liczbą rubinów. Umieszczono w nim również pojedynczy ciemny szafir. Oboje rozpoznali jego kształt: półksiężyc, ponad nim słońce, a jeszcze wyżej krzyż; kiedy spoglądało się na niego z innej perspektywy, na górze znajdowała się alfa, a na dole omega; wszystko razem spletało się w symbole Wenus i Marsa - kobiety i mężczyzny. Była to monada Johna Dee.

Na dłoni Lucy spoczywało skromne godło — hołd złożony wszystkim rodzajom wiary i religii, od antyku do nowoczesności, oraz ciągłej nadziei na to, że kiedyś wszyscy ludzie staną się braćmi. Alex pokazał jej słowa wypisane na papierze.

- To cytat, choć go nie rozpoznaję.

Lucy przeczytała na głos:

- „Jeśli macie zwyczaj czynić dwa jednością i stronę wewnętrzną czynić tak jak stronę zewnętrzną, a stronę zewnętrzną tak, jak wewnętrzną, stronę górną jak stronę dolną, i jeśli macie zwyczaj czynić to, co męskie i żeńskie jednością, aby to, co jest męskie nie było męskim,

a to, co jest żeńskie nie było żeńskim - wtedy wejdziecie do królestwa".

Spojrzeli na siebie. Oboje doskonale zrozumieli. Powinni odłożyć resztę i otworzyć ponownie skrzynię właśnie tego dnia.

Alex wziął Lucy w ramiona i trzymał ją tak przez długą chwilę. Nie odzywali się. Lucy wiedziała, że jego umysł i najgłębsze emocje krążą wokół mat-

ki, wokół Willa i wokół niej samej. Wiedziała, że emocje te są bardzo kruche, że każde słowo wiązałoby się z niepotrzebnym ryzykiem; wiedziała to, ponieważ jej własne myśli, uczucia i zmysły były bardzo podobne. W końcu Alex po prostu zapytał:

-Zrobimy to w dzień letniego przesilenia?

Odpowiedź znalazł najpierw w jej oczach. Po chwili potwierdziły ją słowa:

-U Diany, w Rajskim Ogrodzie.

- CIĄGLE ŚPI!

Lucy usłyszała odgłos otwieranych i zamykanych drzwi oraz otwieranych okiennic. Ciągle jeszcze na poły spała i dźwięki z trudem docierały do jej świadomości. Bliska paniki usiadła tak szybko, że zakręciło jej się w głowie; znajomy wazon obok nieco mniej znajomego łóżka sprawił jednak, że się uśmiechnęła. Alex zapisał swoim wiecznym piórem - co zresztą było najprawdziwszym dowodem jego uczuć - zaledwie kilka słów: „Rosa Mundi - zerwana dla mojej ukochanej, w dzień letniego przesilenia”.

Lucy wychyliła się przez okno pokoju Willa. Nagle usłyszała krótkie pukanie do drzwi i do pokoju wszedł Max. Wyciągnęła do niego rękę i stali tak przez chwilę bez słowa, obserwując rozgrywającą się poniżej scenę. Jakiś mężczyzna i dwie kobiety wnosili przez tylne drzwi do kuchni skrzynie i sprzęty niezbędne do przyjęcia.

Zauważyła, że Max jest już ubrany w elegancką marynarkę i spodnie, a w jego włosach połyskują iskierki światła. Wyglądał na syna swego ojca. Uścisnęła go.

-Tato prosił mnie, żebym ci pomógł przenieść rzeczy do jego pokoju, jak tylko będziesz gotowa. Zaraz przyjdzie Sian i razem pojedziemy na jedenastą do Chartres. Aha, i jest jeszcze ta skrzynia na dole.

Lucy przekazała chłopcu torbę podróżną i przewiesiła mu przez ramię część ubrań.

- Dzięki, Max. Możesz to zabrać? Ale sukienkę i buty zostawię tutaj, w pokoju wujka Willa. Gdyby twój tata je zobaczył, przyniosłoby to nam pecha, więc przygotuję się tutaj. Sian na pewno mi pomoże.

-Ale ja nie będę miał pecha? - Spojrzał na nią z wdziękiem, który daleko wykraczał poza to, czego można by się spodziewać po chłopcu obchodzącym niedawno ósme urodziny. Uśmiechnęła się, przesunęła palcem przy ustach, naśladowując gest zapinania zamka, co miało oznaczać bezgłośne zobowiązanie Maxa, by nie wyjawiał ojcu nawet najdrobniejszego szczegółu. Chłopiec, rozpromieniony perspektywą dopuszczenia do tajemnicy, spojrział z miną spiškowca na srebrzystą jedwabną suknię w szafie. Złączył w kółko kciuk i palec wskazujący, po czym Lucy wygoniła go z pokoju.

Było już po dziesiątej czasu francuskiego, kiedy przez otwarte drzwi przedostały się do ogrodu głosy Simona i innych nocujących w domu gošci. Kończyli właśnie śniadanie. Lucy poczuła jednak spokój i ulgę, kiedy w kuchni zastała tylko Henry'ego.

-Nie śpiesz się, Lucy. Mamy jeszcze prawie godzinę. Coś do ciebie przy szło przed chwilą.

Pokazał jej paczuszkę z kwiatami. Lucy odkleiła karteczkę. Przesyłkę nadał jej ojciec. Próbował się wytłumaczyć, dlaczego nie może się pojawić, i dodał konwencjonalne życzenia zdrowia i szczęścia. Pokazała Henry'emu karteczkę i objęła go.

-Smutno mi z jego powodu - powiedział Henry. - Ale powiem tylko: w moim życiu zostanie teraz puste miejsce..

MAŁY CHŁOPCZYK STANAŁ W CIENIU W ZACHODNIEJ NAWIE POŁUDNIOWEGO transeptu katedry w Chartres. Nad nim wisiało okno świętego Apolinarego, a obok widać było prostokątną płytę, której biel wyraźnie wyróżniała się na tle otaczających ją szarych kamieni. Również jej pozycja nie odpowiadała sąsiednim płytom. Światło sięgnęło do połączanego gwoźdźca: zbliżało się południe wigilii letniego przesilenia - najdłuższego dnia w roku. Ojciec chłopca zwrócił się do otaczającej go grupy osób:

-Drodzy przyjaciele. Przygotowaliśmy dla was mały żywy obraz z sie demnastego wieku — doprawdy cud. Jak udało się go wywołać naszym przod

kom? Zaprezentuje to państwu mój syn: *Non angli, sed angeli.*

Max rozpoczął pokaz. Kilku turystów zatrzymało się i dołączyło do oglądających.

- Szanowni państwo, już za kilka minut do katedry przez niewielki otwór w widocznym nade mną oknie - Max podniósł palec - wpadnie promień słońca. Jak w każdy dzień letniego przesilenia, dotrze do tego punktu

na posadzce. - Wskazał na metalowy pazur i kontynuował: - Jak państwo widzą, umieściliśmy tutaj wklęsłe lustro, które skieruje promień światła na zamocowany przez nas w tym miejscu kryształ.

Max przykucnął i z werwą telewizyjnego prezentera pokazał widzom odpowiednie przedmioty. Grace i Lucy wymieniły rozbawione spojrzenia. Max wyraźnie się rozkręcał.

-Ten niewielki kryształ doktora Dee - powiedział, wskazując na kamień - rozdzieli promień, którego jedna wiązka odbije się od lustra i oświetli ten tutaj biały arkusz. Druga odbije się od kolejnego lustra, tutaj, na tej płycie, którą być może kilkaset lat temu wyrzeźbił ręcznie sam Diirer. Nazywamy ją „trzecią”. Przyda nam się odrobina szczęścia — roześmiał się Max — ale jeżeli nasze obliczenia są prawidłowe, powinniśmy uzyskać obraz anioła, który uniesie się w powietrzu przed arkuszem.

Lucy zaczęła się gubić. Roześmiała się na głos - wiedza Maxa niemalże przerastała jej wiadomości. Zastanawiała się, czy troskliwy Alex do pewnego stopnia nie pozbawiał chłopca

dzieciństwa i postanowiła w miarę możliwości jak najczęściej piec z nim wspólnie ciasteczka i jeździć na rowerze.

-Przyrządy, które państwo widzą, stanowią część niedawnego znaleziska z szesnastego lub siedemnastego wieku. Dziś światło słoneczne zastąpiłybyśmy pewnie laserowym i obraz przybrałby postać fotograficznego hologramu. Chcemy się jednak przekonać, czy uda nam się uzyskać podobny efekt przy wykorzystaniu promieni słońca. Uwaga! Pokaz może się zacząć w każdej chwili.

Przez panujący w nawie półmrok przebił się nagle punkcik światła słonecznego, który przesunął się po posadzce, aż wreszcie trafił na lustro. Przez krótką chwilę - dosłownie kilka sekund - na oczach zdumionych widzów w powietrzu zawisł wodnisty obraz anioła, podobny do tego, który dwa miesiące wcześniej w noc świętego Jerzego pojawił się w dawnej sali bankietowej hotelu Biały Jeleń. Nie był tak wyrazisty, jak jego poprzednie wcielenie, kiedy

Alex w całkowitych ciemnościach wykorzystał lasery i pryzmaty, efekt był jednak urzekający. „Lucy jako anioł” pojawiła się i zniknęła, a słońce minęło południk i podążyło dalej, odtwarzając podróż, którą odbywało w tym miejscu przez setki lat, nie bawiąc się w żadne czary. Wizja wywołała aplauz widzów, dosyć cichy, bo nikt nie chciał zakłócać świętego charakteru miejsca nazbyt żywiołową reakcją.

- Nie Anglowie, lecz anieli - powtórzył Alex.

Przypadkowi widzowie zaczęli się rozchodzić, a Amel Azziz - który przyjechał eurostarem z Zariną Anwar i zdążył obejrzeć widowisko - mru-gnął do Maxa. Było oczywiste, że chłopiec miał za sobą dobrych kilka prób z ojcem, ale mimo to lekarz był pod wrażeniem. Żartobliwie przelicytował Grace - która właśnie złożyła chłopcu ofertę natychmiastowego zatrudnienia w telewizji - wychodząc z propozycją, by Max od dziś towarzyszył mu na sali operacyjnej i rozpoczął u jego boku naukę „odpowiedniej dla niego dyscypliny medycyny”, czyli oczywiście kardiochirurgii. Alex zareagował na obie propozycje wybuchem śmiechu.

Do Maxa podszedł wysoki mężczyzna i uścisnął mu dłoń.

-Maksie, Aleksie! Cóż za widzenie, pełne majestatu - jak wyraził swój podziw przed Prosperem Ferdynand!

Był to Richard Proctor, ojciec chrzestny Alexa.

To on załatwił u swojego wieloletniego przyjaciela, monsignora Jeromego, pozwolenie na pokaz. Alex się roześmiał.

-No cóż, pomimo ograniczeń związanych z

otaczającym nas światłem oraz tym, że przesilenie przypada dopiero jutro, udało nam się chyba wywołać ducha - dosłownie. Moim zdaniem Prospero byłby zadowolony: „Duchy, moją sztuką zwabione z ukryć, szczelin, zakamarków, by odegrały to, co mi się roi”.

- Czy oni naprawdę potrafili wyczarować coś takiego? Uzyskać hologram już pod koniec szesnastego wieku?

Alex, z rękami w kieszeniach, pokręcił głową.

- Skąd mielibyśmy wiedzieć? Wszystkie te przedmioty znaleźliśmy w jednej ze skrzyń. Niezależnie od tego, do czego były przeznaczone... Dee był biegłym matematykiem i potrafił z łatwością wykreślać kąty. Eksperymentował z lustrami podarowanymi mu przez Merkatora. Bruno interesował się słońcem — co jest niezwykle poruszające, jeżeli pomyśleć o tym, iż przebywał w pograżonej w ciemnościach celi inkwizycji, pozbawiony papieru i atramentu. Wiele tajemnic systemu słonecznego rozwiązał za pomocą filozofii, a nie

metodami naukowymi. Obaj mędracy odkryli na nowo, w jaki sposób Grecy i Egipcjanie wykorzystywali światło słoneczne, by przemówiły ich posągi. To oczywiście domysły, Richardzie, ale Dee projektował podobne iluzjonistyczne sztuczki dla teatru. Myślę, że to właśnie ilustrował znajdujący się tam schemat — choć dziś, z perspektywy czasu, bardzo łatwo nam o tym mówić. Ale moim zdaniem to możliwe, niezależnie od tego, czy Dee dokonał odkrycia

rozmyślnie, przez przypadek czy też dzięki interwencji aniołów. To już zresztą zupełnie inna kwestia. Alex się roześmiał.

-I sami to wykonali? - dopytywał dalej Richard.

-Bardzo wątpliwe. Żeby panować nad źródłem światła, musieliby udać się do miejsca takiego jak to. Ale sztych na szkle jest zdumiewający. Tematem *Melancholii I* Diirera są saturańskie studia nad magią, a *Melancholia II* przedstawia prawdopodobnie świętego Hieronima, patrona alchemików. Od zawsze plotkowano na temat trzeciego, zaginionego sztychu. Nasza szklana płyta opatrzona jest tylko rzymską cyfrą „III”. Może to rzeczywiście Diirer - brakujący element układanki? Na trzech poziomach inicjacji każda metoda wywołania anioła doskonale ilustrowałaby najwyższy poziom realizacji. Diirer bez wątpienia był adeptem filozofii hermetycznej. Może to Diirer, a może fałszywka — sam musisz zdecydować.

Lucy poczuła się jak zawiedzione dziecko. Pragnąc, by reagowała w naturalny sposób, Alex nie zdradził jej, co się wydarzy w komnacie w

Białym Jeleniu. Późniejsze wyjaśnienia pozostawiły zbyt dużo miejsca na domysły; podobnie jak na łodzi, Lucy czuła, że coś jeszcze jest na rzeczy.

-Aleksie, czy wizja, która pojawiła się tamtej nocy, naprawdę sprawa działa się tylko do tego?

Alex skinął głową.

-Uważasz więc, że Dee nigdy nie wywołał prawdziwego anioła? Że zawsze wiedział, że to sztuczka?

-Wy tłumaczyłbym to w inny sposób, Lucy. Kiedy pogański kandydat wkraczał do raju, miała go witać „epopteja” - wizja bogów uczestniczących w rycie inicjacji. Z różnego rodzaju misterii wiemy, że oglądaną przez kandydatów wizję w magiczny sposób wywoływał jakiś operator. Nazywano tak między innymi Dee. Prospero tym samym oczarował Mirandę i Ferdynanda, by pobłogosławić ich związek. Dee nazwałby to „weselem alchemicznym”.

-Innymi słowy, to szwindel - przerwała mu Lucy.

-Nie, wcale tak nie uważam. Dla Dee nauka

była pewną odmianą magii, jej częścią. Różnego rodzaju sztuczki, wywoływane z wykorzystaniem wiedzy matematycznej, dowodziły, że człowiek może dokonywać cudów - zupełnie jak Bóg. Potwierdzało to słusność stwierdzenia Pica, że człowiek potencjalnie stoi wyżej od aniołów, co zresztą jest bliskie filozofii Amela. Fabrykowane cuda stanowiły cienie niebiańskiej rzeczywistości. Nawet Shakespeare na-

zywał swoich aktorów „cieniami” - cieniami osób, które przedstawiają. To niezupełnie sztuczka.

-Uważam jednak, Aleksie, że niektórzy ludzie mogą zobaczyć aniołów, tak jak niektórzy są w stanie zobaczyć ducha czy „poczuć” Boga, bez potrzeby uciekania się do tego, co racjonalne. Chodzi o wiarę - coś, co kryje się gdzieś w ciemnościach i czego nie może osiągnąć oświecenie. W podobny sposób człowiek może być wrażliwy na muzykę. Tak też działa na nas katedra w Chartres. Ciemność jest mistyczna, podobnie jak światło czy nieskończoność Bruna. Dzięki niej coś w nas może się skryzalizować, jeżeli oczywiście pozwolimy samym sobie odpowiedzieć na jej subtelne wezwanie.

Amel, który słuchał uważnie Lucy, położył jej rękę na ramieniu.

-Masz rację, a w każdym razie ja myślę podobnie. Eliot powiedział kiedyś, że powinniśmy być cisi i pozwolić, by opadła na nas

nieskończona ciemność Boga. Dzięki witrażom możemy przesiąknąć cudownym światłem, a ich subtelne wibracje rzeczywiście są jak muzyka. Jeżeli je widzimy — słyszymy, czujemy - to już jest dobrze; kiedy potrafimy na nie odpowiedzieć, wступujemy w dostępne nam boskie rejony.

-To prawda - zgodził się Alex. - Jeżeli aniołowie, duchy, bogowie mieszczą się w granicach wyznaczonych przez możliwości naszego poznania, to ich zobaczymy. Jeżeli nie są częścią naszego myślenia — nie. Niektórzy ludzie wydają się dokonywać ich projekcji, sprawiać, że duchy stają się realne. Inni są wrażliwi na to, co moja matka nazywała przenikającymi nas „prądami tel-lurycznymi”. Ty właśnie należysz do tego gatunku osób, Lucy, i w jakiś doniosły, widzialny, oświecony sposób potrafisz doświadczać tego co nierealne. Koniec końców, któż jest w stanie rozstrzygnąć, który sposób postrzegania jest prawidłowy, a który zwyczajną iluzją?

Lucy pocałowała go. Każde z nich patrzyło na świat w nieco inny sposób, ale oboje wzajemnie akceptowali wrażliwość tej drugiej osoby. Od

chwili, gdy zapadła na swoją chorobę, była pewna tego, co widziała i żywo reagowała na otaczający ją świat; kiedy jednak wokół nie czaiło się nic groźnego, nie czuła potrzeby straszenia innych, wewnętrznego przymusu, by przekonać Alexa do swojej własnej wizji. Dwudziesty trzeci dzień kwietnia, dzień śmierci Shakespeare'a, dzień świętego Jerzego, dzień trzydziestego czwartego stopnia zodiaku, pozwolił jej przekroczyć granicę między światami — uległa wizji, którą zresztą podzielił z nią Tempie, co skończyło się bardzo niedobrze dla jego zdrowia. Nie potrafiła tego w pełni wytłumaczyć Alexowi ani też

opisać mu zapachu róży, który ją dręczył, czy światła, które często widywała, a które niektórzy ludzie mogliby uznać za anioła. Alex na tyle szanował jej inteligencję, by pozwolić jej zagłębić się w świat duchów. Zawsze jej słuchał i nigdy nie próbował wykorzystać swego intelektu, by odrzucać jej perspektywę. Dzięki temu uważała go za jedyne naprawdę silnego mężczyznę, jakiego w życiu spotkała.

PODCZAS GDY MAX ZE SWOIM DZIADKIEM PAKOWALI INSTRUMENTY, A RESZTA ferajny zwiedzała katedrę, Alex podszedł z Lucy do labiryntu, który poprzedniego dnia wspólnie przeszli. Później ojciec chrzestny Alexa i monsignor katedry przedstawili im swoje opinie na niektóre z frapujących ich pytań. Taki sam labirynt widniał w Lukce, gdzie był wyrzeźbiony na filarze. Zdobila go łacińska inskrypcja, której treść można było przetłumaczyć w następujący sposób: „Labirynt ten stworzył Dedal, Kreteńczyk. Nikt jeszcze nie znalazł z niego wyjścia z wyjątkiem Tezeusza, który wydostał się zeń dzięki Ariadnie i jej nici”.

Monsignor wyjaśnił im, iż znaczenie labiryntu

w Chartres mogło się wiązać z metaforą duszy, która wędrując po krętych ścieżkach życia, musi walczyć z wewnętrznymi demonami; z walką, która rozpoczęła się od Adama i Ewy, przedstawionych na oknie powyżej. Zwycięstwo Tezeusza, świętego Jerzego oraz Chrystusa na pustkowiu wyrażało nadzieję na to, iż dusza może osiągnąć raj; a Ariadna i jej nić oznaczały Łaskę Boską - ścieżkę ku odkupieniu człowieka. Zawsze to rodzaj żeński, pomyślała Lucy.

W oczach Alexa idee te wiązały się z Lucy wyłaniającą się z labiryntu, z odnowioną w niej nadzieją na odnalezienie raju; odczytał to również jako wskazówkę, iż to ona trzyma dla niego nitkę, by wyprowadzić go z długiej zimy, w jakiej się pograżył. Poprzedniego dnia Lucy przekonała go, że w labiryncie drzemie moc ożywiania alchemii. Labirynt mógł wyleczyć duszę, powodować zmiany w postrzeganiu oraz odczuwaniu rzeczywistości — jeżeli tylko człowiek się na niego otworzył. Na pewno moc ta okazała się decydująca dla Lucy; ona z kolei uważała, że podobnie było w wypadku Willa. Białe róże Sian, wyjaśniła Alexowi, miały być hołdem złożonym

rodzącej się w niej żeńskiej sile, której jeszcze nie zdołała w sobie odkryć. Wyrażały też bezwarunkową — czy nawet pełną namiętności - miłość Willa. Sian miała jeszcze kiedyś dotrzeć do tej najważniejszej części siebie - właśnie zaczynała.

Labirynt uosabiał wspólną kanwę wszystkich przekonań; i choć jego aktualne rozmieszczenie nie pozwalało podziwiać pięknej, wijącej się w nim

ścieżki, jego przypominający różę kształt poprzedniego dnia napełnił serce Alexa niespodziewanym uczuciem przyjemności. Podążał ze swoją ukochaną wzdłuż jego zakrętów, szukał przyczajonych w wielkiej budowli matematycznych zagadek, a jego stopy odliczały każdy zakręt przybliżający ich do środka. Wiedział doskonale, ile ich musi minąć: trzydzieści cztery zakręty zaprowadziły ich do serca labiryntu, trzydzieści cztery zawiodły do wyjścia. Tajemnicza świątynia została postawiona na osi słońca, księżyca i świata. W tym miejscu można było przecinać czas i przestrzeń, czerpać z wiedzy, pochodzącej z zupełnie innej sfery — wystarczyło w to uwierzyć.

Teraz, kiedy spoglądali w górę na kolorowe anioły, obserwujące ich z pięknej rozety przedstawiającej Sąd Ostateczny, Alex objął Lucy w talii. Jej perfumy o charakterystycznym zapachu wywołały na jego ustach uśmiech. Nagle do ich uszu dobiegła rozmowa, znajomy już głos amerykańskiego kuzyna Alexa, żarliwie tłumaczącego coś Henry'emu, Maxowi i Sian, której rękę trzymał mocno w swojej dłoni. Oni

również kontemplowali piękno Okna Sądu Ostatecznego.

— Ich idee zakładają całkowity egoizm. Filozofia rapturystów wymaga konsekwentnie negatywnej, szowinistycznej, apokaliptycznej interpretacji starotestamentowych prorocत्व. Walters i jemu podobni marginalizują chrześcijańskie przesłanie łaski dla wszystkich, sprawiedliwości dla wszelkich przedstawicieli rodzaju ludzkiego. Niestety, jak już wiecie od Simona, w moim kraju znajdują oni dzisiaj wiele łatwowiernych uszu, a nasz prezydent otwarcie przyznaje się do wspólnoty przekonań z nimi. Musimy znaleźć jakiś sposób, by ich powstrzymać, by monitorować ich wpływy, w przeciwnym razie efekty ich niszczycielskich działań zagrożą nie tylko przyszłości chrześcijaństwa, ale i wszystkim wysiłkom, których celem jest zaprowadzenie na świecie religijnej harmonii.

Simon, na którego nikt nie zwracał uwagi, stał

trochę z boku. Słowa Calvina uświadomiły mu jego własne uprzedzenia; podszedł do młodego teologa, spojrzął na niego i stwierdził, że jego oczy są bardzo podobne do oczu Alexa i Willa. Gestem, który w zamiarze miał być daleki od sentymentalizmu, ucisnął dłoń Calvina i potrząsnął nią mocno, po czym odwrócił wzrok i spojrzął z powrotem na różaną szybę.

- Powinniśmy też pamiętać - dodał Henry, wiedząc, że obserwuje ich z nawy jakiś milczący obcy — że nawet jeżeli zapadli się teraz pod ziemię, nawet jeżeli profesor po zwolnieniu ze szpitala uda się do swoich znajomych

w Waszyngtonie, dysponując jedynie garścią niespełnionych obietnic, ciągle są tutaj. Ci wyznawcy Pochwycenia z determinacją pragną dokopać się do „siódmej czary”. Pragną wojny.

Lucy usłyszała słowa Henry'ego i przeszły ją ciarki, jakby zobaczyła ducha. Czuła silny uścisk Alexa, zastanawiała się jednak, czy udało im się już wydostać z labiryntu, czy też ciągle znajdowali się w pułapce jego ostatniego, ukrytego zakrętu.

DOCHODZIŁA DRUGA, KIEDY ALEX I LUCY POPROWADZILI PROCESJĘ SWOICH przyjaciół i krewnych do merostwa w centrum miasteczka; o czwartej byli w L'Aigle. W ogrodzie Simon zauważył skapanego w słonecznym świetle ducha i zawołał gospodarzy. Jedynie Alexa nie zdziwiła jego mało zresztą upiorna postać. Przedstawił Lucy młodej kobiecie, której zapadająca w pamięć twarz ożywiła w umysłach wszystkich dziewczynę ze zdjęć Willa z Sycylii.

— *Mi dispiace, Laura. Non parlo bene Italiano, ma, le presento sua sorella, Lucia* — Lucy.

Lucy, pogrążona w głębokim szoku, spoglądała

to na swojego mężczyznę, to na dziewczynę. Nowo przybyła roześmiała się i zapewniła, że Alex mówi po włosku wcale nie gorzej od brata, po czym przeszła na angielski, którym władała całkiem swobodnie. Oboje zaczęli gubić się w wyjaśnieniach, które przykuły uwagę wszystkich - jednak najbardziej Lucy. Okazało się, że Alex kilka tygodni wcześniej zajrzał w szpitalne akta i zadzwonił do jej ojca w Sydney, informując go o planie na lato i prosząc, by przyjechał i towarzyszył córce. Zapewnił Lucy, że jej ojciec odmówił z autentycznym żalem. Uprzejmy i przekonujący doktor Stafford nie poprzestał jednak na tym i nakłonił ojca Lucy, by dla jej dobra wyjawiał mu kilka sekretów. Ten podał mu adres. Alex zaczął dyskretnie działać, na razie nie wzbudzając nadziei Lucy. Wytropił dawną Sofię King, która mieszkała teraz w San Giuliano Terme w Toskanii i używała panińskiego nazwiska Bassano. Wzruszona odpowiedziała Alexowi, wysyłając mu zdjęcie swoje i swojej córki, Laury, która jej zdaniem urodą bardzo przypominała piękną Lucy. Nie mogła wyjść za ojca Laury, ponieważ były mąż uparcie i złośliwie uniemożli-

wiał jej rozwód, odmawiając jednocześnie kontaktów z ich wspólnym dzieckiem. Te dwa czynniki pogłębiły rozdzźwięk między nimi.

Alex zareagował na zdjęcie niezwykle emocjonalnie. Rozpoznał na nim dziewczynę z łodzi z potarganymi warkoczami, opadającymi aż do bioder, i twarzą bardzo podobną do Lucy. Dziwnym zbiegiem okoliczności pewnego

dnia na wybrzeżu w Syrakuzach jego brat spotkał jej siostrę. Nic więcej nie można było do tego dodać — żadnej tajemniczej historii z wyjątkiem samego faktu dziwnego spotkania. Jednak w nowej perspektywie Alexa przestrzeń dla wszelkich niespodzianek gwałtownie się skurczyła.

- Lucy, przysięgam, im usilniej próbowała się z tobą kontaktować, tym bardziej on się wściekał. Zagroził jej, że odreaguje to na tobie.

W głosie Laury słyhać było akcent, ale po angielsku mówiła płynnie i wyraźnie. Lucy pomyślała, że przyjazd tutaj musiał od niej wymagać sporo odwagi; objęła w milczeniu swoją nieznaną siostrę.

Jeszcze zanim zdążyły wymienić po pełnym zdaniu, obie odnalazły wspólny język - miały sobie wiele do opowiedzenia. Z tego co wiedział Alex, Sofia, pełna obaw, planowała odwiedzić Lucy w Londynie w ciągu miesiąca; od lat wyobrażała sobie ich spotkanie, ale nie chciała zakłócać najważniejszego dnia w życiu córki traumami sięgającymi ich przeszłości.

W końcu Alex podchwycił wzrok Lucy i poklepał ręką zegarek. Minęła piąta. Lucy odwróciła się i pocałowała go bez słowa. Udało mu się ją całkowicie zaskoczyć; bywał czasem nieprzenikniony i skryty, pomimo wytwornej batystowej koszuli i kremowego lnianego garnituru oraz blasku, który bił od niego jak zawsze. Często dostrzegała ten paradoks. Uśmiechnęła się do siebie i zniknęła na schodach z Grace i Sian. Godzinę później, mając już na sobie prostą, doskonale dopasowaną, długą do kolan perłowszarą jedwabną suknię, której odcień Alex opisałby jako „kolor księżycowego światła”, dołączyła do niego w węzłowym ogrodzie. Słońce niemal już zaszło. Na jej gorsecie, tak jak u kobiety z portretu w Longparish, wyhaftowane było drzewko morwy; jej włosy związane były wysoko w spletany w warkocz kok, przytrzymywany przez piękny elżbietkański kamień; w dłoniach trzymała gardenie, które Laura przywiozła jej z ogrodu ich matki. Na oczach Wenus i setek pachnących róż przyjaciel Henry'ego z Deanery w Winchester rozpoczął cywilny obrządek ślubu Lucy King i Alexandra

Stafforda.

- Wojna skończona! - powiedział Henry, po czym uściśnął syna i ucałował pannę młodą.

ZBLIŻAŁ SIĘ ZMIERZCH. PO ZAKOŃCZENIU PROSTEJ CEREMONII PONAD TRZYDZIESTU gości zgromadziło się w ogrodzie na szampana przed kolacją. Simon, który pełnił funkcję drużby, zdołał jakoś poskromić wrodzoną gadatliwość. Starannie dobierając słowa, zaproponował skromny toast: za mężczyznę, który stał się jego najdroższym przyjacielem oraz niezwykłą kobietę obok niego.

-Aleksie, błogosławimy dzień, w którym anioł wkroczył w twoje życie.
"Prawdziwy anioł, nie hologram.

Simon uklonił się Lucy, a ona oddała mu pozornie skromny, ale mimo to pełen wdzięku uśmiech. Podniósł lampkę, pozwalając, by chór gości powtórzył za nim:

-Za Alexa i Lucy!

Do przodu wysunął się nieśmiało Calvin, spoglądając pytającym wzrokiem na Simona i usiłując zgadnąć, czy jego przemówienie nie byłoby nadużyciem. Simon życzliwie skinął głową, młodzieniec zwrócił się więc do Alexa i Lucy:

-Nie znam was zbyt długo, ale mam nadzieję, że wkrótce poznamy się lepiej. - Sian wyglądała na zadowoloną; ale wydawało się, że słowa Calvina sprawiły przyjemność również państwu młodym. - Małżeństwo - kontynuował Calvin - to bardzo odważny krok. Duże zobowiązanie. Myślę jednak, że spodobają się wam słowa gnostyckiej Ewangelii Tomasza, które chciał

bym przytoczyć. Wiem, że nie jesteś wierzący, Aleksie, ale wydaje mi się, że będą one miały dla ciebie szczególne znaczenie. - Odchrząknął. — „Jeśli ma cie zwyczaj czynić dwa jednością i stroną wewnętrzną czynić tak, jak stronę zewnętrzną...”

Alex i Lucy, słuchając, jak Calvin intonuje słowa, które znaleźli tuż pod wiekiem skrzyni Johna Dee, wypisane na kartce owiniętej wokół kamienia, uścisnęli swoje dłonie. Nikt poza nimi nie widział tego cytatu. Skrzynia, aż do tej pory, aż do tego dnia, leżała zamknięta. Wydawało się niemożliwe, by Calvin wiedział, by świadomie wybrał dokładnie te same słowa. A może, pomyślał Alex, nie było rzeczy niemożliwych.

Calvin skończył i wzniósł toast:

-Za dwoje, którzy stali się jednością.

Kiedy umilkł ściszony pomruk, również Amel Azziz pokazał, że pragnie coś powiedzieć, najwyraźniej pod wpływem atmosfery i zapachu ogrodu, pogrążającego się w półmroku wczesnego wieczoru.

-Mogę zaproponować własny toast? - Jego

oczy błyszczały jak zawsze,
a on sam wyglądał na równie rozpromienionego
obrotem wydarzeń jak
Henry; Alex był dla niego kimś wyjątkowym;
Amel uważał, że zasługuje na
Lucy. Wywołała w nim bardzo subtelną zmianę,
co Amel zauważył z dużą
radością. Podniósł lampkę z szampanem i
powiedział, wyraźnie oddzielając
poszczególne słowa: - „W bolesnej bieli tej suchej
pustyni straciłem zmysły,

lecz znalazłem różę". To słowa poety sufickiego Rumiego. Aleksie, myślę, że są niezwykle trafne. Wzniósł toast:

- Za Alexa i jego różę!

Pozostali podchwycili jego słowa.

- Dziękuję, Amelu.

Lucy uścisnęła go mocno.

Och, róża na skrzyni, pomyślała nagle Grace, ocierając łzę. Podchwyciła wzrok swojej najlepszej przyjaciółki i spojrzała na nią błagalnie. Kiedy goście zaczęli z sobą gawędzić, zapytała ją:

- Lucy, powiedz mi wreszcie, co jest w skrzyni! Poza tym pięknym kamieniem w twoich włosach, oczywiście. Kazaliście nam czekać aż do dziś! Obiecaliście, że ją dzisiaj otworzymy!

- Ja też nie wiem, co jest w środku, Grace. Podejrzewam, że więcej pytań niż odpowiedzi — wiele ważnych pytań, nad którymi należy się zastanowić. Na tym polega prawdziwy skarb. - Lucy uśmiechnęła się do Alexa. - Ale jeśli chodzi o jej materialną zawartość - myślę, że

powinniśmy się o tym wreszcie przekonać, tak jak obiecaliśmy.

Jakaś kobieta wyszła z domu, zbliżyła się do Henry'ego i rozmawiała z nim przez chwilę. Henry zarządził, by towarzystwo udało się do stołu w pachnącej cytrusami oranżerii. Gości poprowadzili Simon i Grace - prosząc Alexa i Lucy, by zgodnie z tradycją udali się tam jako ostatni. Wręczyli każdemu po zapalanej świeczce, którą należało postawić przed sobą na długim stojaku. Rząd świateł zniknął we wnętrzu w domu, rozdwajając się, pomnażając w szybach oranżerii. Henry jako ostatnią zaprowadził do środka Laureę. Na tle okien zarysowały się stare skrzynie - w tym ta z zerwanym sznurem, dzięki której Alexowi udało się wywołać „anioła”.

Alex i Lucy zwlekali jeszcze chwilę w ogrodzie Diany, trzymając w dłoniach po lampce szampana.

-Mamy swój własny sen nocy letniej, Aleksie, i to tuż przed przesileniem. Rozegra się po północy w tym ogrodzie walki dobra ze złem, gdzie wszystko jest tajemnicze i odwrócone - powiedziała świeżo

upieczona pani Stafford.

Oparła się o niego, przesuwając palcem wzdłuż lustrzanej krawędzi fontanny. Tej nocy, bardziej niż kiedykolwiek, z Alexa promieniowało coś, co Lucy nazywała „światlistością”. Na jego ustach błąkał się uśmiech.

-Upijesz się dzisiaj, Lucy? Nigdy nie widziałem cię pijanej.

Roześmiała się i stanowczo pokręciła głową.

-Myślisz, że powinnam? Chcę zapamiętać każdą godzinę tej nocy - całą noc.

Alex już od popołudnia chciał jej coś powiedzieć, czekając tylko na chwilę, kiedy znajdą się sam na sam; powiedział to teraz, mając nadzieję, że nie zmąci to jej nastroju:

-Lucy, przykro mi, że twoja matka nie przyjechała z Laurą. To jedyna rzecz, o której marzyłem, żebyś mogła doprowadzić ją do końca; znaleźć ją.

Ach tak, Laura, pomyślała Lucy i uśmiechnęła się szelmowsko do męża. Pomyślała jednak, że to nie pora na tego rodzaju pytania i odstawiła swoją lampkę na brzeg fontanny. Ujęła twarz Alexa w dłonie i potrząsnęła delikatnie jego głową.

-Nie rozumiesz tego, Aleksie Stafford?

Znalazłam ją. Tutaj.

Patrzyła, jak uśmiecha się z ulgą, jak jego usta układają się w słowo:

„tak”, potwierdzając, że zrozumiał. Diana stała się w jej życiu tą osobą bardziej niż ktokolwiek inny.

-Za Dianę - powiedziała. — Za pluralizm religii; i za unikanie dogmatów w stosunku do tego, czego nie wiemy na pewno. - Zauważyła, że jej lampka jest już prawie pusta, zabrała więc jego kieliszek i ze śmiechem go opróżniła.

— Ale czy ludzie potrafią to zrozumieć?

- Czy władające nimi rządy zechcą im w tym pomóc?

Lucy oparła się o niego jeszcze mocniej.

- No cóż, moim zdaniem do tego właśnie sprowadza się dziedzictwo naszej skrzyni. Wiem już teraz, że Simon, Grace, Calvin, ty i ja oraz wszyscy myślący tak jak my - że powinniśmy ogłosić całemu światu, jak przerażający wpływ mają ci ludzie na politykę, na prawo, na wolność naszego wyboru. Żadna religia nie ma monopolu na fundamentalizm. W Apokalipsie Jezus jest bohaterem, z którego ust „wychodzi ostry miecz” - mam nadzieję, że możemy zorganizować skuteczną kontrofensywę za

pomocą własnych słów.

Lucy dotknęła pięknej monady, zdobiącej jej włosy, którą uznała za prezent ślubny od Johna Dee i Prospera. Niezależnie od tego, czy była w niej zawarta prawdziwa magia, Lucy przyjmowała w całej rozciągłości jej symbolikę; od tamtego poranka w Longparish nosiła ją zawsze przy sobie, w tym lub w innym miejscu. Amulet uczył ją, by godzić się z tym, co wydawało się przeciwieństwem jej samej, by przyjmować również to, co „obce” czy „inne”. Rozmyślała nad wpisaną weń ideą: że to, co wewnętrzne, powinno być jak to,

co na zewnątrz, a to, co żeńskie, ma być jak to, co męskie; pragnęła odnaleźć sposób, by tę trudną ideę zamienić w rzeczywistość. I udało jej się.

Po długiej, trudnej rozmowie i ostatecznej aprobachie Alexa, udała się do Jamesa Lovella, by omówić zmiany w procesie leczenia. Była przekonana, iż z racji tego, że odczuwa tak silne psychiczne pokrewieństwo z Willem, może ograniczyć przyjmowanie immunosupresantów do minimum. Było to niekonwencjonalne posunięcie, ale miała za sobą poważne argumenty, zwłaszcza odnoszące się do jej zdrowia w późniejszym okresie - do możliwości zajścia w ciążę. Udało jej się przekonać lekarzy. Krok po kroku całkowicie wyeliminowali z jej kuracji inhibitory kalcyneuryny, zastępując je nowszym sirolimusem, który miał być łagodniejszy dla jej nerek i zmniejszyć ryzyko późniejszej choroby wieńcowej. Lek ten ciągle pozostawał w fazie testów, więc Alex bardzo się niepokoił, ale okazało się, że po prawie dwóch miesiącach kuracji Lucy tryska zdrowiem. Była przekonana, że jest w stanie poradzić sobie w ogóle bez leków; Alex wolał jednak nie ryzykować, uznała więc to

swoje zwycięstwo za pierwszy krok i postanowiła się przekonać, co się wydarzy dalej. Nie groziło jej odrzucenie organu, była o tym przekonana. Pokochała Willa jako część siebie.

-To istny labirynt. Chciałabym, żeby wiara Dee w nas okazała się uzasadniona, że po czterystu latach będziemy gotowi na przyjęcie zaszyfrowanego przesłania, choć może to wymagać pewnego wysiłku. Ale czy nie przekonaliśmy się, że to, co już dawniej było palącą kwestią, dziś jest nią w jeszcze większym stopniu? Czy ludzie pokroju Waltersa nie są nadal przywiązani do mściwych i zazdrosnych bogów i nie wykorzystują ich do własnych pokrętnych celów?

-Kiedy zaś miłość przemówi, Lucy, „w jej głosie chór bogów słodką harmonią usypia niebo”. Jeżeli stracone zachody miłości wcale nie są stracone, to być może odnajdziemy odpowiedź. - Alex roześmiał się ze swadą, po czym pokręcił głową. - W każdym razie, moja Ariadno - a chciałbym podkreślić, że jesteś dla mnie boginią, a nie aniołem - udało ci się nas z tego wyprowadzić. Choć może czekają na nas

kolejne zagadki.

Alex znowu się roześmiał, choć tym razem z pewnym niepokojem.

- „Labirynt” - zacytowała Lucy z pamięci - „to skomplikowany układ wielu przejść, w którym trudno odnaleźć właściwą drogę. Skomplikowana sytuacja, z której trudno znaleźć wyjście”. - Pocałowała namiętnie Alexa, po czym zapytała go z szelmowskim uśmiechem: — Ale czyż stałość twa obieg mój uściśli?

Alexowi udało się odzyskać oddech.

- I każe skończyć, gdzie zacząłem?

Lucy wzięła go za rękę i poprowadziła w stronę migoczącego światła.

Epilog

DZIEŃ ŚWIĘTEGO JERZEGO, 1609 R.

- I W TEN OTO SPOSÓB, DRODZY PANOWIE I PIĘKNE MOJE PANIE - STRACONYM Zachodom Miłości szczęśliwy nadszedł kres.

Mówca wykonuje wymyślny ukłon.

Ręce wznoszą się do oklasków, śmiech ogarnia zgromadzonych przy długiej ławie gości. W żółtawym świetle świec wino znika w złaknionych ustach.

— *Wiemy, że lubujesz się w swych słownych igraszkach; ale „Nowy Jork”?*
- ktoś pyta.

— *I „Tick Tock”?* — *dodaje kolejny z gości.*
Raz jeszcze wybuchają drwiny, a mężczyzna palący fajkę postanawia podsumować toczoną na żarty dyskusję:

— *„Gotowość do Pochwycenia” — zaiste, wyborna krotchwila.*

— *Ale, Will, kiedyż to się skończy? I czy to*

*się skończy? Ciemnowłosa, ciemnooka
piękność, zasiadająca na końcu stołu, unosi
dłoń,*

*by wręczyć Willowi bogato wyszywaną chustkę.
Will ostrożnie owija ją wokół róży francuskiej o
korzennym zapachu i zaciska dwoma kosmykami
włosów —jednym ciemnym, drugim jasnym —po
czym wkłada zawiniątko do czegoś, co wygląda
jak skrzynia na rekwizyty.*

*— I róża czerwona, w dzień letniego
przesilenia zerwana - zwraca się do
damy. Jego głos błądzi przez chwilę, po czym
Will zwraca się do niej z twarzą
ożywioną i pełną radości. - Potrzeba jej dwunastu
miesięcy i dnia, zanim nadej-
dzie kres. I Willowi też. Choć gdy o nim mowa,
pytanie, jak długo trwać może*

owo „dwanaście miesięcy”, spowija wciąż tajemnica. W teatrze życie całe godzinę trwać może. Dziewięć wiosen minęło, odkąd myśl o sztuce tej w głowach nam zaświtała. Jej ramy wymknąć się mogą rozumowi męża.

— I żony. Ale na jak długo starczy wątek?
— kusi Willa dama, wskazując puste miejsce u szczytu stołu. — Czym stanie się jego serce? Czy rozkwitnie tam, gdzie je posiano?

— Mówisz, pani, o sercu? Jak biały jeleń rączym? O sercu, co jej jest teraz, a jego niegdyś było? O sercu, co jego niegdyś było... - dłoń Willa, śladem poprzedniczki, biegnie w stronę pustego miejsca — a jej rzec ma dzisiaj, gdzie ukryć się chciało? O sercu, co moim było, a które, pani, skraść mi zdołałaś? O sercu, co jego jest, a darem się staje przesilenia nocą? O sercu, co w jej piersiach bije - o sercu w skrzyni drewnianej złożonym, które bić już nie może? Zaiste, drżą serca, gdy bije serce — złamane, gdy bić przestanie. A wszystkie serca są jednym sercem.

Ciemnowłosa towarzyszka upomina go wzniesionym palcem, on jednak nie zważa na to.

— Nie, o pani. Serce doktora w

*ciemnościach spoczywa czas jakiś i światła
czeka, w okowach żelaznej piersi Mądrości bije.
Lecz sił nabrawszy, znów ży
wym się staje i sił nie traci wśród słów labiryntu.
I żarem raz jeszcze zapłonie,
choć spłonąć nie może — żelaznych serc nie ima
się płomień.*

*Dama zbywa jego grę słów kolejnym
lekceważącym gestem dłoni i zwraca się do niego
z ożywieniem:*

*— Lecz, mój szermierzu słowa, nie rzekłeś
nam jeszcze, jak wielu mężów
wiara nienawidzić uczy, gdy miłości w nich
zasiać nie może. Czyż zawsze tak
będzie? Czy nie nadejdzie czas, gdy mędrzy świata
tego odłożą broń frazesu, serce
i rozum na świeżą myśl otwierając? Granice
wąskiego świata poszerzą?*

*Ze zbolatą twarzą wręcza Willowi niewielki
portret.*

*— Nie, nie to, o pani. To niechaj się stanie
wraz z Króla Księżą wieczystą
dziedziną kolejnych pokoleń. Twój gorset, o pani,
odstania rebus, odpowiedź na*

wszystkie zagadki. Z tą podobizną nie mogę się rozstać.

Odkłada portrecik na bok.

— *To tylko kopia, Will. Zbyt wielką wagę w twych oczach posiadała.*

— *Kopia, lecz moja — podkreśla Will, powracając do wypełniania skrzyni. — Dodajmy jeszcze szlachetną monadę, którą królowej wręczył w dzień jej koronacji, i której strzec mu kazała w godzinie swej śmierci. I nieukończoną mą sztukę, złamaną laskę, i kryształową kulę, co wedle słów jego ze świata innego pochodzi. Wszak się zaklinał, iż anioła jest darem — tak jak przesłanie, które*

człek pojąć może, gdy ostatnią zagadkę jego rozwiąże: gdy biała róża rozkwitnie w domu barwy tej samej, w kraju, w którym jej kwiat godłem się stanie.

Mistrzynie Bessano wkłada otuloną w rękawiczkę dłoń wymienione przez Willa przedmioty do wypełnionego różami kufra, po czym stawiają obok o wiele cięższej, owiniętej sznurem skrzyni.

— *A tu niechaj spocznie anioł...*

—*Ale wracając do twych słów, o pani — podejmuje wątek jej towarzysz — tak, takie czasy nadejdą kiedyś. Zapisano to tutaj. Nasz dobry doktor głosi, iż kiedyś nadejdą... —przerywa, by przeczytać pergamin, który przekazuje następnie Mistrzynie. —„Kiedy Astrea powstanie, Wschód Zachodu na Zachodzie. Spójrz zatem, niech połączy się z Willem — wielkim Willem, Willem o wielkiej, siejącej pokój woli. Ten ptak w garści wart jest dwóch, a zatem jasne Słońce pojawi się znów, by użyzyć swej mocy dobremu Księżycowi. Niech więc kroczy już nasza niebiańska para; a wtedy —gdy mędrców ogarnie najzimniejszy z miesięcy—styczniowy semestr Oxfordu i Prawa —*

zeloci poczują niech srogą zimę; inni narodziny wiosny".

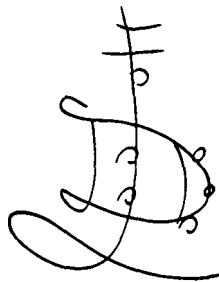
— *Nasz dobry cieniu, to zbyt długie na sztukę. A jeśli nie zostawisz im słów, jak ról się wyuczają?*

— *Improwizacja, o pani. Ich role ukulem z Mądrości, niech więc nimi żyją.*

Mistrzyni Bessano czyta na głos ostatnie słowa, w żółtawym świetle kurczących się świec:

„Zarówno siostrą jest, jak i panną młodą, i cenniejszą od rubinów. Wszystko, czego człek pożądać pragnie, równać się z nią nie może. Jej ścieżki ścieżkami rozkoszy są, a wszystkie jej ścieżki pokojem".

Oboje biorą w dłonie klucz: i z obu stron zamykają skrzynię.



Nota od Autorki

NA POCZĄTKU SIEDEMNASTEGO WIEKU JOHN DEE WIELE SWOICH DOKUMENTÓW

-w tym te, w których zdawał relację z tak zwanych seansów z aniołami — za kopał gdzieś na polach niedaleko swego domu w Mortlake. Część z nich odnalazł sir Robert Cotton, wątpliwe jednak czy zdołały ocaleć. Nie wiadomo, gdzie znajdują się księgi pochodzące z rozproszonych zbiorów Dee; różne tomy od czasu do czasu pojawiają się w nieoczekiwanych miejscach.

W grudniu 2004 roku z Muzeum Nauki w South Kensington skradziono należącą do Johna Dee kryształową kulę. Kiedy pisałam tę książkę, udało się ją odzyskać — wraz z dwoma renesansowymi portretami pochodzącymi ze zbiorów Muzeum Wiktorii i Alberta. Sprawa nie trafiła jeszcze do sądu, nie pojawiły się też żadne nowe informacje.

Nazwisko Giordana Bruna pojawiło się ostatnio w gronie kandydatów do beatyfikacji; poświęcony mu pomnik stoi w Rzymie na Campo de' Fiori -placu, na którym został spalony.

Apokaliptyczne powieści wykorzystujące wątek Pochwycenia sprzedają się na świecie w milionach egzemplarzy, zdobywając kolejnych wyznawców zapowiadającego je proroctwa. Są popularne zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, gdzie do ich czytelników zalicza się sam prezydent.

Nad „pamięcią komórkową” ciągle prowadzone są badania naukowe. Nie osiągnięto jeszcze żadnego consensusu na jej temat i badacze nie są zgodni, czy jest to aberracja, dające się naukowo wyjaśnić zjawisko, czy też mit oparty na błędnej interpretacji „wyników badań”.

Bibliografia

A Brother of the Fraternity, [w] Secret Symbols of the Rosicrucians of the 16th and 17th

Centuries. Reprint: Kessinger Publications (brak daty)

Harold Bayley, *The Hidden Symbols of the Rosicrucians*, 1903. Reprint: Sure Fire Press, 1988

Ean Begg, *Myth and Today's Consciousness*, Coventure, London, 1984

John Bossy, *Giordano Bruno and the Embassy Affair*, Yale, 1991

Louis Charpentier, *The Mysteries of Chartres Cathedral*, przeł. sir Ronald Fraser, 1972.

Thorsons, 1988

Dr John Dee, *The Hieroglyphic Monad*, Weiser Books, 2000

John Donne, *Selected Poems*, Everyman, 1997

Rex Gibson (red.), *Shakespeare: The Sonnets*, Cambridge University Press, 1997

James Hall, *Dictionary of Subjects and Symbols in Art*, 1974. Reprint: John Murray, 1985

Marc Edmund Jones, *The Sabian Symbols in*

Astrology, 1953. Shambahla, 1978
Esther Kaplan, *With God on their Side: George W. Bush and the Christian Right*, The New Press, 2004, 2005
Gabriel Garcia Marquez, *One Hundred Years of Solitude*, Penguin, 1998
J. H. Peterson (red.), *John Dee's Five Books of Mystery: Original Sourcebook of Enochian Magic*, Weiser, 2003
Barbara R. Rossing, *The Rapture Exposed: The Message of Hope in the Book of Revelations*, Basic Books, 2005
Stephen Sizer, *Christian Zionism*, Inter-Varsity Press, Leicester, England, 2004
Colin Still, *Shakespeare's Mystery Play: a Study of The Tempest*, I wyd.: Cecil Gordon Strachan, *Chartres: Sacred Geometry, Sacred Space*, Floris Books, 2003
Palmer, London, 1921. Reprint: Kessinger Publishing (brak daty)
Benjamin Woolley, *The Queeni Conjuron The Life and Magic of Dr Dee*, 2001 Reprinted Flamingo, 2002

Frances Yates, *The Rosicrucian Enlightenment*,
Routledge, 1972

Frances Yates, *The Occult Philosophy in the Elizabethan Age*, Routledge, 1979

Frances Yates, *Giordano Bruno and the Hermetic Tradition*, 1964. Reprint: University of Chicago Press, 1991

Artykuły:

Craig Ungar, *The American Rapture*, [w:] "Vanity Fair Magazine", grudzień 2005

Bibliografia wyd. polskiego:

Dante Alighieri, *Boska komedia*, przeł. A. Świdwerska, Kraków 1947.

Anonim, *Zachodni wietrze, zbudźże się wreszcie...*, przeł. S. Barańczak, Kraków 1993.

Jane Austen, *Duma i uprzedzenie*, przeł. K. Surówka, Kraków 2007.

Thomas Campion, *W jej twarzy ogród się odkrywa...*, przeł. S. Barańczak, Kraków 1993.

Omar Chajjam, *Rubajaty*, przeł. J. Krzyżanowski.

Geoffrey Chaucer, *Opowieści kanterberyjskie*, przeł. H. Pręczkowska, Wrocław 1963.

Samuel Taylor Coleridge, *Poezje zebrane*, przeł. Z. Kubiak, Warszawa 1987

John Donne, *Waleta*, żalu zabraniająca, przeł. S. Barańczak.

Ewangelia Tomasza, [w:] M. Starowiejski (red), *Apokryfy Nowego Testamentu*, tom 1, Lublin 1986.

Thomas Hardy, *Drozd o zmroku*, przeł. S. Barańczak.

William Langland, *Widzenie o Piotrze Oraczu*, przeł. P. Mroczkowski, Kraków 1983.

William Shakespeare, *Burza*, przeł. S. Barańczak, Kraków 1999.

William Shakespeare, *Hamlet*, przeł. S. Barańczak, Poznań 1994.

William Shakespeare, *Henryk IV*, przeł. S. Barańczak, Kraków 1999.

William Shakespeare, *Henryk V*, przeł. L. Ulrich, Warszawa 1958.

William Shakespeare, *Jak wam się podoba*, przeł. S. Barańczak, Poznań 1993.

William Shakespeare, *Jak wam się podoba*, przeł. L. Ulrich, Warszawa 1958.

William Shakespeare, *Kupiec wenecki*, przeł. L. Ulrich, Warszawa 1958.

William Shakespeare, *Makbet*, przeł. J. Paszkowski, Warszawa 1997.

William Shakespeare, *Otello*, przeł. S. Barańczak, Kraków 2002.

William Shakespeare, *Ryszard II*, przeł. L. Ulrich, Warszawa 1958.

William Shakespeare, *Sen nocy letniej*, przeł. S. Barańczak, Kraków 2008.

William Shakespeare, *Sonety*, przeł. S. Barańczak, Poznań 1993.

Podziękowania Autorki

WĄTPIĘ, CZY JESTEM W STANIE ODDAĆ SPRAWIEDLIWOŚĆ WSZYSTKIM, KTÓRZY pomogli mi w pracy nad tą książką. Na różnych etapach jej rękopis czytało mnóstwo osób, dzieląc się ze mną konstruktywnymi uwagami. Wyróżnić chciałabym po pierwsze Janet Opie, Kathryn Toyne i Philipa Whelana, którzy wspaniałomyślnie przeczytali powieść według moich wskazówek, bawiąc się wszystkimi jej sztuczkami, a jednocześnie wytykając jej słabości. To Philipowi zawdzięczam określenie Lucy jako „mistrzynie cross dressingu” — zauważyłeś to już w pierwszych rozdziałach. Dziękuję całej tej trójce. Autorką wielu wnikliwych uwag była również Fiona Donaldson. Ona także przeczytała książkę z pozytywnym nastawieniem: dziękuję ci bardzo - zwłaszcza za to, co powiedziałaś na temat narzędzi Calvina i Lucy do wyszywania skóry! Z kolei moja bystra córka Sa-mantha była niezastąpiona, jeśli chodzi o pewne unowocześnienia, styl ubierania Sian,

obronę moich własnych obserwacji w najważniejszych momentach i po prostu wiarę we mnie. Córka numer dwa, Zephyrine, nauczyła mnie wszystkiego co trzeba o *Simach*, ulubionej grze Maxa: dziękuję, kochanie, zwłaszcza za pomysł z kostuchą, która tak zadziwiająco wpasowała się w całość! Dziękuję też serdecznie mojej najcudowniejszej i najdroższej angielskiej matce i przyjaciółce, doktor Joan Bridgeman, za lekturę rękopisu i komentarze oraz za jej wiedzę i cenne spostrzeżenia. Z radością nadal studiowałabym z tobą.

Za mnóstwo szczegółów, które stały się częścią tej opowieści, a które pozostawały poza głównymi obszarami mojej wiedzy, dziękuję Johnowi Fischerowi, którego świetna strona internetowa heart-transplant.co.uk była dla mnie prawdziwym oparciem, podobnie jak jego dowcipne opowieści na

moje rozmaite (niezwykle!) pytania na temat Lucy. John! Jesteś cudownym człowiekiem! Dziękuję Russelowi White'owi, Philowi Charterowi i Brianowi Adamowi z Muzeum św. Ałbana za pomoc w sprawie gospody Biały Jeleń; pracownikom pogotowia ratunkowego w Shepton Mallet, firmom i instytucjom Ducati Motor Bikes, Hampshire Primary Care Trust, London School of Hygiene and Tropical Medicine, British Heart Foundation, policji w Somerset and Avon i Wiltshire; Elaine i Steve'owi Mancinim z gospody Kry-kieciści w Longparish (ogromne dzięki, Elaine!). Dziękuję serdecznie koronerowi Davidowi Billinghamowi z Cheltenham za odpowiedź na moje pytania dotyczące procedur i obowiązków koronera oraz Johnowi Harmshawowi QC za jego rady dotyczące różnych kwestii prawnych - zasługujesz w zupełności na miano rzecznika Henry'ego Stafforda, John. Z kolei głosem Calvina mówił „pan Smith”, któremu również serdecznie dziękuję.

Za lekturę pierwszej wersji książki i skorygowanie wielu błędów dziękuję: Jenny de

Gex, Valentinie Harris, Katie Bayer, Kate Byrne, Anne Williams, Johnowi Jarroldowi i Robinowi Stokoe. Spośród pierwszych redaktorów wyróżnić chciałabym Annę South, która niezwykle życzliwie oceniła to, co w książce było dobre, jednocześnie zwracając mi uwagę na najbardziej rażące błędy: twoje spostrzeżenia i pomoc były dla mnie naprawdę cenne. Yvonne Holland dziękuję za wspaniałą adiustację, Claire Peters za ogromną pracę nad tym, by nasycić tekst odpowiednią atmosferą, a Edowi Bensonowi za świetny projekt okładki. Dziękuję Ami Smithson. Dziękuję Claire Peters, Joyowi Fitz Simmonsowi oraz Michaelowi i Julii z Johnson Banks za ich wkład w rysunki labiryntu. Dziękuję mojej wieloletniej, wspaniałej przyjaciółce z North Sydney Girls High School, Susan „Maysie” Lyons z Nowego Jorku: dzięki, Sus, za to, że dodawałaś mi otuchy i delikatnie rzeźbiłaś mój tekst, nigdy nie podcinając mi skrzydeł! Fiona McIn-tosh z Harper Collins upewniła mnie, że książka ta była warta bólu, w jakim powstawała: najdroższa Fiono, dziękuję ci z całego serca! Wreszcie, co najważniejsze, ogromnie dziękuję

profesorowi Sebastianowi Lucasowi ze Szpitala św. Tomasza, za to, że sprawdził wiele faktów: od cv Alexa, aż po nazwy i dawki leków.

Na koniec najważniejsza grupa osób. Chciałabym złożyć najserdeczniejsze podziękowania: mojej siostrze, Wendy Charell, która ułożyła dla mnie niezwykle wyczerpującą listę lektur na temat hermetyzmu. Wiem dobrze, że spomiędzy kart tej książki da się słyszeć twój głos - jestem twoją dłużniczką.

Chciałabym podziękować mojej teściowej i przyjaciółce, Dorothy Bromiley Losey Phelan: najdroższa Dot, nigdy nie uda mi się odpowiednio wyrazić wdzięczności, jaką do ciebie czuję. Dedykowałabym ci tę książkę, gdybym nie odwdzięczyła się w ten sposób Gavrikowi. Dziękuję za to, że przeczytałaś tę książkę, uczciwie wyraziłaś swoją opinię na jej temat; dziękuję też za rady dotyczące szycia. Jesteś moją własną Dianą! Dziękuję Alison Cathie z Quadrille, za to, że po naszym lunchu wyraziła zgodę na to przedsięwzięcie; dziękuję Jane Morpeth z Headline za to, że powiedziała „tak” Anne i Allison! Czy uda mi się kiedykolwiek podziękować wam tak, jak trzeba? Dziękuję Anne Fur-niss, mojej redaktorce z Quadrille, która zapaliła mnie do wszystkiego dawno temu w labiryncie w Chartres, wierzyła we mnie i od samego początku walczyła o tę książkę — pomimo przypominających labirynt zwrotów i opóźnień. Dziękuję moim cudownym nowym agentom, Andrewowi Nurnbergowi i Sarah Nundy z Nurnbergs: praca z wami to ogromny przywilej, pod każdym względem.

Przeprowadziliście mnie przez linię mety i nie pozwoliliście się rozpraszać. Dziękuję.

Ogromny bukiet kwiatów i podziękowania dla mojej wyjątkowej redaktor w Headline, Flory Rees, która z wdziękiem radziła sobie z moimi jękami z powodu niekończących się uwag, ale przede wszystkim nauczyła mnie, jak być dobrą pisarką. Jesteś prawdziwą Czarną Damą, Floro, i to w dosłownym znaczeniu. Dziękuję wreszcie mojemu mężowi, Gavrikowi Loseyowi, który „rzucił światło” i „pokierował” wieloma partiami tej książki: szperaczowi wolontariuszowi, *maitre en scene*, który w żadnym razie nie mógłby stać się mieszkańcem dantejskiego przedpiekła. Po prostu, bez ciebie nigdy by mi się to nie udało! Zawsze byłeś przy mnie. Dziękuję!

TH

Cytaty znajdujące się na kartach
pochodzą z następujących dzieł:

Anonim, *Zachodni wietrze, zbudźże się wreszcie...*,
przeł. S. Barańczak

Austen Jane, *Duma i uprzedzenie*, przeł. Katarzyna
Surówka

Campion Thomas, *W jej twarzy ogród się
odkrywa...*, przeł. S. Barańczak

Coleridge Samuel Taylor, *Pieśń o starym żeglarzu*,
przeł. Zygmunt Kubiak

Dante Alighieri, *Boska komedia*, przeł. Alina
Swiderska

Dante Alighieri, *La divina commedia*

Donne John, *Waleta, żalu zabraniająca*, przeł. S.
Barańczak

Donne John, *Venus and Adonis*, przeł.
M. Słomczyński

Hardy Thomas, *Drozd o zmroku*, przeł. S.
Barańczak

Langland William, *Widzenie o Piotrze Oraczu*,
przeł. Przemysław Mroczkowski

Langland William, *Opowieści kanterburyjskie*,
przeł. P. Mroczkowski

Lanyer Aemilia, *To the lady Lucie*,
Marlowe Christopher, *Żyd maltański*
Middleton Thomas, *The Revenger's Tragedy*
Scott Alexander, *A Bequest of His Heart*
Shakespeare William, *Sen nocy letniej*, przeł.
S. Barańczak
Shakespeare William, *Makbet*, przeł. J.
Paszkowski
Shakespeare William, *Jak wam się podoba*, przeł.
M. Słomczyński
Shakespeare William, *Ryszard II*, przeł. Leon
Ulrich
Shakespeare William, *Kupiec wenecki*, przeł. Leon
Ulrich
Shakespeare William, *Wieczór trzech króli*, przeł.
M. Słomczyński
Shakespeare William, *Antoniusz i Kleopatra*, przeł.
Jerzy Limon i Władysław Zawistowski
Shakespeare William, *Burza*, przeł. S. Barańczak
Shakespeare William, *Henryk IV*, przeł. Leon
Ulrich
Shakespeare William, *Sonet 34*, przeł. S. Barańczak
Sir Sidney Philip, *Song*,
Sir Scott Walter, *Marmion*

Sir Wyatt Thomas, *Stronią ode mnie, które ongi
mnie szukały...* przeł. S. Barańczak

Taylor Thomas, *The Eleusinian and Bacchic
Mysteries*

Wordsworth William, *Oda: przeczucia
nieśmiertelności*, przeł. S. Barańczak

Kończy się moc Słońca. Zbliża się czas Księżyca.

Słowami Plotyna: „zanurzyć się w materii to zstąpić do Hadesu, a tam zapaść w sen” . A 1685 455 zasnęła w równonoc, by zbudzić się na wiosnę.

Po tańcu w pierścieniu ognia duchy nękać cię mogą. Demony ziemskie to te, które Ziemię zaludniają, jako Aniołowie, co demonami są sfery Powietrza; mogą na ciebie nastawać, po wielu wędrówkach, na duszę jedno czekając. Po przeświętych inicjacjach i pomimo bliskiej obecności Boga, co impulsywniejsze ziemskie demony łakną, jako się zdaje, uwagi prawdy poszukującego, kusząc go - lub ją - by od dobra niezbrukanego się odwrócili ku materii, gwałtem świadomość ku wymiarowi ziemskiemu kierując. Wszelako jeśli aspirujący adept niezłomny będzie i psie głosy mimo uszu puści, wysoko się później wzbije.

Chętnie bym się wspiał; lecz
jeśli się obalę? Jeśli serce cię
zawodzi, nie wspinaj się

wcale.

כוח פיד

Wstyd go rumieni, to blednie z wściekłości. Ona
rumieniec nad wszystko miłuje, lecz rozkosz
większą w bladości znajduje.

*I cóż ja mam
czynić m Ilirii?
Mój brat jest w
Elizjum*

I przemierzywszy wody stygijskie, czeka. Światło wciąż jeszcze może ku wyższym go poprowadzić dziedzinom, do domu swego powracając: lub leż, jako rzekł Ancbizes, dusza po czasie pewnym jeszcze powrócić może. Kimże jest ten, o kim mówią te słowa? Niższe królestwo jeno drzeniem powietrza się zdaje; i z niego to wrócić może dusza promienna. Jeśli wszelako sięgnie sfer niebiańskich, może nie wrócić wcale.

Jestem już tylko ogniem i powietrzem. A pozostałe żywioły z mym ciałem niech się rozłożą.

W miesiącu świec "Pani Światła podróż swą rozpoczyna; ile dni upłynęło, nim od nowa czas rachować poczęliśmy? Co dla brodatego Druida „owczym mlekiem" znowu się stanie, lecz jeszcze wiele dni czekać nam przyjdzie

I BARW ROZISKRZENIE I ŚWIATŁA

PROMIENIE W NOCY CIEMNE
PRZESTRZENIE AŻ PO MELANCHOLII
KRES

*El Iksandria: czczą "Pana od starożytności. Już
ciało jego przyptyw obmywa; by nazajutrz mógł
zmartwychwstać, gdy z wodami płatki kwiecia się
mieszają. Ona roni róże czerwone jak krew; i
niebiańskie odbywają się zaślubiny. On rozchyła
płaszcz. Nastają ciemniejsze dni dopóki światło
nie powróci. Trzy miesiące i trzy gracje,*

Z Florą tańczące.

Kwieciem mem usłane.

Wiosnę w orszaku prowadzące

W radosnych spotkań godzinie.

ל ב ב

BEZ BURZY WESTCHNIEN, LEZ POWODZI. ..

...przy księżycu. A czy tego wieczoru, kiedy
mamy grać, będzie świecił księżyc?

By mnie znaleźć? Szukaj w Afganistanie i w Syrii; w Maroku i w Damaszku.

A jak ścieżkę naszą rozjaśnimy? Pod greckim księżycem, pierwiastek ten między metalami i niemetalami się plasuje. W tyglu czerwony, czernieje, gdy na światło dzienne go wystawić. Możemy z niego robić emalie w kolorze róży miłości i światło mierzyć. Cóż, możemy działać znacznie więcej. W dniach, które dopiero przed nami, SYGNAŁEM będzie zmian; najpierw jednemu bratu dopomoże w jego pracy, potem drugiemu. Jak bardzo pomocny okazać się może w uzdrowicielskiej pracy drugiego brata, nie dowiesz się, po raz pierwszy czytając te słowa: jeszcze wiele lat minie, odkąd to przeczytasz, nim prawda cała zostanie ci objawiona. Miejsce jego pod greckim księżycem i dużo czasu minie, nim prawda światło dzienne ujrzy.

Na razie zrozumieć musisz mój związek z prądami tellurycznymi.

A jak zmierzyć czas dla narzeczeństwa? Podług tradycji z wielu elementów się składałam: pereł, płótna i jedwabiu. W nowoczesnym świecie

może byłby to brylant, a potem elektryczność i urządzenia nią napędzane. Czy jednak ktokolwiek z kimkolwiek wytrwa aż tak długo?

כִּיד

Znam twoje czyny: trud i twoją wytrwałość, i to że złych nie możesz znieść... W pierwszym zmartwychwstaniu: nad tymi nie ma władzy śmierć druga, lecz będą kapłanami Boga i Chrystusa i będą z Nim królować tysiąc lat.

Zimny był to dzień, kiedy powróciła panna, dzień, kiedy umarła muzyka. W jakim stopniu się zgadzasz?

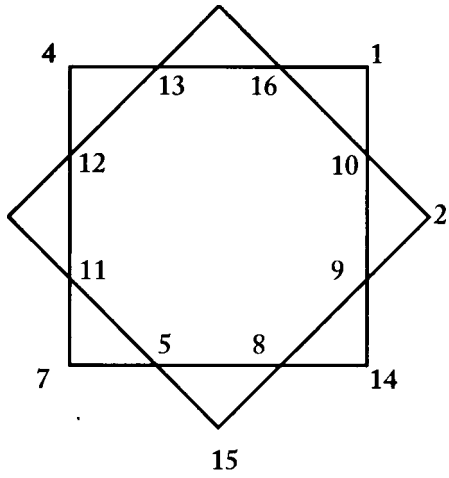
Historia państwa zapisana jest na fladze — a wszystko to zaczyna się od jedwabiu barwy szaty Madonny. Gdyby nie pogoda, historia ta nigdy by się nie rozpoczęła. Zapach kwiatu pomarańczy jest jak spacer polem słoneczników - z których jeden został zerwany i umieszczony na środku sceny. Mała dziewczynka na szlaku cyklonu spojrzała na kłębiącą się burzę — istną nawałnicę. Cegła się zgadza, ale buty nie. Dama, która wyjaśniła wszystko, pokonała swą siostrę w gorącym finale, ale opisał to mężczyzna i trudno powiedzieć, jak wiele zrozumiał. Czy rzeczywiście cieszy się, że znów jest w domu, a może dziewczynka miała to po prostu zaśpiewać, obwieszona girlandą kwiatów?

Glinda z pewnością dobrze jej radziła, ale było to. oczywiście, królestwo Czarnoksiężnika. Tkwi w tym pewne podobieństwo — które z Hiszpanią się łączy, jak z tego wynika? Mógłbyś też — ja bym tak zrobił — policzyć zakręty do środka

drogi do Jeruzalem, w wielkim budynku Pani.
I znowu kilka kroków wstecz

י כ י

Żeglarz
opowiada jak
okręt żeglował
na południe z
dobrym
wiatrem i ładną
pogodą, aż
dopłynął do
Równika.



E quindi uscimmo a riveder le Stelle.

DWIE DUSZE

*Wszystko to w płomieniach stało na Polu Kwiatów!
Zerwij kwiat i pomyśl o tym, co było;
o stuleciach zdrady i bólu, i niezrozumienia..*

Jestem, kim jestem, i zdradzę wam, mili, iż nikim więcej, niż jestem, nie mam woli się stać. I wam, mili li tylko powiadam, iż wciąż będę, kim jestem, i nie zmienię się ni o milę, ni o cal. I czym byłem, mili, tym i dziś pozostanę, gdyż czymś więcej, niż jestem, nie mam woli się stać. A gdybym nawet takim był, mili, jakim oni widzieć mnie chcą, mali wciąż będą zadawać pytanie, kim jestem i czym kiedykolwiek byłem. Niech wali się Ściana i dzieje moja Wola.

Że jestem Ścianą. i skończona sprawa A stąd dotąd mam szparę i ujrzenie, jak Kochankowie w nią szepczą w te. wew te i wspak.

Każda para składa się w całość, choć dwie mieści w sobie połowy: kwadratem jest dół lewy, kwadratem jest prawy dół; na górze po lewej i prawej także po kwadracie; kwadratem jest też i serce.

JEDNĄ SĄ ISTOTĄ

Odnajdziesz mnie w orbity połowie. A jeśli weźmiesz całości połówkę i pary stworzysz, które mnie byłyby równe szybko pary wszystkie złożysz.

Nie sięgaj dalej niż po dzisiejszy dzień. Moja alfa i moja omega. Scal na powrót dwie połowy. W Księdze Starego Króla pieśni o równym mi numerze szukaj. Równa liczba kroków od początku wpród. Równa liczba kroków od końca wstecz — pomiń jeno słowo, co wszystko kończy.

Jestem, czym jestem.

Odnajdzie się zguba.

Licz na mnie i nie pomył się w rachubach.

NIE PRZERWĄ SIĘ LECZ ROZPRZESTRZENIA

Gdy lic słonecznych obraz purpurowy, jutrzeńkę żegna w rosach pożegnania, różanolicy Adonis na łowy, mknie, gdyż je kocha, choć drwi z miłowania. Chora z miłości Wenus go dopada, i jak zalotnik hardy tak powiada.

Dziwna mała energia. Wznosząc się ku samemu czubkowi jabłoni, jedziemy na 86. piętro. Hol wejściowy w stylu art deco i dziesięć tysięcy stóp kwadratowych marmuru; a potem w dół, sprawdzić, co się dzieje, i dołączyć do rzeki ludzi... Wśród nich i ja będę, liczę, że mnie odnajdziesz, lecz się śpiesz. Gwiazdą filmu jestem naprawdę wielkiego formatu, co próbę czasu przetrwała, większą niż mi współcześni, lecz tę informację znalazłbyś nawet w centrum handlowym. Co nas tu sprowadza? Co takiego mógłbyś - chciałbyś zobaczyć, gdybyś stanął na moich ramionach? Co mam wspólnego z całością?

Moje miejsce jest niezwykle ważne. Statystyki imponujące: 102, 1931, 1453. Jednak inne statystyki są bardziej pomocne. Jak mnie tu znalazłeś? Trzymaj mocno nić i tkaj wokół mnie, przy mnie, nade mną, przeciągaj nić igłą w ciemnościach - haftując nicią czasu. Trzymaj się mnie, a znowu odnajdziesz drogę...

Zanim poskromi się byka, trzeba go najpierw złapać. Czy to właśnie ten obiecany dzban złota na drugim końcu tęczy?

5X1

TAKA BĄDŹ. .. JEŚLI TAKĄ CHCESZ SIĘ STAĆ. ..

Były pewne bardzo poważne zastrzeżenia co do damy.

*Czemuż mnie upewniałeś,
że dzień piękny będzie I że
się bez okrycia w podróż
wybrać mogę ?*

**Video meliora,
proboque:
Deteriora sequor.**

*Ciężkie narzucono nam prace, trudy nowe.
nieznane, Są one próbą woli. A co Marcin
podzielił, podzieli i ona, i trójca, aż to, co się
rozłamało, na powrót się scali. Choć tak wiele
myślano o naturze ścieżki i o liczbie dróg, choć
mnożą się drogi i dróżki, ulice i boczne uliczki,
na drodze ku pełnemu poznaniu rachuby
wszelkie bywają zawodne*

Dowiodę, że oto mózg mój jest mężem mej duszy.

הגא

*Syna morza od kochanki w skórach jelenich
odciąga, już oszalałe konie ku przeznaczeniu go
niosą Co go łączy ze świętym i jego kluczami,
gdy konie biegają wolno? Róża.. Także i wtedy*

*Różanolicy Adonis na łowy mknie, gdyż je kocha,
choć drwi z miłowania*

*Jacy są mężczyźni w zalotach, a jacy już po
zaślubinach? Król Henryk wiedział to
doskonale. Wiedzieli obaj... Lecz mariaż takowy
jedno w pewnym stopniu jest możliwy. I tylko w
takim, wierzajcie mi.*

ROZŁĄCZMY SIĘ ŁAGODNIE.

Lorenzo: ...zapowiedz służącym, że lada chwila
pani się pokaże ...Jak słodko drzemie światło na
pagórku!

Podczas dawnej wojny róż tutaj właśnie walczyli.
A zdaniem Gaya: jeno zmiana płomień gasnący
na nowo roznieca. Dostrzegłem jednak, gdzie
upadła strzała: trafiła w kwiatek, przedtem biały,
teraz szkarłatny, jakby był miłosną raną.

Gdy lic słonecznych obraz purpurowy
jutrzenkę żegna w rosach pożegnania,
Różanolicy Adonis na łowy
Mknie, gdyż je kocha, choć drwi z miłowania.
Chora z miłości Wenus go dopada
I jak zalotnik hardy tak powiada.

Labirynt jest metaforą życia, podróży bez szerszej
perspektywy, wymagającej poczucia humoru i
determinacji. Wiele w nim fałszywych ścieżek,
ślepych zaułków, przeszkód niskich i wysokich.
Pośród krętych ścieżek przez chwilę czas jest
poza nami. Otwiera się okno do nowej
świadomości, drzwi do innego wymiaru. Stąpamy

יְדִי

starożytnymi ścieżkami, na których ci, którzy

Nie tknie Makbeta żaden cios morderczy,
Póki las Birnam ku dunzynańskiemu
Wzgórzu nie pójdzie walczyć przeciw

przemierzali je przed nami, rytualnym tańcem próbowali przebłagać Matkę, ujarzmić pogodę, pech przemienić w szczęście albo wiatr niesprzyjający odwrócić. Jeśli wraz z tobą idzie bogini, czujesz jej słodką woń. Labirynt o siedmiu zwojach kryje w swym wnętrzu magiczną liczbę dróg do rozkoszy bogów: śmiertelnicy znajdują tu nową świadomość duchową.

		ELOHIM + ELOHI				
		4	14	15	1	
ADONAI		9	7	6	12	ZEBAOth
		5	11	10	8	
		16	2	3	13	
		ROGYEL + JOSPHIEL				

„Vexilla Regis prodeunt inferni
verso di noi; pero dinanza mira",
disse 'I maestro mi „se tu I discerni".

DUSZY SWEJ „W DROGĘ!” MÓWIĄC Z CICHĄ.

Panny są majem, gdy są pannami, ale zmienia się niebo, gdy zostają żonami.

Tylko trzy pierwsze żony kochliwego Henryka powiły mu dzieci: a biorąc pod uwagę jego status, co dalej nas posuwa w naszych rachubach, należy nadmienić, iż wpływ miały na niego wszystkie. Ty jednak musisz w tym zobaczyć dwakroć więcej niżli inni. nie zapominając o tej ostatniej, która bez wątpienia inną całkiem była. i tak dotrzesz do punktu, z którego dalej wespół ruszymy.

Potrzeba nam czegoś od tej drugiej z kolei, o praktykowanie diabelskiego rzemiosła oskarżonej. Czy jednak prawdą jest to. iż przybrała postać zająca za miękką szarą skórką się zasłaniała ? Czyż u jednej dłoni mogła mieć tyle palców, ile jej mąż miał żon ? Bez wątpienia prawdziwą córką była Tomasza, lecz poprzez Czas oskarża się ją, iż była Córką Księżycy

Jakakolwiek była jej natura, zaiste pierwszą się stała z długiego szeregu piękności. Mirandą po

wielokroć opiewaną w pieśniach i sonetach, łanią, na którą chce zapolować myśliwy A ona sobie upodobała Jelenia i ścigając go, zbyt do Słońca się zbliżyła Jej królewski małżonek składał u jej stóp owoc trudów tych. co żyją owocem jedwabnego drzewa Dopóki nie straciła łask w jednej strasznej chwili, tracąc jednego, straciła wszystko. Rachuba znowu ten sam wynik daje. Chce kto polować - wiem, gdzie znaleźć łanię.

A w miesiącu kwiecia odeszła Pani Szarości - lecz nie sprzedajmy naszej opowieści W miesiącu świec Pani Światła podróż swą rozpocznie, a ścieżka jej kręta i zawiła Któż się ulituje nad królewską córką, która nie ma matki, nim odnajdzie ona swą prawdziwą drogę?

אֵה יַחַד

W DROGĘ...

Wody kradzione słodsze są, a chleb pokątny smaczniejszy, to nie tajemnica...

*Dostała go i Marta; i dokąd pojechała?
Doprowadzi cię do niej złota nić. Zna mnie ród z
Mantui Odnajdziesz ścieżkę? Forse che si, forse
che non Ich pałac na wyspie, na grząskiej ziemi,
jeno przed wtajemniczonymi otwiera swe
podwoje Lecz jakże odkryć mamy cykl Marsa i
Jupitera, gdy są one w koniunkcji?*

*Wiedzy poszukujący spartańską administruje sobie
diety, nim dopuszczony zostanie do ceremonii. Cóż
jednak z dzielnym Tezeuszem? Wejrzyj w legendę.
Niegdyś u jego boku stała niewiasta; lecz teraz
już jej nie ma I stopią się. stopnieją i rozplyną
Widzisz kolce, co mieniają się klejnotów barwami?
U wrót wielkich Kume mnie znajdziesz*

*Idźże z tą, co
odejść musi,
Serce, wierne
bądź twej pani.
Jedno dość
żałoba dusi.
Drugie barziej
pierwe rani.*

אה י ח ו ד

Zdejmij hełm i wejdź do świątyni, której księżyc i słońce patronują. Tu podróż dopiero się rozpoczyna. Platon uczy, że droga nie jest prosta ani jedyna; lecz wiele jest, jak miemam, bocznych drózek i przecinających się ścieżek, które poprzez ofiary i religijne praktyki odnaleźć można. Każdy krok może jeszcze zmierzyć Fibonacci.

A W KRĄG RODZINA
ZASĘPIONA NIE WIE, CZY
ZMARŁ ...

Zachodni wietrze, zbudźże
się wreszcie, Deszczykiem
roztop śnieg! O Chryste
Panie, z miłą na sianie Tak
bym znów sobie legł!

Sir Christopher Hatton swojej królowej czynsz płacił w osobliwej zaiste walucie. Ogród bowiem, który, jak wiemy, na jego cześć jest nazwany, należał wcześniej do biskupa. Ely, który wielce był dumny ze swoich truskawek ipostał je w podarunku jednemu z królów białej róży, zimowemu królowi, na jego prośbę. Czynnem latem płaconym, przez slr Christophera był kwiat o zgoła innym, kolorze, a twój będzie tym, który mówi o esencji tego, co kobiece, jako i tego, co męskie. O chemicznych zaślubinach.

Skoro zaszedłeś tak daleko, to już wiesz, co mam na, myśli - i co czeka. Wiesz zatem więcej niż ja. I masz dary, które cenniejsze są od wszystkiego, co pozostawiam w twej woli. A wiec:

Byk 4, pod tęczą złota dzban

A w końcu prawdziwy symbol największych podniet zewnętrznego i fizycznego świata oraz nagród, jakie gwarantuje zewnętrzny pakt między tym, co indywidualne, a uniwersalną macierzą samego życia. Tutaj spoczywa obietnica skarbu, który koniec końców okazuje

się przyjemnym uzupełnieniem, w fizycznej wyrażonym materii, wszelakich przejawów duchowości, do których manifestacji doprowadziły wysiłki własnego „Ja”. Kluczowe słowo brzmi zawsze tak samo: WIARA.

ל ב ב כ ג ח א ג ל

Pieśń

Kaprysu kto spełnienie szczęśliwym okiem widzi, niech wzniesie wzrok nad cienie i światła się nie wstydzi: to światło nie rozdziera źrenicy oka w ćwierć, to światło nie umiera, to światło zwie się śmierć.

STAŁOŚĆ TWA MÓJ OBIEG UŚCIŚLI I KAŻE SKOŃCZYĆ,
GDZIE ZACZAŁEM.

Podobnie jak Mądrość, oblubienica wtajemniczonego uczestniczy w objawieniu, którego on dostępuje za jej pośrednictwem. Bogini Persefona była patronką zasiewów, ożywiania pozornie martwego ziarna... „pani, której służę: ona przemienia martwy trud w żywą przyjemność” I to ona, jako nasionko zagrzebane w ziemi i w niej śpiące, jest boską esencją i duszą pogrzebaną i uśpioną w fizycznej powłoce.

Obciążona materią dusza zstępuje do Hadesu i zapada w sen, o czym opowiada nam Dante w wielu pieśniach. Jednak z owego snu dusza może się jeszcze w pełni obudzić, jak śpiąca królowna, która bawi się wrzecionem i kłuje w palec, a potem pada pozornie bez życia. Podobnie jak Persefona, która przerwawszy tkanie kobierca, za namową Afrodyty zrywa narcyza i zasypia. Mimo to dar uzdrowiciela i poszukiwacza Prawdy oraz Rozumu może jeszcze duszę wskrzesić.

Zaratustra poszukiwał Arduizur; i ze szczytu

góry, gdy już przebiegł go zimny dreszcz śmierci, ujrzał wielki świetlisty łuk na niebie, a jego dusza wydartą została z ciała i wzniosła się ku niebu. Za tym promienistym pierścieniem ujrzał kobietę spowitą światłem jak szatą. Powiedziała mu: „Jam jest Arduizur, przybyłam do ciebie w twej samotni i jestem twoją własną boską duszą”. I pospół pili z fontanny światła.

A teraz ja: jestem mostem między bogami a śmiertelnikami, między niebem a ziemią. Mam skrzydła i noszę płaszcz wielobarwny. Jestem posłanką bogów. Jakże ucieszył mój widok biedną Dydonę. Moi przyjaciele, gdy uczują, życzliwego nadstawiają mi ucha, więc gdybyś pragnął odmiany pogody, wezwij mnie. Zieleń moim drugim jest imieniem.

אגל לבב

Nie widzę rzeczy, które wtedy olśniewały ...
Nie widzi się rzeczy, które wtedy
olśniewały?

Mroźny zmrok w oko dnia szarym widmem
wnika.

JAK STARZEC, CO ŁAGODNIE KONA...

Zaiste między panem a sługą może istnieć zaufanie Tak było i jest w moim przypadku. Popatrzcie na złotą pieczęć w jednej dłoni: drugiej dostęp do prawdy będzie dany poprzez sługę pana swego. Jakież to symbol? Z dwóch cennych metali jeden bramą jest do niższego świata, drugi do wyższego królestwa. Najpierw wszelako próba niełatwa czeka, świat niższy nie jest zgubą człowieka, lecz tylko próbą jego odwagi.

Pierwsza dzierżyła go Pani Wschodu. Na jej głowie korona, wśród jej drzew ulubionych warowne stoją fortece, gdy podróżuje, to wielkim rydwanem w lwy zaprzężonym. I niesie berło promienne, i drobiazg ów, z którym przez kaprys się nie rozstaje, i wielki glob. "Pod jej stopami ziemia się zieleni, pola obsypują się kwieciem. A zrodzona jest z żywiołu ziemi. W świętą skałę przemieniona, do Rzymu przewieziona, powrozem związana z Klaudią, która statek przez wielką rzekę przeciągnęła

Inna, późniejsza skała także zostaje nimi

obdarowana. Dwa metale szlachetne, jeden do ziemskiego królestwa i drugi do tego w Niebiesiech Tym razem jednak władza jest podzielona, one się nie spotykają Takie były, jeśli wierzyć opowieściom, wszystkie lata jego pontyfikatu, które kolejne nici do naszej opowieści wplatają. Daru tego i dekretu kronikarzem był Mateusz, w osiemnastej części szesnastego fragmentu większej całości; także i w następnej. Ty zaś możesz szukać sumy prawd w nich zawartych, lecz jak osądzisz, komu winny przypaść w udziale i jakim sposobem?

Skąd przybywa siostra Marii z Betanii, ta Marta, która także go przy sobie nosi? I dokąd z nim zmierza? I tutaj rosnąć zaczyna symbol naszego połączenia Patronką jest Wenus, co się

Bo rzecze Prawda-Prawość: miłość — niebieska driakiew,
Kto bierze to lekarstwo, na tym nie dojrzyz grzechu.

ku niej Mars ognisty skłania: i oto zbliża się owo przyszłe zjednoczenie, jej kwieciem pachnące, bezcenna impresja drogimi klejnotami rozbłyśnie, gdy ze świata podziemi znów w światło się wyłoni. A dama znajdzie w nim rycerza, oddanego i wiernego, i ustaną waśnie.

גאל

*O. Furie, wy
Zlećcie się, by
Grzmieć, rzeć, żreć, rznąć, ziać z paszcz!*

*Trzy dusze. Trzy wybory Trzy córki Nocy. Trzy
Furie. Podążaj za Kloto i włosów puklem.
Na długo zanim siądzie, by wesółych opowieści
słuchać: zanim wzdychać zacznie do kochanki, co
w zwierzęce skóry się odziewa; ojciec go posyła,
by po raz trzeci straszliwego haraczu nie płacić, i
tak syn wobec najważniejszego staje znaku. Ma
jeno pamiętać, by wracać pod paradnym żaglem
Lecz Sy który pod żaglami na Morza bezmiar
wypływa, pomocy Córki Króla potrzebuje,
Niektórzy mówią, iż lśniących klejnotów użyła Ja
wierzę, że ich losy bardziej się ze sobą splotły -
czy też spleść się dopiero miały. Genialny
budowniczy sekret jej zdradził, a ona robótkę
niedokończoną porzuca, by jak na skrzydłach z
miejsca tego zbiec.*

*Z jakąż to bestią uciec z niej może? Wysoko na
kamienistej ścieżce czeka*

ל ב ב

On wpierw, ja za nim wspinam się wytrwale...
kedyśmy wyszli, by znów ujrzeć
gwiazdy.

*Wierna Kloto pod drzewem szlochala:
zawiedziona przez jego wyobrażnię Nie zostawiaj
jej na pastwę losu, bez nadziei... Nie wiąż jej z
drzewem tak nagim, liści jedwabnych
pozbawionym. Podążaj za Atropos na Cypr gdzie
dwór pozbawiony powabu. Zielona bogini nie
spełni obietnicy urodzaju.. Utkaj sieć uroku i
rozmawiaj z młodszą siostrą Podążaj za nią przez
bezkresne losu koleje, by szczęście się nie
odwróciło.*

*Uśpiona w marmurze, nim pocałunku się
doczekała Zostawmy ją tu, niechże chwilę
odpocznie... Trwanie. A nieznane już za nią Ułóż
się wygodnie, Racz pomilczeć chwilę "Pod
Uroczystymi, Samotnymi gwiazdami. ...Czy już
wiesz, czego szukasz?*

CZY WCIĄŻ ODDYCHA. ..

Vixi Puellis Nuper Idoneus- sir Thomas Wyatt
Stronią ode mnie, które ongi

mnie szukały, Bosą stopą przez
moje przestępując progi;
Ustępliwe, powolne, łagodne
bywały, Które dziś nie chcą
słuchać o tej nocy błogiej, Gdy
po raz pierwszy, z wolna
zbywając się trwogi, Z ręki mi
poczynały jeść.

*W jakim stopniu się ze mną zgodzisz?
ZielonyJerzy to wie.*

*Ach, lecz te łzy - to perły,
przez miłość twą suto
Sypane, by za wszelkie zło
były pokutą.*

*Mówią. iż nad jego kotyską rój pszczół się unosił
i ze nektar, którym miał się raczyć później jest
pokarmem bogów aniołów i człowieka, o ile
okaże się godzien Skąd jego rola w tej opowieści?
Dawno temu przybył franciszkanin brązowy! A z
nim trzy węzły; jeden mu przewodnikiem
AMBROSIA: lecz wciąż jeszcze jednego
potrzeba*

**Non fumum ex fulgore, sed ex fumo dare
lucem Cogitat.**

*Jego uroda była przysłowiowa Strzała go
ugodziła okrutna i przypadkowa On podąży za
Panem Adonai; ona za płaczącą boginią
Podążają wespół i docierają tam. gdzie padła
strzała - gdzie czeka klucz do wszystkich
tajemnic.*

כ"ד

Każdy prawdy poszukujący tę samą bezlitosną drogą pokonać musi. W zawiłym labiryncie długo i w mozole wielkim błądzi po niezliczonych krętych ścieżkach, donikąd prowadzących. Jakże porachujemy pętle w wielkim domu słońca i księżycy, gdzie szukać musi? Wzniesie się ponad wodę pasyjną, ponad labirynt i pustkowie i wzniesie się ku czystemu powietrzu rozumu; w końcu słowo prawdy jest mu dane, tak jak to było z Anchizesem

...cnoty jego, jak anioły nieba, piorunującym głosem świadczyć będą; Epopeja. Lecz zima zbliża się wielkimi krokami...

TAK MY ROZŁĄCZMY SIĘ ŁAGODNIE.

**Drugą Dianą ją czyni cnota
bezprzykładna, Penelopy
wierność jest jej życiem całym,
W mówieniu oszczędna, w
pracy bardzo składna, Czyliż
ta kobieta nie jest ideałem?**

S A T O R
A R E P O
T E N E T
O P E R A
R O T A S

I tutaj urok największy władzy i tajemnicy się skrywa, ze starych mitów rodem, paternoster, alfa i omega Starożytni odkryli mnie w czasach, których nie sięga twoja pamięć, jestem wszędzie od rzymskich miast po świat który był dopiero w swoim zaraniu. lojalność moja przy tych pozostaje, którzy władzę mi chętnie nadają Wyhaftuj mnie Zachowaj. Ja zachowam ciebie, drzemią we mnie moce nigdy nie użyte.

לנא

Powiadam ci szczerze... Czy twoja pani w domu?

Daję ci trzecia część własnego życia.

Gdzieżem pozostawił słodką mą damę śpiącą?

W przypadku Inicjacji Wyższego stopnia. po swoistej śmierci nadchodzi objawienie. Podróż: z ziemi poprzez Wodę ku Mgle i stamtąd ku Powietrzu, potem zaś ku Eterowi Z Elizjum poszukujący wkracza do Raju Niebieskiego. gdzie dane mu jest oglądać przebłytki boskich spraw, podobnie jak wytrwałemu umysłowi ukazana jest prawda, gdy aspirant, oczy na świat zewnętrzny zamknąwszy, wysoko wznosi się ponad dziedzinę rozumu. Powietrze, by ku domenie intuicyjnych percepcji wzlecieć ku Eterowi.

Teraz jestem już tylko ogniem i powietrzem. A pozostałe żywioły z mym ciałem niech się rozłożą.

Lecz kiedy się ona budzi, raduje się Lachezis - bez wątpienia najlitościwsza z tych trzech, Jego atrybuty? Rozłożona przed nim księga. laur mu należny, i Minerwy towarzystwo, którym bogini czasem go zaszczyca - lecz mimo to powietrze jest aż ciężkie od woni kwiatów 'Persefony. I tak minęło wiele lat.

Lecz kiedy jedno śpi drugie szlocha Ona to -

*ach. w tejże chwili właśnie - urywa różę
czerwoną, u swego rozkwitu zarania. Pod małą
sosnową gałązką składa, a wraz z nią szyszkę,
bluszczu listki drobne, po czym niewielką ilością
mirry i dwiema swymi krystalicznymi, i przed
chwilą uronionymi łzami skrapia. łzami, co je
żałość wielka z ócz wyciska*

כוח

*Powietrze słodką ma woń Gdy się zbudzisz, Iris
swoją służkę ci przyśle. Podążaj za nią do
wielkiej stolicy Chaucera Odnajdź pomnik przez
Edwarda jego królowej zbudowany. Oddal się od
tej stacji Krzyża. Przeniknij za fasadę człowieka,
który był z imienia królem.*

*Dwaj sąsiedzi towarzyszyć temu będą Młody
rycerz zrzuci płaszcz i wodę wyleje. Chrzestny to
syn owego Króla. I na dni wiele tu się
zatrzymaj. I patrz...*

spotkanie kochanków

Lecz to naszych poczynań nie kres...

*Siedziałem na brzegu, płacząc nad utratą ojca,
gdy ta melodia wleciała nad fale, kojąc ich
furię i mój żal zarazem swoją słodyczą*

*Gdy kwiecień deszczu rześnistym strumieniem
Marcową suszę zmoczy do korzeni*

*I skąpie żyłę ziemi w takim płynie. Który
kwitnienia moc daje roślinie: Gdy Zefir ciepłym
oddechem owionie Wiotkie łodygi na polach i
błoniach*

*Któż skradnie siostry swojej księgę dni? 5933 9
14*

*"Och nie biegnij za ogarami Diany..." pyta mój
sąsiad - „ Czy taki był kiedy uczynił w jej
imieniu... córki biednej Catherine? Ona pierwszą
jest z szóstki On drugim o tym samym imieniu Czy
i pierwszy z wielu?*

*Czy taka była. gdy zebrala o jego miłość? Nie
pomoże i dziecię mirrą słodką pachnące, gdy
Kupidyna żar się wypali... Nie zdoła nieszczęsna
na nowo go rozniecić (Kupidyna żar się wypalił,
Nie zdołała nieszczęsna na nowo go rozniecić).
Może dlatego tak jasnym buchnął płomieniem w*

jego komnatach.

*I w tej oto chwili alchemia zachodzi: kolory
ulegają transmutacji.*

בבל

*On kopię sporządza Niech cię prowadzi nić Z
CICHA.*

Kit Marlowe:

I w miarę jak ich majątność
wzrasta, w małej izdebce
Nieskończone bogactwo jest
zamknięte.

Sir Humphrey Gilbert otrzymał patent od zmarłej Królowej; za radą wielu, w tym i królewskich oczu, jemu i jego spadkobiercom dała w posiadanie ziemie przez niego odkryte. On jednak zdrowie i majątek stracił podczas bezowocnych starań, by w zimnym, jałowym klimacie Przylądka założyć osadę. Jego brat przyrodni, który wcześniejsze słowa napisał, interweniował; zgodnie z planem wyruszył, nowy patent królewski uzyskawszy.

„I za panowania naszego obecnego króla i suwerena, Jakuba, w czwartym roku jego rządów, ziemie nazwane regionem Virginii oraz terytoria rozciągały się między trzydziestym czwartym a czterdziestym piątym stopniem szerokości północnej. Oby jeszcze okazało się dowodem potęgi spełnienia człowieka, kiedy wykracza on poza swoje dotychczasowe pojmowanie ”.

Z tegoż królestwa, z otchłani zimnego i jałowego czasu, wylania się nowa Astrea. Gdzież powstać może nowy Awalon, wyspa jabłoni, gdzie bogini, w dostatki wszelkie opływając, trwać będzie, a z

nią nowy złoty wiek?

Przez wodę i mgłę się przedostawszy, przez powietrze ku pierścieniowi ognia jest niesiona, gdzie czeka inicjacja, a dalej rozkosz, monady, intuicja.

לבב כד י

Śledź tę N i ć, lecz uważaj na haczyk... jak wyklepane w drucik złoto.

Spogląda piękna, młoda klacz miłośnie.
Różanolicy Adonis na łowy mknie, gdyż je kocha, choć drwi z miłowania.

Dante napisał sto pieśni w swojej *Commedii*. Czterokroć lat więcej niżli pieśni sprawi, że powróci Astrea. Jedna trzecia tych pieśni oddana zostanie Czyścowski; a jedna trzecia Niebu; lecz ponad jedna trzecia oddana zostanie Hadesowi, gdzie usiłujemy się z własnego życia do nowego Złotego Wieku przedostać. Liczba tych pieśni pobrzmiewa echem. A kiedy zakłęcie zostanie przełamane, a pytanie znajdzie swoją odpowiedź, może zajść zmiana. Może.

Ten dziwny stwór w piasku poleguje. Zadając żartobliwe pytania, które ciągną się, jedno za drugim, niczym nić. Dzień to rzymskiemu chłopcu poświęcony. Jego królestwem jest ziemia, gdzie bestia ma swoje leże. A on szlachetnie urodzoną damę ma pod opieką.

Dzień ten cześć oddaje wszelkiej roślinności. Człek ów znany jest pod wieloma imionami, w tym pod jednym pożyczonym od tego, który ponad nami. Co akuszerka uwalnia z sosnowego pnia? Woń słodką i objawienie.

לבב אהיחוד

1

Dobry to dzień, co cześć oddaje
wszelkiej roślinności. Wędrowny
handlarz - Tanich błyskotek wielki
wybór dam. Wydaj choć grosz, wszak
młodość krótka jest. Towar jak miód,
dla najpiękniejszych dam. W miłości
żebrak hojny miewa gest. Że lichy jest
mój kram? Lecz serce mam. Lecz
serce mam.

פ י ד

*Tam. w ogrodzie tamtego dnia w deszczu
zabrzmiął dzwon. 6 i 60 = 66*

*Pokój! Zgoda! Dpść już wrzawy,
Rozwikłane wszystkie sprawy,
Skończyć wszystko czas.*

*Kto drzemać chce ze mną.
Gdzie strumień ten płynie,
Pieśń nucić przyjemną,
Jak ptaszek w gęstwinie.
Niech za mną, niech za mną iść raczy,
Tu nie zobaczy
Innego wroga wśród kniei,
Prócz zimy. oprócz zawiei.*

**Raz, przyjaciele, jeszcze do
wylomu, Lub go zatkajmy...
zatkajmy.**

Szary dzień. Przesilenie zimowe. Żaden rok Każdy rok Co roku Liberia lorda Essex

W tym roku.

Wartość podług gematrii:

1	א	Alef	A	wół	30	ל	Lamed	L	kij do poganiania wołów
2	ב	Bet	B	dom	40	מ	Mem	M	woda
3	ג	Gimel	G	wielbłąd	50	נ	Nun	N	ryba
4	ד	Dalet	D	drzwi	60	ס	Samech	S	podpora albo pręt
5	ה	Hej	H/E	okno	70	ע	Ajn	O	oko
6	ו	Waw	W/O/U	gwóźdź	89	פ	Pe	P	usta
7	ז	Zajn	Z	miecz	90	צ	Cadi	C	baczyk na ryby
8	ח	Cbet	H/Ch	plot lub ściana	100	ק	Kaf	K	tył głowy
9	ט	Tet	T	wąż	200	ר	Resz	R	głowa
10	י	Jod	J/I	ręka	300	ש	Szin	Sz	ząb
20	כ	Kaf	K	dłoń	400	ת	Tau	T	krzyż

AL AB. .Ojciec. HEVIE Od Chet. "Aniołowie siedmiu ścieżek." Matkę poprzedza

*Czy dla ciebie jedwabnik
tka swą żółtą nić? Dla
ciebie sam siebie wniwecz
obraca ?*

Pod drzewem, pod zielonym...

*wszystko to dlań wczorajszy dzień, gdy
zmiażdżona została potęga opata, a legat dla córki
siostry lorda szambelana poczynioną. Baczenie
przyglądaj się podobiznie. Nie widzisz, jakiego
rodu to herb? Jeleń i morwa ponad jej łanią*

*Możemy tchu zaczerpnąć i sygnał dać. aby nowy
etap się rozpoczął. Możemy razem stworzyć
światło. Możemy malować miniatury emaliami na
tym. co żywiołem jest Księżycu Lecz droga nie jest
prosta ani nieprzerwana; wiele się z nią ścieżek
krzyżuje i przeplata, jak tuszę, a odnajdziemy ją w
śniegu. Zamykając oczy na świat zewnętrzny,
wznosi się z poziomu rozumu ku poziomowi
intuicyjnej percepcji, Kto nic o Podziemiu nie wie,
do Nieba nie trafi. Ile ksiąg infernalnej wiedzy
nam dano ?*

Pod troskliwą opieką wdzięcznej Luciny młodzian

*wyrywa się. woń mirry roztaczając matce swojej;
a każdej Wiosny kwiaty spod ziemi wyglądają, do
powrotu go wzywają*

521

W twojej obecności Wieczór wydaje się rześkim porankiem.

*Wolną masz wolę. czystą niezmiśzanym sądem
wiedzioną.*

*Ta melodia wzleciała nad fale... Lecz kto
ponuremu przewoźnikowi da zapłatę?*

*Po czterdziestu dniach bezowocnego błądzenia
znużenie poszukującego ogarniać zaczyna*

*wszystko to sub rosa. Tej nocy między
światami szczelina powstaje. Przejście przez
Styks do Elizjum wymaga odrzucenia ciała z
krwi i wody; i tu oto widzimy stany świadomości,
które osiągnąć możemy za życia Patrz na Wyspy
Szczęśliwe: ten co w obecnym swym stanie więzy
cielesności zrzuci, poprzez praktykowanie cnót
do katharsis wiodących, zaiste do Szczęśliwych
Wysp Duszy dociera*

*Empireum jest rajem w płomieniach stojącym A
anioł, niebiańska światła bogini, Świat Niższy
przeobraża; i powietrze tam słodkie i czyste.*

ΣΑΝ

*Legenda podaje, iż kiedy zrodziła się piękna
miłości bogini i boskim tchnieniem Zefira wynie-
siona została na brzeg, róże z nieba padały i
miętko u jej stóp się kładły; i odtąd,*

*dokądkolwiek zmierza bogini, ich słodka woń
zwiastuje jej nadejście, od tamtej pory Rosa
damascena przed melancholią i smutkiem broni,
a tablica Jupitera dla zbyt dużej mocy Saturna
skuteczną jest przeciwwagą Razem panaceum
skuteczne stanowią*

*Chyże jak wiatr, kłujące jak ciernie, czerwone jak
krem nieprzemijające jak miłość, wyrwane jak
serce: teraz białe jak śnieg. Ukryte w
z zwierciadle.*

Zegar każe mi pomyśleć, że
czas tu tracę. Zegar każe mi
pomyśleć, że czas tu tracę.

Czyś już pojął mądrość kochanków? Mądra Natura nigdy nie ukrywa swego najcenniejszego klejnotu na stryszku cztery piętra nad ziemią. O nie. ty szukać musisz w barwie róży w wielkiej łowczyni towarzystwie, niedaleko pierwszego świętego.

Chrystus zanurzył się w wodach Jordanu A potem błdził po pustkowiu, i dane mu było słowo Prawdy za pośrednictwem powietrznych posłańców boskiej inspiracji, Tako jest i z aspirującym adeptem: zanurza się go w morzu każe w ciemnościach iść jego brzegiem Błdzi po pustkowiu. by poznać słowo prawdy poprzez bezpośrednią konwersację Tak dochodzimy do paradosis. I tak oto Eneasze przeprowił się przez Styks i czyściec przemierzył by do Elizjum trafić i słów ojca swego wysłuchać.

ל נ ג

Miłość swą powierzyła najdelikatniejszym jedwabiom i lnom. Skąd wzięła zapach miłość czystą wywołujący? Z najstarszego z miast. Korzennymi pachnidłami i olejkami świętego

*kwiatu miłości namaszczone, tak iż miłość na
zamsze z osnową tkaniny się splata, perłą jest
wschodu*

*Ach. lecz te łzy - to perły,
przez miłość twą suto
Sypane. by za wszelkie zło
były pokutą*

*W jakim stopniu tu pozostajemy? Odpowiedzi
szukaj na mapie Królowej, jeno bacz, byś patrzył
jej oczyma Trzymaj się owego stopnia, a żywioł
swój odnajdziesz: a potem nakrywajmy do stołu...
Mocno trzymaj nieć... Ibowiem dni będą policzone.
Biada wam. uczonym w Prawie, bo wzięliście
klucze poznania*

**To już nie mogę się chwilkę odprężyć w
ulubionej Gospodzie, żeby mi ktoś zaraz nie
opróżnił kieszeni?**

Do PANI ŁUCYI

*Znów widzę Cnotę, iak
słabo zbyt broni
żelaznych odrzwi
rózaney twey piersiy*

*Kucz mądrości dzierży w
drżącey dłoniy Zrywa
duszy zdyszanej twey
więzi*

*By znowóż legła pod
ciosem tey pięści: To
on, to luby. y serce
znów taie*

Gdy cud tak piękny przed okiem twem staie

*Zbyt długo śpię Jakże pragnę, by malarz
hiszpańskiego króla łaskawszy los dla mnie
zgotował. A to czterdzieści dni. Przebłysk
czerwcowego słońca w jesienny dzień: jesienny
wiatr mącący spokój dnia czerwcowego. Co już
było. znowu będzie*

*Nie umrze już,
Żyć będzie sercem kochanka swego:
Gdy umrze on.*

Zdobędzie, co w nim najcenniejszego

Nie umrze nigdy

Wiara. na straży życia chce tkwić:

Śmierć czasem nas wyzwala:

Ktoś umrze, by ktoś mógł żyć.

NG34 Ręką ogiera pochwyła wodze, / Drugą
młodzieńca poderwała z ziemi, / Który, igraszkom

ʔ ʔ ʔ ʔ

Czy jeszcze pamiętasz o morwie, łani i jeleniu?

tych niechętny srodze, / Dąsa się, gniewa,
wzgardliwie rum-ieni; / Ona jak żagiew goreje
pragnieniem, / W nim chłód, choć wstydu okryty
płomieniem, jakże źle przystają do białych
włosów żarty i błazeństwa!

*Wiedźmie drzewa Księżycy w roku. Świętość dla
Diany. Wysoko.*

KTO KOCHA JAK PRYZIEMNY SKNERA, CIAŁEM, NIE
DUSZĄ - TEMU BIADA ...

*Więc pójdźże za mną Bowiem to. co dla duszy i
karą, i strawą, nie jest niczym więcej, niżli
kontinuum obecnego jej stanu, transmigracją w
sen ze snu i ze snu w sen Zaiste, człek któremu
niedostatek rozsądku lubo też rozumu, nie
pozwala pojęcia dobra zdefiniować, idzie przez
ten żywot niby śpiący i z rojeniami w snach
zrodzonymi jedno konwersować może.*

*Imię Szymon poprzedzało inne. lecz z większym
będzie pożytkiem, jeśli zastanowisz się nad
czasem, jaki spędził w Rzymie.*

kiedyż ponownie spotkamy się we troje???

*W wielkiej komnacie ksiąg. Wszystkich
szesnaście numerów wykorzystaj.*

Serce twoje w rytm muzyki nastrój...

לבב

23 - data. Razy dwa. Raz za początek. Raz za kres. Dwie tutaj się spotykają bliskie niczym sąsiadki, jedna z początku, druga z końca, co jeszcze nieznany Dwie damy patrzą:

Jedna oliwkowe ma oczy. Gra na wirginalu. Jej gorset historię opowiada, lecz bez tej podpowiedzi, więc się strzeż. „Good friend...” Postępuj wedle wskazówek i licz skrupulatnie. O tak, z tym jej głowy skinieniem, z jej cichym westch-nieniem, z jej materii znajomością, odpowiedzi szukaj w układzie nici prze-bogaty, a ona na polowanie cię poprowadzi. Druga z wyżyn się przygląda. Wniebowstąpiona. Gloriana, Astrea, Virginia.

Znasz legendę o każdej z nich? Słodki rudzik słodkiego Rudzika dał jej znak. Ona ostrogą jest dla jego dowcipu, a jej dowcip jego ulega woli. Ona ostrogą była dla jego dowcipu, a jej dowcip jego ulegał woli.

Zatem w tablicy Jowisza jeden wątek się zawiera;

כ א ל א

Patrzmy na Jezusa, który nas w wierze przewodzi i ją wydoskonala...

a tu drugi.

Trzymaj mą nić i za środkowym kolorem pasa mego podążaj.

Ja świadczę każdemu, kto słucha słów proroctwa tej księgi: jeśli by ktoś do nich cokolwiek dołożył, Bóg mu dołoży plag zapisanych w tej księdze.

Moja barwa człowieka lasów zdradza.

Jestem ważniejszy od wielu, co odeszli przede mną. Gdy w dłoni nić złotą ściskam, do złotych czasów powracamy...

Połową jestem królewskiej małżonków pary. Moja oblubienica warkocze ma z białych gałązek splecione, girlandami z kwiatów jest przystrojona, bogini pory urodzaju i owocującej namiętności. Współ Ziemię poruszamy, aż spod jej płaszcza wyłoni się obfitość kwiecia, kres kładąc potędzie zimy, która nie śmie nam w drogę wchodzić. Na południu śpiewy i tańce zwiastują powrót mej królewskiej małżonki. Na północy, gdy powraca, cieplejszy nosi płaszcz, a jej podróży hilaria towarzyszą.

Lecz ja także wiele mam imion: zbyt wiele, by wszystkie spamiętać. Jedni zważają mnie Jackiem,

inni Georgem albo Jerzym; lecz ja z dzikich leśnych ostępów wybiegam, z radością witając płomienie.

Możesz mą opowieść wyhaftować, utkać moje losy, co roku, gdy przyjdzie pora, Ziemi mnie oddając. Będę ci śpiewać pieśni o miłości i tajemnicy; pomogę ci odnaleźć ogień, co we wnętrzu jasno płonie. To płomień, który pomaga przeszkody wszelkie przewyciężyć: to ogień miłości, namiętności i życia. Podsyć go właśnie w ten dzień.

Mur przeskakuję dzięki mojemu Bogu.

Posłyszeli oni donośny głos z nieba do nich mówiący: «Wstąpcie tutaj!» I w obłoku wstąpili do nieba, a ich wrogowie ich zobaczyli.

Przez imię Jego...

יְהוָה

IAM REDIT ET VIRGO REDEUNT SATURNA REGNA.

Oto powraca dziewica, oto powraca wiek
Saturna. Herakles ku tej się skłania, która woń
wawrzynu rozsiewa, a wraz z nią pokój i urodzaj
przychodzą.

Króla Córka na brzegu morza się bawiła. Urzekła
ją słodycz pozorna owego wielkiego stworzenia.
Splótszy cudne kwiecica girlandy, rogi jego nimi
mai i na grzbiet mu się wdrapuje. I razem ruszają
przez rozszalałe morze.

To już nie mogę się chwilkę odprężyć w
ulubionej gospodzie, żeby mi ktoś zaraz nie
opróżnił kieszeni?

Czegóż nie unicastwi Czasu
żarłocznego ręka? Gdzie Troja,
gdzie Maik z le Strand, co nieba
sięgał?

Musisz na wzgórze się wspiąć ku miejscu, z
którego kiedyś trysnęło źródło; tam, gdzie
pierwszy męczennik na szaty z kapłanem swoim

Przez wzgląd na swoje imię.

się zamienił.

לגא

Wejść do miasta murem obwarowanego, z soli sławnego. Odnajdziesz ją w mym imieniu. Lecz jaka może być takiego imienia wartość?

Ostatnią skomponowałem tu, w rodzinnym moim mieście, gdzie młode lata spędziłem. Ukończyłem ją o dzień za późno, by data była w pełni magiczna, lecz już po moim powrocie z Paryża. W tonacji c... Najpierw trąby. Pierwsze takty mogłyby sugerować operę? Lecz w finale z za uśmiechu wyziera ogień, rozbrzmiewa grzmot. Życie skierowane jest ku wnętrzu, nigdy się nie kończy, nigdy nie blednie, coraz to rozkwita na nowo, wznosi się coraz wyżej i wyżej przez kolejne żywioły.

W sekwencji ten element pasuje do wszystkich pozostałych - zwłaszcza do miejsca, gdzie usiadłem, by wszystko spisać. Cały świat dąży ku harmonii. Geometria jest miła Bogu.

Och - lecz córce króla grozi niebezpieczeństwo. Może zmylić ścieg. Stracić wątek. I stracić głowę. Z jedną z nich byłem w przyjaźni, lecz

5 7

Trzymaj nić. W trudzie swym nie ustawaj. Och, jakąż splątana tkamy sieć...

ona drwiła z mych oświadczeń i nie chciała
nawet słyszeć o małżeństwie. Kluczem jest C.

*Cała pełna chwały wchodzi córka
królewska; złotogłów jej odzieniem.
Co zasiane JEST W jego SERCU...*

Gdzie twój SKARB, tam będzie i serce twoje.

*W jej twarzy ogród się
odkrywa Gdzie obok lilii
rosną róże; Rajski to
sad, gdzie owoc bywa
Słodszy niż zdarza się w
Naturze.*

Równa liczba kroków od początku w przód;
równa liczba kroków od **końca** wstecz. Odnajdzie
się zguba - Licz na mnie i nie pomył się w
rachubach.

Przez imię Jego człowiecze się strzeż...

Lucy w lesie gubi mieszek
Kitty nad stawem znalazła go w trawie
A w środku był grosik
I wstążka i cosik

Przed tą inną opowieść się rozpoczęła. Topiąca bogactwa w kielichu wina, w tej chwili malowana jako królowa rybaczka przez człowieka w szklach. A przedtem, inny „on” zrzucił płaszcz i łzy pereł uronił. I rzekł: „Umysł mój uszedł z tego lasu. Wkroczył w labirynt ulic wielkiego miasta i osiadł w niemodnej jego części, gdzie warzony susz śliwkowy za wielkie delicje uchodzi. U swego boku ujrzałem godło mego hrabstwa, co nowy kierunek mi wskazało”.

Czy zdołasz wymienić stare nicie nowymi, gdy tkanina się przetrze? Gdzie byliśmy, kiedy ostatnio szukaliśmy? Na początku, czy na końcu? Ja jeszcze nie umiem odpowiedzieć na to pytanie.

Zazdrosnym i mszczącym się Bogiem jest Pan; mścicielem jest Pan i Władcą Gniewu; Pan mści się nad swymi wrogami i długo się gniewa na swoich nieprzyjaciół.

DWIE TAK JAK RAMIONA CYRKLA PODWÓJNE.

7 4

Dowodów tarczą osłoń mnie przed strzał
zatrutych Gradem, którymi rozpacz czarna we

James z Whitby był człowiekiem oświeconym, lecz jego początki nie są, być może, tak ważne jak to, co zaczęło się w chwili, kiedy z barki węglowej wysiadł na inny brzeg. Wpatrzony w tanię Wenus, bogini miłości, z Apollonem na wyspach Mórz Południowych igrającej, za granicę wyruszy, podróżując incognito, plumerią uperfumowany.

Co ci wiadomo o Zatoce Płaszczek? Bacz tylko, byś nie przeoczył chwili, gdy dzielny botanik, o wiele mil od Majowej Królowej, pierwsze kwiaty zrywał.

Joseph po latach otrzymał tytuł szlachecki. Odkrył tak wiele endemicznych ziół i innych roślin, iż nie tylko podniesiono jego godność, lecz i zmieniono nazwę miejsca, w którym je odnalazł. Za sprawą pierwszej rzeczy, która łączy owych dżentelmenów, wielu ludzi w podróż wyruszyło, lecz strach przed nieznanym wkrótce przeminął. Mierzyć najlepiej od północnego wybrzeża — i pamiętaj: cieśnina ma tylko milę szerokości.

Jeśli spróbujemy myśleć szczerzej, będziemy

mogli się przenieść na większy plan, gdzie bardziej współczesna bogini miłości nową zaczyna zagrywkę. Jednak najpierw spójrzmy w przyszłość, ku wielkiemu miastu, które nową otrzymało nazwę na cześć białej róży. Na placu, potężny rzucając cień, wznosi się dumna budowla na wzór wielkiego werońskiego palazzo.

לגא

WCIAŻ ODDYCHA...

Jeśli tylko chcesz, zrozumiesz Jam jest Alfa i Omega, jam jest Pierwszy i Ostatni; napisz więc to, co widziałeś, i poślij do siedmiu kościołów, które są w Azji.

Z wysokiego piedestału spadła dziewczica zgubiona; poznała ból i niepewność umarłych królestwa. Ona to uosabia Mądrość, której poszukuje Wtajemniczony; lecz jest ona więcej niżli tylko nagrodą. Jest także wtajemniczoną. Jak w przypadku upadłej i uśpionej Duszy, celem Inicjacji jest ją obudzić i przywrócić jej rangę utraconą.

Kiedy dobrowolnie mierzysz się z jakąś przeszkodą, przyznajesz tym samym, że pogłębienie własnych możliwości jest czymś niezbędnym. Taka postawa wobec nieskończoności wymaga pokory, pomysłowości, zastąpienia jednego sposobu myślenia innym, zupełnie nowym. Przed Wtajemniczeniem Wyższego Stopnia każdy musi Labirynt przemierzyć. Od Luksoru. Przez Knossos. Z Kurne. Przez Luccę. Do wielkich katedr Dziewicy. Kroki znasz, teraz sploty węzła prześledź.

Pójdiesz na łowy, panie?

Na co,

Curio? Na jelenia.

Rola moja skończona; gdy łączą
się młodzi, Ściana, jak zwykle
bywa ze ścianami, odchodzi.

Lecz że nikt jeszcze żywy z tej ciemnoty nie
wrócił na świat...

Do przodu? Wstecz? Z piekła Dantego?